

PRZEBUDZONA

Róża Lewanowicz

Nic złego nie zrobiłam,
żeby tak uciekać jak szczur
z tonącego statku...


Replika

PRZEBUDZONA

Róża Lewanowicz

Nic złego nie zrobiłam,
żeby tak uciekać jak szczur
z tonącego statku...


Replika

Róża Lewanowicz powraca po rewelacyjnym debiucie. *Przebudzona* to szybka i mocna akcja, wyraziste postacie, a także niebanalny wątek obyczajowy. Kapitalna książka!

Magdalena Kijewska, *Przegląd Czytelnicy*

Przebudzona to powieść napisana tak sugestywnie, że po jej lekturze zaczniesz zastanawiać się, czy wiesz wszystko o życiu własnym i swoich bliskich. Nie bądź pewny następnego dnia, jeśli nie jesteś pewny swojej przeszłości.

Leszek Koźmiński, *Kryminalna Piła*

www.kryminalnapila.blogspot.com

Róża Lewanowicz wciąż zaskakuje. Wydawałoby się, po finale *Porwanej*, że już nic nie będzie w stanie zagrozić szczęściu Justyny i Łukasza. A jednak demony przeszłości wgryzają się w ten związek. Każda kolejna strona powieści potrafi przynieść niespodziewane zagrożenia i rozwiązania - ciągle coś się dzieje i nic nie jest oczywiste. Po bardzo mocnym debiucie przychodzi równie dobra kontynuacja - materiał na topowy film akcji.

Artur Szczęsny, *recenzent literacki*

PRZEBUDZONA

Róża Lewanowicz



Copyright © Róża Lewanowicz
Copyright © Wydawnictwo Replika 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Barbara Rydzewska

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz
Zdjęcia na okładce
Copyright © depositphotos.com/.w20er
Copyright © istockphoto.com/piskunov

Skład, przygotowanie wersji elektronicznej
Maciej Drozdowski

Wydanie I

ISBN 978-83-7674-342-4

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

I

Odsuwał się od niej coraz bardziej.

Z dnia na dzień jej mąż stawał się dla niej kimś obcym, kimś, kogo wcześniej nie znała. Cierpiała bardziej niż wówczas w szkole w Poznaniu, bardziej niż podczas najgorszych chwil swojej służby z Stargardzie Szczecińskim, a nawet... bardziej niż wtedy, gdy ją porwali.

Kiedy opowiadała mu o swoim pobycie w Afganistanie, gdy odkrywała kolejne, tajone przez cały okres małżeństwa, fakty z czasu, gdy pracowała jako najemnik, była w pełni świadoma, że może to zmienić ich relacje na zawsze. Nie przypuszczała jednak, że będzie to aż tak fatalne w skutkach.

Wówczas, w ten niedzielny poranek, Łukasz wysłuchał jej opowieści, здаwałoby się spokojnie. Ale ten spokój już był czymś niedobrym. Znała go tak dobrze, że każde poruszenie w jego mimice albo w mowie ciała było czytelne jak wielki transparent postawiony przy drodze.

Nie zapytał, dlaczego mu nie powiedziała, nie robił wymówek, chociaż wolałyby je w tym momencie usłyszeć. Zapytał o Gogola i Bambię... i o Krokodyla. Była zdumiona i choć bardzo starała się ukryć zmieszanie, zauważył je, tak jak szkarłatny rumieniec na jej policzkach. Odwrócił wówczas na chwilę głowę w drugą stronę... Wtedy wiedziała – jej małżeństwo zawisło na włosku.

Siedziała w kuchni przed komputerem, na ekranie którego wciąż widniała pusta tabelka w Excelu. W mieszkaniu było bardzo cicho, nie miała nastroju do słuchania muzyki ani oglądania telewizji. Za oknem padał śnieg, który natychmiast się topił i oklejał mokrą warstwą wszystkie ulice i budynki. Chciało jej się płakać. W środku miała coś na kształt wielkiego kamienia, uciskającego wnętrzości, a zwłaszcza mostek. Łukasz wyszedł do pracy przed ósmą, nie jedząc nawet śniadania... Ostatnio stało się to jego zwyczajem. Tego dnia nawet jej nie pocałował na pożegnanie, a to znaczyło bardzo wiele, wszystko w zasadzie.

Schowała twarz w dłoniach i starała się uspokoić emocje. Na próżno. W głowie wciąż brzmiało pytanie Łukasza:

– A kim jest Krokodyl?

Zapamiętał. Wyrwał z fragmentu rozmowy przy winie w Wedlu i z tego, co mówiła na urlopie. Okazało się również, że podsłuchał jakąś wymianę zdań pomiędzy Mrozowskim a Kostkiem. Nie pytał o niego wcześniej, dopiero wtedy, gdy sama mu powiedziała.

Dlaczego się do niego przyczepił? Akurat do niego? Krokodyl nic nie zna... a on myśli o nim.

Czuła się winna, mimo że nie znajdowała ku temu racjonalnych powodów. Rozważała, czy nie byłoby słuszne przeprowadzenie rozmowy z Łukaszem na temat jego coraz bardziej czytelnej oschłości, ale nie czuła się na siłach. I to było najbardziej bez sensu, a jednocześnie tak dobrze jej znane...

Wychowała się w domu, gdzie przewagę miał ten, kto władał emocjami innych. Najpierw babcia, która tyranizowała ich swoim milczeniem trwającym nawet dwa tygodnie. Wszyscy ustępowali jej wówczas z drogi, każdy się bał. Wpojone od pokoleń przekonanie o świętości matki i starszych wygrywało ze zdrowym rozsądkiem. Nikt zresztą nie znał innego sposobu na budowanie więzi. Babka domagała się bezwzględного posłuszeństwa, za brak którego karała także szantażem emocjonalnym, grożąc, że się zabije albo wyrzeknie się dzieci i wnuczków. O, Justyna często słyszała z jej ust słowa: „Nie jesteś moją wnuczką, Ty wyrodna...”, wysyczone w przypiływie bezsilności, gdy nie była w stanie czegoś na niej wymóc, po których można było się spodziewać ostrej reprimendy ze strony matki. Babcia w końcu naprawdę się ukatrupiła, ale było to największą rodzinną tajemnicą. Justyny wtedy nie było w domu, kończyła studia w Białej Podlaskiej, ale powiązała kilka faktów i od razu wiedziała, że nestorka przedawkowała „Goździkową”, od której była uzależniona dobre pół wieku, i którą leczyła wszelkie swoje dolegliwości. Matka, jej brat, czyli wuj Zenek, przy cichym i nie do końca jasnym współudziale Basi, dwukrotnie wcześniej odratowali samobójczynię, ale za trzecim razem nie wezwali pogotowia.

– Zrobiła Wam to na złość – powiedziała kiedyś ze spokojem Gośka Łukasik, kiedy spotkały się w kawiarni tylko we dwie. – Gdyby przyczepił się do Was jakiś prokurator, dostalibyście zawiasy za brak właściwej opieki. Po pierwszej próbie powinniście zawiadomić szpital psychiatryczny i ją ubezwłasnowolnić,

żeby poszła na przymusowe leczenie. Takie jest prawo, o ile się nie mylę...

Justyna rozumiała to dobrze, ale czuła co innego. Lekarz? Sąd? To jakieś bujdy! Babka stanowiła prawo, ona decydowała o zdrowiu i życiu. Chciała umrzeć, żeby im dokopać, to umarła.

Pałeczkę po niej przejęła matka. Irena Dąbek świetnie odnalazła się w roli cichej gnębicielki całej rodziny, z jej „męczeństwem” porzuconej przez złego męża kobiety, steranej życiem i obowiązkami. Po pogrzebie to ona zaczęła wszystkich szantażować, dogryzać im, uciekać się do karania milczeniem, a nawet biciem... Pomysł z wojskiem był dla Justyny jak dar od Losu. Kiedy przeczytała w gazecie artykuł o naborze do Szkoły Podoficerskiej, poczuła, że oto nadchodzi kres jej kłopotów. Po wcieleniu zaś była pewna, że jest w Niebie. Dostała jeść, dostała żołd, mundur i parę innych rzeczy, które były jej i tylko jej. Nawet pierwsze oznaki nadchodzących problemów z przełożonymi jej nie zniechęciły. Łudziła się, że po mianowaniu będzie lepiej, kiedy pójdzie do jednostki i będzie normalnie pracować. Ale zaczęły się szopki z facetami. Nigdy nie sądziła, że może budzić takie emocje, nie rozumiała tego, więc... czuła się winna. Podobnie jak w domu, szybko weszła w rolę ofiary, biorąc na siebie ciężar odpowiedzialności za zło, które się dzieje. Oprawcy szybko się w tym połapali, choć na pewno intuicyjnie, bo rozumu za wiele nie mieli. Wykorzystano każde jej potknięcie, każdą wadę, a jeśli jej nie było, to jej ją domalowali. Tak długo docierało do niej, co tak naprawdę się dzieje... Za długo.

A teraz była znowu tą samą Justyną Dąbek, tyle że z mężem tyranem. I znowu czuła się winna, mimo że rozum mówił coś innego. Bała się, w każdej sekundzie bała się go, jego milczenia i ściągniętych ust. Widok jego twarzy, tak zawsze dobrej i łagodnej, odbierał jej resztki sił. Dosłownie widziała, jak na głowę wali jej się sufit, a z nim cały świat wokoło. Wszystko było w czarnych barwach, życie – z takim mazołem budowane – znowu straciło smak.

Opuściła smętnie głowę na piersi, a z oczu zaczęły kapać łzy. Przecież tego można się było spodziewać. Całe małżeństwo żyła z tym podświadomym lękiem, że to jednak się nie uda. Czuła się winna temu, że pozwoliła sobie myśleć inaczej, choćby przez chwilę.

Nie była nawet zła na Rafała, że poradził jej tę szczerość. I tak by się wydało prędzej czy później, byłoby chyba nawet gorzej.

Wytarła policzki i cieknący nos. Myśl o Brennerze niespodziewanie dodała jej

nieco sił. Wyłączyła komputer i poszła do garderoby znaleźć coś do ubrania. Przyszło jej do głowy, żeby do niego pojechać i pogadać. Sama nie wiedziała, co mógłby w tej sytuacji pomóc, ale postanowiła zastanowić się nad tym po drodze.

Kiedy wróciła do kuchni, żeby znaleźć swoje klucze, jej wzrok zatrzymał się na leżących na lodówce jej pamiątkach z czasów służby – tych, które ostatecznie pogrzyły karierę Jaskóły. Leżały wciąż zawinięte w cienki papier, nieruszone ani przez nią, ani przez Łukasza. Jej mąż tłumaczył, że nie będzie zniżał się do poziomu tych, którym chciało się grzebać w umyśle Justyny. Ona zaś niemal zapomniała o ich istnieniu.

Zawahała się. Przyszło jej do głowy, żeby je stąd zabrać i spalić. Sięgnęła nawet po nie ręką, ale jakaś myśl powstrzymała ten zamiar.

Mogą być jeszcze potrzebne – przemknęło jej przez głowę. Wydało się to bezsensowne, a jednak nie potrafiła zdobyć się na zniszczenie zeszytów.

Poczuła, że zrobiło jej się gorąco od stania w kurtce i czapce w ciepłej kuchni. Złapała klucze leżące na blacie koło zlewu i wyszła z mieszkania.

II

Sałatki i kanapki sprzedawane w kawiarniach, do których chodził przed pracą jeść śniadanie, przestały mu smakować. Zaczął w nich wyczuwać chemię, którą były pakowane, czasami lekką nieświeżość, ale nade wszystko gorycz – taką wypływającą z jego własnej wątroby. Kawy nie były dobre, Justyna ich nie lubiła, zwłaszcza od kiedy mieli własny ekspres. Mówiła, że śmierdzą jak pomyje...

Westchnął ciężko i ugryzł kolejny kawałek kanapki z kurczakiem, którą beznamiętnie przeżuwał, patrząc przez szybę na korek w Alejach Jerozolimskich. Popił zimną już latte i zerknął na wibrującą na blacie komórkę. Kot dzwonił po raz drugi. Nie odbierał, nie miał na to siły ani ochoty. Potem znowu wytłumaczył się, że nie słyszał, kiedy jechał samochodem. Póki nie dobijał się do niego Brenner, nie było strachu, że to coś pilnego.

Czuł się fatalnie. Świat w listopadowej aurze był szary i mokry, a w jego wnętrzu było nawet gorzej. Chciało mu się na przemian płakać albo krzyczeć. Miał ochotę uderzać pięścią w ścianę albo położyć się i nie wstawać...

Kilka dni wcześniej Justyna zapytała nieśmiało, czy nie wybierają się do psychologa. Minęły im dwie sesje i terapeutka dzwoniła z pretensją, że straciła ten czas, a mogła poświęcić go komuś innemu. Zagroziła, że następnym razem i tak wystawi im rachunek. Odburknął, że nie ma czasu i potrzeby, żeby tam chodzić. I to był chyba ostatni raz, kiedy się do niej odezwał.

Zacisnął mocno pięść i uderzył nią o stół. Był zły. Fale wściekłości zalewały go jedna po drugiej. Wiedział, że gdyby poszli na terapię, psycholożka zaczęłaby drążyć temat i wypytywać o powody jego stanu. A on chciał być zły, chciał czuć wciąż tę wściekłość na Justynę, nie chciał tego czegoś w sobie tracić. Terapia zaś wyciągnęłaby z niego przyczynę gniewu i mogłaby pokazać, że jest bezsensowny... Nie wiedział, czy taki jest. Nie znał źródła tego stanu... i nie chciał go

poznać.

Oddychał szybko i przez moment nie widział na oczy, bo właśnie kolejna taka fala przetaczała się przez jego umysł. Nienawidził jej. O, jak bardzo jej teraz nienawidził! Widział, jak usuwa mu się z drogi, jak patrzy na niego przerażona... Naprawdę to wszystko dostrzegał, ale tym bardziej go to zachowanie rozjuszało, budząc w nim coś, czego w sobie jeszcze nie znał. Czuł się z tym zaskakująco dobrze, więc wołał podsycać w sobie jeszcze bardziej złość i jeszcze bardziej tłamsić nim Justynę, niż czuć tę bezradność, kiedy nie chciało mu się nawet wstawać rano z łóżka.

Wydawało się w tym momencie, że zaraz straci ten animusz, więc pomyślał, że trzeba go sobie jakoś podładować. Przed oczami natychmiast stanęła mu postać matki. Gdyby do niej zadzwonił i jej powiedział, jak nienawidzi swojej żony, ona by go wsparła...

Złapał za telefon z zamiarem zadzwonienia do Zofii, ale przypomniał sobie, że ma nowy aparat, w którym nie ma numeru do matki. W tym momencie komórka zawibrowała i odruchowo wcisnął zieloną słuchawkę.

– Meyer – usłyszał gniewny głos Brennera. Poczuł na plecach gęsią skórę i szybko przyłożył telefon do ucha.

– Yyy... tak, jestem, szefie.

– Raczysz zjawić się dziś w pracy?

– No tak... Jest przed ósmą...

– Czy Ty się dobrze czujesz? – prawie krzyczał. – Mieliśmy zacząć odprawę wcześniej. Nie wiem, gdzie jesteś, ale jak nie dotrzesz tu za kwadrans, to Cię przeczolgam jak burego szweja.

– Już jadę. – Naprawdę zapomniał. Zerwał się z krzesła i wypadł z kawiarni.

Kwadrans szybko minął, a on jeszcze nie wy dostał się ze Śródmieścia. Kiedy udało mu się dotrzeć do biura, jego szef zabijał go zimnym spojrzeniem. Odprawa już trwała. Kowalski coś referował, Kot kręcił z politowaniem głową, ale poza tym nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przycupnął na jednym z foteli, starając się nie robić zamieszania. Ostatnio kiepsko mu się pracowało, miał zaległości, z trudem się skupiał. Początkowo Brenner jakoś tego nie komentował, kładąc to na karb przeżyć związanych z porwaniem Justyny, ale z dnia na dzień robił się coraz bardziej zły i poirytowany. Tego dnia był tym bardziej na niego zagniewany, że planował poprosić go na rozmowę w cztery oczy tuż przed

zebraniem, ale kolejne spóźnienie Łukasza zaprzepaściło te zamiary.

Kiedy wydawało się, że odprawa dobiegła końca, Brenner chciał zawołać Meyera do siebie, żeby przynajmniej porządnie go opieprzyć przed wyjściem do innych pilnych zajęć, jednak poczuł, jak komórka w kieszeni jego spodni informuje go o nowej wiadomości. Zerknął na ekran.

Justyna! Serce zabiło mu mocniej. Spojrzał na twarz Łukasza i poczuł, jak fala gorąca zalewa mu łysą głowę. Już wiedział, że te dwa zdarzenia mają ze sobą coś wspólnego.

„Możesz się ze mną teraz spotkać w kawiarni za rogiem? Chcę pogadać. To ważne”.

Stracił na chwilę orientację w tym, co się dzieje. Kiedy się ocknął, stał przed nim Kot z pytającą miną.

– Słyszał mnie pan? – Głos Tomka był spokojny.

– Nie – odpowiedział szczerze. – Czego chcesz?

– Pogadać.

– Nie teraz. O czternastej. – Odwrócił się na pięcie w stronę swojego biura, ale nagle znowu spojrzał na Kotowicza. – Chyba że to coś bardzo pilnego.

– Nie... – Kot machnął ręką i uśmiechnął się niewyraźnie. – Będę o czternastej.

Brenner usiadł za biurkiem i wybrał numer Justyny.

– Co się stało? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– Możesz? – zapytała cicho.

– A Ty nie możesz przyjść do nas? – odpowiedział pytaniem, zerkając przez szklaną ścianę na skulonego przy swoim biurku Meyera.

– Wolałabym nie...

– Rozumiem – westchnął ciężko. – Daj mi dziesięć minut.

Przyszedł szybciej niż się zapowiadał. Usiadł obok niej i ścisnął jej chudą dłoń. W jego oczach widziała troskę, ale też jakiś rodzaj oczekiwania na to, co ma mu do powiedzenia.

– Nie jest za dobrze, co? – odezwał się po chwili. Justynie jakoś słowa nie przychodziły na usta. Pokręciła tylko głową, a w oczach pojawiły się łzy. – Co się dzieje?

– Przestał się do mnie odzywać. – Ledwo było ją słyszeć.

– Jak to: przestał? – Rafał zmarszczył brwi. – Dlaczego?

– Powiedziałałam mu o Afganistanie.
– O czym?! – Czuł, że robi mu się duszno.
– O moim pobycie w prywatnym wojsku w Afganistanie.
– Byłaś... byłaś najemnikiem? – roześmiał się nerwowo, ale zaraz spoważniał całkowicie. – Razem z nimi, tak? Z Mrozowskim i tym całym Gogolem?
Potwierdziła skinieniem głowy.
– Jak mogłem się nie domyślić? – Potarł dłonią łysinę. – Prawie mi to powiedzieli. I Łukasz się przez to obraził?
– Nie wiem. – Uniosła lekko ramiona. – Po prostu milczy i odsuwa się ode mnie coraz bardziej. Sypia często na kanapie, niby że ogląda telewizję. Nie je w domu śniadań, późno wraca. Czasami... czuję, że pił.
Brenner pokręcił głową z niedowierzaniem.
– Przepraszam... To ja Cię na to namówiłem...
– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – To nie ma znaczenia. Takie są fakty, taka jest moja przeszłość, nic tego nie zmieni. On... po prostu nie chce już ze mną być.
– Jakaś bzdura – prychnął Rafał. – Opowiadasz głupoty. Co to zmienia, czym się wcześniej zajmowałaś? Co to zmienia dla Was, dla Waszego małżeństwa?
Nic nie odpowiedziała, po policzkach płynęły jej łzy.
– Pogadam z nim, potrząsnę trochę, bo należy mu się łomot... nie tylko za to.
– Nie rób tego – szepnęła.
– Dlaczego?
– Ja zawsze czułam, że to nie potrwa wiecznie. Zawsze wiedziałam, że w końcu mnie zostawi...
– Co Ty opowiadasz?! – W jego głosie słychać było przerażenie.
– Ta jego matka... tak strasznie mnie nienawidziła, robiła mu z mózgu sieczkę... Poza tym, kim ja jestem? Nic sobą nie reprezentuję...
– Justyna! – przerwał jej nagle. – Z Tobą jest coś nie tak. Pleciesz trzy po trzy. Powinnaś z kimś pogadać, pobyć trochę w innym środowisku, z normalnymi ludźmi.
– Normalnymi? – roześmiała się przez łzy.
– Tak! Justyna, Ty i Twój durnowaty mąż przechodzicie straszny kryzys, bo niedawno doszło w Waszym życiu do wielkiej tragedii... Zapomniałaś, co się stało?

Pokręciła głową i zaraz ją opuściła.

– To obudziło w Was wszystko, co najgorsze. Jakieś demony, czasem już zapomniane lęki... Meyer poznaje właśnie swoją ciemną stronę, a Ty nie powinnaś brać tego na siebie.

– To co mam zrobić? – Wytarła nos w chusteczkę.

Brenner nabrał powietrza.

– Może nie powinienem znowu udzielać Ci rad, żeby nie wyszło, że coś popsułem... Ale jedyne rozsądne wyjście, jakie przychodzi mi do mojej łysej głowy, to żebyś zrobiła to, co Ty sama czujesz. Pamiętaj: Twój wybór jest najlepszy. – Uśmiechnął się do niej i potargał krótką czuprynę brązowych włosów. – Jak Cię porwali, wiedziałaś, co robić. Jak tu wróciłaś, też wiedziałaś, jak rozwalić całe towarzystwo... Zastosuj tę samą zasadę do swojego małżeństwa i bez emocji oceń, jaki ruch będzie najlepszy. Zgoda?

Kiwnęła lekko głową i uśmiechnęła się do niego, choć bardziej oczami. Przez ułamek sekundy zobaczyła w jego twarzy rysy Krokodyla, mimo że byli tak różni. Jego słowa obudziły bardzo silne wspomnienie i przyprawiły ją o mocniejsze bicie serca. Zawstydziała się tego, zwłaszcza że to przecież o Krokodyla jej mąż zdawał się mieć największe pretensje.

Zdawał się... Bo o co mu chodzi, to nie rozumiem – pomyślała w nagłym przypiływie jasnego myślenia.

– Pojadę do domu – westchnęła cicho i zaczęła zbierać szalik i czapkę z krzesła obok.

– Zaczekaj. – Rafał podniósł się. – Odwiozę Cię. Pójdę po samochód i zgarnę Cię za parę minut sprzed kawiarni.

Nie zaprotestowała, bo nawet nie dał jej na to szansy. Wyszedł z lokalu i zaraz zniknął. Zacisnęła mocno dłonie na szaliku i zagryzła wargi niemal do krwi. Te jego słowa... To było jak odpowiedź na kołające się po jej głowie od kilku dni myśli.

„Rób to, co czujesz” – ciągle dzwoniło jej w uszach.

Pomyślała więc znowu o tym, co czuje i co chce zrobić. Za każdym razem ta idea powodowała, że robiło jej się lżej na sercu. Tyle że nie wyobrażała sobie siebie, wprowadzającej ją w życie. Aż do teraz.

Pod kawiarnią pojawiło się auto Brennera.

– Nie mówiłeś mu? – upewniła się, gdy zajęła miejsce pasażera.

– Oczywiście, że mu powiedziałem. Od razu na wejściu wyznałem, że mieliśmy właśnie małe rendez vous w kawiarni za rogiem, ponieważ pan Łukasz Meyer jest frajerem, który postanowił rozpieprzyć swoje udane małżeństwo.

Nie mogła się nie roześmiać. Jej serce, do tej pory ściśnięte lękiem i żalem, zaczęło wreszcie bić normalnym rytmem.

– Powiedz mi – zaczął po chwili Rafał – jak sprawy w firmie?

– Nic szczególnego. – Wzruszyła ramionami. – Robię to, co robiłam. Tyle że czasem jestem proszona o jakąś analizę, za którą dostaję trochę więcej pieniędzy.

– Odpowiada Ci to?

– Niezupełnie. – Skrzywiła się. – Myślałam, że jak zostanę w domu, będzie mi łatwiej polubić tę firmę, ale ja zwyczajnie czuję się wykorzystywana.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Nie ufam im już – powiedziała cicho.

– Jak to? – Spojrzał na nią przenikliwie. Władowali się właśnie w wielki korek w centrum i wyglądało na to, że podróż zajmie im sporo czasu.

– Jakby Ci to powiedzieć... Uważam, że Jakubowski i Słotwiński coś ukrywają.

– Ale w jakiej sprawie?

– Na przykład mojego porwania. – Zerknęła na niego niepewnie.

– To dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– A po co?

– Justyna! – Czują, że jest zirytowany. – To całe śledztwo tkwi w martwym punkcie. Jeśli nie zdobędziemy wystarczających dowodów na kapusiów z naszej komórki, może im się upiec... To znaczy Wieškowi się prawdopodobnie upiecze, bo nic na niego nie mamy. Najgorsze jest to, że on nic nie mówi i wcale nie chce wychodzić na wolność. Rozumiesz to?

– Rozumiem. Boi się czegoś...

– Tak. Każda informacja jest na wagę złota. Prosiłem Cię, żebyś przyszła wcześniej. To także w Twoim interesie, bo z dowodami na porywaczy też mamy kłopot.

Odwróciła głowę na chwilę w drugą stronę, rozważając, czy chce powiedzieć to, co wie.

– To nie Anna Adamiak zleciła moje porwanie – wyszeptała w końcu.

Rafał, który chciał zmienić pas, o mało nie zderzył się z autem obok.

– Co?! Jak to...

– Uważam, że Słotwiński o tym wie. I prezes też.

Brenner mrugał przez chwilę powiekami. Usta miał otwarte, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobywał.

– Skąd... skąd o tym wiesz? – wydusił w końcu.

– Nie mogę zdradzić źródła tej informacji.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się, choć wcale nie chciała.

– Czy ktoś Ci już mówił, że sprawa jest polityczna?

Spojrzał na nią zdumiony, znowu z otwartymi ustami.

– Mówił Ci. – Skinęła lekko głową. – To nie pytaj mnie o źródło, tylko o to, co wiem. Wiem, że nie ona zlecała, ale kto za tym stoi, już nie mam pewności.

– Może oni? – Zmarszczył czoło. – Ten Twój dyrektor...

– Też o tym myślałam – zmrużyła oczy – ale raczej nie.

– To dlaczego uważasz, że oni z prezesem coś kryją?

– Bo myślę, że wiedzą, kto zlecał. I myślę, że wiedzą dużo, dużo więcej.

Brenner potarł czoło drżącą dłonią.

– Podam się do dymisji – wyszeptał, kręcąc głową.

– Twój szef Cię puści? – uśmiechnęła się znowu.

– Justyna... Co Ty tak naprawdę wiesz?

– Będzie dla Ciebie lepiej, jeśli pozostaniesz w nieświadomości.

– A jaki to ma wpływ na ciebie?

– Nie rozumiem.

– Czy to, co wiesz... Czy te Twoje „źródła” są dla Ciebie groźne?

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Te moje „źródła” są upierdliwe do granic wytrzymałości. Ale raczej mi nie zagrażają. Przeciwnie...

– Przeciwnie? – W Rafale wezbrała ciekawość.

– Dam sobie radę, Rafał. – Jej oczy mówiły, że jest pewna tego, co mówi. – Z tym sobie poradzę... Gorzej z moim małżeństwem.

Pokiwał głową i zjechał wreszcie z ronda.

III

Kiedy weszła do mieszkania, cały dobry nastrój, jaki miała przy Brennerze, zniknął w jednej sekundzie. W jej nozdrza wpadły wszystkie zapachy, tak miłe do niedawna i tak przykre obecnie. Stała w przedpokoju ze ściśniętym sercem, wahając się przez chwilę, czy ma robić to, co sobie zaplanowała. W końcu zdecydowanym krokiem wkroczyła do garderoby i zdjęła z pawlacza brązową walizkę.

Musiała wybrać rzeczy, które chciała zabrać, ale szybko zrozumiała, że to nie-realne, żeby spakować się w jedną torbę i mieć wszystko, co potrzebne. Zdjęła więc małą granatową torebkę, która służyła jej zawsze jako bagaż podręczny podczas podróży samolotami. Wrzuciła do niej piżamę, jedną zmianę bielizny i ubrania na drugi dzień. Kiedy poszła do łazienki po kosmetyczkę, przypomniało jej się o pamiątkach. Nie zastanawiała się długo nad tym, czy zasadne będzie zabieranie ich. Bardzo nie chciała, żeby tu zostały. Spakowała je w dodatkową warstwę papieru i włożyła na dno torby.

Chodziła chwilę po mieszkaniu, zastanawiając się, czy jest coś jeszcze, co wolałaby mieć teraz przy sobie, ale nic nie rzuciło jej się w oczy. Bolał ją widok zdjęcia ślubnego, więc nie patrzyła na nie zbyt długo. Odcięła się w środku od emocji, które chciały zalać ją swoją intensywnością. Spojrzała na obrączkę, która z jednej strony była porysowana od skoku przez betonowy płot. Nie wiedziała, co ma z nią zrobić. Ostatecznie jednak nie zdejmowała jej. Pomyślała, że nawet jeśli dla Łukasza ich małżeństwo się skończyło, ona zawsze będzie jego żoną.

Kiedy była już ubrana, zasiadła jeszcze na chwilę przy kuchennym stole przed kartką papieru, na której chciała napisać kilka słów wyjaśnień. Ostatecznie jednak zdecydowała się poinformować Łukasza, że po resztę rzeczy zjawi się ktoś tego samego wieczora albo następnego dnia. Miała wielką nadzieję, że Gosia

zgodzi się zrobić to za nią. Nie napisała „kocham cię”, choć chciała...

Zerwała się szybko z miejsca, złapała walizkę i wybiegła z mieszkania, zatrzasnąwszy drzwi, które od kilkunastu dni nie miały klamki po zewnętrznej stronie. Jej klucze zostały na stole w kuchni.

IV

Tomek Kotowicz z niecierpliwością czekał na szefa. Chciał pogadać jak najszybciej o sprawie, która nie dawała mu spokoju od dłuższego czasu, to znaczy o Łukaszu, któremu ewidentnie biło coś na mózg. Jego fochy, arogancja i kompletny brak zainteresowania pracą dawały się już we znaki wszystkim, a jemu szczególnie, z racji tego, że był to jego jedyny i najlepszy przyjaciel, którego obecności bardzo potrzebował.

Wszelkie próby nawiązania dialogu z Meyerem kończyły się albo kłótnią, albo zbywaniem Tomka. Kot pokładał wielkie nadzieje w Brennerze, bo Łukasz zawsze go cenił i czuł przed nim należny respekt. Teraz zaś siedział jak wielka chmura gradowa, do której każdy bał się podchodzić, i czytał coś w Internecie.

Po trzynastej Brenner pojawił się w biurze i choć wyglądał na zamyślonego, złapał błagalny wzrok Kota. Skinął na niego, dając znak, żeby za nim poszedł.

– Chcesz mówić o Meyerze? – zaczął szef, zajmując miejsce za biurkiem.

– Skąd pan wie?

– Trochę Cię znam – uśmiechnął się krzywo. – Od razu powiem, że sam zastanawiałem się, jak nim potrząsnąć, ale będę szczery... Nie wiem.

Tomek opuścił głowę zrezygnowany.

– Lipa – szepnął i ciężko westchnął. – A nie może go pan ukarać? Żeby się ocknął.

Brenner roześmiał się cicho.

– Naprawdę Ci na nim zależy. Oj, Kotowicz... – Brenner oparł się mocno o fotel. – Mogę i nawet zamierzałem to zrobić. Dostanie kilka ostrzeżeń i się go ukarze. Chociaż... obawiam się, że to za mało.

– Jak to? – Kot zrobił przerażoną minę. – Chce go pan zwolnić?

– Nie. Chodzi mi o to, że nawet kara czy zwolnienie nie pomogą na jego stan.

– A co?

– Justyna.

– Jak to?

Brenner westchnął i rozejrzył się po biurze.

– Coś im się popsulo w małżeństwie.

– W małżeństwie? – Tomkowi w to akurat było najtrudniej uwierzyć. – Co im się mogło popsuć? Zdradziła go?

– Nie – Brenner uśmiechnął się smutno. – Nasz poczciwy Meyer nie poradził sobie z jej przeszłością.

– Ale że co? Że w wojsku była? To bez sensu. I co z tego? Przez cztery lata była świetną żoną. Dałbym sobie łapę odciąć, żeby taką mieć...

Brenner spoglądał bez słowa na Kota, jakby wzrokiem starał się mu coś powiedzieć.

– Co? – Tomek poczuł lekki niepokój.

– Łukasz tego nie wie. – Brenner nie miał ochoty rozpowszechniać informacji o tym, że Justyna była najemnikiem, ale uważał, że to i tak było bez znaczenia. – Nie rozumie jeszcze, że może stracić coś na zawsze i nigdy tego nie odzyskać przez własną głupotę.

– Nie wiem, o co mu chodzi. – Tomek wyglądał na rozdrażnionego. Spojrzył nagle na szefa przenikliwie. – A skąd pan wie o ich problemach?

– Rozmawiałem z Justyną.

– Była u pana? To musi być naprawdę źle.

Brenner kiwnął lekko głową.

– Pójdę już. – Z Kota ewidentnie uleciało życie. Podniósł się wolno z krzesła i skierował do drzwi, ale zatrzymał się przy nich na chwilę. – Walnąłbym go w mordę, gdybym wiedział, że to coś da. Ale widzę, że to bez sensu...

Wyszedł z biura.

V

Zanim dotarła na ulicę, gdzie stała kamienica, w której się ukrywali po jej porwaniu, była cała mokra od potu. Przez budowę metra większość linii tramwajowych tędy nie jeździła, zresztą pogubiła się już przy Wileniaku, kiedy zrozumiała, że do celu jej podróży trzeba iść na nogach.

Zmęczenie fizyczne odebrało jej siły, które ciągle wstrzymywały szarpiące nią emocje, dlatego gdy stanęła przed wejściem do budynku, rozplakała się w najlepsze. Wejście pod drzwi mieszkania kolegi Ziutka też nie przyszło jej łatwo. Nacisnęła na klamkę, ale nie udało jej się wejść do środka. Usiadła na schodach i schowała twarz w dłoniach. Było jej tak źle, jak dawno tego nie doświadczyła. Gdyby przyszli do niej w tym momencie porywacze, chętnie dałaby się im znowu związać i wywieźć do lasu. Łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem przez dobry kwadrans, kiedy usłyszała, że ktoś schodzi po schodach. Przesunęła się bliżej ściany, żeby przepuścić schodzącego mężczyznę, który niespecjalnie zwrócił na nią uwagę. Wytarła łzy w rękaw kurtki i podniosła się. Myślała przez chwilę, co robić dalej.

Może zadzwonię do Bambiego albo do Gogola?

Odrzucała jednak kolejne sugestie, także udanie się do Gosi lub Mirka i Krysi. Niespodziewanie przyszło jej do głowy, żeby pójść dwa piętra wyżej do sąsiadki, u której schowali się na czas akcji łapania porywaczy i Sławka Odrowąża. Może ona ma klucze?

Wbrew obawom, że kobiety nie będzie, drzwi szybko otworzyły się i stanęła w nich niewysoka, pulchna kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Mogła być młodsza, bo widać było, że życie jej nie oszczędzało. Na widok Justyny zmarszczyła lekko brwi, jakby starała się przypomnieć sobie jej twarz.

– Słucham – powiedziała dość ostrym tonem.

– Dzień dobry, pani Bożeno. – Głos Justyny był lekko zachrypnięty od płaczu.

– Nie wiem, czy mnie pani pamięta... ale to ja byłam wtedy z tymi kolegami, kiedy łapaliśmy bandytów...

– A! – Kobieta wydała okrzyk, który nieco wystraszył Justynę. Jej twarz natychmiast się rozjaśniła. – To Ty, dziecko! Nie poznałam Cię w tych włosach. I nie masz siniaków. – Sięgnęła ręką do jej policzka. – Wszystko dobrze u ciebie?

– Tak... yyy... to znaczy... – Justyna opuściła wzrok, starając się zapanować nad kolejnym przypływem łez, ale bezskutecznie.

Pani Bożena spojrzała zdumiona na nią, a następnie na stojącą koło nóg Justyny torbę.

– Co się stało? Wejdz – Złapała Justynę za kurtkę i pociągnęła do mieszkania, w którym unosił się zapach gotującego się obiadu.

Justyna bezradnie podreptała za kobietą i weszła do dużej kuchni.

– Usiądź i zdejmij tę kurtkę. Dam Ci zupy. – Odwróciła się w stronę kuchenki gazowej, na której stały dwa dymiące garnki i patelnia ze smażącymi się schaboszczakami. – Opowiadaj, co się stało.

– Ja... chciałam zapytać, czy ma pani może klucze do tego mieszkania na dole?

Bożena z niepokojem spojrzała na nią znad ramienia.

– A po co Ci klucze?

– Chcę przenocować dziś tutaj, zanim pojedę... dalej. – Jeszcze nie wiedziała, gdzie chce się udać, ale przynajmniej nie była w jednym mieszkaniu z Łukaszem.

– Gdzieś uciekasz?

– Nie... – Czuła, że kłamie. – Odeszłam od męża.

Pokrywka nad ogórkową opadła z brzękiem na garnek. Pani Bożena odłożyła chochlę na bok i usiadła obok Justyny.

– Dlaczego? – zapytała szeptem, patrząc jej przenikliwie w oczy.

Justyna czuła, że płonie ze wstydu. Bardzo nie chciała słyszeć teraz, że ma się nie wygłupiać i wracać, żeby ratować swoje święte, katolickie małżeństwo, a tego się właśnie obawiała.

– Bo nie mogłam już wytrzymać – powiedziała w końcu cicho. – Przestał się odzywać albo był niemiły. Nie chciał ze mną rozmawiać, nie chciał jeść tego, co mu zrobiłam... – Poczowała, że narasta w niej coraz większy żal. – Wychodził do

pracy bez słowa, wracał późno, czasem pijany. Kładł się na kanapie i oglądał telewizję. Ja... ja nie byłam w stanie z nim rozmawiać, próbowałam... ale nie mam siły...

Nie była w stanie już nic więcej powiedzieć, bo zapowietrzyła się od płaczu. Bożena położyła swoją dłoń na jej ręce i lekko pogłaskała.

– Dobrze zrobiłaś. – Słowa kobiety, choć bardzo ciche, uderzyły Justynę, jakby dostała obuchem, ale to było „dobre” uderzenie. – Po co się miał dalej nad Tobą znęcać? Ja znam takich jak on. Potem byłoby gorzej, mówię Ci.

Justyna patrzyła na nią, nie wierząc do końca, że to słyszy.

– Jak to „gorzej”? – Łzy jej niemal obeschły.

– Faceci to prymitywy. Wszyscy! Muszą czuć władzę nad nami, a im słabszy facet, tym więcej tej władzy chce mieć. Jak już raz wyczuł, że uległaś jego przemocy, to potem tylko by się bardziej nakręcał.

Gospodyni podniosła się z lekkim westchnieniem i wróciła do nalewania zupy.

– Jeszcze długo będziesz czuła się winna, ale to minie. – Podała Justynie talerz i spojrzała na nią z troską. – Masz z czego żyć?

Justyna kiwnęła głową.

– Mam swoje pieniądze na lokacie, o której on nic nie wiedział.

Bożena uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze... – Kiwała głową, trzymając się pod boki.

Justyna została nakarmiona i napojona oraz pokrzepiona odpowiednią ilością słów motywujących do działania na rzecz własnego dobrostanu. Miała z tego powodu mętlik w głowie, ale nie protestowała ani nie dyskutowała, zwłaszcza że dostała klucze do mieszkania kolegi Ziotka.

– Mój stary dorobił – powiedziała pani Bożena, wręczając je Justynie. – Na wszelki wypadek. Kiedyś nasz syn tam się z kolegami zabawił, to trzeba było posprzątać, zanim właściciel zobaczył. Przydają się czasem.

Justyna poszła na dół sama, bo Bożena zajęła się swoim mężem, który wrócił właśnie z pracy. Dostała za to koc, bo w mieszkaniu nie było niczego poza starym łóżkiem i jeszcze starszą kanapą, na której nawet Bambi z Gogolem nie chcieli spać. Weszła do środka i znowu poczuła, że rozsypuje się psychicznie. Zapach mieszkania przeniósł ją od razu do wydarzeń z czasu, gdy się tu ukrywali. Pomyślała o Jacku z jego skrupułami wobec ich poczynąń. O Żółwiku

z wiecznym fochem, bez którego niczego by nie działali. I o Ziotku, tak dwuznacznym z tym swoim dobrym usposobieniem i krwawym fachim, którym się trudnił.

Obeszła wszystkie pomieszczenia, słuchając skrzypienia parkietu pod swoimi stopami. Weszła w końcu do sypialni, usiadła na brzegu łóżka i spojrzała przez okno na szare niebo. Była tak przytłoczona wszystkim, co się wydarzyło, że nie mogła się ruszyć. Zdjęła w końcu buty i sięgnęła po koc, którym szczelnie się owinęła. Mimo że był środek dnia, zasnęła po minucie.

VI

Łukasz czuł lekki niepokój przez cały dzień. Był przygotowany na reprimendę od szefa i na kolejne zaczepki ze strony Kota, ale nic takiego nie miało miejsca. Wszyscy go ewidentnie olewali. Starał się przekonywać samego siebie, że to o niczym nie świadczy, ale na dnie duszy czaił się lęk, że jednak wydarzyło się coś ważnego albo coś się zmieniło. Przyszło mu do głowy, że Tomasz przestał się do niego odzywać na dobre i już nie będzie między nimi komitywy, ale i to niemiłe odczucie stłumił w sobie szybko i wytłumaczył, że nawet lepiej będzie nie mieć na głowie tego męczydupy.

Przed wyjściem do domu poszedł do kuchni umyć kubek po kawie, czego szybko pożałował, bo znalazł tam większość kolegów. Oni również go zignorowali.

– Chciałem iść na mecz, ale żona wrobiła mnie w imieniny jakiejś starej ciotki w Legionowie – usłyszał wypowiedź Kowalskiego, kiedy odkręcał wodę i płukał kubek.

– U cioci na imieninach – zanucił Mzygłód i roześmiał się ironicznie. – Będzie fajnie, zobaczysz.

– Bardzo zabawne. – Kowalski miał słabe poczucie humoru, zwłaszcza gdy chodziło o niego samego.

– A nie możesz się wymigać? – To sugestia Lenarta.

– Nie przejdzie. – Łukasz widział oczami wyobraźni, jak Kowalski kręci energicznie głową i wykrzywia usta. – Nie w obecnej napiętej sytuacji. Mamy w domu kuzynkę.

– No i? – roześmiał się znowu Mzygłód.

– Kuzynka jest moja; jest młoda, ładna i bardzo miła. Przyjechała na studia i właśnie ją wywalili ze stacji. Nie miała gdzie mieszkać, więc pomieszkuje u nas. Moja żona ma ochotę ją zabić we śnie, a ja, żeby tego uniknąć i samemu

przeżyć, robię wszystko, co chce moja ślubna. Dlatego są imieniny, a nie mecz.

– Wiesz, człowiek musi mieć właściwie ustawione priorytety. – W głosie Lenarta było słycać źle tajony cynizm.

Kowalski ciężko westchnął.

– Jakoś mnie nie bawią te Wasze mądrości. Pomogliście mi jakoś.

– Jak niby? – zapytał Mzygłód. – Myślisz, że moja ślubna będzie bardziej wyrozumiała? Zapomnij.

– Nie o to chodzi. Gdybyście znali kogoś, kto ma pokój na wynajem, będę wdzięczny. Chociaż na miesiąc. Jeśli zostanie u nas jeszcze ze dwa dni, dostanę nerwicy.

– Żona robi awantury? – mruknął Lenart, tym razem z wyraźnym zrozumieniem.

– Nie, odcięła mnie od seksu – powiedział całkiem poważnie Kowalski.

Łukasz wyszedł z kuchni, z której jeszcze przez chwilę dochodziły głośne śmiechy. Wyłączył komputer i zerknął w stronę Brennera, ale jego szef wyglądał na bardzo zajętego jakimiś papierami. Zawahał się, czy nie pójść powiedzieć mu, że już wychodzi, ale zrezygnował z tego pomysłu. Z Tomkiem też się nie pożegnał.

Pojechał tego dnia prosto do domu. Głównie z tego powodu, że nie miał pomysłu na to, co mógłby robić wieczorem. Kiedy szedł przez podwórko na osiedlu, wiedział, że Justyny nie ma w domu. Światło w kuchni nie świeciło się, a tam głównie spędzała czas. Patrzył w okna z niechęcią, żałując bardzo, że nie kupili mieszkania trzypokojowego.

Nie od razu zauważył kartkę z kluczami na stole. Kiedy wreszcie rzuciły mu się w oczy, dłuższą chwilę nie docierało do niego, co tak naprawdę znaczą.

„Wyprowadziłam się. Zabrałam tylko kilka swoich rzeczy. Po resztę przyjdzie ktoś dziś wieczorem albo jutro (pewnie Gosia).
J. ”.

I tyle. Przez pierwszych kilka minut nic nie czuł. Potem zalał go gniew albo coś, co go bardzo przypominało, co szarpnęło nim od czubka głowy po same kolana. Poniżej nie doświadczał niczego.

W początkowym odruchu chciał do niej zadzwonić, ale szybko przeszła mu ochota. Zapragnął zrobić jej krzywdę. To była czysta chęć... zemsty. Ale jeśli to

zemsta, to znaczy, że go to zabolęło. Nie! To nie zemsta, tylko nienawiść – tak to sobie wytłumaczył. Miał jej tak serdecznie dość, że już tylko o tym myślał, żeby naprawdę zniknęła, ale najpierw musi ją zabołeć.

Nie zastanawiał się długo, zanim sięgnął po telefon i wybrał numer do Kowalskiego. Mariusz nie mógł być bardziej zaskoczony. Po pierwsze tym, kto dzwoni, a po drugie tym, w jakiej sprawie.

– Słuchaj, stary, wszystko fajnie, ale Ty też masz żonę – wyraził uzasadnioną wątpliwość.

– Nieważne. Mojej żonie na pewno to nie będzie przeszkadzać – uśmiechnął się do siebie z satysfakcją.

– No, dobra. Skoro tak, to przywiozę Ewelinę do Was koło siódmej, może trochę wcześniej, bo musimy na te imieniny zdążyć.

– To meczu jednak nie będzie? – roześmiał się Łukasz.

– Nie, sprzedałem bilety. W każdym razie dzięki. I do zobaczenia.

VII

Bambi zaparkował dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał nissan Ziutka. Wsiadł z auta i zerknął na górę. Okno było ciemne, ale mogła siedzieć w pokoju z drugiej strony. Wszedł do budynku i wbiegł szybko pod drzwi mieszkania. Nie były zamknięte. Znalazł Justynę śpiącą w sypialni. Nie chciał zapalać światła, żeby jej nie wystraszyć, tylko usiadł ostrożnie na brzegu łóżka i pogładził ją po głowie, którą podniosła po chwili, nie wiedząc, co się dzieje.

– Dzień dobry, królowno – powiedział cicho z uśmiechem. – Muszę być dobrym księciem, skoro Cię tak szybko obudziłem.

Justyna usiadła na łóżku i spojrzała na niego w ciemnościach.

– Bambi? – zapytała w końcu. – Co tu robisz?

– Chyba nie sądziłaś, że pozwolę Ci tu mieszkać.

– Skąd wiedziałeś?

– Od Ziutka.

– Od Ziutka? A on skąd...

– Sąsiadka do niego zadzwoniła. To znaczy najpierw do właściciela tego mieszkania po jego numer. Chciał tu od razu przyjeżdżać, ale skoro ja jestem na miejscu, to uznaliśmy, że będę szybciej niż on.

Justyna nic nie odpowiedziała. Widział, że odwróciła głowę. W jej oczach błysnęły światła z ulicy. Wyglądała nierzeczywiście.

– Jedziemy? – zapytał cicho.

– Dokąd? – Znowu na niego patrzyła.

– Do mnie albo do Ziutka. Jeśli chcesz, zawiozę Cię tam.

Westchnęła cicho i znowu nic nie powiedziała.

– W życiu różnie się układa – odgarnął jej włosy z czoła – ale to nie znaczy, że masz siedzieć sama w jakiejś zapyziałej melinie.

– Jacek niedługo tu będzie... jak skończy rekolekcje.

– I co, będziesz mieszkać z księdzem? – Bambi roześmiał się. – Daj spokój. On ma swoje życie i będzie potrzebował tego mieszkania dla siebie. A Ty potrzebujesz ciepłego lokum i paru dobrych kumpli, którzy Ci pomogą na starcie.

Przygryzła wargi. Zabolało ją to, co powiedział. Zrozumiała w jednej sekundzie, że bardzo zależało jej na powrocie do Łukasza, a nie na zaczynaniu wszystkiego od nowa. Ciemności za oknem powiedziały jej, że wrócił już pewnie z pracy i znalazł kartkę, a mimo to nie zadzwonił...

A może nie wrócił? – przyszło jej nagle do głowy, gdy przypomniała sobie jego ostatnie późne powroty. Bambi przerwał te rozmyślenia.

– Zbieraj się. Nie chce mi się tu siedzieć. Zimno jest.

Wstała z łóżka i sięgnęła po buty.

– Koc jest sąsiadki...

– Zostaw. Przyjdzie sobie po niego później. Gdzie masz rzeczy?

Wskazała na walizkę w przedpokoju.

– Tylko tyle? – Podniósł ją z podłogi.

– Tak... Napisałam Łukaszowi, że ktoś przyjedzie po resztę moich rzeczy...

– Daj spokój. – Machnął ręką. – A po co Ci te rzeczy? Żeby tam wracać i się denerwować? Kupisz sobie nowe.

Kiwnęła głową i założyła kurtkę.

– To gdzie chcesz jechać? – zapytał, odpalając silnik. – Moje mieszkanie w stanie surowym czy wiejskie klimaty Józefa N.

Zastanowiła się chwilę. Ziutek był kochany i na pewno byłoby jej z nim dobrze, ale znowu byłaby w miejscu przypominającym jej porwanie...

– Wolę do Ciebie – powiedziała w końcu.

– No to jedziemy do Gogola – uśmiechnął się szeroko.

– Jak to?

– Tak to. U mnie nie ma nawet łóżka, śpię na materacu. Poza tym umówiliśmy się, że jak będziesz wołała mnie, to pojedziemy do niego. Niedługo wyjeżdża, a z Ziutkiem jeszcze będziesz mogła się zobaczyć. Masz coś przeciwko tej naszej intrydze?

– Nie – uśmiechnęła się naprawdę szczerze. – Bardzo chętnie zobaczę się z Gogolem.

– Ja też, królewno, ja też.

VIII

Mariusz przywiózł Ewelinę o osiemnastej trzydzieści. Wniósł jej plecak i postawił go w przedpokoju.

– To plecak, a to jego właścicielka. – Wskazał na niewysoką blondynkę w brązowym trenczu. – Muszę ją zostawić nieco bezczelnie, ale moja Elżbieta już tam spazmów dostaje, że na pewno się spóźnimy.

– Nie ma sprawy. – Łukasz uśmiechnął się szeroko. Czuł się naprawdę świetnie. – Jedźcie. Pozdrów Elę.

– A Ty Justynę. – Machnął ręką i zbiegł po schodach.

Łukasz objął spojrzeniem dziewczynę i gestem dłoni wskazał na mieszkanie.

– Wejdz, proszę. Rozgość się.

– Ewelina – powiedziała cicho i podała mu spoconą dłoń w sposób, którego nie znośli. Zamiast uścisnąć tego, z kim się wita, wsunęła mu w dłoń wiotką łapkę, której nie skalał nawet cień skurczu. Pamiętał, że przy poznaniu Justyny to właśnie go ujęło, że witała się dużo bardziej zdecydowanie niż niejeden facet, co od razu nasunęło mu przypuszczenia, że jest kobietą, która wie, czego chce. Na wspomnienie o żonie jednak zignorował to niemiłe pierwsze wrażenie.

Wprowadził Ewelinę do salonu i kazał usiąść na kanapie. Sam zajął miejsce na krześle naprzeciwko niej.

– Mariusz mówił Ci, że to nie na stałe? Nie mamy tu warunków...

– Tak, mówił. – Zarumieniła się. – Jestem w fatalnej sytuacji i naprawdę... naprawdę jestem wdzięczna.

Przyjrzał się jej uważnie i pomyślał, że chyba się starzeje, bo jakoś wcale mu się ta siksa nie spodobała. Nigdy by się do tego nie przyznał, zwłaszcza że miał nadzieję, że zaraz zjawi się ktoś po rzeczy Justyny – najlepiej Gośka – i przekaze jego żonie, jak się sprawy mają.

– Na którym roku jesteś? – zapytał.

– Na pierwszym. – Znowu oblała się rumieńcem.

Irytujące – przemknęło mu przez myśl.

– Na stosunkach międzynarodowych.

– Aha... – tylko tyle był w stanie wykrztusić. – W kwestii spania... Mamy tylko dwa pokoje, to znaczy ten i sypialnię, więc będziesz spać tutaj. Nie szykowałem jeszcze niczego, ale zaraz coś Ci znajdę.

– A pana żona? – Jej zielone oczy zrobiły się wielkie, jakby się czegoś bała.

– Co moja żona?

– Nie ma nic przeciwko, że tu jestem? Ela... okropnie była zła.

– Nie – uśmiechnął się, choć nieco słabo – nie ma nic przeciwko. Zresztą... jakiś czas jej nie będzie.

Choć wydawało się to niemożliwe, oczy Eweliny zrobiły się jeszcze większe. Nic jednak nie powiedziała, tylko przełknęła ślinę i jakby się w sobie skuliła.

Łukasz poszedł do garderoby, bo wydawało mu się, że tam właśnie powinna być pościel i dodatkowa kołdra, ale ich nie znalazł. Stał przez chwilę bezradnie i rozglądał się po półkach. W pewnej chwili jakiś niespodziewany skurcz złapał go niemal we wszystkich mięśniach ciała. W ostatnim momencie powstrzymał się przed zawołaniem:

– Justynka, gdzie jest pościel?

To był odruch, który wyrobił się w ciągu lat wspólnego mieszkania, i w zasadzie go nie dziwił, ale ból, jaki mu sprawił, był większy, niż by sobie tego życzył. Zacisnął szczęki, jakby bał się, że jednak jakieś nieopatrzne słowo wyjdzie z jego ust, i odwrócił się w stronę drzwi. O mało zawału nie dostał na widok stojącej w nich Eweliny. Nie była wysoka, więc musiała mocno zadzierać głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, a spoglądała w sposób dość niejednoznaczny. Poczul w żołądku dziwny ucisk, choć nie wiedział, czy był przyjemny...

– Pomyślałam, że może trzeba w czymś pomóc – mówiła to cichym i słodkim głosikiem, który jego żonę wyprowadzał z równowagi, gdy słyszała go z ust dziewczyn pokroju tej studentki pierwszego roku stosunków międzynarodowych. Dlatego właśnie Łukasz nie zareagował na niego alergicznie.

– Nie, nie trzeba – uśmiechnął się. – Myślałem, że tu jest pościel, ale chyba żona przeniosła ją do sypialni.

Ewelina odpowiedziała uśmiechem, który mógł świadczyć o tym, że osiągnęła jakiś swój, znany tylko jej, cel.

Może jej się podobam i chce mnie uwieść – pomyślał Łukasz, kiedy szedł do sypialni. Dziewczyna sunęła za nim krok w krok, co przyjął z niejaką satysfakcją. To nie on musiał za kimś biegać, nie musiał się wysilać, sama włąziła w jego ramiona...

Bardzo z siebie zadowolony stanął przed komodą, z której wyciągnął wypraną i wyprasowaną pościel. Kołdrę znalazł w dużej pufie obok fotela.

– Poradzisz sobie z tym? – zapytał stojącą bardzo blisko niego Ewelinę.

– Jasne. – Odrzuciła włosy do tyłu zalotnym gestem i wzięła od niego pościel z kołdrą.

W tym momencie zadzwonił domofon. Łukaszowi serce o mało nie stanęło. Złapał się dłonią komody i ciężko oddychał.

– Coś się stało? – zapytała Ewelina z troską.

– Nie... nie. Po prostu się wystraszyłem. – Podniósł dłoń w górę w geście zapewnienia, że wszystko w porządku.

Podszedł na drżących nogach do drzwi. Jego reakcja brała się nie tylko z tego, że cały czas podświadomie czekał na Justynę albo przynajmniej kogoś, kto przyszedł po jej rzeczy, ale była pokłosiem tego niedzielnego poranka, w którym ją porwano. Myślał, że ma to już za sobą, najwyraźniej jednak pomylił się.

– Tak? – Jego głos był niewyraźny.

– Dobry wieczór – usłyszał jakiegoś starszego człowieka. – Ulotki.

– O tej porze? – Poczul wielki zawód i jakieś dziwne ukłucie w sercu.

– A co ma pora do tego? Panie, otwórz pan, bo nikogo nie ma. Obdzwoń wszystkich lokatorów.

Łukaszowi przyszło do głowy, że to mógł być jakiś oszust, jak Ci, co porwali Justynę... ale było mu to obojętne. Poszedł do salonu, gdzie dziewczyna zakładała poszwę na kołdrę. Robiła to tak, jakby nie miała o tej czynności pojęcia. Jeszcze minutę wcześniej biegłby jej pomóc, ale stracił na to jakąkolwiek ochotę. Podreptał do kuchni, nalał wody do czajnika i oparł się o zlew. Widział przez okno, jak człowiek od ulotek wychodzi z klatki i idzie do następnej. Widział też doskonale bramę, która była zamknięta i przez którą nikt nie wchodził ani nie wychodził. Wszystko znowu było szare i mokre, tak jak rano, kiedy się obudził.

Może Gośka przyjdzie jutro? – przeszło mu przez myśl. Potarł palcami brwi, choć miał ochotę dać sobie w pysk. Dotarło do niego, że ciągle czeka i ma

nadzieję, że ktoś się zjawi – może sama Justyna – i zobaczy tę siksę, i poczuje ból. A potem niech sobie idzie...

– Mogę zrobić sobie herbatę? – Ten cichy i słodki głosik jego również już irytował. Widział jej odbicie w szybie, więc nawet nie odwracał się w tamtą stronę.

– Możesz. Rozgość się. – Zrobił ruch ręką w stronę szafek kuchennych.

Kiedy zaczęła się krzątać, wyszedł z kuchni i poszedł do salonu. Chciał włączyć telewizor, ale znalazł na kanapie pościel i odechciało mu się. Poszedł więc do sypialni, wziął jakąś starą gazetę i usiadł w fotelu. Po kwadransie w drzwiach pojawiła się Ewelina.

– Chciałam wyjść – zaczęła nieśmiało.

– Droga wolna – mruknął znad gazety. – Nikt Cię nie będzie tu trzymał.

– Ale mogę późno wrócić, a nie mam kluczy.

– Aha... Klucze są... – zawahał się. Zostawił komplet kluczy Justyny na lodówce, razem z kartką od niej. Wolał, żeby nowa lokatorka jej nie czytała. – Zaraz Ci przyniosę.

Kiedy za Eweliną zamknęły się drzwi, padł na łóżko, ale bynajmniej nie z zamiarem zasypiania. Chciał czekać. Najwyraźniej jednak nie udało mu się ta sztuka, bo o drugiej godzinie obudził go dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Zerwał się na równe nogi, aż zakręciło mu się w głowie. Wszedł do przedpokoju, przecierając zmęczone oczy, które ujrzały lekko przestraszoną Ewelinę.

– Och, nie chciałam Cię obudzić – powiedziała przepraszająco.

Wieczorem mówiła mi na „pan” – skonstatował Łukasz półprzytomnie.

– Nic się nie stało. – Machnął ręką i odwrócił się na pięcie, zostawiając dziewczynę z otwartymi szeroko ustami. Po raz pierwszy, od kiedy tu mieszkał, zamknął za sobą drzwi od sypialni.

IX

– Nie wygląda, żeby chorował... kiedykolwiek. – Justyna podejrzliwie przyglądała się tłuściemu bobasowi na rękach Kaśki Bąk, jednemu z bliźniąt Kostka, które urodziło się tuż po jej porwaniu.

– To jest ten planowany czy ten nadprogramowy? – roześmiał się Bambi.

– Bardzo zabawne. – Kaśka przewróciła oczami z dezaprobatą.

– Mogę go potrzymać? – Justyna wyciągnęła ręce po niemowlaka, którego Kasia podała jej dość chętnie, a nawet z ulgą. – To ma być wcześniak? Gogol, może coś się Wam pomyliło w tym Międzyzylesiu? Wygląda na odchowanego.

– Z taką mleczarnią – Katarzyna wskazała na swoje wielkie piersi – każdy by się odchował.

Kostek podszedł do żony i złożył na jej biuście dwa soczyste pocałunki.

– Moja Matka-Polka – zamruczał z zadowoleniem. – Fajną mam żonę, co, Malinka? – Puścił do Justyny oko.

– Fajną – potwierdziła, kołysząc małego Bączka na kolanach. – Aż się dziwię, że taka fajna babka z Tobą wytrzymuje.

– Ej, bez przesady – oburzył się Kostek, choć widać było, że udaje.

Kasia roześmiała się głośno.

– Ta Wasza Malina dobrze Cię zna. – Objęła Kostka za szyję, co nie było trudne, bo przewyższała go wzrostem, i ucałowała w czoło. – Czemu jej tu wcześniej nie przywiozłeś?

– No właśnie. – Gogol spojrzał wymownie na Justynę. – Czemu nasza droga koleżanka Malina opuściła nas i przez tyle czasu nie odezwała się do przyjaciół? Musieli ją jacyś bandyci porwać, żeby raczyła sobie przypomnieć.

– Albo chłop zostawić – mruknął Bambi.

Justyna poderwała się lekko, aż dziecko na jej rękach spojrzało na nią, zdziwione, swoimi czarnymi jak węgiel oczkami.

– Nie zostawił mnie! – wyszeptała, a jej pierś uniosła się w przyływie emocji. – Ja odeszłam... to znaczy... wyprowadziłam się.

– Dobra, dobra. – Kaśka odepchnęła męża od siebie i podeszła do zmywarki, która skończyła program. – To nie jest temat do żartów.

– Ale żal i tak mamy. – Gogol usiadł przy stole i nalał sobie soku. Wódki nie pili tego wieczora, bo Bambi chciał wracać do Warszawy w nocy. – Po co było się tak kryć z tym, co robiliśmy? Powiedziałaś chłopu i żal mu dupę ścisnął.

– Kostek! – Kaśka odwróciła się gwałtownie od zmywarki.

– No co? Mówię, co widzę. Nie może przeżyć, że żona ma większe jaja niż on.

Bambi zmilczał tę uwagę, ale Justyna знаła go na tyle dobrze, że rozpoznała w jego wzroku pełną aprobatę dla słów Gogola. Też wolała już nic nie mówić. Ze ściśniętym sercem przyglądała się oseskowi w jej ramionach, który najwyraźniej również lubił przyglądać się jej. Miał niecałe półtora miesiąca, a wydawało jej się, że nawiązała z nim jakieś porozumienie.

– Nie mam większych jaj – powiedziała w końcu cicho, nie odrywając wzroku od potomka Gogola.

– Jasne – Kostek prychnął. – Jakbym Cię nie znał, to bym uwierzył. A jak rączka miłego pana Sławka?

Twarz Justyny płonęła.

– Robiłam to, co było trzeba.

– Ale dla Twojego starego byłaś prowincjonalną gęsią, która pracuje w korporacji, a nie komandosem, który ukręca ludziom karki i robi zasadzki na złych policjantów. Moim zdaniem jego zachowanie świadczy o tym, że ma malutkie ego...

Justyna podniosła wzrok i spojrzała na Kostka z gniewem. Zła była jednak nie na niego.

– Co tak na mnie patrzysz? – zapytał spokojnie. – Nie mam racji?

– Masz. – Kiwnęła głową.

– O... widzisz. – Gogol był zdziwiony, tak samo Bambi.

– To jakaś zmiana. – Mrozowski zamrugnął powiekami.

– Nigdy nie mówiłam, że Łukasz nie ma problemów z małym ego... Sama mu to powiedziałam.

– Ale nie sądziłaś, że dotknie to Ciebie. – Kasia usiadła obok męża i przysu-

nęła sobie sok.

– Nie sądziłam – potwierdziła Justyna z pełnymi łez oczami.

Wszyscy zamilkli. Słyszeli tylko głośne tykanie zegara na ścianie i coraz bardziej równy oddech dziecka na rękach Justyny, które nareszcie raczyło zasnąć.

– Cóż robić – westchnęła w końcu Kasia. – Takie życiowe przypadki. Nigdy nie wiemy, co nas czeka, kiedy się z kimś wiążemy.

– No, ale najważniejsze jest to – Kostek podniósł palec w górę i uśmiechnął się najszczęśliwym ze swoich uśmiechów – żebyś stanęła na nogi i była znowu szczęśliwa.

– Mój mąż może nie wygląda na zbyt rozgarniętego, ale czasami ma rację. – Kasia oparła policzek na ramieniu Kostka i też się uśmiechnęła. – Życie toczy się dalej, Justynko, i musisz je przeżyć dobrze. Wszystko jedno: z mężem czy bez niego.

X

Nie chciało mu się wstawać. Leżał w pełni obudzony od szóstej rano i patrzył bezmyślnie w sufit. Spojrzał w lewo na to miejsce, gdzie wczoraj o tej porze spała jego żona. Dziś słyszał stłumione przez zamknięte drzwi sypialni dźwięki dochodzące z kuchni, których sprawczynią była jakaś obca dziewczyna. Jedna doba i wszystko stanęło na głowie.

Podniósł się w końcu i poszedł do łazienki. Kiedy, już ubrany, wszedł do kuchni, zastał na stole przygotowane śniadanie, przy którym krzątała się Ewelina. Zabolało go to. Kto jej pozwolił się tak rządzić? Po chwili przypomniał sobie, że sam jej powiedział, że może się rozgościć...

– Zrobiłam śniadanie – powiedziała do niego, jakby był ślepy i w dodatku głupi. – Pomyślałam, że...

– Nie, dzięki – nie dał jej dokończyć. – Jadę do pracy. Muszę być wcześniej.

Odwrócił się na pięcie, wziął laptopa z salonu i po prostu wyszedł.

W biurze był tylko Lenart, który przywitał go zdziwionym spojrzeniem, ale nie komentował niczego, tylko wrócił do pracy. Łukasz zasiadł przed swoim komputerem i z większą świadomością przeczytał ostatnie wiadomości na poczcie. Przestudiował też dokumentację, która ostatnio urosła na jego biurku i zorientował się, że niewiele brakowało, a zawaliłby jedną sprawę. Do przyjścia wszystkich ludzi był już przygotowany do podjęcia się najtrudniejszego nawet zadania.

Brenner przyglądał się mu podejrzliwie podczas odprawy. Kot miał niewyraźną minę, z której niewiele można było wyczytać. Reszta miała w nosie jego cudowną przemianę, nawet przysypiający jak zwykle przy biurku Kowalski nie był na tyle rozgarnięty, żeby coś dostrzec i powiązać to jeszcze z faktem, że jego rodzona kuzynka mieszka u Meyera. Za to uwadze szefa nie uszła dobra relacja obu panów, którzy z uśmiechami na twarzach poszli do kuchni na poranną kawę.

– Coś wiesz na ten temat? – zapytał Kota w swoim biurze.

– Nie. – Tomek pokręcił głową i lekko się skrzywił.

– Co jest?

– Nie podoba mi się to.

– Dlaczego? – Brenner zmarszczył brwi. Uważał, że najwidoczniej rada, jakiej udzielił Justynie, poskutkowałą.

– Bo go znam. Wcale nie jest lepszy. Jest jeszcze gorszy.

– Kot... – Brenner miał ochotę walnąć mowę na temat nadwrażliwości i czar-nowidztwa, które cechowały jego podwładnego, ale powstrzymał się na widok jego miny. Kotowicz robił ją tylko w poważnych sprawach, ale raczej służbo-wych.

– On zrobił coś złego.

Brenner poczuł, że ma na plecach ciarki.

– Skąd wiesz?

– Znam tę minę. Przyglądałem mu się, kiedy siedział przy komputerze. Sze-fie... znamy się z Meyerem od dawna. On, w odróżnieniu ode mnie, nigdy nie potrafił niczego ukryć. Był prosty do bólu. Co w sercu, to na języku. Ale kilka razy zdarzyło mu się narozrabiać i wtedy miał właśnie tę twarz skurwiela, jaką ma dzisiaj.

– Zaczekaj chwilę. – Brenner drżącą dłonią sięgnął po swój telefon i wybrał numer Justyny. Odezwała się jej poczta. Rzucił komórkę na blat i oparł się o niego łokciami.

Tomek zaniepokoił się.

– Co jest, szefie?

– Nic... – Zerknął w stronę openspace’u. Meyera jeszcze nie było. – Słuchaj, Kotowicz, bardzo jesteś dziś zajęty?

– No... trochę. – Spojrzał na Brennera zdziwiony. – Mówiłem na odprawie, że jadę do aresztu śledczego.

– A, tak. Mam prośbę: przełóż to na późniejszą godzinę i jedź do mieszkania Meyerów. Zobacz, czy Justyna jest w domu i czy wszystko u niej w porządku.

– Ale... – Tomka zatkało. – Co szef...

– Jedź i zrób, co Ci mówię. Tylko nikomu ani słowa.

– Jasne. – Kotowi było nieswojo, bo aż bał się snuć przypuszczenia, o czym może myśleć jego przełożony. – Już jadę.

Kiedy Kot wyszedł, Brenner poderwał się z fotela i zaczął przemierzać swoje biuro od ściany do ściany. Próbował dodzwonić się do Justyny, ale bezskutecznie. Za trzecim razem nagrał się jej na pocztę. Popatrzył przez szklaną ścianę na Meyera, który z zadowoloną miną czytał jakieś akta.

Kiedy zadzwonił Kot, myśli Brennera zajęte były akurat inną sprawą, ale widok jego nazwiska na ekranie komórki spowodował szybsze bicie serca pana inspektora.

– No i?

– Nie ma jej w domu – westchnął Kotowicz ciężko.

– Pytałeś sąsiadów?

– Pytałem jakąś babcię, bo tylko ona była na miejscu, ale nic nie widziała... – Zawiesił głos.

– Co się stało?

– Dzwonię z firmy Justyny. Pomyślałem, żeby tu jej szukać. Rozmawiałem właśnie z Lubickim i jej szefem...

– No to mów!

– Od wczoraj rano nikt jej nie widział ani z nią nie rozmawiał. Słotwiński mówił, że jej komórka nie odpowiada...

XI

Obudziło ją uczucie, że ktoś się jej przygląda. Otworzyła jedno oko i zobaczyła stojącego nad nią chłopca z czarną rozczochraną czupryną. Domyśliła się od razu, że musi to być druga z czterech latorośli Kostka, ten najsłynniejszy jego syn: ośmioletni Kuba, zwany przez własnych rodziców Rozpruwaczem.

Pacholę szybko oddychało, co świadczyło o tym, że przybyło do tego pomieszczenia biegiem. Z nosa wypływał mu wielki gil, którego ów młodzian zasysał co chwila przy pomocy dolnej wargi, budząc u Justyny nieklamane obrzydzenie. Kiedy zerknęła na jego dłonie, ujrzała dwie czarne plamy, jakich nie powstydziliby się najpracowitszy górnik przodkowy, wyrabiający normy co najmniej tysiącprocentowe. Było przed ósmą rano, ale młody człowiek nie wyrażał chęci, by biec do najbliższej jednostki oświatowej nabierać ogłady i zdobywać wiedzę powszechną. Wolał stać nad nią i się jej przyglądać.

Wrażliwy nos Justyny nie był w stanie długo znieść odoru, jaki wydobywał się z paszczy Rozpruwacza, więc zirytowana spojrzała na niego, posyłając mu z oczu dwa pioruny gniewu.

– Spadaj, miągwo! – wyrwało jej się zasłyszane poznańskie przewisko. Brzmiało głupio, ale chłopak na jego dźwięk zrobił wielkie oczy i wcale nie miał ochoty wychodzić, był tylko mocniej zainteresowany. Zauważyła, że jego ślepia były równie duże i czarne co u ojca. – Słyszysz, co mówię? Idź stąd i umyj te śmierdzące zęby, bo Ci zaraz zgniją do reszty.

Zarechotał cicho.

– Kim jesteś? – zapytał i po raz kolejny wciągnął gila do paszczy.

– Ciotką złą czarownicą. I lepiej szybko stąd uciekaj, bo jestem bardzo głodna. Żywię się ośmioletnimi chłopcami, których obracam na ruszcie nad ogniem i słucham ich krzyków. Im głośniej się drą, tym smaczniejsze mięso potem mają.

– Fajnie. – Na jego twarzy malował się nieklamany zachwyt.

– Jeszcze nie jadłam śniadania – rzuciła ostrzeżenie. Mały wypadł z pokoju jak oparzony.

Justyna opadła na poduszkę z zamiarem dłuższego byczenia się. Po pięciu minutach w drzwiach pojawił się Gogol, który udaremnił jej te plany.

– Jesteś zatrudniona – powiedział bez zbędnych wyjaśnień. – Od zaraz.

– Jako kto, przepraszam? – mruknęła spod kołdry.

– Jako opiekunka moich dzieci.

– Zapomnij. – Wystawiła rękę i pokazała mu środkowy palec.

Kostek roześmiał się i podszedł bliżej. Usiadł na skraju łóżka i zmierzwił jej czuprynę.

– Mój syn poszedł myć zęby – powiedział z uśmiechem.

– No i dobrze. Powiedziałam, że mu na pewno zgniją.

– Nie wiem, Malina, czy rozumiesz, co tu się dziś dokonało. – Ton jego głosu był dziwnie podniosły.

Justyna odkryła się gwałtownie i spojrzała na niego zdziwiona.

– Co się stało?

– Mój syn poszedł umyć zęby – powtórzył.

– No i?

– Malina – potrząsnął ją za ramiona – mój syn nie myje zębów, rozumiesz? Nigdy! I nic nie jest w stanie go do tego przekonać.

– Twój syn chyba w ogóle się nie myje. – Przewróciła oczami na wspomnienie małego brudasa. – Widziałeś jego ręce?

– A Ty widziałaś jego nogi?

Justyna spojrzała na niego nieco bardziej przytomnie.

– Macie problem, żeby dziecko umyć?

– No, wyobraź sobie, że mamy z nim wiele problemów. Ten jest akurat najmniejszy. To jak będzie, najmiesz się u nas? – Wyszczrzył zęby.

– Nie najmę. – Pokręciła głową.

– Ale zostaniesz trochę z nami? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Zostanę tyle, ile Ty zostaniesz.

– Jak to?

– Chcę lecieć z Tobą do Afganistanu.

Gogola zatkało. To zdarzało się nieczęsto, więc Justyna wiedziała, że może

mieć problem z przekonaniem go.

– Jak to? – wydukał w końcu.

– Chcę wrócić. – Podniosła się i usiadła na łóżku. – Powiedziałam Krokodylowi, że nie przyjmę jego oferty i nie wrócę, ale... – westchnęła ciężko – zmieniłam zdanie.

Gogol zrobił znaczącą minę, jakby właśnie zrozumiał, w czym rzecz.

– Krokodyl Ci ofertę złożył. Takie buty. – Pokiwał wymownie głową, ale nagle spojrzał na nią podejrzliwie. – Czekaj, czekaj! A kiedy kochany Krokodylek widział się z szacowną panią?

– Był u mnie w mieszkaniu po tej domówce, którą robiliśmy kiedyś w sobotę.

– Jak to: był w mieszkaniu?

– Wszedł sobie o piątej rano, bo Łukasz oczywiście nie zamknął drzwi. Siedział w kuchni i czytał gazetę...

Gogol parsknął śmiechem.

– Twój stary go widział?

– Nie, ale... – Skrzywiła się i odwróciła wzrok.

– Co? Dowiedział się później, tak?

– Nie... Ale kiedy mu opowiedziałam o Afganistanie, jedyne, o co zapytał, to kim jest Krokodyl.

– I potem przestał się do Ciebie odzywać – domyślił się Gogol.

– Tak. – Spojrzała znów na Kostka ze smutkiem.

– A więc jest zazdrosny.

Chciała coś powiedzieć, ale do pokoju weszła Kasia.

– Co się tu dzieje? – Złapała się pod boki i udawała oburzoną. – Jakiś romans?

– Jasne. – Gogol zachichotał. – Jestem samobójcą, który usiłuje się zabić poprzez uwiedzenie Maliny.

Kasia podeszła bliżej i z powagą przyjrzała się twarzy Justyny.

– Co się stało? Wyglądasz nieciekawie.

– Doszliśmy z Malinką do wniosku, że jej stary jest zazdrosny o Krokodyla.

– Ja wcale tak nie powiedziałam – zaprotestowała Justyna, ale zrobiła to w sposób wskazujący na znaczny stopień desperacji.

Kaśka pokręciła głową.

– Oj, dziewczyno... Ten Twój chłop zasługuje na porządne lanie. Dobrze, że go zostawiłaś, musi sobie sporo przemyśleć.

Justyna wcale tak nie uważała, ale już się więcej nie odzywała. Wstała, zgodnie z poleceniem żony Kostka, i w piżamie poszła do kuchni na śniadanie.

Przy dużym stole kuchennym siedziała najstarsza córka Bąków, nosząca imię po matce, ale niestety nie wykazująca z nią pokrewieństwa w kwestii charakteru. Była to ładna dziesięciolatka, z czarnymi, kręconymi włosami, które upięte były w sposób, w jaki raczej nie cheszą się dzieci w jej wieku. Justyna ze zdumieniem zauważyła, że ma pomalowane paznokcie, a jej skóra na twarzy i szyi nosi ślady podkładu do makijażu. Dziewczynka obrzuciła gościa pogardliwym spojrzeniem i wydeła usta w sposób, który powiedział, że widywała już ładniejsze kobiety. Pierwsze, co Justynie przyszło do głowy, to jej mąż, reagujący ciężką alergią skórno-pokarmową na tego typu panny. On, w przeciwieństwie do żony, potrafił szybko uporać się z takimi wybrykami natury, czego świadkiem była chociażby podczas ich spotkania z córkami Lubickich.

Justyna nie zdążyła nic powiedzieć ani usiąść przy stole, bo do kuchni wpadł Rozpruwacz, który podbiegł do niej i stanął naprzeciwko.

– Umyłem. – Podniósł głowę i wyszczerzył zęby, na co jego rodzice zareagowali bardzo udawaną obojętnością, ale Justyna wiedziała, że obserwują scenę w pełnym napięciu. Nawet bliźniaki, umieszczone szeregowo w fotelikach na jednym z blatów, wydawały się zainteresowane.

– Świetnie. – Justyna złapała jego szczęki w palce i wygięła do góry wargi, żeby mieć lepszy widok na umyte siekacze Kuby. – I już niemal Ci nie śmierdzi z pyska.

Uwagę tę młodzieniec przyjął z wyraźnym zadowoleniem.

– To co, zjesz mnie? – zapytał z nadzieją w głosie, na co jego ojciec o mało nie zareagował bardzo głośnym śmiechem.

Justyna nachyliła się nad jego czupryną i powąchała ją.

– Nie.

– Dlaczego? – Nie mogła chłopcu sprawić większego zawodu.

– Bo śmierdzisz. Nie mogę zjeść takiego śmierdziela, dostałabym zatrucia pokarmowego.

– No tak... – Uwaga ta najwyraźniej przemówiła do jego wyobraźni, co naprowadziło Justynę na pewien trop.

– Powiedz mi, Rozpruwaczu, dlaczego się nie myjesz? – zadała to pytanie tonem pozbawionym pretensji, włożyła w nie raczej dużą dozę ciekawości i była

pewna, że chłopak to wychwyci.

– Żeby nie mieć alergii – odpowiedział rzeczowo.

– Aha. – Kiwnęła głową ze zrozumieniem. – A skąd wiesz, że dostaniesz alergii, jeśli się będziesz mył?

– Przeczytałem w „National Geographic”. – Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste. Jego rodzice obdarzyli się nawzajem zdziwionymi spojrzeniami.

– Co tam napisali konkretnie?

– Że nadmierne mycie i sterylność powodują zniszczenie naturalnej odporności na bakterie.

Justynę też nieco zatkało, ale zachowała poważną twarz.

– Więc nie myjesz się wcale, tak?

– Tak. Bo jak dostanę alergii, to nie będę mógł wychodzić na dwór i chodzić po drzewach.

– Bardzo logiczne – musiała przyznać. – Ale Twoja wiedza, mój drogi, jest w tym zakresie niekompletna.

– Jak to? – Zrobił wielkie oczy.

– Wiesz, czym jest zasada złotego środka?

– Wiem. Chodzi o zachowanie równowagi w działaniu... No, żeby nie przegiąć.

Justyna popatrzyła z uznaniem na Kasię i Kostka i zwróciła się znowu w stronę ich syna.

– Nie wydaje Ci się, że nieco przegiąłeś?

Kuba zrobił niepewną minę i podrapał się po głowie. Ku przerażeniu Justyny, zaczęły się z niej sypać różne świństwa. Mogła się założyć, że niektóre były całkiem żywe.

– No... W sumie... mogłem trochę.

– Zgodnie z zasadą złotego środka musisz zbilansować oddziaływanie brudu i środków czystości na Twoje ciało, ponieważ nadmiar tego pierwszego też może zaszkodzić.

– A jak? – Był lekko przerażony.

Justyna roześmiała się.

– Dowiedziałeś się o wpływie nadmiaru higieny na zdrowie, więc o nadmiarze brudu też się możesz sam dowiedzieć.

Pokiwał lekko głową, patrząc gdzieś w dal zamyślonymi oczami.

– To zapytam pani od biologii – obiecał w końcu.

– Masz już biologię? – zdziwiła się Justyna.

– Nie, ale pani mnie lubi i pożycza mi książki.

– Wiedzieliście o tym? – zwróciła się do jego rodziców, którzy jednocześnie pokręcili głowami. Na ich twarzach malował się wyraz niekłamanego uwielbienia wobec jej osoby. – Idź więc, Rozpruwaczu, do szkoły i dowiedz się, czego trzeba.

Okazało się, że Bąkowie mają do pomocy mały sztab ludzi. Teściowa Kostka, siostry Kasi, a nawet jakaś sąsiadka – wszyscy uwijali się, żeby wyprawić niesforne dzieci do szkoły i oporządzić dwójkę najmłodszych. Przy takiej pomocy cały ten dom powinien chodzić jak w zegarku, a jednak coś szwankowało...

– Straciliśmy w pewnym momencie nad tym kontrolę – westchnęła ciężko Kasia, nakładając Kostkowi smażoną kiełbasę z patelni.

– No, ale powiem Ci, że jestem w szoku, jeśli chodzi o tego terrorystę. – Gogol kręcił głową z niedowierzaniem. – On zna więcej słów niż ja.

– Jest nieludzko inteligentny – uśmiechnęła się Justyna. – Zachowuje się tak, bo nie dopasowaliście się do jego poziomu. Potrzebuje chyba więcej bodźców.

– To może jeszcze załatwisz, żeby nie bił innych dzieci? – Gogol spojrzał na nią z nadzieją.

– Musicie go zapytać, jaki ma powód, że je bije. Podejrzewam tu również jakieś ukryte motywy biologiczne – śmiała się Justyna. – Może uważa, że należy tępić jednostki słabsze, żeby zachować równowagę w przyrodzie.

Kasia usiadła za stołem i zaczęła smarować chleb.

– A co mamy zrobić z tą naszą panną? – zapytała z rezygnacją w głosie.

– Nie wiem... – Justynie przeszły ciarki po plecach. – Wyślijcie ją do Łukasza, on sobie szybko radzi z takimi fochami.

– Też masz pomysły. – Kostek popukał się w czoło.

– Albo nie! – Justynie nagle coś przyszło do głowy. – Może wystarczy dowiedzieć się, kim jest jej guru.

– Kto? – Gogol poparzył się herbatą.

– No, taka koleżanka, od której wszystko małpuje. Sama tych paznokci nie wymyśliła.

– A skąd wiesz? – Kasia zmarszczyła czoło.

– Bo Ty nie masz pomalowanych. – Wskazała nożem na dłonie Kasi. –

Dziewczynki w jej wieku potrzebują wzorca. Jeśli nie czerpie go od matki, to pewnie znalazła w kimś innym. Znajdźcie tę cholere, która podsuwa jej „Cosmopolitan” zamiast Ani z Zielonego Wzgórza i przemówcie do rozumu, zanim Wasza córka dostanie okres, bo się Wam rodzina zaraz powiększy.

– Żartujesz? – Gogolowi tym razem nie było do śmiechu.

– Nie żartuję. Mam koleżanki, których dzieci właśnie na studia poszły. Wiem, jak to się zaczęło.

– To może nie pojedę...? – Kostek był wyraźnie w kropce.

– Daj spokój. – Kasia machnęła ręką. – Jakoś damy radę. Justynka w razie czego mi pomoże – uśmiechnęła się przymilnie.

Justyna przygryzła wargę, a Kostek chrząknął znacząco.

– Co? – Kasia spojrzała na nich pytająco. – Co się dzieje?

– Bo widzisz, kochanie – zaczął Kostek z nieszczerym uśmiechem – naszej Malince tak się ta historia z mężem rzuciła na mózg, że postanowiła wyjechać.

– Dokąd? Justyna, gdzie chcesz wyjeżdżać?

– No, powiedz Kasi, jaki masz pomysł. – Gogol spojrzał na Justynę wymownie.

– Chcę jechać z Kostkiem do Afganistanu – powiedziała cicho.

– Zwariowałaś?! – Kasia była przerażona. – A po co, na Boga?

– Krokodyl złożył mi propozycję...

– Przestań! – Kaśka zachnęła się. – Akurat jedziesz, bo Muszyński Cię prosił, też coś. Kostek wystarczająco dużo mi o Tobie opowiedział, żebym się nie nabrała na takie bujdy. Chcesz uciec od męża.

– Już uciekła – zauważył logicznie Kostek.

– Ale ona chce dalej. Wydaje jej się, że jak będzie na wojnie, to zapomni. Nie zapomnisz, Justyna, zapewniam Cię. Będzie tak samo bolało...

– Ależ Ty jesteś subtelna – mruknął Gogol.

Kasia zrozumiała aluzję męża i ugryzła się w język. Żeby ukryć zmieszanie, zaczęła robić sobie kanapki.

– Nie wiesz, co czuję – powiedziała po chwili Justyna. – Nie znasz powodów mojej decyzji...

– Ale to nie znaczy, że mam się nie odzywać. – W Katarzynę wstąpił nowy duch. – Zwróciłaś nam uwagę odnośnie naszego syna, wyraziłaś opinię na temat prawdopodobnych przyczyn jego zachowania, a my to z pokorą przyjęliśmy,

choć każdy inny rodzic pewnie by się obraził. Założyliśmy, że dobrze nam życzysz, i byłabym wdzięczna, gdybyś Ty myślała o nas podobnie.

Kostek przyglądał się swojej żonie z lekkim zdziwieniem, kiedy wygłaszała swoją małą przemowę.

– Ale Ty jesteś mądra, żono – cmoknął z uznaniem.

Justyna uśmiechnęła się i wróciła do konsumpcji śniadania. Bąkowie uznali to za znak, że dyskusja jest zakończona i już więcej nie wracali do tematu.

XII

Brenner z uwagą przyglądał się Łukaszowi, który o godzinie osiemnastej nadal nie wyrażał chęci powrotu do domu. Pracy mieli co prawda dużo, ale nie wymagało to aż takiego poświęcenia. Do Justyny nadal się nie dodzwonił. Rozmawiał za to telefonicznie ze Słotwińskim, który wyglądał na autentycznie przejętego zniknięciem swojej pracownicy.

– Czy pan wie, że Justyna nie była zadowolona z pracy u pana? – zapytał bardzo śledczym tonem Brenner.

– Nie... Wie pan, zmieniliśmy umowę...

– Najwyraźniej to nic nie dało. Rozmawiałem z nią. Oceniała, że jest przez pana i firmę wykorzystywana.

Po drugiej stronie zapanowała krótka cisza.

– Tak... hm... Bardzo jest mi przykro z powodu takiego obrotu spraw. Czy myśli pan, że jej nieobecność i brak odzewu na próby skontaktowania się z nią związane są z tą sytuacją?

– Nie wiem. – Ton głosu inspektora świadczył, że bierze taką ewentualność pod uwagę. – To zależy, czy ma mi pan coś do powiedzenia, na temat jej porwania na przykład. Coś więcej niż powiedział pan w trakcie śledztwa.

Słotwiński przełknął ślinę i chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale Brenner nie dał mu po temu okazji.

– Panie dyrektorze, niech mnie pan posłucha: nie spisał się pan, tyle panu powiem. Proszę nie liczyć, że będę dla pana wyrozumiały, jeśli okaże się, że jednak musimy się spotkać twarzą w twarz. Nie wydaje mi się, żeby Justyna zniknęła przez firmę... nie tym razem. Ale pana zachowanie i zagrywki wobec niej na pewno nie zachęcą jej do ujawnienia się, a już zwłaszcza w więzowcu przy ONZ. Może to pana zdziwi, ale mam o to do pana pretensje. Do widzenia.

Był zły i czuł się bezsilny. Wolał dowiedzieć się, co się dzieje, bez konieczno-

ści rozmawiania z Meyerem. Rozważał nawet kontakt z Mrozowskim, ale to nie wyglądałoby zbyt dobrze. Kiedy zegar na ścianie jego biura pokazał godzinę osiemnastą zero trzy, stanął w swoich szklanych drzwiach i poprosił do siebie Łukasza.

Meyerowi ewidentnie nie było spieszno do szefa. Wszedł jednak do środka i stanął przy biurku. Brenner nie zaproponował mu, żeby usiadł, zauważył za to, że jego podwładny zdradza oznaki poirytowania i ewidentnie były to odczucia skierowane do niego.

– Zapytam wprost: gdzie jest Twoja żona, Meyer? – Oparł się na przedramionach i spojrzał na Łukasza ze spokojem.

– A co to pana obchodzi?

Takiej odpowiedzi się nie spodziewał. Oparł się o fotel i zmarszczył czoło.

– Choćby dlatego mnie obchodzi, że wciąż trwa śledztwo dotyczące jej porwania. Jeśli to do Ciebie nie dociera, to nie rozumiem, co tu robisz.

Meyer odwrócił wzrok i uśmiechnął się ironicznie.

– Te miny są mi niepotrzebne... – zaczął Brenner, ale Łukasz nie pozwolił mu dokończyć.

– Chodzi panu o śledztwo, tak? – W jego oczach było coś, czego Rafał wcześniej nie widział. – A może chodzi o coś innego?

– Na przykład? – Podniósł jedną brew, starając się zachować spokój.

– O to, żeby sobie z moją żoną pogawędzić przy kawce w wolnej chwili.

Brenner poczuł, jakby ktoś odwinął mu z liścia. Bardzo się starał, żeby nikt nie wiedział o spotkaniu w kawiarni, ale pomyślał, że Meyer może mówić ogólnikowo i ma pretensje o coś zupełnie innego.

– A widzisz w tym coś złego? Nie ukrywam, że charakter naszej znajomości uległ zmianie od czasu, kiedy zjawiała się w tym biurze z dowodami obciążającymi porywaczy. To jednak nie powinno Cię niepokoić ani tym bardziej usprawiedliwiać impertynencji.

– Jasne, niech się pan jeszcze zasłania zależnością służbową. Za nią można wszystko schować, prawda? Nawet romans z żoną podwładnego.

– Przesadzasz...

– Oczywiście! – Uniósł ręce i roześmiał się z cynizmem. – Przesadzam. Jakbym był ślepy i nie widział, o co chodzi.

– Meyer, uspokój się, bo to do niczego nie prowadzi...

– Nie uspokoję się – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Chce pan wiedzieć, gdzie jest moja żona? Nie wiem, bo nie mam żony.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, o mało nie rozbijając drzwi. Złapał kurtkę i bez wyłączania komputera wybiegł z biura.

Brenner poczuł, że opuszczają go wszystkie siły. Opadł na fotel i schował twarz w dłoniach.

– Mówiłem: jest gorszy. – Obok jego biurka stał Kotowicz z rękami w kieszeniach i poważną miną na swojej śniadej twarzy.

– Podejrzewa mnie o romans z Justyną. – Brenner podniósł zmęczony wzrok na Kota. – Jest skończonym debilem. Śledztwo w dupie, a ten myśli o takich rzeczach.

Kot kręcił głową i ciężko wzdychał.

– Ale gdzie jest Justyna, nie powiedział? – zapytał cicho.

– Nie. – Brenner oparł głowę o zagłówek fotela i też westchnął z rezygnacją. – Muszę chyba ogłosić poszukiwania.

– Ale nie minęło...

Szef przerwał mu machnięciem ręki.

– Sprawa jest zbyt poważna. Zadzwoń do Rasiaka i uprzedzę go. – Złapał telefon, ale odłożył go zaraz na blat. – Albo zrobię to rano, dla własnego spokoju. Tak czy inaczej dzwoń do Malickiego, niech się bierze do roboty. Pogadam z jego komendantem, poproszę, żeby wpadł tu jutro.

Kot kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

– Coś chciałeś? – zapytał Brenner po chwili.

– Ma pan jakiś pomysł na tego naszego Meyera?

– Tak, mam. Zostawmy go w spokoju.

XIII

Dzień upłynął Justynie bardzo interesująco. Nie miała w zasadzie chwili, żeby myśleć o mężu, bo najpierw absorbowwała ją Kasia i bliźniaki, potem Kuba Rozpruwacz z wieściami przyniesionymi ze szkoły, a w końcu sam Kostek, który zabrał ją do Radomia na zakupy ubraniowe ze szczególnym uwzględnieniem ciepłej bielizny i okularów przeciwsłonecznych. Justyna poprosiła, żeby nie mówił o jej decyzji Krokodylowi, który już siedział w Kabulu. Kostek prośbę tę skomentował jedynie wyrozumiałym uśmiechem.

Kiedy wrócili do domu, Gogol zniknął w swojej sypialni, gdzie stał jedyny w tym domu komputer – małżonkowie uznali, że ich dzieciom wystarczy psot, żeby jeszcze miały wpaść w nałóg internetowy – i uruchomił Skype’a. Po kwadransie zszedł do kuchni i zawołał Justynę.

– Chodź – uśmiechnął się, ciągnąc ją za rękaw. – Ktoś chce z Tobą pogadać.

Na monitorze już z daleka Justyna zobaczyła czarną twarz Jamala, wielkiego Afroamerykanina, który był koordynatorem ich „firmy” w Afganistanie. Wzruszenie odebrało jej mowę i kiedy założyła słuchawki na uszy, przez chwilę nie mogła nic z siebie wydusić.

– Cześć, DeeDee. – Wyszczrzył się całą swoją śnieżnobiałą klawiaturą uzębienia. Też był przejęty, ale radził sobie z tym lepiej niż ona. – Słyszałem nowiny.

Chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Schowała twarz w dłoniach, żeby ukryć łzy.

– Hej, dlaczego zawsze na mój widok płaczesz?

Spojrzała w kamerkę i uśmiechnęła się przez łzy. Jego dźwięczny angielski obudził wspomnienia, które rozgrzały jej serce.

– Hej, B. B. – powiedziała w końcu. – Mogę przyjechać?

– Tak, możesz. – Kiwnął głową, ale obraz nie był płynny, więc jego twarz

przeskakiwała z miejsca na miejsce na małym ekranie. – Tylko nie rozumiem, dlaczego teraz. Masz jakieś problemy?

– A kto ich nie ma?

– To nie jest dobra odpowiedź. – Spowaźniał nieco. – Muszę to wiedzieć, zanim tu przyjedziesz.

Justyna westchnęła, zerkając w stronę drzwi. Kostka nie było, zszedł na dół.

– Powiedziałam wszystkim, że chodzi o męża... Odeszłam od niego.

– Tak – powiedział, co dosłownie zabrzmiało, jak przeciągłe „yeeees”. – Słucham dalej.

– Ale to bardziej złożone. Mąż stanowi problem o tyle, że nie mogę z nim teraz mieszkać. Rozmawiałam jednak z jego szefem i wiem o pewnych kłopotach, jakie policja ma w związku ze śledztwem...

– Jakim śledztwem? – Zmarszczył czoło.

– W sprawie mojego porwania.

– A, tak! Wiem o tym.

– Krokodyl Ci mówił?

– Krokodyl. – Potwierdził znowu ruchem głowy. – No i co z tym śledztwem?

– Za jakiś czas będzie w związku z nim gorąco. Pewne osoby zaczną się bać o swoje stanowiska albo o ujawnienie swojej niezbyt chlubnej przeszłości.

– Rozumiem. Wolisz, żeby nie było Cię w tym czasie w Polsce.

– Tak.

– W porządku. Myślę, że nikt lepiej od nas nie zapewni Ci ukrycia – uśmiechnął się znowu.

– Czyli że mogę przyjechać?

– Zawsze – odpowiedział ciepło. – W zasadzie nie mogłaś lepiej trafić z tą decyzją. Nie wiem, ile Krokodyl Ci powiedział, ale będziesz nam potrzebna.

– Coś mi mówił...

– Ale odmówiłaś – stwierdził.

– Tak... Mówiłeś mu o mnie?

– Nie – roześmiał się. – Sama mu powiesz, jak przyjedziesz. Nie nadążam za Tobą, DeeDee, więc wolę nie zapeszać. Pakuj się i wsiadajcie z Gogolem w samolot.

– Aha... mam jeszcze prośbę...

– Nie powiem o Twoich powodach. Będziemy utrzymywać, że uciekłaś od

męża.

– Dzięki – uśmiechnęła się smutno. – Do zobaczenia.

Zeszła na dół, gdzie panował totalny harmider, jak to w wielodzietnej rodzinie i domu, którego drzwi dla wszystkich stoją otworem.

– No i co? Załatwione? – zapytał Kostek, nie przerywając podrzucania do góry dziewczynki, której Justyna nie widziała wcześniej na oczy.

– Tak, załatwione.

Kaśka zerknęła na nią znad ramienia i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Dalej mówi do Ciebie DeeDee? – Gogol roześmiał się.

– Tak. – Justyna też się uśmiechnęła.

– Dlaczego? – zapytała Kasia, odrywając się od obierania ziemniaków na placki.

– Malinka nazwała Jamala Big Ben, bo jest duży i głośny. Potem sobie skróciła i zaczęła wołać za nim B. B. Jamal nie był zbyt zadowolony z tej ksywki, więc ochrzcił ją DeeDee. I tak chodzili za sobą i wołali: „Hej, DeeDee”, „Hej, B. B. ”.

– Myślałem, że jesteś ciotka zła czarownica. – Kuba pojawił się między nimi znikąd.

– Bo jestem – odparła Justyna ze spokojem. – Ale nie dla dużych czarnych facetów, tylko dla ośmioletnich chłopców.

– Aha. – Rozpruwacz kiwnął ze zrozumieniem głową. – Idę się kąpać.

– O! To bardzo dobrze – Justyna wyraziła swoją aprobatę dla jego decyzji.

– Idziesz ze mną?

Rodzice małego brudasa spojrzeli na niego ze zdumieniem, ale nic nie powiedzieli, wyczekując na dalszy ciąg wydarzeń, jakby się bali, że zapeszą tę cudowną chwilę.

– Pewnie – Justynie po paru sekundach wróciła mowa. – To będzie... prawdziwa przyjemność dla mnie, młody człowieku.

– To dobrze – uśmiechnął się Kuba – bo nie wiem, którym się myje włosy, a którym resztę.

XIV

Pijany w trzy dupy – tak o sobie myślał, kiedy kolejny raz bezskutecznie usiłował wbić swój kod do klatki. Oparł się o ścianę i walczył z grawitacją oraz pawiem, który za wszelką cenę chciał opuścić jego trzewia. W końcu wpadł na pomysł, że otworzy drzwi kluczem, co w jego stanie było równie trudne. Jednak po kilku minutach się udało i rozpoczęła się dla Łukasza mozolna procedura wchodzenia na trzecie piętro.

Kiedy dotarł pod swoje drzwi, chciał nacisnąć na klamkę, ale zamiast niej trafił na nieruchomą gałkę. Zaklął cicho i posłał swojej żonie – pomysłodawczyni tej zmiany – parę gniewnych słów. Musiał znowu sięgnąć po pęk kluczy i w ciemnościach szukać właściwego. Przy próbie z pierwszym z nich usłyszał, że ktoś przekręca zamek z drugiej strony. Był absolutnie pewien, że za chwilę ujrzy w drzwiach Justynę z miną pełną politowania, zamiast tego jednak na progu stanęła młoda dziewczyna w cienkiej koszuli nocnej i w rozpuszczonych włosach. Wyciągnęła w jego stronę swoje chude ramiona i złapała za rękę, którą aktualnie nie trzymał się framugi. Pociągnęła go do środka mieszkania i zamknęła drzwi.

Mimo że alkohol zamroczył go do tego stopnia, że wyleciało mu z głowy, iż Justyna już z nim nie mieszka, to udało mu się być na tyle przytomnym, by stwierdzić, że półnagie dziewczę musiało już kiedyś zajmować się jakimś człowiekiem w stanie upojenia. Wniosek taki nasunął mu się wówczas, gdy objęła go w pasie i zmusiła, żeby oparł się na jej wątłym ciele swoim ciężarem, a następnie zaprowadziła do sypialni i fachowo położyła na łóżku. Kiedy zaczęła go rozbierać, zorientował się również, że nie jest zbyt wstydliva, bo przy zapalonym świetle świetnie widział jej nagie piersi, które niemal wyłaziły spod koszuli podczas pochylania się. W pewnym momencie spojrzała mu w twarz i uchwyciła jego wzrok spoczywający na jej falującym biuście. Uśmiechnęła się

z nutką satysfakcji, na co Łukasz zareagował nagłym przypiływem mdłości. Uniósł ramiona, próbując wstać, ale Ewelina pchnęła go lekko z powrotem na łóżko.

– Przyniosę miskę – powiedziała cicho i wybiegła z sypialni.

Tak, na rzygających facetach też się musiała znać.

Gdy Łukasz już nie rzygał, a dziewczyna już po nim nie sprzątała, wydawało się, że będzie mógł iść spać. Ona jednak najwyraźniej nie zamierzała go zostawić samego.

– Jak chcesz, położę się obok Ciebie – powiedziała, odgarniając włosy z ramion, i usiadła na łóżku w miejscu, na którym zawsze spała Justyna.

– Nie! – Starał się być bardzo stanowczy, choć wielki helikopter, który właśnie leciał pod jego czaszką, skutecznie mu to uniemożliwiał. – Idź do salonu i zamknij za sobą drzwi.

Nic nie odpowiedziała, nie ruszyła się również z miejsca.

– Powiedziałem, żebyś sobie poszła – powtórzył i spojrzał na nią zimnym wzrokiem.

– Dobra. – Wzruszyła ramionami i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

Kiedy podeszła do drzwi, Łukaszowi przypomniało się coś ważnego.

– Czekaj!

Odwróciła się gwałtownie z nadzieją w oczach.

– Był tu ktoś wieczorem?

– Nie – odpowiedziała chłodno i wyszła, trzaskając drzwiami od sypialni.

XV

Nocne telefony nie były rzadkością w domu Brennerów, ale Grażyna zawsze źle na nie reagowała, zwłaszcza pomiędzy drugą a piątą nad ranem.

– Mógłbyś go kiedyś wyłączyć, zanim pójdziemy spać? – mruknęła i przykryła poduszką głowę.

– Dobra, dobra... – Rafał zgarnął telefon i wyszedł szybko z sypialni. Na ekranie wyświetlił się numer Kota. – Co jest?

– Szefie, jesteśmy z Malickim w tym mieszkaniu na Pradze.

– Tak?

– Ktoś tu na pewno był. Weszliśmy do środka bez problemu, a na łóżku w sypialni leżał koc, pod którym ktoś musiał spać całkiem niedawno.

– Mhm. – Brenner pocierał oczy, starając się wszystko dobrze zrozumieć.

– W przedpokoju są ślady błota. Niedużo, ale wyglądają na odciski większego buta, raczej męskiego.

– Czyli że nie Justyna...

– No nie... Tyle że zaczepiliśmy jakiegoś sąsiada z góry, który wracał z pracy, i mówił, że widział w ciągu dnia na klatce kobietę z walizką pod tymi drzwiami.

Brennerowi zrobiło się gorąco. Był już kompletnie rozbudzony i wiedział, że do rana nie zmruży oka.

– Opisał ją?

– Tak. Pasuje do Justyny. Mówił, że płakała...

Brenner westchnął ciężko, zastanawiając się, co może dalej zrobić. Gdyby Kot z Malickim odkryli coś więcej, już by mu powiedzieli.

– Myślę, że trzeba tu przysłać ekipę techników – usłyszał głos Malickiego w tle.

– Nie robiłbym tego – odparł cicho Rafał.

– Dlaczego? – zdziwił się Tomasz.

– Bo znajdą tam również moje odciski i będę musiał się tłumaczyć z czegoś, co zatuszowałem. – Nie mówił tego głośno, ale swoimi śladami się nie przejmował. Gorzej z pozostałymi, którzy tam wówczas byli...

– A co pan tam robił?

– Kotowicz, obudź się! Nie pamiętasz? Przynęta, snajper, wielka akcja łapania porywaczy...

– Aaa! Racja. – Tomek skrzywił się i pokręcił głową, dając znak Michałowi, że szef się nie zgadza na techników.

– Kot – Brennerowi zaświtała nagle jakaś myśl – jeśli Justyna tam była, to ślady męskiego buta mogą świadczyć o tym, że ktoś po nią przyszedł.

– Chyba nie myśli pan, że Łukasz.

– Nie... Mam pewne przypuszczenia... to znaczy mam nadzieję, że te przypuszczenia są słuszne i nie przyszedł po nią ktoś inny.

– To co robimy?

– Jedźcie do domu i odpocznijcie. Ja się tym zajmę. W razie czego będę Was ścigał z powrotem.

– OK. – Kotowi nagle bardzo zachciało się spać. Spojrzał na Malickiego i wskazał na drzwi wejściowe. Michał skinął głową na znak, że rozumie, zgasił światło w sypialni i wyszedł z mieszkania.

Brenner zastanawiał się przez chwilę nad tym, co chciał zrobić. Bardzo było mu to nie w smak, ale ostatecznie wygrała troska o Justynę. Autentycznie bał się, że mogło przydarzyć się jej coś złego.

Bambi odebrał po dwóch sygnałach. Rafał zorientował się, że jeszcze nie spał.

– Cześć – głos Mrozowskiego wyrażał niezadowolenie, ale trudno było powiedzieć, czy spowodował to telefon o tak późnej porze. – Jestem zaszczycony.

– Cześć. Słuchaj... nie będę owijał w bawełnę. Czy to Ty byłeś dziś po południu w mieszkaniu na Pradze po Justynę?

Bambi nie odpowiedział od razu. Był bardzo zaskoczony.

– A skąd Ty o tym wiesz? – Wyprostował się na swoim materacu i wyłączył telewizor.

– Na mojej legitymacji nie jest napisane, że pracuję w pogotowiu czy straży pożarnej... Podatnik płaci mi za to, żebym wiedział takie rzeczy.

Bambi roześmiał się.

– Szukacie jej?

– Szukamy. I zaczynamy się coraz bardziej niepokoić.

– Ale jej stary chyba nie za bardzo, co?

Brennerowi zapaliła się w mózgu lampka ostrzegawcza na te słowa, ale nie chciał okazać po sobie cienia zaniepokojenia.

– Jej „stary” to nie jedyny człowiek na tej planecie, który musi się martwić o Justynę Meyer... czy nawet Dąbek. Wiesz coś na ten temat?

– Tak – spoważniał. – To ja po nią byłem. Nienacki dzwonił, że się pojawiła i jest w złym stanie, to ją stamtąd zabrałem.

Rafał poczuł, jak wielki ciężar spada mu z pleców.

– Dobrze – westchnął cicho. – Jest z tobą?

– Nie. Wywiozłem ją na wieś.

– Do Nienackiego?

– Nie, do innego kolegi. Z tego, co mi wiadomo, zajęła się jego dziećmi i całym nieźle sobie z nimi radzi.

– Ale jest bezpieczna?

– Tak. – Teraz to Bambi poczuł lekki niepokój. – A coś jej grozi? Myślałem, że chodzi tylko o jej chłopca.

– Nie, nie tylko – powiedział cicho Brenner. – Mam prośbę: na ile to możliwe, staraj się ją tam przetrzymać jak najdłużej, jeśli... to naprawdę bezpieczne miejsce.

– Dobra. – Tomek zmarszczył brwi. – Mogę jakoś Ci pomóc?

– Nie – Rafał roześmiał się cicho. – Ale w razie czego będę wołał.

– Słuchaj... Rafał, gdyby naprawdę było źle, mów od razu. Wiesz, że będę umiał znaleźć sposób, żeby ją ukryć.

Brenner chciał rzucić komentarz na temat gór w Afganistanie, ale ugryzł się w język.

– Nie panikujmy na razie – starał się mówić bardzo spokojnym tonem. – Skoro jest w dobrych rękach i ma zajęcie, to niech tak zostanie. My tu musimy zająć się tym cholernym śledztwem i wolałbym nie mieć jeszcze na głowie jej bezpieczeństwa.

– Rozumiem. – Bambi opadł znowu na poduszki. Spojrzał na zegar i wyliczył, że w Kabulu jest prawie szósta rano. Jeszcze godzinka i będzie można pogadać z Krokodylem...

– Tak czy inaczej, dzięki za tę wiadomość – przerwał mu rozważania Brenner.
– Kamień spadł mi z serca.

– Nie ma sprawy, zawsze do usług.

– To na razie.

– No, cześć...

Brenner nie był zadowolony z tego, że musiał tak załatwić tę sprawę. Usiadł w kuchni przy stole i w ciemnościach zastanawiał się, jak ma do niej podejść w następnych posunięciach. W drzwiach pojawiła się Grażyna.

– Co się dzieje? – Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Nic. Idź spać.

Nie posłuchała go, tylko mocniej zawiązała szlafrok i usiadła obok niego.

– Widzę, że to „nic” jest czymś poważnym.

– Jest, ale Ty mi raczej nie pomożesz...

– Ale mogę Cię chyba wysłuchać, co? – W jej głosie słychać było lekką pretensję. – Interesują mnie Twoje sprawy.

Rafał westchnął i ścisnął lekko chłodną dłoń Grażyny.

– Wiem... Chodzi o to, że trochę za bardzo skomplikowało nam się pewne śledztwo. Od początku było trudne, ale teraz po prostu...

– Chodzi o żonę Meyera? – Oparła brodę o jego ramię i przyglądała mu się w ciemnościach.

– Tak... – zawahał się. – Skąd wiesz?

– Bo widzę.

– Co widzisz? – Zrobiło mu się duszno.

– Jak się zachowujesz, kiedy o niej mówisz.

– O kim? O Justynie?

– No właśnie...

– Nie rozumiem.

– Eh... – Oderwała głowę od jego ramienia i westchnęła ciężko. – Znam Cię na tyle dobrze, że zawsze wiem, kiedy ktoś Ci zawróci w głowie.

– Co Ty opowiadasz?! Jakie „zawróci”?

– To, że jesteśmy małżeństwem, nie oznacza, że nie działają na Ciebie inne kobiety. Byłoby dziwne, gdyby było inaczej... Widzę ten błysk w oku, gdy o niej mówisz. Wolę nie wiedzieć, co się dzieje, gdy z nią rozmawiasz.

Rafał poczuł, że oblewa go rumieniec. Mimo że żona mówiła rzeczy, których

normalnie by się wyparł, nie umiał w tej chwili zaprzeczyć jej słowom.

– Nigdy... do niczego... – zacukał się.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką. – Przecież nie mam pretensji.

– Ale jest Ci przykro – powiedział cicho.

– Oczywiście – słyszał, że się uśmiechnęła. – Jestem jednak za stara, żeby robić aferę o takie rzeczy. Zresztą... gdybyś nawet się zakochał i chciał odejść, nie zatrzymywałabym Cię.

– Jak to?

– Bo skoro nie chciałbyś ze mną być, to po co się poniżać?

– Wiesz co, niepokoi mnie trochę to, co mówisz.

– Dlaczego?

– Justyna odeszła od Łukasza.

Przez chwilę Grażyna nic nie mówiła. Nie widział dokładnie jej twarzy, więc nie mógł ocenić, jakie zrobiło to na niej wrażenie.

– Odeszła... do kogoś?

– Nie. Odeszła przez kogoś. Przez Meyera.

– Żartujesz? – Teraz na pewno patrzyła na niego wielkimi ze zdziwienia oczami.

– Niestety... Odbiło mu do reszty. Zrobił jej w domu małe piekło przez ostatnie dni. A... szkoda gadać.

– Ale dlaczego?

– W zasadzie nie do końca to rozumiem. Opowiedziała mu o swojej przeszłości... o tym, jak... hm... walczyła w Afganistanie.

– W czym? – To było rozbawienie pomieszane z niedowierzaniem.

– Była w takim prywatnym wojsku. Wiele na ten temat nie wiem, ale jej mąż najwyraźniej nie był w stanie unieść ciężaru takich wiadomości. Poza tym...

– Tak?

– Podejrzewa, że mam z nią romans.

Grażyna parsknęła śmiechem.

– To nie jest zabawne. Uważam, że powinien się leczyć.

– Oj, kochanie... – Pogłaskała go po głowie. – Na zazdrość nie ma lekarstwa. Ale jaja! – rechotała w najlepsze.

Brennerowi udzielił się w końcu jej śmiech i po chwili pokładali się oboje.

– A dlaczego Ty uważasz, że to jest śmieszne, co? – zapytał, szczypiąc ją

w bok. – Myślisz, że nie mógłbym się podobać innym kobietom?

– Oczywiście, że mógłbyś... niektórym. Ale na pewno nie jakiejś byłej pani żołnierce, która uciekła porywaczom i walczyła w Afganistanie. Takie kobiety potrzebują świeżej krwi, młodego ciała, a nie starego zgreda.

– Świnia jesteś, wiesz – śmiał się, dalej ją podszczypując.

– Dobra, poddaję się! – Nie mogła złapać tchu. – Jesteś boskim macho i żadna Ci się nie oprze. No to co z tymi Meyerami?

– W sumie to chyba przeze mnie to wszystko.

– Jak to? To masz z nią ten romans czy nie?

– Daj spokój, mam przede wszystkim wielkiego kaca. To ja jej poradziłem, żeby powiedziała mu o Afganistanie, a potem, jak już się okazało, że wcale dobrze tego nie przyjął, żeby zrobiła to, co sama czuje...

– O, matko... – Grażyna zasłoniła dłonią oczy. – Brenner, Ty to jesteś akurat idealnym doradcą dla takich przypadków. Poczula, że chce odejść, i odeszła, tak?

– Nie inaczej.

– I gdzie ona teraz jest?

– U jakiegoś kolegi na wsi. Podejrzewam, że to jeden z tych jej... kompanów z wojny.

– A Meyer?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – On akurat nie jest teraz moim największym zmartwieniem.

– A co?

– Te zwłoki spod Kościana.

– Te spalone? – szepnęła.

– Tak... Przyszły wreszcie wyniki DNA. Nie wiemy, czyje to ciało, ale wiemy, że to nie Justyna... to znaczy... już wszyscy się teraz o tym dowiedzą.

XVI

Nic nie zapowiadało, że ten dzień może być udany. Obudził się wcześniej, długo przed świtem, i już nie mógł zasnąć. Bolały go zęby.

Stare Krokodyle tak widocznie mają – myślał, kręcąc w ciemnościach szczęką. Nic złego tam się nie działo. Kiedy był w Warszawie, odwiedził jakiegoś konowala, bardzo drogiego w dodatku, i kazał zrobić sobie przegląd z wykonaniem koniecznych napraw. Nienawidził tego, bo na fotelu dentystycznym był całkowicie bezbronny. Rozdziawiona szczęką, śliniak pod brodą, światło w oczy jak na przesłuchaniu... I jeszcze musiał za to płacić. Ale chodził, bo nie było wyjścia, tyle jeszcze rozumiał.

Zęby go jednak bolały i już. Za dzień lub dwa pewnie spadnie śnieg, a może i chwyci większy mróz. Jego uzębienie stało się zwykłą stacją meteo, podobnie jak wszystkie inne kontuzjowane części ciała, czyli jakieś jego dziewięćdziesiąt procent.

O szóstej przyszedł SMS. Bambi pisał, żeby włączył Skype'a, jak tylko wstanie. Więc wstał od razu i uruchomił laptopa, ale Bambiego wcale nie było.

„Co jest? Włączaj się, fagasio” – wysłał mu motywującą odpowiedź.

– Cześć! – wyszczerzył się Mrozowski. – Myślałem, że śpisz.

– Czego chcesz?

– Niczego. – Wzruszył ramionami, nie przestając się uśmiechać. – Chciałem Ci tylko o czymś powiedzieć.

– Aha... – Przyłożył dłoń do żuchwy i pomasaował ją lekko.

– Długo będziesz w Kabulu?

– Długo – mruknął, nie przerywając masażu. – Mówiłem Ci, że mamy tu dużo pracy w grudniu.

– No tak...

– Weź nie pierdol! – Krokodyl zdenerwował się w końcu na dobre. – Mów,

jaki masz problem i spadaj.

– Malina odeszła od starego.

– Co? – Poprawił słuchawki na głowie i wyprostował komputer, choć wcale nie stał krzywo. – Jak to: odeszła? Kiedy?

– Dwa dni temu.

– Dlaczego?

– Mmm... jakby to powiedzieć? Nie spodobało mu się to, co powiedziała o naszym pobycie tam, gdzie teraz jesteś.

– Pitolisz! – Jego twarz nie wyrażała wielu emocji, w przeciwieństwie do wewnętrżności, które zaczęły szaleć, powodując zgagę i ból w dołku.

– Nie pitolę, tylko mówię prawdę. Dała nogę i zadekowała się w tym mieszkaniu na Pradze... niedaleko Targowej.

– Tak, wiem... No i?

– Ziutek zadzwonił do mnie i zabrałem ją do Gogola na wieś. Podobno resocjalizuje mu dzieci i zaprzyjaźnia się z jego żoną.

Krokodyl uśmiechnął się kątem ust, ale Bambi nawet tego nie zauważył.

– Uciekła... – powiedział cicho, raczej do siebie.

– Co mówisz?

– Twierdzisz, że uciekła?

– No tak... Miała przy sobie małą walizeczkę i tylko to, co na grzbiecie. Wyszła z domu, jak starego nie było. Moim zdaniem to ucieczka. A co?

Krokodyl westchnął ciężko, ale mogło to w jego przypadku oznaczać dosłownie wszystko.

– Zgodnie z jej zeznaniem, ten cały Łukasz jest chodzącym ideałem i nie sądzę, żeby przesadzała. Zawsze chciała mieć takiego świętego... Jeśli od niego uciekła, to musiało być coś grubego.

– Co masz na myśli? – Bambi zmarszczył brwi.

– Że zrobił jej krzywdę.

– Eee... chyba nie. – Tomek odsunął się od ekranu. – Coś wspominała, że był niemiły, nie odzywał się, późno wracał... Ale chyba raczej jej nie łał.

– Bambi, Ty to jesteś pierdoła jednak, wiesz?

– A Ty się ciesz, że jesteś daleko. – Pogroził pięścią do kamerki.

– Nie znasz Maliny? Dla Ciebie to głupoty, dla niej koniec świata. Jej rycerz na białym koniu okazał się takim samym skurwielem jak my... – Gdy to mówił,

jego własny świat nabierał kolorów i blasku. – Marzenia o sielance skończyły się.

– Nie wiem... – Bambi przyknuł jedno oko w geście powątpiewania. – Jak dla mnie to przesadzona reakcja.

– Oczywiście, że przesadzona – uśmiechnął się Krokodyl. – Ale właśnie bardzo w jej stylu. Nie umie stanąć do konfrontacji.

– Malina!? To Ty chyba jej nie znasz. Nie znam nikogo, kto równie dobrze konfrontuje się z innymi.

– Ale nie z tymi, na których jej zależy – zripostował szybciej niż by sobie tego życzył.

– Może i racja – odparł po dłuższej chwili Bambi. – Tylko że ten jej ślubny to chyba szczególnie za nią nie tęskni.

– Czemu? – Obojętność tonu nie korespondowała z emocjami.

– A... bo szlaja się po barach, wraca do domu nawalony jak autobus, a w domku... czeka inna. – Rozłożył ręce, jakby w geście bezradności wobec tak miażdżących faktów.

– A Ty skąd o tym wiesz? – Oczy Krokodyla zaświeciły się jak dwie lampy.

– Widziałem.

– Nie mów, że go śledziłeś? – roześmiał się nerwowo.

– Śledziłem. – Kiwnął głową Bambi i spoważniał nagle. – Jak wróciłem z Radomia, pojechałem się trochę rozejrzeć u nich. Też uznałem, że to gruba afera i wolałem sam się przekonać, w czym rzecz. Wiesz... jak ostatnio ktoś Malinie dopiekł, to w lodówce wyładował z ukreconym karkiem. Ale okazało się, że panu mężowi nic nie jest i że znalazł sobie sposób, żeby się pocieszyć.

Krokodyl prychnął i pokręcił głową.

– Widziałem na balkonie jakąś dupę – kontynuował Bambi. – Połowę młodsza od Maliny. Zima za pasem, a ta prawie goła biegała z papieroskiem w dłoni. Mężulek wrócił po północy, to znaczy wtoczył się jak towarowy na bocznice i ledwo drzwi otworzył. Potem jeszcze światła w mieszkaniu chwilę się świeciły i... zgasły.

– Mówiłeś jej?

– Coś Ty! – Machnął rękami. – Ja tego nie biorę na siebie. Ale to nie koniec tej opowieści, mój drogi.

– No... – Krokodyl nabrał powietrza.

– Po drugiej dzwonił do mnie szefunio pana męża.

– Brenner?

– Tak. I zapytał, czy to ja zabrałem Justynę z Pragi – roześmiał się. – Rozumiesz to? Ten stary pies już to wiedział.

– A po co mu to wiedzieć?

– Szukali jej.

– Kto?

– No nie mąż przecież. – Bambi puknął się w czoło. – Brenner i jego swołocz. Wypytywał, czy jest bezpieczna i takie tam. Zapewniłem, że owszem i że jakby co, to ja pomogę...

Krokodyłowi wydawało się przez moment, że to piękny sen i że pewnie zaraz się skończy. Skoro policja niepokoi się o jej bezpieczeństwo, to znaczy, że będzie szansa, żeby ją ściągnąć do Kabulu. Trzeba tylko Brzezińskiego do tego przekonać.

– Mówił, czy coś jej grozi? – zapytał swoim bezbarwnym głosem.

– Hm... nie. Ale wiem, że coś ukrywa. Nie dzwoniłby do mnie o drugiej.

– No tak... – Krokodyl zamyślił się na moment. – Bambi, mógłbyś to sprawdzić?

– Oczywiście – uśmiechnął się. – Miałem nadzieję, że zapytasz.

– Tak? A ile za to chcesz?

– Oj tam... – Puścił oko. – Kiedyś coś mi tam odpalisz. Grunt, że ciekawie będzie. Strasznie tu w tej wsi nudno, Krokodylku.

Kiedy wyłączył komputer, położył się znowu na łóżku. Zęby już go nie bolały, nic go nie bolało. Pragnienie, żeby ją tu ściągnąć, zawładnęło nim jak jakaś obsesja. To naprawdę było do zrobienia, trzeba było tylko dobrze rozegrać tę partię. Już dawno nie czuł w sobie takiej chęci do działania... do życia.

Wszystko może być inaczej – uśmiechnął się do siebie.

XVII

Miał znowu to samo: nie chciało mu się wstawać. Nie chciało mu się żyć. Coś mu ten stan przypominał, ale nie potrafił dogrzebać się w mózgu do odpowiedniej szufladki, która odpowiedziałaby mu na pytanie, co to jest. Musiał naprawdę dużo wypić, bo ciągle jeszcze nie miał kaca, ale już był dużo bardziej świadom rzeczywistości. Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby zadzwonić do Brennera i poprosić o urlop na żądanie, jednak gdy usłyszał odgłosy włączonego telewizora na kanale muzycznym w salonie, myśl ta zaraz wyparowała. Stoczył się powoli z łóżka i spróbował podnieść. Nie było to łatwe, zwłaszcza że koszmarnie bolał go żołądek. Po paru minutach ciśnienie wyrównało się i mógł stanąć na prostych nogach. Rozpoczął marsz katorżnika do łazienki.

Kiedy znalazł się w przedpokoju, z salonu wyszła Ewelina z przestraszoną miną. Już wiedział, że udaje. O, jak bardzo żałował, że nie ma zdolności Justyny do szybkiego rozszyfrowywania ludzi – byłby tego świadom już w chwili, gdy znalazła się na progu ich mieszkania.

– Zrobić Ci kawy? – zapytała piskliwym głosikiem, chowając się nieco za framugą. Była ubrana po szyję i wyjątkowo miała związane włosy.

Nie odpowiedział. Miał chęć przyłożyć jej w dupsko jak rozwydrzonemu bachorowi. Wszedł jednak do łazienki i przekręcił klucz. Kwadrans pod prysznicem niewiele mu pomógł, podobnie jak herbata, którą zrobił sobie sam. Spojrzał na zegar. Była prawie dziewiąta, ale nikt nie domagał się jego przybycia do pracy. Zagęścił jednak ruchy i parę chwil później był już gotowy do wyjścia. Gdy ubierał kurtkę, zdał sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie prowadzić, wezwał więc taksówkę.

– O której wrócisz? – zapytała dziewczyna, która ani na sekundę nie oderwała od niego wzroku.

– Kiedy Ciebie już tu nie będzie.

- To znaczy? – szepnęła.
- Musisz znaleźć sobie coś innego. Dzisiaj.
- Ale...

Podniósł dłoń i przymknął oczy, jakby jej słowa sprawiały mu ból.

– Żadnych wymówek. Masz się wyprowadzić. Nie będę rozmawiał o tym z Mariuszem, bo jesteś dość duża, żeby znaleźć sobie coś samodzielnie. Cycki Ci urosły, to znaczy, że mózg też wreszcie powinien.

Otworzyła szeroko usta, ale nie była w stanie niczego powiedzieć. Zobaczył wtedy, że tak naprawdę ciągle jest dzieckiem i jeszcze długo nim pozostanie. Nie była też wcale taka ładna, jak to opowiadał Kowalski, miała po prostu dużo uroku, którym może pochwalić się większość dziewczyn w jej wieku. I już wiedział, dlaczego Ela tak źle na nią reagowała...

W drodze do taksówki zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że nie wyrzucił jej od razu i nie zabrał kluczy, ale już nie było czasu, żeby teraz to naprawiać. Bardziej powinien niepokoić go fakt spóźnienia do pracy, które na pewno zwiększy się, gdy utknie w jakimś korku.

W biurze zrozumiał, że jest już po odprawie, ale jakoś nikt nie wyrывał się, żeby robić mu wyrzuty. Lenart nawet nie podniósł głowy znad komputera, Mzygłód gadał z kimś przez telefon, a Brenner spokojnie siedział sobie przy swoim biurku i zaszczyił go jedynie przelotnym spojrzeniem. Nie szedł jednak do niego, bo jechało mu z pyska jak z gorzelnii. Złapał kubek i poszedł do kuchni. Przy ekspresie zastał Kota z Malickim.

– Michał?! – W pierwszym odruchu wydawało mu się, że ma zwidy alkoholowe.

- Cześć. – Malicki spojrzał na niego z poważną miną.
- Co tu robisz?
- Jestem w sekcji poszukiwań, prawda?
- No tak... ale... kogo szukasz? – uśmiechnął się niepewnie Łukasz.
- Twojej żony.

Meyer nie był w stanie nic powiedzieć. Klapnął na krzesło i patrzył na kolegów z głupią miną.

- Jestem pijany – szepnął w końcu.
- Widzę. – Malicki kiwnął głową i podparł się pod boki.
- Dlaczego nie wzięłeś wolnego? – Pytanie padło od strony drzwi, w których

stał Brenner.

Łukasz spojrzał na niego, mrugając powiekami, bo nagle zaczęły go bardzo szczypać oczy, dalej jednak nie był w stanie nic z siebie wydusić.

– Jedź do siebie i doprowadź się do porządku – zarządził spokojnie szef. W jego głosie nie było nawet słysząc tego zimnego tonu, którym raczył swoich krnąbrnych podwładnych.

– Ale szukacie... – Wskazał bezradnie na Malickiego.

– Poradzimy sobie. Ty się nam na pewno teraz nie przydasz.

– To moja żona...

– Doprawdy? – Brenner uśmiechnął się smutno. – Wczoraj słyszałem co innego, a teraz jesteś napruty jak stado świń, więc nie wiem, czy mogę wierzyć bardziej Tobie dzisiaj, czy tej trzeźwej wersji Ciebie. Zbieraj się.

Inspektor miał zamiar odwrócić się na pięcie i wyjść, kiedy na korytarz wpadł zdyszany Kowalski. Minął się z Brennerem, nawet nie zwracając na niego uwagi, i dopadł do Łukasza.

– Czy Ciebie do reszty popierdoliło?! – rozdarł się mu nad uchem.

– Co jest... – Kot próbował go uspokajać, ale Mariusz jego również zignorował.

– Ładnie to sobie wymyśliłeś: sprowadzić pod dach dziewczynę, żeby Ci dobrze robiła, kiedy żony nie ma.

– Co Ty opowiadasz? – Brenner był zdezorientowany.

Kowalski odwrócił się w stronę szefa z ogniem w oczach.

– Chce pan wiedzieć, co zrobił? Mogę powiedzieć.

Łukasz miał zamiar zaprotestować, ale go zemdliło. Przez kilka dobrych chwil był pewien, że obdarzy pawiem Kowalskiego, który w tym czasie zdawał relację z tego, co się stało.

– Zaproponował, że przechowa u siebie moją kuzynkę, którą wywalili ze stacji. Jeszcze się pytałem, czy Justynie nie będzie to przeszkadzać. Odpowiedział, że nie, skądże, mojej żonie na pewno nie będzie... Śmiał się w dodatku, jakby go to bawiło. A ja się dziś dowiaduję od mojej ciotki, że się Ewelina chwaliła koleżance, jak to złowiła jakiegoś faceta w Warszawie, którego żona zostawiła, i ona teraz będzie z nim mieszkać, i będzie jego kobietą...

Choć to było zupełnie irracjonalne, Łukaszowi zachciało się śmiać. Nagle cała sytuacja wydała mu się tak absurdalna, że niemal nierzeczywista.

– A nie chwaliła się, że ją dziś wywaliłem z mieszkania? – powiedział z uśmiechem, którego wcale nie chciał.

– Meyer, jak Ci zaraz przy... – Mariusz ruszył z rękami w jego stronę, ale Malicki z Kotem byli szybsi.

Łukasz nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Kowalski bawił go dodatkowo z tymi latającymi przed jego twarzą rękami.

– Co Cię tak cieszy, skurwielu jeden? – syczał, próbując wydobyć się z krępujących rąk kolegów.

– Ty, Kowalski.

– Meyer! – Brenner zrobił groźną minę, ale tak naprawdę był bardziej zaintrygowany tą sceną.

– Poznałem tę Twoją Ewelinę. Niezła z niej szmata, powiem Ci. – Meyer był całkiem spokojny, bo też było mu obojętne, czy dostanie po mordzie, czy nie. Wszystko mu w tym momencie zwisało. – Biegała z gołymi cyckami przed moją twarzą. Wczoraj chciała kłaść się ze mną do łóżka. Już rozumiem, czemu Elżbieta jej nienawidzi.

Kowalski wykorzystał moment, w którym Malicki z Kotem w wielkim zdumieniu osłabili uścisk, i rzucił się w stronę Łukasza, obdarowując go bardzo niedoskonałym prawym prostym, trafiając w kość policzkową, tuż pod lewym okiem. Głowa Meyera odskoczyła do tyłu i uderzyła o ścianę.

– Kowalski! – Teraz sam szef postanowił interweniować. Odciągnął lekko przestraszonego swoim czynem Mariusza i podszedł do Meyera. – To prawda, co on mówi? – Nachylił się nad nim.

– Prawda. – Kiwnął głową, a głupawy uśmiech znowu zagościł na jego twarzy. – Jego kuzynka jest szmatą, a on jest zazdrosny.

– Nie jestem... – Mariusz nie zdołał przesunąć się nawet o milimetr, bo zatrzymał go mur utworzony z ramion Michała i Tomka.

– Jesteś, jesteś. – Meyer machnął ręką w jego stronę. – Powinienem być się od razu zorientować. Na pewno ją bzyknąłeś, bo wcale nie jest taka ładna, jak to tutaj opowiadałeś.

Brenner zerknął znad ramienia na Mariusza, który oblał się szkarłatnym rumieńcem. Wiele kosztowało pana inspektora, żeby się nie roześmiać. Spojrzał znowu na Łukasza i od razu spoważniał. Meyer był bledszy od ściany za jego głową, a na ustach pojawiła się krew – najwyraźniej musiał sobie przygryźć

również język. Nie można było nawiązać z nim kontaktu wzrokowego, bo oczy nie zdradzały oznak życia. W ostatniej chwili zdołał go złapać, zanim upadł na podłogę.

Ponieważ pan komisarz Łukasz Meyer znajdował się w stanie upojenia alkoholowego, nie wezwano pogotowia. Koledzy, razem z Kowalskim, przenieśli go do pokoju narad, w którym stała dwuosobowa kanapa. Chwilę trwało, nim go docucili. Kiedy otworzył oczy, jego twarz już się nie śmiała – wyrażała nieopisany ból. Brenner kazał zgasić światło i nachylił się nad nim.

– Słyszysz mnie, opoju jeden?

– Pić... – Ledwo poruszał wargami.

– No ja myślę – mruknął Brenner. Wyszedł z pokoju i zderzył się z Kotem. – Daj mu wody. Może ma więcej szczęścia niż rozumu i nie będzie wstrząsu mózgu.

– Szefie – Kot nawet nie drgnął – utrzymujemy, że szukamy Justyny?

– A wiesz, gdzie ona jest?

– Nie.

– To utrzymujemy. I daj mu tej wody.

W biurze Brennera siedział gość.

– Panie Słomkowski – Rafał uśmiechnął się szeroko i zamknął drzwi – czyżby znowu ktoś u nas zdradzał?

Marcin podniósł się i nieco zarumienił. Wyglądał dzięki temu jeszcze młodziej.

– Yyy... nie... wróciłem, bo chciałem wrócić.

Brenner zmarszczył brwi.

– Cholera! Czy pan też się nawalił?

– Nie. – Pokręcił energicznie głową Słomkowski. – A czemu? Kto się nawalił?

– Nieważne. – Machnął ręką. – Co to znaczy, że chce pan wrócić?

– No... chciałbym tu pracować.

– Aaa... – Brenner oparł się o fotel. – Dobrze, ja nie widzę przeciwwskazań. Ten nawalony – wskazał ręką w stronę openspace’u – bardzo pana chwalił. Nie wiem tylko, co na to Rasiak...

– Powiedział, że jak pan się zgodzi, to mogę pracować – odparł szybko, jakby bał się, że nie zdąży z tą informacją.

– Rozumiem. – Brenner kiwnął łysą głową. – Czyli że już pan to sobie załatwił. Bardzo dobrze. Mamy piątek, zapraszam więc od poniedziałku rano. Zaczynamy o...

– Pan generał powiedział, że mam zacząć od razu – wtrącił niespodziewanie Marcin.

– Jak to? – Inspektor wyprostował się gwałtownie.

Słomkowski obejrzał się za siebie i zerknął za szklaną ścianę, a następnie odwrócił z powrotem i oparł łokcie na kolanach.

– Tak... – chrząknął i potarł nerwowo dłonie. – Prosił mnie, żebym panu przekazał, że chce pana widzieć jutro o siódmej w swoim gabinecie.

– Ja pier... – Brenner potarł łysinę dłonią. – Czyli że ktoś zdradza.

– Nie – powiedział zdecydowanie Marcin. – Chodzi o sprawę zwłok spod Kościana.

Brenner stracił na chwilę zdolność oddychania.

– Mówił o jakichś szczegółach? – zapytał, gdy wróciła mu praca w płucach.

– Wojsko już wie – powiedział cicho.

– I?

– I domaga się wyjaśnień. Ktoś bardzo się pogniewał, że nie został o tym wcześniej poinformowany. Podobno pytają wprost, gdzie jest Justyna, i domagają się jej natychmiastowego stawienia do wyjaśnień.

– Jakich wyjaśnień?

Słomkowski potarł dłonią brodę.

– Chcą... postawić ją przed sądem.

– Za co? – Serce Brennera o mało nie stanęło. Przed oczami miał już wielki proces za zabójstwo porywacza.

– Za oczernienie żołnierza zawodowego.

– Jakiego żołnierza? – Rafał poczuł się zbity z tropu.

– No, Jaskóły.

– To śmieszne! – Brenner prychnął.

Marcin jednak się nie śmiał. Jego twarz nawet nie drgnęła.

– Co jeszcze Ci mówił? – Inspektor pochylił się bardziej w jego stronę. Zaczął mówić Słomkowskiemu na „ty”, więc podświadomie traktował go już jako część zespołu.

– Nic. Reszty ma pan dowiedzieć się jutro.

– A jakie jest Twoje zadanie? Poza tym, że mi to przekazałeś?

Marcin wzruszył ramionami.

– Mam być do pana dyspozycji. Poszedłem do niego z prośbą o poparcie... w sumie to na chłama się wepchałem, ale nie miał nic przeciwko, tylko powiedział to, co powiedział, więc jestem.

Brenner pokiwał głową, ale nie patrzył już na niego. Szukał wzrokiem Malickiego i Kota – czuł, że trzeba będzie naprawdę poszukać Justyny. Bez pomocy Mrozowskiego.

– To co mogę robić? – zapytał nieśmiało Marcin.

– W zasadzie to nic na razie... Jutro pewnie będę miał pomysły na Ciebie. Chodźmy, muszę zobaczyć, co się dzieje z naczelnym pijakiem CBS.

– Z kim? – Słomkowski zbierał swoje rzeczy zdeorientowany.

Wyszli na korytarz, gdzie Malicki przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem. Rzucił okiem na Marcina, ale nie poświęcił mu zbyt wiele uwagi.

– Gdzie Kot? – zapytał Brenner.

– U Łukasza. – Wskazał na drzwi do pokoju narad.

– Co z nim?

– Dogorywa, ale chyba nic mu nie będzie. Tylko trzeba by go czymś przykryć. Kowalski poszedł poszukać jakiegoś koca.

– Ja mam koc – przypomniało się Marcinowi. – I to w dodatku Meyera, to znaczy jego szwagierki. Dała nam go, kiedy byliśmy przepytywać teściową i cały czas go wożę ze sobą. Przyniosę.

Brenner tylko skinął lekko głową i zwrócił się do Malickiego.

– Musimy ją znaleźć.

– Mówił pan rano, że...

– Mówiłem, ale doszły pewne okoliczności, które zmieniły sytuację.

– Ma pan jakiś pomysł?

– Nie... – Wykrzywił usta, ale nagle na jego twarzy pojawił się błysk olśnienia. – Chociaż... czekaj. Słomkowski. – Spojrzał w stronę drzwi wyjściowych. – Z nim trzeba pogadać. On spędził z Meyerem dużo czasu, może coś podpowie.

– Ja też z nim sporo siedziałem – zauważył trzeźwo Michał.

– Tak, ale on z nim pojeździł po tych jednostkach i trochę pogadał o Justynie i ich przeszłości. Może nasunie się nam jakieś skojarzenie. Weź go na bok i postarajcie się coś wymyślić.

– Dobra – zgodził się dość chętnie Malicki.

Brenner zajął do pokoju narad i ruchem głowy wywołał z niego Kota.

– I jak?

– Nic mu nie będzie. – Machnął ręką Tomasz. – Musi się tylko przespąć i może jechać do domu.

Na korytarzu zjawił się Marcin z kocem w dłoni.

– O, a to co? – Kot zamrugał powiekami na jego widok.

– To jest koc – uśmiechnął się uroczo Słomkowski.

– Przykryj tego ochlaptusa, Kotowicz. I przyjdź do mojego gabinetu. Słomkowski, Malicki porozmawia z Tobą o pewnej sprawie.

– Czyli że zaczynam od dzisiaj? – ucieszył się Marcin.

– Od teraz. – Brenner kiwnął głową i poszedł do swojego gabinetu.

XVIII

Meyer był pewien, że zaraz umrze. Spał chwilę, ale ból żołądka i głowy obudziłby go nawet, gdyby leżał w śpiączce. Kanapa była krótka, więc nogi wystawały mu do połowy, zauważył jednak, że jest przykryty kocem. Dotknął śliwy pod okiem i uśmiechnął się niewyraźnie do samego siebie.

Ale trafiłem z tym blefem! Romans z kuzynką, dobre sobie...

W tym momencie do pokoju wszedł Kowalski. Najwyraźniej nie miał zamiaru już go bić. Podeszedł powoli do kanapy z rękami w kieszeniach spodni. Drzwi zostawił lekko uchylone, żeby wpuścić nieco światła.

– Co jest, Casanovo? – szepnął Łukasz.

– Mało Ci? – Stał nad nim, ale wciąż nie wykazywał morderczych zamiarów.

– Co Ci do głowy przyszło? Ona jest małą, niedorozwiniętą umysłowo idiotką.

– To tautologia – mruknął Mariusz i przysunął sobie krzesło, na którym klapnął z ciężkim westchnieniem. – Uwiodła mnie...

Meyer parsknął śmiechem.

– No co? – Kowalski rozłożył bezradnie ręce. – Latała, latała... aż stało się. Kompletnie głowę straciłem. Te uśmiechy, czułe słówka... Eh, szkoda gadać.

– Ela wie?

– Wie...

– Żartujesz?!

Mariusz pokręcił głową.

– To znaczy nie rozmawialiśmy o tym, ale na pewno wie, bo ją znam... Nie umiemy rozmawiać o niczym tak naprawdę, o czymś takim tym bardziej. Od razu by się nam to wszystko rozleciało... to całe małżeństwo.

Łukasz spojrział w sufit i przełknął ślinę. Zawsze myślał, że on z Justyną

świetnie się dogadują i o wszystkim sobie mówią, a okazało się, że nic nie wiedział... Na myśl o swoim związku poczuł w sercu wielki ból, którego bardzo nie chciał. Wolał mieć kaca i podbite oko.

– Naprawdę Cię zostawiła – powiedział nagle Mariusz z jakimś żalem w głosie.

Nic nie odpowiedział.

– Rozmawiałem z Ewelina. Mówiła, że znalazła kartkę od Justyny, że się wyprowadziła. Dlatego uznała, że może czuć się pewnie...

– Mówiłem Ci, że to idiotka. – Obrócił głowę w stronę Mariusza, aż mu strzyknęło w karku.

– Uspokój się. Może to idiotka, ale ja mówię o czymś innym. Meyer, ocknij się! Twoja żona odeszła. Twoje ostatnie cztery lata udanego życia legły w gruzech... w jednej chwili. Ja... ja nie wiem, co bym zrobił. Nie jesteśmy z Elką idealną parą, nigdy nie byliśmy... Ale nie chciałbym zostać sam, bez niej. Nie wiem, może słabo się kochamy, nie gadamy ze sobą, ja spieprzyłem sprawę z Ewelina, a jednak to jest coś ważnego dla mnie.

Łukasz zacisnął szczęki i dłuższą chwilę nic nie mówił. Kiedy Kowalskiemu wydawało się, że już nic z tej rozmowy nie będzie, zapytał:

– Dlaczego Brenner jej szuka?

– Bo zniknęła.

– Nie zniknęła – zaprzeczył, choć wiedział, że nie ma ku temu podstaw. Po prostu bardzo nie chciał, by tak było. – Spakowała się i wyprowadziła... i na pewno gdzieś tam jest.

Mariusz patrzył na niego z powagą, jakby usłyszał właśnie coś bardzo smutnego.

– Meyer, nigdzie jej nie ma.

– Jak to nie ma? Może pojechała do matki albo do... do jakiejś koleżanki. – Przyszedł mu do głowy Ziutek. Przez chwilę był pewien, że tam właśnie mogła się udać. – Trzeba zapytać Gośkę Łukasik, zadzwonić do Lubickiego z jej pracy.

– Sam jesteś idiota. – Kowalski potarł dłońmi twarz. – U matki jej nie było, Twoja szwagierka jest powiadomiona, że jeśli się zjawi, to ma nam od razu dać znać. W firmie nie widzieli jej od kilku dni, z nikim też się nie kontaktowała. Kot mówił, że Brenner dzwonił nawet do jakichś jej podejrzanych znajomych z czasów wojska...

Łukasz zmarszczył brwi. Po chwili namysłu podniósł się i odrzucił koc.

– Muszę z nim pogadać. Albo nie... – Potarł palcami brwi. – Pojadę do domu. Źle się czuję.

Mariusz zrobił zrezygnowaną minę. Czuł, że poniósł klęskę, jeśli chodzi o prostowanie skrzywionego myślenia kolegi. Wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy wszedł do biura Brennera, szef z Kotem przywitani go pytającymi spojrzeniami.

– No i? – zapytał z nadzieją w głosie Brenner.

– Nic z tego. – Pokręcił głową. – Jest jak zamurowany. Jakby mu rozum odjęło.

– Może trzeba się dowiedzieć, co tak naprawdę go zezłościło – zasugerował z lekką desperacją Kot.

Brenner chciał rzucić kąśliwą uwagę na temat chorobliwej zazdrości, ale ugryzł się w język.

– Co on teraz robi? – zapytał Mariusza.

– Zbiera się do domu. Mówi, że jest zmęczony.

Nie komentowali już tej informacji. Brenner zerknął przez okno wychodzące na parking.

– Chyba coś mu się naprawdę popieprzyło. – Wskazał na Łukasza stojącego bezradnie przy samochodach.

– Co on robi? – Kot podniósł się zaniepokojony.

– Szuka swojego auta – odpowiedział spokojnie Brenner.

– Ale przyjechał taksówką, sam widziałem. – Zmarszczył brwi Kowalski.

– Dlatego mówię, że mu się popieprzyło. Kot, weź go odwieź do domu.

– Nie, ja to zrobię – wyrwał się Mariusz, zanim Tomek zdołał cokolwiek powiedzieć. – Muszę wymyślić, co począć z tą moją kuzynką. Znajac życie, nie wyprowadziła się od Meyera.

Szef kiwnął głową na znak aprobaty i Mariusz wyszedł bez słowa z biura.

Łukasz nadal stał na parkingu, mocno zdezorientowany. Spojrzał na Kowalskiego i machnął ręką.

– Nie wiesz, co zrobiłem z samochodem?

Kowalski podszedł do niego i złapał za rękaw.

– Chodź, pokażę Ci, gdzie stoi. – Otworzył auto i kazał Łukaszowi wsiadać.

W trakcie jazdy do Meyera dotarło, że przywiozła go do pracy taryfa. Kiedy zorientował się, że Mariusz chce odwieźć go do domu, chciał wysiadać i jechać

komunikacją.

– I co? Pójdiesz znowu się uchlać? – uśmiechnął się smutno Kowalski. – To nie jest dobry sposób na rozwiązywanie problemów.

– A romans jest?

– Dobra, dobra. Możesz sobie próbować odbijać piłeczkę, to na nic. Zalewasz pałę, co oznacza, że uciekasz. Fajny chłop jesteś i szkoda by było, gdybyś się zepsuł w ten sposób.

– A co mi radzisz? – W głosie Łukasza słychać było wyraźną ironię.

– Nic. – Spojrzał na niego bez większych emocji. – Tylko mówię, że picie nie jest dobre.

– I jedziesz ze mną, żeby mnie przypilnować?

– Nie, jadę po Ewelinę. Trzeba jej znaleźć jakąś metę.

– Powiedziałem jej, że ma się wyprowadzić...

– I myślisz, że Cię posłuchała? Nic z tego. Na pewno tam czeka z jakimś planem urobienia Ciebie. A że jesteś w kiepskim stanie, to naprawdę możesz ją wywalić na ulicę i będziemy mieli problem.

– To nie jest mój problem.

– Wmieszałeś się w to, więc poniekąd jest.

Łukasz prychnął cicho i odwrócił głowę w drugą stronę. Po minucie jednak zerknął na Kowalskiego, jakby nieco przytomniej.

– Ty wiesz, że to jest mały kurwizson?

Mariusz przyjrzał mu się, jakby go pierwszy raz widział.

– Meyer, dobrze się czujesz? Co to za gadka?

– Mówię Ci, że ona nie będzie umiała inaczej sobie „radzić”, jak przez dupę. Kiedy pójdzie gdzie indziej, zaraz poszuka sobie jakiegoś „sponsora” albo inną tego typu robotę.

– Skąd Ci to przyszło do głowy?

– Widziałem... Pracuję w policji, poznałem trochę takich dziewczyn. Czy ktoś ją molestował?

Kowalskiego całkowicie zatkało. Patrzył na ulicę, po horyzont zakorkowaną, i nie mógł wyksztusić z siebie słowa.

– J... jak to? – szepnął w końcu.

– Te jej zachowania świadczą o tym, że ktoś ją skrzywdził. Nie rozumie, że z facetem można gadać inaczej jak dupą. Poza tym ewidentnie jest DDA.

– Skąd wiesz? – W pytaniu kryło się zdumienie, które powiedziało Łukaszowi, że trafił w sedno.

– Widziałem, jak się mną zajęła, kiedy wróciłem napruty. Ona jest dobra w te klocki, mówię Ci. Tatuś albo brat dawali w palnik i pewnie musiała się nimi zajmować od małego.

– Jej stary... – szepnął Mariusz. – Pije jak smok. Starszy brat uciekł kilka lat temu i jest na swoim. Matka udaje, że wszystko gra, biega do kościoła, kandyduje na radną... Takie małe polskie piekiełko.

– No widzisz. – Łukasz wzruszył lekko ramionami.

– No i co ja mam z tym zrobić? Przecież jej nie ulecę.

– Nie wiem... Przydałaby się jej jakaś terapia.

Mariusz pokręcił głową i ciężko westchnął, kolejny raz tego dnia. Doczłgali się przez koszarne korki pod osiedle Meyerów i przeszli przez furtkę. Kowalski trącił Łukasza i wskazał na jego balkon. Ewelina właśnie mocno się zaciągała papierosem, ale gdy ich zauważyła, wyrzuciła peta i spłoszona uciekła do środka.

– Wyprowadziła się, tak? – prychnął Mariusz.

Kiedy weszli do mieszkania, siedziała skulona na kanapie w salonie.

– Ja... niczego nie znalazłam – zaczęła na powitanie.

– A szukałaś? – rzucił Meyer, nie patrząc na nią, bo jego wzrok przykuła znajoma kurtka na jednym z krzeseł. Ewelina zauważyła to i wskazała niepewnie w stronę kuchni.

– Ten pan jest tu od godziny... Czeką na Ciebie.

– Kto? – zapytał Kowalski, ale Łukasza już nie było.

Przy kuchennym stole siedział Stefan Meyer. Kiedy jego syn stanął w drzwiach, nawet na niego nie spojrzął, nie od razu...

– Tato? – Łukasz miał ochotę zapaść się pod ziemię. To było ostatnie, czego by sobie życzył, żeby jego ojciec dowiedział się o całej historii. Kompletnie zapomniał, że od kiedy Justyna pracowała w domu, teść lubił ją odwiedzać, żeby sprawdzić, czy jego ulubiona synowa na pewno jest bezpieczna.

Stefan spojrzął na niego tym okropnym wzrokiem, w którym zawarta była jedna treść: „Zawiodłem się na Tobie, synu”.

– Czy to, co usłyszałem od tej pani, jest prawdą? – zapytał, wskazując na salon.

– Nie... tato...

– Gdzie jest Justysia? – Zaciśnięte szczęki starego Meyera świadczyły o tym, że nie dopuszcza żadnych pokrętnych tłumaczeń.

Łukaszowi z bezsilności opadły ramiona.

– Nie wiem... – odpowiedział cicho.

Twarcz ojca nadal wyrażała święty gniew, ale w oczach pojawiły się łzy.

– Czy to prawda, że się wyprowadziła? – zapytał z zaciśniętym gardłem.

– Prawda.

– Dlaczego?

Na to pytanie Łukasz nie był w stanie odpowiedzieć. Milczał i czuł się jak dziesięciolatek, łajany za szkolne przewinienia.

– Takie piekło przeżyliście... – Głos Stefana łamał się coraz bardziej. – Taka tragedia, z której ledwo wyszła cała. Nie pamiętasz już, jak wyglądała, jakie sińce na rękach i na buzi miała? A Ty sobie teraz flamę do domu sprowadzasz!

– Tato, to nie jest...

– Milcz! Mam uwierzyć, że ta kobieta jest tu przypadkiem? Jak przyszedłem, obiadem mnie chciała częstować, jakby na swoim była... Już ja dobrze wiem, co to oznacza. Znam to... – Jego pierś ze schorowanym sercem w środku uniosła się w przypiływie wzruszenia. – Ostrzegłem Cię, tłumaczyłem... Tak było z Twoją matką: biegała za mną, wpraszała się, do wyra włąziła, żebym o tamtej zapomniał... A Ty to samo robisz. Tak samo głupi jesteś! – Zasłonił oczy dłonią.

Początkowo Łukasz chciał zaprotestować, bo to skojarzenie wydało mu się nieporozumieniem, ale przed oczami stanął mu widok gołych piersi Eweliny pochylonej nad nim minionej nocy i zwykła uczciwość nie pozwoliła mu się odzywać.

Stefan podniósł się w końcu z trudem z krzesła. Łukasz podszedł, żeby mu pomóc, ale ojciec odepchnął go swoją drobną dłonią z wyraźną niechęcią i podreptał do salonu po kurtkę. Ewelina skuliła się jeszcze bardziej, Mariusz siedział obok niej i spoglądał na ojca Łukasza ze zrozumieniem, on zaś obdarował dziewczynę potępiającym wzrokiem.

– Może jeszcze Zosia ma na imię, co? – rzucił w powietrze pogardliwe pytanie.

– Nie, jestem Ewelina – zapiszczała cicho.

– Zamknij się – syknął Kowalski.

Łukasz poszedł za ojcem do drzwi.

– Tato... daj mi wyjaśnić...

– Nie będę tego słuchał – uciął mu w pół słowa. – Dopóki moja Justysia nie wróci pod swój dach, nie będę w ogóle z Tobą rozmawiał.

I wyszedł.

Kowalski zastał Łukasza opartego o drzwi, ciągle ubranego w kurtkę. W jego oczach malowała się rozpacz. Wyglądał żałośnie ze swoim podbitym okiem i bladą skórą na twarzy.

– Dlaczego wszyscy martwią się o nią? – zapytał z pretensją. – Dlaczego każdy pyta, gdzie ona jest, dlaczego odeszła... a nikt nie myśli o mnie, o tym, co ja czuję?

Mariusz był bardziej niż zaskoczony.

– Bo nikt nie wie, co czujesz – odpowiedział logicznie. – Nikomu nic nie powiedziałaś, tylko zaczęłaś zachowywać się jak debil.

– A ona coś powiedziała? – zripostował.

– Powiedziała – odparł cicho Kowalski.

– Co? – Łukasz odkleił się od drzwi. – Komu?

– Była u Brennera zapytać, co ma robić.

– Jasne – roześmiał się szyderczo, a Mariusz od razu pożałował, że mu o tym powiedział. – Dlaczego nie? Lepiej mówić wszystkim, tylko nie mnie.

– Bo może nie dało Ci się nic powiedzieć...

Łukasz odwrócił wzrok i przygryzł wargę. W Kowalskiego wstąpiła nadzieja, że może coś w nim drgnie i zacznie mówić, jaki jest prawdziwy problem. Zamiast tego Meyer poszedł do garderoby i zdjął kurtkę.

Mariusz wszedł do salonu i kiwnął na Ewelinę.

– Pakuj się.

– Dokąd? – Popatrzyła na niego przerażona.

– Przecież tu nie zostaniesz! – krzyknął na nią.

– Daj jej spokój. Może zostać. – Łukasz, przebrany w dres, usiadł w fotelu i włączył telewizor.

– Meyer, Ty naprawdę nie jesteś normalny! – Podeszedł do Łukasza i zabrał mu pilota. – Wiem, o co Ci chodzi, dlaczego wymyślasz z tym kurwieniem się i martwisz o jej DDA... Chcesz znaleźć temat zastępczy, żeby nie myśleć o żonie.

– Może masz rację. – Łukasz podniósł gwałtownie wzrok i spojrzał na niego zimno. – Może właśnie tego chcę. Tobie nic do tego. A ona może zostać, bo jest dorosła i jest w moim domu. Ty zaś możesz sobie już iść... z mojego domu. – Wyrwał Mariuszowi pilota z dłoni i pogłodził telewizor.

Ewelina przyglądała się tej scenie wielkimi z przerażenia oczami. Kowalski poczuł się bardzo zmęczony i stracił chęci do dalszej dyskusji.

– Dobra, niech Ci będzie – powiedział w końcu cicho. – Jadę stąd, bo jeszcze mi też się na mózg rzuci.

I również wyszedł z mieszkania.

Przez dobry kwadrans żadne z nich nie odezwało się do siebie ani słowem, ale Łukasza zaczęło to irytować, bo przypomniawszy mu się Justyna z ostatnich dni, kiedy równie przerażona siedziała w kącie tej kanapy. Spojrzał na dziewczynę i dostrzegł ten sam wzrok...

– Dlaczego milczysz? – Wydawało mu się, że pyta się o to swojej żony, tyle że Ewelina było mu łatwiej zapytać.

– Boję się... – Ledwo dało się ją usłyszeć.

– Czego?

– Ciebie... Wszystkiego. Mariusza...

– Nie można się bać wszystkiego.

– Można. – Kiwnęła głową. – Ja się boję.

– Ale czemu?

– Bo zawsze tak się kończy, zawsze jest tak samo.

– Co jest tak samo? – Zmarszczył brwi, a serce lekko się ścisnęło.

– No... wszystko. Co bym nie zrobiła, jest źle i każdy na mnie krzyczy albo... milczy.

– Każdy, czyli kto?

– Wszyscy...

Poczuł się jeszcze bardziej poirytowany. Chciał coś powiedzieć, ale ona miała zamiar kontynuować.

– Ojciec krzyczy i mówi, że to przeze mnie jest źle... a matka się nie odzywa.

„Matka karała nas zawsze milczeniem” – zadzwoniło mu nagle w głowie. Zamrugał powiekami ze zdumienia, bo przez ułamek sekundy naprawdę widział na kanapie Justynę.

– A mówi Ci, co jest przez Ciebie źle? To znaczy Twój ojciec. – Teraz jego

serce było już jak w imadle.

– No, że jest nieszczęśliwy i matka go nie lubi... i że pije. Mówi, że gdybym się postarała bardziej, to byłoby lepiej... Potem mnie przeprosza i coś kupuje. – Ostatnie zdanie dodała bardzo szybko.

– A matka... kiedy milczy?

– Kiedy jest na mnie zła. Staram się, naprawdę... Dobrze się uczyłam i na te studia zdałam, ale ona i tak jest niezadowolona. Przed ludźmi mnie chwali, a w domu milczy. – Usta Eweliny wykrzywiły się w podkowę, a z piersi wydobył się głośny szloch. Dłonie trzymała złączone, wyginając coraz mocniej palce. – To... zawsze tak się kończy, zawsze... – płakała całkiem głośno, a łzy wycierała rękawem.

W pierwszym odruchu Łukasz chciał do niej podejść i ją przytulić, ale doskonale wiedział, że zostałyby to odczytane opacznie, jako zachęta do seksu. Został więc na miejscu.

– I dlatego Ty też milczysz? – Pytanie to było w zasadzie stwierdzeniem.

Pokiwiała energicznie głową.

– Krzyczałeś.

– Kiedy?

– Na Mariusza.

– No i co z tego?

– On krzyczał na mnie... to wszystko jest przeze mnie.

– Co? – Poczuli, że się gubi.

– No, to. – Wskazała na mieszkanie. – To przez to, że mnie ze stacji wywalili.

Łukasz roześmiał się cicho.

– Moje problemy nie mają nic wspólnego z Tobą, nie przesadzaj... – Uśmiech zamarł na jego ustach, gdy zrozumiał, że tak naprawdę mówi to do Justyny, że wreszcie powiedział głośno to, do czego za żadne skarby nie chciał się przyznać. Był jak rodzice tego dziecka, którzy usiłowali obarczyć je poczuciem winy za własne niedociągnięcia – karzącym milczeniem chciał przerzucić na swoją żonę odpowiedzialność za coś, z czym sam sobie nie radził.

Chciało mu się płakać. Opadł bez sił na fotel i patrzył beznamiętnie w telewizor. Usłyszał, że dziewczyna wstaje z kanapy i podchodzi do niego. Kucnęła obok, kładąc swoją spoconą dłoń na jego przedramieniu, które zaraz jej zabrał.

– Mogę... mogę wszystko dla Ciebie zrobić... – szepnęła, pociągając nosem. Zauważył, że nadużywa słowa „wszystko”. – Co tylko będziesz chciał, naprawdę.

– Ewelina, nie pójdę z Tobą do łóżka, bo mam żonę...

– Ona odeszła.

– ...a poza tym nie podobasz mi się.

Ta uwaga zabolą ją. Zerwała się na równe nogi i spojrzała na niego z gniewem.

– Jesteś nikim, rozumiesz?! Nikim!

Przez dobre dwie minuty rzucała w niego obelgami najcięższego kalibru. Wiedział, że powtarza słowa zasłyszane we własnym domu, kierowane do niej przez najbliższych. Wiedział też, że bardzo ją zranił, bo ona nie rozumie, że wyglądem nie zasługuje się na niczyją uwagę. Czuł się znowu jak policjant pracujący w interwencji, który przychodzi na miejsce domowej awantury i zastaje kobietę – ofiarę, rzucającą się z bezsilności, kiedy jej oprawca, już uspokojony, siedzi sobie spokojnie w kącie i obserwuje wszystko z boku. Młodzi policjanci często nabierali się na te sceny, myśląc, że to ona jest źródłem konfliktu, ale stare wygi wiedziały, że facet po prostu już się na niej wyładował. Kilka razy zdarzyło mu się oberwać od pobitej kobiety, której wydawało się, że i on jest potencjalnym katem.

Podniósł się wolno z fotela, złapał Ewelinę za nadgarstki i pchnął lekko na kanapę. Zaniósł się znowu płaczem, więc poszedł do sypialni i z szafki nocnej wyciągnął buteleczkę z tabletkami, które dostał zaraz po porwaniu Justyny. Nalał wody do szklanki i po chwili namysłu rozkruszył dwie pigułki, które wymieszał.

– Wypij to – rozkazał jej. Ku jego zdumieniu, posłuchała go od razu.

– Gorzkie – mruknęła pomiędzy jednym spazmem a drugim.

– A teraz rozłóż pościel i połóż się.

– Po co? – Spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

– Żebyś się uspokoiła. Prześpij się, później pogadamy.

Zrobiła, co powiedział. Wyłączył telewizor i zasłonił okna. Z tego wszystkiego kompletnie zapomniał, że ma kaca. Poszedł do kuchni i duszkiem wypił butelkę wody mineralnej. Stał chwilę przy zlewie, zastanawiając się, co robić dalej ze sobą. Rozglądał się po pomieszczeniu nieco bezmyślnie, jakby w jego

ścianach miał znaleźć odpowiedź na pytania, które bał się sobie zadać. Nagle jego wzrok zatrzymał się na lodówce. Czegoś brakowało.

– Nie ma pamiętników – szepnął do siebie.

Pchany jakimś dziwnym przeczuciem, poszedł do garderoby i rozejrzał się po półkach i wieszakach. Przerzucał kolejno ubrania Justyny, zaglądał do pudełek i wiszących szuflad z Ikea. Wszystko wyglądało tak samo, niczego nie ubyło. Niczego... Nie było tylko jej kurtki, w której najczęściej chodziła. Spojrzał wyżej, gdzie leżały torby i walizki, starając się dostrzec, czy coś się nie zmieniło. Nie było granatowej torebki, tej najmniejszej. Zastanowił się, bo serce biło mu coraz szybciej.

Wyglądało na to, że Ewelina śpi, ale gdy nad nią stanął, od razu podniosła głowę.

– Był tu ktoś?

– Nie rozumiem... – Potarła oczy.

– Czy ktoś się zjawiał, ktoś po rzeczy... mojej żony?

– Nie...

– Jesteś pewna?

– Jestem – odpowiedziała płaczącym tonem. – Po co miałabym kłamać?

– Dobra, nieważne...

– Co się stało?

– Nic. Śpij. Ja muszę wyjść.

XIX

Najpierw sensację wzbudził Kowalski – i to podwójną. Romans z kuzynką wywołał uśmiechy pełne politowania i kpiące komentarze ze strony tych, którzy jeszcze o niczym nie wiedzieli. Wiadomość zaś, że Meyer po raz drugi pozwolił jej u siebie mieszkać, w sytuacji gdy żona dała nogę, była co najmniej dziwna, jeśli nie niesmaczna...

– I co? Teraz on będzie z nią spał? – zapytał skrzywiony Piotrek Mżygłód.

– Nie wiem – sapnął Mariusz. – Odbiło mu. I jeszcze mnie wygonił z mieszkania.

Brenner stał oparty o parapet i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Miałeś poprawić sytuację – zrobił wyrzut Kowalskiemu.

– Miałem... – odpowiedział smętnie Mariusz.

– Ja czegoś nie rozumiem. – Lenart rozejrzał się po kolegach. – O co mu tak naprawdę chodzi? Nagle mu odbiło czy to jakaś stara sprawa?

– Stara sprawa, o której dowiedział się niedawno. – Brenner potarł dłonią głowę. Zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim, ale ostatecznie uznał, że sprawy zaszły tak daleko, że jego ludziom należy się kilka słów wyjaśnień. – Justyna po wojsku najęła się do prywatnej armii i półtora roku była w Afganistanie.

I to była ta druga sensacja, która tym razem odebrała wszystkim mowę. Kot roześmiał się nerwowo, ale widząc, że szef nadal ma poważną minę, ucichł całkowicie. Słomkowski zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, decydując się na stałą współpracę z tą grupą ludzi.

– To jakiś żart. – Kowalski jako pierwszy odzyskał dar mowy. – I co niby tam robiła?

– Zaraz, zaraz! – Marcina nagle olśniło. – Ten porywacz... z ukreconą szyją. To ona mogła go zabić.

Wszyscy zwrócili oczy na szefa, który starał się w tym momencie na nich nie patrzeć.

– Nie mamy na to dowodów... – powiedział w końcu cicho.

– Ale heca! – na twarzy Mariusza zagościł uśmiech. – Nasz kochany Meyer miał w domu komandosa i nic o tym nie wiedział. No, jakbym ja się dowiedział czegoś takiego o mojej Elce, to też bym się zdziwił...

– Tyle że on się nie zdziwił, tylko rozwalił małżeństwo – zauważył Lenart. – A poza tym to nie zmienia faktu, że dalej nie wiemy, gdzie ona jest. Z tego, co pan powiedział, ktoś w wojsku będzie się domagał jej obecności, a jeśli okaże się, że jej zeznania się potwierdzą, może być w niebezpieczeństwie. Zresztą... jeśli nawet udowodnią jej, że kłamała, to dopiero będzie problem, bo pewnie będą chcieli ją wsadzić do więzienia.

Brenner kiwnął tylko głową i zacisnął usta.

– I to jest sprawa dla nas? – odezwał się w końcu Kot. – To w ogóle jest jakaś „sprawa”?

– Tak – inspektor chrząknął i założył ręce na piersi. – Wojsko nie jest takim problemem, co nasi porywacze... Próbowali wypierać się porwania, mimo że mamy ich odciski z miejsca przetrzymywania Justyny.

– To trzeba ją przesłuchać – wtrącił Mżygłód. – W zasadzie nie rozumiem, dlaczego wciąż tego nie zrobiliśmy.

– Bo byliśmy zajęci naszymi kolegami – mruknął Kotowicz.

– Jej zeznania będą kluczowe – przyznał Brenner. – Fakt zniknięcia Justyny jest nam na rękę, jeśli chodzi o armię, bo daje większą pewność, że nikt jej nie skrzywdzi... Ale jeśli chodzi o porwanie, to robi się coraz goręcej. W dodatku... – nabrał powietrza głęboko w płuca – Justyna mi powiedziała, że to nie Adamiakowa zleciła jej porwanie.

– O, ja pierdołę – jęknął załamany Kowalski. – A skąd ona to wie?

– Wolę nie wiedzieć. – Brenner zasłonił oczy dłonią.

– To może dlatego zniknęła? – Kot zmarszczył czoło. – Może wie coś, co nie ma nic wspólnego z jej durnym chłopem, i wolała się zmyć.

Szef spojrzał na niego zdumiony. Do tej pory ta ewentualność nie przyszła mu do głowy, ale Tomasz naprawdę mógł mieć rację.

– To co robimy? – zapytał nieśmiało Słomkowski, gdy Brenner wciąż się nie odzywał.

– Ustaliliście coś z Malickim? – odpowiedział pytaniem.

– Niewiele. W sumie nic poza tym, co już wiedzieliśmy. No i... nie mieliśmy pojęcia o tym Afganistanie.

Brenner zerknął przez ramię na parking. Było już ciemno, ale zauważył, że pod budynek podjechał samochód Meyera.

– Niemożliwe – mruknął do siebie.

Łukasz wpadł do openspace'u i na chwilę zamarł, kiedy zobaczył to zebranie. Podszedł do nich z rozpaloną twarzą.

– Coś jest nie tak – szepnął zdyszany.

– To znaczy? – Brenner spojrział na niego krzywo.

– Nie przyjechała po rzeczy... Napisała, że ktoś po nie będzie, ale nikt się nie zjawił. Dzwoniłem do Gośki, nic o tym nie wie. Lubiccy też. Wzięła jedynie małą walizkę, do której nic się nie mieści, i parę kosmetyków.

– Może zatrzymała się u kogoś, kto dał jej ubrania? – Lenart, jak zawsze, był opanowany i rzeczowy.

– Nie – zaprzeczył ruchem głowy. – Komputer został, a nie zwolniła się z pracy. Do B. S. K. też dzwoniłem. Wszystko w domu jest, jak było. Książki, dokumenty... ale nie ma pamiętników.

Brenner poczuł, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Kot spojrział na niego wymownie.

– Zabrała główne dowody w sprawie Jaskóły – stwierdził cicho.

– Musimy coś zrobić! – Łukasz rozejrzał się po twarzach kolegów zdesperowanych. – Gdzie jest Malicki? Trzeba ją znaleźć.

– Meyer... – Brenner wcale nie miał ochoty z nim rozmawiać, tylko przyłożyć pod drugie oko – Twoja żona prawdopodobnie świadomie się ukryła, jak to zrobiła po swoim porwaniu.

– A jeśli ktoś jej coś zrobił? – Łukasz miał rozszerzone źrenice i szybko oddychał. Kot zaniepokoił się tym widokiem, bo już go raz widział.

Inspektor westchnął i znowu odwrócił wzrok w stronę okna.

– Myślę, że nic jej nie jest... Rozmawiałem z Mrozowskim.

– A co on ma do tego?! – Łukasz prawie krzyczał, a reszta zebranych patrzyła po sobie pytająco.

– Malicki z Kotem znaleźli ślady jej bytności w mieszkaniu na Pradze i ślady kogoś jeszcze. Domyśliłem się, że on może mieć z tym coś wspólnego, co

zresztą Mrozowski potwierdził. Zabrał ją stamtąd i zawiózł do kogoś na wieś.

– Nienacki – wydyszał Meyer.

– Nie. Podobno ktoś inny.

Łukasz położył dłonie na głowie i zaczął nerwowo przemierzać pomieszczenie.

– Czemu pan nam nic nie powiedział? – Kot z trudem ukrył poirytowanie.

– Bo wolałbym już nie korzystać z pomocy Mrozowskiego.

– A co to ma za znaczenie? – Łukasz znowu podniósł głos na szefa.

– Uspokój się i zastanów, do kogo mogła pojechać. – Na Brennerze już nie robiły wrażenia jego zmiany nastrojów.

– Nie wiem! – Wzruszył ramionami. – Ja przecież nic o niej nie wiem ...

Niemal wszyscy w jednej chwili przewrócili oczami z irytacją, ale nagle Łukasza olśniło.

– Gogol! – Zatrzymał się w miejscu. – On mówił, że ma dom na wsi.

– Gdzie? – Kot wziął notatnik. – I kto to jest Gogol?

– Zaraz... pod Radomiem. Tak, chyba tak. Tylko jak on się nazywał?

– Kostek – przypomniał Brenner. – Konstanty Bąk, o ile mnie pamięć nie myli. Kotowicz, postaraj się znaleźć tego człowieka.

– Dobra – Tomasz westchnął i podniósł się z fotela. – Pojadę od razu do Malickiego. Przydałyby mi się jakieś szczegóły.

– Nic nie mam. – Brenner spojrzał na Łukasza, który zrobił wielce obrażoną minę na te słowa. – Meyer, możesz nareszcie się uspokoić i zacząć normalnie współpracować?

– Nie mogę – wypalił bez namysłu.

– Ty jesteś zazdrosny! – Teraz to Marcin doznał olśnienia. Podeszedł do Łukasza i zadarł głowę, żeby zajrzeć mu w oczy.

– O co? – Łukasz chciał się cofnąć, bo poczuł się jak na przesłuchaniu. Dobrze wiedział, że ze Słomkowskim nie ma żartów.

– Jak to o co? O facetów. O innych facetów. Już w czasie rozmowy z Jaskółką powinienem się zorientować, w czym rzecz. Ta uwaga, że jemu nie udało się wielka sztuka uwiedzenia Justyny... Dla Ciebie to jest jak współzawodnictwo. Chciałeś czuć, że jesteś pierwszy i najlepszy z tego całego stada mężczyzn, bo ona jest z Tobą, ale coś zachwiało tą pewnością, prawda?

Wszyscy w milczeniu przyglądali się obu mężczyznom. Kot także stał i nie

zamierzał nigdzie iść.

– Dowiedziałeś się o Afganistanie... – Marcin kiwał głową, jakby coś zrozumiał. – Tam na pewno nie była w wojsku z kobietami. Też byli sami faceci, i to jacy! Nie możesz tego przeżyć, że jest ktoś inny w jej życiu, kto być może też jest ważny, kogo podziwia i szanuje. Zostałeś strącony z piedestału superbohatera, jedyne w swoim domu.

Łukasz nic nie odpowiedział. Nie potrafił nigdy odeprzeć zarzutów, które były prawdziwe. Gotowało się w nim, bo Marcin poruszył najczulszą strunę, o jakiej do czasu tej historii nie miał pojęcia. Ukuty w głowie obraz siebie – twardego i dobrego człowieka jednocześnie – legł całkowicie w gruzach zazdrości i braku pewności siebie, o jakie nigdy by się nie podejrzewał.

– Jesteś idiotą, Meyer. – Kot pokręcił głową i wyszedł.

Brenner uznał, że szkoda już czasu na psychologiczne i osobiste zagrywki.

– Czas zabrać się do pracy – rzucił hasło i oderwał się od parapetu. – Kto zajmie się panią Adamiak?

– Ja mogę, zebrałem sporo wiadomości na temat tej rodziny i firmy. – Lenart podniósł dłoń.

– OK – zgodził się inspektor. – Weź Kowalskiego i skontaktuj się z ludźmi ze Stołecznej, którzy w tym siedzieli.

– Dlaczego mają się tym zajmować? – Meyer był zbity z tropu.

– Bo musimy się dowiedzieć, kto zlecił porwanie Twojej żony.

– Jak to?

– Gdybyś z nią porozmawiał, zamiast stroić fochy, wiedziałbyś, że to nie pani prezesowa zlecała. – Brenner stracił cierpliwość. – Prawdopodobnie również dowiedziałbyś się, kto powiedział o tym Justynie, bo to może mieć dla nas wielkie znaczenie. Teraz musimy zająć się tą sprawą, dowiedzieć się, kto zatrudnił Iwanowa i jeszcze walczyć z wojskiem, które chce zamknąć Twoją żonę za fałszywe oskarżenia przeciwko Jaskóle.

Łukasz złapał najbliższy stojący fotel i usiadł na nim.

– Muszę ją znaleźć – wyszeptał zrozpaczony.

– Sama się znajdzie... – zaczął Brenner, ale Meyer spojrzał na niego w taki sposób, że zamilkł.

– Ale do mnie nie wróci!

– Tym się akurat nie zajmujemy – powiedział z przekąsem Lenart.

– Chodź do mnie. – Brenner skinął na Łukasza i ruszył w stronę swojego biura. Chcąc nie chcąc, Meyer podreptał za nim i zajął miejsce przy biurku. Inspektor spojrział na niego z powagą. – Zanim będziesz próbował ratować swoje małżeństwo, dobrze się nad sobą zastanów. Pomyśl, co powiedzieć, jak się zachować... żeby znowu nie narobić bigosu. Wiesz, dlaczego dała nogę?

Łukasz przez chwilę nic nie mówił i nawet nie patrzył na szefa.

– Myślę, że sobie nie poradziła... ze mną. – Potarł palcami brwi na wspomnienie rozmowy z Ewelina. – Wystraszyła się, że będzie musiała przeżywać to samo, co w domu, z matką... A ja zachowałem się jak klasyczny domowy oprawca i te jej reakcje tylko mnie rozjuszyły.

Brenner zamrugał powiekami ze zdziwienia.

– To miło wiedzieć, że masz taki jasny obraz sytuacji.

– Ale skąd mogłem wiedzieć, że to zrobi?

– Łukasz, Twoja żona, z tego, co mówisz, była ofiarą przemocy domowej. Żyłeś z nią pod jednym dachem prawie cztery lata i mogłeś się tego spodziewać.

– Miałem przewidzieć coś takiego?

– Myślisz, że przez małżeństwo z Tobą stała się bardziej odporna na chamskie zachowania? Przypomnij sobie, co Ci mówiła po porwaniu, o wojsku, o tym, jak to w niej siedzi. A Ty, zamiast ją wspierać, zrobiłeś jej kolejne piekło, które, podejrzewam, było dla niej jeszcze gorsze niż armia i wszystko inne razem wzięte.

– Ale nic mi nie powiedziała...

– Czy Ty rozumiesz, co się do Ciebie mówi? – Brenner zrobił się purpurowy ze złości. – Co to ma za znaczenie? Czy była złą żoną? Zdradzała Cię? Okradała? Poniżała? Mało dała Ci dowodów na to, że jesteś dla niej najważniejszy? Przychodzą w życiu takie momenty, gdy trzeba na jednej szali położyć to, czego dowiadujemy się o najbliższej osobie, a na drugiej to, jak bardzo nam na niej zależy. Czy Ty myślałeś, że to zawsze będzie sielanka? Popatrz na siebie, jak się zachowujesz. Znałeś siebie z takiej strony? Bo ja nie. Zastanów się, co Justyna o tym myśli i jak się z tym czuje. – Opadł na fotel i ścisnął podłokietniki. – Jedź do domu i doprowadź się do porządku. Jak chcesz, możesz iść na wolne, ale jeśli wolisz pracować, to bądź jutro o dziewiątej w biurze. Będę po spotkaniu z Rasiakiem i przekażę Wam, co mi powiedział.

Łukasz kiwnął niewyraźnie opuszczoną głową i wstał z krzesła. Przy

drzwiach odwrócił się na chwilę i spojrzał na szefa.

– Dzięki – powiedział i wyszedł.

XX

Wszystko było straszne. To znaczy wszystko w niej, w środku, bo zewnętrzny świat, w którym się znajdowała, dawał jej samą radość. Bliźniaki z ich czkawkami i kolkami, świrnięty i nieprzeciętnie uzdolniony Kuba Rozpruwacz, a nawet nabzdyczona Kasia junior... No i Kostek z żoną, którzy robili, co mogli, żeby było jej dobrze. Tak strasznie jej to było potrzebne, żeby ją teraz ktoś chciał i kochał... żeby choć na chwilę stłumić fale tęsknoty, które uderzały w nią coraz mocniej.

Kasia co chwila podpytywała, czy jest pewna swojej decyzji, rysując przed nią piękne wizje tego, co mogłyby robić wspólnie. Bywało, że Justyna łamała się i zaczynała wahać, ale za każdym razem, gdy spoglądała na kalendarz, widziała nadchodzące wielkimi krokami święta, których nie chciała spędzać tak blisko Łukasza.

Kiedy włączyła telefon, przez ponad kwadrans odczytywała wiadomości, jakie spłynęły przez ostatnie dni. Niezliczone próby połączeń od Brennera, jej siostry, Goški, a nawet Lubickich. Ale tego najważniejszego nie było... Serce zabolalo ją tak mocno, że natychmiast wyłączyła komórkę i padła na łóżko, zalewając się łzami. Katarzyna, gdy ją znalazła w tym stanie, usiadła obok i została tak długo, aż Justyna nie zasnęła.

W piątek wieczorem byli już spakowani. Od Jamala przysłała wiadomość, że najpóźniej w sobotę wieczorem muszą być na wojskowym lotnisku pod Londynem, skąd samolot transportowy ma ich przewieźć do Afganistanu.

– Nie ma już bazy w Tadżykistanie? – zapytała Justyna przy kolacji.

– Nie. – Kostek pokręcił głową. – W pewnym momencie zrobiło się tam bardzo gorąco, było na skraju wojny domowej. W ostatniej chwili zdołaliśmy uratować siebie i trochę sprzętu elektronicznego, ale jakieś granaty spadły na kontenery i straciliśmy mnóstwo broni i amunicji. Teraz Kabul jest najbez-

pieczniejszy. Najgorszy jest Pakistan.

Justyna kiwnęła tylko głową i cicho westchnęła. Kasia natychmiast dołożyła jej pierogów.

– Jamal Ci mówił, że Ahmed nie żyje? – zapytał Gogol.

– Nie, ale i tak wiem. Krokodyl dał mi jakieś materiały, kiedy u mnie był, i znalazłam tam między innymi informacje o zamachu, w którym zginął.

– Chłop miał pecha. Pojechał do rodziny, do Pakistanu, i poszedł z kimś na zakupy. Wtedy zamachowiec się wysadził, w samym środku wielkiego targu.

– Matko! – Kaśka cmoknęła z niezadowoleniem. – Czy Wy musicie o takich rzeczach rozmawiać właśnie teraz? Pogadacie sobie w samolocie.

Najmocniej przeżywał wyjazd Justyny Kuba. Nie mógł pogodzić się z tym, że dopiero ją poznał i już musiał utracić. Żeby uniknąć większych scen, rodzice nie posłali go do szkoły tego dnia, więc chodził za nią, na ile to było możliwe, krok w krok. Złościł się, jeśli, jego zdaniem, zbyt dużo uwagi poświęcała któremuś z bliźniąt, a po kolacji oświadczył, że musi z nią spać w jednym łóżku.

– Boże – Kostek westchnął z uśmiechem – mój syn to sobie potrafi ustawić życie. Nie dość, że mężatka, to jeszcze niedostępna, a ten po trzech dniach z nią do łóżka idzie.

Justyna nie bardzo wyobrażała sobie tę noc, przeczuwając, że mały owinie się na niej, jak to już kilka razy zrobił w ciągu dnia, bo okazał się bardzo chętny do przytulania. Ale kiedy tylko usłyszała jego równomierny oddech za swoimi plecami, sen szybko ją zmorzył.

Wylot z Jasionki mieli o jedenastej, więc przed dziewiątą trzeba było być na miejscu. Prowadził brat Kasi, obok którego siedział Gogol. Justyna zajęła kanapę z tyłu razem z Katarzyną... i Kubą. Mały uczeplił się jej jak mała małpka i nie chciał wypuścić, więc ostatecznie, w drodze wielkiego wyjątku, rodzice pozwolili mu jechać. Kostek tłumaczył Justynie, że dzieci nigdy nie jadą z nim na lotnisko, żeby uniknąć rozziewających pożegnań.

– Mała Kasia nie będzie miała nic przeciwko? – zapytała Justyna po cichu.

– Nie wygląda, żeby się sprzeciwiała. – Spochmurniał Gogol.

– Udaje, że nie przeżywa – domyśliła się. – Jest zbyt dumna.

– Może...

Już nie poruszała więcej tematu, żeby nie sprawiać mu przykrości. Takie problemy były jej obce i pewnie jeszcze długo będą, wołała więc nie wymądrzać się

niepotrzebnie. Widziała wyraźnie, że to dla rodziny wystarczająco trudne chwile.

W czasie drogi pod Rzeszów niewiele rozmawiali. Justyna patrzyła przez okno, trzymając w dłoni małą łapkę Kuby, który przytulił się do niej i udawał, że śpi. Zauważyła, że od kiedy zażywał kąpieli, spod jego nosa zniknął wieczny gil.

Na lotnisku Kasia uścisnęła Justynę tak mocno, że o mało nie złamała jej żeber. Mały postanowił być dzielny i walczył ze łzami, ale gdy odwróciła się ostatni raz przed odprawą, wycierał rękawem oczy. Wtedy coś się w niej złamało. Ból, jaki ją przeszył, był większy niż wszystkie inne, jakie знаła. To nie była tęsknota, tylko żal. Żal do Łukasza i do siebie samej. Do niego o to, że tak źle ją potraktował, mimo że wcale sobie na to nie zasłużyła, a do siebie, że dała tak sobą poniewierać.

To niesprawiedliwe! Nic złego nie zrobiłam, żeby tak uciekać jak szczur z tonącego statku. Dlaczego mu na to pozwoliłam? Czemu nie dałam mu przynajmniej po ryju, żeby nie pokazywać, że czuję się winna albo że jestem jakąś ofiarą? Jak mógł? Po tym, co przeszliśmy, po tym, co zrobiłam, żeby z nim być...

Zacisnęła mocno pięści, wbijając paznokcie w skórę. Pomyślała o tej sytuacji ze śledztwem i o innych rzeczach, o których wiedziała. To nieważne, że i tak musiałyby zniknąć, ale mogłaby zostać z rodziną Gogola i nie tułać się po jakiejś wojnie. Ten żal zamieniał się w gniew, który zaczął ją zamykać na niego od środka. Wiedziała, że musiałyby wydarzyć się cud, żeby zdołała znowu spojrzeć mu w oczy bez tego gniewu.

XXI

Długo w nocy myślał o tym, co usłyszał od szefa. Głównie o tym, że ostatnich jego rad nie posłuchał i dlatego musiał wysłuchać tego kazania... Doszedł też do wniosku, że i Kowalski miał rację, co do Eweliny – była tematem zastępczym, bo kiedy się nią zajmował, mniej myślał o żonie, a gdy nie myślał o żonie, nie czuł takiego bólu.

Czy to naprawdę koniec? Czy tak się ma skończyć całe to nasze życie razem? – ciągle zadawał sobie te pytania, nie potrafiąc ogarnąć umysłem, co w praktyce oznacza ów „koniec”.

Bronił się dość długo. Około trzeciej nad ranem wstał, żeby napić się wody. Stanął w ciemnościach przy zlewie ze szklanką w dłoni i spojrzął na bramę wjazdową na osiedle. W pewnej chwili zobaczył jakąś postać, która podeszła do furtki i zadzwoniła do ciecia, żeby otworzył. Serce Łukasza o mało nie wyskoczyło z piersi, gdy w tym kimś rozpoznał Justynę. Wizja tego, że wraca do domu, była jak elektroda podłączona do jego układu nagrody, który zaświecił właśnie jak stuwatowa żarówka. Ten ktoś w końcu dostał się na teren osiedla i zaczął iść w stronę ich klatki. Kiedy jednak nagle skręcił na chodnik prowadzący do klatki obok, Łukasz zorientował się, że to nawet nie była kobieta, tylko jakiś młody chłopak wracający z piątkowej imprezy. Wtedy żarówka zgasła...

Zrozumiał. To był sens jego życia od dnia, w którym spotkał ją w samolocie. Wciąż był tym samym człowiekiem, który zakochał się w jej uśmiechu. Nic się nie zmieniło. Nic! Przestały być ważne wszystkie inne sprawy, o które jeszcze poprzedniego dnia miał takie pretensje. Nie chciał wcale żadnych wyjaśnień, nie musiał wiedzieć, kim jest jakiś Krokodyl czy co robiła, zanim go poznała. Od kiedy byli razem, nikt inny przecież się nie liczył.

Położył się, ale wiedział, że ma marne szanse na sen. Bolało go i nie chciało mu się żyć. I już wiedział, skąd znał ten stan. Tak samo się czuł po jej porwaniu.

A w zasadzie gorzej, bo teraz to zniknięcie było świadomym wyborem Justyny. Dlatego tak uchwycił się myśli, że coś się jej stało, kiedy zrozumiał, że nie wróciła po rzeczy. Słowa Brennera, że ukryła się gdzieś z rozmysłem, zaboląły go najbardziej.

Gdybym wiedział, że tak zareaguje...

Schował twarz w dłoniach, a z jego piersi wydobył się głuchy szloch.

Wstał i ubrał się już przed szóstą. Nie robił kawy, żeby nie budzić Eweliny hałasującym ekspresem. Zajrzał do niej – spała mocno, najwyraźniej wciąż pod wpływem środka na uspokojenie. Musiał jej powiedzieć, że powinna jak najszybciej się wyprowadzić, bo głęboko wierzył w to, że uda się Justynę przekonać, żeby wróciła. Nie wyobrażał sobie sytuacji, w której jego żona zastaje jakąś obcą kobietę w mieszkaniu, mimo że taki był właśnie jego zamysł, gdy ją sobie ściągnął na głowę.

Na stojąco zjadł jakieś kanapki i zostawił dziewczynie kartkę na stole z wiadomością, że musiał pojechać do pracy. Droga do biura tego wczesnego sobotniego poranka zajęła mu niecały kwadrans. Na parkingu nie stało jeszcze żadne auto, ale przez okno Łukasz zobaczył światło w biurze szefa.

– Mielicie być na dziewiątą. – Brenner spojrzał wymownie na zegarek, kiedy Meyer wszedł do niego.

– Nie mogłem spać.

– Właśnie widzę – mruknął i rzucił krótkie spojrzenie na posiniaczoną twarz podwładnego, noszącą ślady niewyspania. – Ciężka noc?

– Chcę, żeby wróciła... jak najszybciej.

Brenner oparł się o blat biurka i zdjął okulary.

– Meyer... nawet jeśli uda się nam ustalić, gdzie się znajduje, lepiej będzie dla niej, żeby pozostała w ukryciu.

– Ale chcę przynajmniej wiedzieć, że będzie dobrze, że mnie nie zostawi.

Inspektor kiwnął głową.

– Muszę jechać do Rasiaka... Jest przed siódmą. Jedź ze mną, nie chcę, żebyś tu siedział sam i gapił się w ściany. Tylko głupoty Ci zaraz przyjdą do głowy.

– Mam iść na spotkanie z generałem?

– Nie. Możesz zostać w aucie albo poczekać gdzieś niedaleko. Sprawa, jakby nie było, dotyczy Twojej żony, więc i Twoja obecność będzie uzasadniona. Chodź i nie rób z siebie męczennika.

Łukasz zaproponował, że pojedą jego autem. Nie miał problemów z zaparkowaniem, ale pod budynkiem stało już kilka aut, a w oknach paliło się światło.

– Tutaj robota nigdy się nie kończy – westchnął Brenner, odpinając pas. – Idę. Trzymaj za mnie kciuki.

Kiedy szef zniknął w budynku, uwagę Łukasza przykuło auto stojące nieco na uboczu, za rogiem. Opierał się o nie wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze.

– BOR? – zadał sobie samemu pytanie i uważniej przyjrzał się samochodowi, w którym rozpoznał wóz rządowy. – Co jest?

Przyszło mu do głowy, że być może minister spraw wewnętrznych przyjechał, ale po pierwsze dzień i pora wyglądały na dość dziwne, a po drugie to raczej podwładny udaje się do swojego przełożonego, tak jak Brenner do Rasiaka, a nie odwrotnie. Skóra ścierpła Łukaszowi na całym ciele, gdy pomyślał, że to spotkanie Brennera z generałem ma związek z odwiedzinami kogoś z rządu.

XXII

Jak zawsze, Brenner zawahał się, nim zapukał do drzwi kancelarii swojego przełożonego. Kiedy po zdecydowanym „proszę” wszedł do środka, zastał Rasiaka siedzącego za swoim biurkiem, ale wyjątkowo niezajętego niczym innym, jak tylko oczekiwaniem na niego. Po jego minie poznał, że coś jest nie tak. W chwili, gdy miał się odezwać ze słowami powitania, zauważył, że generał nie jest sam. Przy parapecie, w miejscu, którego nie obejmowało światło z lampki na biurku, stał jakiś mężczyzna, odwrócony do nich tyłem.

– Pan usiądzie. – Generał wskazał miejsce przed biurkiem, zanim Brenner zdążył coś powiedzieć.

Mężczyzna odwrócił się w ich stronę, a Brenner o mało zawału nie dostał, kiedy rozpoznał w nim premiera Brzezińskiego. Miał ochotę zakląć głośno, ale na szczęście ugryzł się w język.

– Dzień dobry, panie inspektorze. – Premier uśmiechnął się, a Brenner mógł przysiąc, że zrobił to po przyjacielsku. – Miło mi znowu pana zobaczyć. Jak po awansie? Nie za dużo pracy?

– Ja... Dzień dobry. Yyy... tak, panie premierze... To znaczy, wszystko w porządku. Nie wiem tylko, czym sobie zasłużyłem...

– Pan premier ma do pana sprawę – Rasiak przerwał mu jego bełkotliwą wypowiedź. Brenner poznał, że szef jest bardziej niż zdenerwowany.

– Panie inspektorze – Brzeziński podszedł bliżej światła – mam pytanie: czy znane jest panu miejsce przebywania pani Justyny Dąbek?

Brennerowi zrobiło się gorąco. Zerknął na generała, który chwilowo na niego nie patrzył, tylko nerwowo wyłamywał sobie palce.

– Jeśli mam być szczery...

– Musi pan być szczery – wtrącił premier. – Tego od pana wymagam.

– Mam podejrzenia, że Justyna jest u kolegi na wsi, ale nie jest to jeszcze

potwierdzone.

– Rozumiem... – Brzeziński zamyślił się na chwilę, a następnie uśmiechnął do niego. – A jest pan przypadkiem w posiadaniu wiedzy, dlaczego pani Dąbek nie ma pod jej stałym adresem zamieszkania?

– Miała problemy małżeńskie... – Brenner zmarszczył brwi. – Skąd pan wie, że jej nie ma?

Brzeziński westchnął i znowu podszedł do okna.

– Jestem w sytuacji, w której muszę to wiedzieć. Powinien pan lepiej zapytać „po co” mi taka wiedza. – Odwrócił się i spojrzał na niego przenikliwie. – Nie dziwi pana, że się nią interesuję?

– Wie pan co... – Brenner nie mógł się nie uśmiechnąć, na co jego szef zareagował nerwowymi ruchami w fotelu. – Już mnie nic nie zdziwi.

Premier roześmiał się cicho i pokiwał głową.

– To dobrze. Będzie nam się lepiej współpracowało. Chcę, żeby pan ją znalazł i zapewnił ochronę.

– To właśnie zamierzałem zrobić. Ogłosiliśmy poszukiwania...

– Żadnych poszukiwań! – Premier podniósł dłoń i podszedł do biurka, o które się oparł, zostawiając za plecami Rasiaka. – Trzeba to załatwić po cichu. Proszę odwołać oficjalną akcję.

– Dobrze. – Brenner był w tym momencie bardzo zdenerwowany. – Zaraz odwołam... Panie premierze, czy mogę wiedzieć, co się dzieje... przynajmniej częściowo?

– Wie pan, kim była osoba, której spalone zwłoki znalazła policja pod Poznaniem?

– Nie.

– Ja też nie, ale to nie jest problem. Problemem jest to, że dowiedziało się o tym wojsko, które żąda głowy pani Dąbek na złotej tacy. Cały Sztab Generalny chodzi od czwartku w pampersach, takiego rozwolnienia dostali... Tam każdy na kogoś coś ma, ten cały Jaskóła też. Ja nie wiem, kogo trzyma za jaja, ale ten ktoś ścisnął jądra samemu zastępcy... Rozumie to pan?

– Teraz rozumiem – Brenner mruknął i z trudem powstrzymał odruch pogłądzenia się po łysinie. – Nie wiem tylko, kto pana trzyma za... – umilkł na widok miny Rasiaka, który o mało nie zabił go wzrokiem.

Premier roześmiał się znowu.

– A mnie, drogi panie inspektorze, czy nawet nadinspektorze... za jaja trzyma pani Dąbek.

Tego było dla biednej głowy Rafała Brennera za wiele. Nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

– Panie kolego... – Rasiak był bliski apopleksji.

– Spokojnie. – Premier nie wyglądał na zaskoczonego ani tym bardziej zagniewanego. – Mnie to też nawet bawi, kiedy pomyślę o sprawie na spokojnie.

– Pan wybaczy – Brenner w końcu zdołał się uspokoić – ale jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– A jednak coś pana zdziwiło... Pani Dąbek dysponuje pewną wiedzą na temat moich działań, jeszcze z czasów, gdy byłem szefem wywiadu.

– I uważa pan, że ją wykorzysta?

– Jestem tego pewien. Dziwię się tylko, że... pan się dziwi. Zapomniał pan, co zrobiła Jaskóła? Jestem w stu procentach przekonany, że zabezpieczyła siebie, a także męża, na wypadek, gdyby miało jej się coś stać. I uważam, analizując jej niektóre decyzje, że dała nam swoim zniknięciem czytelny sygnał, żebyśmy lepiej zajęli się sprawą z wojskiem...

Brenner chciał coś powiedzieć, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli premier pozostanie w tym przekonaniu. Uwagę, iż Justyna uciekła tylko ze względu na głupotę jej męża, zostawił dla siebie.

Każdy musi mieć coś w zanadrzu – pomyślał.

– Jednego dnia dowiadujemy się, że ciało spod Poznania nie należy do niej, a nazajutrz nikt nie może jej znaleźć – kontynuował Brzeziński. – Pani Dąbek nie jest w ciemni bita, przeszła zresztą odpowiednią szkołę... swego czasu.

Swoją wiedzę o pobycie Justyny w Afganistanie Brenner również zachował dla siebie, skoro szef rządu najwyraźniej był w jej posiadaniu. Kiwnął tylko głową na znak, że przyjmuje do wiadomości jego słowa.

– Muszę o to zapytać. – Spojrzał na Brzezińskiego. – Czego konkretnie pan ode mnie oczekuje?

– Że dowie się pan, kogo ciśnie Jaskóła, i załatwi go pan.

– Jak to? – Brennera zatkało. – Ale to nie mój resort. Nie mam środków, ludzi...

– Damy panu wszystko, czego będzie pan potrzebował – przerwał mu premier. – Ludzi, środki, a jeśli będzie trzeba, to nakazy aresztowania i zgody na

podśluchy... To trzeba załatwić. I nie tylko dlatego, że boję się o swoją dupę. Chodzi o to, że przez tę sprawę możemy położyć kilka innych, które są do zrobienia.

– Rozumiem. – Brenner zacisnął dłonie.

– I jeszcze jedno – przypomniało się premierowi. – Proszę pogadać z tym jej mężem. – Wskazał kciukiem na okno. – Widziałem, że pan z nim przyjechał...

Tego Brenner się nie spodziewał, żeby szef rządu był aż tak zorientowany w tym, kto jest kim.

– Niech mu pan powie, żeby uważał na siebie i nie wykonywał żadnych niepotrzebnych ruchów...

– Już kazałem postawić kogoś na obserwacji pod ich blokiem – rzucił niespodziewanie Rasiak, jakby od niechcienia.

– Bardzo dobrze. – Brzeziński potarł dłonie. – Kiedy ją znajdziecie, proszę natychmiast mnie powiadomić o tym, czy nic jej nie jest. Nie muszę wiedzieć, gdzie przebywa. Przynajmniej na razie...

– Mam jeszcze jedno pytanie... – Brenner czuł, że szef go zaraz zamorduje. – Jak pan zamierza powstrzymać wojsko? Na pewno zaraz wypuszczą w pościg stado żandarmów i swoich chłopców w czarnych garniturach...

– Niech się pan o to nie boi – zapewnił cicho premier. – Biorę to na siebie. Proszę zaraz odwołać te poszukiwania, żeby ktoś nadgorliwy jej nie złapał. I proszę brać się do pracy. Bardzo na pana liczę.

Brzeziński wyprostował się, więc Brenner zrozumiał, że to koniec audiencji i sam wstał z krzesła. Podał dłoń premierowi, a potem generałowi i wyszedł z pokoju. Niewiele zapamiętał ze swojej drogi na parking. Kiedy wsiadł do auta Meyera, był blady jak trup.

– Gadał pan z premierem – powiedział na powitanie Łukasz.

– Kurwa! – Brenner spojrzał na niego z gniewem. – Skąd Ty znowu to wiesz?! Czy Ty i Twoja żona musicie zawsze wiedzieć wszystko szybciej?

– Oj, przepraszam. – Łukasz uchylił się nieco i uniósł ręce w geście poddania. – Po prostu widzę samochód rządowy za winklem, a pana mina świadczy o tym, że to musiało być coś grubego...

– Dobra, wybacz. – Inspektor schował twarz w dłoniach. – Jedźmy stąd.

– Zaczekajmy. – Meyer zerknął na auto z pracownikiem BOR-u obok. – Chciałem zobaczyć premiera.

– Jedź, Meyer, bo się zaraz odwinę. Wystarczy, że on Cię już przez okno widział.

– A skąd premier wie, że ja to ja? – Łukasz odpalił silnik i wyjechał z parkingu.

– A skąd premier wie, kim jest Twoja żona? – zapytał z przekąsem Brenner.

– Yyy... nie wiem... Rozmawiał pan z premierem o mojej żonie?

– Wyobraź sobie, że tak.

– A co ona...

– Nie denerwuj mnie nawet, bo jak spotkam tę Twoją żonę, to sam jej spuszczę łomot.

– Aha... – Łukasz wykrzywił usta. – A potem pan spadnie z krzesła i sobie przypadkiem kark ukręci.

Brenner popatrzył na Meyera z otwartymi ustami, a po chwili wybuchnął gromkim śmiechem.

XXIII

- Tęsknię za narkotykami – westchnął Kowalski, opierając brodę na dłoni.
- Słucham? – Lenart spojrzał na niego zdumiony.
- No wiesz, za łapaniem handlarzy, tropieniem dużych przemytów, nawet za bieganiem po polach w poszukiwaniu plantacji konopi...
- Aha. – Lenart uniósł brwi i pokiwał z politowaniem głową.
- No co? – obruszył się Mariusz. – A Ty nie wolałbyś do tego wrócić?
- Nie no, jasne. Śni mi się to wszystko po nocach, z tęsknoty chodzę ledwo żywy.
- Śmieję się, śmieję... Popatrz, co my robimy? Najpierw łapaliśmy własnych kolegów. Teraz robimy jakąś... fuchę dla Brzezińskiego. Kim my jesteśmy? Prywatną policją?
- Możesz zawsze wrócić do prewencji. – Brenner miał cudowną zdolność wyrastania spod ziemi w najmniej oczekiwanym momencie. – Co masz, Lenart?
- Nic. – Spojrzał na szefa z lekkim wyrzutem.
- Co jest?
- Skoro ten cały premier tak chce pomagać, to mógłby pan załatwić lepszy dostęp do Adamiakowej. Mnie te Wasze wojskowe afery nie interesują, a też chciałbym pracować.
- Dobra, dobra. – Brenner machnął ręką. – Mów, czego chcesz.
- Podśluch w celi.
- Może być trudno.
- Albo funkcjonariuszkę, którą się z nią posadzi. Dopóki jest w śledczym, będzie prościej... chyba. – Przewrócił oczami i wyduł usta w grymasie, który wyrażał ogólne niezadowolenie.
- Co chcesz osiągnąć? – Brenner poczuł, że nie nadaża za szybkością wydarzeń.

– Jeśli to nie ona zlecała, to może wygada komuś, kto za tym stoi. Nam tego nie powie, bo pewnie jej grożono, ale niech jakaś sprytna dziewczyna tam pójdzie i się z nią zaprzyjaźni.

– Dobra. – Inspektor kiwnął energicznie głową. – Zadzwoń do Rasiaka. Coś jeszcze?

– Tak. Podśłuchy muszą wrócić do ich domu, znaczy się Adamiaków. I do firmy. To drugie bezwzględnie. Malicki podpowiedział, żeby znów zaangażować Lubickiego...

– Tak! – Brenner skierował w jego stronę palec. – Zróbcie to.

– No! – Lenart w końcu okazał wyraźne ukontentowanie, kiedy szef zniknął w swoim gabinecie. – Teraz mogę pracować.

– Idę po kawę – ziewnął Mariusz. – Strasznie mi się chce spać.

– Doprawdy? A to nowość.

Po odprawie na temat spotkania z generałem wszyscy mieli nietęgę miny. Każdy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że temat, którym mają się zająć, jest co najmniej śliski i może niedobrze skończyć się dla ich karier. Nieobce były im doniesienia o planach usunięcia Brzezińskiego ze stanowiska Prezesa Rady Ministrów. Opozycja, a zwłaszcza największa, ultraprawicowa partia, była gotowa zrobić wszystko, żeby załatwić premierowi odejście w aferze skandalu i z przyczepioną łatką zdrajcy narodu. Wyjście na jaw takiej sprawy byłoby im bardzo na rękę, ale wówczas oni – od generała Rasiaka do najniższego wśród nich rangą Kowalskiego – byliby skończeni i co najwyżej mogliby zatrudnić się jako ochroniarze na jakimś parkingu. Brenner nie musiał im o tym mówić, uprzedził jedynie, że daje wolną rękę, jeśli chodzi o podjęcie się tego zadania. Nikt nie zrezygnował. Wygrał duch hazardzisty, który drzemał w każdym z tych ludzi i co jakiś czas domagał się karmienia, choćby dzięki takiemu zadaniu.

W południe zjawił się Malicki. Brenner, kiedy go zobaczył, zaczął zastanawiać się, na ile wciągać go do sprawy. Mógł to łatwo załatwić, wystarczył jeden telefon...

– Mam dobre wieści. – Wyszczерzony komisarz wszedł do jego biura. W dłoni trzymał jakąś kartkę, którą zamachał inspektorowi przed nosem. – Gdzie jest Meyer?

– Poszedł do kuchni. Co masz?

– Adres tego całego Bąka. To nie było łatwe wbrew pozorom, ale... udało się.

Możemy tam zaraz jechać.

– Jak to: możemy? – Brenner zmarszczył brwi.

– No... myślałem, żeby zabrać się z Łukaszem i skoczyć pod ten Radom. Godzinka drogi.

– Nie... – Brenner spochmurniał. – Ja pojedę. Poniekąd przeze mnie jest to całe zamieszanie, więc biorę to na siebie.

– Aha... – Malicki był zaskoczony. – No dobra. To w takim razie mam wolne, tak?

Brenner wiedział, że jest zawiedziony. Kawaler, ożeniony ze służbą, nie był zbyt zajęty w sobotnie popołudnie.

– Nie masz – powiedział z westchnieniem. – Pogadaj z moimi ludźmi, najlepiej z Kotem. Niech Ci przekaże, czym się teraz zajmujemy, i daj mi odpowiedź, czy chcesz w to wejść.

– Jasne. – Oczy Malickiego zaświeciły się jak małe lampki. – Nie wiem, o co chodzi, ale już mogę powiedzieć, że wchodzę.

– Malicki... najpierw się dowiedz. Nie masz pojęcia, co to za syf...

– No to wchodzę na stowę. – Ruszył energicznie do drzwi. – Gdzie ten Koto-wicz?

Kiedy Łukasz wrócił do openspace'u, Brenner czekał już przy jego biurku ubrany, z kluczykami do auta w dłoni.

– Teraz ja prowadzę.

– A gdzie jedziemy? – Lekki niepokój zagościł w sercu Łukasza na widok poważnej miny szefa.

– Pod Radom. Mamy adres.

Wszyscy odwrócili głowy w ich stronę. Nikt nie komentował, ale było widać, że będą w napięciu oczekiwać na wyniki tej eskapady.

XXIV

Wszystko stało już na stole: dymiące kartofle posypane pietruszką, duszone żeberka, trzy surówki do wyboru i ciasto drożdżowe ze śliwkami. Przepyszny obiad, którego nikt nie miał ochoty jeść – najlepszy dowód, że ojciec właśnie wyjechał na bardzo długo.

Kasia westchnęła ciężko i nałożyła sobie jednego ziemniaka, którego poląła nieco sosem z żeberek. Jej siostra i matka co chwila starały się zabawić towarzystwo jakąś anegdotą, ale na niewiele się to zdało. Bliźniaki popłakiwały na blacie, mimo że miały sucho i były najedzone. Mała Kasia, bez słowa wyjaśnień, wstała od stołu i wyszła z domu, trzaskając drzwiami. Jej matka machnęła ręką, darując sobie bieganie za nią po ogrodzie. Zerknęła tylko przez okno, żeby stwierdzić, że jej córka chodzi koło podjazdu i kopie ze złością jakieś kamyki.

Kuba też nie miał apetytu, ale lubił żeberka, więc beznamiętnie obgryzał jedno, oczywiście bez użycia noża czy widelca. Po dwóch minutach był wymazany od palców po same pachy. Na to też jego matka nie miała siły reagować. Nie dziś.

– Zapomniałam podać kompot! – zawołała nagle mama Kasi. Wyglądała na ucieszoną z tego powodu, bo miała pretekst, żeby przerwać niezręczną ciszę. Zerwała się z miejsca i podeszła do blatu. Kiedy odwróciła się w stronę stołu, zastęła nagle z dzbankiem w dłoni. – Boże! Kto to jest?

Wszyscy naraz wyjrzeni przez okno. Na podjeździe stała czarna toyota na warszawskich numerach, z której wysiadło dwóch podejrzanych typów. Łysy o twarzy bandyty, ubrany w czarny płaszcz do kolan, i wysoki blondyn z krótko przyciętą brodą i wielką śliwą pod okiem. Ku przerażeniu Kasi, nieznajomi podeszli do jej córki, która siedziała właśnie na ławce pod żywopłotem, i najwyraźniej o coś ją pytali. Na ten widok pani Bąk poderwała się z krzesła i pobiegła do drzwi wejściowych. Kiedy je otwierała, w jej głowie zdążyło się narodzić setki

najgorszych scenariuszy na temat tego, kim mogą być Ci ludzie i co złego zrobią jej rodzinie.

Mężczyźni na jej widok zostawili dziewczynkę i zbliżyli się do ganku. Łysy wsunął dłoń pod połę płaszcza, co – według Katarzyny – wyglądało na sięganie po broń. Zanim jednak dostała zawału, facet zdążył wyciągnąć legitymację i machnąć nią przed jej nosem.

– Dzień dobry – uśmiechnął się niewyraźnie. – Inspektor Rafał Brenner, Centralne Biuro Śledcze. Czy mam przyjemność z panią Katarzyną Bąk?

– Tak. – Zamrugła powiekami, starając się znaleźć w pamięci, co jej ta nazwa i nazwisko przypominają. – O co chodzi?

– Czy moglibyśmy porozmawiać... w domu?

– Proszę. – Wcale nie miała ochoty ich zapraszać, ale wolała nie szarpać się z nimi na widoku. I tak już pewnie wszyscy sąsiedzi widzieli, że ktoś do nich przyjechał.

Cała rodzina patrzyła na nich w wielkim napięciu. Rozpruwacz, nieprzerywając konsumpcji kolejnego żeberka, był najmniej zdenerwowany. Łysy bandzior ze stalowym spojrzeniem zrobił na nim wielkie wrażenie. Blondyn, mimo że wielki, wyglądał raczej na mięczaka, zwłaszcza że spłoszonym wzrokiem rozglądał się po zebranych. Kuba wolał twardzieli.

– W czym mogę panom pomóc? – wydusiła wreszcie z siebie Kasia.

– Pani Bąk, czy zastaliśmy pani męża w domu? – zapytał Brenner.

– Yyy... Nie... Mój mąż wyjechał... do pracy.

Brenner z Łukaszem spojrzeli po sobie wymownie.

– Chce pani powiedzieć, że jest w Afganistanie? – Rafał nie krył zdziwienia.

Kasi zrobiło się gorąco. Nikt do tej pory nie interesował się jego zajęciem, mało kto w ogóle wiedział, co robi, a już zwłaszcza policja.

– No tak... – Wolała nie kłamać. – A po co panom mój mąż?

– Dostaliśmy pewne informacje... – Brenner potarł dłonią potylicę, rozglądając się po kuchni – że w państwa domu może przebywać pani Justyna Meyer. Szukamy jej.

Młodemu Bąkowi wypadł z dłoni na wpół ogryziony kawałek żeberka. Nabrał powietrza i już chciał coś powiedzieć, ale jego mama była szybsza.

– Tak, rzeczywiście – odparła, tym razem bez zajknięcia. – Justynka była u nas, ale już wyjechała.

– A nie wie pani dokąd? – zapytał cicho Łukasz. Na jego twarzy malowała się rozpacz.

– Nie wiem... Zresztą, nawet gdybym wiedziała, nic bym nie powiedziała. Nie znam Was, nie wiem, czego od niej chcecie...

– To moja żona.

Kasia, podobnie jak jej matka i siostra, zrobiła znaczącą minę, która powiedziała przybyłym, że Łukasz nie jest mile widziany pod tym dachem.

– I co? Mam się wzruszyć, tak? – Założyła ręce na swoje wielkie piersi.

– Proszę pani... – Brenner chciał coś powiedzieć, ale nie było mu to dane.

– Proszę pana, szukajcie jej sobie, droga wolna. Możecie nawet przeszukać dom – wskazała ręką na kuchnię – tu jej nie ma. A ja nie mam zamiaru udzielać Wam żadnych informacji. Jeśli nie macie więcej pytań, proszę nas łaskawie opuścić. Obiad nam stygnie.

Kasia ostentacyjnie zasiadła za stołem i nałożyła sobie sporą porcję surówki. W całym tym zdenerwowaniu i udawaniu, że nie jest zdenerwowana, nie zauważyła, że Kuby nie ma już na swoim miejscu.

Brenner spojrzał współczująco na Łukasza, który wcale nie miał zamiaru ruszać się z miejsca.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zaczął niepewnie inspektor. – Czy Justyna nie mówiła czegoś... czegoś, co naprowadziłoby nas na miejsce jej pobytu?

– Nie – padła krótka odpowiedź.

– To może mówiła cokolwiek? Coś, co mogłoby nam pomóc. Widzi pani, prowadzimy śledztwo...

Kasia przerwała mu, podnosząc dłoń. Spojrzała na Brennera przenikliwie.

– Jak się pan nazywa? Bo nie dosłyszałam.

– Brenner. Inspektor Rafał Brenner.

Katarzyna podniosła się z krzesła i wyszła z kuchni. Po chwili wróciła, niosąc w dłoni jakąś kopertę, którą podała Brennerowi i znowu zasiadła przed swoim talerzem.

Koperta na pewno była przeznaczona dla Rafała, bo znajdowało się na niej jego nazwisko. Powstrzymał jednak odruch otworzenia jej od razu. Uznał, że wyglądają z Meyerem wystarczająco głupio, stojąc na środku kuchni, kiedy wszyscy jedzą obiad.

– Dziękuję pani. – Kiwnął głową. Złapał Łukasza za mankiet i pociągnął

w stronę wyjścia. – Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała sucho Kasia, odprowadzając gości tylko pochmurnym spojrzeniem.

– Ale ma tupet – prychnęła jej matka, kiedy drzwi się zamknęły.

– Zostawiła dla niego list? – Dominika, młodsza siostra Kasi, wyciągała mocno szyję, patrząc przez okno. – A mężowi nie?

– Tak, ale nie sądziłam, że zjawią się tak szybko. – Kasia nabiła ziemniaka na widelec. – Mężowi nie zostawiła, bo nie przypuszczała, że on też będzie jej szukał.

– Jak to? Przecież to mąż – zdziwiła się Dominika.

– Taki mąż, że nie chciała już z nim mieszkać – mruknęła Kasia. – W sumie to dość dziwne... Gdyby się bardziej streścili, mogliby na nią trafić. Justyna domyśliła się, że łysy będzie jej szukać, ale mówiła, że pewnie zejdzie im kilka dni.

– Powiesz jej? – zapytała matka.

– Nie wiem... Na pewno powiem Kostkowi. Niech on oceni, czy nadaje się na przyjęcie takich nowin.

– A może to nieprawda była z tym mężem? – Dominika miała wątpliwości.

– Ale że co? Że to nie był on? Na pewno on, pasował do opisu...

– Nie. – Pokręciła głową siostra. – Może Justyna nie mówiła prawdy o powodach odejścia. Wyglądał na smutnego...

– Eh, Ty to zawsze wiesz, jak usprawiedliwić chłopa. – Kasia pokiwała głową z dezaprobatą. – Nie rozmawiałaś z nią, nie widziałaś, co się działo. Ocknął się, tylko nieco za późno. Ma za swoje. Zresztą Bambi mówił, że już mieszka z inną. Nic jej Kostek nie powiedział, bo by tu na pewno umarła z żalu.

– Świat na głowie stoi – westchnęła matka Kasi. – Żeby żona przed mężem na wojnę uciekała.

– Takie czasy... – Kasia sięgnęła po miskę z żeberkami i dopiero zauważyła brak syna. – A Kuba gdzie?

– Zjadł połowę żeberek, to uciekł przed surówką – uśmiechnął się pod wąsem milczący do tej pory szwagier Kasi.

XXV

Brenner wyjechał z podjazdu Bąków i zatrzymał się na ulicy. Spojrzał na Łukasza.

– Znajdziemy ją.

– Mogliśmy przeszukać ten dom. – W głosie Meyera słychać było desperację.

– Daj spokój. Nie wydaje mi się, żeby tam była. Wszyscy siedzieli przy obiedzie.

– Nakryć było więcej...

– Bo córka siedziała na dworze. Możemy jechać?

Łukasz skinął tylko głową i Brenner znów odpalił silnik.

– Stop! – usłyszeli donośny głosik z tylnego siedzenia. Obejrzeni się za siebie jak oparzeni. Pomiędzy ich fotelami stał śniady ósmiolatek z umorusanymi od tłuszczu palcami, które w rozkoszny sposób trwale brudziły ukochaną tapicerkę Brennera. Chłopak wpatrywał się w inspektora intensywnie, jakby chciał powiedzieć mu coś ważnego.

– Co Ty tutaj robisz, chłopczyku? Wracaj do domu. – Właścicielowi auta trudno było zachować spokój na widok rozmiarów zniszczeń czynionych przez młodzieńca.

– Nie jestem chłopczykiem – wycedził malec. – Jestem Kuba Bąk.

Brenner zmarszczył czoło. Rzeczywiście widział go przy stole, ale słabo wówczas mu się przyjrzał.

– Czego chcesz, Kubo Bąku? – zapytał.

– Mam do Ciebie sprawę – odparł mały z powagą.

Łukasz już wiedział, jak musiał czuć się ignorowany Słomkowski, gdy swego czasu odwiedzali poznańską komendę.

– Słucham Cię uważnie. – W istocie, inspektor wyglądał na zasłuchanego, co wyraźnie zadowoliło intruza w jego samochodzie.

– Chcę Cię wynająć – wyszeptał całkiem głośno i sięgnął do kieszeni spodni, z której wyciągnął, czystymi już prawie łapkami, banknot dziesięciozłotowy. – Zapłacę.

Brenner jeszcze nigdy nie był w podobnej sytuacji, wobec czego nie miał pojęcia, jak się zachować. Postanowił więc wciąż utrzymywać poważny ton.

– Oj, nie wiem... – Zrobił srogą minę. – To zależy, do czego chcesz mnie wynająć.

– Żebyś przywiózł mi z powrotem Justynę – padło zlecenie. – Jak to będzie za mało, to rozbiję skarbonkę. Tam mam ze dwadzieścia.

– A... ale... – Brenner zerknął na Łukasza, który zrobił się blady jak papier. – Ale ja nie wiem, gdzie jej szukać.

– Ja wiem – pochwalił się Kuba. – Ale jestem za mały, żeby po nią jechać.

Rafał obrócił się bardziej w stronę chłopca.

– Wiesz, gdzie jest Justyna?

– Wiem.

– Powiesz nam? – zapytał cicho Brenner, jakby bał się, że spłoszy malca. Ale Rozpruwacz nie wyglądał na takiego, co się kogoś albo czegoś boi.

– A przywieziesz mi ją? – Spojrzał inspektorowi głęboko w oczy. Twarz była poważna, jednak broda lekko drżała.

Kolejny trafiony – pomyślał Rafał z lekkim ukłuciem w sercu.

– Zrobię wszystko, co możliwe – obiecał Kubie. – Nie musisz mi nawet płacić. Tylko powiedz, gdzie ją znajdziemy.

– Justyna pojechała z tatą – powiedział cicho chłopiec, a głosik już wyraźnie mu się łamał.

– Z tatą? – Brenner czuł, że traci zdolność oddychania. – Do Afganistanu?

Meyer otworzył usta, ale niczego nie powiedział.

– Tak – szepnął załamany Jakub Bąk. – Dzisiaj rano.

XXVI

Zatrzymali się na jakiejś stacji benzynowej za Jedlińskiem. Łukasz poszedł za budynek w poszukiwaniu toalety, a Rafał stał niedaleko jezdni i beznamiętnie przyglądał się przejeżdżającym samochodom. Zachciało mu się palić, mimo że rzucanie nałogu zajęło mu wiele czasu. Był do tego stopnia zdesperowany, że z trudem powstrzymywał się przed pójściem do sklepu i kupieniem sobie paczki. Wypaliłby od razu całą i porzygał się, tak samo jak Meyer.

Był na niego zły. Nie okazał Łukaszowi, co czuł, i nie miał zamiaru tego robić, ale z wielką radością udusiłby go gołymi rękami. Reakcja Justyny świadczyła o tym, że naprawdę ją skrzywdził, skoro postanowiła nie tylko go zostawić, ale wrócić do starego sposobu zarabiania na życie. Ta decyzja była wielkim transparentem, mówiącym mężowi: „Wolę być na wojnie niż z tobą”.

Po dziesięciu minutach Łukasz nadal się nie pokazywał, więc zaniepokojony Brenner poszedł go szukać. Znalazł dość szybko, wymiotującego na trawnik.

– Idź się umyć. – Brenner dotknął jego ramienia. Wtedy zauważył, że jego podwładny płakał.

Łukasz kiwnął lekko głową i poszedł do WC. Kiedy wrócił, nie wyglądał wcale lepiej.

– Kupię Ci wodę i możemy jechać. – Brenner podał mu kluczyki do auta i oddalił się w stronę sklepu.

Początkowo nie rozmawiali. Na drodze nie było wielkiego ruchu, więc dość szybko pokonywali kolejne kilometry.

– Szefie – odezwał się w końcu Meyer, nie patrząc na Brennera – może w tej kopercie jest coś, co nam pomoże?

– Może – Rafał westchnął, ale nie sięgnął do kieszeni. – Ale to na pewno jej nie cofnie. Jeśli pojechała rano, to może już być daleko.

– Mogliśmy na nią trafić... – Łukasz oparł głowę o zagłówek. – Gdyby

Malicki miał wcześniej ten adres...

– Teraz nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Stało się. Dobrze, że chociaż wiemy, gdzie jest. Nie będziemy tracić czasu na bezsensowne poszukiwania.

– Jak mogłem na to pozwolić? – Meyer schował twarz w dłoniach. – Przez głupią zazdrość o faceta, którego nie widziałem na oczy.

– Myślałem, że jesteś zazdrosny o mnie – mruknął Brenner z ledwo wyczuwalnym sarkazmem w głosie.

– Którejś nocy usłyszałem, jak mówi przez sen. – Wydawało się, że Łukasz nie usłyszał kąśliwej uwagi szefa. – Spała niespokojnie, rzucała się na łóżku. Chciałem ją obudzić, a ona wtedy powiedziała „Krokodylu”. Jakby coś we mnie trafiło... jakby ktoś...

– Uderzył Cię w jądra – domyślił się Brenner i pokręcił głową. Też zwrócił uwagę, że ta ksywka przewijała się w cichych rozmowach Mrozowskiego i Bąka, ale nigdy nie pytał, kim jest owa mityczna postać. – Zapytałeś ją o niego?

– Tak. – Na policzkach Łukasza pojawił się rumieniec, który mocno kontrastował z jego bladością. – Zmieszała się... Powiedziała, że to jakiś jej dowódca z Afganistanu, który dużo ją nauczył. I że dzięki temu zdołała uciec porywaczom.

– Oj, Meyer... – Brenner potarł zmęczone oczy. – Jesteś dureń, wiesz? I mogę domyśleć się, co sobie zaraz uroiłeś: że to jakiś jej dawny kochanek i uciekła dla niego, a Ty myślałeś, że to miłość do Ciebie kazała jej nawiać bandytom i tak ją uskrzydliła, że nawet przez płot przeskoczyła.

Milczenie Łukasza podpowiedziało Rafałowi, że się nie pomylił.

– Miałeś jakieś kobiety przed Justyną?

– Miałem...

– Miałeś do tego prawo, skoro jej nie znałeś?

– Miałem. – Łukasz przygryzł wargę.

– I co? Myślałeś, że Justyna do spotkania Ciebie jak w klasztorze żyła i czekała na swojego księcia?

– No nie, ale...

– Przestań, bo podbiję Ci drugie oko. Trochę Ci się przyglądam i wiem, że ją bardzo kochasz, dużo bardziej niż przeciętny facet, który kocha swoją żonę... Przeraziło Cię to, co się stało. Po pierwsze porwanie i myśl, że możesz ją stracić,

a po drugie jej przeszłość i świadomość, że w jej życiu mogą być inni mężczyźni, którzy są dla niej ważni. Słomkowski miał rację: poczułeś, że spadasz z piedestału najważniejszej osoby w jej życiu, straciłeś grunt pod nogami. Paradoksalnie tym, co rozwaliło Wam związek, jest miłość, uczucie, które Cię przerosło. Dlatego też Justyna zareagowała tak, jak zareagowała. Ją wykończyło to samo.

– Tylko ciągle nie rozumiem, czemu nic mi nie powiedziała. Ja jej w ogóle nie znałem.

– Hm... To nie do końca prawda, że jej nie znałeś. Nie wiedziałeś o różnych zdarzeniach z jej życia, ale wiedziałeś, jaka jest. Gdyby oszukiwała Cię w tym, kim jest naprawdę, to wydałoby się to po paru miesiącach, a nie trwałoby kilka lat. Poza tym... jestem zdania, że zataiła te sprawy, żeby z Tobą być.

– Nie rozumiem. – Łukasz naprawdę nie umiał sobie tego wyobrazić. – Że co? Że nie chciałym jej, gdybym wiedział...

– Tak. – Brenner kiwnął głową.

– Ale to nieprawda!

– Nie jestem tego wcale taki pewny...

Łukasz chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł w głowie żadnego kontrargumentu.

– Sam kiedyś mówiłeś, że Twoja żona ma zdolność czytania ludzi – Brenner postanowił rozwinąć swoją myśl. – Nie przyszło Ci do głowy, że odczytała również Ciebie? Bardzo jej na Tobie zależało, tak bardzo, że usunęła z życiorysu wydarzenia, które, jej zdaniem, mogłyby Ci się nie spodobać. Najwyraźniej miała rację...

– Jej siostra mówiła, że nie chciała, żebym znał prawdę, bo pragnęła zapomnieć o złych przeżyciach...

– Tak, jeśli chodzi o pobyt w naszej armii, to na pewno. A co z Afganistanem? Powiedz mi, Meyer, tak z ręką na sercu, czy związałybyś się z kobietą, która spędziła półtora roku na wojnie, zabijając jakichś terrorystów?

Łukasz wzruszył ramionami, ale wiedział, że odpowiedź nie była łatwa.

– Źle zniosłeś myśl, że mieszkasz pod jednym dachem z kimś, kto może dużo więcej niż Ty, prawda? – Brenner zerknął na Meyera, z którego twarzy można było czytać jak z otwartej książki. – Wiedziałeś to już w chwili, kiedy zobaczyłeś ją z SAKO, którym rozwaliła rękę Sławkowi. To Ty byłeś zawsze ten silny

i wysportowany. Najlepszy na strzelnicy, pierwszy na akcjach... no, pomijając ten jeden raz, kiedy się zamknąłeś w mieszkaniu. Ambitny do bólu, bardzo skuteczny. Fajnie było mieć żonę, która patrzy na Ciebie z podziwem i nigdy nie zagrozi Twojej pozycji.

– Trochę pan przesadza – w głosie Łukasza nie było słycać przekonania.

– Nie przesadzam – odparł ostro Brenner. – A wiesz, co mi daje tę pewność? Fakt, że wracamy z Radomia z pustymi rękami, bo Twoja żona jest właśnie w powietrzu w drodze na wojnę. Nie chciałeś jej mieć takiej, jaką się stała dla Ciebie, to nie masz jej wcale.

Łukasz nic nie odpowiedział. Walczył ze łzami. Ostatnie zdanie szefa zabolowało go najmocniej, ale nie dlatego, że było nieprawdą. To była prawda w czystej postaci. Wiedział, że Brenner pewnie już żałuje tego wybuchu szczerości, jednak nie miał o to do niego pretensji. „Nie mieć wcale” było czymś najgorszym, co mogło go spotkać, i był gotów zrobić wszystko, żeby tego uniknąć. Wszystko!

– Chcę ją znaleźć – powiedział w końcu cicho.

– Słucham? – Brenner zamrugął powiekami.

– Chcę ją znaleźć... w tym Afganistanie.

– Chyba żeś na mózg upadł! Chcesz tam jechać?

– Tak.

– Nigdzie nie pojedziesz. Tam jest...

– Nie zabroni mi pan. Zrobię, co zechcę.

Brenner już nic więcej nie mówił. Zacisnął mocno szczęki i nadepnął mocniej na gaz.

XXVII

– Lecimy tylko my? – Justyna mrużyła oczy od słońca, kiedy rozglądała się po płycie lotniska.

– Z naszej grupy tylko my. – Gogol podał jej okulary przeciwsłoneczne.

Siedzieli pod ścianą jakiegoś hangaru na swoich nielicznych tobołkach i cierpliwie czekali na załadunek Herculesa, którym mieli polecieć do Camp Bastion w południowej części Afganistanu. Zabierali się z transportem leków, żywności i dużymi zapasami wody oraz kilkunastoma osobami z obsługi, ale że nie byli żołnierzami Armii Brytyjskiej, musieli liczyć się z tym, że zostaną poproszeni na pokład samolotu jako ostatni.

– A nie połapią się, że nie jesteśmy z organizacji humanitarnej?

Gogol spojrział na nią zniesmaczony.

– Jak będziesz zadawać więcej głupich pytań, to się połapią. Malina, wszystko załatwione.

– Ojej, niepokoję się. Jesteśmy najemnikami, którzy ładują się na legalny wojskowy transport. To trochę... porąbane. Nie sądzisz?

Kostek parsknął śmiechem.

– Jasne, porąbane. Według mnie nasza organizacja ma w sobie więcej sensu niż to całe wojsko. Przynajmniej nie udajemy, że zbawiamy świat albo ojczyznę. Możemy lecieć z nimi dzięki Tobie.

– Jak to?

– Jesteś kobietą i łatwiej było wcisnąć kit, że reprezentujemy jakąś organizację pozarządową. Louis wszystko załatwił.

– Żartujesz?! – Justyna spojrzała na niego zdumiona. – On jeszcze z nami?

– On bardzo z nami, zapewniam Cię.

– A Kermit?

– Jeszcze bardziej. – Kostek westchnął. – Wiem, że masz o nich wyrobione

zdanie, ale są wbrew pozorom dość przydatni. Ten facet, który wpuszczał nas na lotnisko, był kiedyś z Louisem w Legii Cudzoziemskiej.

– Co? – Justyna roześmiała się nerwowo. – A teraz pracuje tutaj?

– No widzisz, świat w ogóle jest porąbany. Kierownik załadunku naszego „Heńka” wiele razy podawał dla nas różne przesyłki. Ale nie martw się. Myślę, że nie spotkasz Louisa i jego drużyny pierścienia. Siedzą w Helmand i rzadko się z nami kontaktują.

– No i całe szczęście – mruknęła pod nosem.

Ruch na lotnisku wojskowym był spory, nikt jednak nie zwracał na nich specjalnie uwagi. Justyna zauważyła niewysoką panią sierżant, która nieopodal naprawiała silnik jakiegoś dżipa. Dziewczyna pochylała się mocno nad maską, wypinając umięśnione pośladki. Przechodząca obok grupka młodych żołnierzy skomentowała ten widok niesmacznymi gestami dłoni i bioder.

– Urodziłam się w złych czasach – westchnęła ciężko, obserwując tę scenę.

– Myślisz, że kiedyś było lepiej?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu nie przyzwyczaję się nigdy do tego, że toleruje się złe traktowanie kobiet.

– Ej – trącił ją łokciem – my nie pozwoliliśmy, żeby Cię ktoś źle traktował. Obroniliśmy Cię przed złym mężem.

– Przestań – uśmiechnęła się. – Łukasz nie jest zły, tylko... trochę się pogubił.

– Chyba trochę bardziej niż trochę – mruknął Gogol, patrząc w przeciwnym kierunku.

– Co mówiłeś?

– Nic, Malinka, nic... Słuchaj, powiedz mi, czemu tak naprawdę go tak wzięło? Myślisz, że to rzeczywiście zazdrość?

– Nie wiem sama. – Objęła rękami kolana. – Teraz, jak jestem już daleko, wydaje mi się, że coś go przerosło. Nigdy go takim nie widziałam. Ale...

– Ale co?

– Ale zawsze się bałam, że taki się stanie.

– Dlaczego? Ludzie tak łatwo się nie zmieniają.

– Przy mnie faceci się zmieniają. – Zaciśnęła usta. – Robią się zaborczy, chcą mnie mieć na własność. Pamiętasz, jak mówiłam Wam o historii Jacka?

– Jasne. Kłopoty z babami.

– Właśnie. Ja mam to samo. Jak tylko facet wyczuje, że może mnie stracić...

– zamilkła nagle, a jakiś dziwny skurcz przebiegł po jej twarzy.

– To co? – zapytał cicho, choć już wiedział, do czego zmierza ten wywód.

– Musiał się wystraszyć... że mnie straci. Ale dlaczego? Nigdy nie dałam mu ku temu powodów.

– Oj, Malinka – Kostek wziął jej dłoń w swoją i mocno ścisnął. – Jak Ty nic nie rozumiesz. Chłop to proste stworzenie. Chce zawsze mieć pewność, że będzie lepszy i mądrzejszy, żeby Cię chronić. A Ty okazałaś się być kimś, kto sam się ochronił w sytuacji zagrożenia życia. Gdybyś po ucieczce porywaczom pobięła do męża i zawołała: „Mężu mój, ratuj mnie! Gonia mnie źli porywacze!” – to może by jakoś to jeszcze zniósł.

Justyna zachichotała.

– No tak. – Gogol pokiwał głową. – A Ty co? Nazbierałaś ludzi, broń, wymyśliłaś plan i sama wszystkich rozwaliałaś.

– Wcale nie sama.

– Ale wiesz, o czym mówię. Wiadomość o naszej „firmie” – wskazał głową na samolot – tylko pogorszyła sytuację. Jak wróciłaś do domu, powiedział Ci choć raz: „Kochanie, jaka jesteś dzielna, sama uciekłaś bandytom. To zaszczyt mieć taką żonę”? No, powiedział Ci czy nie?

Justyna zamyśliła się i spojrzała na Kostka znad okularów.

– Nie... nie powiedział.

– No widzisz. Zabolało go to.

– No to co mam robić? Wrócić? Naprawić to?

– Nie – Gogol uśmiechnął się z nutką satysfakcji. – Teraz lecimy do pracy, a on niech się sam martwi, jak naprawić to, co zepsuł.

Kostek nie przekazał Justynie wiadomości od Bambiego o nowej lokatorce w ich mieszkaniu. Uważał, że tym bardziej należy ją wywieźć jak najdalej i trzymać w niewiedzy, dopóki się nie ogarnie i nie zapomni nieco. W jak kiepskim stanie jest jego przyjaciółka, mógł się przekonać jeszcze w samolocie stojącym na płycie w Jasionce. Justynie przyszło do głowy, że koniecznie musi zadzwonić do siostry, żeby upewnić ją, że z nią wszystko w porządku. Odebrał Jarek, jej szwagier, bo Basia, która, w przeciwieństwie do swojego męża, nie spała w sobotę do południa, zajęta była gospodarstwem. Już to zdenerwowało Justynę wystarczająco mocno, żeby się rozplakać. Jednak, żeby dołożyć sobie przykrości, wybrała jeszcze numer do teścia, o którego bardzo się martwiła. Najwy-

rażniej starszy Meyer wiedział o jej wyprawie, bo natychmiast zaczął namawiać ją do powrotu do domu, a kiedy stanowczo odmówiła, powiedział, że ma zamieszkać z nim. Na koniec oświadczył, że nie ma już po co żyć, skoro ona ich opuszcza.

Płakała cały lot do Londynu i jeszcze w busie, który wioził ich na lotnisko wojskowe, była więc mocno wyczerpana, zanim na dobre zaczęła się ich podróż. Gogol z trudem namówił ją na zjedzenie posiłku, który dostarczył im kierowca (Jamal pomyślał o wszystkim), a teraz niepokoił się, jak znieśie dalszy lot, na pewno ze śródlądowaniem gdzieś w Azji. Nie okazywał jednak nawet cienia zdenerwowania, grając, jak zawsze, optymistę i wesołka.

– No, chyba możemy się lądować. – Zaczął podnosić się z ziemi, kiedy dostrzegł znaki od kierownika załadunku. Pomógł Justynie wstać i założył jej plecak.

W samolocie nie było wygod. Trzeba było usiąść z boku przy ścianie na prowizorycznej ławce. Na szczęście mieli dość miejsca na nogi, bo zdarzało się, że trzeba było cały lot trzymać je podkurczone ze względu na duży załadunek.

– Jesteś gotowa? – zapytał, kiedy zaczęto zamykać samolot.

Kiwnęła tylko głową i już do końca prawie nic nie mówiła. Postój na zatankowanie maszyny mieli w Kazachstanie. Było bardzo ciemno i nieprzyjemnie zimno, ale to był jedyny moment na skorzystanie z toalety, więc biegli przez płytę lotniskową, nie zważając na wiatr i zamarzający deszcz, który siekł ich po twarzach. Gdy wrócili z powrotem do Herculesa, jeden z żołnierzy uśmiechnął się do nich blade.

– Lecicie do Kabulu? – zapytał.

– Tak.

– To macie szczęście. Nie możemy lecieć do Camp Bastion, bo od dwóch dni trwa ciężki ostrzał. Będziecie w Kabulu szybciej niż myśleliście.

XXVIII

Kiedy wrócili z Radomia, było po szesnastej. Brenner zaparkował pod biurem i stwierdził, że chyba wszyscy wciąż są w pracy. Aut nie ubyło, a nawet mógł przysiąc, że widzi ze dwa dodatkowe, ale nie przyglądał się im zbyt dokładnie.

– Szefie, mogę o coś zapytać? – Łukasz nie spieszył się z wysiadaniem.

– Pytaj.

– Czy pan się zakochał w mojej żonie?

Brenner chciał się roześmiać, ale uznał, że to byłoby niestosowne.

– Nie wiem – odpowiedział ku zaskoczeniu Meyera. – Ja uważam, że nie, ale moja żona twierdzi, że tak, a podobno ona zna mnie lepiej.

– Nabija się pan ze mnie.

– Wcale nie. Z ręką na sercu. Odbyłem z nią nawet rozmowę na ten temat. Grażyna jest przekonana, że Justyna „zawróciła” mi w głowie.

– I co? Nie złości się?

– Jakoś nie. Trochę ją to bawi, ale nie robi mi z tego powodu awantur. A czemu pytasz, jeśli można wiedzieć?

– Bo... mam wrażenie, że zajmuje się pan tą sprawą jakoś tak... za bardzo. No, zaangażował się pan.

– Nie zaprzeczę. – Brenner był całkiem poważny. – Kiedyś lubiłem i szanowałem Twoją żonę, ale od czasu porwania, zacząłem ją podziwiać.

– Dlaczego?

– Meyer, czy Ty naprawdę jesteś taki głupi? Pomyśl sam, co mogłem czuć, kiedy tu przyszedłem, zwabiony wiadomością, niby od Ciebie, a ona sobie spokojnie siedziała w moim fotelu. Jeśli mam być szczerzy, chciałbym mieć kogoś takiego w naszym zespole. W ogóle brakuje nam kobiety albo kobiet...

– Ja nigdy nie chciałem pracować z kobietami – wyznał szczerze Łukasz.

– Wiem. Zauważyłem.

– Trochę mnie ta Żaneta przekonała, ale generalnie dla mnie to zawsze była pomyłka, żeby kobiety służyły. Ale... – machnął ręką – nieważne.

– Nie, dlaczego? Właśnie ważne. Nareszcie powiedziałeś coś, co świadczy o tym, że Justyna miała rację, nie mówiąc Ci o swoim pobycie w wojsku. – Spojrzał przenikliwie w twarz podwładnego. – Dobrze Cię wyczuła. Chodźmy nareszcie do ludzi.

Kiedy wchodzili do openspace’u, drogę zastawił im Słomkowski z bardzo zakłopotaną miną.

– Co jest? – zirytował się Brenner. – Z drogi!

– Panie inspektorze... yyy... ja wiem, że nie powinienem, ale pozwoliłem sobie...

– Na co, na Boga? – Staął jak wryty.

– Poprosiłem o pomoc naszego kolegę z Poznania. Siedzi przy biurku Łukasza, bo ja nie mam jeszcze swojego. – Wskazał ręką na ubranego po cywilnemu kapitana Kozere.

– Pan żandarm! – Brenner ucieszył się. – Witam pana wyróżnionego. Jak tam, bardzo koledzy dogryzają za te medale od premiera? – Podeszedł do oficera i podał mu dłoń.

– Koledzy to nie problem. – Machnął ręką strapiiony Kozera.

– A co jest? Zapraszam do siebie.

– Szefie, a co z tym Radomiem? – Kowalski wychylił się znad komputera.

– Niech Wam Meyer mówi. – Odwrócił się na pięcie i zaprowadził gościa do swojego biura.

Wszyscy spojrzeli pytająco na Łukasza, który stał bezradnie przy biurku.

– No i? – pierwszy odezwał się Lenart. – Znaleźliście ją?

– I tak, i nie. Przyjechaliśmy za późno.

– Co się stało? – Kotowi od razu skoczyło ciśnienie. Podeszedł do Łukasza, mimo że miał zamiar być na niego pogniewany.

– Nic. Po prostu wyjechała dziś rano, parę godzin przed naszym przyjazdem.

– Dokąd? – Kotowicz miał złe przeczucia.

– Do Afganistanu. – Łukasz spojrział na przyjaciela z nieskrywaną rozpaczą. – Poleciała na wojnę z tym całym Gogolem.

– No tak – stwierdził nieco kąśliwie Lenart. – To przynajmniej nie musimy jej już szukać.

– Ale jaja! – Kowalski kręcił głową, ale wyraz jego twarzy zdradzał jakiś rodzaj podeksycytowania. – I znowu będzie tłukła Talibów?

Łukasz spojrział na niego, jakby teraz on miał ochotę mu przyłożyć.

– No co? – Mariusz wzruszył ramionami. – Nie spotkałem kobiety, która robiłaby takie rzeczy. U nas wielkie halo, jak któraś na strzelnicę przyjdzie.

– Nie przesadzaj. – Piotrek Mzygłód puknął się w czoło i popatrzył na Łukasza. – Słuchaj, może to i dobrze. Tutaj naprawdę jest nieciekawie z tym wojakiem. Tam jej nie znajdą.

– Co masz na myśli? – Meyer ściągnął kurtkę i usiadł na fotelu.

– Sisior ściągnął Kozereę. – Piotr wskazał na biuro szefa. – Ale to on pierwszy go łapał, bo podobno miał telefony z pogrózkami. Ktoś poprzebijał mu opony. Musiał wysłać żonę z dzieckiem do teściów, bo na klatce znalazł lalkę córki z ukreconą główką. Słomkowski wymyślił, żeby wciągnąć go do sprawy, skoro i tak jest w to zamieszany. Wziął więc urlop bezpłatny i przyjechał.

– Może się przydać. – Łukasz pokiwał głową. – Bardzo się angażował w zła-panie Jaskóły.

Nagle ze swojego biura wypadł Brenner. Rozejrzał się po twarzach i zmarszczył brwi. Łukasz zauważył, że w dłoni trzymał kopertę od Justyny.

– Gdzie jest Malicki? – zapytał szef.

– Pojechał po chińczyka. Zaraz będzie.

– To dawać mi go tutaj.

– Co się stało? – Łukasz podniósł się z miejsca.

– Czytaj. – Brenner podał mu kartkę. – Na głos.

– „W nocy z wtorku na środę ktoś spalił samochód redaktora Kołeckiego. W jego skrzynce był list z pogrózkami, a do pracy przyniesiono mu wiązanek chryzantem z napisem pogrzebowym. Sprawdź to. Justyna”. – Łukasz czuł się dziwnie, widząc jej charakter pisma. Podniósł wzrok na szefa. – Skąd ona o tym wiedziała?

– Nie mam pojęcia. – Brenner zabrał mu kartkę. – To nieistotne. Zabiję Wiśniewskiego... i jego szefa też. Powinni pilnować tej sprawy.

W drzwiach zjawił się Malicki z uśmiechem na twarzy i siatkami w dłoniach, na które zaraz rzuciło się wygłodniałe towarzystwo.

– O, pan inspektor. Dobrze, że kupiłem więcej – ucieszył się.

– Malicki, wiesz coś o tym? – Brenner podał mu wiadomość od Justyny.

Zdezorientowany Michał przebiegł wzrokiem po kartce i pokręcił głową.

– Nie. Pierwsze słyszę... to znaczy czytam. Ale co? Znaleźliście ją? – Spojrzał na Łukasza pytająco. Meyer pokręcił głową.

– Dobra, nieważne. – Brenner potarł łysinę. – Trzeba się tym zająć. Zadzwoń do Bieleckiego i coś musimy ustalić. Mam nadzieję, że w tych nerwach komuś powinie się noga i popełni jakiś większy błąd. Dajcie mi tego chińczyka. Zaraz tu umrę z głodu.

XXIX

Najpierw zadzwonił Mrozowski. Brenner nie był zadowolony, kiedy zobaczył jego numer na wyświetlaczu komórki, ale humor szybko mu się poprawił, jak tylko zorientował się, że pan konsultant nic nie wie o wyjeździe Justyny. Niczego mu jednak nie mówił, a nawet dość chętnie udzielił informacji na temat tego, czym się zajmują. Pominął oczywiście całkowicie wątek z premierem.

– To mogę Ci jakoś pomóc? – zapytał Bambi po wysłuchaniu opowieści inspektora.

– W zasadzie to nie wiem. – Brenner potarł dłonią głowę. – Zależy, jakie masz doświadczenia w armii i czego mógłbyś się dowiedzieć.

– A czego konkretnie potrzebujesz?

– Kozera mówił nam, że Jaskóła ma w DWŁądzie jakiegoś majora, który był jego wychowankiem jeszcze w szkole chorążych. Właśnie on ukręcał łeb każdej sprawie, w jakiej pojawiała się jego nazwisko.

– No... to jest do zrobienia. – Bambi złapał kartkę i zaczął notować.

– Ale wiem, że ten, kogo szantażuje, jest ze Sztabu Generalnego... gruba ryba, jednym słowem.

– Rozumiem – mruknął Tomek. – Czyli że ma coś na niego.

– Zgadza się.

– Z tym może być trudniej, ale powęszę nieco wśród starych znajomych. Muszę tylko uważać, bo wszyscy mają teraz paranoję ze służbami – roześmiał się. – Nigdy nie wiesz, czy ktoś właśnie nie przeszedł na ciemną stronę mocy.

Zaraz po Mrozowskim zadzwonił Rasiak.

– Ma pan jakichś ludzi do dyspozycji? – zapytał lekko zdyszany generał, jakby właśnie biegł.

– Mam.

– To niech ich pan wyśle do Stołecznej. Policjanci z obserwacji złapali chło-

paka, który wkładał Meyerom list z pogrózkami. Trzeba się nim zająć.

– Dobrze, już wysyłam – spojrzał przez szklaną ścianę na Kowalskiego, którego kuzynka ciągle przebywała w mieszkaniu Łukasza.

Na koniec przypałętał się Meyer. Wszedł do jego biura i usiadł smętnie na krześle.

– Chcę porozmawiać z premierem – zaczął bez zbędnych wstępów.

Brenner pomyślał, że jak na jeden dzień, to aż nadto ma wrażeń.

– A ja chcę jechać do domu i obejrzeć z żoną głupi program ze śpiewającymi małpami. – Spojrzał na Łukasza z politowaniem.

– Ten program jest jutro, a ja naprawdę chcę...

– Meyer, jak Ty to sobie wyobrażasz, co?

– Że zadzwoni pan do Rasiaka i mi to załatwi.

Rafał musiał przyznać, że zabrzmiało to dość sensownie, mimo że wcale takie nie było.

– Dobra, niech Ci będzie – powiedział w końcu, choć sam się sobie dziwił. – Postaram się to zorganizować.

– Dzięki.

– Ale musisz liczyć się z tym, że nic z tego nie będzie. Kot już dzwonił ze Stołecznej?

– Tak. Mówił, że ten chłopak nic nie wie... Tak przynajmniej zeznaje. To jakiś student, który oferował korepetycje w sieci. Dostał nietypowe zlecenie za dość sporą sumę. Podrzucił list Kołeckiemu, więc myślał, że to nic niebezpiecznego, no a u nas w bloku trochę się zdziwił, jak został aresztowany.

– No tak... – Brenner zamyślił się. – Jest więc szansa, że znajdą zleceniodawcę po adresie IP.

– Co robimy dalej? – zapytał cicho Łukasz.

– Myślę, że musimy się podzielić. Część z Was niech zajmie się sprawą porwania, reszta wojskiem. Już mówiłem Rasiakowi o Kozerze. Zostanie z nami i da nam wsparcie. Może uda się wciągnąć do tego kogoś jeszcze z Żandarmerii. Słuchaj, nie przejechałbyś się do Poznania w poniedziałek?

– A po co? – To było ostatnie, o czym marzył Łukasz.

– Z naszym kapitanem. Jak mu tam na imię?

– Maciek.

– Pojechałbyś z Maćkiem po jego rzeczy. I mam jeszcze jedną prośbę...

Odwiedź Żanetę.

– Panią nadkomisarz? – Łukasz uśmiechnął się. – Coś mam jej przekazać od pana?

– Pozdrowienia. Nie rób min. Dobrze wiesz, że sam powinienem jechać, ale wolałbym nie naciągać struny cierpliwości Grażyny. Nie wiem, jak bardzo jest elastyczna.

– Dobrze, mogę ją odwiedzić. Może trzeba zrzucić się na prezent?

– Dobry pomysł. – Brenner sięgnął po portfel. – Masz stówę. Wymyślcie coś dla niej.

– Ale zadzwoni pan?

– Gdzie znowu?

– No, do generała.

– A... tak, zaraz zadzwonię. Idź już i mnie nie denerwuj.

Brennerowi nie było spieszno do rozmowy z szefem. Zerknął na zegar, który wskazywał siódmą. To był bardzo długi dzień.

– Dobrze, że pan dzwoni – usłyszał niespodziewanie ucieszony głos Rasiaka.
– Miałem właśnie pana pogonić z przesłuchaniem tych porywaczy. Trzeba się za nich ostro wziąć, bo zaczynają fikać coraz bardziej. Czy coś panu wiadomo, kto zabił ich kolegę?

Brennera oblał zimny pot.

– Yyy... w zasadzie nie mamy nic...

– Dobra, nie pitoł pan, tylko mów, jak jest.

– Mieliśmy podejrzenia, że to Justyna, ale...

– I bardzo dobrze. To znaczy dobrze, że gnoja zabiła, ale i niedobrze, że zabiła, bo może pójść za to siedzieć. Musimy ukrócić zapędy tych dwóch do rozprowadania tej sensacyjnej wiadomości. W obliczu... hm... sytuacji z panem premierem... nie byłoby to nam na rękę.

– Oczywiście...

– Panię, trzeba zastosować konieczne środki, wszelkie możliwe i niemożliwe.

Rozumie mnie pan?

– Tak. Pani generale, dzwonię w pewnej sprawie... Chodzi o Meyera.

– O matko z synami! – westchnął Rasiak. – A z nim co znowu się dzieje?

– On... chciałby rozmawiać z premierem.

– Hm... – Ku zaskoczeniu Brennera, nie wybuchnął gniewem, tylko na chwilę

zamilkł. – Dobra, powiem mu o tym. Niczego nie obiecuję, ale powiem... Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

– No i dobrze. Bo już mi się mózg gotuje.

Brenner był zdumiony reakcją przełożonego na jego prośbę, ale też zmartwiony poleceniami, które usłyszał. Spojrzał przez ścianę na swoich ludzi.

– Jest nas za mało – westchnął i opadł bezradnie na fotel.

XXX

Choć wydawało się to niemożliwe, niektórym udało się nareszcie wyłączyć komputery i wyjść do domu. Nawet Malicki sobie poszedł. Łukasz nie miał co robić, ale wcale mu się nie chciało wracać do mieszkania, w którym czekała Ewelina. Kot zaproponował wyjście do jakiejś restauracji. Odmówił.

– Chodźmy. – Tomasz kiwnął głową, wskazując na drzwi. – Nie będziesz tu siedział.

Meyer podniósł się i zgasił lampkę na biurku. Kiedy wychodzili, młody policjant za kontuarem tylko rzucił na nich okiem i wrócił do przeglądania gazety. Od jakiegoś czasu budynku nie chroniła już prywatna firma.

Zanim zeszli ze schodów, Łukasz już wiedział, że coś się szykuje, bo dostrzegł w oddali samochód, który widział rano. Nie zdążył jednak nawet nic powiedzieć...

– Pan Łukasz Meyer? – usłyszał niski głos koło ucha. Z ciemności wyłonił się mężczyzna w czarnym garniturze.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Zapraszamy. – Nieznajomy wskazał na auto rządowe. – Ktoś chce z panem porozmawiać.

– O co chodzi? – Kot był zaniepokojony.

– Nic. – Łukasz spojrział na niego z uśmiechem. – Wszystko w porządku. Jedź do domu.

Mężczyzna otworzył tylne drzwi, ale Łukasz nie dostrzegł nikogo siedzącego na kanapie.

– Proszę się nie bać. Zawieziemy pana, gdzie trzeba – powiedział człowiek w garniturze na widok jego zmieszanej miny. – Potem odstawimy pana do domu.

– Ale tu jest moje auto.

– Niech pan da kluczyki. Kolega się nim zajmie.

Z samochodu wysiadł drugi facet, który wyciągnął dłoń w stronę Meyera. Chcąc nie chcąc, wygrzebał z kieszeni kluczyki i mu je podał.

Dość szybko się zorientował, że jadą w Aleje Ujazdowskie. Serce zabiło mu mocno na myśl, że naprawdę spotka się z Brzezińskim. Dopiero w tym momencie zaczął zastanawiać się, co mu chce powiedzieć, żeby nie wyjść na idiotę.

Prowadzono go bez słowa przez korytarze, niemal całkowicie ciemne i zupełnie opustoszałe. Ale wiedział, że i tutaj praca dla niektórych się nie kończyła. Najwyraźniej premier również nie przyszedł do swojej kancelarii specjalnie dla niego, bo kiedy go zobaczył, był zajęty czytaniem stosu dokumentacji. Zerknął przelotnie na Łukasza znad okularów i tylko kiwnął lekko głową, ale trudno było powiedzieć, czy to odpowiedź na ciche „dobry wieczór” Meyera, czy znak dla ochroniarza, który natychmiast się ulotnił.

– Witam pana – powiedział po dłuższej chwili, odkładając okulary na bok. Najwyraźniej nie lubił przerywać czytania w środku jakiegoś wątku. – Przekazano mi, że chce się pan ze mną widzieć.

– Tak... panie premierze... ja... dziękuję, że zgodził się pan...

– Dobra, do brzegu. – Brzeziński nie wyglądał na zirytowanego. Po prostu wolał darować sobie zbędne uprzejmości.

– Chodzi o moją żonę.

– Domyślam się.

– Wiem, że ma pan swoje problemy i wielkie tajemnice, ale chcę, żeby wróciła do domu.

Premier zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, czy dobrze go zrozumiał.

– To nie są moje tajemnice i moje problemy, tylko państwowe. To po pierwsze. Po drugie zaś nie rozumiem, dlaczego ja miałbym mieć coś wspólnego ze zniknięciem pana żony, czy też raczej z jej powrotem.

– Chcę, żeby wróciła z Afganistanu.

Na twarzy Brzezińskiego pojawiło się coś więcej niż zaskoczenie. Odchylił się mocno do tyłu i roześmiał nerwowo.

– Co pan mówi? Pana żona jest w Afganistanie?

– Tak. Pojechała... do tej całej „firmy”, tej prywatnej armii.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Jest pan pewien?

– Tak.

Brzeziński nabrał powietrza i gwałtownie je wypuścił, jakby odczuł wielką ulgę. Oparł się o blat i spojrzał z uśmiechem na Łukasza.

– To bardzo dobrze. Nie przypuszczałem, że pana żona aż tak szybko zareaguje. Bardzo się cieszę.

– Ale ja nie! – Łukasz poczuł, że oddala się od zamierzonego celu. – To moja żona, a tam jest wojna...

– Panie Meyer – oczy premiera zaświeciły się nienaturalnym blaskiem – wojna jest tutaj. Nie zauważył pan?

– Jakoś nie.

– Jak długo jesteśmy w Afganistanie?

– No... kilka lat.

– Weźmy ostatnią dekadę w naszym państwie. Ilu ludzi z najwyższych władz i różnych służb straciło życie? A ilu w Afganistanie? Gdybyśmy te liczby podzielili przez liczbę mieszkańców, mogłoby się okazać, że to u nas jest coś naprawdę nie tak.

Łukasz nic nie odpowiedział. Zacisnął mocno pięści i nie patrzył premierowi w oczy.

– Pana żona dobrze zrobiła. Tam jest o wiele bezpieczniejsza, zapewniam pana. A pan... pan powinien też pomyśleć o sobie, zamiast szukać guza. – Spojrzał wymownie na jego policzek. – Proszę wrócić do domu i dobrze zamknąć drzwi.

– Pan coś insynuuje? – Łukasz popatrzył na niego z gniewem.

– Nie, tylko mówię, że nie jest pan bezpieczny. Kto pojechał pana samochodem?

– Ktoś z pana ludzi zabrał kluczyki.

– Ten ktoś leży właśnie na Szaserów z pękniętą czaszką. Nie zdążył zaparkować, bo został napadnięty. Najwyraźniej napastnik myślał, że to pan. Dobrze, że był patrol na obserwacji, napastnika niestety nie złapano.

Meyer poczuł, że robi mu się słabo. Otworzył usta, próbując złapać powietrze.

– Tam jest wojna, tak? – Brzeziński uśmiechnął się krzywo. – Wracaj pan do domu, weź sobie jakąś kobietę i udawaj, że żona odeszła. Dla jej i własnego dobra.

Łukasz zaczął się powoli podnosić. Nie miał już ochoty nic mówić, nawet „do

widzenia”. W głowie mu szumiało, a serce chciało wyskoczyć z piersi.

Jak spod ziemi wyrósł przed nim mężczyzna w garniturze.

– Chodźmy. – Wskazał na drzwi. – Samochód czeka.

Po wyjściu Meyera z gabinetu Brzeziński wyciągnął się wygodnie na swoim fotelu. Pierwszy raz od kilku dni poczuł się w miarę wyluzowany, bez uczucia zaciskającej się mu na szyi pętli. Żadna z prób skontaktowania się z Muszyńskim nie powiodła się, nie mógł nawet sprawdzić w żaden sposób, czy jeszcze żyje... A tu taka niespodzianka! Pani Dąbek załatwiła za nich całą robotę i sama pojechała na wojnę.

Premier roześmiał się cicho i podszedł do okna.

Trzeba dziewczynie pomóc wykaraskać się z tego gówna – pomyślał z zadowoloną miną, patrząc na zachmurzone niebo. Bije na głowę większość gamoni, którzy tu zostali. I trzeba dobrze z nią żyć, bo warto takich ludzi mieć po swojej stronie...

XXXI

Gogol delikatnie potrząsnął jej ramieniem, kiedy maszyna zaczęła obniżać lot i musieli zacząć przygotowywać się do lądowania. Podniosła się z prowizorycznej poduszki zrobionej z jego kurtki i rozejrzała zaspanymi oczami.

Przez jedno z małych okrągłych okienek zauważyła skrawek błękitnego nieba, a po chwili promień słoneczny dotknął jej twarzy. Nad Afganistanem wstawał świt, co oznaczało, że w Polsce ciągle jest ciemna noc. Tutaj jednak było inne życie, to był zupełnie inny świat.

Wyciągnęła szyję, próbując zobaczyć coś przez okno, i gdy przy kolejnym skręcie samolotu ujrzała charakterystyczny widok spalonej słońcem ziemi, w jej sercu dokonało się coś, czego spodziewała się najmniej: poczuła radość. Fala szczęścia i jakiejś irracjonalnej ulgi zalała ją od stóp po czubek głowy. Odpuściły trzymające ją od wielu dni okowy lęku i poczucia winy, jakby Afganistan był zwykłym antydepresantem, przepisywanym na receptę. Bała się nieznanego, ale nie tak bardzo jak tego, co zostawiła za sobą. Nagle jasne stało się, że tęskniła za tym miejscem przez ostatnie lata, mimo że zrobiła bardzo wiele, żeby zapomnieć i wyprzeć tę tęsknotę.

Dlaczego? Co się ze mną dzieje? – pytała samą siebie, szukając w sobie choćby cienia tego żalu, z którym wyjeżdżała. Znalazła jedynie ekscytację i poczucie, że oddycha swobodnie, bo nie jest wciśnięta w żaden ze swoich uniformów – ani ten biurowy, ani ten niewidzialny, w którym chodziła w swoim małżeństwie...

Gogol zauważył przemianę Justyny. Nic jednak nie powiedział, tylko z uśmiechem przyglądał się jej rozświetlonej twarzy. Bardzo był zadowolony, że nie przywozi ze sobą zapłakanego stworzenia, którym była jeszcze w Polsce. To dobrze wróżyło na kolejne dni i tygodnie.

Samolot został posadzony w dość siermiężny sposób. Wszyscy pasażerowie

mocno odczuli zetknięcie z płytą lotniska, a dla niektórych była to bolesna pobudka. Kiedy śmigła przestały się kręcić i zrobiło się niemal cicho, żołnierze brytyjscy wcale nie palili się do wysiadania. Przymusowy pobyt w Kabulu oznaczał, że najprawdopodobniej będą musieli pokonać resztę trasy po afgańskich drogach albo zaczekać, aż zostaną wznowione loty do Camp Bastion.

Gogol z Justyną poderwali się z miejsc i z niecierpliwością czekali na otwarcie tylnego wjazdu. Podróże do Afganistanu nigdy nie należały do przyjemnych, mimo że ta akurat była wyjątkowo krótka.

– Mamy szczęście, co Malinka? – Kostek błysnął zębami. – Pobiłem rekord dotarcia na miejsce o jakieś dwie doby. Ostatnio leciałem prawie tydzień.

– Mamy szczęście – westchnęła Justyna z nieskrywaną radością w głosie. – Ktoś po nas przyjedzie?

– Muszę zadzwonić do Jamala, jak tylko włączę telefon. Mieliśmy jakieś śmigła z Camp Bastion zaplanowane na jutro, ale skoro już jesteśmy, to trzeba mu powiedzieć, żeby wysłał samochód na lotnisko.

Justyna skinęła głową i zaczerpnęła po raz pierwszy od dawna afgańskiego powietrza, wypełnionego unoszącym się wszędzie bardzo drobnym pyłem. Zeszli po wjazd i zaczęli przemierzać płytę lotniska, nie pytani o nic przez nikogo. Gogol przytomnie podał Justynie okulary przeciwsłoneczne, bo choć było bardzo zimno, słońce dawało ostre, nieprzyjemne dla oka światło.

Musieli przejść przez port lotniczy, udając zwykłych pasażerów. Justyna po drodze narzuciła na włosy chustę, a Kostek wyciągnął fałszywy paszport, który służył mu od dość dawna. Bez większych problemów dotarli do wyjścia z lotniska i ruszyli w stronę taksówek. Nagle Justyna poczuła, że jej serce zabiło mocniej na widok dużej postaci mającej na skraju parkingu, która stała tuż obok jakiegoś dżipa o nieokreślonym kolorze.

– B. B.?

– Niemożliwe – Gogol mruknął, mrużąc oczy. – Skąd by...

Ale Justyna już go nie słuchała. Ruszyła do przodu prawie biegiem, ograniczana mocno przez plecak i swoją nieszczęsną granatową walizkę. O mały włos nie przejechał jej jakiś dżip. Im była bliżej, tym bardziej się upewniała co do osoby, do której zmierzała. Widziała, że się zmienił – schudł i lekko posiwiiał – ale to na pewno był on.

Nagle zamarła. W odległości jakichś piętnastu metrów dostrzegła, że coś

w wyglądzie przyjaciela zmieniło się o wiele bardziej... Podeszła do niego powoli i z wielkim przejęciem spojrzała w górę w jego czarne oczy.

– Wiedziałem, że źle zniesiesz ten widok. – Podniósł prawą rękę w górę. Zamiast przedramienia miał metalową protezę. – Dlatego nie mówiłem Ci wcześniej.

Nie była w stanie nic powiedzieć. Szybkim ruchem zdjęła plecak, odepchnęła walizkę na ziemię i podskoczyła lekko, zarzucając mu ramiona na szyję. Złapał ją w locie i mocno uściskał. Czowała, jak metalowe palce delikatnie wbijają jej się w plecy.

– Dobrze Cię widzieć, DeeDee – szepnął jej do ucha.

Gogol zbliżył się z wielkim uśmiechem na twarzy i też kordialnie przywitał się z Jamalem.

– Skąd wiedziałeś, że będziemy? – zapytał.

– Hmm? – udał zdziwionego. – Nie wiedziałem. Byłem tu przypadkiem.

– To możesz nas przypadkiem zabrać ze sobą? – uśmiechnęła się Justyna.

– W drodze wyjątku. Wsiadajcie.

Justyna zajęła miejsce z przodu. Ze zdumieniem przyglądała się Jamalowi, który bez problemu radził sobie z prowadzeniem auta protezą. Zmieniał biegi, trzymał kierownicę, a nawet trąbił na opieszłych przechodniów.

– Jak to działa? – zapytała cicho.

– To magia – roześmiał się. – Podłączyli mi jakieś elektrody, które reagują na sygnały z ciała. Jak to zobaczyłem po raz pierwszy, sam byłem w szoku. Tylko muszę uważać, jak drapię się po jaskach. – Puścił do niej oko.

– A nie można było zrobić przeszczepu? Żółw mówił, że jednemu koledze z GROM-u przeszczepili obie ręce.

– Wiem. – Kiwnął głową. – Mówił mi o tym. Ale przeszczep oznacza branie leków do końca życia, a przy naszej pracy to mogłoby być dość kłopotliwe.

– Rozumiem... – Zamyśliła się na chwilę. – Kiedy to się stało?

– Dwa lata temu.

– Mina?

– Nie – uśmiechnął się szelmowsko. – Jakaś stuknięta kobieta strzeliła do mnie z SAKO.

Justyna w pierwszej chwili nie zrozumiała aluzji. Dopiero chichot Gogola uświadomił jej, że się nabijają.

- Jesteś okropny! – Walnęła go pięścią w ramię. – To nie jest zabawne.
- Co nie jest zabawne? – śmiał się głośno. – To że strzelała, czy że Ty strzelałaś? Wiem o wszystkich Twoich wybrykach, DeeDee.
- Byłam porwana – obruszyła się nieco.
- Biedni porywacze – westchnął Jamal, wywołując kolejną falę śmiechu u Kostka.
- Nie rozmawiam z Wami. – Założyła ręce na piersiach i ostentacyjnie odwróciła głowę w drugą stronę.
- To nie rozmawiaj. – Wzruszył ramionami Jamal. – Ale powiem Ci, że tu już wszyscy źli terroryści wiedzą o Twoim przyjeździe. Dlatego miasto takie spokojne ostatnio.

Do samego końca ich podróży Justyna udawała obrażoną, a Jamal z Gogolem śmiali się w najlepsze.

Jechali dość długo, najpierw po szerokich ulicach wypełnionych autami różnej maści, których kierowcy niewiele przejmowali się zasadami ruchu, a potem po wąskich i brudnych uliczkach Kabulu. Justyna słabo знаła to miasto, choć spędzili w nim nieco czasu. Było za duże i zbyt podobne w wielu miejscach do siebie, żeby rozróżnić, w której jego części mogą być. Zauważyła jednak mnóstwo zmian od ostatniego pobytu: poprawione drogi, nowe budynki, eleganckie sklepy, wszechobecne reklamy. Tylko pył wszędzie był ten sam. Jamal zawiózł ich do biedniejszej dzielnicy, a samochód zaparkował pod jednym z tysięcy budynków w charakterystycznym piaskowym kolorze. Biegające wokoło dzieciaki przyglądały się im z wielkim zainteresowaniem, zwłaszcza Justynie.

Jamal wprowadził ich do środka i szybko przeszedł cały dom, spowity w mroku, wychodząc z drugiej strony na małe podwórko, na którym jakieś kobiety szykowały posiłek. Nikt nie poświęcił im szczególnej uwagi. Justyna domyśliła się, że mieszkańcy już się przyzwyczaili do obecności obcych i zapewne zostało im za to nieźle zapłacone. Nie zatrzymując się ani na chwilę, przeszli pod dach kolejnego budynku i jeszcze parę minut kręcili się po ciemnych korytarzach, aż w końcu ich przewodnik otworzył drzwi, za którymi było dość spore pomieszczenie, gdzie znajdowały się stare kanapy, stoły i dużo elektroniki.

- Zapraszam. – Jamal wskazał ręką na pomieszczenie. – To nasz salon.

Na jednej z kanap siedział z laptopem na kolanach jakiś młody rudowłosy

mężczyzna, który na ich widok podniósł się szybko i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Charlie – uśmiechnął się szeroko, patrząc z lekkim zdziwieniem na Justynę. Z Gogolem najwyraźniej się znali, bo przywitali się po przyjacielsku.

– Charlie jest naszym Żółwiem – szepnął Kostek po polsku. – Informatyk, programista i świetny żołnierz.

– A fochy ma te same? – zapytała również szeptem Justyna, ale Gogol nie odpowiedział, tylko zachichotał cicho.

Kiedy Jamal nie zareagował na pytający wzrok Charliego, ten postanowił przejąć inicjatywę gospodarza domu i poszedł po herbatę dla nich.

– Dostaniecie śniadanie i pójdziecie spać – wydał polecenie Jamal.

– A co z Krokodylem? – Gogol rozsiadł się wygodnie na kanapie, wskazując Justynie miejsce obok siebie. Usiadła, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zdenerwowało ją pytanie Kostka. Wcale nie miała ochoty spotykać się teraz z Krokodylem. W ogóle nie miała na to chęci.

– Jest w mieście. Załatwia różne sprawy i nie wiem, kiedy wróci. Myślę, że wieczorem spotkamy się wszyscy i porozmawiamy o szczegółach. Jutro przyjedzie ktoś z umową dla DeeDee. Pewnie nie byłaś szczepiona, co?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Jeszcze chyba nigdy nikogo tak szybko nie ściągaliśmy – uśmiechnął się Jamal.

– A skąd wiedziałeś, że dziś przylatujemy?

– O ostrzale Camp Bastion i o sytuacji w Helmand dużo się mówiło, i o tym, że samoloty są kierowane tu albo do Bagram. Sprawdziłem Wasz lot i okazało się, że mamy szczęście.

– Jak zawsze zorientowany. – Gogol pokiwał głową z uznaniem.

Na śniadanie, oprócz mocnej herbaty, były placki z baraniną i warzywami. Kiedy Justyna miała już pełny żołądek, natychmiast zachciało jej się spać. Charlie pospieszył z pomocą przy wnoszeniu na górę jej niewielkiego bagażu. Pokazał pokój z dwoma łózkami i prowizoryczną łazienkę.

– To co? – zapytał po chwili nieśmiało, drapiąc się po głowie. – Będziesz z nami pracować?

Justyna uśmiechnęła się. Mówił z pięknym brytyjskim akcentem, który zawsze był miły dla jej ucha.

– Tak. Zostanę jakiś czas i trochę z Wami popracuję.

– A jak masz na imię, bo... chyba nie dosłyszałem.

– Malina – powiedziała niespodziewanie dla siebie samej.

Oczy Charliego rozjaśniły się.

– O, rany! A więc to Ty jesteś Malina! Ale super! Myślałem, że już nigdy nie będę miał okazji Cię poznać.

– Dlaczego? – Była lekko zdezorientowana przez ten wybuch entuzjazmu.

– Bo robiliśmy zakłady, że Cię sobie wymyślili. Przegrałem stówę.

XXXII

Poprzedniej nocy Łukasz nie zmrużył oka. Tej również nie było mu to dane, przynajmniej do piątej rano, kiedy jego mieszkanie opuściła ostatnia osoba z grupy techników do zabezpieczania śladów.

Na wracającą z nocnych rozrywek Ewelinę ktoś napadł pod drzwiami. Nie zdołał jednak jej nic zrobić, poza wystraszeniem niemal na śmierć, bo czujni policjanci złapali napastnika na gorącym uczynku. Łukasza jeszcze nie było, więc funkcjonariusze wprowadzili rozdygotaną dziewczynę do mieszkania, które okazało się kompletnie splądrowane. Na ten widok Ewelina dostała spazmów i wracającego do domu Meyera witały dzikie wrzaski budzące niemal wszystkich sąsiadów. Zanim zdołał dowiedzieć się, co się stało, został przez nią podrapany i opluty. Ostatecznie zdecydowano wezwać pogotowie oraz Kowalskiego, który zjawił się z Elżbietą.

Cały cyrk trwał dobrych kilka godzin. Przyjechali także Brenner i Kotowicz.

– Nienawidzę Cię – krzyczała młoda kuzynka Mariusza. – To przez Ciebie.

– Ewelina, uspokój się – Kowalski próbował przemówić jej do rozsądku.

– Nie uspokoję. Oni są przekłęci. – Wbiła palec w brzuch Łukasza. – Porwali mu żonę, teraz przyszli po mnie.

Lekarz pogotowia nawet jej nie rozbierał, tylko przez materiał cienkiej bluzki wbił igłę i zrobił zastrzyk.

– Zabierzemy ją. – Mariusz wyglądał na zakłopotanego, kiedy Ewelina zasnęła na łóżku w sypialni. Ela kiwnęła głową na znak aprobaty.

– I co z nią zrobicie? – zapytał Meyer, przykładając do podrapanego ramienia okład. – Niech zostanie.

– Ale Ty wyjeżdżasz do Poznania – zauważył Brenner.

– Kot tu zamieszka. Jest przyzwyczajony do spania na kanapie – uśmiechnął się Łukasz. Bardzo mu znowu zależało na tym, żeby w domu była jakaś kobieta.

– Oczywiście – prychnął Kotowicz. – Im wredniejsza, tym lepsza. Znam się dobrze na takich jędzach.

Brenner westchnął i rozejrzył się po zdemolowanym mieszkaniu.

– Są ślady włamania? – zapytał Łukasza.

– Nie. – Meyer spoważniał. – Ktoś musiał mieć klucze.

– Ten cały napastnik podobno wypiera się tego dzieła. – Kotowicz głową wskazał na pokój. – Mówił, że mu zapłacono tylko za nastraszenie lokatorki z tego mieszkania.

– To jest możliwe. – Brenner pogładził się po głacy. – Ten, kto tu przyszedł, szukał czegoś.

– Pamiętników. – Łukasz kiwnął głową.

– Dobrze. – Brenner wyprostował się. – Niech zdejmą ślady i sobie stąd idą. Musicie trochę odpocząć. A ja muszę zadzwonić do Rasiaka. Będziemy potrzebowali chyba więcej ludzi, przynajmniej do sprawy porwania, bo jak tak dalej pójdzie, to nie wyrobimy do przyszłej soboty. Ktoś powinien Ci pomóc z tym bałaganem. – Zerknął na Łukasza.

– Poradzimy sobie jakoś. Szefie... możemy pogadać?

– Jasne.

Kowalscy wyszli, a Kot udał się do łazienki. Łukasz przeszedł z Brennerem do kuchni, która ucierpiała najmniej, ale od razu było widać, że będą mieli problem ze znalezieniem całej szklanki.

– Rozmawiałem z premierem.

– Żartujesz?! Szybko się Rasiak uwinął.

– Był bardzo zadowolony z tego, że Justyna wyjechała. – Spojrzał smutno na szefa. – Nie pomoże mi.

– A na co liczyłeś? Że ściągnie ją do domu?

– Sam nie wiem... W ogóle nie rozumiem, co on ma z nią wspólnego.

– Jesteś pewien, że chcesz znać szczegóły? Cokolwiek wie Twoja żona, jest dla niej niebezpieczne, zwłaszcza w tej chwili. Co Ci jeszcze mówił?

– Że wojna jest tu, a nie tam, i że bym uważał na siebie.

Brenner roześmiał się, choć bez radości.

– Dziwisz się? – Kopnął czubkiem buta kawałek rozbitego talerza.

– Jeden z jego ludzi wziął mój samochód spod biura i przywiózł go tutaj. Został napadnięty na parking, leży w szpitalu z pękniętą czaszką...

Tym razem inspektor był wyraźnie przestraszony.

– To już nie przelewki – powiedział cicho. – Potrzebujesz ochrony.

– Chcę jechać. Teraz chcę jeszcze bardziej.

– Meyer...

– Dokąd chcesz wyjeżdżać? – W drzwiach stał Kot.

– Do Afganistanu. Po Justynę.

– Mówiłem Ci, że to głupota... – Brenner czuł się znużony tym tematem.

– Niech jedzie – odparł zdecydowanie Tomek. – Niech zrobi choć raz jedną mądrą rzecz i uratuje swoje małżeństwo. Ja Ci pomogę, jeśli będzie trzeba.

Łukasz był zaskoczony, ale od razu poczuł się lepiej po takiej deklaracji.

– Ja nie chcę nic o tym wiedzieć. – Rafał potarł oczy, zrezygnowany. – Musisz to załatwić sam.

Kiedy zostali tylko w trójkę, postanowili w końcu odpocząć. Kot zwinął się w koc i kimał na fotelu. Meyer wyłożył się na kanapie, ale sen nie przyszedł od razu. Patrzył w sufit, starając się obmyślić plan dalszego działania. Jak zwykle w takich sytuacjach, odpłynął w chwili, gdy wydawało mu się, że wie, co robić.

Obudziły go dźwięki dochodzące z kuchni. Kota nie było, więc przypuszczał, że to on jest ich sprawcą. Podniósł się i podreptał sprawdzić, co się dzieje. Przywitało go obrażone spojrzenie Eweliny, której zapuchnięta twarz świadczyła o tym, że płakała całkiem niedawno. Nic nie powiedziała, tylko wróciła do sprzątania potłuczonych naczyń i wyrzuconych z kosza śmieci. Tomasz ochoczo jej w tym pomagał. Choć mogło też być odwrotnie...

– Chcieliśmy coś zjeść – uśmiechnął się niepewnie Kot – ale trochę trudno było dostać się do lodówki. Do zamrażalnika też Wam zaglądali, wywalili kurczaka, więc pomyślałem, że można by go upiec.

Łukasz spojrzał na niego podejrzliwie. Pąs na twarzy i płaczący się język wskazywały jednoznacznie na zbliżający się stan zakochania, który w przypadku Kotowicza nie wróżył nic dobrego. Ewelina na pewno go nie uwodziła, w takich nie gustowała. Musiała go raczej mocno trzymać na dystans.

– Róbcie, co chcecie – Łukasz westchnął, zastanawiając się, czy zostawianie tej dwójki razem jest dobrym pomysłem. Miał jednak już dość szukania sobie tematów zastępczych i zajmowania się cudzymi problemami. Jego własne wymagały natychmiastowej interwencji.

– Aha – Tomkowi coś się przypomniało. – Dzwonił Kozera. Chce jechać jesz-

cze dzisiaj na noc. Mówił, że to ważne...

– W porządku. – Meyer kiwnął głową bez specjalnych emocji. – Niech przyjedzie może na ten obiad do nas. Pojedziemy stąd. Pójdę się wykapać, jeśli nie jestem Wam potrzebny.

Kurczak okazał się niewystarczający do nakarmienia wszystkich, którzy zasiedli przy stole tego dnia. Co prawda Łukasz nie jadł zbyt wiele, podobnie Kot, który cały czas usiłował dogodzić naburmuszonej Ewelinie, ale za to kapitan Kozera oraz Malicki, najwyraźniej nudzący się w domu, mieli całkiem niezły apetyt.

– Ja też Ci mogę pomóc – zadeklarował Michał, przeżuwając kawał mięsa z udka. – Nie wiem jeszcze jak, ale coś się wymyśli.

– Naprawdę chcesz tam jechać? – Kozera był sceptyczny. – Ja nie byłem na misji, ale koledzy mówili, że bywa różnie.

– Musi jechać. – Kotowicz oderwał skrzydełko od martwego ptaka i podsunął je dziewczynie. – Musi pokazać, że on też w tym domu nosi spodnie.

Łukasz obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– No tak. Przecież o to chodzi w tej całej historii. – Tomek nie zamierzał odpuszczać. – Masz żonę, która jest uśpionym agentem, ujawniającym się w chwilach kryzysowych. Na co dzień jest potulną i cichą kurą domową, ale jak przyjdzie co do czego, wsiada w samolot i jedzie mordować złych ludzi zagrażających naszej planecie. Nie można wobec takich faktów pozostać obojętnym i chować głowy w piasek. Ja Cię, Łukasz, w pełni popieram.

– Drwisz czy mówisz serio? – zapytał zdeorientowany Malicki.

– Jedno i drugie – mruknął Łukasz, który znał Tomasza lepiej niż ktokolwiek.

– A masz jakiś plan? – zapytał Maciek.

– Nie mam – Meyer westchnął i oparł czoło na pięściach. – Ale decyzję podjąłem. Justyna... ona mówiła, że jak uciekła porywaczom, to najpierw postanowiła, co chce zrobić, a dopiero potem myślała jak, i rozwiązania same się nasuwały.

– Gdybym nie wiedział, jak się ta historia zakończyła, to uznałbym, że pleciesz bzdury. – Michał pokręcił głową. – Masz jednak rację: bez decyzji nie zobaczysz drogi wyjścia.

– Ale nie jedziesz zaraz? – uśmiechnął się Kozera. – Chciałbym jeszcze dziś być w Poznaniu.

– Nie, nie jadę zaraz. Obiecałem szefowi odwiedzić chorą koleżankę. A czemu to takie ważne i czemu chcesz jechać ze mną?

– Mamy na dziś załatwione przesłuchanie Jaskóły w areszcie śledczym. Już rozmawiałem z Waszym szefem, zgodził się, żebyś ze mną przy tym był. Mój też nie ma nic przeciwko.

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni, a Ewelina zdziwiła się ich zdziwieniem.

– A po co? – zapytał Malicki, który na chwilę przestał przeżuwać.

– Kiedy zaczęły się te pogroźki, od razu pomyślałem, że to on kogoś na nas nasyła. Poprosiłem kolegę, żeby go nieco przycisnął i spróbował coś z niego wyciągnąć, ale Jaskóła wszystkiego się wyparł.

– No, to chyba oczywiste – prychnął Kot. – Przecież nie powie, że wynajął zbirów do gnębienia Waszej rodziny.

– Tak, tyle że powiedział coś innego. – Maciek spojrział wymownie na Łukasza. – Twierdzi, że w sprawę może być zamieszany ktoś, komu ujawnienie treści pamiętników Twojej żony najbardziej zaszkodzi.

– To nie jemu zaszkodzi? – Łukasz zaczął się gubić w zawiłościach z przeszłości Justyny.

– Nie. – Kozera pokręcił głową i przygryzł wargę. – Według niego tym, kto najwięcej straci na ujawnieniu tego, co pisała, jest sierżant, w którym kochała się Justyna.

Kot zmarszczył czoło i zerknął na przyjaciela. Wiedział, że Łukasz nie zapoznał się z treścią pamiętników i wiedział też, że był bardzo zazdrosny o wszystkich mężczyzn, którzy kiedykolwiek coś znaczyli dla jego żony.

– Dlaczego? – Twarz Meyera nie zdradzała emocji.

– Nie wyjaśnił tego szczegółowo. Twierdzi jedynie, że to może rozwalić mu małżeństwo.

– I byłby do tego stopnia zdesperowany, że posuwałby się do przemocy? – Malicki nie był przekonany.

– Właśnie dlatego chcę tam jechać jak najszybciej i go przesłuchać. Początkowo uważałem, że ściemnia i chce odsunąć podejrzenia od siebie, ale po tym, co zobaczyłem tutaj – wskazał głową na otoczenie – doszedłem do wniosku, że może coś być na rzeczy. Jaskóła nie ma zbyt wiele do zdziałania w tym areszcie. Większość kumpli się od niego odsunęła, podejrzewam, że ten z Warszawy też

woli się nie wychylać. Zresztą, sama Justyna mówiła tym dziennikarzom, że treść jej pamiętników mu nie zaszkodzi, tylko odciski.

– A właśnie – przypomniało się Kotowi. – Co z Kołeckim?

– Brenner ma dziś do niego jechać – powiedział Łukasz. – Wiśniewski o niczym nie wiedział, ale Kowalski mówił rano, że w interwencjach straży pożarnej znaleźli gaszenie palącego się auta pana redaktora. Stary się wściekł, zrobił zadymę w Stołecznej i chce to osobiście wyjaśnić.

– Ale skąd Justyna o tym wiedziała? – Malicki był wyraźnie w szoku.

Łukasz nie odpowiedział, jednak jego mina świadczyła o tym, że woli już nie zgłębiać tego tematu.

– No dobra. – Kozera oblizał palce po soczystym kurczaku. – To kiedy możemy jechać?

– Ja mogę zaraz. – Łukasz wzruszył ramionami. – Tylko niech koledzy wyskoczą z kasy. Musimy po drodze kupić prezent dla Żanety.

XXXIII

Kostek obudził się z lekkim bólem głowy, co było normalne po przyjeździe do tego kraju i po każdym rozstaniu z rodziną. Pierwsze dni tęsknoty zawsze objawiały się jakimiś dolegliwościami, które mijały w trakcie wykonywania kolejnych zadań. Zerknął w lewo na łóżko Justyny. Nie spała, tylko leżała spokojnie, patrząc za okno. Z ulgą stwierdził u niej brak oznak rozpacz czy rozżalenia.

– Cześć, Malinka – uśmiechnął się do niej. Obróciła głowę w jego stronę i też odpowiedziała uśmiechem. – Wyspałaś się?

– Tak sobie.

– O czym myślisz?

– O Łukaszu. Bardzo tęsknię.

– A nie jesteś na niego zła? – Uniósł się na łokciu.

– Jestem wściekła – odparła spokojnie. – Próbowałam to sobie jakoś poukładać w głowie i myślę, że przesadziłam...

– No, to na pewno. – Gogol usiadł na łóżku i ziewnął.

– Ale to też moja wina. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – Tak bardzo chciałam z nim być, że stworzyłam siebie na nowo. Nie powinnam była tego zatajać.

– Myślisz, że nie byłby z Tobą, gdyby wiedział? – Gogol zmarszczył brwi.

– Myślę, że nie... I pod tym względem nie żałuję, wiesz? Nie żałuję ani dnia z tych lat, bo to były najszczęśliwsze lata mojego życia.

– Nie wydaje Ci się, że skreślasz Wasz związek za szybko?

– A sądzisz, że on to naprawi? Że będzie chciał, żebym wróciła?

– Nie wiem...

– Kostek – Justyna podniosła się gwałtownie – nie zadzwonił ani razu, nie wysłał SMS-a... Odsłuchiwałam wiadomości z telefonu. Tylko Brenner i Lubiccy się zainteresowali i wykazywali, że martwi ich moje zniknięcie. Olał mnie, jakbym nie istniała...

Gogol z niepokojem przyglądał się jej twarzy. Wiedział, że bardzo cierpi. Nie podzielał jej zdania co do zasadności poczucia winy z powodu zatajenia przeszłości. Uważał, że każdy ma prawo do jakichś sekretów, jeśli nie wpływają znacząco na małżeństwo. Dla niego reakcja jej męża była co najmniej dziwna i nie miała raczej związku z tym, że dowiedział się tego, co robiła. Świadczyła o tym, że facet ma problem ze sobą i powinien go sam rozwiązać. Nie mówił jej już tego, znał Justynę na tyle, że był świadom bezsensowności prób przekonywania jej do czegokolwiek.

Ich sypialnia nie miała drzwi, tylko kolorową zasłonę, zza której pojawiła się ruda głowa Charliego.

– Usłyszałem, że już nie śpicie – uśmiechnął się. – Mam zawołać Was na obiad.

Nieobecność Krokodyla Justyna przyjęła z ulgą. Kiedy zeszli na dół, nastąpił czas wylewnych powitań ze starymi znajomymi i zaznajamianie z nowymi, którzy najwyraźniej nie byli uprzedzeni o jej przyjeździe. Wyczuwała na sobie ciekawskie spojrzenia kompletnie obcych ludzi, ale nikt nie śmiał o nic pytać ani nawet nie robił min. Szybko też zorientowała się, że znowu będzie tu jedyną kobietą.

– Jestem lepszy od Jamala – chwalił się Tadas, Litwin, na którego wołali Kola. Podniósł nogawkę, żeby pokazać swoją piękną protezę. – Urwało mi do kolana, ale chodzę tak, że nic nie widać.

– No to gratuluje. – Justyna zrobiła kpiącą minę. – Jesteś mistrzem.

Prawie nikt ich nie rozumiał, bo rozmawiali po rosyjsku.

– Jak Cię zobaczyłem na tych schodach, od razu pomyślałem, że muszę przestać zażywać – śmiał się głośno Wiktor, który był Ukraińcem i nigdy nie miał żadnej ksywki. Justyna widziała go kilkakrotnie w sytuacjach mrożących krew w żyłach. To był człowiek nienadający się już do „normalnego” życia, czyli takiego poza Afganistanem i poza zabijaniem. – Byłaś ostatnią osobą, której się tu spodziewałem.

Ze starej ekipy było jeszcze dwóch: Amerykanin, zwany Bullet, i Polak, ale potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie ich prawdziwe imiona.

– Michael – uśmiechnął się Bullet. Był Latynosem, który udawał czasami miejscowego, kiedy zapuszczał długą brodę. – A to przecież Radek. – Wskazał na wysokiego bruneta z dużą blizną koło oka.

– Nawigator! – Justynę olśniło. – Ten, co zawsze znajdzie drogę.

– To ja. – Radosław kiwnął głową.

Niewiele się zmienili. Pomyślała, że to ona przeszła o wiele dłuższą drogę, zwłaszcza w środku, i była ciekawa, czy jest to dla niej cofanie się w tym rozwoju, czy może jakiś kolejny etap. Podczas posiłku nikt z „nowych” nadal nie śmiał ją o nic pytać. Jamal również nie spieszył z wyjaśnieniami. Dopiero gdy ktoś zwrócił się do niej „Malina”, wśród zebranych przebiegł szmer, świadczący o tym, że znana jest im jej historia. Poczuli się z tym nieswojo, bo to obudziło wspomnienia ze Stargardu, do którego przywędrowały za nią plotki z Poznania. Nie wiedziała, co i ile Ci ludzie wiedzą, co sobie o niej myślą i jaki to będzie miało wpływ na ich współpracę.

– Słyszałem, że byłaś porwana – powiedział w pewnym momencie Wiktor po angielsku.

– Byłam – potwierdziła, patrząc niepewnie na Kostka.

– A dlaczego? – chciał wiedzieć Radek.

– W sumie sama nie wiem – odparła szczerze. – Ktoś myślał, że coś wiem i coś mogę, a to była nieprawda.

– Hm... – Wiktor zamyślił się, wydłubując mięso z zębów. – To Ci porywacze jacyś idioci byli, że się nie dowiedzieli tego. My jak mamy komuś coś zrobić, najpierw to sprawdzamy, prawda? – Puścił oko do Jamala.

– Tak, zwłaszcza Ty zawsze pytasz, zanim komuś głowę odstrzelisz. – Justyna popukała się w czoło, wywołując u zebranych salwę śmiechu.

– Wiktor i tak się ostatnio poprawił. – Jamal poklepał Ukraińca po plecach. – Dwa razy się upewnia i dopiero pociąga za spust.

– Martwiliśmy się – powiedział cicho Radek po polsku. – Przeczytałem w Internecie, że nie żyjesz. Mieliśmy tu przez kilka dni żałobę narodową, zanim Krokodyl zadzwonił, żeby powiedzieć, że jesteś cała.

Justyna pochyliła się nad talerzem, bawiąc się widelcem w ryżu. Do głowy jej nie przyszło, że ktoś jeszcze mógł przejąć się tymi wiadomościami. Popatrzyła na ludzi, których tak dawno nie widziała, i dopiero dotarło do niej, jak ważni byli w jej życiu i że ona też mogła dla nich wiele znaczyć. Łukasz wcale nie zniknął z horyzontu jej uczuć – przeciwnie. Jednak zdała sobie sprawę z tego, że nie mówiąc wszystkiego o sobie, nie pokazała mu, kim naprawdę jest. Nie dała tej szansy samej sobie...

– DeeDee – Jamal przysunął się do niej po posiłku – Charlie pokaże Ci nasze nowe zabawki. Nauczysz się, jak posługiwać się radiem i tymi systemami. Chcę, żebyś mogła też pracować tutaj, na miejscu.

– Nie będę wychodzić na miasto?

– Będziesz, będziesz – uśmiechnął się. – Jeszcze Ci wyjdzie bokiem. Ale dobrze będzie mieć jeszcze kogoś przy komputerze. Aha, mam coś dla Ciebie. – Wstał i podszedł do stołu, z którego zabrał jakiś pakunek. Kiedy go rozwinął, okazało się, że trzyma w rękach dwie niebieskie burki. Podniósł je w górę. – Którą wolisz? Niebieską czy niebieską?

– Obie – roześmiała się. – Bo nie mogę się zdecydować.

Jamal rozgonił towarzystwo, które okropnie hałasowało, i przywołał Charliego. Justyna zasiadła z nim na jednej z kanap z toughbookiem i radiami osobistymi. Kostek na drugim siedzisku gawędził sobie z Wiktorem przy herbatce, ale nie było w niej za wiele herbaty.

– Mamy nowe laryngofony – wyjaśniał Brytyjczyk. – Są wygodne i dużo czulsze na drgania, więc szybko reagują na mowę.

– A co z PTT?

– Włączamy funkcję radiovox, więc nie jest potrzebne. Damy Ci coś na szyję, żeby zasłonić zestaw, radio ukryje się pod sukienką. Aha, radiostacje mają GPS, więc na ekranie komputera widzę Waszą pozycję. Popatrz, te ikonki oznaczają poszczególne radia. Ustawiłem trzy sieci, które zmienia się tym małym pokrętkiem, trzeba będzie sięgnąć do radia, żeby zmienić. Później Ci powiem, która sieć jest do czego.

– A co jeśli ikona zniknie?

– Przerывamy akcję.

– Jak to?

Charlie podrapał się po ryżej głowie.

– Siedzimy tu już dłuższy czas, trochę się pozmieniało... Sporo ludzi chętnie zrobiłoby nam krzywdę. Musimy być naprawdę czujni, dlatego ty... Twój przyjazd dużo znaczy.

– Kobieta łatwiej ukryć w tłumie.

– Tak. – Pokiwał głową. – To nie będzie proste... Zresztą sama zobaczysz.

– Nie musisz jej straszyć. – Jamal stanął nad nimi. – DeeDee dobrze wie, z czym to się wiąże. Jest tylko mała różnica... – Spojrzał na nią z powagą. – Nie

dostaniesz broni.

– Dlaczego? – To nie były dobre wiadomości.

– Nie możesz mieć nawet noża ani kamizelki. Gdyby ktoś Cię z nimi nakrył, od razu zginiesz.

– I tak zginę, jeśli zobaczy moją twarz.

– Z tym sobie prędzej poradzimy. Jakakolwiek broń to za duże ryzyko. Jutro poznasz naszego nowego „Ahmeda”. To doświadczony człowiek, będziesz z nim wychodzić, początkowo tylko próbnie, żeby rozeznać się w terenie, ale przed samymi wyborami będzie bardzo gorąco.

– Rozumiem – powiedziała cicho. Charlie wrócił do objaśniania jej obsługi systemu.

Jamal wyszedł przez labirynt korytarzy, małe podwórko i budynek przy innej ulicy. Stanął w drzwiach i nerwowo rozglądał się za samochodem Krokodyla, który od dobrej doby nie dawał znaku życia. Ich grupa podzielona była na trzy części, każda z nich miała swoją siedzibę gdzie indziej, żeby uniknąć ryzyka rozbicia wszystkich naraz. Jednak stary Krokodyl lubił chadzać własnymi drogami i nie spowiadać się nikomu z tego, co robi. Można mu było zaufać i wierzyć, że jakoś sobie poradzi, ale robiło się coraz niebezpieczniej i jego brawura mogła go w pewnym momencie zgubić.

Kiedy po kwadransie Amerykanin miał zamiar wycofać się z powrotem do ich kryjówki, zobaczył wyjeżdżającą zza zakrętu toyotę Krokodyla. Odetchnął, ale przywitał go z poważną miną.

– Trochę przesadziłeś, nie wydaje Ci się? – zrobił mu wyrzut, gdy Muszyński wysiadł z auta i wszedł do środka. Szybkim krokiem ruszyli przez ciemny budynek, w którym unosił się zapach błota zmieszany z przyprawami.

– Musimy ją tu sprowadzić – wycedził Krokodyl przez obolałe zęby.

– Kogo? – Jamal zatrzymał go, łapiąc za rękaw. Stanęli w przejściu, w którym niewiele było widać.

– Malinę, a kogo?

– Krokodyl...

– Posłuchaj mnie – nie dał mu dokończyć. – Tam zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Ktoś napadł na jej męża i splądrował im mieszkanie. Policja jest w dupie ze śledztwem, a wojsko chce ją wsadzić do więzienia.

– Za co? – Jamal był w szoku.

Krokodyl machnął ręką i znowu zaczął iść.

– Za nic, żeby było ciekawiej. Tu jest nam potrzebna, sam wiesz. I trzeba to zrobić jak najszybciej, bo nie zdążymy przed wyborami. Mówiłem Ci to miesiąc temu, ale Ty oczywiście...

Stanął jak wryty w drzwiach do pomieszczenia z kanapami. Jamal uśmiechnął się pod nosem na widok jego miny i położył mu wielką dłoń na ramieniu.

– Właśnie chciałem Ci powiedzieć, ale mnie oczywiście nie słuchałeś – szepnął do ucha Krokodylowi.

Gogol podniósł się z miejsca, żeby przywitać kolegę, ale ten nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– Jak... – chciał coś powiedzieć, nie był jednak w stanie.

– Zostawcie nas na chwilę – zarządził Jamal.

Wszyscy oprócz Justyny wyszli. Nie miała nawet ochoty patrzeć w jego stronę, a co dopiero się witać. Była pewna, że zaraz zostanie zasypana drwiącymi komentarzami na temat ich ostatniej rozmowy, na temat jej małżeństwa i ogólnie na jej temat... Krokodyl musiał być jednak zbyt zaskoczony, żeby teraz o tym pomyśleć. Stał na środku pokoju i tylko się na nią patrzył.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytał po polsku.

– Dziś rano. – Zerknęła na jego twarz i od razu zobaczyła w jego niebieskich oczach ogień. Zjadał ją całą wzrokiem, miała wrażenie, że chce ją pochłonąć razem z duszą. Była tego nawet pewna.

– Mam do Was prośbę... – Jamal podrapał się po uchu. – Wiem, że Wasze relacje nie zawsze mogą być poprawne... dlatego chciałbym, żebyście unikali konfrontacji przy reszcie zespołu. Jeśli macie zamiar się pokłócić, róbcie to bez świadków.

– Nie mam zamiaru się kłócić. – Krokodyl nie zaszczyił Jamala nawet krótkim spojrzeniem. – Przyjechałaś jednak – odezwał się znowu po polsku.

– Nie jestem tu dla Ciebie – mówiła po angielsku. Zależało jej, żeby mieć świadka ich rozmowy.

– A dla kogo? Dla męża?

– Tak. Sam mówiłeś, że jeśli to uratuje jego dupę, przyjadę.

– Ten Twój mąż... – prychnął, ale zamknął się na widok miny Jamala. – To blef. Uciekłaś od niego.

– Jesteś pewien? – Robiła wszystko, żeby zachować spokój, ale kosztowało ją

to mnóstwo wysiłku. – Wiesz, kim jest Kamil Kołeczki? To dziennikarz, który opisał moją historię, kiedy ogłoszono, że nie żyję. W zeszłym tygodniu ktoś spalił jego samochód i groził jego rodzinie.

– Skąd o tym wiesz?

– Słyszałam w radiu, jak jechaliśmy z Bambim do Gogola. Jakiś jego kolega żalił się, jaki mają niebezpieczny zawód, że nawet samochody im palą... Od razu wiedziałam, że to początek nagonki na mnie, bo wojsko już wie, że żyję.

Krokodyl spojrział na Jamalą, który nie wyglądał na zaskoczonego.

– Wiedziałaś o tym?

– Tak. DeeDee powiedziała mi przed przyjazdem, że chce się schować.

Justyna wiedziała, że to był policzek dla Krokodyla. Znała go doskonale, tak samo, jak znała jego pragnienie kontrolowania jej. Przyjeżdżając do Kabulu bez jego wiedzy i zaangażowania, odebrała mu możliwość decydowania o jej losie.

Patrzył na nią z gniewem. Chciał powiedzieć coś o Łukaszu, o tym, że ją zdradza i mieszka z inną, ale wolał nie narażać się Jamalowi. Nieopisana radość, jaką poczuł na jej widok, zniknęła w jednej sekundzie i zastąpiona została przez szarpący ból serca, do którego nie przyznałby się nigdy w życiu. Bardzo chciał wierzyć, że to, co mu powiedziała, było kłamstwem i że naprawdę uciekła przed mężem, i że nie chce już z nim być...

– Dokąd idziesz? – zapytał Jamal, kiedy Krokodyl odwrócił się na pięcie.

– Muszę skontaktować się z Brzezińskim. Powinien wiedzieć – wyszedł, nie patrząc już w ich stronę.

Jamal spojrział na Justynę z niepokojem. Była blada i mocno zaciskała pięści na radiu, które zostało w jej dłoni.

– To będzie trudny pobyt, B. B. – szepnęła ze łzami w oczach.

Jamal westchnął i usiadł obok niej. Położyła mu dłoń na metalowych palcach, które zacisnęły się lekko.

– Jak było naprawdę, co? – zapytał cicho.

– Tak, jak powiedziałam. – Wytarła łzę z policzka. – Tyle że nikt nie wie, gdzie jestem... Łukasz też. On w ogóle nic nie wie. Nie chce ze mną być.

– Dlaczego przyjechałaś?

– Tu jest łatwiej.

– Naprawdę? – roześmiał się. – Na wojnie?

Pokiwiała głową.

- Bardzo boli, kiedy o nim myślę, ale tu naprawdę lżej mi to wszystko znieść.
- To nie jest dobry powód, ale tak naprawdę większość z nas się nim kieruje.

Wszyscy myślą, że jesteśmy twardzielami, a jesteśmy...

- Dezerterami.

– Tak. Uciekliśmy przed życiem. Nie chciałem przeszczeru nie przez leki, tylko dlatego, że musiałbym spędzić więcej czasu w domu. Proteza dała mi swobodę. Myślisz, że się pozbierasz?

– Nie wiem. To coś gorszego niż wojsko. Straciłam coś najcenniejszego w życiu. Mundur przy tym to jakiś żart.

– Dobrze więc. – Metalowe palce wbiły się mocniej w dłoń Justyny. – Zrobimy wszystko, żeby zapewnić Ci maksymalnie udany pobyt. A Ty zrelaksuj się i niczym nie martw.

- OK, udam, że jestem na wczasach – uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie udawaj. Bądź. – Dłonią, która mu została, zmierzwił jej czuprynę.

XXXIV

Długo nikt nie otwierał drzwi. W końcu, kiedy Brennerowi wydawało się, że to na nic, i chciał iść, usłyszał szuranie i dostrzegł, jak ktoś zagląda przez wizjer.

– Proszę otworzyć. – Podniósł do góry legitymację. – Policja.

Wiśniewski poruszył się nerwowo, starając nie okazywać, jak jest mu nie w smak to kolejne, niefortunne spotkanie z panem inspektorem. Czuł się przy Brennerze mały i niekompetentny, a więc dokładnie taki, jaki nie chciał być.

W końcu ktoś zdecydował się i przekręcił zamek. W szparze pomiędzy framugą a drzwiami ukazała się wystraszona kobieca twarz.

– Niech pani otworzy. – Brenner nachylił się do niej nieco. – Jesteśmy z policji i przyszliśmy porozmawiać z pani mężem.

– O czym?

– O samochodzie, który ktoś mu spalił.

– To był wypadek. Nic się nie stało. Poza tym męża nie ma.

– A nie wie pani, kiedy wróci? Nie odbiera telefonu...

– Wpuść ich, Matylda – usłyszeli zmęczony głos za swoimi plecami. Na schodach stał lekko zgarbiony Kołecki z zakupami w dłoni. – Wybaczcie, mówiłem żonie, żeby nikomu nie otwierała. Wejdźcie, zapraszam. – Wskazał dłonią na mieszkanie.

Matylda Kołecka przyglądała się im nieufnie, ale jej mąż poszedł od razu do kuchni i nastawił wodę na herbatę.

– Spokojnie. – Poglądził ją po ramieniu. – Znam ich. Panowie... usiądźcie, proszę.

Brenner z Wiśniewskim zajęli miejsca za stołem, dyskretnie rozglądając się po skromnie urządzonej mieszkanii. Gospodyni uciekła do sypialni, a redaktor Kołecki podał im kubki z herbatą i podsunął talerzyk z ciastkami.

– Zaskoczyliście mnie – roześmiał się nerwowo. – Nie sądziłem, że policja

dowie się o tym samochodzie.

– Dlaczego pan to zataił? – zapytał Brenner.

– Bo tak było w liście z pogrózkami – westchnął ciężko Kamil. – Traktuję poważnie takie rzeczy, za długo siedzę w swoim zawodzie, żeby ignorować groźby.

– Ale wie pan, że na liście mogły być ślady... – Wiśniewski zawahał się i zerknął na inspektora. – Napastnicy mogli zostawić odciski...

– Nie wydaje mi się. – Pokręcił głową.

– Widzi pan – Brenner potarł czoło i skrzywił lekko usta – ten, kto panu podrzucił list, nie był żadnym profesjonalistą. To jakiś małolat, któremu ktoś za to zapłacił kilkaset złotych.

– Skąd pan wie? – Kołecki poczuł się jak idiota.

– Bo podrzucił go również innej osobie i został złapany. Siedzi w areszcie i płacze jak dziecko.

– To on spalił mój wóz?

– Do tego się nie przyznaje, ale mamy podejrzenia, że zrobił to ktoś, kto również napadł na pana Meyera. – Brenner wyciągnął ekspresówkę z kubka i posłodził herbatę, choć wolałby napić się kawy.

– Zaraz, zaraz! – Kołecki wytarł skroń, na której pojawiła się strużka potu. – Meyer to przecież pana podwładny, któremu zamordowano żonę... to znaczy panią Dąbek.

– Tia... – Rafał znowu skrzywił się i spojrzał na Wiśniewskiego, który też zajął się słodzeniem. – Pani Dąbek vel Meyer żyje.

– Słucham?! – Kamil roześmiał się nerwowo.

– Dlatego panu spalono wóz. Co napisano w tym liście?

Kołecki pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby nie usłyszał pytania. Po chwili jednak wstał i podszedł do regału z książkami. Z jednej z nich wyciągnął kopertę spakowaną w foliowy worek i rzucił go na stół.

– Generalnie, z tego, co zrozumiałem, mam się nie zajmować dalej sprawą tego morderstwa i porwania... Nie wiedziałem, o co chodzi, bo sprawy jakby już nie ma, ale... ale skoro Wy przychodzicie i strzelacie do mnie taką nowiną, to się nie dziwię.

– Możemy? – Brenner podniósł kopertę.

– Bierzcie. – Kamil machnął ręką i znowu usiadł za stołem. – I co mam zro-

bić?

– Nic. – Brenner wzruszył ramionami. – Dostanie pan ochronę, bo musimy złapać tego, co podpalił auto, albo tego, co zlecał... i dalej proszę robić swoje.

– Macie jakieś podejrzenia? – zapytał cicho Kołecki, bawiąc się obrusem. Brenner wiedział, że w końcu padnie to pytanie, dziennikarz nie byłby dziennikarzem, gdyby nie pytał.

– Wiśniewski. – Rafał skinął na komisarza.

– Tak... hm... – Robert chrząknął. – Widzi pan, wszystko rozbija się o te pamiętniki. Dwóch ludzi jest w tej chwili w drodze do Poznania. Będą przesłuchiwać Jaskółę, który je ukradł, bo on podobno twierdzi, że tam jest coś o jakimś sierżancie, któremu zależy na zastraszeniu autorki...

– Garlicki. – Kamil podniósł powoli głowę z lekko zmrużonymi oczami, jakby szukał czegoś w pamięci. Brenner bardzo liczył na tę chwilę.

– Pan wie, o kim mowa? – Wiśniewskiemu zapaliły się oczy z wrażenia.

– Tak. W tym pierwszym zeszycie było o nim najwięcej. Gdzie macie te pamiętniki? – Spojrzał na nich całkiem przytomnie. – Musicie zapytać Justynę Dąbek, ona...

– Wyjechała – przerwał mu Brenner. – I zabrała zeszyty.

– Gdzie jest?

Inspektor z komisarzem spojrzeli po sobie wymownie.

– Uciekła – Wiśniewski odezwał się pierwszy. – Jest nieuchwytna... Jest za granicą.

– Ale żyje? – Kamil znowu zmrużył oczy, przyglądając się im podejrzliwie.

– Wczoraj rano, kiedy wsiadała do samolotu, żyła – Brenner uśmiechnął się niewyraźnie znad kubka z herbatą.

– Boże! – Kołecki pokręcił głową. – To fatalnie.

– Nie, my się cieszymy. – Brenner odstawił kubek. – Jest bezpieczna... bezpieczniejsza niż tutaj. Mamy wielką nadzieję, że pomoże nam pan w dojściu do tego całego sierżanta, bo tylko pan i redaktor Kulig znacie treść pamiętników. Jaskółka zawsze może nas okłamać...

Kołecki roześmiał się nagle, wzbudzając zdziwienie u funkcjonariuszy przy jego stole.

– Przepraszam, może to niezbyt stosowne tak mówić, ale... To wszystko wygląda jak meksykańska telenowela – śmiał się w najlepsze.

– Czemu niby? – Brenner zmarszczył czoło.

– Bo jeśli ten sierżant za tym stoi, to chodzi o to, że zdradzał żonę z jakąś koleżanką Justyny. A w zasadzie z dwiema, które nic o sobie nie wiedziały. A w zasadzie... chodzi o to, że jedna była kochanką Jaskóły i on się w niej zakochał, a ona zakochała się w Garlickim i zdradzała Jaskółę, który zdradzał z nią żonę.

– Trochę to skomplikowane, ale brzmi ciekawie. – Brenner też zaczął chichotać.

Wiśniewskiemu nie było wesoło – nie bardzo rozumiał, z czego śmieją się dwaj mężczyźni.

– Nie wydaje mi się, żeby te... powody były wystarczające, żeby robić takie rzeczy – powiedział młody komisarz poważną miną.

– Bo jesteś młody i mało widziałeś w życiu. – Brenner spojrzał na niego kpiąco. – Panie redaktorze, bardzo panu dziękujemy za te informacje. Mam prośbę: niech pan spíše wszystko, co się panu przypomni na temat tego, co pan tam przeczytał. Nazwiska, miejsca, zdarzenia...

– A sprawy związane z samą panią Dąbek?

– Jakie na przykład? – Brenner spoważniał.

– Była chora... W szpitalu.

– Tak, to też. Wszystko! – Inspektor zaczął się podnosić. – Pójdziemy już.

Początkowo Wiśniewski nie odzywał się wcale. Wsiadł do auta, zapiął pas i patrzył przez szybę. Brenner zerknął na niego, kiedy zatrzymał się na jakichś światłach.

– Coś nie tak, panie komisarzu?

– Generalnie w porządku, tylko nie podoba mi się, kiedy traktuje mnie pan protekcjonalnie. – Zacisnął mocno usta, nadal nie patrząc na inspektora.

– Nie traktuję pana protekcjonalnie. Traktuję pana nie inaczej, niż swoich ludzi, a do tej pory jakoś nikt się nie skarżył...

– Zrobił pan ze mnie idiotę przed redaktorem.

– Nie zauważyłem – mruknął Brenner i ruszył znowu. – Panie kolego, za bardzo skupia się pan na sobie, a za mało na pracy. Bardzo liczę na pana wsparcie przy tej sprawie, bo brakuje mi ludzi i potrzebuję każdej pary rąk do roboty. Ale jeśli ma pan zamiar się boczyć, to poproszę kogoś innego...

Wiśniewski oblał się rumieńcem. Nie spodziewał się, że będzie potrzebny.

Uważał, że skoro Brenner ma do niego jakiegokolwiek zastrzeżenia, to na pewno go nie chce. Ponieważ był stuprocentowym narcyzem, uważał, że świat kręci się wokół niego i tak samo wyolbrzymiał swoje zalety, jak i wady, a już zwłaszcza to, co myślą o nim inni. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale w cichości marzył o pracy w CBS i od dłuższego czasu zjadała go zazdrość o Malickiego, który kumpłował się z ludźmi Brennera coraz bardziej.

– Nie... – chrząknął lekko zażenowany. – Bardzo chętnie pomogę.

– Cieszę się. – Brenner skinął głową. Wiśniewski go irytował, ale lata doświadczeń z bardzo różnymi ludźmi nauczyły go współpracować i doceniać każdego, bez oglądania się na najbardziej nawet denerwujące cechy charakteru. – Proszę więc pilnować sprawy redaktora Koleckiego. Porozmawiam z pana szefem, powiem, że będzie to w zakresie pana odpowiedzialności. Potrzebna jest mu ochrona, całodobowa obserwacja, może podsłuchy... No i trzeba się zająć rozgryzieniem pamiętników Justyny.

– Dobrze. – Komisarz cieszył się jak dziecko, choć na zewnątrz nigdy by tego nie okazał. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby doprowadzić tę sprawę do końca.

XXXV

Mimo że była niedziela i mimo że było już dość późno, w poznańskim areszcie przy Młyńskiej nie było cicho. Kiedy jeden z pracujących tam funkcjonariuszy prowadził Łukasza z Maćkiem przez korytarze, z różnych pomieszczeń dochodziły ich odgłosy rozmów, a nawet kłótni. Meyer wiedział, że często do niektórych zatrzymanych dopiero w tym miejscu docierało, co tak naprawdę się dzieje. Wielu było w stanie upojenia alkoholowego albo pod wpływem narkotyków, niektórych ponosiły nerwy, a byli i tacy, którzy zatrzymywani byli niesłusznie. Takie rzeczy też się zdarzały.

Chorążego Jaskółę przyprowadzono im do niedużego pomieszczenia ze stołem i czterema krzesłami. Ubrany był po cywilnemu, ale Łukasz od razu zauważył, że nic się od ich ostatniego spotkania nie zmienił. Po twarzy nadal błąkał mu się ten dziwny uśmieszek, a oczy świeciły jak lampki. Usiadł naprzeciwko nich i przyjął postawę, która postronnemu obserwatorowi mogła powiedzieć, że to on chce ich przesłuchiwać.

– Witam panów – odezwał się pierwszy, nie tracąc ani na sekundę pewności siebie. – Widzę, że jest odzew na moje zeznania. Cieszę się, bo nie mam zamiaru...

– Zamknij się – uciął jego wypowiedź Kozera. Spojrzał na chorążego z wyrazem najwyższej pogardy. – Wiesz, że szybko Cię stąd nie wypuszczę.

– Ciekawe za co mnie tu trzymasz, co? – Twarz Jaskóły stężała. – Bo ponoć Justyna żyje i ma się dobrze.

– Nie siedzisz za nią, tylko za pobicie.

– Nic na mnie nie masz.

– No, żebyś się nie dziwił – Kozera mruknął, nie patrząc na niego. Przeglądał jakieś dokumenty, które dostarczył mu jego kolega z Żandarmerii. – No to jak było z tym Garlickim? – zapytał niespodziewanie i uśmiechnął się do zatrzyma-

nego z nutką satysfakcji.

Jaskóła zmieszał się, ale szybko odzyskał rezon.

– Szybcy jesteście. – Odwrócił na chwilę wzrok.

– Sam mówiłeś, że to on może mieć powody, żeby zastraszać panią Dąbek i jej męża.

– Męża? – Jaskóła zmarszczył czoło. Spojrzał po raz pierwszy w twarz Meyera, jakby szukał na niej odpowiedzi. – Nie rozumiem.

– O, matko! Jaskóła, co nie rozumiesz? Ktoś napadł na jej męża pod blokiem i splądrował im mieszkanie, szukając pamiętników. Chcemy wiedzieć, czy mógł zrobić to ten cały Garlicki.

– Powiedziałem, że ktoś może mieć kłopoty, jak zostaną ujawnione treści tych całych jej zeszytów, ale nie powiedziałem...

– Wykończysz mnie – westchnął Kozera. – Wiemy, że chodzi o niego i wiemy, że Ci odebrał panią do dupczenia. Jesteś na niego o to zły, a my nie jesteśmy do końca pewni, czy się nie chcesz na nim zemścić.

– Grzesiek Garlicki to mój kumpel...

– Ale żal i tak Ci dupę ścisnął. Mów normalnie, jak jest, bo Ci znajdę kolejnego pobitego przez Ciebie.

Łukasz przyglądał się kapitanowi z mieszanymi uczuciami, ale Kozera najwyraźniej dobrze wiedział, jak postępować z tym człowiekiem, bo twarz Jaskóły zmieniła się diametralnie. Spuścił na chwilę głowę i zastanawiał się, co powiedzieć.

– Zadzwoiłem do niego. – Podniósł głowę i skrzywił się lekko. – Powiedziałem, że Justyna opisała jego romanse, także ten z tą jej koleżanką... Ostrzegłem, że może to ujawnić. Wściekł się, bo ma żonę i gra teraz wielkiego ojca rodziny, jakby zapomniał, co wyprawiał wtedy. Już nie jest sierżantem, zrobił kurs i został oficerem. Teraz to jest wielka szycha – uśmiechnął się ironicznie. – Takie rewelacje wszystko by zniszczyły, więc poczuł, że pali mu się grunt pod nogami.

– Gdzie on teraz jest? – odezwał się w końcu Meyer.

– W Szczecinie, ale planuje szturm na stolicę. – Uniósł wysoko brwi i zrobił wymowną minę. – Marzą mu się awanse i wielka kariera. A tu proszę: taka niespodzianka.

– Ktoś go pcha w tej stolicy? – Kozera zmarszczył brwi.

– Pcha. – Jaskóła skinął głową. – Oj, pcha.

– Kto?

Nie odpowiedział, tylko z uśmiechem przyglądał się Łukaszowi.

– To co, panie komisarzu, przespał się pan z nią? – zapytał, jakby w ogóle nie był przesłuchiwany.

Łukasz doszedł do wniosku, że facet ma nie po kolei w głowie i należy go traktować jak wariata, to znaczy zamknąć w zakładzie, a nie w więzieniu.

– Wiele razy. – Meyer pokiwał głową z lekkim uśmiechem.

– I jak? – Jaskóła nachylił się nad stołem. – Krzyczała moje imię?

Kozera chciał coś powiedzieć, ale Łukasz roześmiał się.

– Nie, imię swojego męża.

Do ciała przesłuchiwanego powróciła poprzednia osobowość. Wyprostował się gwałtownie i spojrzał z powagą na Kozere.

– Grześ zaprzyjaźnił się w Stargardzie z pewnym majorem, który pomaga mu rozwijać skrzydła.

– Jak on się nazywa? – Maciek złapał za długopis.

– Sarnowski. – Tego nie powiedział Jaskóła.

Kozera spojrzał na Łukasza zdziwiony, a chorąży uśmiechnął się krzywo.

– Pan, jak widzę, zorientowany. – Jaskóła pokiwał głową z uznaniem. – Nie mylisz się, chodzi o niego.

– Skąd wiesz? – Kapitan zamrugął powiekami.

– Bo to by nawet pasowało – Łukasz westchnął i potarł palcami brwi. – Sarnowski na pewno też się boi. Został ściągnięty po porwaniu Justyny z Brukseli i odwołany z zajmowanego stanowiska na czas nieokreślony. Myślę, że jemu najbardziej zależy, żeby pamiętniki nie ujrzały światła dziennego. Pewnie nawet nie wie, co w nich jest.

– Ja też nie wiem – z powagą powiedział Jaskóła.

Kozera przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Jak to nie wiesz? Przecież nawet kserokopie zrobiłeś.

– A skąd mogę wiedzieć, o czym pisała w Stargardzie? – całkiem na serio oburzył się chorąży. – Mnie tam nie było.

– W sumie racja. – Maciek wyduł usta i postukał długopisem w blat.

– Musicie zapytać Justynkę, co tam napisała. – W głosie Jaskóły słychać było szyderstwo. – Na pewno coś ciekawego. Ona strasznie lubiła pisać o swoich

przełożonych...

– Sarnowski nie był jej przełożonym – powiedział Łukasz.

– Ale był starszym stopniem i należał mu się szacunek.

– Tak, jasne. Powinna go była w rękę całować na powitanie. – Kozera zaczął zbierać kartki ze stołu i chować do teczki. – Idziemy. Nie będziemy Ci więcej zakłócać niedzielного odpoczynku.

– Ja tu tylko odpoczywam. Nic innego nie robię...

– I dobrze. – Maciek pochylił się nad jego twarzą. – Wszystko, co robisz, jest szkodliwe.

Wyszli bez słowa pożegnania. Na dworze zaskoczyła ich pogoda – padał śnieg i mocno wiało. Łukasz schował szyję w kurtce i zerknął na strapioną minę Kozery. Wiedział, że pan kapitan bardzo chciał zobaczyć się z rodziną, ale jego auto zostało w Warszawie. Do Poznania przyjechali samochodem Łukasza.

– Odwieź mnie do hotelu i jedź do nich. – Meyer wyciągnął kluczyki i podał je Maćkowi. – Spotkamy się rano. W razie czego jakoś trafię do Żanety.

– Dzięki, stary – szepnął tylko Kozera.

XXXVI

– Pani Dąbek już do Was dotarła?

Pytanie to dosłownie zastrzeżiło Krokodyla. Premier zadał je spokojnym tonem, rzadko zresztą się denerwował, ale dla pytanego był to kolejny tego dnia cios między oczy.

– Skąd pan wie? – Z największym trudem zdołał zachować powagę.

– Wiem, a pan nie musi wiedzieć skąd, panie Muszyński. To jak: dotarła cała i zdrowa?

– Tak. Przyleciała dziś rano. – Zerknął na zegar. W Kabulu dochodziła północ, więc w Warszawie był późny wieczór.

– Bardzo dobrze.

– Czy to pan... to załatwił?

– Nie – Brzeziński roześmiał się. – Sama miała taki pomysł i go zrealizowała. Coraz bardziej podoba mi się ta Wasza koleżanka. Ale pan mocno mi podpada. Był pan nieuchwytny trochę zbyt długo.

– Nie pracujemy teraz dla pana – wypalił szybciej niż pomyślał. – Nie muszę się z niczego tłumaczyć.

– Nie rozumiem pana irytacji. Ma pan to, czego chciał, bez wysiłku, bez kombinowania... Chyba że jednak nie dostał pan tego, czego naprawdę pan chciał...

Przez chwilę Krokodyl nie odzywał się. Brzeziński uśmiechnął się pod nosem, ale już nie komentował.

– No dobrze – westchnął premier. – Wracając do tematu. Chciałbym, żebyście coś dla mnie zrobili. Trzeba pojechać znowu do Ghazni i przyjrzeć się temu, co się tam dzieje. Jest prawie zima, a mam sygnały, że ostrzały wcale się nie zmniejszają...

– Macie tam GROM i innych „specjalsów”, niech oni się tym zajmą – burknął Krokodyl.

– GROM bardziej interesuje przedłużanie gatunku niż troska o bezpieczeństwo...

– Co?

– Po ostatniej zmianie wróciło prawie dziesięć kobiet w ciąży; wszystkie z żołnierzami tej fantastycznej formacji. Teraz dowódca ma cyrk z dochodzeniem ojcostwa. Wolę więc zapłacić Wam i wiedzieć, że mi to dobrze sprawdzicie.

Krokodyl potarł zmęczone oczy.

– Dobra – powiedział cicho. – Pogadam z moimi koordynatorami, ale niczego nie obiecuję.

Kiedy skończył rozmawiać z premierem, wszedł na piętro i zajrzał do Justyny. Spała całkiem spokojnie, nie poruszyła się nawet, mimo że normalnie wyczuwała jego obecność... Przyglądał się jej dłuższą chwilę, zrezygnowany. Gogola nie było, więc wspiał się na dach budynku, gdzie znalazł go razem z Charliem, jak ustawiali jakieś anteny. Zauważył, że Kostek na jego widok szybko schował telefon do kieszeni. Nie miał jednak nastroju na dochodzenie, co przed nim ukrywa.

– Gdzie jest Jamal? – zapytał cicho.

– Pojechał na lotnisko, ale nie mówił, po co. Mamy jakąś nową robotę?

– Tak... chyba coś będziemy mieli.

– Biznes się kręci, co? – Gogol uśmiechnął się.

– No... – Krokodyl spojrział przed siebie. Dzielnica, w której się znajdowali, położona była na wzgórzu, więc miał dobry widok na Kabul nocą.

– Coś nie tak? – Kostek zmarszczył brwi.

– Powiedz mi... dlaczego tak naprawdę ona tu przyjechała?

– Malina?

– A kto? Jest tu z nami jeszcze jakaś kobieta?

– Nie wiem. – Gogol wzruszył ramionami. – Moja Kaśka twierdzi, że chciała uciec przed mężem, żeby jej nie bolało...

– Co bolało? Co on jej zrobił?

– Był niemiły... Przestał się do niej odzywać, zaczął pić... No, generalnie źle ją traktował.

– Dlaczego?

– Bo... chyba był zazdrosny. – Kostek podrapał się po głowie, rozważając, ile

powinien mówić Krokodyłowi. W kieszeni paliła go komórka z wiadomością od Kasi o wizycie męża w ich domu. – Nie spodobało mu się to, co z nami robiła. Jak na mój gust, facet ma problem z tym, że żona nie jest potulną gęsią, przy której zawsze będzie czuł się wielkim macho.

Krokodył kiwnął głową, ale trudno było powiedzieć, co to znaczyło.

– To dobrze, że przyjechała – powiedział cicho. – Mi powiedziała, że chce go chronić, bo zaczęły się jakieś niepokojące rzeczy dziać wokół nich, ale znam ją na tyle, że gdyby tak było, to zastanowiłaby się dłużej.

– Może i racja – Gogol westchnął. – Ale to nie zmienia faktu, że jest w kiepskim stanie. Minęło sporo czasu... Mogła się zmienić.

– Nie zmieniła się. I to mnie najbardziej niepokoi. – Krokodył potarł brodę, której na nowo pozwolił rosnąć, odwrócił się na pięcie i zszedł z dachu.

XXXVII

– Nie pomogę panu – w głosie Małgosi słychać było lekką desperację. – Nie tym razem.

Brenner westchnął ciężko. Grażyna zadrżała do niego na chwilę, zaniepokojona długą nieobecnością w salonie. Miał wykonać jeden krótki telefon.

– Pani Małgorzato, zapytam wprost: dostała pani list czy kwiaty z napisem pogrzebowym?

Gośkę zatkało. Przez dobre pół minuty niczego nie mówiła, przygryzając do krwi wargi.

– Jedno i drugie – szepnęła w końcu. – Skąd pan wie?

– Bo nie jest pani jedyna. Mieszkanie Meyerów zostało splądrowane, spalono samochód KołECKIEGO, ale... tego od listów i kwiatów już złapaliśmy. Dlaczego nie powiedziała nam pani o tym?

– A jak pan myśli? – uniosła głos. – Ja znam tych ludzi, wiem, do czego są zdolni, kiedy się boją.

– Myśli pani, że się boją?

– Zadaje pan głupie pytania. Oczywiście, że tak!

– Wie pani, kto konkretnie?

– Panie inspektorze, ja mam dzieci...

– Ale na akcję łapania porywaczy pani poszła.

– Bo czułam się winna.

– Nie rozumiem. Czemu się pani czuła winna?

– Chciałam to jakoś wynagrodzić Justynie... ten czas w szkole, kiedy nie zawsze byłam dla niej dobra. Ona... oni z Łukaszem mi pomogli, mimo że nie musieli. Czułam się w obowiązku spłacić dług. Ale teraz niech mnie pan nie prosi, żebym narażała rodzinę. To są naprawdę niebezpieczni ludzie.

– Wiem – powiedział cicho. – Ale myślę, że i tak nie dadzą pani spokoju.

– Czego pan chce?

– Najchętniej poszedłbym na emeryturę – mruknął zrezygnowany. – Dostałem zadanie rozwiązania tej sprawy. Może nie powinienem tego mówić otwarcie, ale mam znaleźć tego, kto zagraża Justynie, pani i paru innym osobom.

– I myśli pan, że da się złapać, tak? – roześmiała się nerwowo.

– To zależy także od pani.

– Dobra, powiedzmy, że się zgodzę współpracować. Co mam robić?

– Dostanie pani ochronę. Całodobową obserwację. Jeśli się pani zgodzi, także podsłuch. Ale musi pani powiedzieć wszystko, co pani pamięta i wie o pobycie Justyny w wojsku: nazwiska, zdarzenia, nietypowe sytuacje... Może się okazać, że coś naprawdę głupiego będzie miało znaczenie.

– A to nie jest robota Jaskóły?

– Widzi pani, zaczynamy mieć co do tego wątpliwości.

– To kto?

– Garlicki.

– O, kurwa! – wyrwało się jej nagle. – Zapomniałam o nim.

– No właśnie... Proszę spisać, co pani pamięta. Albo przyjść do nas. Jak pani woli.

– Niech będzie. – W jej głosie nie było słyhać przekonania. – Zastanowię się jeszcze.

Kiedy Rafał wrócił do salonu, Grażyna przywitała go pytającym wzrokiem.

– Zgodziła się, choć nie na sto procent. – Usiadł obok niej i objął ją ramieniem.

– Wiesz co, Brenner? Źle z Tobą. Wydzwaniasz po nocach do ludzi i zmuszasz ich do czegoś.

– A co mam zrobić? Przypomniało mi się teraz, że z nią jeszcze trzeba pogadać, to zadzwoniłem. Starzeję się, do rana mógłbym zapomnieć.

Roześmiała się cicho.

– Akurat. Nie zasnąłbyś z wrażenia, że wpadłeś na taki genialny pomysł. Słuchaj... ten cały Łukasz naprawdę chce jechać po żonę do Afganistanu?

– Chce. – Rafał kiwnął głową.

– Jak on zamierza to zrobić?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli mam być szczery, to chciałbym, żeby ją znalazł i to jak najszybciej.

- A to czemu? Mówiłeś, że tam jest bezpieczniejsza.
- Bo czuję, że nie rozwiążemy tego syfu bez niej.
- Bez przesady! – Odchyliła się lekko i spojrzała na męża z ukosa. – To Wy jesteście spece od takich spraw.
- Mam czasami wrażenie, że ona jest większym. Nawet premier mówił, że przeszła szkołę... – Podrapał się po łysinie. – Poza tym jestem coraz bardziej pewny, że nie powiedziała nam o wszystkim.
- Jak to? Po co miałyby zatajać cokolwiek?
- Widzisz, z Justyną jest trochę tak, jak z agentem wywiadu, który działa incognito. Zbiera wiadomości, ale nie ujawnia ich od razu, tylko wtedy, gdy jest mu to potrzebne. Kiedy trzeba, wychodzi z cienia i rozwala całe towarzystwo. Mam obawy... że ona doskonale zna odpowiedzi na większość naszych pytań.
- Wydaje mi się, że przesadzasz, kochanie.
- Brenner spojrzał na Grażynę przenikliwie.
- Bardzo bym chciał, żeby tak było. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

XXXVIII

Bardzo żałował, że nie zdecydował się jednak na wzięcie taksówki. Błąkał się dobre dwadzieścia minut po rozkopanych ulicach centrum Poznania, zanim udało mu się ustalić, którym tramwajem dojedzie na Sołacz do Gołąbów.

Willę ledwo było widać spomiędzy drzew i wysokich krzewów w ogrodzie. Jeden rzut oka pozwalał ocenić jej właścicieli jako majątnych, ale nie rozrzutnych ludzi. Na domofonie Łukasz zauważył jednak dwa nazwiska, a na podjeździe dwa auta. Zadzwoił raz i furtka została otworzona bez zbędnych pytań. W drzwiach stał mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, niezbyt wysoki, na pewno niższy od Żanety, co mocno zdziwiło Meyera, pamiętał bowiem, że pani nadkomisarz gustowała w wysokich mięśniakach, podobnych do niego.

– Dzień dobry. – Daniel Gołąb uśmiechnął się smutno i wyciągnął dłoń na powitanie. – Pan pewnie z Warszawy. Dzwonił szef Żanetki i mówił, że ktoś do nas jedzie. Zapraszam.

Łukasz wszedł za nim do domu. Wtedy dopiero zauważył, że w miejscu, gdzie są schody na piętro, zbudowano ściankę z drzwiami.

– Sprzedałem górę po wypadku żony – wyjaśnił Daniel, widząc minę gościa.
– Potrzebowałem pieniędzy, a poza tym i tak jest nam ta część domu niepotrzebna.

– Rozumiem. – Łukasz kiwnął lekko głową. Słowo „wypadek” zabrzmiało dość dziwnie w jego uszach, ale trudno było oczekiwać, że mąż Żanety będzie nazywał rzeczy po imieniu.

Dom urządzony był gustownie, ale bez większych ekstrawagancji. Stare meble, na pewno przedwojenne, szydełkowe serwetki, dużo książek, dźwięk tykającego zegara na ścianie i sporo obrazów – wszystko to, podobnie jak osoba męża, nie pasowało Łukaszowi do kobiety, którą poznał.

– Chce pan herbaty? – zapytał cicho gospodarz, kiedy weszli do salonu.

– Nie, nie będę robił kłopotu. Chciałem tylko zobaczyć się z Żanetą i pójść sobie... Mam prezent. – Podniósł w górę papierową torbę. – Myślałem o książce, ale uznałem, że lepsze będą filmy. Tu jest kilkanaście... Są od nas wszystkich, z Warszawy.

Daniel uśmiechnął się i pociągnął nosem. Wyraźnie był zmęczony.

– To chodźmy do niej. – Wskazał na drzwi.

Pokój, w którym leżała Żaneta, całkowicie przystosowano do jej potrzeb, poczynając od łóżka, jakiego nie powstydziliby się najlepszy oddział rehabilitacyjny. Pod ścianą leżała duża piłka do ćwiczeń, na półkach spoczywały równo poukładane pieluchy, zmiany bielizny, a także leki, igły, strzykawki, środki myjące... Gdyby nie obrazy na ścianach i piękny dywan na podłodze, można by pomyśleć, że znajdują się w sali szpitalnej.

Łukasz bał się tego spotkania. Nie wiedział, czy będzie umiał zachować się stosownie przy kimś, kto próbował odebrać sobie życie. Koleżanka nie przypominała dawnej siebie, ale temu się nie dziwił. Włosy miała obcięte na krótko, bo w miejscu, gdzie weszła kula z pistoletu, wciąż założony był dren. Strzeliła w lewą skroń, ale widział, że miała lekko sparaliżowaną prawą część ciała. Była wychudzona, a mimo wszystko i tak wyglądała lepiej niż można by się tego spodziewać. Leżała odkryta, ubrana w długi sweter do kolan i uciskowe rajstopy, jakie zakłada się osobom, które długo przebywają w łóżku. Na widok Łukasza jej twarz rozjaśniła się, ale wzrok natychmiast powędrował w stronę męża.

– Cześć. – Meyer przez chwilę bał się, że nie będzie wiedział, co powiedzieć.
– Mam dla Ciebie prezent.

– Cześć – uśmiechnęła się. – Jaka niespodzianka. Co Cię do nas sprowadza?

– Chciałem Cię odwiedzić. To znaczy... Brenner prosił mnie o to.

– Daj spokój – roześmiała się cicho. – W życiu nie uwierzę, że jesteś tu dla mnie. Na pewno załatwiasz coś służbowo.

– Dobrze nas znasz. – Chciał również podtrzymać ten żartobliwy ton, ale mu się nie udało.

– Co się stało? – zapytała, spoglądając na męża. Mrugnęła powiekami, na co Daniel lekko skinął głową i wyszedł dyskretnie z pokoju.

Przez dłuższą chwilę Łukasz milczał. Zaskoczyła go jego własna reakcja, kiedy dotarło do niego, co tak naprawdę sprowadza go do Poznania. Spadło to na niego z porażającą jasnością. Stał bezradnie obok łóżka Żanety, nie wiedząc,

co powiedzieć. Wzięła go za rękę i lekko ścisnęła.

– Coś z Justyną, prawda?

Pokiwał głową i zacisnął usta.

– Odeszła...

Żaneta nie mogła być bardziej zaskoczona. Sięgnęła ręką po pilota i uniosła nieco górną część łóżka.

– Usiądź – powiedziała, wskazując na krzesło obok. – Opowiedz mi.

Mimo że nie było to jego zamiarem, kiedy zjawił się w domu Gołąbów, opowiedział Żanecie o swoich problemach. Patrzyła na niego cały czas bez słowa, ale widział w jej oczach zrozumienie.

– Pogadaj z Badeckim – powiedziała w pewnym momencie.

– Z kim? – Wytarł mokre oczy.

– Z aspirantem Arturem Badeckim. To mój kolega.

– Ale po co? – Zaczął obawiać się, że z rozumowaniem Żanety nie jest za dobrze.

– Jaskóła może mieć rację co do Garlickiego. Artur natrafił na ten trop, kiedy szukaliśmy Justyny. On jako jedyny uważał, że mam rację co do tych zwłok i przeszukania Nienackiego. Cały czas byliśmy w kontakcie. Myślę, że wciąż ma notatki z tej sprawy i może nawet ma jakieś sensowne wnioski.

– Ten Twój kolega prowadził śledztwo w wojsku?

– Nieformalnie – mówiła cicho i z trudnością, ale widział w jej oczach blask, który był wyraźnym sygnałem, że jej mózg pracuje dobrze. – Dowiedział się o Garlickim i o jego romansach, które zresztą ciągną się do tej pory...

– Żartujesz?! – Łukasz wyprostował się gwałtownie.

– Nie. Wciąż utrzymuje kontakty z pewną kobietą, która pozałatwiała sobie dojścia do Warszawy.

– Wiesz, gdzie ona pracuje?

– W Żandarmerii.

Meyer poczuł, że jest mu gorąco.

– Wszystko jest ze sobą powiązane, Łukasz. Ta dziewczyna mieszkała jakiś czas z Twoją żoną w jednym pokoju. To ona powiedziała Jaskóle o pamiętnikach.

– Z nim też miała romans – szepnął. – To o niej mówił Brennerowi KołECKI.

Do pokoju wszedł Daniel.

– Zrobię panu tej herbaty, dobrze? – westchnął z uśmiechem. – Kochanie, wszystko w porządku? Przykryć Cię? – Położył dłoń na kolanie Żanety.

– Nie, nie trzeba. Weź Łukasza do salonu, daj mu coś do jedzenia. Prześpię się.

Łukasz podniósł się i nachylił nad Żanetą. Objęła go ramionami i pocałowała w policzek.

– Pamiętaj o Badeckim – szepnęła mu do ucha. – I nic się nie martw. Ona wróci. A ja postaram się szybko wyzdrowieć i Wam pomogę z tym śledztwem. – Spojrzała na męża i wyciągnęła do niego dłoń. – Danielku, przyjdź tu za chwilę. Muszę Ci coś powiedzieć.

Łukasz został posadzony przy dużym owalnym stole, przykrytym pięknym lnianym obrusem. Daniel podsunął mu pudełko z ciastkami.

– Zaraz się panem zajmę, tylko...

– Tak, tak. Niech pan do niej idzie – Łukasz uśmiechnął się blado. Nie chciał zostawać, ale głupio mu było wychodzić bez pożegnania. Rozglądał się po salonie, podziwiając obrazy i zbiory książek na półkach. Wszędzie było bardzo czysto, pachniało woskiem do podłóg i lawendą.

Mąż Żanety wrócił z herbatą i kanapkami na tacy.

– Nie trzeba było... – Łukasz poczuł się jak w pułapce. – Jadłem w hotelu.

– Żanetka mnie prosiła, a poza tym... chciałem pogadać. – Daniel usiadł za stołem i nalał Łukaszowi herbaty z dzbanka. – Nie mamy zbyt wielu gości. Na początku żona nie nadawała się do odwiedzin, a teraz po prostu chyba niektórzy zapomnieli. Poza tym... bardzo przepraszam, że się wtrącam, ale usłyszałem fragment Waszej rozmowy. Proszę się nie gniewać. Mam odruch zaglądania do niej co chwilę, a pan mówił o rzeczach dość dla mnie ważnych...

– Nic się nie stało.

– Widzi pan, po tym wypadku... miałem sporo czasu, żeby sobie przemyśleć różne sprawy. Powiedziałem Żanecie o kilka słów za dużo...

– Z tego, co wiem, miał pan powody, żeby być na nią złym. – Łukasz nie chciał tego mówić, ale poczuł, że musi raczej usprawiedliwić siebie.

– Panie Łukaszu – Daniel spojrzał mu głęboko w oczy – są słowa i gesty, które palą mosty, i trzeba się dobrze zastanowić, zanim się na nie zdecydujemy, czy aby na pewno chcemy ponosić ich konsekwencje. Żaneta bardzo mnie zraniła, ale ja sam zraniłem siebie bardziej, mówiąc to, co mówiłem, i nie dając jej

szansy... Z tego, co zrozumiałem, pan też posunął się nieco za daleko.

Policzki Łukasza oblał rumieniec.

– Co pan chciał osiągnąć... co my chcieliśmy osiągnąć w ten sposób? – ciągnął Gołąb. – Pana żona nie musiała się wyprowadzać, tak jak Żaneta nie musiała do siebie strzelać, ale my do końca nie wiemy, gdzie jest ta granica ludzkiej wytrzymałości. Po co ją naciągać?

Łukasz schował twarz w dłoniach. Miał wrażenie, że jest bokserem, którego ktoś właśnie powalił na deski.

– Chciałem ją ukarać – powiedział cicho. – Chciałem, żeby ją bolało, tak jak mnie.

– Co pana zabolowało najbardziej?

– Lęk... że nie jestem dla niej najważniejszy. – Spojrzał w sufit pełnymi łez oczami i roześmiał się nagle. – Zawsze uważałem, że jestem „bezpieczny”, rozumie pan? – Popatrzył na Daniela, który pokiwał głową.

– Rozumiem. Coś zachwiało pana poczuciem pewności siebie. Bo, jak się domyślam, zbudował je pan na niepewnym gruncie, który się zawalił.

– Tak! Ja byłem silny, ona ta słaba. Ja byłem mądry i odpowiedzialny, ona zagubiona i nadwrażliwa. Ja... ja nawet nie wiedziałem, że moja żona podoba się tylu innym facetom. A okazało się, że to jakiś zabójca, kontrolujący sytuację komandos, który niczego się nie boi, wchodzi na dach i strzela do ludzi. I jeszcze Ci jej koledzy... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Te stada mężczyzn wokół niej, wpatrzonych w nią jak w święty obraz. Nikt nie przeszedł obok niej obojętnie. Nikt!

– Ale przecież nie odeszła – cicho stwierdził Daniel. – Nie poszła za tymi stadami.

– Nie. – Łukasz przygryzł wargę. – Odeszła, jak ja zacząłem svirować.

– Co dowodzi, że to pan się dla niej liczył. Tylko pan. Żaneta mówiła mi, że Ci mężczyźni nie byli dla niej ważni... – Potarł czoło i zacisnął usta. – Przychodzi teraz do nas psycholog. Żanetka ma problemy emocjonalne, bardzo poważne. Nic o nich nie wiedziałem, ona też... To przez jej rodziców, przez brata... Eh, szkoda mówić. – Machnął ręką. – To trzeba leczyć, a nie ją zostawiać. Kiedy dowiedziałem się o tym, co się stało, myślałem, że sam umrę.

– Jak sobie z tym radzicie?

– Z samobójstwem?

– Nie... Z tym, co robiła, z tymi jej romansami.

– Śmiejemy się.

– Jak to?

– Psycholog poradził, żebyśmy nie brali tego na poważnie. Żartujemy sobie często z wszystkiego. I rzeczywiście to pomaga. Dobrze, że pan przywiózł te filmy. To też jest nam potrzebne.

Łukasz spojrział za okno. Walczył ze łzami bezsilności.

– Wyjechała – powiedział, patrząc wciąż na ogród przed domem.

– Co pan powiedział? Gdzie wyjechała?

– Uciekła przede mną. Do Afganistanu.

Daniel odchylił się na krześle i spojrział na Łukasza z niedowierzaniem.

– Co pan opowiada?

– Moja żona pracowała przez półtora roku jako najemnik w Afganistanie i właśnie tam wróciła.

– Myślałem, że te opowieści o komandosie i zabójcy są przenośnią. A pan jest... – Daniel odchylił głowę i się roześmiał. – Teraz rozumiem. Pan jest funkcjonariuszem i nic o tym nie wiedział. No to wszystko jasne. – Oparł się o blat i spojrział z uśmiechem na Łukasza. – Co pan zamierza?

– Chcę tam jechać. Po nią. Nie wiem, jak to zrobię i jak ją znajdę, ale wiem, że muszę...

– Pomogę panu – powiedział niespodziewanie Daniel.

– W jaki sposób?

Gołąb znowu się roześmiał i pokręcił głową.

– Już wiem, czemu Żaneta chciała, żebyśmy z panem porozmawiali. Bo ja mogę panu pomóc.

– Ale jak?

– Miałem firmę budowlaną, inwestycje robiliśmy głównie za granicą, w Azji, trochę w Afryce. Ostatni kontrakt był w Kabulu, to znaczy jest nadal.

– Naprawdę?

– Tak. Budujemy... to znaczy budowałem hotel niedaleko budynków rządowych. Intratny biznes, choć trochę niebezpieczny. Mogę pana skontaktować z moim byłym wspólnikiem, on pana wciągnie do pracy, może jako jakiegoś fałszywego inżyniera, nikt się nie pozna. Co pan na to?

Łukasz potrząsnął głową, zastanawiając się, czy nie śni.

– Biorę – roześmiał się. – Jeśli to da się załatwić... biorę od razu. Co mam robić?

Daniel podniósł się i wziął jakąś kartkę i długopis z komody.

– Zapiszę namiary do niego. Andrzej Domański, mieszka w Poznaniu, ale teraz go pan tu nie zastanie. Zadzwoń najpierw i powiem mu o sprawie. On jest mi winien parę przysług, powinien się zgodzić. Poza tym... – spojrzał na Łukasza przenikliwie – to, że jest pan policjantem, powinno pomóc. Tam jest naprawdę niebezpiecznie.

– Myślałem, że to będzie niemożliwe – szepnął Łukasz. – Justyna mówiła, że najpierw trzeba podjąć decyzję, żeby przyciągnąć rozwiązania.

– Najwyraźniej miała rację – uśmiechnął się Daniel. – Wszystko obróci się na dobre, panie Łukasz. Trzeba w to tylko mocno wierzyć.

XXXIX

– Powtarzam: nikogo nie porwałem. – Sebastian Jurkiewicz założył ręce na klatce piersiowej i obrzucił beczelnym spojrzeniem Tomka Kotowicza. Kiwał się lekko na krześle, jakby miał wszystko w nosie, ale jeden rzut oka Słomkowskiego pod stół powiedział, że jest inaczej. Stopa aresztanta bardzo szybko kiwała się na wszystkie strony. Zauważył też, jak krew w tętnicy szyjnej pulsowała mocno, co mogło świadczyć o tym, że i jego serce wali jak młot.

– My nie pytamy „czy” porwałeś, ale „dla kogo” to zrobiłeś. – Kot był zmęczony, bo szef kazał im przyjechać do aresztu bladym świtem. – Twój udział w porwaniu Justyny Meyer jest bezsporny.

– Nic na mnie nie macie – wycedził przez zęby Jurkiewicz.

– Mamy odciski z miejsca przetrzymywania...

– I co z tego? – Łysy paker nachylił się nad stołem i oparł dłońmi o blat. – Mogłem je sobie zostawić, gdzie chciałem. Pokażcie mi zeznania tej niby porwanej, pokażcie mi w ogóle tą całą porwaną, bo póki co to słyszę różne wersje. Podobno ktoś ją zabił.

Kot spojrzał zrezygnowany na Marcina, szukając w nim ratunku. Nigdy by nie pomyślał, że do tego dojdzie.

– Marek Linde opowiadał nam trochę o Tobie. – Marcin bawił się długopisem, nie patrząc na Jurkiewicza, ale wiedział, że zrobiło to na nim wrażenie.

Kotowicz wstrzymał na chwilę oddech. Do tej pory nie udało się osiągnąć niczego, używając znajomości Marka z porywaczami, był jednak uprzedzony przez Meyera, że niepozorny Słomkowski potrafi improwizować.

– Tak? A co niby mówił? – Aresztant nadal grał pewniaka.

– W zasadzie niewiele na razie. – Marcin podrapał się w ucho. – Ale wiesz dobrze, że on też ma sporo do ugrania. Fajnie by było, gdyby udało mu się pójść z nami na układ, żeby skrócić sobie karę, prawda? – Spojrzał na Jurkiewicza

i uśmiechnął się słodko.

– Jaki układ? – Wielki kark zrobił się nagle czerwony. – Nie pójdzie na żaden układ. Ma za wiele do stracenia.

– Mylisz się. – Słomkowski pokręcił głową. – To wciąż funkcjonariusz, który jest dla nas cenny. O wiele bardziej niż taka menda jak Ty. On nam opowie o Waszej wieloletniej współpracy, więc nawet nie trzeba Cię będzie skazywać za to porwanie, do którego się nie przyznajesz, tylko posiedzisz za resztę. W zasadzie... to nie wiem, po co my tu dziś przyszliśmy, panie komisarzu? – Spojrzał na Kota z udawanym zdziwieniem. – Straciliśmy kawał czasu dla tego gnoja.

– No właśnie – Tomek westchnął i zaczął zbierać dokumenty do teczki. Nie wiedział, do czego to zaprowadzi, ale uznał, że warto pozwolić Marcinowi działać. – Chodźmy. Jestem zajebiście zmęczony.

– Nie wsadzicie mnie! – Patrzył na nich z ogniem w oczach, kiedy zaczęli się podnosić z miejsc. – Bo powiem, że ta suka go zabiła.

Tomek z Marcinem spojrzeli po sobie pytająco.

– Jaka „suka”, jakiego „jego”? – Kot nachylił się nad Jurkiewiczem.

Jurkiewicz walczył chwilę ze sobą, zaciskając mocno szczęki.

– No ona, ta niby porwana.

– Ja pierdolę, Jurkiewicz! – Kot potarł dłonią czoło. – Wykończysz mnie. To porwałeś kogoś czy nie porwałeś? Zdecyduj się w końcu, bo nie mamy tyle dnia, żeby tu sobie z Tobą gawędzić.

– Porwaliśmy – powiedział cicho, nie patrząc na nich. – Ale nie wiem, dla kogo. Nie znam gościa... Ale jeśli mnie za to skażecie...

– Wiesz, że musimy Cię skazać – Marcin westchnął i usiadł z powrotem. – Od Ciebie zależy, na jak długo.

– Ona go zabiła. – Teraz już cała noga Jurkiewicza chodziła pod stołem. – Na pewno ona. Pojechaliśmy do apteki. Czacha z nią został. Zeszło się nam, bo pojechaliśmy do Kościana zamiast do Śremu. Temu mojemu się popierdoliło i nadłożyliśmy drogi. A jak wróciliśmy, to on już nie żył. To znaczy myśleliśmy na początku, że śpi, bo siedział na krześle i się nie ruszał.

– Miał na sobie jakieś ślady? – zapytał Słomkowski.

– Nie. Nic. Ani siniaków, ani krwi... Ja pierdolę – roześmiał się nerwowo i spojrzął w sufit. – To było jakieś nierzeczywiste. Wszedłem do pokoju, gdzie ona leżała... i jej nie było. Rzuciłem się do Czachy, żeby go pytać, co się dzieje,

ruszyłem nim, a on spadł z krzesła.

– I jesteś pewien, że nikt inny tego nie zrobił? – Kot zmrużył oczy, próbując to sobie jakoś wyobrazić.

– A kto niby? Kurwa, zamknęliśmy bramę na kłódkę. Jak wróciliśmy, była zamknięta. Żadnych śladów opon. Przez pierwsze pół godziny miałem sieczkę w głowie, zastanawiałem się, o co chodzi. Dopiero potem zaczęliśmy przeszukiwać teren i znaleźliśmy ślad pod płotem. Miejsce, w którym ona... przeskoczyła.

– Przeskoczyła? – Marcin zrobił wątpiącą minę. – Widziałem ten płot, to nie było wcale proste.

– Ale przeskoczyła. Nie przeleciała przecież przez niego.

– I co dalej zrobiliście?

– Rozebraliśmy Czachę do majtek, wsadziliśmy do wozu i zaczęliśmy jej szukać.

– Dlaczego go nie zakopaliście?

– Bo uznaliśmy, że pewnie ona zostawiła na nim swoje ślady, więc i tak byłoby na nią. Podrzuciliśmy puszki z jej odciskami, żeby było pewniejsze, i dalej jej szukaliśmy...

– Ale wiesz, że na jego ciele nie było jej odcisków? – Marcin uśmiechnął się kątem ust. – Nie mamy żadnego dowodu, że zabiła go Justyna Meyer. Żadnego.

– Ale ja Wam mówię, że to ona!

– Niezupełnie. – Kotowicz pokręcił głową i zajrzał do notatek. – Oficjalny raport mówi, że Waszego kolegę zabił mężczyzna, co najmniej metr osiemdziesiąt wysoki, najprawdopodobniej szkolony w jednostkach specjalnych.

– Dobra, dobra! – Jurkiewicz machnął ręką. – Już ja wiem o niej co nieco. Była w wojsku, nie ściemnicie mi tu, że nie potrafiła kogoś zabić.

– A skąd wiesz to „co nieco”? – zaciekawiał się Słomkowski.

– Nie łap mnie za słówka, psie. Czytałem artykuł.

Tomek z Marcinem spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Czytałeś? – Kot był wyraźnie ubawiony. – Umiesz czytać? Ale już nie doczytałeś, że artykuł nie był o pani Meyer, tylko o pani Dąbek, co? Pani Dąbek była porwana i została zamordowana przez swojego byłego dowódcę, który siedzi w areszcie w Poznaniu. Poza tym, jak to opisywał ten artykuł, została wyrzuciona z wojska za niezdany wuef, więc mało prawdopodobne jest, że przeskoczyła przez jakiś płot, a już tym bardziej, że kogoś zabiła.

Jurkiewicz zrobił się purpurowy.

– Nie ściemniaj nam tu dłużej, bo robisz się nudny. Kogo mieliście porwać? Justynę Dąbek czy Justynę Meyer? Może się Wam całkiem popierdoliło i porwaliście nie tę osobę?

– Ty, stary, to byłoby całkiem możliwe. – Słomkowski trącił dłonią ramię Kota. – Oni nie są zbyt mądrzy. Pamiętasz tę akcję z mercedesem? Jak go chcieli w tej kałuży utopić.

– No – parsknął Kotowicz. – A teraz nawet nie wie, kogo porwał, i jeszcze mu ktoś kolegę zabił i o tym też nic nie wie. Ale jajca! Jurkiewicz, jak do więzienia pójdziesz, to Cię klawisz nie zdoła do celi doprowadzić, bo umrze ze śmiechu, jak będzie czytał Twoje akta.

– Tak, tak – chichotał Słomkowski. – A tam będzie napisane: „Wymiar kary skrócony z powodu niedorozwoju oskarżonego. Przepięstwo niepewne. Trzymać w izolacji w celu niedopuszczenia do rozprzestrzeniania się głupoty – może być zaraźliwa”.

– Zamknijcie się! – Jurkiewicz walnął pięścią w stół. – Nigdy nie partaczę roboty. Jestem profesjonalistą.

– Tak... Sebuś, jesteś... mistrzem mordy – Kot dusił się ze śmiechu.

– To jak się nazywała ta porwana? – Marcin nadstawił ucha.

– Justyna Meyer – powiedział Jurkiewicz cicho po chwili zastanowienia. Słomkowski domyślił się, że skalkulował sobie, która wersja bardziej mu się opłaca. – Żona psa z CBS. Nic nie wiem o żadnej Dąbek.

– No, to przynajmniej w tym jednym jesteśmy zgodni. – Kot kiwnął głową zadowolony. – Dla Twojej wiadomości: Justyna Meyer żyje i ma się dobrze. Nie mamy żadnych dowodów na to, że kogoś zabiła, więc te Wasze opowieści są gównem warte, ale... mogą nam zaszkodzić, dlatego jesteśmy skłonni iść na pewne ustępstwa i dogadać się z Tobą i Twoim kolegą.

– Jakie ustępstwa? – Jurkiewicz najwyraźniej nie nadążał za tokiem myślenia komisarza.

– Chcemy wiedzieć, kto Was wynajął.

– Już mówiłem, nie znam gościa.

– To się będziesz musiał zastanowić. Albo przynajmniej dać nam jakiś ślad na człowieka bądź ludzi. Linde zmilczy Waszą współpracę, a my pomyślimy nad złagodzeniem kary. Rozejdziemy się wszyscy w pokoju i na zasłużony odpoczy-

nek.

– Ja pierdolę, nie wiem! – Jurkiewicz założył dłonie na łysą głowę. – Widziałem tego kolesia tylko dwa razy. Zresztą sami go złapaliście, siedzi w pace. O co Wam jeszcze chodzi?

– Chodzi o to, że jego wynajął ktoś inny niż osoba, którą trzymamy. Musisz nam pomóc dotrzeć do właściwego zleceniodawcy.

– Jesteście nienormalni – Jurkiewicz kręcił głową i nerwowo rozglądał się wokoło. – Ja tylko miałem zrobić swoje, nic więcej.

– A może coś słyszałeś albo widziałeś? Coś więcej niż powinienes – zasugerował Marcin.

– Wiecie co? Nie powiem nikomu, że to ona go zabiła. – Spojrzał na nich z lekką desperacją. – Tylko odczepcie się ode mnie i dajcie mi niższy wyrok.

Kot poczuł, że zadanie wykonane. Taki przecież był cel ich wizyty w areszcie, ale gdy spojrzał na Słomkowskiego, zauważył, że ten nie wygląda na zadowolonego. Marcin zmarszczył czoło i przyglądał się wnikliwie osadzonemu.

– Czego się boisz, Jurkiewicz? – zapytał po chwili.

– Niczego. – Wzruszył ramionami. – Po prostu nie wiem, o co Wam chodzi.

– Kowaliow Ci nie groził, Adamiakowa raczej też nie... – Słomkowski spojrzał na Kota i znowu na Jurkiewicza. – Ktoś był u Ciebie, już w areszcie, prawda?

– Nikogo nie było...

– Mów! – Tomek mu przerwał. – I tak się dowiemy.

Jurkiewicz miotał się przez parę dobrych minut na swoim krześle. W końcu oparł się łokciami o stół i schował twarz w dłoniach.

– Nie znam go – wycedził przez zęby.

– „Go”? – Marcin nachylił się nieco bardziej w jego stronę.

– Tak. To był facet. Jakiś waźniak w garniaku. Tak przynajmniej wyglądał.

– Czego chciał?

– Powiedział, że mamy nic nie mówić na temat porwania, bo...

– Bo co?

– Bo nas zabije.

– I akurat się go wystraszyłeś?

– Wystraszyłem. Dużo wiedział. W zasadzie wiedział wszystko. O mnie, o tym, co robiłem, z kim... No to wymyśliłem, że powiem, że ona zabiła, żeby-

ście się odczepili.

Kot zamrugał powiekami. Teraz on czuł, że nie nadąza za szybkością wydarzeń.

– Chcesz powiedzieć, że zmieniliście z kolegą zeznania po wizycie jakiegoś faceta w garniturze? – Marcin prawie położył się na stole. – Przyszedł sobie ktoś z ulicy i powiedział, co powiedział, a Wy go potulnie posłuchaliście? Wierzyć mi się w to nie chce.

– Ale zaraz... – Kotowicz podniósł dłoń. – Czego konkretnie mieliście nie mówić o porwaniu?

– No... o tym Ruskim. Że on nas wynajął, że w ogóle się z nim znaliśmy.

– Bez sensu. – Tomkowi znowu zachciało się śmiać. – Jak na mój gust, Tobie naprawdę się popierdoliło. Musiałeś go źle zrozumieć. Jurkiewicz, może facet chciał, żebyście zapomnieli o czymś szczególnym, o tym, co ten facet mówił, z kim go widzieliście? Zastanów się.

Jurkiewicz naprawdę zaczął się zastanawiać.

– Może... – wymruczał po chwili, bardziej do siebie.

Słomkowski przewrócił oczami i zerknął na Kota, który zasłonił dłonią oczy i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Chyba chodziło mu o to, gdzie go widzieliśmy. – Aresztant marszczył czoło, jakby myślenie sprawiało mu wielką trudność.

– Gdzie go widzieliście? – zapytał Kot.

– No, pod tym wieżowcem.

– Przy ONZ? – upewnił się Słomkowski.

– Tak... Gadał z takim gościem... Czekaliśmy na niego z Czachą przed porwaniem w piątek, wtedy, gdy nam się nie udało.

– Z jakim gościem? – Kotowicz spoważniał nagle. – Pamiętasz, jak wyglądał?

– Oni wszyscy wyglądają tak samo. Garnitur, siwe włosy, szczupły... Taki sztywniak.

Słomkowski zrobił nagle wielkie oczy. Spojrzeli z Tomaszem po sobie, jakby poraził ich piorun.

– O, ja pierdołę! – wyrwało im się w jednej chwili. – Słotwiński.

XL

Była wykończona. Zmiana czasu, zmiana klimatu, hałas i ból ręki po szczepionce – wszystko to kumulowało się w niej coraz bardziej, powodując rozdrażnienie i wielkie zmęczenie. Dodatkowo irytowała ją burka, w której chodziła od kilku godzin. Spojrzała na swojego przewodnika, ich nowego „Ahmeda”, którego imienia ciągle nie mogła zapamiętać. Mężczyzna, podobny do wszystkich wokół, układał bele materiału na stoisku sklepiku, służącym im za najbardziej wysunięty punkt obserwacyjny. Stąd do budynku rządu było zaledwie kilkaset metrów, tutaj też przetaczała się największa ilość osób, które szły właśnie w tamtą stronę. Pierwszego dnia miała poznać drogę do sklepu oraz posiedzieć w nim przez jakiś czas, żeby rozeznać się w terenie. Krokodyl zapowiedział przynajmniej kilka takich wizyt plus naukę różnych dróg odwrotu w razie zaistnienia niebezpieczeństwa. Miała jednak na ten jeden dzień dość wszystkiego. Siedziała na niskim zydlu i też udawała, że składa materiał, ale co chwila zerkała na ulicę, wyglądając tak naprawdę sygnału do powrotu.

W pewnej chwili jej mózg zarejestrował coś znajomego. Zastygła w bezruchu, budząc zainteresowanie u swojego przewodnika. Popatrzył na nią groźnie i powiedział coś, co zapewne było nakazem powrotu do pracy. Takie było też jego zadanie – eliminować sytuacje, które zwróciłyby na nią uwagę otoczenia. Ale to, co przykuło jej uwagę, było zbyt silne. Wpatrywała się w postać po przeciwnej stronie ulicy, próbując przypomnieć sobie, skąd ją zna.

Kobieta. Mocno po czterdziestce. Farbowana blondynka z wysuszonymi włosami do ramion. Chuda i już pomarszczona. Rzucała się w oczy, bo wyróżniała się z tego dość monolitycznego tłumu. Szła pewnym krokiem przed siebie w stronę budynku rządowego. Jeden rzut oka powiedział Justynie, że nie była sama w tej wędrownicy. W odległości jakichś piętnastu metrów od niej zauważyła dwóch mężczyzn. Wyglądali na osoby pochodzenia arabskiego, na pewno nie

miejscowi.

– Charlie, słyszysz mnie? – Odwróciła szybko głowę, żeby nikt nie zorientował się, gdzie się patrzy.

– Słyszę. Co jest?

– Masz gdzieś Jamala obok siebie? – szepnęła. Sklepikarz podszedł do niej, kiedy zorientował się, że coś się dzieje. Odebrał jej z rąk materiał i kazał iść na zaplecze.

– Jamal jest na drugiej sieci. Możesz przełączyć pokrętelem.

Ukryła się za kontuarem i sięgnęła pod sukienkę do radia. Dłonie drżały jej ze zdenerwowania, ale udało jej się ustawić odpowiednią sieć.

– B. B., jesteś tam?

– Jestem – odezwał się niemal natychmiast. W głosie słychać było niepokój. – Co się stało, DeeDee?

– Widziałam Angie De Soto.

Na chwilę w eterze zapanowała cisza.

– Co? Coś Ci się chyba pomyliło.

– Nie, jestem pewna, że to ona. Była z obstawą. Szła w stronę budynku rządu.

– Dobra, sprawdzę to. Zbierajcie się z tym Twoim człowiekiem.

Kiedy dotarli nareszcie do swojej kryjówki, przywitał Justynę głośny śmiech Gogola. Ściągała z siebie szybko burkę i jedyne, o czym marzyła, to czysta woda i ciepły posiłek, ale Krokodyl zawołał ją do „salonu” i kazał usiąść na jednej z kanap.

– Malina, miałaś się tylko rozglądać wokół, a nie wywoływać ogólnoswiatowy konflikt. – Kostek był bardzo ubawiony.

– Co zrobiłam? – Rozejrzała się ze złością po zebranych. Głód zawsze powodował u niej wielki gniew.

– Jamal zaraz wyjaśni. – Krokodyl nalał herbaty do kubka, dolał wódki i podał jej do wypicia.

W tym momencie do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn, którzy na widok Justyny stanęli w miejscu, niemal na baczność.

– Dąbek?! – wydusił z siebie wyższy z nich.

– Znacie się? – Krokodyl zerknął na Justynę.

– Znamy – powiedział znowu wysoki. – Przecież... ona była z nami na szkole w Poznaniu. Siwy, widziałeś? – zwrócił się do pyzatego kolegi, który pokiwał

głową, nie odrywając wzroku od Justyny. – Co Ty tutaj robisz?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Była wściekła, a widok kolegów z dawnych dni tylko mocniej ją rozjuszył.

– Co jest? O co chodzi? – Wysoki rozłożył ręce i najwyraźniej oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi. – Ty? Tutaj?

– Spierdalaj, gnoju – wyrzuciła z siebie jadowity dźwięk. – Zejdźcie mi obaj z oczu, bo Was zamięję gołymi rękami.

– Ej... – Zelżony chciał coś powiedzieć, ale Krokodyl zastąpił mu drogę.

– Słyszałeś, co powiedziała? Wypierdalajcie obaj. – Wskazał na drzwi.

– Dopiero przyszedliśmy – stęknął Siwy. – Ma być odprawa.

– Zaczekacie na zewnątrz. – Kostek kiwnął głową znad kubka z herbatą. – Nasza królewna nie życzy sobie widzieć Was na audiencji. Lepiej jej nie denerwować.

Siwy z wysokim wyszli, a Krokodyl trzasnął za nimi drzwiami, które po sekundzie otworzyły się znowu. Jamal wparował do środka z jakimś człowiekiem ubranym w lnianą koszulę i jasne spodnie. Justyna od razu domyśliła się, gdzie pracuje.

– Kolega z pracy naszej słodkiej Angie? – wysyczała do Jamala, coraz bardziej zła. – Po coś go tu przyprowadził? Żeby sprowadzić na nas kłopoty?

– DeeDee... musimy pogadać. – Jamal podniósł prawdziwą dłoń w pojedynczym geście.

– Ja nic nie muszę poza tym, że zjeść, umyć się i więcej na Was nie patrzeć. Mam dość, rozumiesz to? Jestem tu od wczoraj i nawet się nie przystosowałam do klimatu, a Ty mi sprowadzasz na głowę jakiegoś ćwoka z Agencji.

Wszyscy zamilkli. Większość otworzyła szeroko usta ze zdumienia. Gość rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu i pogładził po policzku.

– DeeDee... – Jamal zrezygnowany opuścił głowę. – Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zaraz dostaniesz jeść i pójdziesz spać, ale musimy ustalić to, co dziś widziałaś.

– Widziałam De Soto na mieście. W czym problem? To Wasza koleżanka.

– Już nie jest w CIA – powiedział człowiek w lnianej koszuli. – Została zwolniona ze służby dwa lata temu i nie wiemy od tej pory, co się z nią dzieje. To jest pierwszy sygnał, jaki mamy na jej temat.

– I to jest nasz problem? – Justyna wcale nie miała zamiaru się przejmować.

– Problem jest nasz, ale pieniądze mogą być Wasze.

– Nie rozumiem. – Justyna spojrzała na Jamala podejrzliwie.

– Oni chcą ją... unieszkodliwić.

– Dlaczego?

– Bo zdradziła nasz kraj – powiedział gość uroczystym tonem, który wywołał u Justyny pusty śmiech. Zawsze bawili ją Amerykanie z zadęciem patriotycznym.

– Co zrobiła? Powiedziała prasie, że torturujecie więźniów? – Justyna uniosła brwi.

– Pracuje teraz dla terrorystów. – Agent zrobił się lekko czerwony.

– Mówiliście, że nie wiecie, gdzie jest.

– Ale wiemy, co robi. I chcemy ją zdjąć.

– Chcecie ją zabić. Naszymi rękami.

W pomieszczeniu znowu zapadła cisza, ale tym razem złowroga. Krokodyl z Kostkiem spojrzeli na Jamala pytająco. Nawet Charlie oderwał się od komputera i przyglądał się mu z niepokojem.

– Nie tak się umawialiśmy – Krokodyl powiedział cicho. – Nie pracujemy jako płatni zabójcy, zwłaszcza dla agencji rządowych.

– Dobrze wiesz, że w praktyce wygląda to inaczej. – Jamal zacisnął mocno usta i spojrzał Krokodylowi prosto w oczy. – A Angie zagraża także bezpośrednio nam. DeeDee ją zna i wie, do czego jest zdolna. Mam podejrzenia, że przyjechała tutaj ze względu na nas.

– Jasne – Justyna prychnęła i pokręciła głową.

– To jest możliwe – powiedział agent spokojnie. Jego wzrok dał jej do myślenia. – Załatwiliście ją ostatnio na tyle, że może traktować zniszczenie Waszej grupy jako punkt honoru. Obstawiacie wybory, a ona, jeśli się tego domyśla albo wie coś więcej, będzie chciała Was złapać i być może pozwolić na przeprowadzenie jakiegoś ataku. Nie powinienem Wam tego mówić, ale prawdopodobnie pracuje dla ludzi, którzy szkolą samobójców. Dzięki nim załatwia swoje własne porachunki. Angie jest niezrównoważona psychicznie, dlatego wyleciała ze służby. Nie przypilnowaliśmy jej i zdążyła wyjechać z kraju.

– I szła sobie przez ulicę bez przebrania? – zapytał Gogol.

– No właśnie to jest dziwne. – Człowiek w koszuli spojrzał na niego z powagą. – Dlatego chcemy dowiedzieć się, czy to na pewno była ona...

– Na pewno. – Justyna była już nieco uspokojona. Podziałała na nią wódka i opanowany ton agenta. – Miała obstawę, jakichś Arabów. Na pewno nie miejscowi. Spieszyła się...

Agent pokiwał głową i podparł się pod boki.

– Możesz ją zabić? – zapytał wprost.

– Słucham? – Justyna poczuła, że jest jej niedobrze.

– Chcemy, żebyś ją zdjęła.

– A dlaczego ja? I jak niby mam to zrobić?

Jamal spojrział na nią z ukosa i przygryzł wargę.

– Moose – powiedział cicho.

Żołądek Justyny znalazł się na wysokości gardła. Spojrzała na Gogola, który zrobił niewyraźną minę. Od razu wiedziała, że powiedział Jamalowi o każdym szczególe jej porwania. Każdym – także tym, o którym chciała zapomnieć. Zerwała się z miejsca i pobiegła schodami na górę, gdzie obok ich sypialni stało jakieś wiadro. Padła na kolana i zaczęła wymiotować, mimo że niewiele miała w sobie treści pokarmowej. Kiedy skończyła się jej herbata z wódką, żołądek zassał żółć z wątroby i gorzka ciecz zalała jej usta, powodując kolejną falę torsji. Przez chwilę myślała, że umrze. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, przestała czuć dłonie i stopy. W pewnej chwili czyjeś ręce złapały ją pod pachami i uniosły lekko w górę. Stała na chwiejnych nogach i odwróciła się, wpadając na tors Krokodyla. Kiedy poczuła jego dłonie na swoich plecach, rozplakała się. Objął ją mocniej i przytulił – po raz pierwszy, odkąd się znali.

– Chodź, musisz usiąść. – Zaprowadził ją do pokoiku i posadził na łóżku.

– Boże, dlaczego on mi to zrobił? – szlochała głośno. – Chciałam zapomnieć, a Gogol mu o wszystkim powiedział.

– Cicho, cicho. Nic się nie stało.

– Krokodylu, ja nie chciałam go zabić. Naprawdę nie chciałam.

– Wiem. – Gładził ją po włosach i policzku.

– Nie było Cię przy mnie...

– Kiedy? – Odsunął ją od siebie i spojrział w zapłakane oczy.

– W tym domu, w lesie. Nie myślałam o Łukaszu, tylko o tobie... Zdradziłam go.

Krokodyl nie był dobry, jeśli chodzi o wyrażanie, a nawet definiowanie swoich uczuć, zwłaszcza w sytuacji, gdy słyszał coś takiego.

– Nie zdradziłaś... – powiedział niepewnie. – Nauczyłem Cię, że w takich sytuacjach nie możesz myśleć o tym, co Cię osłabia, tylko o tym, co wzmacnia... Nie mogłaś myśleć o nim, bo byś się nie uratowała, a to było najważniejsze, prawda?

– Nie wiem... – Wytarła skrawkiem rękawa mokry nos.

– Co to znaczy: nie wiem? – Potrząsnął nią lekko. – Co Ty pierdolisz, Malina? Miałaś się uratować, przeżyć, a nie pozwolić się zabić przez jakichś kretynów. Masz coś z głową?

Popatrzyła na niego półprzytomnie.

– Nie wiem, kim jestem – powiedziała cicho.

– Nie rozumiem.

– Kiedy tam byłam, w lesie... zamieniłam się w Malinę.

– Bo nią jesteś.

– Ale nie chciałam być.

– Dlaczego?

– Chciałam być z Łukaszem. Dalej chcę. Ale już nie umiem nie być Maliną. Nie potrafię. Wystraszyłam się tego.

– Czego?

– Jak nad nim stanęłam... nad tym całym Łosiem, byłam znowu tutaj, tym, kim się tu stałam... tak jak Ty mi to powiedziałaś. Byłam jak w tym domu, pamiętasz, kiedy jeden z szuszwoli odciął mi drogę ucieczki i musiałam go zabić, żeby się wydostać. Jechałam na autopilocie.

Krokodyl pokiwał głową, starając się jak najlepiej ją zrozumieć.

– Dobrze. To Cię uratowało. Po to Cię tu uczyliśmy tego wszystkiego...

– Ale tu jest wojna.

– Malina – Krokodyl potarł dłońmi twarz – wojna jest zawsze.

– Gadasz jak Sarnowski – obruszyła się.

– Nie wiem, co to za gość, ale ma rację. Wojna jest wszędzie, wojna jest zawsze. Ten gnój, którego zabiłaś, brał w niej udział. On podjął decyzję o tym, po której stronie stanie, więc musiał liczyć się z tym, że zginie... Czy będziesz miała pretensje do jakiegoś Taliba, który zechce Ci odciąć głowę tępym nożem, kiedy staniesz na jego drodze?

– Chyba nie...

– No właśnie. Bo jesteś tutaj i bierzesz udział w działaniach. Dokonałaś

wyboru, jak ten cały Łoś. Przeżyłabyś, gdybyś nie skrzyła mu karku?

– Nie – szepnęła.

– Dlaczego? Umiesz mi to wytłumaczyć?

– Bo... miał za duży łeb, żeby dało się go ogłuszyć na wystarczająco długi czas. Gdyby się ocknął, mógłby zacząć mnie gonić.

– Bardzo dobrze. A dlaczego go nie udusiłaś linką?

– Bo były na niej ślady mojej krwi, a nie chciałam zostawiać żadnych swoich śladów.

Krokodyl objął ją znowu ramionami i pocałował w czoło.

– Jesteś lepsza ode mnie – szepnął. – Zawsze byłaś, tylko za bardzo się mazgaisz. Jamal nie chce, żebyś zabijała De Soto. Zrobił to specjalnie, żeby Cię rozdrażnić.

Oderwała głowę od jego szyi i spojrzała na niego z gniewem.

– Dlaczego?

– Żeby dało się z Tobą pracować. Jesteś po traumie i trudno było przewidzieć, co odstawisz za jakiś czas. Lepiej było mieć to z głowy na początku.

– A ten niby agent...

– Nie jest „niby”. Koleś naprawdę jest z CIA i naprawdę szuka Angie. Nie wiedział, że zastawiliśmy na Ciebie pułapkę.

– Jesteście popierdoleni – mruknęła, odgarniając włosy z czoła.

– Wiem – roześmiał się i znowu zgarnął jej grzywkę na oczy. – A Ty ciągle źle się zachowujesz, jak jesteś głodna.

– Bujaj się. – Podwinęła kolana pod brodę.

– Cieszę się, że znowu jesteś z nami... i że jednak jesteś inna. Dobrze Ci zrobiło małżeństwo z tym gamoniem.

– Nie przeginaj...

– Dobra, dobra. – Podniósł ręce w geście kapitulacji. – Umyj się trochę. Ktoś zaraz przyniesie Ci jedzenie.

– A co z tym agentem? – zapytała, kiedy ruszył w stronę schodów.

– Co ma być? – Odwrócił się, marszcząc brwi. Był znowu tym samym Krokodylem, co zawsze.

– Bo ja ją naprawdę widziałam.

– Wiem. I co z tego?

– Muszę pogadać z B. B.

– Dobra, powiem mu.

Kiedy zniknął za drzwiami, poszła się nareszcie umyć. Rękę miała spuchniętą od szczepionki, czuła też, że rozbiera ją gorączka. Gogol przyniósł jej miskę z jedzeniem i butelkę wody mineralnej.

– Nie złościsz się już na mnie? – Usiadł na swoim łóżku i spojrzał na nią niepewnie.

– Nie – mruknęła nad widelcem z kawałkiem mięsa. – Podaj mi telefon. Przyszła jakaś wiadomość.

Kostek sięgnął do taboretu, na którym leżała komórka Justyny, i zerknął na wyświetlacz.

– Mówiłam, żebyś mi podał, a nie czytał moje wiadomości.

– Pan inspektor – Gogol uśmiechnął się wymownie. – Chyba tęskni.

– Dawaj, bo się odwinę! Jeszcze się nie najadłam.

– Już wie? – Wcale nie miał zamiaru jej posłuchać.

– Wie. Pisałam do niego w nocy, żeby skontaktował się z Gosią.

– Prowadzisz śledztwo?

– Daj mi telefon! – Zagotowała się.

Z nerwów ciężko było jej trafić w odpowiednie przyciski.

– Co pisze? – Kostek nachylił się nad nią.

– „Czy wiedziałaś o tym, że Słotwiński kontaktował się z Kowaliowem?” – przeczytała na głos. Była poirytowana. Wciąż czekała na jakieś wieści o Łukaszu. – Wiem, durniu – mruknęła. Odpisała szybko i rzuciła aparat na łóżko.

Do sypialni zajrzał Jamal. Jego mina świadczyła o tym, że bada teren, po którym przyjdzie mu stąpać.

– Wejdz, nie ugryzę Cię. – Justyna odstawiła talerz i spojrzała na niego poważnie. – Musimy zmienić miejsce pobytu.

– Dlaczego? – Kostek z Jamalem zadali to pytanie jednocześnie.

– Bo nikt nie może wiedzieć, gdzie jesteśmy, a Agencja już wie. Nie ufam tym ludziom.

– DeeDee...

– Skąd wiesz, że Angie nie ma tam wtyk?

Jamal nabrał powietrza i zacisnął usta.

– Malina, dopiero co rozstawiliśmy z Charliem anteny. – Gogol czuł się zdesperowany, bo wiedział, że już żadne argumenty nie pomogą.

– Dobrze. – Jamal pokiwał głową. – Dziś w nocy się przeniesiemy. Powiedz mi... co sądzisz o tym człowieku?

– O tym agencie?

– Tak.

– Jest szczerzy. Wierzy w to, co robi. Możemy mu pomóc, ale on nie może tak sobie wchodzić do naszej kryjówki. Poza tym, jeśli naprawdę chcą zabić De Soto, nie mogą robić na nią zamachu...

– Jak to?

– B. B., jeżeli on ma rację i De Soto pracuje dla jakiejś grupy, a my ją zabijemy, to ta grupa od razu zorientuje się, że to był zamach na nią i zwiną żagle. Trzeba jej śmierć jakoś ukryć. Nie wiem... w większym zamachu albo wypadku.

– Masz rację – Jamal westchnął. – Powiem mu o tym. Idź spać, DeeDee. Jutro nie pójdiesz do miasta, zostaniesz z Charliem w nowym miejscu i pomożesz mu rozkładać sprzęt. Aha... jeszcze jedno. Tych dwóch... z którymi byłeś w wojsku...

– No, Siwy i Warzywo. – Wzięła znowu talerz do rąk i zaczęła jeść. – Co z nimi?

– Co możesz o nich powiedzieć?

Justyna roześmiała się.

– Wziąłeś ludzi, o których nic nie wiesz? B. B., nie poznaję Cię. Są niegroźni, tylko strasznie głupi.

– To groźni – mruknął Gogol, obgryzając paznokcie.

– Trzeba ich mocno trzymać za pyski, bo myślę, że takie metody znają najlepiej.

– Zajmiesz się nimi? – zapytał Jamal.

– Mam być złym policjantem?

– Coś w tym stylu – Amerykanin uśmiechnął się.

– Mogę być – Justyna westchnęła. – Ale to będzie dla nich ciężki pobyt.

XLI

Kot, Słomkowski i Lenart wpatrywali się w swojego szefa w napięciu. Od dobrych pięciu minut niczego nie mówił, tylko spoglądał zdumiony w ekran swojej komórki.

– Odpisała? – zapytał cicho po raz trzeci Kotowicz.

– Odpisała – szepnął w końcu Brenner.

– Co napisała? – Marcin aż bał się usłyszeć odpowiedź.

– „Wiedziałam”. – Pokazał im wyświetlacz.

– I tyle? – Kot roześmiał się nerwowo.

Brenner opadł na oparcie i spojrzał gdzieś w przestrzeń.

– Niech ten Meyer ją znajdzie – powiedział, jakby do siebie.

– To co robimy? – Lenart nie lubił siedzieć bezczynnie.

– Dowiedzieliście się, kto odwiedził tego półinteligenta w areszcie? – zapytał inspektor.

– Mecenas Pawłowski. – Kot zajrzał do notatek. – To znaczy podał się za niego, ale sprawdziliśmy już tego adwokata. On istnieje, tylko że nigdy nie widział się z Jurkiewiczem.

– Jasne – mruknął Brenner. – Lenart, sprawdzałeś podsłuchy u Adamiaków?

– Sprawdzałem. Nic ciekawego na razie, a ta dziewczyna, która siedzi z prezosową, dopiero się z nią zaprzyjaźnia. Trochę potrwa, zanim czegoś się dowie.

– W co ta Justyna gra? – Brenner znowu spojrzał na ekran telefonu. – Dlaczego nic nam wcześniej nie powiedziała?

– Może przez sytuację z Łukaszem? – zasugerował Kot. – O tym, że zlecał kto inny, powiedziała przypadkiem, kiedy do pana przyjechała. Może wcale nie ma żadnych ukrytych intencji?

Brenner spojrzał na Kota przenikliwie.

– Może i racja... Trzeba ją przycisnąć bardziej. Zapytam o jakieś szczegóły. –

Zaczął pisać kolejną wiadomość.

– No to co robimy? – zapytał znowu Lenart, lekko już poirytowany.

– Ja idę po kawę. – Słomkowski wstał z krzesła. Tomek poszedł za nim.

Po pięciu minutach w kuchni zjawił się również Brenner ze strapioną miną.

– Musiała wyłączyć telefon. Nie dostałem wiadomości zwrotnej.

– Jest w Afganistanie, mogą wystąpić problemy z łącznością – powiedział spokojnym tonem Lenart. – Zastanówmy się, co robić dalej, skoro już wiemy o tym, że Słotwiński gadał z Kowaliowem.

Najchętniej bym go aresztował. – Brenner potarł łysinę. – A potem torturował.

– Panie inspektorze – Słomkowski spojrzał na swojego nowego szefa poważnie – kiedy byłem z Meyerem w Stargardzie, doszliśmy do wniosku, że Słotwiński jest o wiele bardziej podejrzany, niż się nam to wydawało na początku.

– To znaczy?

– Pan nie pozwolił nam wtedy przyjechać do biura, a myśmy mieli pewną koncepcję odnośnie udziału szefa Justyny w całym tym zdarzeniu.

– Dobra, Słomkowski, już się po mnie przejechałeś. Teraz powiedz, do czego doszliście.

– Słotwiński wsadził Justynę w diamenty nie bez powodu. W trakcie przesłuchiwania jej znajomych z wojska zorientowałem się, że ona zawsze dobrze umiała odczytywać ludzkie emocje i wbrew pozorom świetnie lawirowała wśród tych ludzi.

– Ciekawe stwierdzenie, biorąc pod uwagę to, co wyprawiał z nią Jaskóła – mruknął Kot, mieszając kawę.

– Hm... wiesz, może i racja, ale jeśli mnie pamięć nie myli, to sama Justyna zdecydowała, że odejdzie ze służby. Nie dało się jej tak naprawdę wywalić, bo i tak znalazła sposób, żeby nosić mundur. Ona zawsze kontroluje sytuację...

Brenner spojrzał nagle na Marcina, jakby doznał objawienia.

– Mów dalej – powiedział, kiedy Słomkowski zamilkł na widok jego miny.

– Doszedłem do wniosku, że Słotwiński był sprytniejszy. To był pierwszy człowiek na jej drodze, który nie poddał się kontroli, tylko wykorzystał ją do swoich celów. Myślę, że jemu wcale nie chodziło o diamenty, tylko o to, żeby wyciągnąć z talentów Justyny jak najwięcej dla siebie. Uważam też, że... została porwana właśnie ze względu na te umiejętności. Słotwiński musiał zwierzyć się komuś z tego, co zamierzał. Justyna była jego asem w rękawie...

– Naciągane – przerwał mu Kot. – Co to niby za umiejętności, co?

– Nie naciągane – powiedział Brenner. – Słomkowski ma rację. Justyna nie jest mistrzem sportu, ale jakimś cudem pracowała półtora roku w Afganistanie. Z tego, co mi wiadomo, nikt by jej tam nie trzymał, gdyby nie była przydatna. Musi umieć coś więcej, żeby chciano ją zatrudnić.

– No, co ona umie, to już chyba wiemy. – Lenart złapał Kota za głowę i przekręcił nią lekko.

– To nie o to chodzi. – Brenner pokręcił głową. – Sama umiejętność zabicia to za mało. Trzeba umieć jeszcze dobrze skalkulować, jak i kiedy to zrobić. Wytrzymać napięcie i obmyślić plan. Przypominam, że to ona wpadła na pomysł wystawienia się jako przynęty na Pradze. Z tego, co zrozumiałem z rozmów z jej byłymi kolegami, to ona również pokierowała całą tą akcją. Pytanie jest inne: skąd Słotwiński o tym wiedział?

Wszyscy zamilkli. Lenart wzruszył ramionami, a Kot nadal miał powątpiewającą minę.

– Może jakimś cudem dowiedział się o jej przeszłości? – Słomkowski odezwał się jako pierwszy. – Wyciągnął z niej wnioski i wymyślił ten cały awans.

– Musiałby wiedzieć o Afganistanie – odparł Brenner. – Musiałby wiedzieć naprawdę dużo. Wszystko w zasadzie.

– Może wiedział. – Lenart uniósł brwi. – Jestem skłonny uwierzyć w każdą ewentualność.

– Co wiemy o jego przeszłości? – Inspektor spojrzał na Lenarta przenikliwie. – Dowiedziałeś się czegoś konkretnego?

– Wie pan co, rozmawiałem z Lubickim. On ma sporą wiedzę o tym, co ten człowiek robił wcześniej. Twierdzi na przykład, że swego czasu Słotwiński razem z Jakubowskim zostali wyrolowani w jakiejś firmie. Stracili pieniądze i dobre imię. Dużo czasu zajęło im odbicie się od dna, ale przez to stali się zupełnie innymi ludźmi, którzy nikomu nie ufają i prowadzą swoje własne zagrywki.

Kot uśmiechnął się pod nosem.

– To znaczy, że mieli prześwietlonych wszystkich swoich pracowników – powiedział cicho. – Pewnie zrobili niezły wywiad na temat każdego z nich.

Brenner pokiwał głową.

– A jak się zorientowali, że przeszłość Justyny jest niejasna, sprawdzili to

dokładniej. – Inspektor poczuł, że nareszcie rozjaśnia mu się umysł.

– A jak my się dowiemy, co odkrył Słotwiński? – Lenart rzucił pytanie do wszystkich.

– Trzeba prześwietlić pana dyrektora, tak jak on Justynę – odpowiedział Kot. – Myślę, że to będzie twardy orzech do zgryzienia. Na pewno facet się odpowiednio zabezpieczył.

– Mówisz, że trzymają się razem z Jakubowskim? – Brenner oparł się o ścianę i spojrzał na sufit. – To może trzeba zająć się prezesem, bo Słotwiński domyśla się, że będzie na celowniku. Słuchajcie – wyprostował się nagle i złapał pod boki – sprawdźmy ich ewentualne powiązania z armią. Mogą znać kogoś, kto służył i słyszał o Justynie, może nawet kogoś, kto był w Afganistanie.

– Co nam to da? – Słomkowski nie nadał, mimo że to on zaczął ten temat.

– Muszę coś na niego mieć, żeby zaczął mówić. – Brenner zacisnął pięści. – On prawdopodobnie wie najwięcej o tej sprawie. Wie, kto zlecał, dlaczego Adamiakowa została w to wplątana...

– Może to on zlecił porwanie? – zasugerował Lenart nieśmiało.

– Brzmi mało logicznie, ale... – Brenner potarł policzek – z drugiej strony wszystko jest możliwe. Dopóki tego nie wyjaśnimy, Justyna nie może wrócić. Meyer zresztą też nie jest tu bezpieczny.

– Podobnie jak KołECKI, Gośka i parę innych osób. – Kot przewrócił oczami. – A co z wojskiem? Będziemy mieli na to w ogóle czas?

– Rozmawiałem z Meyerem. Żaneta kazała mu skontaktować się z jakimś jej kolegą, który zebrał sporo informacji o pobycie Justyny w szkole. Rasiak obiecał ściągnąć go cichaczem do nas jako wsparcie. On i Kozera będą mogli się tym zająć.

– Czyli że udało się im coś załatwić. – Słomkowski pokiwał głową z uznaniem. – To pozostaje nam tylko kwestia kolegów z biura, którzy siedzą.

– „Tylko”? – Kot wyduł usta. – Mnie to wystarczy za wszystko inne.

– Wieśka za miesiąc trzeba będzie wypuścić z aresztu – Brenner westchnął ciężko. – Nic na niego nie mamy. Tak naprawdę jedynie Sławka możemy zamknąć na dobre, bo z Linde też sprawa jest niepewna...

– Kowalski jedzie dziś do niego... – Słomkowski chciał coś powiedzieć, ale Kot mu nie pozwolił.

– Ja pojedę. Mam z nim do pogadania.

Brenner przyjrzał mu się uważnie.

– O co chodzi?

– Prywatna sprawa.

– Kot, jakie prywatne sprawy możesz mieć z Markiem? Facet jest umoczo-
ny...

– Możemy pogadać na osobności? – Tomek przerwał tym razem szefowi.

– Możemy. – Brennerowi zrobiło się nieco gorąco. – Chodźmy do mnie.

Zasiedli w gabinecie inspektora i przez chwilę nic nie mówili. Brenner spoj-
rzał na Kota pytająco.

– No więc? Jaki jest problem?

– Nie ma żadnego. Chodzi o Łukasza. Linde pracował w wojsku i wiem, że
ciągle ma kumpli, którzy tam służą. Teraz w Afganistanie jest spora grupa żoł-
nierzy z Bartoszyca, w tym jego koledzy... Chcemy zaproponować mu układ.

– A ja nic o tym nie wiem?

– Właśnie... chcemy, żeby pan nic nie wiedział. – Spojrzał wymownie na
Brennera.

– Na czym ma polegać ten układ, o którym nic nie będę wiedział?

– Kowaliow zeznawał w zeszłym tygodniu na niekorzyść Marka. Z tego, co
wiem, podtrzyma to, co o nim mówił. Jeśli nie powiemy Lindemu o tym, że
dogadaliśmy się z tym durniem Jurkiewiczem, to możemy ściemnić, że porywa-
cze też go obciążają za ich współpracę przez te wszystkie lata. Chcemy go przy-
cisnąć, żeby nam pomógł odnaleźć Justynę.

– Jak niby?

– Wie pan, kto to jest Żółw? – Tomek nachylił się w stronę szefa i ściszył
głos.

– Wiem... Chcecie... chcecie się z nim skontaktować, tak? On jest teraz
w Afganistanie.

– Tak. Przypuszczamy, że może wiedzieć, gdzie jest ta cała ich grupa. Tylko
Łukasz nie pamiętał, jak się facet nazywa.

– Zaraz... – Brenner zaczął przeszukiwać pamięć. – Kapitan... kapitan Wal-
demar Czarny. Tak, chyba coś w tym stylu. Służy w GROM-ie.

– Dobra, to już coś mamy. A teraz mam jeszcze jedną prośbę...

– No? – Rafał oparł się łokciami o blat biurka, czując, że może się mu to nie
spodobać.

- Chcę pogadać z Mrozowskim.
- W żadnym wypadku! – Brenner pokręcił łysą głową.
- Dlaczego? Facet wie najwięcej. Szefie, może nie trzeba będzie kombinować...
- Nie! – Inspektor uniósł dłoń. – Ten facet jest najbliżej człowieka, który dowodzi tą grupą, jeśli dobrze zrozumiałem. Oni nie mogą wiedzieć, że jej szukacie, bo równie dobrze Meyer może nie wsiadać do samolotu.
- Kot opuścił głowę i westchnął.
- No dobra... Skoro pan tak mówi... Pojedziemy do Marka. Wezmę ze sobą Słomkowskiego, jeśli nie jest zajęty czymś innym.
- Kotowicz, jak u niego będziecie... zapytajcie też o inną rzecz. Za to, co zrobił, powinien nigdy z więzienia nie wyjść, ale gdyby zechciał nam teraz pomóc, możemy zastanowić się nad większym układem z większą nagrodą.
- Mam się bać? – Tomasz uśmiechnął się.
- Nie. Marek nie jest głupi, na pewno ma więcej oleju w głowie niż Odrowąż, więc jest szansa, że lepiej przyjrzał się Kowaliowowi i nie popierdoliło mu się nic, jak z nim rozmawiał, tak jak Jurkiewiczowi. Zapytaj, czy nie zauważył czegoś, co poprowadziłoby nas do Słotwińskiego i jego prezesa. W ogóle, czy nie zauważył czegokolwiek podejrzanego.
- Dobra, to jest do zrobienia.
- To idź już sobie. Muszę złożyć raport Rasiakowi z tego, czego się dowiedzieliśmy.
- Justyna nie odpisała? – Kot zerknął na telefon szefa leżący na biurku.
- Brenner spojrział na wyświetlacz i poderwał gwałtownie aparat.
- Napisała! – Serce zabiło mu mocniej. – „Nie mogę powiedzieć, skąd o tym wiem. Postaram się wyciągnąć więcej informacji, ale niczego nie obiecuję. Słotwiński zbierał na mój temat informacje dużo wcześniej, chciał mnie wykorzystać do swoich celów. Nie znam szczegółów. Justyna”.
- Tomek wyprostował się i spojrział na szefa znacząco.
- Co pan na to?
- Miałeś rację, że nie trzyma wiadomości z rozmysłem... Niepokoją mnie tylko te jej „źródła”. Podejrzenie dużo wiedzą.
- Idę stąd. – Kot podniósł się. – Muszę się przewietrzyć, bo mam mętlik w głowie.

Brenner pokiwał głową i wybrał numer do generała.

– Niech pan powie, że to coś dobrego – Rasiak znowu brzmiał, jakby właśnie skończył biec. Prawdopodobnie miał problemy z sercem.

– Porywacze nie będą nagłaśniać informacji o tym, kto zabił Łosia.

– Świetnie. Coś jeszcze?

– Czekamy na przyjazd aspiranta z Poznania, który powie nam coś więcej o pobycie Justyny w szkole. Musimy odnaleźć tę jej koleżankę w Żandarmerii i zastanowić się, jak ją podejść.

– Ten dziennikarz się zgłosił z informacjami o pamiętnikach?

– Ma przyjść jutro rano ze spisnymi zeznaniami... to znaczy z tym, co tam przeczytał.

– Aha... Czyli ciągle jesteśmy daleko ze wszystkim.

– Panie generale... pojawił się nam nowy wątek w sprawie porwania.

– Boże – Rasiak westchnął. – O co chodzi?

– Mamy pewne źródła, od których dowiedzieliśmy się, że to nie Adamiakowa zleciła porwanie.

Generał zamilkł, ale sądząc po oddechu, wiadomość ta dotarła do niego wyraźnie.

– Dziś rano Jurkiewicz potwierdził zaś, że Kowaliow kontaktował się z dyrektorem Słotwińskim, szefem Justyny.

– Kiedy?!

– Tuż przed porwaniem.

– Ja pierdolę! Macie coś na niego?

– Nic. Zaczynamy dopiero nad tym pracować.

– Dobra. Gdyby potrzebna była jeszcze jakaś pomoc, niech się pan odzywa. Premierowi pali się grunt pod nogami. Opozycja zaczyna się domagać jego dymisji, a to byłoby teraz niedobre. A! I jeszcze jedno. Zna pan miejsce pobytu żony Meyera?

– Nie. – Brenner przygryzł wargę. Gdyby jego szef dowiedział się o planach Łukasza lub o tym, że Justyna się z nimi kontaktuje, nie byłoby za wesoło. – Mamy nadzieję, że jest bezpieczna.

– Chyba jest. Coś mi Brzeziński wspominał, żeby się już tym nie martwić.

Inspektor pokręcił głową. Nie powinno było go to zdziwić, ale i tak czuł dziwny ucisk w żołądku.

– To... to dobrze – chrząknął cicho. – Mamy jeden problem z głowy.

– Ta... chociaż tyle. Kończę. Muszę zdać mu relację z tego, co pan powiedział. Na razie.

Przez szklaną ścianę Brenner zobaczył, jak Kot zbiera się do wyjścia ze Słomkowskim. Zmarszczył czoło. Wydawało mu się, że mieli jechać do aresztu później, ale zaniechał dochodzenia, jak jest naprawdę.

XLII

– Nie zgodził się na kontakt z Mrozowskim – powiedział Kot do Łukasza, wskazując jednocześnie Marcinowi palcem, w którą stronę ma jechać. – Musimy wdrożyć plan B. Jedziemy właśnie ze Słomkowskim do Michała. Mówił, że postara się wyciągnąć jego adres u siebie, skoro jest tym całym konsultantem. A Wy kiedy będziecie?

– Za kilka godzin. – Łukasz stał oparty o samochód pod domem Badeckiego, który miał zaraz zejść z bagażami. – Zeszło się nam tutaj z tym kolegą Żanety. Byliśmy jeszcze na spotkaniu z jednym człowiekiem w jednostce, który mu wcześniej pomagał. Zajedziemy do domu na dwudziestą najwcześniej. Będiesz w mieszkaniu?

– Będę. Przywiozę łóżko rozkładane dla Eweliny.

– Ona śpi w sypialni.

– Hm... nie, lepiej będzie, jak zostanie w salonie. Ja będę spał na kanapie, dopóki nie pojedziesz.

– No dobra, jak wolisz.

– Kiedy lecisz?

– Jeszcze nic nie wiem. Daniel Gołąb nie mógł skontaktować się ze współnikiem w Kabulu. W ogóle nie ma połączenia.

– A to możliwe, Brenner nie mógł się... – Ugryzł się boleśnie w język, kiedy dotarło do niego, co mówi. Spojrzał przerażony na Marcina, który przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Co nie mógł? – Łukasz wyprostował się nagle.

– Nie, nic. Miał problem z telefonem. Dobra, stary, kończymy, bo już jesteśmy blisko Bankowego. Będę czekał na Ciebie wieczorem.

– No... cześć. – Meyer patrzył przez chwilę na telefon, zastanawiając się, co Kot miał na myśli, ale rozważania przerwał mu Badecki, który wyszedł z bloku.

– Ale bym wtopił. – Kot palnął się dłonią w czoło.

– Brenner nie ma zamiaru mu mówić, że kontaktuje się z Justyną?

– Nie. Na razie nie.

– Dlaczego?

– Bo to by nie pomogło jej znaleźć, a Meyer dostałby szału. Ona mówi i robi, co sama chce, w tym muszę się z Tobą zgodzić, więc gdyby chciała się z Łukaszem skontaktować, to by zadzwoniła.

– To po co on tam jedzie? Jeśli żona nie chce go znać...

– Bo musi pokazać, że mu zależy.

– Ale może mu się nie udać ściągnąć jej z powrotem. – Słomkowski znowu bardzo przeżywał tę sprawę.

– Może... tyle że nie ma nic do stracenia, a dużo do zyskania. Poza tym powinien zniknąć z Warszawy na jakiś czas.

– Łukasz próbował się z nią kontaktować?

– Tak, ale już trochę za późno. Zmieniła numer, chyba w niedzielę.

Marcin pokiwał głową. Było mu strasznie żal Łukasza, a na Justynę był bardzo zły. Nie rozumiał, jak można było tak zareagować – żeby od razu wyjeżdżać na drugi koniec świata z powodu błahego nieporozumienia. Spędził z Meyerem sporo czasu i uważał, że miał pełne prawo okazać niezadowolenie z powodu zatajenia tak ważnych faktów z przeszłości. Rozmowy z ludźmi z armii dały mu do myślenia, jeśli chodzi o to, kim tak naprawdę jest Justyna. W głębi duszy był przekonany o jej wyrachowaniu i umiejętnym manipulowaniu innymi osobami, a jej wyjazd traktował jako część jakiegoś większego planu. Zauważył jednak, że nie ma co się wychylać ze swoimi wnioskami, bo każdy miał w tej historii odmienne zdanie. Chciał jakoś pomóc Łukaszowi, bez względu na to, jak podłym człowiekiem była jego żona.

Malicki czekał na nich na parkingu pod Komendą Stołeczną. Wsiadł szybko do auta i podał Tomkowi jakąś kopertę.

– Adres Mrozowskiego. Z tego, co wiem, nie ma go teraz w Warszawie. Załatwia coś w Wojewódzkiej w Radomiu i najwcześniej będzie jutro wieczorem.

– Dzięki – Tomek westchnął i zajrzał do koperty.

– Dlaczego Wasz szef nie chce, żebyście się z nim kontaktowali?

– Twierdzi, że powiadomi swoich kumpli w Afganistanie i schowają Justynę przed Meyerem. Ale mnie się wydaje, że chodzi o coś więcej. Od jakiegoś czasu

Brenner stara się go unikać, jakby chciał go odsuwać od różnych spraw.

– Czemu?

– Bo się facet za bardzo miesza. Nie znamy go tak naprawdę. Nie wiadomo, skąd się wziął i dla kogo pracuje. Dużo wie, o wiele za dużo jak na kogoś, kto jest tylko konsultantem.

– To może uważaj, jak będziesz z nim rozmawiać... żeby nie powiedzieć czegoś za dużo. – Michał podrapał się po uchu. – Gdyby miał zaszkodzić...

– Jakoś sobie poradzę – Kot uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dobra, ja lecę, bo mam robotę. Kiedy Łukasz wraca?

– Wieczorem.

– Mogę wpaść?

– Nie wiem, ja tam nie rządzę... ale chyba się nie obrazi. – Tomek zerknął do tyłu na Malickiego. Trudno było powiedzieć, czy komisarz nie miał co robić z czasem, czy chciał im coś przekazać.

– To będę. Na razie.

Słomkowski spojrział na Kota.

– Jedziemy do aresztu? – zapytał.

– Tak, jedźmy tam – Kotowicz westchnął ciężko. – Chcę mieć to z głowy.

XLIII

– Jesteście zabawni. – Marek Linde kręcił głową, śmiejąc się nerwowo.

– Czemu niby? – Kot zerknął na niego z ukosa.

– Liczyłem cały czas, że przyjdziecie do mnie z jakimś standardowym układem: ja Wam wydam kogoś, Wy mi dacie niższy wyrok... albo w ogóle zaczniecie błagać, żebym się przyznał do jakiejś pierdoły, ale takie coś? Co to? Ukryta kamera? – Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Pomożesz nam? – Marcin zdawał się nie słyszeć uwag Marka.

– Nie wiem... A możecie mi to wyjaśnić? Chcecie znaleźć jakiegoś kołesia w Afganistanie? To go sami sobie szukajcie. Co ja mam z tym wspólnego? W co Wy gracie, co?

– W nic nie gramy – odpowiedział spokojnie Kot. – Potrzebujemy skontaktować się z oficerem GROM-u, który aktualnie jest na misji, ale nie możemy zrobić tego oficjalnie, bo nikt nie może wiedzieć, że go szukamy.

– Ale dlaczego?

Tomek westchnął i spojrzał zrezygnowany na swoje blade odbicie w lustrze weneckim za plecami Marka. Miał dość wszystkiego i jedyne, o czym marzył, to powrót do mieszkania Meyerów i zajęcie się nabzdyczoną Eweliną.

– Szukamy kogoś innego, a ten oficer wie, gdzie ta osoba jest.

Marek odchylił się na krześle i spojrzał na nich przenikliwie.

– Aha... – Uniósł jedną brew. – A co ja z tego będę miał?

– Z tego nic. Ale z czego innego możesz.

– To znaczy?

– Kowaliow zeznawał przeciwko Tobie. Dziś rano rozmawialiśmy z Jurkiewiczem, on też chce opowiadać o Waszej wieloletniej współpracy... – Kotowi nawet nie drgnęła powieka. – Ale my mamy problem z kim innym i chcielibyśmy, żebyś nam pomógł.

- Z kim? – zapytał cicho Linde.
- Ze Słotwińskim. Współpracował z Kowaliowem przed porwaniem.
- Linde zrobił wielkie oczy i potrząsnął głową z niedowierzaniem.
- Ten cały dyrektor od Justyny?
- Tak.
- Ja pierdołę! – Linde oparł się łokciami o blat i schował twarz w dłoniach.
- To mówisz, że nic nie wiedziałeś?
- Słomkowski pokiwał głową.
- W co Ty mnie wrabiasz? – Spojrzał na Tomka z gniewem.
- Nie wrabiam, tylko się upewniam. Słuchaj... kiedy z nim współpracowałeś... z tym całym Kowaliowem, nie rzuciło Ci się nic podejrzanego w oczy? Coś, co pomogło by nam z panem dyrektorem?
- Nie! – Zmarszczył czoło. – Co niby?
- Cokolwiek – wycedził Kot. – Przegapiliśmy wystarczająco dużo faktów, żeby teraz nie dmuchać na zimne. Wszystko jest ważne.
- Hm... będę musiał się zastanowić. Kowaliow tak naprawdę do samego końca nie powiedział mi, co planuje. Do porwania Justyny nie wiedziałem, że o to właśnie mu chodzi... Potem było już za późno, zabrnęliśmy za daleko z tym syfem i trzeba było to ciągnąć.
- A jakie było Twoje zadanie? – zapytał Kot.
- Miałem pilnować Sławka. On widywał się z Kowaliowem najczęściej, ale ten nie ufał mu do końca i potrzebował kogoś, kto będzie mu patrzył na ręce. W zasadzie to Jurkiewicz podpowiedział, kiedy się zorientował, że Odrowąż może coś odwinąć. No to go pilnowałem... I wszystko wyglądało dobrze, dopóki nie zjawił się Wiesiek.
- A Sławek wiedział o planach porwania Justyny? – Słomkowski zmarszczył brwi, jakby coś mu nie pasowało w zeznaniach Marka.
- Wiedział. Od samego początku. On powiedział o tym, że Łukasz nie zamyka drzwi, on zadzwonił w piątek rano i powiedział Siebie, że Justyna będzie sama w mieszkaniu...
- A Ty? Ten cały Seba to Twój człowiek. Wierzyć mi się nie chce, że nic nie powiedział.
- Powiedział o porwaniu, ale nie wiedziałem, o kogo chodzi. Stary, do głowy mi nie przyszło, że chcą uprowadzić Justynę. Jurkiewicz domyślał się, że będę

miął skrupuły, to mi nie wygadał. Dostali za tę robotę masę pieniędzy, po niej mieli dostać więcej. Miał w dupie naszą znajomość, chciał zarabiać.

Marcin nie wyglądał na przekonanego. Zerknął na Kota, który krzywił się lekko.

– A powiedzieli Ci chociaż, dlaczego chcą ją porwać? – Tomek podniósł wzrok na Marka, który chwilę zastanawiał się, zanim odpowiedział.

– Mówili coś o przesłuchaniu człowieka, który dużo wie. Mieli go zgarnąć na dzień lub dwa, postraszyć i odstawić z powrotem.

– I uwierzyłeś im? – Kot poczuł, że robi mu się coraz bardziej niedobrze. – Człowieku, gadałem z Justyną. Mówiła, że od razu wiedziała, co zamierzają. Nie nosili przy niej kominiarek, dotykali jej... Jakie „odstawić z powrotem”? Jesteś starym psem i dałeś temu wiarę?

– Wiem, jak to mogło wyglądać, wiem... – Marek starał się uspokoić Kota. – Chciałem zarobić, to była naprawdę duża suma...

– No dobra. – Kot podrapał się po głowie. – To powiedz więcej o tych powodach.

– Seba nic Wam nie mówił? Aż boję się cokolwiek odzywać, żeby nie wyszło, że mówię inną wersję. Okazuje się, że bardziej wierzycie jemu niż mnie.

– Jesteś żaloszny. – Kotowicz pokręcił głową. – Seba mówi, że miał porwać i nic więcej. Dostarczyli Justynę do domku w lesie, gdzie Kowaliow chciał ją przesłuchiwać, ale że im uciekła, to się plan nie powiódł. Twój kolega twierdzi uparcie, że nie interesowały go powody.

– No i to by się zgadzało... Mnie Kowaliow też nie mówił za wiele. Na samym początku wspominał jedynie, że chce zacząć rozkręcać interes w Polsce. Miał podobno jakichś zleceniodawców w Rosji, którzy planowali przejąć tu firmę albo firmy...

W Kota wstąpiło nowe życie.

– Słucham?

– No, tak mi powiedział. Nie kłamię.

– Jesteś pewien, że chodziło o przejęcie firmy, a nie interesu?

– Mówił „firma”, jestem pewien. Zresztą... wydawało mi się, że już składałem na ten temat zeznanie, powinno być w aktach.

Tomek potarł dłonią czoło.

– Kurwa, mogliśmy przegapić... Brenner urwie nam jaja.

– Dobra, jakoś sobie z tym poradzimy. – Słomkowski machnął ręką i spojrzał na Marka. – Jeśli chodzi o to wojsko... możemy na Ciebie liczyć? To ważne.

– Załatwię to... przynajmniej postaram się. Ale chciałbym też coś z tego mieć...

– Może coś da się zrobić – mruknął Kot i zaczął zbierać się do wyjścia. – Pogadamy ze starym, on ma ostatnio dobre układy z Rasiakiem. Będziemy z Tobą w kontakcie.

Jeszcze na korytarzu Kot wyciągnął telefon i wybrał numer do Brennera.

– Jest pan w biurze?

– Jeszcze jestem. Coś pilnego?

– Niech pan tam na nas zaczeka, musimy pogadać.

– Dobra – Brenner westchnął i z powrotem zapalił lampkę przy biurku. – Widzę, że Piotrek z Mariuszem też przyjechali.

W aucie Tomasz nic nie mówił. Marcin spojrzał na niego przenikliwie.

– Co się stało? – zapytał cicho.

– Wtopiliśmy z tą sprawą. Ciągłe coś nam umykało, ciągle coś było ważniejsze...

– Daj spokój. Powoli się ogarniemy.

Kiedy weszli do gabinetu szefa, w środku siedzieli już Mzygłód z Kowalskim. Piotrek miał dziwną minę, ale nic nie mówił.

– Co to za sprawa? – Brenner miał wyraźnie dość wszystkiego.

Kot usiadł i spojrzał na niego skrzywiony.

– Gadaliśmy z Markiem. Mówił, że Kowaliow przyjechał do Polski przejąć jakąś firmę.

– No i? – Rafał zmarszczył brwi.

– Myśleliśmy cały czas, że miał przejąć te diamenty... Zresztą, jak rozmawiałem kiedyś z Justyną, potwierdziła to. Inwestor chciał przejąć kontrolę nad tą kopalnią w Afryce, ale jeśli Linde mówi prawdę, a raczej mówi, to Słotwiński ją okłamał i chodziło o coś znacznie większego.

– Uważasz, że chcieli przejąć B. S. K.?

– Tak. – Tomasz westchnął i odwrócił wzrok. – Wyszliśmy na durniów i partaczy. Przejrzałem teczkę Lindego... On to powiedział na samym początku. Firma to nie jakiś pojedynczy biznes. Zastanowiłem się nad tym chwilę i doszedłem do wniosku, że dopiero teraz to ma sens. Po co Ruskom diamenty w Afryce, skoro

mają własne na Syberii? B. S K. robi interesy na całym świecie, to w tej chwili najszybciej rozwijająca się firma inwestycyjna w Polsce. Dzięki Justynie Jakubowski wygryzł Amerykanów z Wenezueli, z kontraktu za miliardy... Ale myślę, że chodzi o coś innego.

– No... – Brenner oparł się mocno o fotel.

– Broń. Nowe technologie. Od zeszłego roku mają do tego oddzielny dział, zatrudnili specjalistów, którzy wynajdują małe firmy robiące wysoko specjalistyczne urządzenia, także zapalniki i rakiety... Pompują w nich kasę i sprzedają, gdzie się da.

– Ja pierdołę! – Brenner położył dłonie na łysinie. – Jesteśmy debilami.

– Chyba już nie musimy zastanawiać się, kto zlecał, prawda? – Marcin gryzł skórę przy paznokciu i niepewnie zerkał na szefa.

– Co to znaczy? – zapytał Kowalski między jednym ziewnięciem a drugim.

– Kowalski, idź do domu i wyśpij się choć raz. – Brenner był zde gustowany. – Co Ty? W nocy pornole oglądasz?

– Mam niskie ciśnienie, niech się pan nie czepia. – Wzruszył ramionami. – To kto zlecał?

– Kowaliow, durniu! – Mzygłód pokręcił głową. – Sam to wszystko zorganizował.

– To po co Linde z Iwanowem przeszukiwali bazy? – Ramiona Mariusza znowu powędrowały w górę.

Wszyscy spojrzeli po sobie pytająco.

– Rzeczywiście. – Ręce inspektora opadły nisko.

– Jak to po co? – Kot uśmiechnął się. – Odrowąza znalazł sam Kowaliow. Sławek znalazł mu tego całego Sebę w bazie. Seba naraił Lindego, który sprawdził, czy Kowaliow figuruje u nas i czy nie zmoczy sprawy. Znam Marka, wiem, że nie narażałby dupy, gdyby nie czuł się pewnie. Ruska nie było w kartotekach, więc zgodził się na współpracę.

– A Iwanow? – zapytał Marcin.

– Nie wiemy, dla kogo on pracował, ale możemy przypuszczać, że sprawdzał dla swojego zleceniodawcy. – Brenner wyprostował się. – Słuchajcie, trzeba wypocząć. Jedźcie do domów i wyśpijcie się porządnie. Wiesiek to poważny problem, a dziś już niczego nie urodzimy.

Wszyscy smętnie pokiwali głowami i zaczęli się podnosić.

– Szefie – Kotowicz spojrział na Brennera smutno – po tym wszystkim chyba się rozsypiemy do reszty.

– Idź, Kocie. Nie panikuj...

XLIV

Łukasz odstawił Kozere i Badeckiego do hotelu. Z niechęcią wracał do mieszkania z Ewelina, Kotem i całym tym bałaganem. W miarę upływu czasu coraz bardziej chciał jechać, żeby przynajmniej czuć, że posuwa się naprzód w tym, co zaplanował. Zauważył, że sama decyzja zmieniła coś w nim na dobre, jakby zapaliło się jakieś światło, za którym można było w miarę ufnie podążać.

Kiedy przechodził przez furtkę, jakaś niewysoka postać wyskoczyła zza stróżówki i złapała go kościstymi palcami za ramię. Wystraszył się i chciał brać się do bicia jej, ale zobaczył, że to jego własna ciotka, siostra matki. Stała obok niego skulona, z wielkimi z przerażenia oczami. Po paru sekundach dołączyli do nich dwaj policjanci ubrani po cywilnemu.

– Spokojnie. – Podniósł dłoń w ich stronę. – Znam ją. Czego chcesz?

– Łukaszku, dzwoniłam do Was, ale odebrała ta Twoja żona... Bałam się, że mnie wyrzuci jak Zosię ostatnio, to odeszłam.

– Co? – Serce stanęło mu na sekundę, po której zdał sobie sprawę z tego, że to musiała być Ewelina. – Po co przyszłaś?

– Chodzi o Stefana. Jest chory.

– Boże! – Łukasz podniósł wzrok w niebo, czując, że traci resztki sił. – Co mu jest?

– Jak zwykle. – Machnęła ręką. – Coś z sercem. Leży w szpitalu w Grodzisku Mazowieckim i nie chce z nikim rozmawiać, tylko z Justyną. Zosia była, ale kazał jej sobie iść. Musicie do niego jechać, proszę Cię.

– Dobra, ciociu, pojedziemy... Jutro się postaram, bo teraz jest za późno, nie dam rady...

– Rozumiem, rozumiem... – Poglądziła go po ramieniu. – Ja wiem o wszystkim. Dużo przeszliście. Zofia powiedziała parę słów... Ona nie chciała, znam ją.

Łukasz roześmiał się pustym śmiechem.

– Ja też ją znam. Powiedziała to, co zawsze mówiła i co chciała powiedzieć. Życzyła Justynie śmierci... Mnie to wystarczy za wszystko. Jeśli chcesz jej bronić, nie przychodź tutaj. Matce nie jest potrzebny adwokat, tylko jakiś egzorcysta, bo posunęła się nieco za daleko. Muszę już iść. Dobranoc.

Bardzo chciał przyjść do domu, wykąpać się i iść spać. Był wdzięczny Tomkowi za pomysł z łóżkiem dla dziewczyny. Nie musiał słuchać jego chrapania w nocy. Jednak kiedy wszedł do salonu, wiedział, że ten dzień jeszcze się dla niego nie skończył. Ewelina nie była sama.

– Przepraszamy za to najście. – Jacek podniósł się z krzesła i niepewnie podał dłoń Łukaszowi, jakby bał się, że może oberwać. Zerknął na śliwę pod jego okiem, ale nie skomentował. – Przyjechaliśmy z Damianem dzisiaj i chcieliśmy zajrzeć do was... do Ciebie.

Łukasz spojrzał na chudego księdza z garbatym nosem, który uśmiechał się niewyraźnie. Obydwaj ubrani byli po cywilnemu, ale mieli koloratki. Obok stołu leżały dwie nieduże torby, więc zapewne przyjechali prosto z dworca.

– Justyny... nie ma. – Meyer był zmęczony i nie miał chęci opowiadać wszystkiego od początku, zwłaszcza że dobrze wiedział, po czyjej stronie może stanąć Jacek.

– Wiem o wszystkim. – Ksiądz kiwnął głową i spojrzał na niego z powagą, ale bez jakiegoś wyrzutu. – Dlatego też przyjechałem. Poza tym... – popatrzył na Damiana – kolega też jest zainteresowany, bo pomógł Justynie w Kościanie.

– Racja. – Łukasz zacisnął szczęki. – Bardzo dziękuję...

– Nie chcę, żeby mi pan dziękował – odezwał się cicho Damian. – Jestem zaniepokojony.

Ewelina, do tej pory milcząca i skulona w rogu kanapy, poderwała się, wyczuwając napiętą atmosferę.

– Pójdę do kuchni. Zrobię coś do picia. I muszę się uczyć. – Wyszła szybko z salonu.

– Rozmawialiśmy z nią. – Jacek wskazał głową na drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. – Mówiła, że ktoś Was napadł. Powiedziała też, co tu robi... To dobrze, że komuś pomagasz, ale w sytuacji, gdy Justyny nie ma...

– Słuchaj, Jacek – Łukasz przerwał mu poirytowany – jestem Wam bardzo wdzięczny za to, co zrobiliście dla mojej żony, ale nie mam chęci słuchać wymówek. Nie wiesz, co się dzieje, nie znasz szczegółów...

– Justyna jest w Afganistanie. To wiem – powiedział spokojnie Jacek. – Wiem też, dlaczego wyjechała. Powiedziała Ci o przeszłości, a Ty tego nie uniosłeś i to też mogę zrozumieć. Taka tajemnica to poważna sprawa i ja wcale jej nie usprawiedliwiam... Ale bardzo mi zależy na niej i na jej szczęściu.

– Po co tu przyjechaliście? – Łukasz spojrział na nich z gniewem.

– Chciałem Ci o czymś powiedzieć. – Jacek znowu usiadł. Meyer zrobił to samo. – Możesz iść do sądu biskupiego...

– Po co?

– Jeśli nie chcesz być z Justyną i jeśli uważasz, że sprawy, które zataiła, mają istotny wpływ na Wasze małżeństwo, możesz starać się o stwierdzenie jego nieważności. Sąd stwierdzi, że nigdy go nie było. Nigdy.

– Co? – Łukasz spojrział z lekkim przerażeniem na Damiana, który tylko kiwnął głową na znak, że Jacek nie żartuje. – Jakie „nigdy go nie było”? Justyna jest moją żoną... zawsze nią była. Co mnie obchodzi jakiś Afganistan? Chcę, żeby tu wróciła.

Jacek z Damianem spojrzeli po sobie wymownie.

– Dobrze. Cieszę się, że tak uważasz – Jacek uśmiechnął się blado. – Wiem, ile znaczysz dla Justynki. Powiedziała mi, że jesteś jej księciem z bajki...

Łukasz przez chwilę nie mógł powiedzieć ani słowa. Do salonu weszła Ewelina z kubkami z herbatą, które postawiła obok księży. Doniosła cukiernicę i znowu uciekła do kuchni.

– Dużo z nią rozmawiałem o tym całym Afganistanie – ciągnął młody ksiądz, sięgając po cukier. – Powiedziała mi, że zmienił ją całkowicie i dzięki niemu była z Tobą.

– Jak to?

– Poznała tam wielu dobrych ludzi, którzy nauczyli ją, że może być z kimś dobrym, kto będzie ją kochał. Wiesz o jej ojcu, prawda?

– Tak...

– No właśnie. Taki ktoś jak Justyna potrzebuje dobrych wzorców, a tam je znalazła. Wróciła, żeby ułożyć sobie życie na nowo, inaczej... i jej się to udało. Dla mnie jej ucieczka do Afganistanu jest całkiem logiczną decyzją. Chciała znowu być z ludźmi, którzy byli dla niej dobrzy, nawet jeśli oznacza to pobyt na wojnie.

Łukasz opadł na oparcie kanapy i westchnął ciężko.

- Jadę po nią – powiedział cicho.
- Do Afganistanu? – Jacek zmarszczył brwi.
- Tak. Jeszcze nie wiem, kiedy, ale jestem w trakcie załatwiania formalności.
- A co z nią? Z tą całą Ewelina? – zapytał Damian.
- Ona jest przykrywką. Musi tu być, żeby niektórzy myśleli, że mam kobietę, a Justyna odeszła na dobre.
- Ktoś naprawdę Wam zagraża – szepnął Jacek.
- Justynie.
- Próbowałeś się z nią kontaktować?
- Zmieniła numer... Miałem nadzieję, że masz może jej nowy.
- Niestety... – Jacek pokręcił głową. – Ale jeśli coś się zmieni, dam Ci zaraz znać.
- Dzięki. Mam prośbę: nie mów o tym nikomu. Nienackiemu też.
- Dobrze, nie powiem. Wypijemy herbatę i pojedziemy na Pragę.
- Może Was zawieźć?
- Nie, nie trzeba – Jacek uśmiechnął się. – Widzę, że jesteś skonany. Aha... jeszcze jedno. Ta dziewczyna... z nią jest coś nie tak.
- Łukasz uśmiechnął się.
- To mało powiedziane. To chodzący worek z problemami, ale to już nie mój kłopot, swoich mam wystarczająco dużo.
- Jacek pokiwał głową.
- Słuchaj... Ziutek i Ci koledzy Justynki uważają, że ją skrzywdziłeś. Wiesz, że oni staną za nią murem i nawet jeśli ona sama coś przeskrobie, będą ją chronić... To znaczy według nich to będzie ochrona. Może za bardzo się wtrącam, ale skoro Ty chcesz, by to małżeństwo nadal trwało, to trzeba myśleć o Was, a nie o Tobie czy o niej. Dlatego... wydaje mi się, że to wszystko trzeba mądrze rozegrać.
- Co masz na myśli?
- Oni nie pomogą Ci jej znaleźć.
- Domyślam się.
- Ale ja spróbuję. – Jacek ściszył głos. – Nie powiem nic o naszej rozmowie ani Ziutkowi, ani nikomu innemu. Jeśli dowiem się czegokolwiek, powiadomię Cię.
- Dzięki – Łukasz również mówił bardzo cicho. – Nie sądziłem, że będę miał

takie wsparcie. Moi koledzy też obiecali mi pomóc.

– To daj mi do nich namiary. Jak polecisz, mogę im zostawiać jakieś wiadomości.

– Dobra. – Meyer podniósł się, ale zaraz odwrócił z powrotem. – Albo zaczekajcie jeszcze chwilę, zaraz tu będzie mój kolega, który teraz z nami mieszka. Nie wiem, czy już nie idzie.

Usłyszeli, jak ktoś z hałasem tarabani się do mieszkania.

– Kurwa, Meyer, kto wpadł na pomysł z tą gałką? Normalnie drzwi nie można otworzyć – sapał Kot, taszcząc stelaż od rozkładanego łóżka. Za nim pojawił się niosący materac Malicki, który na widok księży stanął w miejscu niemal na baczność.

– Pochwalony – wypalił bez zastanowienia. – To już po kolędzie ksiądz chodzi? Nie za wcześnie?

Kotowi z wielkim hukiem wypadł stelaż z rąk.

– O Boże! Ktoś umarł? – zapytał przerażony.

Ewelina wybiegła z kuchni, jak zwykle z wielkimi ze strachu oczami.

– Nie, to koledzy Justyny – Łukasz uśmiechnął się. – Wejdźcie, poznajcie się.

Kotowicz, niewierzący i od wieków niepraktykujący, wszedł nieśmiało do środka i podał dłoń księżom. Kiedy Damian się przedstawił, jego twarz rozjaśniła się.

– A, Kościan! – Pokiwał palcem. – Ten od zakrystii, prawda?

– Tak, to on – śmiał się Meyer. – A to ten od domku nad jeziorem. – Wskazał na Jacka.

– O, zesz w mordę! Ale bestia! Człowieku, baby pewnie żyć Ci nie dają, co?

– Mnie to niestety tak nie bawi, jak pana. – Jacek zbladł nieco.

– Jakiego „pana”? Chłopie, na „pana” to trzeba mieć wygląd i pieniądze. – Podszedł do niego i jeszcze raz ścisnął mu dłoń. – Fajnie, że jesteście. Szkoda tylko, że Justyna dała nogę, można by niezłą bibkę urządzić, co Malicki?

– No... – Michał podrapał się po głowie. – Z księżmi jeszcze nie piłem.

– Ewela – Tomek skinął na dziewczynę, która stała w progu jak ostatnia sierota – zrobiłabyś jakąś kolację dla wszystkich.

– Daj jej spokój. – Łukasz zaprotestował. – Miała się uczyć.

– Mogę zrobić. – Pokiwała energicznie głową i czmychnęła do kuchni.

– No, widzisz. – Kot ucieszył się i zaczął się rozbierać z kurtki. – Pogadamy

trochę. Zjebany dzień mieliśmy... oj! – Złapał się za usta. – Znaczy się ciężki.
Trzeba się trochę wyluzować.

Księża spojrzeli po sobie i roześmiali się jednocześnie.

XLV

– Będę potrzebować dobrego miesiąca, żeby się przystosować. – Justyna ziewnęła zrezygnowana, gdy zapakowali się do auta Krokodyla. Siedziała z tyłu razem z Gogolem i Charliem. Oparła Kostkowi głowę na ramieniu i niemal natychmiast usnęła. Kiedy dojechali do nowej kryjówki, Krokodyl wziął ją na ręce i gdzieś zaniósł. Nie była w stanie zrobić kroku ze zmęczenia i przez gorączkę, która trawiła ją od wielu godzin.

Otworzyła na chwilę oczy, ale nawet nie szarzało. Słyszała za oknem śpiew imama rozchodzący się po całej okolicy. Nad nią stał Jamal.

– Słyszysz mnie? – zapytał.

– No... – odpowiedziała po polsku.

Roześmiał się cicho.

– Nigdy nie przywyknę do tego, że jak mówicie „no”, to nie znaczy „nie”, tylko „tak”.

– No... – mruknęła znowu i zamknęła jedno oko.

– DeeDee... – Usiadł obok niej na łóżku i wziął jej dłoń. – Pół godziny po wyjściu ostatniego człowieka z naszej poprzedniej kryjówki, ktoś strzelił z RPG. Cała spłonęła.

– Żartujesz?! – Ledwo mogła mówić, ale oczy miała szeroko otwarte.

– Nie. – Pokręcił głową i zacisnął szczęki. – Miałś rację... Nie po raz pierwszy.

– A tu... jesteśmy bezpieczni?

– Raczej tak. Ten agent próbował się do mnie dodzwonić, ale nie odbieram. Wyrzuciłem aparat. W razie czego niech myślą, że zginęliśmy.

– B. B., trzeba zamknąć ten sklep. Dziś... on musi być zamknięty.

– Dlaczego?

– Ten cały Ahmed, czy jak mu tam...

– Ali, ma na imię Ali jakiś tam.

– Nie może do niego dziś iść. Jutro też nie. To ważne. Niech się nawet do niego nie zbliża.

Jamal zmarszczył brwi.

– Myślisz, że ktoś Was śledził?

– To możliwe. Jeśli tak, to pomyśli, że naprawdę nie żyjemy. A jeśli nie, to i tak nic się nie stanie.

– A jeśli później go otworzymy? Ten ktoś nabierze jeszcze większych podejrzeń.

– To wyślij tam ludzi. Niech obserwują sklep z ukrycia.

– Dobrze. Tak zrobimy. Śpij teraz.

Spała więc cały dzień. Dochodziły do niej różne odgłosy: kroki na schodach, przesuwanie mebli, ciche kłótnie chłopaków i śmiech Gogola. Co jakiś czas ktoś do niej zaglądał, dawał coś do picia, pytał, jak się czuje. Każdy czuł się w obowiązku opowiedzieć, jak sam ciężko zniósł swoje pierwsze dni w Afganistanie, ale natychmiast o wszystkim zapominała. Wyjątek stanowił obraz nachylającego się nad nią Krokodyla... Nie wiedziała, czy śnił jej się, czy naprawdę przyszedł i pocałował ją w czoło.

XLVI

– Słyszysz mnie pan? – Kołecki zmarszczył brwi.

Brenner od dłuższego czasu się nie odzywał. Wydawało się, że słucha, ale do redaktora szybko dotarło, że po prostu myśli o czymś innym.

– Panie inspektorze, mogę sobie iść, jeśli przeszkadzam...

– Słucham? – Rafał zamrugął powiekami. – Przepraszam, nie dosłyszałem wszystkiego.

– Przyszedłem do Was wcześniej rano, z ważnymi, jak mi się zdaje, sprawami... Podobno bardzo panu zależało na tym, co napisałem.

– Dobra, pan wybaczy. – Brenner uniósł dłonie do góry. – Mam za dużo na głowie ostatnio. Niech pan kontynuuje.

Kołecki referował treść swoich zeznań, które spisał i przyniósł do biura. Dotyczyły zawartości pamiętników Justyny i tego, co mówiła, gdy zjawiła się w redakcji przed czterema laty. Brenner starał się przynajmniej wyglądać na zainteresowanego, ale przychodziło mu to z wielkim trudem. Wpatrywał się w ekran swojej komórki, czekając bezskutecznie na wiadomości z Kabulu. Justyna jednak milczała. Próbował sobie tłumaczyć swoje zdenerwowanie tym, że się martwi i że śledztwo wciąż stoi w martwym punkcie, jednak w głębi duszy wiedział, że chodzi o coś innego, a gdy dopuszczał do siebie tę myśl, robił się jeszcze bardziej poirytowany.

– Rzeczywiście, pani Dąbek poświęciła sporo uwagi sierżantowi Garlickiemu i jego romansowi z koleżanką...

– Jak ona się nazywała?

– Wiem tylko, że miała na imię Beata. Nazwisko nie pojawiło się ani razu.

– Rozumiem. Niech pan mówi dalej.

– Z tego, co zrozumiałem, ona miała romans jednocześnie z Jaskółą i Garlickim, przy czym tego pierwszego po prostu wykorzystwała do swoich celów,

głównie do podnoszenia sobie średniej ocen... W Garlickim była zakochana.

– Tak jak Justyna. – Brenner potarł policzek.

– Niby tak. – KołECKI skrzywił się. – Ale nie wypowiadała się o nim najlepiej. W dalszej części pamiętników, już z czasów Stargardu, jest mowa o tym, że Jaskóła przestał odzywać się do tej całej Beaty, kiedy przeczytał o jej romansie.

– No a co z tym... Sarnowskim?

– Niewiele. Pisała, że się nad nią znęcał, szykanował przy innych żołnierzach...

– Można go za to skazać pana zdaniem?

– Można mu zaszkodzić.

– Jasne. – Brenner skinął głową. – Coś jeszcze? Coś, co według pana jest istotne?

– Niby nie... – Znowu się skrzywił. – Ale rozmawiałem o tej sprawie z Romanem, moim naczelnym, i on przypomniał mi o czymś, co rzuciło mu się w oczy, kiedy pani Dąbek u nas była.

– No? – Brenner wyprostował się.

– Widzi pan, historie, które nam opowiedziała, wydawały się nieprawdopodobne. Mnie włos się na głowie jeżył. Mam córkę i nie wyobrażam sobie, żeby miała coś takiego przejść... no, po prostu serce by mi pękło. Tymczasem ona nie wyglądała na kogoś skrzywdzonego. Była opanowana, rzeczowa, jasno oceniała sytuację. Romanowi to nie pasowało do osoby, która przeszła takie rzeczy.

– Miał wątpliwości?

– Miał, bardzo duże. W zasadzie, kiedy okazało się, że to wszystko prawda, po tym jej porwaniu i rzekomej śmierci, był w wielkim szoku.

– A pan? Co pan sądzi o Justynie?

– Nie rozumiem jej. Uważam, że musiała przejść jakąś drastyczną zmianę pomiędzy czasem służby a dniem, w którym do nas trafiła. Jakiś wstrząs albo właśnie terapię...

Brenner oparł się o fotel i spojrzał z powagą na redaktora.

– Panie inspektorze, będę szczery – KołECKI roześmiał się. – Wiele bym dał, żeby dowiedzieć się, co robiła przez te półtora roku. Co się stało takiego, że nie przysłała z tymi pamiętnikami od razu po odejściu z wojska?

– Niech się pan tym nie interesuje. – Brenner dalej był poważny. – Dobrze panu radzę.

– Dlaczego? – KołECKI zmarszczył brwi.

– Bo spalony samochód będzie pana najmniejszym problemem.

Redaktor zamarł na moment, a po chwili oblał go zimny pot. Jego ciekawość tylko wzrosła, ale widok płonącego auta na ich osiedlowym parkingu wciąż stał mu przed oczami. Nie chciałby już więcej przeżywać tego stresu.

– Aha... – wydusił z siebie w końcu i zerknął do kartek z zeznaniem. – Jeszcze o jednym powiem. Pani Dąbek była w szpitalu... na oddziale psychiatrycznym...

– Tak, wiemy o tym. Oddział leczenia stresu bojowego. Już kontaktowaliśmy się z ordynatorem w sprawie jej dokumentacji medycznej. Niewiele tam jest interesujących rzeczy dla nas. Nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

– No tak, tyle że w pamiętnikach pojawia się nazwisko jednego lekarza, który jej nie prowadził. Dość dobrze się o nim wypowiadała, myślę, że powiedziała mu nieco więcej.

– Pamięta pan to nazwisko?

– Długo nie mogłem sobie przypomnieć, ale wydaje mi się, że Madejski. Z tego, co zrozumiałem, był majorem.

– Dobrze, sprawdzimy to. Bardzo panu dziękuję. – Brenner wstał i podał dłoń redaktorowi. KołECKI zapamiętał ten uścisk na długo.

Kiedy inspektor został sam, opadł ciężko na fotel i znowu spojrzął na telefon. Miał ochotę nic nie robić i z nikim nie rozmawiać przez cały dzień albo nawet do końca tygodnia. Nie dane mu to było jednak nawet przez pięć następnych minut. Do openspace'u wszedł Marcin Słomkowski i od razu ruszył w stronę jego gabinetu. Nie ściągnął nawet płaszcza ani nie odłożył torby z laptopem.

– Musimy porozmawiać – zaczął bez powitania.

– Musimy? – Brenner uniósł brwi.

– Tak. – Marcin nie zraził się niemiłym tonem szefa i usiadł na krześle. – Dopóki nikogo jeszcze nie ma.

– Dobra. – Rafał potarł dłońmi twarz. – Mów.

– Okłamałem pana.

Brenner roześmiał się.

– Donosisz bandytom i chcesz się przyznać, tak?

– Nie. Dalej Was szpieguję. Rasiak nic nie wie. W zasadzie... szpieguję pana.

– Co, do kurwy... – Brenner wyprostował się gwałtownie.

- Zaraz wyjaśnię. Zna pan inspektora Łysiaka?
- Znam. To menda, największa, jaka chodziła po tej planecie.
- Kiedy zwolnił pan Majchra...
- Skąd Ty wiesz, że go zwolniłem?
- Bo był u Łysiaka. Chciał się komuś poskarżyć. Ja wiem, że wyjechał go pan za picie i za narkotyki. Niech pan nie pyta skąd, bo i tak nie powiem. Łysiak rozpoczął polowanie na czarownice, czyli na Rafała Brennera...
- Ale... ma coś na mnie?
- Ma. Majcher powiedział o tej akcji na Pradze.
- Ale on nic nie wie... to znaczy...
- Spokojnie. – Marcin ściszył głos. – Niech się pan nie denerwuje. Domyśliłem się od razu, że tam wydarzyło się coś innego, niż to napisano w raporcie. Majcher też nie zna szczegółów, ale i tak uznał, że będzie tym można pana udupić. Zaczęli śledztwo... Do dupy Rasiaka też chcą się dobrać. Jeśli wyjdzie na jaw, że on pana krył...
- Nie krył mnie – powiedział cicho Brenner. – O niczym nie wie.
- Hm... – Słomkowski przygryzł wargę. – A może się tym wkurwić?
- Może. Od razu mnie wywali albo postawi przed sądem.
- Niedobrze. Coś trzeba wymyśleć...
- Słomkowski, dlaczego z tym do mnie przychodzisz? Dla kogo Ty w ogóle pracujesz?
- Nie chce pan wiedzieć. – Marcin machnął ręką. – Teraz to nieistotne. Miałem iść do Rasiaka i załatwić sobie powrót tutaj, żeby znaleźć na pana haka. Ale przy okazji dowiedziałem się, że to prywatne rozgrywki Łysiaka, a nie jakieś poważne śledztwo. Nie chcę się w tym babrać. Nie robi pan nic złego.
- Ale chcesz z nami pracować?
- Tak. – Kiwnął głową zdecydowanie.
- Dobra – Brenner westchnął. – Dzięki za te wiadomości. Zajmę się tym... chociaż nie wiem jak. Weź te zeznania od Koleckiego i poczytaj, może coś przyjdzie Ci do głowy.
- Czekają pan na ważny telefon?
- Co? Nie...
- Widzę, że zerka pan na komórkę średnio raz na sekundę.
- Wydaje Ci się. Idź stąd już i bierz się do pracy.

Parę minut później do biura zaczęły schodzić się kolejne osoby. Po ósmej przyjechał kapitan Kozera z aspirantem Badeckim. Przyszli do Brennera się przywitać.

– No i co, panowie? Macie jakąś wizję tego, co robić z tym syfem? – Brenner uśmiechnął się niewyraźnie.

– Sprawa jest do rozwiązania. – Badecki był dość niskim, krępy męczyzną, który miał na policzkach wieczne rumieńce. Jego niebieskie oczy były szczere, ale nie naiwne. – Po drodze doszliśmy z Maćkiem do wniosku, że atak na jego rodzinę był zmyłką, żeby zwrócić uwagę na Jaskółę.

– Tak? – Brenner spojrzał przenikliwie na Kozere, który skinął głową. – Na jakiej podstawie?

– Maciek dostał list... No i ta ukręcona główka lalki, która leżała w wózku na klatce, więc każdy mógł ją zabrać, tak jak poprzebijać opony. Kołeczki i Łukasz mieli dodatkowe „atrakcje”: samochód i przeszukanie mieszkania. Wydaje mi się, że ten ktoś działa z Warszawy, ale... ten od pożaru i włamania nie jest tą samą osobą, która podrzuca listy i kwiaty.

Inspektor kiwnął głową i zacisnął mocno szczęki.

– Macie jakąś teorię?

– Tak. Listy są robotą jakiejś płotki. Być może nawet Garlickiego czy tej jego flamy, skoro ona mieszka w stolicy. Natomiast te grubsze sprawy załatwia ktoś, kto ma więcej do stracenia i bardziej się boi.

– Albo odwrotnie – powiedział Kozera. – Sarnowski, Garlicki i pani, które nazwiska jeszcze nie znamy, mają naprawdę dużo do ugrania w tym biznesie. Są na starcie wielkich karier, im wszystkim jest bardzo nie na rękę historia z pamiętnikami.

– A kto podrzuca listy? – zapytał Brenner.

Maciek spojrzał na Badeckiego i uśmiechnął się dziwnie.

– Ta „gruba ryba” ze Sztabu Generalnego. To naprawdę jest możliwe.

– Panowie – Rafał kolejny raz tego dnia ciężko westchnął – nie wiem, czy wiadomo Wam, jakie naprawdę jest nasze zadanie, ale może się Wam to nie spodobać.

Miny jego gości powiedziały, że nie mają o niczym pojęcia.

– Działamy nie do końca legalnie, bo naszym celem jest zastraszyć tego, kto chce zamknąć usta Justynie Meyer.

– Słucham? – Kozera roześmiał się nerwowo.

– Dlaczego? – zapytał Badecki.

– I tak mi nie uwierzcie – Brenner uśmiechnął się krzywo. – Pytanie jest, czy chcecie w to wejść. Ja Was nie będę do niczego zmuszał.

– Zastraszyć? – Kozera zmrużył oczy po dłuższej chwili namysłu i pokręcił głową. – To nie będzie konieczne.

– Czemu pan tak uważa?

– Bo jeśli ten ktoś stoi za tymi napaściami, to wystarczy mu je udowodnić i nagłośnić sprawę we wszystkich mediach.

Brenner potarł dłonią potylicę.

– Panie Kozera... nie myślał pan o zmianie mundurka?

– A co? Ma pan wakacik dla biednego żandarma? – Maciek roześmiał się. – Nie, lubię mój czerwony beret. Chętnie dalej go będę nosił.

– W porządku – Brenner uśmiechnął się. – Nie będę Was dłużej zatrzymywał. Rozgośćcie się, napijcie kawy i... do pracy.

Po wyjściu gości z Poznania Rafał wstał i zaczął się ubierać.

– Dokąd pan jedzie? – Do jego biura wpadł zdyszany Kot.

– Do prokuratury.

– A odprawy nie będzie?

– Nie teraz. Może spotkamy się w południe.

– Aha... – Kotowicz podrapał się po uchu. – Meyera nie będzie. Wie pan?

– Tak. Pojechał do ojca.

– Właśnie... – Tomasz zerknął na kolegów. – Chciałbym o nim pogadać.

– Co znowu? – Brenner zgarnął kluczyki z biurka i ruszył w stronę drzwi, ale Kot zastąpił mu drogę.

– Mamy problem.

– No to mów! Nie mam czasu.

– Ktoś chce go wywalić ze służby.

Brenner przewrócił oczami.

– Kto i za co? I skąd Ty o tym wiesz?

– Rozmawiałem ze Słomkowskim... on dużo wie. Dzwoniłem rano do jednego z ludzi Łysiaka. Podobno jest plan postawienia go przed psychiatrą... że niby odbiło mu po porwaniu.

– Co?

– Będą chcieli mu udowodnić, że jest niepoczytalny. Pamięta pan, jak Majcher kupował dla niego leki uspokajające? Myślę, że to on wpadł na ten pomysł. Mówi się, że Łukasz już nie nadaje się do tej roboty...

Brenner zasłonił dłonią oczy.

– Łysiak był u Rasiaka... – Kot zawiesił głos na chwilę. – Powiedział, że jak ktoś potrzebuje psychotropów po porwaniu żony, to nie może już być policjantem, bo policjanci nie załamują się i nie płaczą. A pan... pan jest temu winien, bo zatrudnia pan same cioty.

Inspektor spojrział na niego, jakby go dopiero zobaczył.

– Słucham?

– Tak powiedział. Obarczył pana odpowiedzialnością za tych kapusiów i za to, że jesteśmy słabi...

– Wiesz, co Rasiak odpowiedział?

– Podobno obiecał mu weryfikację wyników naszej pracy przez ostatnie miesiące.

– Podobno? – Brenner odsunął Kota i wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

XLVII

Stefan Meyer lubił sobie pospać po posiłku. Mimo że szpitalne śniadania nie były oszałamiające, tego dnia też zapadł w lekką drzemkę. Kiedy otworzył oczy po pół godzinie, zobaczył syna siedzącego przy jego łóżku.

– Tato... – Łukasz położył dłoń na ramieniu ojca. – Słyszysz mnie?

– Mam chore serce, a nie słuch. Czego chcesz?

– Chyba mnie nie wygonisz? – zapytał i uśmiechnął się niepewnie.

– A o czym niby miałbym z Tobą rozmawiać? – Stefan odwrócił wzrok i spoj-rzał w sufit.

– Tato, Justyna wyjechała...

– Wiem – nie dał mu dokończyć.

– Skąd?

– Dzwoniła do mnie.

– Żartujesz? Kiedy?

– Z samolotu, w sobotę rano. Kazałem jej wysiadać i wracać do domu... to znaczy do mnie. Ale się rozłączyła i poleciała.

– Mówiła dokąd?

– Nie. – Stefan wytarł łzę z kącika oka i wzruszył ramionami. – Ale ja wiem dokąd.

Łukasz zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie ojcu.

– Pewnie pojechała na wojnę – powiedział cicho stary Meyer. – Gdzie indziej by to dziecko miało jechać?

– Nie rozumiem...

– A co tu rozumieć? Mówiła mi, że tam była szczęśliwa, to pewnie wróciła.

– Mówiła ci?

Stefan popatrzył na syna z gniewem.

– Nie, sam się domyśliłem. Może jestem stary, ale nie głupi. Opowiedziała mi

o wszystkim. O tym, że uciekła porywaczom, bo ją tam wszystkiego nauczyli. O tych pieniądzech, co je zarobiła. O ludziach, których spotkała... O wszystkim. I o mężu idiocie, któremu się to nie spodobało. – Znowu skierował wzrok na sufit. – Czułem, że coś odwiniesz. Przyjechałem, ale już było za późno...

– Tato, ta dziewczyna...

– Nie chcę o niej słyszeć!

– Ale będziesz musiał! – Łukasz podniósł się i nachylił nad ojcem. – Ona musi tam być, rozumiesz? Musi ze mną mieszkać jakaś kobieta, bo Justyna nie jest bezpieczna. Ktoś mnie napadł... nasze mieszkanie.

– Co Ty mówisz, synku? – Stefan złapał Łukasza za nadgarstki i dopiero teraz zauważył coraz bledszą śliwę pod jego okiem.

– Ktoś nam grozi. Jeśli będzie wyglądało, że się rozstaliśmy z Justyną, to może ten ktoś da mi spokój. A ja będę mógł jej poszukać.

– Kogo? Justysi?

– Tak. Pojadę po nią.

– Kiedy?

– W piątek po południu albo w sobotę rano. Jeszcze nie wiem dokładnie. W mieszkaniu zostanie Kot i zajmie się tą dziewczyną.

– Przywieziesz ją?

– Mam taką nadzieję. – Łukasz opuścił głowę i usiadł znowu na stołku. – Mam nadzieję, że ją jakoś znajdę i przekonam do powrotu.

– To dobrze – szepnął Stefan, kiwając głową. – Przywieź ją...

– Tato, wiesz, kiedy Cię wypiszą?

– Do końca tygodnia tu zostanę. Czemu pytasz?

– Mam do Ciebie prośbę. Do Warszawy przyjechało dwóch księży. To są koledzy Justyny, którzy pomogli jej, kiedy uciekła.

– Tak, tak. Wiem. Mówiła mi. – Stefan uniósł się lekko na posłaniu. – Co z nimi?

– Zaczynają pracę na Pradze jako wolontariusze... no, z trudną młodzieżą, z ludźmi ulicy. Oni nic nie mają. Trzeba im pomóc. Zobaczyć, czy mają co jeść, czy mają ubrania i pieniądze. Chodzi o to, że ten Jacek może pomóc mi, kiedy wyjadę.

– Dobrze, pomogę. – Ojciec kiwał energicznie głową. – Daj mi adres, pojadę do nich jutro.

– Mówiłeś, że będziesz...

– Nigdzie nie będę! – Machnął ręką i odrzucił koc, pod którym leżał. – Zaraz się wypiszę. Pojadę do nich. Albo Ty mnie zawieź. Tylko zawołaj tego mojego konowala, niech wypełni papiery. Trzeba jechać do domu po słoiki Zofii, może się wreszcie do czegoś przydadzą.

XLVIII

Po raz pierwszy, od kiedy pracował się w policji, wpadł do gabinetu swojego przełożonego nie tylko bez pukania, ale nawet bez chwili zawahania. Rasiak nie zatrudniał nigdy sekretarki, więc nie miał go kto zatrzymać, choć gdyby wzrok zabijał, to Brenner byłby martwy w chwili, kiedy nacisnął na kławkę.

– Uważa pan, że jesteśmy ciotami? – zaczął i dopadł do biurka generała. Oparł się na nim obiema rękami, patrząc w twarz szefa z odległości dwudziestu centymetrów. Mimo że Rasiak bardzo tego nie chciał, odsunął się lekko do tyłu.

– Co pan...

– Uważa pan, że policjant nie może się załamać po porwaniu żony i należy go za to wyjechać, mimo że jest dobrym fachowcem, który nigdy nie zawiódł? Niech pan powie, jak jest. Może po tym wszystkim, co robimy dla pana premiera, wywali nas pan wszystkich, co?

– Niech się pan uspokoi. Nie wiem, o czym pan mówi.

– O czym? Zdziwiłem się, kiedy kazał nam pan wracać do pracy po odkryciu afery z kapusiami, ale pan wcale nie ma zamiaru nas trzymać. Łysiak był u pana?

– Był. – Rasiak skrzywił się. – I co z tego? To nie pańska sprawa.

– Moja, bo się z panem układał, jak mnie wyjechać. Wiem, że mam wielu wrogów, zawsze miałem...

– Panie, nikt nie chce pana wywalić.

– Wie pan co – Brenner nachylił się mocniej i ściszył głos – nie wierzę panu. Nikomu już nie wierzę. Nadstawiamy dupy, żeby ratować czyjąś inną, bez gwarancji, że wyjdziemy z tego cało. A ja się dowiaduję, że ktoś już szykuje plan, jak się pozbyć mojej komórki. Przy pana udziale.

Rasiak zmarszczył czoło, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał to. Wpatrywał się w podwładnego z nieco większym spokojem, cze-

kając na to, co ma jeszcze do powiedzenia.

– Chce pan weryfikować wyniki naszej pracy? Niech pan lepiej zweryfikuje Łysiaka. Ja panu powiem, co pan znajdzie. Zryte łby jego ludzi, którzy wyciągają zeznania biciem. Moi są ciotami, bo nie pozwalam im pić i ćpać, jak Majchrowi. Nie przymykam oczu na znęcanie się nad aresztantami i chcę mieć u siebie tylko tych, co mają w miarę równo pod sufitem. Wysłałam do psychologa, nie toleruję przemocy w rodzinie... I jakimś cudem wszyscy pracują normalnie, bez konieczności podcinania nóg od krzeseł, na których siedzą przesłuchiwani.

Inspektor zamilkł na chwilę i patrzył zimno na generała, który wciąż nic nie mówił. Rasiak nie wyglądał nawet na zdenerwowanego, tylko mocno zaciskał dłonie na podłokietnikach.

– Powiem panu coś – powiedział Brenner pozornie spokojnym tonem. – Ja się bardzo chętnie zmienię i przestanę być ciotą. I zacznę kopać w krzesła. A pierwsze, w jakie kopnę, będzie to, na którym pan siedzi! – Odwrócił się na pięcie i wyszedł wolnym krokiem, nie zamykając za sobą drzwi.

Rasiak złapał się za głowę i ciężko westchnął.

– Ja pierdolę, ale świr... – Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrał numer.

– Niech to będzie coś pilnego i ważnego – powiedział jak zawsze opanowany premier po drugiej stronie linii. – Prosiłem, żeby nie nadużywać tego numeru.

– Wiem, panie premierze, ale mam problem z Brennerem.

– No?

– Świruje nieco z tą sprawą.

– Mówiłem, że to nie będzie proste.

– Ale nie o to chodzi... Dowiedział się, że jest ktoś, kto chce go wywalić i uważa, że ja mu w tym pomagam.

– A ktoś chce go wywalić?

– Tak. Mam takiego nawiedzonego... Mają na pieńku od samej szkoły, ciągle się kotłują między sobą. Był tu u mnie jakiś czas temu, bo sobie ubzdurał, że wykorzysta porwanie żony Meyera do zdyskredytowania Brennera. No i ten się dowiedział... nie wiem skąd, ale wie...

– Aha... No i co?

– Nic. Nie dało się łysemu nic wytłumaczyć. Pogroził mi i poszedł. Sam pan rozumie, żyje w napięciu.

– Jak my wszyscy. – Premier nadal był spokojny. – Panie generale, nie bawmy się w to, dobrze? Nie mamy na to czasu. Pan się zajmie tym „kimś” i zamknie mu mordę. Resztę biorę na siebie.

– A opozycja...

– To mój problem. Trzeba to załatwić inaczej.

Brzeziński rozłączył się bez słowa pożegnania, a Rasiak wstał i zamknął drzwi.

– Chyba zacznę pić – westchnął i zrezygnowany usiadł z powrotem w fotelu.

XLIX

– Co mu jest? – Łukasz wskazał głową na gabinet szefa.

– Nie wiem. – Kot wzruszył ramionami. – Od rana taki chodzi. Po siódmej był u niego KołECKI, może on mu coś powiedział.

Tomek nie mówił Łukaszowi o swojej rozmowie z Brennerem. Miał obawy, że to z tego powodu inspektor wyglądał jak burza gradowa.

– Zagadnąłem o moim wyjeździe, a ten mi kazał spadać. Twierdzi, że to nie jego problem i żebym sam się tym zajął.

– Już Ci to mówił, nie powinieneś się dziwić.

– Tak, ale dziś był po prostu chamski. Odprawa była? – Meyer zerknął na zegarek.

– Nie. Zamknął się u siebie i nie wychodzi od dwóch godzin. No to co z tym Twoim ojcem?

– Wyzdrowiał w cudowny sposób, kiedy powiedziałem, że jadę po Justynę.

Tomek roześmiał się.

– No to choć tyle masz z głowy.

– Ta... – Łukasz zamyślił się. – Mam nadzieję, że jak będzie bliżej księży, to Jacek będzie bardziej skłonny do współpracy.

– Myślisz, że wie coś więcej niż mówi?

– Cholera go wie. – Meyer machnął ręką. – Lepiej go mieć na oku. Ty wiesz, że mój ojciec znał każdy szczegół przeszłości Justyny? Powiedziała mu o wszystkim.

– No i co z tego?

– Nie wiem... Myślałem, że to na nim zrobi większe wrażenie. A on mi jeszcze wykład zrobił w aucie. „Nie dziw się jej – mówi do mnie. – Pojechała do przyjaciół. Czuje się z nimi bezpieczna, może być sobą”. Rozumiesz to?

– Meyer, wzięłbyś się za robotę. – Kot skrzywił się zdegustowany. – Może

i lecisz niedługo, ale tu też jest praca. Pogadaj z Marcinem, on ma zeznania Kołeckiego. Chce z Tobą jechać do lekarza, który zajmował się Justyną.

– Jakiego lekarza?

– Z oddziału leczenia stresu bojowego. – W Kotowiczu narastała irytacja. – Pogadaj z nim i nie zawracaj mi już dupy.

– Oj, dobra. Przepraszam. – Łukasz zrobił minę za plecami przyjaciela i podszedł do biurka Słomkowskiego. – Co masz, kolego, dla mnie?

– Po pierwsze podziękowanie – uśmiechnął się Marcin.

– Za co?

– Za poparcie u Brennera. Dzięki Tobie chętnie mnie przyjął. A ja chętnie u Was pracuję. Taki Łysiak na pewno nie miałby chęci doszukiwać się we mnie jakiegoś potencjału.

– Łysiak? On nawet nie jest w CBS. To kryminalni z kryminalną przeszłością. Chciałbyś tam pracować?

– Nie o to chodzi. – Słomkowski pokręcił głową. – Ale nieważne... Słuchaj, chciałbym wybrać się z Tobą jutro do szpitala do doktora Madejskiego. Nie wiem, czy coś tam znajdziemy, ale lepiej nie przeoczyć niczego.

– Dobra. Pojadę. Mam się jakoś przygotować?

– Nie. Popytamy go tylko.

– OK. A jak nasi goście? Mają coś ciekawego? – Łukasz spojrzął na Kozere i Badeckiego pochylonych nad jakimiś papierami.

– Kozera znalazł tę całą koleżankę Twojej żony. Podobno wcale nie było to trudne, bo jest dość charakterystyczna. – Marcin podrapał się po głowie.

– Co to znaczy?

– No, dała się poznać tu i ówdzie jako... hm... chętna. Już myślałem, że w wojsku nie ma normalnych kobiet, ale Kozera mówi, że u nich sporo fajnych babek jest, tyle że jakoś tak zbyt szybko kariery nie robią.

– No tak – Łukasz westchnął. – Moja żona też za daleko nie zaszła. No i co z nią?

– Maciek popytał o nią. Beata Radecka, niedługo ma zmienić nazwisko. Podobno bardzo stara się ustatkować, chce mieć dziecko, takie tam... Ale jest piekielnie ambitna, przy czym „piekielnie” to dobre słowo. Usuwa ludzi, którzy stoją jej na drodze.

– Żartujesz? – Meyer odchylił się nieco. – W jaki sposób?

– Dziewczyna wygląda na kochliwą, ale tak naprawdę włązi do łóżek tylko wyższym rangą. Oni pomagają jej we wspinaniu się po drabinie kariery, a ona, jak modliszka, ukatrupia ich, donosząc na przykład, że ją krzywdzą...

– O, matko! – Łukasz złapał się za głowę. – Żaneta mówiła, że ona mieszkała z Justyną w jednym pokoju.

– No właśnie – mruknął Marcin i znowu zerknął do notatek. – Jeden z jej kolegów powiedział wprost: jeśli ktoś zagraża Beacie, ta zrobi wszystko, żeby mu zaszkodzić. Musimy mieć tylko na nią jakieś dowody.

– Rozmawiałeś z Brennerem? Przydałoby się ją poobserwować.

– Nie da się z nim dziś gadać. – Słomkowski odwrócił wzrok. Podobnie jak Kot, czuł się winny temu, jak zachowywał się szef, ale też nic nie mówił Łukaszowi. – Ale kolega Kozery obiecał się jej przyjrzeć.

– No to już coś mamy. – Meyer zatarł ręce zadowolony.

– A co z Twoim wyjazdem?

– Rozmawiałem z tym człowiekiem w Kabulu. Jeden z jego inżynierów zabiera się z wojskiem pod koniec tygodnia z Krakowa, pojedę z nim.

– A dalej?

– Mam nadzieję, że jakoś pójdzie – Łukasz uśmiechnął się blado. – Sam wyjazd wydawał mi się nierealny, a poszło szybciej niż myślałem.

– Powodzenia, stary. – Marcin pokiwał głową. – Będę trzymał kciuki.

L

W pierwszej chwili Bambi nie poznał Kotowicza. Stał skulony przy wejściu do klatki. Było trochę po czwartej, ale zrobiło się już zupełnie ciemno, a okolice jego bloku na Bródnie nie były zbyt dobrze oświetlone.

– Witaj – odezwał się pierwszy. Nie lubił wyglądać na zaskoczonego, nawet jeśli był. – Do mnie?

– Cześć – mruknął Kot i podszedł bliżej. – Do Ciebie.

Podali sobie dłonie, a Bambi wyczuł w zachowaniu Kota dużą rezerwę.

– Zapraszam na górę. Pogadamy.

– Nie. Ja tylko na chwilę. Mam sprawę.

– Słucham więc.

– Czy wiesz, gdzie jest Justyna?

Bambi roześmiał się.

– A co? Czyżby ktoś jej szukał?

– Nie wygłupiaj się. Wiesz dobrze, że ma męża, który się o nią martwi.

– Wiesz – Mrozowski pokręcił głową – ja odniosłem zupełnie odwrotne wrażenie. Ale to może przez to, że jakoś się z nią nie kontaktował ostatnio.

– Zmieniła numer.

– No, zmieniła. – Bambi spoważniał, a w jego oku pojawił się groźny błysk. – I co z tego? Mąż już ma zajęcie z kim innym, prawda?

Tomasza zatkało, ale starał się zachować powagę.

– Nie wiesz, o co chodzi, więc się nie wymądrzaj.

– To może mi powiedz.

Kot przygryzł wargę i rozejrzał się wokoło.

– Dziewczyna w ich mieszkaniu jest moja.

– Co? – Bambi parsknął śmiechem.

– Mieszka tam, bo na razie musi gdzieś być. Ale to nie jest kochanka Meyera.

Zresztą... to nie Twoja sprawa. Ty wiesz, gdzie jest jego żona, a to już jest jego sprawa.

– Zostawcie ją w spokoju. – W głosie Bambiego Kot wyczuł groźbę. – Tam, gdzie jest, jest jej lepiej.

– W Afganistanie?

Bambi odsunął się nieco od Tomka, który od razu pożałował, że nie ugryzł się w język.

– Wszędzie jest jej lepiej niż tu, z tym gamoniem – wycedził przez zęby Mrozowski. – Zobacz, co on z niej zrobił: kucharkę i sprzątaczkę.

Kot wiedział już, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Człowieku, masz nierówno pod sufitem. – Chciał odwrócić się i odejść, ale Bambi złapał go za rękaw.

– Uważaj, co mówisz, kundlu. I dobrze Wam radzę trzymać się od niej z daleka. Justyna robi to, do czego najlepiej się nadaje. Pan Meyer musi poszukać sobie nowej służącej.

Kotowicz wyrwał mu rękę z uścisku i poszedł w stronę parkingu.

Bambi wbiegł do swojego mieszkania i natychmiast włączył komputer. Krokodyla nie było na Skype'ie, więc wysłał mu wiadomość, żeby się z nim skontaktował jak najszybciej. Po kwadransie usłyszał dźwięk przychodzącego połączenia, więc rzucił ścierkę, którą wycierał naczynia, i podbiegł do ekranu.

– Czego chcesz? – powitał go Muszyński niegrzecznie.

– Oni już wiedzą.

– O czym? Jacy „oni”?

– Stary Maliny wie, że ona jest w Afganie.

– Skąd niby?

– Nie mam pojęcia. Może Gogol coś chlapnął.

– Komu? Zastanów się. – Krokodyl popukał się po czole.

– Nie wiem. Był u mnie ten cały kolega Meyera, ten pizdowaty Kotowicz. Pytał się, gdzie ona jest.

– No to wiedzą, czy nie wiedzą?

– Wiedzą, że Afgan, ale nie wiedzą, gdzie dokładnie. No i nie mają z nią kontaktu.

– Jasne – Krokodyl westchnął. – Dobra, dzięki... Raczej jej tu nie znajdą.

– A jak ona się sprawuje?

– Dobrze. To znaczy jest spokojna, nawet za bardzo, ale to może przez to, że jest chora dzisiaj. Gogol twierdzi, że skreśliła to małżeństwo na dobre... Ja tam nie wiem, co ona sobie myśli. A Ty co masz? Dowiadywałeś się czegoś odnośnie tego śledztwa?

– Nic nie mów. – Bambi pokręcił głową. – Próbowałem gadać z Brennerem, ale nie da się nic z niego wyciągnąć. Jest jakiś podenerwowany, chodzi wściekły. Jak będę coś miał, zaraz Ci powiem, nie martw się.

– Ja się nie martwię – burknął Krokodyl.

– Oczywiście. – Bambi złożył usta w ciup. – Jesteś zajebisty twardziel, którego nic nie rusza.

– Masz coś do mnie?

– Nic nie mam, tylko dobrze wiem, jak to na Ciebie działa.

– Co działa?

– Jej obecność.

– Spierdalaj! – Krokodyl wyłączył się nagle i zrzucił wściekły słuchawki. Oddychał chwilę ciężko, dopóki nie zauważył stojącego w drzwiach Gogola. – Czego chcesz?

Kostek wsunął dłonie do kieszeni i oparł się o framugę.

– Stary jej szuka – stwierdził, patrząc na niego z powagą, co zdarzało się mu niezwykle rzadko.

– Niech se szuka.

– Powinieneś jej powiedzieć.

– Po co?

– Urwie Ci jaja, jak się dowie, że coś przed nią zataiłeś. To jej mąż.

– Nic mi nie urwie... Spadaj, gnomie.

Gogol oderwał się od framugi i westchnął ciężko.

– To nie zmierza w dobrą stronę, panie Szczepanie.

LI

– Ewelina, nie myśl o niebieskich migdałach, tylko patrz w tekst! – W Tomku obudził się duch starego belfra.

Dziewczyna pochyliła się nad książką i znowu zaczęła obgryzać końcówkę długopisu.

– Mieszają mi się daty – jęknęła cicho.

– Bo się nie skupiasz. Głupoty Ci w głowie. Zaraz będziesz czytać na głos, jak w podstawówce.

Łukasz stanął w drzwiach kuchni z wielkimi ze zdziwienia oczami.

– Co tu się dzieje?

– Nic. Ewelina uczy się do kolokwium z historii Polski, tylko słabo się przykłada.

– Oj, uczę się. – Zrobiła płaczącą minę. – Nie męcz mnie.

– Dobra, nie jęcz. – Tomek podniósł się z krzesła. – Ucz się. Ja zaraz wrócę i Cię przepytam.

Podszedł do Meyera i skinął głową, żeby poszedł za nim do salonu.

– Dowiedziałeś się czegoś? – szepnął Łukasz.

– Tylko tego, że zrobiłeś ze swojej żony kurę domową, a w Afganistanie jest jej lepiej niż z Tobą.

– Co? – Łukasz roześmiał się nerwowo.

– Brenner miał rację. Rozmowa z nim to był zły pomysł. Ten cały Jacek też się nie pomylił. Łukasz, ja go zajebię.

– Kogo? – Meyer zmarszczył brwi. – Jacka?

– Mrozowskiego. Mam dość robienia za chłopca do bicia. Wystarczy, że dwaście lat moja jęzda mną pomiatała. Nie dam robić z siebie durnia przez jakiegoś cwela.

– Co zamierzasz?

– Ty się tym nie martw. Leć do Afganistanu, ja się nim zajmę.

– Kocie, co Ty planujesz?

– Na razie nic. – Tomek ruszył z powrotem do kuchni. – Muszę przypilnować tego lenia w kuchni.

– Co za dzień – mruknął Łukasz do siebie. – Wszyscy jacyś nerwowi.

Ściągnął kurtkę i wziął się za rozpakowywanie zakupów, które zrobił z myślą o wyjeździe. Wszystkie sprawy wokół niego mało go ostatnio obchodziły. Chciał jechać i działać. Chciał znowu być z nią...

LII

Kiedy Kostek zjrzał do niej, nie spała, tylko spokojnie leżała w ciemnościach na swoim łóżku.

– Jesteś głodna? – zapytał.

– Jestem – uśmiechnęła się. – Przyniósłbyś mi też coś do picia?

– Już się robi. – Puścił do niej oko. Wrócił po paru minutach z miską gulaszu i butelką wody mineralnej. Justyna usiadła, a Gogol zajął miejsce obok niej na łóżku. – Lepiej się czujesz?

– Znakomicie – mówiła całkiem szczerze, czym mocno zaskoczyła Kostka.

– Naprawdę? No to się cieszę. Komóreczka Ci miga. – Wskazał głową na aparat leżący obok poduszki.

– Niech miga – wzruszyła ramionami, mówiąc z pełnymi ustami. – To pewnie ten maruda, Brenner.

– Maruda? – Gogol parsknął.

– Tak. Smęci mi ciągle o to śledztwo.

– Chce, żebyś mu pomogła.

– Niech spada. To nie moje zadanie. On za to bierze pieniądze.

– Aha... – Kostek spowaźniał nieco. – Malinka, wszystko w porządku?

Sięgnęła po butelkę i kiwnęła głową.

– Odnoszę wrażenie, że coś... się zmieniło. – Zerknął na nią z ukosa.

– Nie, dlaczego?

– Bo rozstałaś się z ukochanym mężem? Bo rzuciłaś wszystko i wyjechałaś na wojnę? Sam nie wiem – ironizował. – W sumie racja: nic się nie zmieniło.

– Kostek, nie rób scen. Wszystko jest w porządku ze mną i u mnie – mówiła bardzo opanowanym tonem. Nawet w jej mimice nie można było doszukać się najmniejszego cienia skurczu bólu czy smutku. – Co tam się dzieje? – Wskazała widelcem w stronę schodów.

– Nic. Rozkładają sprzęt, kłócą się, oglądają filmy. Jamal pojechał coś załatwić w mieście. Mówił, że ktoś obserwował ten sklep, widzieli jakichś ludzi w samochodzie, który postał i pojechał po dwóch godzinach.

– Dobrze – powiedziała to bardziej do siebie.

– Chcesz tam wrócić? Z tym Alim?

– Tak. To trzeba dokończyć. Hm... dobry gulasz. W ogóle dobre jedzenie jest tym razem. Kto gotuje?

– Wiktor z takim nowym, chyba Brytyjczykiem. Potrafią szybko się uwinąć z obiadem dla kilkunastu osób.

Przez chwilę nic nie mówili do siebie. Kostek miał zamiar wstać i iść na dół, kiedy jakaś nagła myśl przyszła mu do głowy. Zastygł w bezruchu, patrząc przed siebie. Justyna nie zwracała na niego uwagi, zajęta kończeniem posiłku.

– Malina – szepnął przejęty – co Ty zrobiłaś?

– Słucham? – Przestała jeść i spojrzała na niego zdziwiona.

– Ty coś zrobiłaś. Coś złego.

– Nie. – Pokręciła głową. – O czym mówisz?

Gogol popatrzył na nią z lekkim przerażeniem.

– Jesteś zbyt spokojna. Znam Cię trochę. Ty nigdy się tak nie zachowujesz. Coś musiałaś zmalować i teraz czekasz na wynik, jak zamachowiec, który czeka na wybuch bomby, którą podłożył.

– Nic nie zrobiłam. – Zmarszczyła brwi. – Na pewno nie podłożyłam bomby.

– Ale... Ja wiem! Kontaktowałaś się ze starym, prawda? Coś mu powiedziałaś.

Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok i zaczęła bawić się widelcem w misce.

– Mów!

– Nie kontaktowałam się z nim... Nie osobiście.

– Tylko?

– Wysłałam do niego Jacka, żeby z nim porozmawiał.

– O czym?

– O tym, że może iść do sądu biskupiego unieważnić małżeństwo kościelne.

– Słucham?! – Kostek aż podskoczył na łóżku. – Poszedł?

– Z tego, co wiem, tak.

– Łukasz poszedł do sądu? – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Tego nie wiem – uśmiechnęła się pod nosem. – Jacek poszedł do Łukasza,

ale nie wiem, jaki był wynik. Nie dzwoniłam już więcej do niego. Zmieniłam numer...

– Po co to zrobiłaś? – W głosie Gogola słychać było rozpacz.

– A jak myślisz? Żeby dać mu wolność. Musi wiedzieć, że nie jest skrepowany do końca życia, że ma wybór...

– Takiego małżeństwa nie da się unieważnić. Tyle wiem. Ono musi być nieważne od początku.

– A uważasz, że nie było? – Spojrzała na niego z powagą.

– A nie?

– Kostek, okłamałam go w bardzo istotnej sprawie. Gdyby znał moją przeszłość, z dużym prawdopodobieństwem nie związałyby się ze mną.

– Malina... – ramiona Gogola opadły nisko z bezsilności – nawet z nim nie porozmawiałaś. Nie dałaś mu szansy.

– Kostuś – zmrużyła oczy – czy Ty chcesz mi o czymś powiedzieć? Do tej pory jakoś go nie broniłaś. To on był ten zły, a ja skrzywdzona.

– No tak, ale... ale nie można tak przekreślać kilku lat wspólnego życia.

– Przecież mieszka z inną – powiedziała cicho.

Gogol poczuł, jakby dostał w pysk.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam Twoją rozmowę z Kasią, jeszcze u Ciebie w domu. Zresztą, widzę jak Krokodyl walczy ze sobą, żeby mi o tym powiedzieć. Dla mnie to czytelny sygnał, że Łukasz zakończył ten rozdział swojej historii. W sumie... to oznacza, że skończył go wcześniej niż myślałam.

Gogol patrzył na nią ze ściśniętym sercem. Była bardzo smutna, ale dziwnie spokojna.

– I co zamierzasz? – zapytał. – Chcesz się związać z Krokodylem?

– Co? – roześmiała się nagle. – Nie! Z nikim nie będę się wiązywać.

– Malinka, dlaczego? Nie rozumiem Cię.

– Kostek! Co tu rozumieć? Siedziałam jak na szpilkach, czekając na jakikolwiek sygnał od niego. I nic. Nawet jak dowiedziałam się, że on... z kimś jest, miałam nadzieję, że to może jakaś pomyłka, że coś źle zrozumiałam. Miotalam się, a trzeba było postanowić coś, co pozwoli nam obojgu iść dalej.

– I tak tu sobie leżałaś i wymyśliłaś to, tak?

– Mniej więcej. Stało się, trudno. To był najlepszy czas w moim życiu, ale to

nie znaczy, że muszę grzebać się żywcem z rozpacz. Nie mogę dalej się oszukiwać.

– Co to znaczy? Jakie „oszukiwać się”?

Westchnęła ciężko i odstawiła miskę.

– Kostuś, nie wiem, czy zauważyłeś, ale całe moje życie oparte było na wielkim oszustwie. Poszłam do wojska, bo oszukałam siebie, że dam radę, że mogę być żołnierzem...

– Przecież możesz.

– Ale nie w tym wojsku. – Pokręciła głową. – Nie z tymi dowódcami, nie w tych warunkach. Wróciłam do Polski z założeniem, że chcę mieć dobrego męża, dom i dzieci. Nawinał się Meyer, kandydat idealny, ale musiałam znowu być kimś innym, żeby on czuł się przy mnie dobrze. Myślałam, że tak się da.

– A co się zmieniło?

– Jak to co? Porwanie mnie obudziło. Dźwięk skręcanego karku Łosia. Tego już nie dało się zatrzymać we mnie. Myśl, że będziemy łapać porywaczy, że znowu stanę na jakimś dachu z bronią przy policzku... Wy. Kiedy Cię zobaczyłam pod drzwiami naszego mieszkania, byłam prawie tak samo szczęśliwa, jak gdybym spotkała Łukasza. Taka jestem. Potrzebuję działać, a nie płodzić tabelki w Excelu.

– Chcesz być zawsze na wojnie?

– Nie, Kostuś, nie. – Pokręciła głową i wzięła go za rękę. – Ale nie mogę żyć w kłamstwie. Mówić, że nie mogę, jeśli mogę. Mówić, że chcę spędzać czas przy biurku w korporacji, jeśli rzygać mi się chce na samą myśl o tym budynku. Muszę całkowicie przewartościować swoje życie, robić to, czego naprawdę chcę...

Gogol pokiwał głową i pogładził dłoń Justyny.

– A co z Łukaszem? – Ledwo go było słychać.

– Nic. Ja go do niczego nie zmuszę. Ale on mnie też nie. Już nie.

Kostek zastanawiał się, czy mówić jej o wizycie Łukasza w jego domu. Był już niemal zdecydowany, żeby to zrobić, jednak w drzwiach pojawiła się ponura postać Krokodyla.

– Jamal dzwonił – zakomunikował im. – Jutro nie ma wyjścia do miasta, poza tymi, co obserwują sklep. Jeśli nie wydarzy się nic niepokojącego, pójdziesz w czwartek.

– Dobrze. – Justyna kiwnęła głową i wzięła miskę z podłogi.

– Daj, Malinka. – Gogol wziął naczynie z jej rąk. – Ja zaniosę. Odpocznij sobie jeszcze.

– Nie. Chciałam rozejrzeć się po tym budynku. – Spojrzała na Krokodyla. – Oprowadzisz mnie?

– Tak. Chodźmy.

LIII

Grażyna była pewna, że w mieszkaniu nie ma nikogo. Kiedy otworzyła drzwi, w środku było całkiem ciemno i zupełnie cicho. Wniosła zakupy do kuchni i o mało nie umarła na zawał, gdy dostrzegła łysą postać siedzącą przy stole.

– Matko, Brenner, aleś mnie wystraszył! – Złapała się za serce. Włączyła światło i stwierdziła, że jej mąż siedzi ciągle w płaszczu, a przed nim na blacie leżą klucze i komórka. – Co z Tobą? – zaniepokoiła się nie na żarty. Odłożyła siatki i ściągnęła okrycie, które powiesiła na jednym z krzeseł.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Nic mi się nie chce.

Grażyna usiadła naprzeciwko niego i uważnie mu się przyjrzała. Wyglądał na zmęczonego, ale przede wszystkim był wyraźnie zły. Bawił się łyżeczką i patrzył bezmyślnie na telefon.

– Rafał, co się dzieje?

– Miałem ciężki dzień. – Potarł dłońmi twarz i oparł się na łokciach. – Łysiak znowu coś knuje...

– Nie napisała? – przerwała mu długi wywód o nieprawdziwych powodach jego stanu.

Popatrzył w końcu na nią, jakby chciał powiedzieć coś niemiłego, ale na widok jej kpiącej miny odwrócił wzrok i pokręcił głową.

– Nie napisała – powiedział po chwili. – Nienawidzę jej.

Grażynie chciało się śmiać, mimo że nie była to dla niej łatwa sytuacja.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. – W jego oczach widać było zażenowanie. – Co ona mi zrobiła? Cały dzień gapię się w ten telefon, jakby od tego zależało całe moje życie. Im dłużej ona milczy, tym gorzej o niej myślę. Mam ochotę zrobić jej coś złego.

– Co sobie o niej myślisz?

– Że manipuluje ludźmi... mną manipuluje. Że chce osiągnąć jakieś swoje cele,

wykorzystać mnie i wszystkich wokół. Zaczynam wierzyć, że te rzeczy, które opowiadali o niej w wojsku, są prawdą, że ona naprawdę jest zła...

Grażyna uśmiechnęła się.

– Nie śmieję się. Ja naprawdę tak zacząłem myśleć.

– A nie pomyślałeś, że ona nikim nie manipuluje i w ogóle o Tobie nie myśli?

Odchylił się i lekko skrzywił usta. W końcu nie wytrzymał i też się uśmiechnął.

– Ma mnie w dupie, tak?

– Na przykład.

– Pomyślałem o tym.

– No i?

– Nie spodobało mi się to.

Parsknęła śmiechem.

– Nie wytrzymam – rechotała głośno. – Brenner się zakochał jak nastolatek.

– Jesteś okropna. Czuję się upokorzony.

– Dlaczego?

– Bo okazuje się, że jestem taki sam, jak reszta tych baranów z armii, którym odbijało przy niej. Miałem się za kogoś innego.

Grażyna oparła głowę na dłoniach i spojrzała wymownie na komórkę męża.

– Może nie ma zasięgu?

– Przestań. – Rzucił w nią łyżeczką. – Nie pomagasz mi.

– A co mam zrobić? – Wzruszyła ramionami.

– Wytłumacz mi, dlaczego tak się dzieje.

– Nie wiem. Może ona naprawdę manipuluje, tylko robi to nieświadomie.

Wysłała jakieś sygnały, które Wy, faceci, niewłaściwie interpretujecie. Wydawało Ci się z jakiegoś powodu, że jesteś dla niej ważny. Poczujesz się przy niej jak prawdziwy macho, a jednocześnie zaimponowała Ci jako twarda, walcząca kobieta.

Brenner pogładził głacę i roześmiał się cicho.

– Jak zjawiała się u mnie wtedy wieczorem... łysa i w przebraniu... powiedziała coś takiego...

– No? – Grażyna uniosła brwi wysoko.

– „Te rzeczy są tylko dla ciebie”. Byłem ważniejszy niż mąż, bo jemu tego nie przekazała.

– No tak – mruknęła pod nosem. – Sprytne.

– Potem jadłem jej z ręki. Zrobiłem wszystko, czego chciała, zaryzykowałem swój stołek, żeby przeprowadziła tę swoją akcję.

– A ona pewnie nawet tego już nie pamięta, co?

– Pewnie nie...

Rafał wstał i ściągnął płaszcz. Wziął też kurtkę żony i zaniósł okrycia do przedpokoju. Wtedy na jego komórkę przyszła wiadomość.

– Odebrać? – Grażyna przygryzła wargę, walcząc ze śmiechem.

– Nie! – Znalazł się z powrotem w kuchni szybciej, niż by sobie tego sam życzył. – To nie jest zabawne.

Sięgnął po telefon i usiadł znowu na krześle.

– Sądząc po Twojej minie, to nie Twoja ukochana.

– Grabisz sobie – powiedział ponuro. – Premier.

Grażyna znowu się roześmiała.

– To fatalnie. Jakiś głupi premier do Ciebie pisze? Kto by się przejmował premierem naszego kraju? To TYLKO premier! – Uniosła dłonie w górę. – Czego chce premier?

– Spotkać się rano. Mam jechać na Aleje o szóstej.

– No to się nie wyśpisz. Ale i tak pewnie nie zmrużysz oka, prawda?

– Grażyna, proszę cię...

– Dobra, dobra... nic nie mówię. Mam tylko jedno pytanie do Ciebie i już się zamykam.

– No? – Zmarszczył czoło. Coraz mniej mu się podobała ta rozmowa.

– Dlaczego Justyna nie zadzwoniła do męża, kiedy uciekła porywaczom? Nie mogę tego pojąć, od kiedy opowiedziałeś mi całą tę historię.

Brenner westchnął ciężko i chwilę się zastanawiał.

– Znam Meyera od bardzo dawna. To był od początku dobry policjant, świetny w zasadzie. Widywałem go w różnych sytuacjach, w których dużo ryzykował. Nie bał się niczego ani nikogo, dobrze oceniał sytuację i ludzi... Dopiero gdy poznał Justynę, zobaczyłem go w nieco innej odsłonie. Ona jest jego piętą achillesową.

– Brzmi niedobrze.

– I tak, i nie. Widzisz, kiedy zadzwoniono do mnie z wiadomością, że ktoś ją porwał, od razu byłem pewien, że to ze względu na niego, że ktoś jemu chce

dopiec. Rozwazałem ewentualność porachunków, ale jakichś prywatnych, a nie zawodowych... To porwanie tak naprawdę uderzyło w niego, ją zaś zmieniło w drugą stronę. Bałem się, że Meyer całkiem się posypie i uważam, że to cud, że zniósł to w miarę dobrze. Dlatego nie dziwiłem się, że był taki zazdrosny o nią.

– Ale ja dalej nie rozumiem, czemu go nie powiadomiła. Z tego, co mówisz, wynika, że właśnie powinna była mu oszczędzić tego cierpienia.

– Tak, ale powiedziałem też, że porwanie ją zmieniło. Już w chwili, gdy uciekła porywaczom, była kimś innym. Myślała jak najemnik, jak człowiek, który ma do wykonania zadanie, a nie ofiara przestępstwa. Skalkulowała na zimno, że włączenie Łukasza do śledztwa... do jej śledztwa, zaszkodzi mu... to znaczy i śledztwu, i Łukaszowi.

– Aha... – Grażyna nie wyglądała na przekonaną.

– Ja wiem, że to się wydaje mało prawdopodobne... Nawet mnie to trudno jest sobie wyobrazić, ale ona jest kimś innym, niż nam się wydawało cały czas. Sam Brzeziński mówił, że przeszła odpowiednią „szkołę”, on docenił ją najbarziej. I chyba miał rację... – Brenner pokręcił głową, jakby czemuś nie dowierzał.

– Co się stało?

– Nic. – Machnął ręką. – Właśnie to sobie uświadomiłem. To, co powiedziałem... Myślałem, że chodzi tylko o Meyera, ale wcale nie. Wyjechała, bo się zmieniła. A Ty masz rację, bo ma nas wszystkich w dupie.

– Nie przesadzasz trochę?

– Ale tylko trochę – uśmiechnął się kątem ust.

– Myślisz, że już nie kocha męża?

– Kocha. Łukasz jest tak samo jej piętą achillesową, jak ona jego. Mówiła mi kiedyś, że kiedy uciekała przez las, walczyła ze sobą, żeby o nim nie myśleć, bo to odbierało jej siły.

– Ale wybrała dobrze.

– Co wybrała?

– Męża. Mało który zdecydowałby się na taki krok jak on. Przecież ten wyjazd może mu się nie udać.

– Leci w piątek.

– Naprawdę? – Oczy Grażyny zaświeciły się mocno z wrażenia.

– Tak. Zaczął się już pakować. Wszystko załatwione. Nie znam szczegółów,

bo go dziś nie słuchałem za bardzo, ale kumple już organizują mu jakieś kontakty w Afganistanie, żeby znaleźć Justynę.

– Boże! On naprawdę to robi.

Brenner pokiwał głową i znowu spojrzął na komórkę.

Przyszła wiadomość.

Mażonkowie zamilkli, a nawet wstrzymali oddechy. Grażyna powoli sięgnęła po aparat, ale Rafał nie zatrzymywał jej.

– Przeczytam – powiedziała cicho i włączyła ekran.

Po upływie dwóch minut Brenner zirytował się.

– Powiesz mi nareszcie?

Zerknęła na niego, ale jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– No! – Nachylił się nad stołem.

– Nienawidzę jej – powiedziała w końcu.

– Dlaczego? – Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

– Pisze, że nie chce Cię znać.

– Co!?

– No, nie dosłownie. – Puściła do niego oko. – Ale to, co napisała, jest zbliżone. W zawołany sposób każe Ci spadać na drzewo.

– Przeczytaj.

– „Nie mogę zajmować się tą sprawą, nie mam na to czasu. Nie pisz do mnie więcej. Zmieniam numer telefonu. Tu jest bardzo niebezpiecznie. J. ”.

– Nie ma nic o tym, że mnie nie chce znać – obruszył się.

– Świnia z niej jest. – Grażyna zdawała się nie słyszeć uwagi męża. – Odrzucać taki towar, tak bezczelnie ranić uczucia zakochanego w niej bez pamięci męczyzny. No, świnia!

– Grażyna! – Rafał przewrócił oczami.

– No, co? – Spojrzała na niego znad telefonu. – Nie mam racji? Myślisz, że naprawdę zmieni numer? Bo ja uważam, że kłamie. Spławiła Cię, kochanie. Dlatego poczułam się urażona.

Wstała od stołu i zaczęła wypakowywać zakupy. Rafał milczał, patrząc to na żonę, to na telefon. Miał ochotę zapaść się pod ziemię w tym momencie.

– Aha! – Grażyna odwróciła się nagle w jego stronę. – Jak już się to wszystko skończy i Meyerowie wrócą z Afganistanu, musimy koniecznie zaprosić ich do nas na kawę.

LIV

– Generał Rasiak mówił mi, że czuje się pan zaniepokojony, jeśli chodzi o pana dalszą karierę. – Brzeziński zawsze lubił przechodzić do sedna sprawy bez niepotrzebnych uprzejmości. – Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

– Wezwał mnie pan, żeby rozwiązywać problemy między mną a moim przełożonym? – Brenner zmarszczył brwi. – Nie sądziłem, że do tego potrzebny jest sam szef rządu.

– Z całym szacunkiem, jaki do pana mam... niech pan nie pierdoli. Zachowuje się pan, jakby pan nie wiedział, o co chodzi. Muszę znać każdy problem, jaki pojawi się na drodze do rozwiązania moich problemów. Pan jest tą drogą i najwyraźniej coś panu przeszkadza. Co to jest?

– Mój kolega, inspektor Łysiak – Rafał westchnął. Dałby wiele, żeby nie siedzieć w tym gabinecie i opowiadać o tych sprawach.

– Poproszę o jakieś szczegóły.

– Chce mnie usunąć ze służby.

– Ma jakieś powody? Albo inaczej... bo powody zawsze się znajdują... czy ma coś na pana?

– Tak.

– No to słucham.

– Mój szef o tym nie wie. Zrobiłem coś za jego plecami, a Łysiak prawdopodobnie się tego domyśla.

– Ja muszę o tym wiedzieć. Muszę być zabezpieczony, kiedy ktoś przyjdzie zakuwać pana w kajdanki, żeby nie odwinął mi pan jakiegoś numeru. Więc?

– Chodzi o akcję łapania porywaczy pani Dąbek. Tej nocy, na Pradze, kiedy ich aresztowaliśmy, była druga akcja, na którą pozwoliłem.

– Poza policją?

– Tak. Tą akcją kierowała Justyna... Ja wiem, czym się zajmowała wcześniej,

żeby była między nami jasność.

Twarz premiera nawet nie drgnęła. Słuchał dalej uważnie.

– Było dwóch snajperów... jednym z nich była ona.

– A ten drugi?

– Płatny zabójca... pozornie zwyczajny koleś, który co jakiś czas jedzie gdzieś i kogoś zabija.

– Jasne. Jak rozumiem, to kolega pani Dąbek.

– Tak. Ten kolega zdjął jednego z porywaczy. Justyna... postrzeliła kapusia.

– Pan to zatuszował?

– To mało powiedziane. – Brenner odwrócił wzrok. – Rasiak jest przekonany, że snajper był ode mnie, a ten drugi... a że kapusia postrzelił porywacz.

Brzeziński oparł się i zamyślił.

– Dużo ludzi o tym wie? – zapytał w końcu.

– Ci, którzy brali udział... Większość z nich jest już w Afganistanie.

– A reszta?

– No... ten snajper i trzech ludzi.

– Potrzebuję ich nazwisk. Zabójcy niekoniecznie – uśmiechnął się. – Mam swoich ludzi do takiej roboty. No dobrze... – premier nabrał powietrza w płuca. Wyglądał na całkiem wyluzowanego. – Nie wygląda to źle. Bałem się, że powie mi pan o jakiejś większej aferze, ale nie ma się czym przejmować... Rasiak obiecał zamknąć pysk temu całemu...

– Łysiakowi.

– Właśnie. Panie inspektorze, niech się pan nie denerwuje i nie wszczyna zaraz trzeciej wojny światowej, jeśli nie ma ku temu powodów. Jak idą nasze sprawy?

– Opornie. Moi ludzie trafili na pewien trop... Chcą dotrzeć do tego, kto groził Meyerom i Kołeckiemu, a następnie oficjalnie go skazać.

– Dobry pomysł. Dacie radę to zrobić?

– Potrzebujemy na to czasu, a z tego, co wiem, pan ma pewne kłopoty...

Premier podniósł dłoń.

– Pan się tym nie martwi. Załatwię to. To, o czym mi pan dziś powiedział, też mi jest potrzebne, żeby mnie nikt nie zaskoczył.

– Panie premierze... – Brenner pogładził się po policzku. – Skoro już u pana jestem...

– Pan mówi.

– Dowiedzieliśmy się, że za porwaniem Justyny Dąbek nie stoi osoba, którą posadziliśmy. Mamy niemal pewność, że zlecił je ten cały Rosjanin, Kowaliow. I wszystko może byłoby dobrze, gdyby nie to, że ten człowiek kontaktował się przed porwaniem z szefem Justyny, Wojciechem Słotwińskim.

Brzeziński zmarszczył czoło i nachylił się nad stołem.

– A mówi mi to pan, bo...?

– Bo mamy podejrzenia, że on wie o jej przeszłości.

To się premierowi nie spodobało. Zacisnął szczęki, a w jego wzroku pojawiły się groźne błyski.

– Da się to jakoś sprawdzić? – wycedził.

– Pracujemy nad tym. Uważamy, że Słotwiński dowiedział się jakoś o umiejętnościach Justyny, o tym, kim tak naprawdę jest... i chciał to wykorzystać dla siebie. Panie premierze... ja to sobie dobrze przemyślałem, zanim tu przyjechałem – zawiesił głos, ściągając na siebie przenikliwy wzrok Brzezińskiego, który jednak nie powiedział ani słowa. – Justyna była w Afganistanie w czasie, gdy pan rządził wywiadem. Sam pan mówił, że ona zna pewne tajemnice z tego okresu... To musi być powiązane ze sobą: ten cały Słotwiński nie wiedział różnych rzeczy przypadkiem. Znał albo zna kogoś, kto mu powiedział. I być może ten ktoś jest w pana kręgu.

– Nic mi jego nazwisko nie mówi. – Brzeziński wyglądał, jakby szukał czegoś w pamięci.

– A może Konrad Jakubowski?

Twarz premiera stężała.

– Niech pan wraca do pracy – powiedział cicho, ale w sposób, który kazał Brennerowi natychmiast wstać. – Jak będę wiedział coś konkretnego, dam panu znać. Proszę nikomu nie mówić o naszej rozmowie. Rasiakowi również.

– Oczywiście. – Inspektor z wrażenia zapomniał podać premierowi dłoń na pożegnanie i wyszedł z pokoju na ciemny korytarz.

LV

W biurze świeciło się światło. Brenner zerknął na zegarek – było przed siódmą. Jego ludziom rzadko kiedy zdarzały się tak wczesne przyjazdy do pracy, chyba że działo się coś wyjątkowego. Spojrzał na parking, na którym stały auta niemal wszystkich, poza fordem Meyera. Nawet Kowalski był na miejscu. Rafał wszedł do środka z lekkim niepokojem.

– Dzień dobry – przywitał się. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Coś się stało?

– Nie. – Kot pokręcił głową i uśmiechnął się. – Chcemy zacząć wcześniej, bo Kozera wpadł na pomysł, jak podejść tę koleżankę z Żandarmerii.

– Aha... – Brenner zmarszczył brwi i zaczął zdejmować płaszcz. – Zaraz przyjdę, to mi powiecie wszystko. Albo nie... – Odwrócił się w ich stronę z jakąś nieobecną miną. – Jeśli nie jestem Wam potrzebny, to działajcie sobie dalej. Mam robotę.

Kiedy wszedł do swojego gabinetu, nikt nie odezwał się słowem przez dobrych kilka minut. Wszyscy patrzyli po sobie zdziwieni.

– Czy ktoś coś z tego rozumie? – Lenart zamrugał powiekami.

– Nasz stary się starzeje – Kowalski parsknął. – Jaja, co? Przyszliśmy wcześniej, żeby odprawę zrobić bez niego, a on wpada tu przed świtem i niczemu się nie dziwi.

– Dobra. – Kot machnął ręką. – Wracajmy do pracy. Maciek, mów dalej.

– Rozmawiałem z ludźmi, którzy pracują z Radecką, to znaczy z dwiema osobami. Pomogą nam załatwić spotkanie Beaty z jej nowym amantem i postarają się o zebranie odpowiednich dowodów.

– A kto nim będzie? – zapytał Kot.

Artur Badecki uśmiechnął się przebiegle.

– Dzwoniłem wieczorem do Żanety. Zapytałem wprost, kto z jej minionych

kochanków najbardziej by się nadawał... no, którego nasza pani żandarm najszybciej będzie chciała uwieść.

– Ale masz pomysły. – Piotrek Mzygłód kręcił głową. – Nie mów, że Ci powiedziała?

– Oczywiście! Zgadnijcie, kto wygrał w tym plebiscycie? – Badecki rozejrzał się po zebranych.

– Chyba nie Meyer? – Marcin zmarszczył brwi z zaniepokojoną miną.

– Nie! Wiśniewski.

– O, matko! – Kot złapał się za głowę.

– No, co? – chichotał Artur. – Już z nim rozmawialiśmy. Zgodził się na tę prowokację. Zresztą sam Malicki potwierdził, że nikt inny nie będzie się do tego lepiej nadawał.

– A jego żona?

– Przecież jej nie będzie zdradzał. – Kozera wzruszył ramionami.

– Nie widzę tego. – Kotowicz kręcił głową. – Ale niech Wam będzie. Kiedy zaczynacie?

– Dziś. – Badeckiemu uśmiech nie schodził z ust. – Po co zwlekać?

– To jedna sprawa za nami. – Tomasz zerknął do notatek. – Co dalej? Aha! Mamy coś odnośnie listów? Wiemy, kto zatrudnił tego chłopaczka?

– Jesteśmy blisko. – Piotrek kiwnął głową. – Ten ktoś był mało rozgarnięty i wysyłał maile z komputera w Sztapie Generalnym. Tak nas poprowadziło IP.

– Czyj jest ten komputer?

– To jakiś ogólnodostępny adres. W zasadzie każdy mógł z niego korzystać. – Maciek podrapał się po uchu. – No i tu przydałaby nam się pomoc... Jakiś nakaz sprawdzenia monitoringu albo rejestru wejść do komputera, bo każdy ma swój login i hasło. Chciałem pogadać z Waszym szefem, ale widzę, że z nim ostatnio różnie bywa.

– Ja to załatwię. – Kot zapisał sobie na kartce. – A jak ten chłopak dostał pieniądze za wykonanie zlecenia?

– Przekazem pocztowym. Fałszywe nazwisko nadawcy, adres... Już to sprawdziliśmy.

– Jasne... No to pozostaje kwestia napaści na Meyerów i samochód Kołeckiego. Kowalski, masz coś?

– W mieszkaniu Łukasza nie było odcisków innych niż nasze. – Mariusz

wykrzywił usta. – Wiadomo, że drzwi nie zostały otworzone kluczem, tylko jakimś narzędziem. Ktoś znał się na włamaniach. Nic nie zginęło, ale od początku jesteśmy przekonani, że chodziło o pamiętniki.

– Czyli nic nie mamy? – Kot upewnił się.

– Niezupełnie...

– To znaczy? – Wszyscy poruszyli się nerwowo.

– Lubicki kontaktował się z Lenartem, a potem trafił do mnie. Biurko, przy którym pracowała Justyna, zostało gruntownie przeszukane...Jego też.

– Żartujesz?! I nic nie mówiłeś?

– Spokojnie. Nie chciałem robić niepotrzebnie zamieszania. Zdjęto już odciski z tych miejsc, wszystko bardzo po cichu, żeby nie wystraszyć Słotwińskiego, i już wiemy, że tego kogoś nie ma w bazie.

– Zostawił odciski? – zdziwił się Słomkowski.

– Tak – odezwał się spokojnym tonem Mzygłód. – Najwyraźniej czuł się tam na tyle pewnie, że nie założył rękawiczek.

– Ale jak ten ktoś wszedł do biura? To nie jest takie proste.

– Udało się nam uzyskać nagranie z monitoringu. Widać wyraźnie mężczyznę, który udaje, że sprząta, a tak naprawdę przeszukuje biurko i szafki.

– Czyli że... – Kot zagotował się.

– Tak, tak, wiem, co powiesz. – Kowalski przewrócił oczami. – Jakaś osoba z firmy sprzątajacej dała się przekupić. Sprawdzamy to. Dziś jedziemy z Piotrikiem rozmawiać z ludźmi, którzy tam pracują.

– Dobrze. – Kot pokiwał głową z uznaniem. – Z bólami, ale idziemy do przodu.

– Aha, jeszcze jedno – przypomniało się Piotrowi. – Lubicki mówił też, że armia ostro szuka Justyny. Byli w ich biurze już dwa razy.

– Nikogo to chyba nie dziwi. – Kozera rozłożył ręce. – Łukasz też wspominał, że żandarmi zaczepiali go pod blokiem. Dostali wytyczne do działania, więc szukają. Sam nieraz jeździłem za różnymi żołnierzami po Polsce.

– Ale Justyna nie jest żołnierzem. – Marcin skrzywił się. – Zachowują się, jakby była dezenterem.

– Hm... – Maciek potarł dłonią policzek. – Niestety, mogą jej to zarzucić. Jest w rezerwie, obowiązuje ją ustawa... A jej „ulubieńcy” wykorzystają każdy możliwy środek prawny, żeby ją uciszyć albo tylko dopiec.

– Czego się Ci ludzie boją? Nie rozumiem tego. – Lenart pokręcił głową. Na chwilę zapadła cisza. Słomkowski wzruszył ramionami.

– Z tego, co pamiętam, mieliśmy się dowiedzieć tylko, kto się boi, a nie dlaczego.

– Ale jak będziemy znać również powód, może nam być łatwiej – zasugerował Kowalski.

Kozera roześmiał się.

– O czym Wy w ogóle mówicie? Jakie powody? Nie ma powodu. Żadnego! Chodzi o to, że Ci ludzie się boją, bo się boją. Siedzę w tym gównie trochę, wiem, co mówię. Popatrzcie chociażby na Jaskółę. Zadzwoił do Garlickiego, powiedział mu jakieś niesprawdzone historie, a ten wpadł w panikę. Od razu, bez większych powodów. Zadzwoił do kumpla z DWŁądu, a on dalej przekazał wiadomość do sztabu... I co mamy? Spalone auto, napaść, włamanie, listy z pogrózkami. Oni nie myślą logicznie, każdy boi się, że może coś komuś powiedział, może nawet przez sen na jakimś poligonie... Teraz jest to wykorzystane albo będzie, więc straci swój stołek i wyleci z zajebistego stanowiska, na którym jest dowódcą plutonu czajników bezprzewodowych.

Prawie wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– To nie jest jak u Was – ciągnął Maciek. – Macie pracę do wykonania, przestępców do złapania, utrzymanie porządku... Wojsko to jest taki twór, który musi być, choć do końca nie wiadomo, po co. Łatwo jest wprowadzić atmosferę strachu, bo łatwo jest udowodnić komuś niekompetencje. Wy, jak nie złapiecie przemytnika, to wiadomo, że zawaliliście. A tam co? Strzelanie do fikcyjnego wroga, bieganie po polu ze ślepakami, czasem tylko jakaś misja się trafi, ale też trudno powiedzieć, co na niej robić. A przy okazji każdy uważa, że złapał Pana Boga za nogi, bo robi wielką karierę. Nie traćmy czasu na doszukiwanie się logiki w działaniu tych ludzi, szkoda naszych nerwów. Znajdźmy skurwieli, udowodnijmy im, co zrobili, i jedźmy do domów.

– Dobrze chłopak gada. – Brenner stał z założonymi rękami przy swoich drzwiach. Nikt nie zauważył, kiedy się pojawił. – Rozmawiałem z Brzezińskim. Podoba mu się pomysł skazania tych ludzi za coś konkretnego, więc tego się trzymajmy.

– Coś jeszcze mówił? – zapytał Kot.

– Tak – inspektor westchnął. – Ta sprawa ze Słotwińskim... Musimy się

dowiedzieć, skąd znał przeszłość Justyny.

– Mówił mu pan o tym? – Lenart skrzywił się.

– Mówiłem. Myślę, że to dobry kierunek. Ale nie dyrektor, tylko prezes.

– Dlaczego?

– Wygląda na to, że premierowi nie jest obce jego nazwisko. – Brenner zbliżył się do nich. – Trzeba sięgnąć do czasów, kiedy Justyna była w Afganistanie. Wtedy Brzeziński rządził wywiadem. Sprawdźcie, co robił wówczas Jakubowski, zajmijcie się jego rodziną i znajomymi. Lenart, jakieś wieści z aresztu?

– Jestem umówiony na dzisiejszy wieczór z tą dziewczyną. Sama prosiła o spotkanie, więc jest nadzieja, że coś ma.

– Bardzo dobrze. – Brenner kiwnął głową. – A gdzie Meyer?

– Pojechał spotkać się z tym inżynierem, z którym leci w piątek do Kabulu. – Tomek sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej jakiś dokument. – To jego podanie o urlop bezpłatny. Prosił, żeby pan podpisał.

– W porządku. Macie do mnie jakieś sprawy?

– Ja mam kilka. – Kot poderwał się z miejsca.

– To chodź. Reszcie życzę udanej pracy – inspektor uśmiechnął się blado i wrócił do swojego gabinetu.

LVI

Jamal przez chwilę nic nie mówił. Zdawało się, że musi przetrwać to, co usłyszał od Gogola.

– Hm... – Postukał metalowym palcem o brodę. – Z tego, co mówisz, coś się w DeeDee zmieniło, ale jeszcze nie wiemy, czy to źle, czy dobrze dla nas.

– Uważam, że dla nas to bardzo dobrze. Gorzej z Krokodylem.

– Dlaczego? – Jamal spojrział na Kostka zaniepokojony.

– Bo Maliny szuka mąż. Krokodyl o tym wie, ale zrobi wszystko, żeby przed nią zataić. Zaczyna się coraz bardziej miotać...

– No, ale skoro ona postanowiła zerwać z przeszłością, to też dobrze dla niego.

– Nie. – Gogol pokręcił energicznie głową. – Ona naprawdę się zmieniła i jeszcze bardziej nie chce Krokodyla. Przez cztery lata była w związku z normalnym facetem. Są małe szanse, że pójdzie na coś o niższym standardzie.

– To czego ona chce?

Kostek roześmiał się.

– Jamal, chcesz zrozumieć kobietę?

– Fakt. – Jamal pokiwał głową i też się uśmiechnął.

– Myślę, że Malina chce być Maliną i jednocześnie mieć swojego męża, a że nie można mieć jednego i drugiego naraz, to jemu dała wolną rękę.

– To by tłumaczyło, dlaczego Krokodyl tak naciska na ten wyjazd do Ghazni.

– Jaki wyjazd?

– Wasz premier ma tam jakąś robotę do wykonania w górach. Nie znam szczegółów, ale to podobno coś pilnego. Krokodyl chce tam jechać i zabrać DeeDee ze sobą.

– Chce ją ukryć.

– Najwyraźniej.

– Ale ona... – Gogol ciężko westchnął. – Ona nienawidzi gór, zwłaszcza tych gór.

– Wiem. Dlatego kazałem mu to jeszcze sobie przemyśleć. Argumentował mi, że to proste zadanie i szybko wróca.

– Jamal, dobrze wiesz, że jak ją tam wywiezie, to nie zjedzie przed Bożym Narodzeniem... w przyszłym roku.

Jamal roześmiał się cicho.

– Domyślam się. Ale mam sposób, żeby mu to wybić z głowy.

– Jaki?

– Zobaczysz, jak pojedziesz z nimi. Jeśli chcesz... Nie było Cię na „krótkiej liście” Krokodyla.

– Pojadę. Jasne, że pojadę. Nie zostawię jej samej z tym idiotą.

– To dobrze. Wejdźmy do środka, bo zimno.

W budynku było tylko kilka osób, które tego dnia nie miały żadnych zadań. Justyna dalej uczyła się obsługi sprzętu od Charliego, pomagała mu rozstawiać ekrany komputerów, sprawdzała łączność, a jednocześnie słuchała tego, co Wiktor mówi do niej o przygotowaniu posiłków, bo tego dnia to było jej zadanie. Jednak kiedy zobaczyła Jamala, rzuciła wszystko i ruszyła w jego stronę z gniewem w oczach.

– Oho, zaczyna się – mruknął do Gogola.

– Nigdzie nie jadę! – wycodziła przez zęby. – Rozumiesz to? Nie pojadę w żadne góry, nienawidzę gór. Dobrze wiesz, że się do tego nie nadaję, nie mam siły...

– DeeDee... – Jamal próbował ją uspokoić.

– On to robi specjalnie. Chce się zemścić za to, że przyjechałam tu bez jego wiedzy.

– DeeDee! – Jamalowi udało się wreszcie złapać ją za ramiona i mocno przytrzymać. – Posłuchaj mnie. Pojedziesz i szybko wrócisz.

– Ale...

– Uspokój się. Nic Ci nie będzie. Zaufaj mi, mam wszystko pod kontrolą. – Spojrzał jej głęboko w oczy i kiwnął lekko głową. – Ufasz mi?

– Tak. – Przyszło jej to z wielkim trudem.

– Dobrze. Pojedzie z Wami Gogol i tych dwóch Twoich kolegów z wojska. Są głupi, ale silni. Będą nieść Twój plecak, a Ty zajmiesz się resztą, OK?

– OK. – Wyswobodziła się z jego uścisku i odgarnęła włosy z czoła. – A co ze sklepem?

– Nie musisz tam wracać...

– Ale chcę!

Jamal odchylił głowę, nieco zaskoczony.

– W porządku. Jutro możecie go otworzyć z Alim. Tylko nie rozumiem, czemu tak Ci na tym zależy.

Justyna odwróciła na chwilę wzrok.

– Skoro mówisz, że pójdzie nam szybko, to pewnie wrócimy przed wyborami... Chcę mieć rozpoznany teren.

Jamal wydał usta i zmrużył oczy.

– Powiedzmy, że to kupuję. Jutro sklep, a w piątek zajmiecie się przygotowaniem do wyjazdu.

– Znasz jakieś szczegóły? – zapytała cicho.

– Niewiele. Krokodyl musi Ci to wyjaśnić... w zasadzie już powinien to zrobić, powinnaś wiedzieć jak najwięcej.

– Nie ma go. Jest w mieście.

– Wieczorem pogadamy – Jamal westchnął. – Wracaj do swoich zajęć, będziesz tu tylko z Charliem.

Kiwnęła głową i odwróciła się w stronę Brytyjczyka. Dopiero wówczas zorientowała się, że wszyscy w napięciu przysłuchiwali się ich rozmowie.

Dzień minął im bardzo pracowicie. Ponieważ budynek, w którym się znajdowali, był wolnostojącą willą, musieli mieć dobry system monitoringu. Charlie umieścił w kilku miejscach kamery i czujniki ruchu. Do środka wchodzili ukrytym wejściem z tyłu, na kogoś, kto próbowałby wejść z przodu, czekała niemiła niespodzianka...

– To zupełnie inna część miasta, prawda? – zapytała Justyna.

– Tak, ale nie znaczy, że mniej niebezpieczna.

– A dwie pozostałe grupy... daleko są od nas?

– Nawet nie wiem – roześmiał się. – Od kiedy jesteśmy w Kabulu, mało się kontaktujemy. Jest naprawdę niebezpiecznie, więc nie chcemy ryzykować.

– Rozumiem – westchnęła ciężko.

– Coś się stało? – Zerknął na nią zaniepokojony.

– Nie... – uśmiechnęła się niewyraźnie. – Martwią mnie te góry. Nie nadaję

się do tego.

– Jamal chyba nie wysyłałby Cię, gdyby Ci nie ufał.

– Chyba nie... – Przygryzła wargę. – Powiedz mi, Charlie, mieliście jakieś kobiety oprócz mnie?

– Kilka. – Zrobił dziwną minę.

– Czemu się krzywisz? Coś było z nimi nie tak?

– Powiedzmy, że podniosłaś poprzeczkę.

– Jak to? – roześmiała się i usiadła na kanapie.

– Krążyły tu o Tobie różne legendy, ale głównie mówiono, że nie... nie romansujesz z tymi, z którymi pracujesz.

– Mam złe doświadczenia w tej kwestii.

– No właśnie. – Podrapał się po czuprynie. – A mieliśmy tu taką dziewczynę kiedyś, która sypiała z paroma... no i były problemy. Wiesz, jak dla mnie, to nigdy nie był problem. Ludzka rzecz... Ale bywało nieprzyjemnie, no i Jamal się denerwował. Zresztą nie tylko on. Dziewczyna była fajna i bardzo dobrze pracowała... ale po jakimś czasie nie dało się już wytrzymać. Potem mieliśmy też i takie, które nie sypiały, ale nie nadawały się do tego, co Ty robisz. Nie dało się ich przebrać i wypuścić w miasto, bo to byli żołnierze, którzy chcieli zabijać i skakać po dachach, a nie chodzić na targ z dzieckiem przy piersi.

Justyna roześmiała się.

– No tak. Jedna zgubiła kiedyś dzieciaka na ulicy i zamiast łapać terrorystów, szukaliśmy dziecka. Były też dwie całkiem fajne, ale z jakiegoś powodu odeszły... Sam nie wiem.

– Może nie chciały obiadów gotować? – Justyna puściła do niego oko i podniosła się. – Idę robić jedzenie. Mam nadzieję, że będzie choć w połowie tak dobre, jak to Wiktora.

– Najważniejsze, żebyśmy się nie otruli. Zjemy wszystko – zawołał za nią Charlie.

LVII

Kiedy Malicki z Wiśniewskim przyjechali pod cmentarz na ulicy Tatarskiej, auto Maćka Kozery było już na miejscu. Komisarze przesiedli się do niego.

– No i jak się sprawy mają? – zapytał Malicki.

– Anka zaraz tu będzie. – Kozera wskazał głową na zakręt, zza którego miał wyjechać samochód Żandarmerii. – Radecka przyjechała godzinę temu, mamy dostać sygnał, jak wyjdzie od dowódcy. Ale najpierw Robert musi pogadać z moją koleżanką i dowiedzieć się kilku szczegółów.

– Jasne – Wiśniewski uśmiechnął się. – Chyba jedzie.

Z ulicy Ostroroga wyjechał ford transit z barwami Żandarmerii, z którego wyskoczyła szczupła blondynka w mundurze. Wsiadła do auta Maćka i przywitała się ze wszystkimi.

– Ty pewnie się wystawiasz naszej pani porucznik? – Spojrzała na Roberta.

– Tak. – Kiwnął głową. – Nie wiedziałem, że jest porucznikiem.

– Nawet jeśli zostanie generałem, będzie jej mało. – Anka machnęła ręką. – Słuchaj, pierwsza zasada jest taka, że pod żadnym pozorem nie możesz jej pokazać, że Ci się podoba. Nie od razu. Ty spodobasz jej się na pewno. To gwarantuję, wystarczy na Ciebie spojrzeć.

– To co mam powiedzieć?

– Nic. Zachowuj się normalnie. Nie zdejmuj obrączki do pierwszej randki. Kiedy zapyta o małżeństwo, powiedz, że to pomyłka i masz wredną żonę... Wyczujesz moment, w którym zaczniesz czuć miętę. Zrobi taką specyficzną minę... – Anka skrzywiła się lekko. – No, płacziwą i bezradną. Wtedy atakuj, otocz opieką, ale nie proponuj niczego więcej. Zostaw swoje zamiary i zmykaj.

– Dobra.

– Ona u nas nie pracuje, jest w jakiejś sprawie u mojego wodza. Na parkingu stoi jej zielona toyota, poznasz od razu. Aha, wszystko u nas będzie filmowane.

- Zrobiła wymowny ruch brwiami. – W mojej kancelarii stoi kamera.
- Ty jej naprawdę nie lubisz. – Kozera spojrzał na Ankę z ukosa.
- To mało powiedziane. OK, lecę. Czekaście na sygnał.
- A ja idę do swojego samochodu.

Robert z Anką wysiedli. Wóz Żandarmerii odjechał i po chwili minął ich znowu, wracając do jednostki. Po dziesięciu minutach przyszła wiadomość, że pani porucznik Beata Radecka wychodzi właśnie przez biuro przepustek. Wiśniewski odpalił silnik i ruszył w stronę Ostroroga.

Zobaczył ją z daleka. Wysoka, można powiedzieć, że wyniosła, szczupła i mocno opalona. Makijaż na twarzy nieco kontrastował z mundurem polowym, w który była ubrana. Wsiadła do auta i ruszyła. Hamowanie silnikiem rozpoczęła chwilę przed wyjazdem z parkingu, żeby nie włączać świateł z tyłu, które mogłyby zepsuć cały jego plan. Kiedy włączała się do ruchu, jechał już na tyle wolno, że gdy tylko dodała gazu, wjechała mu prosto w tylny zderzak. Zatrzymał się gwałtownie i wyskoczył z auta, nawet na nią nie patrząc.

– Co pani robi?! – krzyknął, kiedy stanęła obok niego z przerażoną miną. Spojrzał na nią z gniewem, konstatuując, że jest jeszcze wyższa, niż mu się zdało. Z oddali nadjeżdżał samochód Kozery, który minął ich i zniknął za następnym zakrętem.

– Bardzo pana przepraszam. – Zasłoniła dłońmi usta. – Ja pana widziałam, ale wydawało mi się, że jedzie pan szybciej. Ale... chyba nic wielkiego się nie stało. Przepraszam.

– Och! – Machnął na nią ręką, dalej grając zagniewanego. – Niech pani uważa. Nosi pani mundur, a jeździ jak ostatnia łajza.

Nie odpowiedziała. Zerknął na nią i zobaczył to, o czym mówiła Anka: minę zbitego psa. Domyślił się, że wielu facetów się na nią nabiera, więc postanowił wykorzystać okazję.

– No... niech się pani nie gniewa. – Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia. – Trochę się zapędziłem. Wypadki zdarzają się najlepszym.

– Nie... Ja nic...

– Wie pani – uśmiechnął się – jestem policjantem i bywam cięty na kobiety w mundurach.

– Naprawdę? – Zamrugła powiekami. – Jest pan policjantem? – Na jej twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, a oczy zaświeciły się nagłym zain-

teresowaniem.

– Tak, jakoś tak się złożyło. Dobra – przeczesał palcami swoje bujne blond włosy – pojedę już. Nie ma tu jakichś większych uszkodzeń, więc nie ma się co bawić z ubezpieczeniem. Nie stójmy tak na środku.

– To może... w ramach rekompensaty da się pan zaprosić na kawę? – uśmiechała się do niego jak niewinna panienka.

Odjęło mu mowę. Tego się nie spodziewał, mimo że uprzedzony był o takiej ewentualności. Przez parę sekund przyglądał jej się zdumiony, ale szybko wrócił mu rozum i obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Wie pani co... kurczę, chciałbym, ale teraz nie mogę. – Spojrzał na zegarek. – Muszę za kwadrans być w Śródmieściu. No, fatalnie się złożyło... – Wyglądał na naprawdę zmartwionego.

– To niech mi pan da wizytówkę – wypaliła. – Umówimy się kiedy indziej.

– Dobrze. – Sięgnął do kieszeni marynarki. – Tylko niech pani nie wysyła SMS-ów. Moja żona to zazdrosna cholera, zaraz coś wywęszy i życie mi nie da... i tak mi nie daje.

Trafiony – zatopiony! – pomyślał na widok jej miny.

– Poradzę sobie. – Jej uśmiech nie miał w sobie już nic z niewinności. – Do zobaczenia.

Wsiadła do samochodu i odjechała. Wiśniewski stał jeszcze przez chwilę, lekko oszołomiony, ale też zajął miejsce w aucie i ruszył w stronę komendy przy Żytnej, pod którą był umówiony z Malickim i Kozera.

LVIII

– Słomkowski, gdzie Ty mnie przyprowadziłeś? – Łukasz rozglądał się nerwowo po korytarzu Poradni Zdrowia Psychicznego przy Koszykowej.

– Idziemy na wizytę.

– Jaką wizytę? Miał być oddział leczenia stresu bojowego.

– Ale tam nie dało się umówić z Madejskim. – Marcin podszedł do drzwi jednego z gabinetów i zastukał.

– Przyjmujemy pojedynczo – usłyszeli na powitanie. Doskonale zbudowany podpułkownik w mundurze siedział za biurkiem, ale z daleka było widać, że jest niemal tak wysoki jak Łukasz. Meyer pomyślał, że wygląda dość młodo jak na stopień, który widniał na jego pagonach.

– My nie na wizytę. – Słomkowski wyciągnął legitymację i wszedł pewnie do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Nie rozmawiam z policją bez wiedzy przełożonych – psychiatra warknął na nich, spoglądając miażdżącym wzrokiem.

– My na chwileczkę. – Marcin zdawał się nie zważać na jego ton ani postawę, wziął sobie krzesło i usiadł przed biurkiem. Łukasz zrobił to samo. – Przyszliśmy porozmawiać o pani Justynie Dąbek.

Lekarz zmarszczył brwi.

– Ona podobno nie żyje.

– Podobno... Ale my chcemy mówić o czasach, kiedy na pewno żyła. O jej pobycie w szpitalu.

– Z tego, co mi wiadomo, ordynator przesyłał Wam potrzebną dokumentację. Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

– Jesteśmy innego zdania – odbił piłeczkę Marcin i uśmiechnął się całym uzębieniem.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową. Był wyraźnie zaintrygowany.

– Pani Dąbek prowadziła pamiętniki.

– Wiem. – Kiwnął głową. – Mówiła mi o tym.

– No właśnie. I w jednym z nich pojawia się pana nazwisko. Wymieniła pana jako osobę, z którą miała najlepszy kontakt. Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Madejski roześmiał się nieprzyjemnym dla ucha śmiechem.

– Chyba pan żartuje? Dlaczego niby miałbym to robić? To są poufne sprawy.

– Kolega był mało precyzyjny – Łukasz odezwał się spokojnym tonem. – Pani Dąbek żyje i miałyby się dobrze, gdyby nie to, że ktoś jej grozi. Przypuszczamy, że to ktoś z wojska, ponieważ armia chce wytoczyć jej proces o zniesławienie jednego z żołnierzy.

Pułkownik pokiwał głową na znak, że rozumie, o czym jest mowa.

– Domyślałem się, że prędzej czy później te sprawy wyjdą na jaw, a oni dostaną szau. – Wykrzywił usta. – Gdzie ona teraz jest? Rozmawialiście z nią?

– Wyjechała. – Meyer poruszył się niespokojnie na krześle. – Jest bardzo daleko i nie mamy z nią żadnego kontaktu. Mamy podejrzenia, że także przez tę sprawę...

– Jasne... – Madejski oparł się o swój fotel i westchnął. – Nie wydaje mi się, żebym mógł Wam pomóc. Justyna trafiła do nas w zasadzie bez większego powodu... Wcale nie była chora, ale ktoś z jej znajomych chciał odsunąć ją od tego syfu w jednostce po tym, jak rzuciła kwitem. Chcieli ją publicznie ukrzyżować.

– Za co? – Marcin zmarszczył brwi.

– Jak to za co? Każdy zaczął sobie roić, że pójdzie do sądu i oskarży ich o mobbing.

– A miała taki zamiar?

– Nie. Nawet jej to do głowy nie przyszło. Miała ich w dupie. Bali się, bo widocznie uważali, że mają czego. Więc postanowili odwrócić kota ogonem i zrobić z niej wariatkę. Sęk w tym, że na oddział zgłosiła się sama i jako powód podała złe traktowanie.

– To jest w dokumentach?

– Powinno być. – Madejski kiwnął głową. – Ale nie ma. Wszystko zniknęło po jakimś czasie.

Marcin spojrzął na Łukasza zaniepokojony.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś sfałszował oficjalną dokumentację medyczną?

– Nie chcę, ale mówię. Zgłosiłem to, nikt mnie nie słuchał, kazali mi się zamknąć... Takie tam: wojskowe standardy. Dowódca Justyny dzwonił do ordynatora kilka razy dziennie, żeby dowiedzieć się o jej stan. W sumie wiedzieli, że nic jej nie jest, ale i tak trzęśli portkami.

– Mówi pan, że dowódca... – Łukasz zaczął przeszukiwać pamięć. – Chodziło o Sławczuka? Dowódcę kompanii?

– Nie. Mówię o dowódcy jednostki.

– A nie wie pan, czym on się teraz zajmuje?

Lekarz uśmiechnął się.

– Jest zastępcą dowódcy Sztabu Generalnego.

Marcin z Łukaszem nie odzywali się dłuższą chwilę.

– Ja pierdołę – wydusił wreszcie z siebie Słomkowski.

– No, sam bym tego lepiej nie ujął. – Madejski stukał długopisem o bloczek recept. – Powiedzcie mi, czym zajmuje się teraz Justyna?

– Yyy... – Łukasz zacukał się nieco, co było dość dziwne, bo to nie on był przepytywany. – Ona... pracowała w firmie inwestycyjnej.

– A teraz? – Spojrzał na niego przenikliwie. – Mówiliście, że wyjechała. Nie wiecie, dokąd?

– Myślę, że on wie. – Marcin zerknął na Meyera.

– Domyślam się. – Pułkownik pokiwał głową. – I chcę wiedzieć, czy znowu tam jest.

– Jest. – Łukasz odwrócił wzrok.

– To dobrze. Myślę, że to lepsze miejsce niż Warszawa. Widzicie, lekarz prowadzący Justynę przekonywał ją, że jej problemy brały się z tego, że nie ma męża i dzieci. Psycholożka mówiła to samo.

– A to nieprawda? – zapytał cicho Meyer.

– Proszę pana, obserwowałem ją przez te kilka tygodni. Jej problemem było to, że nie robiła tego, co powinna. Justyna jest liderem. Na zajęciach grupowych terapeutka nie miała nic do powiedzenia, wszyscy patrzyli na Dąbek i jej słuchali. Była okropnie rozmemłana, to fakt, ale na pewno nie jest typem kobiety, która nadaje się do prania skarpetek swojemu mężowi. Potrzebowała kopa, żeby zrozumieć, że musi wziąć się w garść i przestać marudzić. Była u mnie po powrocie... z zagranicy. Dobrze jej to zrobiło. Na dobrych ludzi trafiła. Mam

nadzieję, że tego nie zmarnowała.

Łukasz przełknął ślinę. Czuł, jak pulsują mu skronie. Miał ochotę przyłożyć temu człowiekowi, ale jedynie zaciskał dłonie na kolanach.

– Bardzo nam pan pomógł. – Słomkowski przerwał ciszę, która złowrogo zawisła w powietrzu. – Pójdziemy już.

Lekarz wstał i podał im dłoń.

– Przypominam: następnym razem przyjmuję pojedynczo. – Spojrzał na Meyera i uśmiechnął się.

LIX

Brenner wysłuchał spokojnie opowieści Słomkowskiego. Łukasza przy tym nie było, poszedł po kawę.

– Czy mi się zdaje, czy Meyerowi nie spodobało się to, co usłyszał? – zapytał inspektor.

– Nie bardzo. – Marcin przymknął jedno oko i wykrzywił usta. – Był wściekły na tego całego pułkownika.

– Nie wiem, czy to dobrze, że pojechał z Tobą. Mogłeś zabrać Kota.

– Wie pan, nie przypuszczałem...

– Dobra, nieważne – Brenner westchnął. – Jak mi premier powiedział o tym zastępcy, powinienem był od razu sprawdzić jego przeszłość. Widziałem nazwisko, ale nic mi nie powiedziało na pierwszy rzut oka. Ale to, co powiedział Madejski, dało nam przynajmniej jasny obraz sytuacji. Myśleliśmy, że Jaskóła ścisnął go za jaja, a to on sam ma interes w zamknięciu Justyny.

Marcin pokiwał głową.

– Szefie, wydaje mi się, że Badecki miał rację co do pogroźek pod adresem Maćka: były zasłoną dymną dla tego, co dzieje się w Warszawie.

– Tak, to jest możliwe... – Brenner zamyślił się. – Słomkowski, zostaw mnie samego. Muszę zadzwonić.

Odebrał sekretarz.

– Pan premier jest zajęty. Ma bardzo ważne spotkanie.

– Proszę mu powiedzieć, że to jest ważniejsze.

– Proszę pana...

– Jeśli już, to „panie inspektorze”. Niech pan pójdzie i powie, że chodzi o zastępcę. Będzie wiedział, o co chodzi.

Czekał niecałą minutę.

– Słucham. – Trudno było pojąć, że ktoś może być zawsze tak bardzo opano-

wany.

– Powiem krótko: zastępca był dowódcą Dąbek w Stargardzie. Justyna po rzu-
ceni kwitem poszła na oddział psychiatryczny, jako powód podała złe traktowa-
nie w jednostce. Po jej wypisie cała dokumentacja medyczna zniknęła. Jaskóła
nie ma z tym nic wspólnego.

– Zrozumiałem. Będziemy w kontakcie.

Rozłączył się.

Cała ta sytuacja nie była dla Brennera komfortowa. Dusił się w poczuciu, że
naprawdę robi za prywatną policję szefa rządu, że jego działania nie służą dobru
publicznemu... Koledzy śmiali się często z jego podejścia do pracy, a jemu
zaczynało to wszystko coraz bardziej ciążyć. Z wiekiem powinien stawać się
bardziej odporny na wydarzenia zewnętrzne – było odwrotnie. Przeżył zdrady
swoich ludzi bardziej, niż byłby w stanie się do tego przyznać. To było jak poli-
czek, jak szyderstwo z tego, co starał się osiągnąć, budując swój zespół. Zależało
mu na odnalezieniu Justyny żywej tak bardzo, że nie wiadomo kiedy zaczął
żywić do niej mocniejsze uczucia. A teraz jeszcze cała ta historia z wojskiem
i szukaniem haków na ludzi w mundurach, która – o, zgrozo! – wciągnęła jego
zespół bardziej niż ściganie narkotykowych bossów.

Źle się dzieje, panie Brenner. Coraz gorzej – myślał, patrząc bezmyślnie na
widok za oknem.

Do jego gabinetu wpadł Piotr Mzygłód.

– Szefie, niech pan przyjdzie do sali narad. Musi pan coś zobaczyć.

W pokoju byli niemal wszyscy. Oglądali jakiś program w telewizji.

– Co to jest? – Brenner podszedł do przodu.

– Pana kolega ma spotkanie z szefem opozycji. – Słomkowski wskazał na
ekran. – Podobno od tego zależy przyszłość Brzezińskiego.

– Dlaczego?

– Jutro mają złożyć w Sejmie wotum nieufności wobec jego rządu. Podobno
część koalicji też chce go wysadzić z fotela.

– Po to został premierem. – Kowalski wzruszył ramionami. – Nic na niego nie
mieli, więc wymyślili, że zostanie szefem rządu.

Brenner poczuł, że oblewa go zimny pot. To był najgorszy moment dla ich
spraw. Przerwanie śledztw w chwili, gdy tak bardzo korzystali z różnych przywi-
leji i niestandardowych dróg, mogło oznaczać koniec nie tylko dla premiera...

Jedna ze stacji informacyjnych na żywo transmitowała moment, w którym wóz z szefem opozycji podjechał pod kancelarię Prezesa Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Dziennikarze tłoczyli się i popychali, chcąc jak najlepiej zarejestrować wszystko, co się działo przy samych schodach do budynku, do którego inspektor Brenner wchodził o świcie. Niewysoki, krępy człowieczek wygramolił się z auta. Na jego twarzy malowało się wieczne niezadowolenie pomieszane z pogardą dla zastanej rzeczywistości. Otaczała go świta wiernopoddańczej zgrai wyprasowanych młodszych i starszych mężczyzn – ich również nie raczył obdarować cieplejszym uśmiechem.

– Panie prezesie, panie prezesie – krzyczała jakaś młoda dziennikarka – co pan powie premierowi?

– Po pierwsze – wymamrotał – najpierw chcę usłyszeć, co ten człowiek ma mi do powiedzenia. To on chciał tego spotkania. Wszystko, co ja chciałem mu przekazać, zostało przekazane.

– Ale mówił pan, że nie będzie rozmawiał ze zdrajcami.

– Pan Brzeziński niewątpliwie zrobił wiele dla poprzedniego systemu, który skutecznie wyniszczał naszą ojczyznę. Nie mogę jednak zniżyć się do poziomu ludzi jego pokroju i skazywać kogoś bez wydania wyroku.

Prezes odwrócił się na pięcie, nie reagując na setki kolejnych pytań, i wszedł do budynku.

Mzygłód ściszył głos w telewizorze i spojrzał na Brennera.

– I co będzie teraz?

– Zobaczymy. – Inspektor zacisnął szczęki. – Co będzie, to będzie.

LX

Brzeziński obserwował całe zbiegowisko z wysokości swojego gabinetu, czekając cierpliwie, aż pod jego drzwiami zjawi się delegacja gości. Prezes Fornalski albo nie spieszył się zbytnio, albo pokonanie długich korytarzy było zbyt wielkim wyzwaniem dla jego krótkich nóg, bo premier czekał dłużej, niż mógł przypuszczać. W końcu drzwi otworzyły się i do środka wszedł sam zaproszony wraz ze swym przybocznym.

Nie podali sobie rąk. Fornalski kwestie zdrajców i szpiegów traktował zawsze bardzo poważnie, tak bardzo, że bał się skalać swoją osobę ich trującym wpływem. Brzeziński bez słowa wyjaśnienia wskazał na krzesło przy swoim biurku, na którym prezes zaraz usiadł w taki sposób, jakby był we własnym biurze. Jego sekretarz stanął tuż za nim.

– On musi tu być? – Premier wskazał głową na sztywnego faceta z twarzą jakby wykutą w skale, bez cienia mimiki.

– Zawsze jest. – Prezes zerknął na człowieka za swoimi plecami, jakby dopiero go zauważył. – Nie widzę powodu, żeby dziś miało być inaczej.

Brzeziński spojrzał na Fornalskiego w sposób, który zmusił gościa do zmiany przyzwyczajień. Prezes uniósł dłoń i przyboczny wyszedł po krótkiej chwili wahania.

– Słucham więc – wycedził, zakładając ręce na brzuchu.

– Jest biznes do ugrania, dla nas dwóch. – Premier usiadł za biurkiem.

– Nie będę się z panem układał. – Wzrok Fornalskiego błędził po ścianie za fotelem premiera.

– Myślę, że pan będzie. Ma pan sporo do zyskania. Pan wie, że nie chciałem być premierem?

– Pierwsze słyszę – skłamał Fornalski. Wciąż nie zmienił oficjalnego tonu.

– Zrobiono mnie nim, żeby usunąć całkowicie z polityki, a pan, zgłaszając to

wotum nieufności, wykonuje robotę moich przeciwników.

– Ja też nim jestem.

– O, nieprawda – premier uśmiechnął się przebiegle. – Nie dzisiaj. Niech mnie pan uważnie posłucha. – Nachylił się nad blatem i sięgnął po pióro, które uniósł wysoko. – To jestem ja, a to pudełko jest wojskiem. Pozornie nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego, ale pomiędzy nami stanął ktoś, kto może zaszkodzić i mnie, i armii...

Prezes zmarszczył brwi. Jego twarz zmieniła się nieco, gdy uważnie przyglądał się przedmiotom na biurku premiera.

– Wojsko chce tej osobie zrobić krzywdę... już robi, więc ona ucieka daleko, ale... ma jednocześnie coś na mnie, czym może mi pomieszać szyki, i zrobi to, jeśli ja nie zamknę ust ludziom w mundurach.

– Co to jest? – Fornalski już wiedział, że warto było przyjechać.

– Kiedy to pan siedział w tym gabinecie, ja byłem szefem wywiadu. Wówczas podjąłem pewne ryzykowne kroki w celu zapewnienia maksimum bezpieczeństwa naszym żołnierzom na misji w Afganistanie. Nie zrobiłem tego sam, współpracował ze mną pan minister obrony narodowej. On podpisał parę kwitów, które umożliwiły mi odpowiednie działania. Osoba, o której mówię, wie o tym, i znając jej metody działania, zabezpieczyła się na wypadek, gdyby miało się jej coś stać. Wojskowi zaś postępują zgodnie ze swoją pseudologiką, próbując za wszelką cenę zdyskredytować tego kogoś, na przykład poprzez wytoczenie bezsensownego procesu.

– Dlaczego?

– Ten ktoś był żołnierzem i ma o wojsku również sporo do powiedzenia.

– Mogą chcieć go zabić?

– Mogą, i myślę, że niektórzy naprawdę tego chcą. Zorganizowałem grupę, która stara się temu zapobiec. Przede wszystkim jednak moi ludzie szukają dowodów przestępstwa, bo one pozwolą skazać prawomocnymi wyrokami niektórych wojskowych.

– O jakich stanowiskach mówimy? – Fornalski wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Zastępca szefa Sztabu plus kilka pomniejszych osób.

Twarcz prezesa wyrażała najwyższy stopień satysfakcji. Ściągnął usta w ciup i bawił się palcami na swoim brzuchu. Brzeziński dał mu chwilę na zasta-

nowienie.

– Czy te dowody są mocne? – zapytał w końcu Fornalski.

– Mocne. – Premier kiwnął głową. – A dopiero zaczęliśmy szukać. Jeśli nikt nam nie przeszkodzi, przed Bożym Narodzeniem będzie można postawić zarzuty pierwszym osobom...

– Nie! – Fornalski podniósł dłoń. – Powoli. Trzeba to rozegrać inaczej. Nie wykłada się asów tak wcześnie.

Premier opadł na oparcie fotela i uśmiechnął się znowu. Prezes przez chwilę nic nie mówił – nie musiał. Obydwaj wiedzieli, że wchodzi do tej gry.

– Co ja będę z tego miał? Tylko konkretnie. – Głos Fornalskiego był stanowczy.

– Po wygranych przez Was wyborach... w normalnym terminie, obsadzicie główne wojskowe stanowiska swoimi ludźmi, ponieważ Ci poprzedni umoczeni będą w aferę z nękaniami byłego podwładnego, fałszowaniem oficjalnej dokumentacji medycznej i parę innych afer. Jeśli powęszymy dłużej, na pewno znajdziemy coś na kogoś jeszcze.

– A pan czego chce?

– Ja? Poza tym, że pozbyć się tego stołka spod dupy?

– To mogę panu załatwić od ręki.

– Nie. Teraz nie jest dobry moment. Chcę doprowadzić sprawę, o której panu właśnie powiedziałem, do końca, bo mam do załatwienia parę innych. Muszę ogarnąć bałagan w niektórych resortach, ale przede wszystkim w Afganistanie. Do tego potrzebuję spokoju, a nie biegania po Sejmach i udowadniania, że nie jestem wielbłądem. A po wygranych przez pana wyborach chcę wrócić do wywiadu i zajmować się tym, co mi się najbardziej podoba.

Fornalski kiwnął nieznacznie głową.

– Co na to ludzie z pana partii?

– Panie prezesie – premier roześmiał się. – Jacy ludzie? Z jakiej partii? Jak pan będzie chciał, to na nich też pomogę panu coś znaleźć. Mnie ten Wasz polityczny syf nie interesuje.

– Zauważyłem – mruknął Fornalski, po czym podniósł się gwałtownie z krzesła i podał Brzezińskiemu dłoń. – Proponuję spotkanie za miesiąc w celu omówienia tego, na czym stoimy.

– Świetnie. – Premier wstał również i ścisnął prawicę prezesa. – Powie pan

dziennikarzom, że postawił mnie do pionu... Zresztą – machnął ręką – sam pan najlepiej wie, co mówić.

Fornalski na nowo przybrał swoją niezadowoloną maskę i wyszedł pewnym krokiem z gabinetu. Brzeziński, jak gdyby nigdy nic, zasiadł za biurkiem i wziął się za przeglądanie papierów.

Żaden z ludzi prezesa o nic nie pytał. Wszyscy bez słowa ruszyli do wyjścia, gdzie zaatakowani zostali przez chmurę dziennikarzy. Fornalski zatrzymał się na chwilę przy aucie i zwrócił w ich stronę.

– Premier Brzeziński potrafi przemawiać językiem troski o nasz kraj, o czym mogłem się dziś przekonać. Myślę, że nasza dalsza współpraca w wielu istotnych kwestiach będzie układać się pomyślnie.

– Ale mówił pan, że...

– Ja, w przeciwieństwie do wielu innych osób, jestem człowiekiem dialogu, umiem rozmawiać z każdym, jeśli ten ktoś wyraża taką wolę.

– Czyli że nie będzie wotum nieufności?

– Nie. Nasza partia nie zgłosi takiego wniosku. – Po tych słowach prezes wsiadł do samochodu i odjechał w swoją stronę.

LXI

– Widziałaś? Widziałas to? – pieklił się Kołeczki przed telewizorem w swoim mieszkaniu.

– Widziałam – mruknęła Matylda.

– To są dopiero sprzedawczyki. Co oni tam sobie powiedzieli?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. Niewiele ją ostatnio interesowało poza czekającą ich wkrótce przeprowadzką i samochodem policji pod ich klatką.

– Ja nie mogę... – Kamil kręcił głową zde gustowany. – Co się dzieje w tym kraju?

– Kamil, Twój telefon dzwoni.

– O, Boże! – westchnął. – To ten policjant. Kołeczki, słucham.

– Panie redaktorze, komisarz Wiśniewski. Mam do pana mały biznes. Jeśli jest pan w domu, to zaraz wpadnę.

– Jestem. Pan powinien najlepiej wiedzieć, czy tu jestem, czy mnie nie ma.

– No to wchodzę na górę.

Wiśniewski nie był sam.

– To mój kolega z Żandarmerii, kapitan Kozera. Poznajcie się.

– Miło mi. – Twarz i ton głosu przeczyły słowom Kamila.

– Mamy do pana sprawę. – Robert bez ceregieli władował się do środka mieszkania Kołeckich. Matylda, jak zwykle na widok funkcjonariuszy, uciekła do sypialni.

– To już wiem. – Wydął usta Kołeczki. – Może zaszczyci mnie pan jakimiś szczegółami?

– Tak... widzi pan, zajmujemy się dość nietypową sprawą i wydawało się nam, że sami sobie damy radę, ale skoro już mamy pana...

– Niech pan mówi.

– Potrzebujemy zawodowego fotografa z dobrym sprzętem, a Wy w redakcji

na pewno kogoś takiego macie.

– Po co Wam to? – Kamil spojrział na obu podejrzliwie.

– Ha! – Wiśniewski wskazał na niego palcem. – Tropimy aferę seksualną. Idealny temat do opisania przez pana gazetę.

– Kiedy ostatnio opisałem temat robiony przez Was, spalono mi samochód.

– Ale teraz to jest naprawdę coś innego. Tyle że minie trochę czasu, zanim wątek się rozwinie. To co? Pomoże nam pan?

– A mam wyjście? – Kamil rozłożył bezradnie ręce.

– Zawsze. – Spoważniał Wiśniewski. – My do niczego pana nie zmusimy. Mieliśmy nadzieję, że panu też spodoba się ten temat.

– Panowie usiądą. – Kamil wskazał na stół w salonie. – Zrobię coś do picia.

Kiedy Robert z Maćkiem skończyli referować najdrobniejsze szczegóły ich sprawy, Kołecki przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Oparł się łokciami o stół i schował twarz w dłoniach.

– Tak – spojrział na nich w końcu – my też czasami robiliśmy prowokacje. Jak rozumiem, ta pani, z którą się pan umówił, może być zamieszana w list z pogroźkami i spalenie mojego auta?

– Zgadza się. – Wiśniewski energicznie pokiwał głową.

– Będziecie ją podsłuchiwać podczas tej całej „randki”?

– Nie.

– Warto – Kołecki westchnął. – Przepraszam za mój nastrój, ale ostatnio nie mam wielu powodów do radości. Gazeta przędzie coraz gorzej, prawdopodobnie od przyszłego roku będziemy się wydawać jedynie w formie elektronicznej... Zmniejszają powoli zatrudnienie. Moja żona też ma kłopoty na uczelni. I jeszcze ten samochód... Dobrze, pomogę Wam. Dostaniecie ode mnie namiary na jednego z fotoreporterów. To doświadczony facet, robił takie rzeczy wiele razy.

– My też. – Robert uważał, że musi to powiedzieć.

– Ale nigdy pan nie pisał o tym artykule, a ja też chciałbym coś z tego mieć. – Kołecki spojrział na niego z lekkim politowaniem. – Chociaż satysfakcję.

– Jasne. – Wiśniewski przygryzł wargę. – Dziękujemy za... zrozumienie.

LXII

– Miałem nadzieję, że coś dla mnie masz. – Lenart był wyraźnie poirytowany.

– Będę mieć, jeśli zrobisz to, o co Cię proszę. – Agnieszka zerknęła przez ramię w stronę drzwi wejściowych do pokoju przesłuchań.

– Lekarz nie da jej tych leków?

– Zbyszek, lepiej będzie, jeśli nikt nie będzie wiedział. Nie mogę iść i powiedzieć, że koleżanka z celi musi jechać na psychotropach. Podam jej to w posiłku.

– Dobra – westchnął zrezygnowany. – A może jednak coś mówiła? Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc.

– Mówi różne rzeczy, ale w nic jej nie wierzę, bo nie wiem, co jest prawdą, a co wynikiem chorej wyobraźni. Teraz przeważnie milczy, popadła w jakąś katatonię... Lekarz był u niej, ale ją olał. Jedynie kiedy pytam o rodzinę, reaguje nieco bardziej. Raz wpadła w panikę, że ktoś ich wszystkich pozabija, biegała po celi i rwała sobie włosy z głowy, nie szło jej uspokoić. Potem powiedziała tylko, że została wrobiona.

– Powiedziała to głośno?

– Tak. Siedziała w kącie i płakała: „Wrobili mnie, wrobili mnie”. Próbowałam się tego uchwycić, ale niczego z niej nie wyciągnęłam. Trzeba podać jej leki, żeby poprawić nastrój.

– Ale ufa Ci w miarę?

– Ufa. – Agnieszka kiwnęła głową. – Dlatego jest nadzieja, że uda się ją podpytać.

– Rozumiem. Dzięki za te informacje. Muszę pogadać z szefem o tych lekach. Wiesz, to nie są witaminy...

Strapiony Lenart wrócił do biura, w którym ciągle siedział Brenner. Z kuchni dochodziły głośne śmiechy Słomkowskiego i Mariusza.

– No i jak wizyta w areszcie? – zapytał na powitanie inspektor.

– Lipa. – Lenart klapnął na krześle. – Adamiakowa potrzebuje psychiatry. Agnieszka prosiła, żeby załatwić jej jakieś leki, chce podawać to ukradkiem w posiłku, poprawić jej nastrój i przepytąć dokładnie.

– Coś zaradzimy. – Brenner wrócił do dokumentów, które czytał wcześniej.

– I tylko tyle? – Lenart skrzywił się. – Nie będzie problemów? A co z premierem?

– Nic. – Brenner wzruszył ramionami. – Załatwił wszystko z Fornalskim, mamy drogę wolną.

Zbyszek prychnął.

– Ja nie mogę. Koleś jest dobry.

– Idź do domu i wyśpij się. Wszystko się zmieniło.

– To znaczy? – Lenart zmarszczył brwi.

– Nie musimy się z niczym spieszyć. Trzeba przeprowadzić solidne śledztwo, zebrać mocne dowody na niektórych ludzi... i postawić im zarzuty przed wyborami w przyszłym roku.

Lenart uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ale jazda!

– No co? Nie robimy nic nielegalnego. Łapiemy ludzi, którzy złamali prawo.

– I tego się trzymajmy, panie inspektorze. – Lenart poderwał się z miejsca. – Idę obejrzeć mecz z piwem w dłoni, jak na białego człowieka przystało. Uczciwy funkcjonariusz, który ściga złych przestępców, odpoczywający po ciężkim dniu pracy. Należy mi się.

Brenner zdjął okulary i roześmiał się.

– Masz rację. Chyba zrobię to samo. – Zgasił lampkę przy biurku.

LXIII

– Czy Ty, Bambi, spać nie możesz? – Krokodyl przecierał oczy przed ekranem komputera.

– Myślałem, że już wstałeś.

– Ciężki dzień był wczoraj. Latałem po mieście jak głupi.

– Jakaś większa akcja?

– Nie, chciałem zejść z drogi Malinie. Mógłbym skończyć jak ten leszcz, który w lodówce wylądował ostatnio.

– Co się stało? – Bambi nachylił się nad komputerem, jakby od tego miał lepiej słyszeć.

– Nic. Powiedziałem o wyjeździe do Ghazni i że zabieram ją ze sobą. Dostała małego szau.

– Dziwisz się? Po co ją tam bierzesz? Oczy Ci wydrapie przy najbliższej okazji.

– Po nic. – Krokodyl wzruszył ramionami. – Chcę, żeby jechała, to wszystko.

– Chcesz ją schować – Bambi roześmiał się nagle. – Ty stary gadzie! Trzęsiesz portkami przed jej starym. Boisz się, że do niego wróci, jak się dowie, że jej szuka.

– A Ty ciesz się, że Cię tu nie ma – warknął Krokodyl, zaciskając pięści. – I mów, po co dzwonicz, zanim do końca stracę cierpliwość.

– Słuchaj, nie podoba mi się ta cała historia. – Bambi spoważniał. – Brenner nie chce mi o niczym mówić.

– To tylko dobrze o nim świadczy.

– Nie wygłupiaj się. Sam chciałeś wiedzieć, o co chodzi z tym całym śledztwem.

– No to o co chodzi?

– Powęszyłem nieco w wojsku, skoro psy nie są chętne do spowiadania się

z tego, co robią. W tej chwili nie ma chyba człowieka w całym sztabie, który nie znałby nazwiska Dąbek. Ten, kto za tym stoi, dobrze to przemyślał. Puścili plotkę, że Malina na każdego coś ma, że uzbierała dowody na rzekome przestępstwa i będzie wyciągać je po kolei na światło dzienne, a że rozumu te głąby nie mają, to uwierzyli we wszystko. Poza tym sam wiesz, że naprawdę każdy ma coś za uszami, więc miotają się w domysłach, za którą machloję mogą polecieć.

Krokodyl prychnął i przewrócił oczami.

– Ja pierdolę. I co? Naprawdę chcą ją sądzić?

– Tak. Kręcą się jakieś papugi wojskowe i cywilne, które smażą na nią odpowiednie zarzuty. Głównie chodzi o zniesławienie. Poza tym... ktoś wymyślił jej dezercję.

– Co?

– No wiesz, za niestawianie się na wezwania. Muchomory szukają jej po całej Warszawie z nakazem doprowadzenia do prokuratury. Kiedy gadałem ostatnio z Brennerem, nie wyglądał na przejętego tą sytuacją.

– Naprawdę? – Krokodyl zmarszczył brwi. – A co na to jej stary?

– No właśnie też nic. Podobno idzie na urlop. Ta panna rozgościła się u nich na dobre. Widziałem ją ostatnio, jak wieszala pranie na balkonie.

– Urlop? – W głowie Krokodyla zapaliła się czerwona lampka.

– Tak. A co?

– Wyjeżdża gdzieś?

– Nie wiem.

– To się dowiedz!

– Dobra. Nie denerwuj się. Słuchaj... a może Ty popytałbyś kogoś? Brzezińskiego albo któregoś z jego ludzi.

– Nie – padła krótka odpowiedź. – On mi niczego nie powie.

– Aha... – Bambi był zaskoczony. – Skoro tak mówisz... Kiedy jedziecie do Ghazni?

– Nie wiem jeszcze. Może w piątek albo w sobotę...

– I Malina pojedzie? – Tomek przymknął jedno oko.

– Pojedzie. Jamal ją jakoś przekonał.

– A jak w ogóle znosi ten pobyt?

– Czy ja wiem... – Krokodyl odwrócił wzrok. – Trochę wściekła się o ten wyjazd, ale poza tym zachowuje się ciągle spokojnie. Uparła się, żeby iść dzisiaj

do miasta, mimo że nie musi. Zaraz pewnie wstanie.

– Rozumiem – Bambi westchnął. – To już Ci nie przeszkadzam. Nie będę prosił, żebyś ją pozdrawiał, ale Gogola możesz.

Krokodyl wyłączył Skype'a bez słowa pożegnania. Siedział dłuższą chwilę w ciszy, nasłuchując, czy z góry nie dochodzą dźwięki świadczące o tym, że ktoś wstał. Mimo że niczego nie usłyszał, z ciemności niespodziewanie wyłoniła się postać Justyny, ubrana już w burkę.

– Chodzisz jak kot. – Zdenerwowało go to, choć tego nie okazał. Trudno było powiedzieć, czy mogła zarejestrować cokolwiek z jego rozmowy z Bambim.

– Zaraz przyjedzie po mnie samochód – powiedziała cicho. – Z kim rozmawiałeś?

– Z Bambim.

– Co u niego?

– Dowiedział się, że armia chce wsadzić Cię do więzienia.

Pokiwała głową z miną świadczącą o tym, że nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Malina... po co idziesz do miasta?

– Żeby nie patrzeć na Ciebie – odpowiedziała spokojnym tonem. – Jeszcze się napatrę... w górach.

– Jesteś bardzo miła.

– Zawsze do usług. – Odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni.

Krokodyl zajrzał do niej po minucie, ale nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, więc wrócił do pomieszczenia, gdzie miał rozłożone bety na podłodze, i poszedł spać.

LXIV

Tego dnia Justyna bardzo starała się zapamiętać drogę do sklepu. Jechała najpierw samochodem, potem przesiadła się w jakiejś wąskiej uliczce na mały motor Alego. Zajęła miejsce za jego plecami i dokładnie przyglądała się otoczeniu. Na miejscu byli bardzo wcześnie, ulica jeszcze nie tętniła życiem, dopiero pierwsi sklepikarze otwierali swoje stoiska i wykładali towary na zewnątrz. Było też bardzo zimno. Drobne płatki śniegu, targane podmuchami wiatru, miały się pomiędzy budynkami, ale nie topniały od razu po zetknięciu z ziemią. Zima w Afganistanie potrafiła dać się we znaki.

Przez pierwsze trzy godziny przez sklep przewinęło się może z pięciu klientów. Oglądali, coś szybko mówili do Alego, jakby się z nim kłócili, i szli dalej. Dopiero jakieś małżeństwo zatrzymało się na dłużej przy stercie droższych tkanin. Mężczyzna nie był młody, po kobiecie trudno było określić wiek, bo cała była zasłonięta, ale gdy Justyna nabrała mocniej powietrza przez nos, od razu wiedziała, z kim ma do czynienia. Spojrzała przez burkę na Alego, który po paru minutach rozmowy z „mężem” i otrzymaniu od niego sporej kwoty pieniędzy, ruchem głowy nakazał jej iść na zaplecze. Kobieta poszła za nią.

Angie ścisnęła Justynę prawie tak mocno, jak Łukasz, kiedy zobaczył ją po porwaniu. Trzymała ją długo w kościstych ramionach, jakby próbowała się upewnić, czy to naprawdę ona.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę – wyszeptała, gdy odsunęła Justynę nieco od siebie. – Zastanawiałam się, kogo zastanę w tym sklepie, ale do głowy mi nie przyszło, że to Ty. Myślałam... byłam pewna, że nie żyjesz.

– Usiądź. – Justyna wskazała na małe stołeczki pomiędzy kartonami z towarem. Sama usiadła naprzeciwko Angie i wzięła ją za rękę. – Byłam porwana... Wiadomość o mojej śmierci miała pomóc w śledztwie.

– Kto Cię porwał? – Angie zmarszczyła już pomarszczone czoło.

– Nieważne. – Justyna machnęła ręką. – Minęło... Ale powiedz mi... dlaczego tak się wystawiłaś? Angie, agencja Cię ściga.

– Wiem – uśmiechnęła się smutno.

– Co się stało? Powiedz mi. Był u nas jakiś człowiek, mówił, że Cię wyrzucili dwa lata temu i że... jesteś niezrównowazona.

– Tak jest najłatwiej człowieka usunąć. Ty powinnaś wiedzieć o tym najlepiej, czyż nie?

Justyna kiwnęła głową.

– Pamiętam cię... – Zerknęła niepewnie na De Soto. – Miałaś dziwne jazdy. Nie było im trudno Ci to udowodnić.

– Każdy jest trochę wariatem. – Angie odwróciła wzrok.

– Bierzesz leki?

– Moklobemidy.

Justyna roześmiała się cicho.

– One są na lęki społeczne... Angie, Ty nie masz lęków społecznych. Jesteś ostatnią osobą na tej planecie, która je ma.

– Ale leczą też depresję. A nie mam tu dostępu do lekarza i lekarstw. Biorę, co jest...

– Rozumiem. Uciekłaś ze Stanów, prawda?

– Tak. – Twarz De Soto przeszły skurcz bólu. – Zaraz po tym, jak mnie wyrzucili. Wsadziliby mnie do więzienia albo przynajmniej do zakładu.

– Zostawiłaś rodzinę?

– Zostawiłam. Od dwóch lat nie widziałam córki... Poszła do college'u, nawet mnie przy tym nie było. Wolę nie wiedzieć, co sobie o mnie myśli. Pewnie zostanie agentką – roześmiała się zrezygnowana.

– Czemu tak uważasz?

– Wiem, jak to działa. Będzie chciała zmyć winy matki zdrajczynie i pójdzie tam...

– Czy to prawda... o tej grupie, dla której pracujesz?

– A skąd! – Angie zirytowała się w jednej sekundzie. – Kolejne kłamstwo, którego nie są mi w stanie udowodnić, tak jak ja tego, że w niej nie jestem.

– Ale Ci faceci, z którymi szłaś, wyglądali jak Hezbollah.

– Mają tak wyglądać. Ludzie mają się ich bać. To taka sama grupa jak Wasza, tylko więcej w niej Arabów. A Ty wiesz, że ten Wasz biznes o mało się nie roz-

leciał?

Justyna pokręciła głową.

– Kiedy Jamalowi urwało rękę, było bardzo źle. Koordynator, który go zastępował, nie nadawał się do tego zupełnie. Był przekupny, brał podejrzanе zlecenia... Parę osób wtedy odeszło.

– Bambi?

– Tak, on też. Dopiero jak ktoś zginął, szefowie w Londynie wystraszyli się nie na żarty i szybko ściągali jednorękiego z powrotem.

– Zawsze ktoś ginie – szepnęła Justyna.

– Ale nie przez głupotę koordynatora.

– Dużo wiesz – Justyna uśmiechnęła się. – Kto u nas ma z Tobą kontakt?

– Nie interesuj się tak. – Angie pogroziła jej palcem, ale też z uśmiechem. – Za dużo wiedzy może zaszkodzić.

– Dlaczego chodziłaś po tej ulicy jawnie? Nie rozumiem tego.

– Och, nie mogłam usiedzieć w miejscu. Przeczynałam, że ktoś od Was będzie obstawiał wybory, byłam ciekawa, czy już jesteście w Kabulu.

– Ryzykowne, nie sądzisz?

– Mówisz, jakbyś mnie nie znała.

– Angie – Justyna nachyliła się w stronę Amerykanki – nie jesteś bezpieczna. Ten agent, który u nas był... on chciał, żebym Cię zabiła.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknęła, oglądając swoje żyłaste dłonie.

– Posłuchaj mnie uważnie. Chcą Cię usunąć i to jak najszybciej. Podpowiedziałam, żeby zrobili to w jakimś zamachu... Wybacz, ale musiałam udawać.

– Nie mam Ci czego wybaczać. Sami na to na pewno wpadli już dawno temu.

– To dlaczego przychodzi do nas ktoś z agencji i rzuca takim zleceniem? To nielogiczne.

– Malina! Obudź się! A dlaczego odeszłam? Zaczęłam głośno mówić o tym, co tam się dzieje. O tym, że niektórzy posuwają się za daleko w tym dbaniu o narodowe bezpieczeństwo, bo tak naprawdę martwią się o własne interesy i kariery. Łamali prawo, żeby go przestrzegać. Uważasz, że to jest logiczne? Zaczęłam się w pewnym momencie zastanawiać, kto tu jest przestępcą.

– Cicho! – Justyna położyła dłoń na rękę Angie. – Wiem wszystko. Wiem... Angie, ktoś musiał śledzić tego agenta, albo on sam jest w coś umoczony... Po jego wizycie nasza kryjówka została ostrzelana.

– Ktoś zginął? – De Soto była przerażona.

– Nie. Uciekliśmy wcześniej. Powiedz mi, czy ten człowiek...

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Wiem, o kim mówisz. To Andrew Kirkwood, on tutaj na mnie poluje. Jest bardzo zdesperowany, ale Wam nie zrobiłby krzywdy, jest na to zbyt uczciwy. Ktoś musiał za nim jechać.

– Rozumiem. – Justyna zamyśliła się na chwilę. Ktoś wszedł do sklepu, więc wyjrzała przez grubą kotarę. – Twój człowiek gdzieś na Ciebie czeka?

– Tak, wszystko jest pod kontrolą.

Justyna spojrzała na Angie przenikliwie.

– Nieprawda. Nic nie jest pod kontrolą. Grozi Ci niebezpieczeństwo, a Ty nic sobie z tego nie robisz. Angie... Ty się poddałaś, prawda?

De Soto zacisnęła usta i znowu popatrzyła w inną stronę.

– Mam dość – wyszeptła po dłuższej chwili. – Mam naprawdę dość... tego życia. Ty pojechałaś i nie wiesz... Tutaj działy się okropne rzeczy, te oskarżenia, nagonka. Nigdy się nie skończyły. Próbowałam się bronić, ale już nie mam siły.

– Ale to jest jak samobójstwo.

– I co z tego? – Wzruszyła chudymi ramionami. – Niech mnie zabiją. Wszystko już stracone. Zrobiłam, co mogłam, żeby być uczciwą wobec siebie i innych. Zapłaciłam za to zbyt wysoką cenę, to fakt, ale niczego nie żałuję. Tylko... po prostu nie mam już sił walczyć.

Justyna nic nie powiedziała. Wierzyła jej, wierzyła, że można dojść do miejsca w życiu, w którym wszystko traci sens.

– Malina... – Angie wytarła łzę z kącika oka. – Przypomniało mi się coś. Powiedz mi jedną rzecz: zrobiłaś z tymi pamiątkami tak, jak Ci mówiłam?

– Tak – Justyna uśmiechnęła się lekko. – Posadzili tego człowieka.

– Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że jesteś zabezpieczona też w innych sprawach...

– Wszystko załatwione. – Justyna pokiwała głową. – Wiesz, że miałam męża?

– Miałaś? Co się z nim stało?

– Nic... Też zrobiłam, jak mi radziłaś, ale po czterech latach wszystko wyszło na jaw i nie chciał już ze mną być.

– Naprawdę? Dlatego wróciłaś?

– Tak. To przez to porwanie... Nie mogłam dłużej grać, ale... warto było. Ktoś naprawdę mnie kochał.

- To znaczy, że kocha dalej. Może się jeszcze ułożyć?
 - Raczej nie...
 - Kto to był? Powiedz mi. – W Angie wstąpił nowy duch.
 - Policjant. – Justyna roześmiała się. – Twardy gość. Wysoki blondyn z równo przyciętą brodą. Dużo mięśni, piękny uśmiech, niebieskie oczy.
 - Mmm... – Angie zamruczała rozmarzona. – Mój typ.
 - Wiem, wiem. Poznałam go w samolocie, kiedy wracałam z poprzedniego pobytu. Jak tylko go zobaczyłam, od razu pomyślałam o Tobie. W sumie tylko dlatego chciałam z nim rozmawiać.
 - A dzieci?
 - Nie udało się. Po prostu ich nie było.
 - Szkoda – Angie westchnęła. – Ale tak też bywa. Pójdę już. I tak siedzę dłużej niż planowałam. Dobrze, że mieliście zamknięty ten sklep, nie musiałam długo szukać.
 - Tylko ciekawi mnie, kto by tu siedział, gdyby mnie nie było.
 - Przyjdzie czas, to się dowiesz. – De Soto puściła do Justyny oko.
 - Aha... Ten cały Kirkwood mówił, że przyjechałaś do Kabulu przez nas, żeby zemścić się na naszej grupie.
- Angie roześmiała się.
- Tak, zważywszy, że nie ruszam się stąd od dwóch lat. Jeżdżę tylko czasami do Islamabadu. Krążę jak jakiś pospolity przemytnik pomiędzy Afganistanem a Pakistanem. Chodź, uściskam Cię. – Wyciągnęła do Justyny ramiona. – Nie wiadomo, czy znowu się zobaczymy.
 - Nie mów tak – szepnęła Justyna ze ściśniętym gardłem.
 - Mówię, jak jest. Nie martw się o mnie. Martw się o siebie. Wyjdź na zewnątrz. Mój człowiek będzie wiedział, że czas mnie zabrać.

LXV

Łukasz przyjechał do biura, żeby pożegnać się z kolegami, a zwłaszcza z szefem, który wcale miło go nie przyjął. Wyglądał na niezadowolonego, nie bardzo też miał chęć rozmawiać z Meyerem w cztery oczy. Jednak w końcu zaprosił go do swojego gabinetu.

– Kiedy masz zamiar wrócić? – zapytał oschle, nie patrząc na podwładnego.

– Nie wiem. Tego przecież nie da się przewidzieć. Szefie... jeśli ma pan do mnie jakieś urazy, proszę mi powiedzieć teraz. Nie chciałbym dowiedzieć się czegoś po czasie.

– Nie mam żadnych... – Brenner nie dokończył. Spojrzał na Łukasza z zaciśniętymi szczękami. – Nie podoba mi się to.

– Ale co? Że jadę?

– Że nie liczysz się z innymi.

Meyer roześmiał się.

– Niech pan tego nie robi. Nie dam się wciągnąć w grę psychologiczną. Nie czuję się niczemu winny, bo nie jestem. Jadę ratować swoje małżeństwo i jestem głęboko przekonany o słuszności tej decyzji. Wie pan co? Miałem teraz trochę czasu na przemyślenie tej sprawy. Ożeniłem się z małą kłamczuchą, która jedną ręką morduje bandytów, a drugą rozwała policyjnego kreta... ale nie radzi sobie z konfliktem w domu, bo nikt jej tego nie nauczył. Nieważne. Nie musi tego umieć. Ja chcę, żeby wróciła i była ze mną już zawsze, nawet jeśli będzie to oznaczać koniec mojej pracy w CBS i nawet jeśli będziemy musieli iść na wojnę z wojskiem.

Brenner dłuższą chwilę nic nie odpowiedział. Kiwał się lekko w fotelu, przygryzając wargi.

– Martwię się.

– O mnie? – zdziwił się Łukasz. – Jestem duży, dam sobie radę. O Justynę

jakoś się pan nie martwi, od kiedy jej nie ma.

– Bo ona tam jest jak u siebie, a Ty nawet dobrze angielskiego nie znasz.

– Myślałem, że bardziej mnie pan docenia.

– Ale i tak się martwię. Jedziesz sam...

– Będę w kontakcie. W zasadzie muszę być.

Brenner kiwnął głową.

– Linde coś pomógł z tym Żółwiem?

– Nie. Skontaktował się z kumplem w bazie w Afganistanie, ale podobno on siedzi gdzie indziej.

– To niech znajdzie innego. To zbyt ważne.

– Wie pan... pomyślałem, że ten cały Waldek też może nie być chętny do pomocy.

– Jeśli nie on, to nikt. – Brenner postukał palcem o blat. – Odszedł z ich grupy, jest w GROM-ie... nie ma interesu, żeby zaszkodzić. Może trzeba pomyśleć, jak z nim rozmawiać... Dobra, zastanowię się nad tym.

– Dziękuję. – Łukasz wstał i wyciągnął dłoń do szefa. – Pojadę już. Muszę jeszcze zajrzeć do ojca.

– Jasne. Odezwij się, jak będziesz na miejscu.

Stefan był w mieszkaniu na Pradze. Uzupełniał młodym księżom lodówkę i udzielał im bezcennych rad. Łukasz słyszał jego radosny głos już na schodach. Drzwi były otwarte, wystarczyło jedynie nacisnąć na klamkę i wejść do środka.

– Twój tato rujnuje cały nasz misterny plan – szepnął Jacek, kiedy stary Meyer poszedł po swoje rzeczy do dużego pokoju.

– Jaki plan?

– Mieliśmy żyć w ubóstwie i bez wygod, a on nas tu chce meblować i tuczyć jak gęsi.

Łukasz roześmiał się.

– Nic Wam nie będzie. – Poklepał Jacka po plecach. – Przed Wami długa zima i na pewno wielu biednych do wykarmienia. Zapewniam Cię, że w tej dzielnicy się nie wzbogaciecie.

– Słuchaj... gotowy jesteś na ten wyjazd?

– Już prawie, a co?

– Nie, nic... – Jacek podrapał się po głowie. – Chciałem tylko wiedzieć, czy masz jakiś plan, jak znaleźć Justynę. Wiesz, to duży kraj...

– W zasadzie już nie jest łatwo – Łukasz westchnął. – Chcieliśmy skontaktować się z Żółwiem w Ghazni, ale się nie udało. Nie mamy tam nikogo, kto mógłby go zapytać.

Jacek zerknął na milczącego Damiana.

– Aha... bo może nam by się udało jakoś Ci pomóc.

– Jak? – Łukasz zmarszczył brwi. – Wiesz coś?

– Nie wiem, gdzie jest Justyna, ale Damian ma teraz na misji jakiegoś kolegę, kapelana wojskowego z Poznania. Spróbujemy z nim porozmawiać.

– Naprawdę? – Łukasz spojrział na drugiego księdza, który tylko pokiwał głową.

– Tak... Widzisz, to nie jest takie proste: iść do kogoś i zadać wprost pytanie o miejsce pobytu Twojej żony. Żółw mógłby się tym zaniepokoić. To trzeba załatwić delikatniej.

– To prawda... – Meyer zamyślił się. – Musi być pewny, że to ja jej szukam, a nie ktoś z wojska...

– Nieprawda – odezwał się niespodziewanie Damian. – Tego też nie może wiedzieć. Zastanawialiśmy się nad tym dość długo. Lepiej będzie, jeśli padnie tylko imię Jacka. Powie się mu, że niepokoimy się o nią, bo dawno nie dawała znaku życia.

– Dobrze – szepnął Łukasz. – Kiedy możecie się z nim skontaktować?

– W każdej chwili. Mamy telefon do Kota i do tego drugiego, który wtedy był u Ciebie, to będziemy się z nimi kontaktować.

– Dzięki. – Łukasz uściskał ich dłonie. Jego ojciec zjawił się z pustą torbą po słoikach. – Jedziemy.

– Tak, jadę, chłopcy. – Stefan pokiwał głową. – Będę w sobotę. Zobaczę, czy wszystko macie. Z Bogiem.

Kiedy dojechali na Mokotów, było już ciemno. W kuchni świeciło się światło – znak, że Kot znowu męczy Ewelinę. Łukasz bał się reakcji ojca na jej widok, ale Stefan nawet specjalnie nie zwrócił na nią uwagi.

– Zrób mi, synku, herbaty – zwrócił się do Łukasza po przywitaniu z Kotowiczem. – Idę sobie obejrzeć wiadomości.

– Co słychać? – Meyer zerknął z ukosa na naburmuszoną dziewczynę. Krzywiła się, ale nieco mniej niż zwykle. – Co dostałaś z kolokwium?

– Czwórkę.

– No to gratuluję! Tomasz, czemu ją znowu męczysz? Zasłużyła na nagrodę.

– Ta, jasne – Kot prychnął. – Jutro ma prawo europejskie, a podstawowych pojęć nie zna.

Łukasz pokręcił głową ze śmiechem i nalał wody do czajnika.

Strach pomyśleć, co ja tu zastanę po powrocie – westchnął, zalewając herbatę wrzątkiem.

LXVI

Tego dnia rano parking pod biurem był niemal pusty. Brenner westchnął z ulgą, bo miał zamiar w ciszy i spokoju popracować nad zaległymi papierami, ale kiedy wysiadał z auta, zauważył czerwoną toyotę yaris, którą już dobrze znał.

– O, matko! – sapnął. – Lubicki.

Mirek podszedł do niego i podał mu dłoń, uśmiechając się niewyraźnie.

– Dzień dobry, panie inspektorze. Pan wybaczy, że tak o świcie, ale nie mogłem aż w nocy zasnąć i chciałem jak najszybciej z panem porozmawiać.

– Jak rozumiem, to coś pilnego? – Brenner wskazał na drzwi do budynku. – Pan wejdzie.

– Pilnego może nie, ale bardzo ważnego, sądząc po tym, co wczoraj w rozmowie telefonicznej powiedział mi pan komisarz Kowalski.

– Aspirant, Mariusz jest aspirantem.

– Dla mnie jeden pies. – Mirek machnął ręką i zaraz przestraszony zasłonił dłońmi usta. – Ojej! Przepraszam, nie to miałem na myśli...

– Spokojnie. – Brenner roześmiał się i otworzył drzwi kartą magnetyczną. – Chodźmy może od razu do kuchni. Muszę napić się kawy.

– To co pan dla nas ma, że nie pozwoliło panu spać? – zapytał Rafał, stawiając przed Lubickim kubek z kawą.

– Pan Kowalski powiedział mi, że mam skupić się nie na Słotwińskim, ale na prezesie Jakubowskim i jego przeszłości. Nie pytałem dlaczego, i tak pewnie bym nie zrozumiał – roześmiał się cicho, poprawiając okulary. – Ale jak się położyłem spać, coś mi się przypomniało o jego przeszłości, a konkretnie o przeszłości jego brata, Pawła Jakubowskiego.

Dłoń Brennera zawisała w powietrzu z łyżeczką cukru.

– Paweł Jakubowski? – zapytał, marszcząc brwi. – Ten minister?

– Tak.

– To... jest jego brat?

– Zgadza się. W sumie zapomniałbym o tym, ale wczoraj w każdych wiadomościach był prezes Fornalski, a przecież Jakubowski miał tekę ministra za jego czasów. Krótko, ale rządził ministerstwem gospodarki.

– Pamiętam. Niech pan mówi dalej.

– Fornalski wywalił go ze stanowiska, bo nienawidził go z całego serca.

– Wie pan dlaczego?

– Oczywiście! – Mirek kiwnął energicznie głową. – Jakubowscy są bezpartyjni i niepolityczni. Paweł bardziej niż Konrad. To specjalista, którego interesują wyniki i fakty, a nie rozgrywki międzypartyjne. Dla ludzi pokroju Fornalskiego to najbardziej podejrzana grupa, bo nie da się nimi manipulować i zawsze mogą iść pracować do innej frakcji.

– Ale Jakubowski był później też jakimś wiceministrem.

– No, był. Za rządów następnej ekipy udało się go zrobić wice od finansów. A wciągnął go do tego jego najlepszy kumpel, Ryszard Chodziński.

Brenner uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Który był ministrem obrony narodowej za czasów rządu Fornalskiego. – Inspektor oparł się o ścianę i głośno westchnął. – No tak, wszystko jasne. A że Chodziński przeszedł na stronę centroprawicy, to mógł pociągnąć za sobą Jakubowskiego.

– Nie inaczej, panie inspektorze, nie inaczej. – Mirek mieszał kawę, dzwoniąc głośno łyżeczką. – Następny premier też wywalił na pysk Jakubowskiego, bo to ten sam typ co Fornalski: byle z daleka od obcych elementów. I to właśnie chciałem Wam powiedzieć.

– Dobrze. Dzięki, panie Lubicki, za czujność.

– Mogę zapytać, po co Wam to wiedzieć? – zapytał nieśmiało Mirek.

– Historia jest dość zawiła... a tak naprawdę chodzi o Justynę.

– O Justynę? – Mirek wyprostował się nagle. – A co ona ma z tym wspólnego?

– Niech mi pan powie, co konkretnie Jakubowski robił, kiedy jego brat został ministrem? – odpowiedział pytaniem na pytanie Brenner.

– Nic. – Mirek wzruszył ramionami. – Rozwijał B. S K. To był czas, kiedy on, Adamiak i Słotwiński odbijali się mocno od dna, łapali wiatr w żagle...

– I nikogo nie interesowało, że przypadkiem brat jednego z nich jest ministrem gospodarki?

– Z tego, co mi wiadomo, to nie. Widzi pan, Jakubowski to popularne nazwisko, nie każdy kojarzył, tak jak pan. Poza tym Pawła szybko wywalili. Myśli pan, że prezes to wykorzystał? To znaczy pozycję brata.

– A niech mi pan powie, kto by nie wykorzystał?

– No tak... W sumie racja.

– Panie Lubicki, jak bliskie są relacje Pawła z Chodzińskim?

– O, to dobrzy kumple, może mi pan wierzyć. Znają się od studiów, razem byli w opozycji za komuny.

– Czy są na tyle blisko, że Chodziński mógł zdradzić jakieś tajemnice resortowe Jakubowskiemu?

Mirek spojrzął znad okularów na Brennera.

– Panie inspektorze, boję się takich pytań.

– Musiałem je zadać. To dla nas najważniejsze w tej sprawie.

– Hm... wolałbym nie odpowiadać, ale z tego, co wiem... obydwaj wiedzą o sobie niemal wszystko.

– Jasne. – Brenner kiwnął głową.

– To powie mi pan, o co chodzi?

– Ogólnie rzecz ujmując... Paweł przekazał swojemu bratu informacje pozyskane od Chodzińskiego na temat przeszłości Justyny, które prawdopodobnie miały wpływ na jej porwanie.

Lubicki otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Po upływie minuty zamknął otwór gębowy i potrząsnął łysiejącą głową z niedowierzaniem.

– Niemożliwe – wyszeptał. – Co mu powiedział?

– Tego jeszcze dokładnie nie wiemy... Nie mamy nawet pojęcia, jak to z niego wyciągnąć. Justyna była w wojsku, to pan wie, prawda?

– Tak.

– Jej... poczynania w mundurze i krótko po służbie znacząco odbiegały od tego, co robi zwykły żołnierz. Podejrzewamy, że tego dowiedział się Słotwiński i dlatego chciał zrobić z niej analityka albo i kogoś więcej.

– Nie rozumiem... – Mirek naprawdę czuł się jak idiota.

– Justyna nic o tych planach nie wiedziała, bo nie wiedziała, że szef poznał jej

przeszłość, którą usilnie starała się ukryć. Jednemu z moich ludzi powiedziała, że Kowaliow miał ją o coś przepytować, kiedy ją porwano... Wydaje mi się, że chciał dowiedzieć się, dlaczego jest dla Słotwińskiego taka cenna.

– Ale skąd ten Kowaliow to wiedział? Chyba by mu mój dyrektor sam tego nie powiedział. Znam go.

– Słotwiński miał założony podsłuch w telefonie i prawdopodobnie w kilku innych miejscach.

– Aha... Ale zaraz, zaraz! – Mirek podniósł dłoń. – To on usłyszał, a Wy nie? Przecież policja też mu pluskwy założyła.

– To nas też dziwi... – Brenner pogładził się po głowie. – Myślmy, że po porwaniu zaczął uważać...

– Nie! – Mirek przerwał inspektorowi. – Podsłuchiwaliscie nie tam, gdzie trzeba.

– Jak to? – Teraz to Brenner siedział wyprostowany jak struna.

– Jakubowski ma na Mazurach dom w lesie. Wszystkie tajne sprawy załatwia ze Słotwińskim tam, nawet Adamiaka nie zapraszają.

– Wie pan, gdzie jest ten dom?

– Nie mam pojęcia. Kiedyś Walczak, jeden z analityków, mówił, że wiozł coś pilnie dla dyrektora w nocy, ale nie dostał dokładnego adresu. Słotwiński umówił się z nim na jakimś parkingu koło Węgorzewa.

– Rozumiem. – Brenner spojrział na zegar na ścianie. Z premierem umówiony był na cotygodniowe spotkania sprawozdawcze, ale mógł dzwonić w nagłych przypadkach, a śledzenie Słotwińskiego nim było. Problem polegał na tym, że Brzeziński wyjechał do Ameryki Południowej poprzedniego wieczora i mógł nawet jeszcze nie dolecieć na miejsce. – Panie Lubicki... nie wie pan przypadkiem, kiedy Słotwiński będzie tam znowu jechał?

– Tego nikt nie wie. – Mirek rozłożył ręce. – Na Mazury wyjeżdża tylko wtedy, gdy dzieje się coś ważnego. Poznajemy to po tym, że zabiera z biura torbę na wędkę. Podobno nie łowi, ale wozi je dla niepoznaki.

– Da mi pan znać, kiedy wędkę znikną?

– Natychmiast. – Mirek uśmiechnął się.

– Nie ma pan pojęcia, jak pan nam pomógł – Brenner westchnął i znowu oparł się plecami o ścianę. – Mamy kupę roboty z głowy.

– Łał! Mogę powiedzieć żonie? – Mirek zachichotał. – Ona mi ciągle dogryza,

że jestem starym nudziarzem.

– Witam w klubie – mruknął Rafał i też się roześmiał.

– Pana żona też? Nigdy bym nie powiedział. Taki twardziel... boją się pana przestępcy, ludzie szanują...

– Pan zaczeka, ja to nagram na komórkę, bo mi nie uwierzy.

Kiedy w drzwiach kuchni zjawił się Lenart z kubkiem w dłoni, zastał szefa pokładającego się ze śmiechu razem z Mirkiem Lubickim.

– Hm... coś mnie ominęło? – Uniósł brwi.

– Lenart, czy Twoja żona ma Cię za twardziela? – zapytał Brenner, trzymając się za brzuch.

– Dobra, cofam pytanie. – Zbyszek uniósł dłonie w geście poddania i podszedł do ekspresu.

LXVII

Ewelina dreptała po mieszkaniu za Kotem i o coś go wypytywała. Łukasz nie słyszał dokładnie, o co chodzi, ale prawdopodobnie marudziła, żeby podwiózł ją na uczelnię. Tomasz odmówił, bo ruszali z Meyerem do Krakowa i ładowanie się do centrum o tej godzinie bardzo opóźniłoby ich podróż. W końcu dziewczyna weszła do sypialni.

– Mnie nie proś – Łukasz uprzedził jej pytanie. – Kot jest kierownikiem wycieczki. Jeśli on się nie zgadza, to ja nie mogę mu się wtrącać.

– Ale Łukasz...

– Idź na autobus. Im szybciej wyjdiesz, tym szybciej dojedziesz.

Odwróciła się na pięcie i po chwili wyszła z mieszkania, trzaskając drzwiami.

– Cały weekend nie będzie się do Ciebie odzywać – Łukasz roześmiał się, kiedy wszedł do kuchni. Tomek smarował chleb masłem.

– Nic jej nie będzie. Księżniczka się znalazła. Spakowałeś się już?

– Tak.

– To jedz śniadanie i zbieramy się.

Przez większą część drogi niewiele rozmawiali. Wyjazd z Warszawy zajął im sporo czasu, na trasie też był duży ruch. Zatrzymali się za Radomiem na szybki posiłek i pojechali dalej na południe.

– Ten cały inżynier już tam jest? – zapytał Kot w pewnej chwili, kiedy tablica przy drodze poinformowała ich, że do Krakowa zostało sześćdziesiąt kilometrów.

– Tak. Pojechał wczoraj.

– Jak się nazywa?

– Irek Dziuba. Napisał mi wieczorem wiadomość, że może być problem z wylotem.

– Coś Ty? Możesz nie polecieć?

– Podobno to możliwe – Łukasz westchnął. – Dowiadywałem się nieco na ten temat. Z tymi wojskowymi lotami do samego końca nic nie jest pewne. Plany zmieniają im się jak w kalejdoskopie. W ogóle mamy szczęście, że cokolwiek leci, bo do Bożego Narodzenia odwołane były wszystkie rejsy. Wcisnęli na siłę jakąś Casę z zapasem leków.

– Ale mam jechać prosto na Balice?

– Tak. Zanim przebijemy się przez miasto, zjedźcie się nam trochę, a i tak już jesteśmy w plecy z czasem.

Kiedy po prawie trzech godzinach bardzo stresującej podróży dotarli pod bramę lotniska wojskowego w Krakowie, zobaczyli małą grupkę żołnierzy z pakunkami i bronią. Każdy z nich otoczony był wianuszkami rodziny i znajomych. Zaniepokojony Łukasz rozejrzał się w poszukiwaniu Irka.

– Jest! – odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył lekko przygarbionego człowieka około pięćdziesiątki, zmierzającego w stronę ich auta.

– Cześć. – Irek wsiadł do tyłu i podał dłoń na powitanie. – Mamy problem.

– Boże... – Łukasz jęknął. – Nie lecimy.

– Nie wiadomo na pewno, ale prawdopodobnie nie. Widzisz tych wojaków? Miało lecieć dwóch, a pakuje się cały pluton. Nie wiem, skąd oni się wzięli, ale nie ma dla nas miejsca. Podobno oni też mają jakiś komitet kolejkowy i nie wszyscy się załapią. Casa jest mała...

– I nic nie da się zrobić? – zapytał Tomek.

– Na razie nie. Czekam na wiadomość od szefa z Kabulu. Nie musimy przecież zabrać się z polską armią.

– A z kim? – Łukasz zmarszczył brwi.

– Możemy zawsze polecieć do Anglii. Brytyjczycy też mają kontyngent. No i są jeszcze Niemcy na północy w Mazar-El-Sharif. Andrzej już nad tym pracuje.

– To co robimy? – Tomek zerknął na Łukasza.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział Irek. – W każdej chwili coś może się zmienić. Pójdę jeszcze pogadać z człowiekiem, który pakuje samolot.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. – Kot wzruszył ramionami, kiedy Dziuba wysiadł z auta.

– Nie chciałbym wracać do Warszawy. Znowu do tego mieszkania...

– Nie rozklejaj się. Coś się na pewno wymyśli.

– Tomek... – Łukasz oparł głowę o zagłówek i spojrzał na przyjaciela z ukosa

– co Ty planujesz?

– Słucham? W jakiej kwestii niby?

– No z tą Ewelina?

– Nic. Co miałbym planować?

– Znam Cię. Zakochałeś się, prawda?

Kot prychnął i odwrócił głowę w drugą stronę.

– A nawet gdyby, to co? Źle? – Spojrzał znowu na Łukasza.

– Ale wiesz, że to nie ma przyszłości...

– O, nie! – Tomasz uniósł dłoń. – Nie będziesz tego oceniał.

– Nie oceniam. Martwię się. Znowu będziesz cierpiał.

– Słuchaj, kiedy żeniłem się z Ewką, miałem wątpliwości. Miałem, teraz to mogę otwarcie powiedzieć. Ale byłem na tyle wielką cipą, że uległem namowom innych. Moja matka, matka Ewy, koledzy...

– Ja Cię nie namawiałem. – Łukasz się uśmiechnął.

– Bo jeszcze się nie znaliśmy. Wszyscy mi mówili, jaka ta Ewunia wspaniała, jaka we mnie wpatrzona, jak dobrze gotuje i dba o dom. No to chciałem zadowolić tych wszystkich. I co z tego miałem? Dwanaście lat piekła. A teraz sprawę w sądzie o znęcanie się.

– Żartujesz? – Łukasz wyprostował się nagle. – Ewka oskarżyła Cię o znęcanie?

– Nie... ja ją oskarżyłem. – Kot przygryzł wargę.

– To... to czemu nic nie mówiłeś?

– A myślisz, że to łatwo powiedzieć, że procesuję się z byłą o to, że mnie biła i poniżała? Koledzy mieliby ubaw.

– Ej! – Łukasz złapał go za rękaw. – Nie przesadzaj. Pośmialibyśmy się trochę, ale wszyscy stanęli by po Twojej stronie. Słuchaj... masz szansę na wygranie tej sprawy?

– Początkowo mój adwokat mówił, że nie – Tomasz westchnął. – Ale potem, jak usiedliśmy nad dowodami, to się trochę tego uzbierało. Pomyślałem: wóz albo przewóz, idę na całość.

– A masz świadków? Ja bym zeznawał, ale o niczym nie wiedziałem... bo mi o niczym nie raczyłeś powiedzieć. – Łukasz palnął Kota w tył głowy.

– Uważaj! – Kotowicz wykręcił mu rękę ze śmiechem. – Żony nie biłem, ale Ciebie zawsze mogę. Mam świadków... w zasadzie mam jednego głównego.

– Kogo?

– Teściową.

– Pierdzielisz? – Meyer roześmiał się głośno.

– No właśnie nie. To jakaś filmowa historia. Jak się stara dowiedziała, że poszedłem do sądu, to przyleciała do mnie i powiedziała, że ona tę sukę sama chętnie by udusiła. Ty wiesz, że ta jędzka swoją matkę też biła? Cała rodzina się jej boi.

– Była już jakaś rozprawa?

– Była. Sędzina początkowo próbowała mnie wyśmiewać, ale pomyślałem sobie: Kocie, masz doświadczenie jako stary pies, wiesz, co trzeba mówić i jak się zachowywać, kiedy się jest ofiarą przemocy domowej, wykorzystaj to. I jeszcze jak teściowa wyjechała na koniec ze swoją bajką, to wszystkim szczęki poopadały. A ta idiotka, kiedy to usłyszała, zaczęła się na sali drzeć, że zabije to stare ścierwo. No, cyrk.

– Ja nie mogę – Łukasz rechotał. – Jeszcze skończy się tym, że do więzienia pójdzie Twoja Ewunia.

– Ty się nie śmieję. Pójdzie, zobaczysz. – Kot pokiwał palcem. – Sprawą już zajął się prokurator. A jak wyjdzie, odszkodowanie mi będzie musiała zapłacić. Tak jak Ci powiedziałem, mam dość bycia chłopcem do bicia.

– Mieszkanie Ci odda?

– Powiedziała, że po jej trupie, ale mam kwity na to, że ja większość spłaciłem. Zanim wrócisz z wojny, będę z powrotem u siebie.

– Zabierzesz ze sobą Ewelinę?

Kot zdenerwował się.

– Mówiłem już: nie wtrącaj się! Sam sobie będę układał życie. Ja Ciebie nie oceniam.

– Co to znaczy? Myślisz sobie coś o mnie i się ze mną tym nie dzielisz?

– Może...

– No to powiedz. Chcę wiedzieć, na czym stoję.

Tomasz spojrział na Łukasza z powagą.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Dawaj! Mogę nie wrócić z tego całego Afganistanu.

– Uważam, że skopałeś sprawę z Justyną... na całej linii.

– Aha... – Tego Łukasz się nie spodziewał.

– Może to przez to, co sam przeszedłem, może po prostu jestem sentymentalny... nie wiem. Ja tam mogę nawet jej nie lubić i pewnie trochę mnie wkurza, ta Twoja żona, za to, co zrobiła, czego nie zrobiła, że skłamała i takie tam. Ale! Przez prawie cztery lata była zajebistą żoną, dzięki której Łukasz Meyer chodził codziennie z bananem na swojej głupiej gębie. Robiła dla Ciebie wszystko, dogadzała Ci, była dobra w łóżku, była dobra dla Ciebie. Ja w tym czasie mogłem co najwyżej czasami sobie do Was wpaść i popatrzeć, jak się do siebie mizdrzycie i wydziubujecie z dzióbków, i pomarzyć, że sam mam takie życie. A Ty co zrobiłeś? Wszystko spieprzyłeś. Tak po prostu, w ciągu paru tygodni. Bo co? Bo coś sobie uroiłeś w durnej głowie. A nie przyszło Ci przypadkiem na myśl, że Justyna się nieco dla Ciebie poświęciła? Zastanów się. Nienawidziła swojej roboty – sam bym jej nienawidził. Męczyła się w biurowym mundurku, s płacała ze swojej pensji Wasze mieszkanie, niczego dla siebie nie chciała... wszystko po to, żeby być z głupim Łukaszem Meyerem. Wszystko! Podkreślałem to słowo – wszystko zrobiła, żeby z Tobą być. Bo jakbyś wiedział, że to komandos w spódnicy, to byś nawet na nią nie spojrział. Skończyłem.

Łukasz nie wiedział, co powiedzieć. Podrapał się bezradnie po głowie i rozejrzał wokoło.

– Nie skończyłem! – Coś jeszcze przypomniało się Kotowi. – Nie myśl sobie, że jak pojedziesz do Afganistanu po Justynę, to będę Cię uważał za twardziela z wielkimi jajami. Uważam, że to jedyne rozsądne wyjście w tej sytuacji. Niczego nie poświęcasz ani się nie narażasz. Ona już tam jest i jakoś sobie radzi, więc bez przesady... To tak jak z moją jędzą. Poszedłem do sądu, bo tak trzeba było zrobić, i to dawno temu. Teraz naprawdę skończyłem.

– To... dzięki, że mi powiedziałeś. – Łukasz zamrugął powiekami. – Szczerść jest ważna w przyjaźni.

– Pocałuj mnie w dupę – wypalił Tomek. – Dobrze wiesz, że czasem lepiej czegoś nie powiedzieć.

Roześmiali się obaj jednocześnie.

– Tak na poważnie – wykrztusił z siebie w końcu Meyer – zgadzam się z tym, co powiedziałeś. Dużo o tym wszystkim myślałem i wydaje mi się, że poświęciłem jej za mało uwagi.

– No, coś w tym jest – mruknął Kot.

– Nie zważałem na moją matkę, kiedy jej dokuczała. Nie przejmowałem się,

że męczy się w pracy... grunt, że moja mi odpowiadała. Ja nawet nie wiedziałem, jaki rodzaj kawy lubi pić, chociaż mieszkaliśmy pod jednym dachem. To nie mogło się dobrze skończyć, nawet gdyby nie była tym, kim jest. A gdyby zjawiał się jakiś prawdziwy książę, który zacząłby zwracać uwagę na takie szczegóły? Byłoby po mnie.

– Nie sądzę. – Kot pokręcił głową.

– Możliwe – Łukasz westchnął, zerkając na zegar na desce rozdzielczej. – Mam nadzieję, że to się jednak uda i polecę.

Żołnierze przechadzali się w tę i z powrotem. Dzieciaki znudzone siedziały na bagażach. Robiło się coraz zimniej i coraz ciemniej, ale nikt o niczym nie informował ani nie zapraszał, żeby ogrzać się gdzieś pod dachem. Po upływie pół godziny, kiedy Tomkowi przysnęło się nieco, pojawiła się zgarbiona postać Irka, który biegł w stronę ich samochodu.

– Słuchajcie, jest nadzieja! – powiedział uradowany. – Dostałem cynk z Wrocławia, że jutro wcześniej rano wylatuje stamtąd jakiś nadprogramowy „Heniek”, który dziś przywozi uszkodzone „Rośki”, i ma zaraz wracać.

– Że co? – Kot potrząsnął głową zdezorientowany. – Kto to jest „Heniek”?

– Hercules – roześmiał się Irek. – Samolot z Rosomakami. Musimy szybko tam jechać, żeby Ci tutaj się nie dowiedzieli. Ta Casa prawie na pewno nie poleci, jest potrzebna gdzie indziej i chyba zabiorą ją do Warszawy.

– To co? Jedziemy! – Kot klasnął w dłonie.

– Jedziemy – przytaknął Dziuba. – W razie gdybyśmy się na trasie za mocno rozjechali, będę na Was czekał w motelu niedaleko lotniska na Strachowicach. Łukasz, zadzwonię do Ciebie, jak dojadę.

– OK. – Meyer kiwnął głową. – To w drogę.

LXVIII

– Gdzie jest moja walizka? – Justyna stanęła przed Gogolem z miną mówiącą, że żąda natychmiastowej odpowiedzi na swoje pytanie.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Malina, co Cię walizka obchodzi? Zaraz ruszamy.

– Kurwa! Muszę ją mieć! – Justyna zaczęła nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu.

– Z tego, co mi wiadomo, została w tamtej kryjówce – powiedział spokojnym tonem Krokodyl. – Wszystko spłonęło, z torby na pewno też nic nie zostało.

– A nie moglibyśmy tam jeszcze pojechać na chwilę? – Spojrzała prosząco na Krokodyla. – Proszę. Na minutę...

– Dobrze się czujesz? Żeby ktoś nas potem śledził? Zbieraj się. Idę odpalać samochód. – Krokodyl odwrócił się na pięcie i wyszedł na dwór.

Justyna była wściekła. Chciało jej się krzyczeć, ale tylko zacisnęła pięści i już nic więcej nie mówiła. Całą drogę do prowincji Ghazni milczała, patrząc za szybę samochodu.

Jechali w siódmkę: Krokodyl prowadził swoją toyotę, w której siedziała Justyna z Gogolem i Charliem. W drugim aucie podróżowali Siwy, Warzywo i Radek – Nawigator.auta wypchane były po brzegi sprzętem, bronią i jedzeniem, więc nie mogli poruszać się zbyt szybko. Wyruszyli po zmroku, dlatego gdy dotarli do małej wsi u podnóża gór, drogę oświetlały im już tylko gwiazdy, bo Krokodyl nakazał jechać bez włączonych świateł, co dla Nawigatora nie stanowiło żadnego problemu, tym bardziej dla samego Krokodyla, który pokonywał tę trasę wielokrotnie.

Wieś, a w zasadzie malutkie skupisko domów, które ledwo odstawały od ziemi, była ich częstą bazą wypadową w góry w tym rejonie. Jej mieszkańcy utrzymywali się z tego, że dają im schronienie. Justyna ich nie знаła, bo takie

kryjówki trzeba było co jakiś czas zmieniać. Kiedy zajechali pomiędzy ściśle połączone ze sobą domostwa, z jednego z nich wyszedł niewysoki mężczyzna z siwą brodą i kordialnie przywitał się z Krokodylem. Było późno, ale ciekawskie dzieciaki wyglądały zza drzwi, śmiejąc się głośno. Kozy, zaniepokojone poruszeniem, becząły ze środka. Po chwili jakaś kobieta, prawdopodobnie matka tych dzieci, zdecydowanym głosem uciszyła wszystkich, zaganiając cały inwentarz na swoje miejsca.

Justyna wyszła z samochodu i spojrzała na góry. Żołądek przewrócił jej się gwałtownie na widok rysujących się na niebie ciemnych kształtów. Były ogromne i przerażały ją jak nic innego na świecie. Ani jednego drzewa, same kamienie i pył. I oni – Ci, którzy się w nich kryli, bo znali je jak nikt inny. Chciało jej się płakać, także przez historię z walizką. Pomyślała, co normalnie robiłaby w tym czasie, gdyby nic nie uległo zmianie i gdyby została w Warszawie. Piątkowa noc... Gdyby Łukasz nie pracował, ganiając z pistoletem za jakimś gangsterami, pewnie byłiby w kinie albo kochaliby się we własnym łóżku. A tymczasem on był z kimś innym, a ona była tu, w ostatnim miejscu na Ziemi, w którym chciała być. Westchnęła ciężko i poszła za Krokodylem i Gogolem, zaciskając zęby w mocnym postanowieniu, że weźmie się w garść.

Nie mogli od razu się rozpakować. Najpierw należało przywitać gospodarza i dać się poczęstować tym, co miał najlepszego. Piątek dla niego był świętem, tym bardziej nie wypadało tłuc się z komputerami i bronią po domu. Zasiedli wszyscy w kręgu na klepisku w jakimś większym pomieszczeniu. Justyna miała na tę okazję przygotowaną chustkę zasłaniającą włosy. Gospodarz wyglądał na starca, ale mógł nie przekroczyć czterdziestki. W kącie na dywaniku siedział inny mężczyzna, staruszek z białą brodą, który wyglądał, jakby zaraz miał całkowicie uschnąć. Dostali mocnej herbaty i placki pieczone na kamieniu. Widać było, że tubylcy są bardzo biedni, ale uśmiechy nie schodziły z ich twarzy. Krokodyl znał trochę język pusztuński, więc wymienił z mężczyznami konieczne uprzejmości. Potem przyszedł czas na prezenty od nich. Siwy i Warzywo poszli do auta i przynieśli małą kózkę, na widok której gospodarz o mało nie podskoczył do sufitu swojego niskiego domostwa. Do zwierzaka w pakiecie dołączony był zapas karmy. Tym razem dzieciaki nie wytrzymały i wyskoczyły z sąsiedniej izby, rzucając się z krzykiem na beczące maleństwo, które trzęsło się jak osika na chudych nóżkach.

– Ta mała cholera darła mordę całą drogę z Kabulu – utyskiwał niezadowolony Warzywo.

– Na Twoim miejscu zachowałabym wszelkie tego typu uwagi dla siebie – ostrzegła Justyna znad szklanki z herbatą.

– Bo co? – Warzywo prychnął. – Bo ten stary śmierdziel coś rozumie?

– Zamknij ryj! – Gogol był mniej subtelny. – I zmień tę głupią minę, bo Ci ludzie gotowi pomyśleć, że nie podoba Ci się ich gościna.

Po posiłku poszli wreszcie wyładować swoje rzeczy. Gospodarze udostępniali im dość spory fragment zabudowań, gdzie mogli spać i rozłożyć sprzęt. Justynie jak zwykle dostał się kałach, którego Gogol wręczył jej z uroczystą miną.

– Ku chwale ojczyzny... – wyrecytował.

– ...i na pohybel zdrajcom – odpowiedziała ze śmiechem.

Ta noc była pracowita jedynie dla Charliego, którego zadaniem było uruchomić radiostację i sprawdzić resztę sprzętu. Pozostała część ekipy przygotowała sobie posłania i położyła się spać. Krokodyl miał jednak coś jeszcze do powiedzenia.

– Słuchaj mnie, Warzywniak, jeszcze raz usłyszę taki tekst jak dzisiaj, to wyjębie Cię z grupy i będziesz na piechotę wracał do Kabulu albo i do samej Polski.

– Ej, nie przesadzaj – Warzywo próbował się bronić. – Co oni mogą rozumieć...

– Wszystko, kapuściany łbie. Jakbyś nie zauważył, mieszkają w polskiej prowincji i mają z naszymi dużo do czynienia. Nie wiesz, ile rozumieją i co wiedzą. Więc siedź cicho i uśmiechaj się najszerzej, jak potrafisz, zrozumiano?

– Tak – mruknął cicho, naburmuszony.

Justyna uśmiechnęła się tylko i odwróciła do gliniastej ściany, ściskając pod prowizoryczną poduszką swoją broń. Kiedy światła pogały i słyhać było już ciche chrapanie Krokodyla, Gogol nachylił się nagle nad jej głową.

– Malinka – szepnął do jej ucha.

– No? – odpowiedziała też szeptem.

– Jest sprawa. Krokodyl dał szuszakom kozę... To zły znak.

– Czemu? – Uniosła się lekko na łokciu.

– Bo to w niepisanym kodzie oznacza, że chce zostać tutaj dłużej. Gdyby chodziło o krótki pobyt, dałby im garnek albo jakieś przyprawy.

– Długo, to ile?

– Długo. Wierz mi. Gadałem z Jamalem na ten temat. Obiecał to załatwić tak, żebyśmy nie siedzieli tu Bóg wie ile. Jeszcze nie wiem, co planuje, ale cokolwiek każe zrobić, to się go posłuchaj, dobrze?

– OK. – Zmarszczyła brwi i znowu położyła się na posłaniu.

– Śpij, królewno. Dobrej nocy.

– Dobrej nocy, Kostuś.

LXIX

– Co się z Tobą dzieje? – Grażyna stanęła za plecami męża, który wpatrywał się w widok za oknem ich kuchni. – Jest sobota, miałeś pospać dłużej.

– Kotowicz napisał. – Pokazał komórkę w dłoni. – Meyer właśnie odleciał z lotniska we Wrocławiu.

– O, Boże – westchnęła. – I z tego powodu nie śpisz? To dorosły człowiek, poradzi sobie.

– Miałem zły sen. – Spojrzał na nią z zatroskaną miną. – Gnębią mnie niedobre przeczucia.

– W związku z tym jego wyjazdem?

– Tak.

Grażyna nalała wody do czajnika i zaczęła szykować śniadanie.

– Skoro już nie śpimy, to zjedzmy coś. Jajecznicą?

– Nie chcę jeść. – Rafał znowu obrócił się w stronę okna.

– To zrobię sobie. Czego konkretnie dotyczą te Twoje przeczucia, jeśli można wiedzieć? Boisz się, że Meyerowi coś się stanie albo że Justyna go nie zechce z powrotem?

– Boję się, że straci głowę. Gdyby chodziło o kogoś innego, byłbym spokojny, nawet pomimo faktu, że ledwo zna angielski i jest tam pierwszy raz. Ale chodzi o nią... Nie wiem, czy w razie trudniejszej sytuacji będzie w stanie zachować zimną krew i postąpić właściwie.

– Wiesz co, Brenner? Zachowujesz się jak przedszkolanka, a nie szef grupy funkcjonariuszy CBŚ. Nie poznaję Cię.

Rafał zajął miejsce za stołem i spojrzał na żonę z powagą.

– Może masz rację. Ale jest coś jeszcze...

– To znaczy?

– Mam po prostu złe przeczucia. Jakby miało stać się coś złego.

Grażyna także spoważniała. Mieszała jajka na patelni, zamyślona.

– Może dlatego, że to nowa sytuacja? – powiedziała cicho. – Nigdy nikt z Twoich ludzi nie był w sytuacji, że porwano mu żonę, a już tym bardziej, że trzeba za nią jechać na drugi koniec świata.

– Może... – Potarł dłońmi łysą głowę i westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że nie jedziesz dziś do pracy. Cały tydzień siedziałeś do późna.

– Nie wiem jeszcze. – Znowu zerknął na telefon. – Dzieci z mojego przedszkola chciały mi coś zakomunikować odnośnie wątku wojskowego. Mówiłem Ci, co wymyślili?

– W jakiej sprawie?

– Jednej pani żandarm, która była koleżanką Justyny.

– Tak, mówiłeś – Grażyna parsknęła śmiechem. – Powiem Ci, że jestem pełna podziwu. Mają coś w związku z tym?

– No, podobno mają. Zdjęcia i nagrania. Ale Wiśniewski napalił się, że trzeba temat pociągnąć dalej.

Grażyna zerknęła na Rafała podejrzliwie.

– Chyba nie będzie robił za „agenta Tomka”?

Brenner roześmiał się.

– Prawie. Okazuje się, że nie trzeba jej specjalnie prowokować. Sama mówi o różnych ciekawych rzeczach. Mieli jedną randkę, dziś są umówieni na następną.

– Nie będzie z tego jakichś kłopotów?

– Cholera wie. Niech się chłopaki wykażą. A nuż trafimy dzięki temu na coś ciekawego.

Grażyna wyciągnęła dwa talerze i nałożyła gotową jajecznicę.

– Mówiłem, że nie chcę. – Spojrzał na nią zdziwiony, kiedy postawiła mu przed nosem posiłek.

– To nie jedz. – Wzruszyła ramionami. – Tylko żebyś potem nie mówił, że Cię nie karmię.

– No to zjem – uśmiechnął się, sięgając po widelec. – Skoro tak prosisz.

LXX

Justyna wpatrywała się beznamiętnie w mapę od dobrego kwadransa. Krokodyl stanął nad nią i wskazał jakiś punkt.

– Stąd prawdopodobnie strzelają – powiedział. – Musimy ustalić dokładne gridy i podać je do GWO w Ghazni.

– I to niby ma być takie proste? – Wydęła usta z dezaprobatą.

– No tak... musimy iść w góry i ich namierzyć.

– Jak masz zamiar to zrobić, co? – Spojrzała na niego, jakby był idiotą.

Krokodyl roześmiał się nerwowo, kryjąc irytację. Warzywo z Siwym przyglądali się tej scenie z wielką uwagą, bo wciąż nie wiedzieli, jaką pozycją tak naprawdę cieszy się ich dawna koleżanka.

– Nie słyszałaś? Pójdziemy w góry i...

– ...i będziemy tam siedzieć tak długo, jak Ci się spodoba. Tyle z tego rozumiem. – Justyna złożyła mapę i podeszła do dzbanka z herbatą, którą o świcie dostali od gospodarza. – Nigdzie nie idę, jeśli tak wygląda ten Twój plan.

– Przepraszam bardzo, a masz może lepszy? – podniósł głos.

Gogol zerknął na niego, uśmiechając się kątem ust.

– Tak. Na przykład dowiedzieć się, dlaczego to my mamy się tym zająć, a nie „specjaliści”, którzy sobie właśnie leżą w Ghazni na wozach kołami do góry i oglądają pornole z racji tego, że nie mają nic innego do roboty.

Krokodyl zdębiał. Patrzył na Justynę, mrugając powiekami, i nawet Charlie, który niczego nie rozumiał, spojrzał na niego pytająco.

– Słucham? – Krokodyl odzyskał głos. – Przecież mówiłem...

– Mówiłeś o GROM-ie, ale nie o wojskach specjalnych. Nie urodziłam się wczoraj. Dobrze sprawdziłam przed wyjazdem, kto tam teraz siedzi. Wytłumacz mi, z łaski swojej, dlaczego my mamy narażać swoje dupy, zamiast sobie grzecznie siedzieć w Kabulu?

- Tego mi Brzeziński dokładnie nie powiedział.
- To się z nim skontaktuj i dowiedz, inaczej nie ruszam się stąd.
- Muszę pogadać z Jamalem. – Muszyński złapał za komputer i włączył Skype'a.
- No, bardzo się boję – mruknęła, zajmując miejsce obok Gogola. Chwilę zajęło, zanim Jamal się odezwał.
- Miałem się właśnie z Tobą skontaktować – usłyszeli jego amerykański akcent. – Rozmawiałem z kierownictwem w Londynie na temat Waszej misji.
- No właśnie, bo ja chciałem... – Krokodyl próbował coś powiedzieć.
- Zgodzili się z moją decyzją – przerwał mu Jamal.
- Jaką decyzją? – Krokodyl zrobił się blady. – Chyba nie chcecie tego odwołać?
- Przeciwnie. Zdecydowałem, że akcją będzie dowodzić DeeDee.
- Gogol parsknął cicho, a Justynie o mało szklanka nie wypadła z ręki. Ale nikt nie był równie zszokowany, co biedny Krokodyl.
- Żartujesz? – Wpatrywał się w ekran z przerażeniem w oczach. – To jakiś głupi żart.
- Nie. Dlaczego? – odparł spokojnie Jamal. – Przemyślałem to sobie i doszedłem do wniosku, że poradzi sobie z tym zadaniem doskonale.
- Nieprawda! – wyrwało się Krokodylowi.
- Słuchaj, jeśli się ze mną nie zgadzasz, zawsze możesz wrócić do Kabulu, a ja wyślę na Twoje miejsce Bulleta albo kogoś innego. Sam upierałeś się, że DeeDee może jechać i że poradzi sobie w górach, więc Twój protest jest co najmniej dziwny.
- Krokodyl zacisnął szczęki i już niczego nie powiedział.
- Daj mi ją – powiedział Jamal cicho.
- Cześć, B. B. – Justyna uśmiechnęła się niewyraźnie do kamerki.
- Cześć, DeeDee. Wszystko w porządku?
- Nie do końca.
- Co masz na myśli?
- Po pierwsze muszę wiedzieć, dlaczego zajmujemy się tą sprawą, skoro polski kontyngent ma obecnie po temu siły i środki. Muszę pogadać z premierem.
- OK, niech Cię Krokodyl z nim połączy. Nie widzę przeszkód.
- Poza tym... jeśli pójdziemy w góry, to czy będziemy mieć cień szansy na

QRF?

– Nie – odpowiedział szczerze Jamal.

– Rozumiem. I jeszcze jedno: chcę się spotkać z Żółwiem.

Krokodyl poruszył się niespokojnie, ale powstrzymał się przed powiedzeniem, co o tym sądzi.

– Chcesz wejść do bazy? – Jamal zmarszczył brwi.

– Tak. Chcę się przebrać, wziąć jedno z dzieci Muhammada i porozmawiać z nim.

– Dlaczego?

Justyna uśmiechnęła się, ale jakoś tak mało przyjemnie, i rozejrzała po twarzach kolegów.

– Czy Ty też masz mnie za idiotkę? – Spojrzała zimno do kamerki.

– Co Ty mówisz?

– Żółw pracuje dla nas. Jest naszym szpiegiem w GROM-ie i w całej tej bazie.

Jamal podrapał się po policzku metalowym palcem i odwrócił na chwilę wzrok.

– W związku z tym – kontynuowała – muszę z nim pogadać. Bo może się okazać, że pakujemy się w te pieprzone góry niepotrzebnie.

– OK. – Jamal kiwnął głową, przygryzając wargi. – Zrobisz, jak uważasz.

Kiedy Justyna skończyła rozmawiać, nikt nie odezwał się słowem. Tylko Nawigator siedział w kącie z uśmiechem satysfakcji na ustach i bawił się swoim nożem. Nie było tajemnicą, że nie lubili się z Krokodylem, więc cała ta sytuacja bardzo poprawiła mu humor.

– Ale jatka. – Gogol zaczął nagle chichotać.

Krokodyl obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i wyszedł z domu.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, w czym jest problem? – zapytał w końcu Charlie.

– Malina dowodzi – powiedział Nawigator.

– Tyle już wiem. Ale czemu Krokodyl jest taki niezadowolony?

Justyna roześmiała się.

– W zasadzie to nie wiem, Charlie. – Uniosła ramiona w geście bezradności.

– Ty nami dowodzisz? – Warzywo nagle pojał, w czym rzecz. – Ty?

– Masz z tym jakiś problem? – Gogol zerknął na niego z ukosa.

– Ja się nie zgadzam. – Warzywo pokręcił energicznie głową i założył ręce na

klatce piersiowej, jakby był małym chłopcem. – To nie przejdzie.

Siwy podrapał się po czuprynie, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona niż zwykle.

– Chyba nie mamy nic do gadania – zasugerował cicho.

– Żartujesz?! Nie będzie mną dowodzić jakaś Dąbek.

– Bo co? – Nawigator machał nożem, którego ostrze skierowane było w stronę Warzywa.

– Bo... bo ja ją znam! – Wskazał na Justynę palcem.

– Widzisz, Marchewa – Justyna nie wyglądała na zdenerwowaną – problem polega na tym, że mnie nie znasz.

– Nie jestem żadna Marchewa, ty... – Warzywo chciał się zerwać z miejsca, ale Siwy złapał go za rękaw.

– A mnie się podoba – wyszczerzył się Gogol. – Komu się jeszcze podoba? Głosujemy.

Nawigator, Justyna i Kostek unieśli dłonie do góry. Siwy po chwili również nieśmiało podniósł drżącą rękę.

– Nie wiem, o co chodzi, ale popieram Was – powiedział znad komputera Charlie i też zagłosował za zmianą ksywki dla Warzywa.

Warzywo vel Marchewa wstał i wyszedł na dwór.

– No, to skoro już jedną rzecz mamy jasno ustaloną, możemy zająć się resztą.
– Justyna przeciągnęła się jak kot, ziewając głośno. – Kostuś, jak najlepiej zważyć Żółwia na targ?

– Chcesz iść na targ?

– No, przecież nie wejdę do bazy. Nikt mnie nie wpuści. Trzeba ściemnić, że dzieciak jest chory i potrzebuje nagłej opieki medycznej. Naczytałam się w Internecie o przypadkach dobrego serca naszych dzielnych żołnierzy. Muhammad pójdzie na to?

– Pójdzie. – Nawigator kiwnął głową. – Zapłaci się mu i pójdzie. Poza tym na pewno jakieś dziecko naprawdę jest chore... dzieci zawsze na coś chorują. A do Żółwia trzeba napisać wiadomość, żeby coś pilnie kupił. Albo nie... – Radek uniósł palec w górę. – Nie ma potrzeby. Jak uda Ci się wejść do bazy, trzeba go będzie pokierować tam, gdzie będziesz, czyli do szpitala.

Do pomieszczenia wszedł Krokodyl, a za nim wkroczył obrażony Marchewa.

– Ktoś może mi powiedzieć, z czym ma problem ten człowiek? – Krokodyl

rozejrzał się po zebranych z groźną miną.

– W demokratycznym głosowaniu ustaliliśmy, że zmienimy mu ksywę na Marchewa. Tylko on się nie zgodził – powiedział spokojnie Gogol.

– Aha. – Krokodyl pokiwał głową ze zrozumieniem i podszedł do dzbanka z herbatą.

– I tylko tyle? – oburzył się Marchewa. – „Aha”? Nie zgadzam się, żeby jakaś Dąbek mną rządziła.

– Nie musisz się zgadzać. – Krokodyl wzruszył ramionami. – Możesz wrócić do Kabulu, jeśli Ci się nie podoba.

– Ty... chcesz, żeby ona dowodziła?

– Nie mam nic do chcenia. Dowodzi i już.

– Tak? Ciekawe, co każe mi robić?

– To już ustaliliśmy dawno temu – powiedział Kostek. – Ty i ten Twój kolega jesteście tu po to, żeby nieść Malinie plecak. Malinka nie może się przemęczać.

– Chyba Cię pojebało!

– Uważaj na słowa, Marchewa – w głosie Nawigatora słychać było groźbę. – Niesiesz plecak, bo tylko do tego się nadajesz. Tu nie jest jak w Wojsku Polskim, że im głębszy, tym wyższe stanowisko zajmuje. Tu każdy robi to, do czego został stworzony. Malina ma mózg, to myśli. Ty masz kupę mięśni, to niesiesz plecak. Proste.

Marchewa miotał się jeszcze przez minutę. W końcu usiadł obok Siwego i zacisnął mocno szczęki.

– Przepraszam, że Wam przeszkadzam – Charlie nieśmiało uniósł dłoń – ale była mowa o połączeniu się z Waszym premierem. Proponuję zrobić to teraz, skoro jest w Bogocie.

– Tak. Połącz mnie z nim. – Krokodyl kiwnął głową. – To znaczy Malinę...

Justyna usiadła obok Charliego, czekając cierpliwie na połączenie przez telefon satelitarny.

– Byle szybko, panie Muszyński – usłyszała po chwili.

– Witam. Justyna Dąbek – powiedziała zdecydowanie.

Premier przez chwilę nie odpowiedział. Był wyraźnie zaskoczony.

– Witam panią. Bardzo mi miło. Coś się stało?

– Jesteśmy w górach prowincji Ghazni.

– Czy mógłbym rozmawiać z tym, kto dowodzi?

– Rozmawia pan.

Brzeziński roześmiał się.

– No to miło mi podwójnie. Słucham uważnie.

– Dlaczego zleca nam pan robotę, którą może zrobić kto inny?

– Proszę pani, Lubliniec...

– Nie! Wiem doskonale, jaka formacja tam teraz jest. Niech pan nie robi ze mnie debilki. Chociaż pan, dobrze?

Premier westchnął cicho.

– Niech pani zaczeka. Muszę wyjść na zewnątrz. Dobrze. Czego pani chce?

– Prawdy.

– Doszło do pewnego konfliktu interesów na linii żołnierze–dowództwo w Krakowie. Sytuacja jest napięta, a ja nie mam czasu ani ochoty na rozwiązywanie ich problemów. Minister Koziński jest gamoniem, który w ogóle się do tego nie nadaje, jeśli pani rozumie, co mam na myśli... Dostałem informacje, że ten ostatni ostrzał był z innego miejsca niż zwykle i z nieco innego kalibru. Mam obawy, że to początek czegoś większego.

– Rozumiem.

– Trzeba to zdusić w zarodku, zanim nastąpi eskalacja. Czy teraz jest to dla pani jasne?

– Jak najbardziej.

– Świetnie. I jeszcze jedno... Jest pani na głośnomówiącym?

– Nie. – Justyna spojrzała na Krokodyla.

– Dobrze. Był u mnie pani mąż.

– Kiedy? – Zachowanie spokoju kosztowało ją wiele wysiłku.

– W dniu pani wyjazdu. Domagał się, żebyśmy ściągnął panią z powrotem.

– Skąd...

– Nie wiem, skąd wiedział. Wybiłem mu to z głowy i kazałem wrócić do domu. Powiedziałem, że dla Waszego bezpieczeństwa powinien zamieszkać z jakąś kobietą. Myślę, że jest równie rozsądny co pani, bo już rozniosło się, że odeszła pani od niego, a on ma inną.

– Rozumiem. – Justyna kiwnęła głową, jakby premier mógł ją zobaczyć.

– Miło mi pracować z takimi ludźmi. Powodzenia w akcji.

Brzeziński rozłączył się, swoim zwyczajem bez słów pożegnania. Justyna zaś musiała wznieść się na wyżyny aktorstwa, starając nie okazywać emocji, jakie

wywołały w niej słowa premiera. Oddała telefon Charliemu i spojrzała po zebranych.

– No i co się tak na mnie patrzycie? – Rozłożyła ręce. – Bierzymy się do pracy. Zorganizujcie mi dzieciaka i męża, z którymi wybiorę się na targ. Trzeba ściągnąć Bulleta.

– Po co? – Krokodyl zmarszczył brwi.

– Będziemy potrzebować parę snajperów. Nawigator sam nie da rady.

– To trzeba będzie podchodzić tak blisko? – Gogol skrzywił się.

– Obawiam się, że bliżej, niż się nam wydaje – Justyna westchnęła ciężko.

LXXI

– Kac morderca nie ma serca – mruknął Żółw do siebie, kiedy udało mu się wreszcie rozkleić oczy. – O, w mordę. Ale się najebałem.

Tradycyjnie bolała go głowa, miał kompletnie zeszywniały kark i chciało mu się wymiotować. Ale nie to było dla niego w tym wszystkim dziwne, miał bowiem problemy ze swobodnym oddychaniem. Zerknął na swoją klatkę piersiową i dopiero wówczas zorientował się, że leży na niej jakieś ramię solidnych rozmiarów, które na pewno nie należy do niego.

– Co do cholery? – Dotknął ciała obcego na sobie i spojrzał w bok. Na jednej pryczy leżała z nim jakaś naga kobieta, której twarzy nie widział, bo schowana była pod jego pachą. Na rozczochranych blond włosach dało się zauważyć znacznych rozmiarów odrosty. – Kto to, kurwa, jest?

Nie dokończył jednak oględzin, bo do drzwi jego campu ktoś energicznie zapukał. Odrzucił bezwładną damską kończynę i z trudem podniósł się z łóżka, jak zwykle uderzając głową o pryczę na górze. Nagi jak w dniu narodzin, doczłapał do wejścia.

– Słucham. – Powiew mroźnego powietrza uderzył w jego skórę, unosząc na baczność każdy włoszek na ciele. Oczy miał na wpół otwarte, więc dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że stoi przed nim ksiądz kapelan, który nie wiedział, gdzie podziąć wzrok.

– Yyy... witam... – Ksiądz zrobił mały krok do tyłu.

– Na wieki wieków... hyp... co mogę dla wielebnego uczynić? – Żółw zachwiał się na nogach, w ostatniej chwili łapiąc się framugi.

– Czy... czy pan kapitan Czarny?

– We własnej osobie. Ja i mój Mały Waldek. – Spojrzał w dół na swoje przyrodzenie, jakby sprawdzał, czy nadal tam jest. – W czym możemy pomóc?

– Ja... mnie przysyła pana znajomy... znajomi...

– Mamy wspólnych znajomych? – Żółw roześmiał się z flegmą.

– Mamy jednego. Księdza Jacka.

– Nie znam – Żółw złapał za klamkę, chcąc zamknąć drzwi, bo było mu już bardzo zimno.

– Jacka i Ziutka. Mówili, żebym znalazł Żółwia. – Ksiądz w ostatniej chwili zatrzymał drzwi z siłą, o jaką Żółw nigdy by go nie podejrzewał.

– A... to znam. – Żółw zmarszczył nos. – Co u nich?

– Pan przyjdzie jutro na mszę... skoro teraz jest pan... niedysponowany, to wtedy porozmawiamy.

– Mam być ministrantem?

– Nie trzeba. Niech pan przyjdzie, to ważne. – Ksiądz odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Ale jajca! – Żółw parsknął, zamykając camp. Usiadł na łóżku i zastanowił się chwilę, a że nie szło mu to zbyt dobrze, zerknął znowu na intruza, który nie ruszył się ani o milimetr. – Hej! – Szturchnął blondynkę. – Pobudka.

Kobieta po dłuższej chwili obróciła się na plecy, stękając głośno. Żółw odruchowo najpierw spojrzał na jej gołe cycki, a dopiero potem na twarz.

– Matko, ależ jesteś brzydka. – Wzdrygnął się. – Wstawaj. Oddawaj moje łóżko.

Procedura opuszczania Żółwiowego campu trwała dość długo, ale wreszcie udało się gościowi wytoczyć na zewnątrz. Waldemar odetchnął z ulgą i sięgnął po butelkę z wodą, którą trzymał pod łóżkiem. Wypił duszkiem całą zawartość, kończąc tę czynność głośnym beknięciem.

– Kurwa, Zawisza! – z „gałęzi” odezwał się niespodziewanie głos jego współlokatora. – Nie dość, żeś pół nocy dmuchał jakąś pigułę, to jeszcze bekasz jak świnia. Miałybyś trochę szacunku dla kolegi.

– Sorry. Już będę grzeczny.

– I odbierz wiadomość, bo Ci komórka napierdala od godziny.

Żółw sięgnął pod poduszkę, ale nie znalazł tam aparatu. Dopiero przeszukanie wszystkich kieszeni przyniosło rezultat.

– Co to jest? – mruknął, czytając jednym okiem wiadomość. – „Idź dziś po południu do szpitala”. Po co? Szpital był u mnie – roześmiał się cicho. – Kto to napisał?

Nie znał tego numeru, ale w chwili, gdy zobaczył, że ma brytyjski kierun-

kowy, wytrzeźwiał w jednej sekundzie. Zerknął na zegar – dochodziła druga, więc w zasadzie już było po południu. Zaczął szybko się ubierać i ogarniać burdel, w który zamienił się ich camp. Nie mógł znaleźć komputera, a wiedział, że na takie spotkanie nie może iść bez niego. Był już bliski paniki, kiedy wreszcie zguba znalazła się w metalowej szafce pod jednym z mundurów. Wypadł z campu i pobiegł w stronę szpitala.

LXXII

Pierwsze, co Justynie rzuciło się w oczy, to zmiany. Baza wyglądała zupełnie inaczej niż zapamiętała ją z poprzednich wizyt. Niewiele co prawda mogła dostrzec szczegółów przez burkę, ale z ciekawością wodziła wzrokiem po otoczeniu.

Przyjechała z bratem gospodarza i jego sześciolatkiem synkiem, który wyglądał, jakby miał trzy lata, taki był mały i chudy. Brat też miał na imię Muhammad, ale był wyraźnie młodszy i dużo bardziej wygadany. Chętnie zgodził się na całą intrygę, bez namysłu wybrał najbardziej chorowite z gromadki swoich dzieci i wsadził je razem z Justyną na rozklekotany motor. Do przejechania mieli spory kawał drogi, więc gdy dojechali na targ, Justynę niezle bolał tyłek od wybojów, zwłaszcza że znowu musiała siedzieć bokiem. Malucha wcisnęli między siebie, żeby nie spadł.

– Jeszcze nam tu kozy brakuje – mruknęła Justyna do Gogola przed odjazdem.

– Czekaj, Malinka, jak chcesz, to pobiegnę po jakąś – chichotał Kostek.

Po drodze minęli konwój Rosomaków i całe mnóstwo cudaczných autobusów, które oprócz ludzi wiozły na sobie... inne autobusy, samochody i tony różnego towaru. Aż dziw brał, że w ogóle były w stanie jechać. Justyna miała kilka razy wątpliwą przyjemność podróżować czymś takim razem z Ahmedem, dlatego mimo wszystko bardzo się cieszyła z tego motoru, chociaż było jej na nim bardzo zimno.

Targ położony był tuż obok bazy. Kręciło się na nim mnóstwo żołnierzy: Amerykanów i Polaków. Justyna zobaczyła kilka znajomych twarzy wśród sprzedawców, także prawie najmniejszego na świecie człowieka, który za zrobienie sobie z nim zdjęcia brał dwa dolary. Wzięła dzieciaka na ręce i podreptała za Muhammadem, pewnie idącym pomiędzy sklepikami. Wyglądało na to, że

mężczyzna dobrze wie, co robić. Wszedł do jednego ze straganów i po obowiązkowych powitaniach z jego właścicielem, zaczął szeptem coś mu objaśniać.

– Ty siedź tu – powiedział do niej łamaną angielszczyzną, wskazując na niski zydeł. Justyna usiadła posłusznie, a mężczyźni gdzieś na chwilę poszli. Potem jej „mąż” wrócił i usiadł obok niej, robiąc zboląłą minę. Chłopczyk zasnął na rękach Justyny i wyglądał na jeszcze bardziej chorego.

Kiedy w sklepie zjawił się właściciel z ubranymi w polskie mundury ludźmi, sprawy potoczyły się błyskawicznie. Jeden z umundurowanych był tłumaczem, ten drugi lekarzem, który drapał się bezradnie po głowie, patrząc na budzący litość widok, jaki tworzyła nowa rodzina Justyny.

– No, dobra – powiedział po chwili lekarz. – To weźmy ich. Zobaczymy, co można zrobić.

Tłumacz przekazał to sklepikarzowi, a ten roześmiał się uszczęśliwiony i nawet zaczął płakać ze wzruszenia. Muhammad kłaniał się przed wojskowym nisko, dziękując wylewnie w swoim języku. Skinął na Justynę, która podniosła się z maluchem, i poszli do bazy. Kiedy tłumacz chciał coś powiedzieć do Justyny, Muhammad szybko wyjaśnił, że żona jest głucha jak pień.

W szpitalu wywołali niemałe poruszenie. Brzydka jak noc przełożona pielęgniarek podeszła do nich i wzięła malca na ręce, mówiąc do niego tak, jakby miał coś zrozumieć. Chłopczyk rozbudził się i zaczął płakać, wyciągając rączki do Justyny, więc pielęgniarka oddała go z powrotem.

– Doktorze, pan go zbada? – zapytała kobieta. Na naszywce widniało nazwisko Budzińska.

– Tak. Daj ich za parawan, niech zaczekają chwilę.

Justyna posadziła dziecko na szpitalnym łóżku i zdjęła mu czapkę. Płakało ciągle, przestraszone obcym miejscem i ludźmi wokoło. Po dziesięciu minutach zjawił się tłumacz z lekarzem.

– Od kiedy syn choruje? – zapytał lekarz. Muhammad cierpliwie udzielał odpowiedzi na kolejne pytania, a doktor kiwał głową. – Czy zgodzi się pan na badania dziecka?

Ojciec zgodził się i sam o coś zapytał. Kiedy tłumacz przetłumaczył, lekarz spojrział na Justynę.

– Tak, pana żona może tu zostać, a pan niech idzie z nami. Niech sobie usiądzie i odpocznie. – Wskazał na stołek obok łóżka. – Nikt nie będzie jej tu zache-

piął.

Muhammad wziął synka na ręce i poszedł za lekarzem, a Justyna z ulgą klapnęła na krzesło. Miała ochotę zedrzeć z siebie burkę, ale to nie byłoby zbyt mądre.

– O, przepraszam – usłyszała po chwili głos Żółwia, który zajrzał za jej parawan.

– Pst – syknęła na niego, zanim zdążył odejść.

Spojrzał na nią zdziwiony, więc wstała i uniosła zasłonę zakrywającą twarz.

– Malinka! – krzyknął szeptem, jednym susem rzucając się w jej stronę i łapiąc ją oburącz w pasie. Przyciągnął do siebie i ucałował mocno w usta.

– Puszczaj mnie, moczymordo jedna! – Odepchnęła go zniesmaczona. – Jedzie od Ciebie jak z gorzelnii.

– To naprawdę Ty! – Uścisnął ją jeszcze mocniej. – Jak dobrze Cię widzieć.

– Nie mam za dużo czasu. Musimy pogadać.

– O czym? Co Ty w ogóle tu robisz? Gdzie Twój stary?

– Nic nie wiesz?

– Nie. O czym niby?

– Odeszłam od Łukasza. – Usiadła znowu na stołku, a Żółw zajął miejsce na łóżku. – Wróciłam do grupy. Jesteśmy teraz w Ghazni, niedaleko stąd. Mamy sprawę do załatwienia.

– Jaką sprawę?

– Ktoś podobno strzela do Was z grubej rury.

– No, strzela.

– Powiedz mi, dlaczego „specjalsi” się tym nie zajmują?

– Robią strajk.

– Ale dlaczego?

– Pożarli się z nowym dowódcą. Oni tu mają samolot bezzałogowy.

– O! – Justyna ożywiła się. – Naprawdę?

– Tak. Dwie maszyny im spadły, jednej nie znaleźli, więc dowódca powiedział, że jak rozbiją jeszcze jedną, to będą za nią bulić ze swojej kieszeni. Więc zamknęli latawce w magazynie i nic nie robią, nawet jak jest potrzeba.

– Ale macie jeszcze jakieś samoloty z tego, co mi wiadomo.

– Tak, ale są pewne problemy z obsługą. – Żółw uśmiechnął się ironicznie. – Ten „specjalsów” był lepszy, zwłaszcza w zimie. Cichy i niewidoczny z ziemi.

No i robił niezłe zdjęcia otoczenia.

– Rozumiem.

– A Wy coś macie?

– Niestety. – Justyna przygryzła wargę i zmrużyła oczy, jakby nad czymś intensywnie myślała. – Jedyne, jaki jest, został w Helmand u Louisa, tam też jest potrzebny. Mamy jedynie dalmierz laserowy i swoje oczy.

– Trochę mało. Będziecie musieli podejść blisko.

– Właśnie to mnie martwi... Im wyżej, tym więcej śniegu.

– I trudniej wrócić w jednym kawałku.

– Ty zawsze wiesz, jak pocieszyć człowieka – powiedziała Justyna z przekąsem. – Słuchaj, będziemy w kontakcie. Jeśli nie uda się znowu wejść z chorym dzieckiem, dasz radę podejść na targ?

– Zawsze. Kiedy idziecie w góry?

– Jutro.

– A kto dowodzi? Krokodyl?

– Ja.

– Słucham? – Żółw parsknął. – A Krokodyl się zgodził?

– A ma coś do gadania?

– Niby nie... Hm... Fajnie. Dajcie głos, że nic Wam nie jest. Gdyby tu działało się coś niepokojącego, też zaraz się odezwę.

– Liczyłam na tę deklarację. – Justyna puściła do niego oko. – A teraz usiądź tutaj. Musimy poważnie porozmawiać.

LXXIII

Łukasz miał wrażenie, że jego mózg zamienił się w jedno wielkie śmigło od Herculesa. Siedział w poczekalni w bazie Bagram, czekając na swojego towarzysza podróży, który poszedł zorientować się w ich szansach na jakiś lot do Kabulu. Była już niemal noc i na krzeselkach czekało niewiele osób, głównie amerykańskich żołnierzy. Naprzeciwko niego siedziała śliczna dziewczyna w mundurze, z M16 przy nodze, która rozwiązywała krzyżówki w czasopiśmie kobiecym.

Był głodny i chciało mu się spać, ale bardzo pragnął dotrzeć już na miejsce. Irek uprzedzał, że to może być trudne i jeśli nie uda załatwić się żadnych śmigieł na tę noc albo następny dzień, to wezmą taksówkę. Dla Łukasza brzmiało to jak jakiś żart.

– Nie będę tu kwitł nie wiadomo ile czasu. – Dla Irka sprawa była oczywista. – Cywilami, zwłaszcza nieamerykańskimi, nikt się nie przejmuje. Możemy tu ugrzęznąć na kilka tygodni, jeśli sami sobie czegoś nie zorganizujemy. Poza tym to niedaleko.

Dziuba pojawił się po prawie godzinnej nieobecności.

– Chodź. – Skinął na Łukasza. – Prześpijmy się. Rano coś leci do stolicy, może się wciśniemy.

Poszli do dużego kontenera, który mieścił w sobie kilkadziesiąt łóżek ustawionych piętrowo. Znaleźli dwa wolne i rzucili swoje graty. Irek wyciągnął konserwy i chleb. Podał też Łukaszowi butelkę wódki.

– Trzeba się zdezynfekować. Na wszelki wypadek.

– Ja też mam – Łukasz uśmiechnął się. – W ostatniej chwili ojciec wcisnął mi flaszkę.

Zjedli w milczeniu skromny posiłek i padli na posłania tak, jak stali, bez przebijania się i wieczornej toalety. O wpół do piątej czasu miejscowego jakiś czło-

wiek wyrwał ich ze snu gwałtownym szarpaniem za rękawy.

– Do you wanna fly to Kabul? – zapytał amerykański żołnierz z azjatyckimi rysami twarzy.

Panowie zerwali się na równe nogi i zaczęli zbierać bagaże. Na dworze było tak ciemno, że nie byli w stanie dostrzec, do jakiego rodzaju helikoptera są prowadzeni. Sypał śnieg i mocno wiało, co dodatkowo utrudniało widoczność.

– Aż dziw, że chcą lecieć w taką pogodę – sapnął Dziuba, kiedy wdrapali się do środka maszyny. – Ale nieważne. Grunt, że transport jest.

W Kabulu wzięli taksówkę, która zawiozła ich do jakiegoś hotelu. Irek wysłał wiadomość do szefa i oświadczył, że idzie znowu spać.

Łukasz najpierw nie mógł zasnąć. Wsłuchiwał się w odgłosy miasta, zastanawiając, czy Justyna jest gdzieś blisko. Odczuwał niepokój, który był mu obcy. Dziwne dźwięki i jeszcze dziwniejsze zapachy...

Jak Justyna to znosi? Jej nos pewnie tu wariuje – myślał, patrząc w sufit.

Kiedy zasnął, wcale nie czuł się lepiej. Biegł we śnie przez pustynię, goniąc samochód porywaczy. Nie wiedział do końca, gdzie jest i czy Justyna na pewno znajduje się w tym aucie. Ale biegł zrozpaczony, bo nic innego nie dało się zrobić. Otworzył oczy, gdy było już całkiem jasno. Spojrzał na komórkę, która automatycznie przestawiła się na czas miejscowy. Była jedenasta. Podniósł się obolały i poszedł do łazienki. W południe ktoś zapukał do drzwi jego pokoju.

– Andrzej zaraz będzie – zakomunikował Irek. – Powiedział, że jutro nas stąd zabierze do jakiegoś mieszkania.

– OK. Mam gdzieś iść?

– Tak. Ubierz się i zaczekaj na dole. Pojedziemy coś zjeść.

Andrzej Domański był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, który bardzo przypominał swojego dawnego wspólnika, Daniela Gołęba, ale był trochę grubszy i już mocno siwy.

– Cześć, Łukasz – uśmiechnął się ciepło na powitanie. – Miło Cię nareszcie zobaczyć. To co, przyjacielu? Witaj, przygodo!

LXXIV

– Malina, możesz mi wytłumaczyć, jaki sens ma jednodobowa wycieczka w rejon gór, które nas nie interesują? – zapytał Krokodyl, pokonując kolejne metry kamienistej drogi pod górę.

– Powiedziałam, żebyś szedł i rozglądał się uważnie.

– Szukamy czegoś?

– Jak znajdziesz, to się dowiesz.

– Byłoby łatwiej, gdybyś powiedziała, o co chodzi.

– Po prostu się rozglądaj... Nie marudź.

Wyszli przed świtem. Dzień był krótki, więc słońce już chowało się za górami. Mieli za sobą dwa dłuższe postoje na odpoczynek i jedzenie. Robiło się coraz zimniej i Justyna zaczęła się cieplej ubierać, bo przez większą część drogi szła w cienkiej bluzie, pod którą miała solidną bieliznę termoaktywną.

Uniformy ich grupy, poza tym, że były najwyższej jakości, maskowały ich dość dobrze na tle gór. Zdawali sobie jednak sprawę z tego, że najlepszy kamuflaż nie uchroni ich przed czujnym okiem tych, którzy obrali sobie to miejsce na Ziemi za swój dom.

– Tu też są śmieci – powiedział w pewnej chwili Marchewa, wskazując ręką na jakieś miejsce poniżej trasy ich marszu.

– No – mruknął zziębnięty Siwy. – Kto by się tu martwił ekologią?

– Jakie śmieci? – Justyna zatrzymała się nagle w miejscu, aż Gogol zarył nosem w jej plecak.

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami Marchewa, nie zatrzymując się.

– Stój, głąbie, i powiedz mi, co widziałeś! – Justyna złapała go za rękaw, zmuszając, żeby odwrócił się w jej stronę.

– Ja tu podobno jestem tylko od noszenia Twojego plecaka. – Wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia.

– I od tego, żeby mnie słuchać. Co widziałeś? – warknęła.

– Nic. Kawałek plastiku.

– Gdzie?

– Tam. – Wskazał ręką w nieokreślonym kierunku.

– To nas zaprowadź. Nawi, pilnuj nas.

– Jasne. – Radek kiwnął głową.

Z lekkim ociąganiem Marchewa zawrócił kawałek i zszedł z drogi poniżej jej poziomu. Chwilę szukał czegoś na ziemi, po czym kucnął i spojrzał na Justynę.

– Nie będę tego dotykał. Nie wiem, co to jest.

Wszyscy podeszli bliżej.

– Kawałek plastiku – stwierdził Kostek. – To może być cokolwiek.

– Ma poszarpane krańce. To element czegoś większego. – Krokodyl rozejrzał się wokoło, szukając pozostałych fragmentów tej układanki. – Malina? Jakies pomysły?

– To nie jest plastik – odezwał się niespodziewanie Siwy. – To jakieś włókno.

– Skąd wiesz? – zapytał Gogol.

– Widzę. Coś, z czego było zrobione, miało być lekkie i jednocześnie wytrzymałe.

– Na przykład UAV – powiedziała Justyna spokojnie.

Krokodyl roześmiał się nerwowo.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że szukamy jakiegoś bezzałogowca?

– Nie chcę, ale muszę – uśmiechnęła się Justyna. – Dobra. Robi się coraz ciemniej. Znajdźmy resztę.

– To chyba trzeba zejść niżej. – Gogol wskazał na zbocze w dole góry.

– Nie. – Siwy pokręcił głową. – Musiał upaść wyżej, roztrzaskał się, a odłamki spadły w dół.

– Skąd jesteś taki pewny, co? – Krokodyl zmarszczył brwi.

– Staram się myśleć logicznie. – Zarumienił się Siwy. – Wyobrażam sobie, jak mogło to wyglądać.

– No to idźmy wyżej – zarządziła Justyna, której nagle przeszło całe zmęczenie.

– Bierzemy go? – zapytał Marchewa, wskazując na szary fragment.

– Bierzemy. – Justyna już była na drodze. – Spakuj go do swojego plecaka. Siwy, wyobrażaj sobie dalej i logicznym wywodem poprowadź nas we właściwą

stronę.

Siwy posłusznie ruszył pod stromą górę. Szedł pewnie, jakby robił to wiele razy. Justyna po pięciu minutach była cała mokra. Słyszała, że zabezpieczający tyły ich marszu Nawigator też ma problem ze złapaniem tchu. Wtedy dopiero przypomniało jej się, że przecież ten niepozorny chłopaczek zdobył w szkole mistrzostwo Wojska Polskiego w biegach przełajowych. Miał niespotykaną wytrzymałość i był bardzo zwinny.

– Znalazłem coś większego! – Odwrócił się do nich z uśmiechem. – To chyba element skrzydła.

– A Ty skąd możesz o tym wiedzieć? – Krokodyl przeklinał go w duchu, przeczuwając, że na drugi dzień nie podniesie się przez zakwasy na tyłku.

– Bo widzę kawałek serwokłapy.

– Czego? – wysapał Gogol.

– Klapy, która nadaje kierunek samolotowi.

– Aha... – Kostek odwrócił się w stronę Marchewy. – On jest jakiś dziwny.

– Skończył budowę maszyn na politechnice – wyjaśnił Marchewa. – Jest inżynierem.

Kiedy weszli jeszcze wyżej, znaleźli kolejny element samolotu, ale zorientowali się też, że mają przed sobą małą nieckę, utworzoną z jednej strony ze zbocza góry, a z drugiej ze skał, na których stali. Najwyraźniej nie docierały do środka promienie słoneczne, bo znajdowało się tam sporo zmarzniętego śniegu.

– Gdyby nie ten śnieg, można by tu przenocować – powiedział Radek, który dołączył do nich jako ostatni. – Niezła kryjówka.

– Myślicie, że tu jest samolot? – zapytał Gogol.

– Na śniegu nie ma śladu. – Krokodyl pokręcił głową.

– Samolot zginął dwa miesiące temu, mogło go zasypać – odparła Justyna.

W Krokodyla jakby uderzył piorun.

– Skąd Ty o tym wiesz? Może wiesz jeszcze o czymś, o czym powinniśmy się dowiedzieć?

– Schodzimy. – Justyna zdawała się go nie słyszeć.

Było już niemal ciemno, kiedy rozbijali zmrożoną powierzchnię śniegu, szukając pozostałych elementów maszyny. Justyna kazała Marchewie wykopać większą dziurę pod skałą, w której mogliby się przespać.

– Czemu ja? – Grymas niezadowolenia nie zniknął z jego twarzy.

– Bo jako rasowy zmechol na pewno masz w plecaczku saperkę. Wyciągaj ją i kop.

– A jeśli nie mam, to co?

– To masz jeszcze rączki – zachichotał Gogol.

Po dwóch godzinach mieli obozowisko i na tyle dużo fragmentów, że mogli z całą pewnością stwierdzić, że jest to samolot.

– I co Ty na to? – Justyna zerknęła na Siwego.

– Jest w niezłym stanie. Najwyraźniej przy upadku zawadził skrzydłem o te skały, a reszta wpadła tutaj. Śnieg musiał być wtedy świeży, bo kadłub i akumulatory są nieuszkodzone.

– A te ślady stopienia na powierzchni? – Gogol dotknął czubkiem buta większy fragment. – Wygląda, jakby się palił.

– Bo to Li-Pole, po upadku zapaliły się, ale śnieg chyba ugasił ogień.

– A głowica obserwacyjna? – zapytała cicho Justyna.

– Nie wiem. – Siwy uniósł ramiona. – Trudno tutaj cokolwiek stwierdzić. Jak wrócimy, Charlie będzie musiał to obejrzeć. Słabo znam się na elektronice. Widzę, że obiektywy od kamer są całe. Jeśli w środku coś nie pękło, to może działać dalej.

Na twarzy Justyny pojawił się wyraz najwyższego zadowolenia.

– I co się tak cieszysz? – wycedził Krokodyl. – Mogłabyś to wytłumaczyć?

– A co? Czyżbyś czuł się jak idiota? – W jej głosie słychać było satysfakcję. – Czujesz, że coś wydarzyło się bez Twojej wiedzy i kontroli? To zupełnie jak ja, kiedy władowałeś mnie w ten wyjazd, nie tłumacząc, po co jest. Wszyscy traktujecie mnie jak idiotkę, jakbym była niedorozwinięta, więc ja potraktowałam Was tak samo. Tak, przyszliśmy tu po samolot. Po TEN samolot, który zginął „specjalsom” dwa miesiące temu.

– Po co? – zapytał Gogol.

– Bo nie mamy swojego.

– Malina, ale ten też nigdzie nie poleci.

– Ale poleci inny.

– Malina...

– Dość! Trzeba go spakować. Prześpimy się kilka godzin, żeby przed świtem wrócić.

Nikt już nie próbował dyskutować. Wszyscy mieli dosyć, a napięta atmosfera

nie sprzyjała dobremu samopoczuciu. W dodatku wiatr rozgonił chmury, odsłaniając ugwieżdżone niebo, co oznaczało, że noc będzie bardzo zimna.

– Mam wielki szacunek dla Jamala – szepnął Radek do Gogola, jedząc mięso z konserwy.

– Dlaczego?

– Bo nie wyobrażam sobie, żeby ten stary gad miał kierować akcją. Kompletnie mu odbija przy niej. Zachowuje się, jakby stracił rozum. Malinie zależy tylko na zakończeniu misji i powrocie do Kabulu, on siedziałby tu miesiącami, byle pokazać, kto tu rządzi.

– Ależ Wy się kochacie... – Gogol pokręcił głową.

– A nie mam racji? Jeśli uda jej się załatwić latawca, będzie szansa zakończyć to bez konieczności podchodzenia zbyt blisko.

– Może i racja? – mruknął Gogol. – Idę spać. Ty siedzisz pierwszą zmianę?

– Tak. – Nawigator kiwnął głową.

Kostek położył się obok Justyny i mocno zawinął w śpiwór.

– Dawno już tak sobie razem nie leżeliśmy, co Malinka? Pod gwiazdami.

– No, nie mogłam się doczekać tej randki. Strasznie się nagimnastykowałam, żeby ją zorganizować.

Gogol roześmiał się cicho.

– A poza tym... wszystko w porządku? – zapytał.

Przez chwilę nie odpowiedziała. Patrzyła w niebo, mrugając powiekami, bo mróz zaczął dokuczać jej oczom. Była na Kostka bardzo zła. Po rozmowie z premierem dotarło do niej, że wszyscy wiedzieli, że Łukasz jej szuka, i gdyby wiedziała to wcześniej, mogłaby cofnąć się jeszcze z Londynu. Od początku była okłamywana, jakby ludzie, których miała za przyjaciół, nie szanowali jej wcale. Na usta cisnęło jej się wiele przykrych słów, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, by tych kart nie wykladać za wcześnie na stół, przynajmniej do czasu, kiedy nie dowie się czegoś więcej.

– W porządku – szepnęła. – Śpij już.

LXXV

Mimo że bardzo się starała tego nie okazać, była niezadowolona. Rafał wyczuwał to przez rękaw płaszcza, na którym trzymała swoją dłoń, widział po nerwowych ruchach, gdy szła, i po głowie zwróconej w przeciwną stronę.

– No, dobra, powiedz to wreszcie! – zdenerwowała się, gdy doszli do auta.

– Co niby? – Starał się ukryć uśmiech.

– „A nie mówiłem? No przecież mówiłem, że lepiej będzie zostać w domu i obejrzeć film na DVD, zamiast iść do głupiego teatru na głupią sztukę”.

– Grażyna, po co mam to mówić, skoro Ty sama to wiesz? – Puścił do niej oko i wsiadł do samochodu.

– Była beznadziejna – westchnęła ciężko, zapinając pas. – A takie miała dobre recenzje. Czuję się oszukana.

– W sumie... ten cały Dorociński nie był zły – ironizował Rafał.

– Dobrze wiesz, że był najgorszy z nich wszystkich. Grał tak, jakby mu się nie chciało i jakby miał wszystkich w dupie, i nas, i swoich kolegów.

– Powiedziałaś słowo „dupa” – roześmiał się. – Naprawdę Ci się nie podobało.

– Ktoś pokazuje na scenie gwałt, tuż przed Twoim nosem, i mówi Ci, że to wysoka sztuka. Dobrze, że się nie wypróżniali... Rafał, dlaczego jedziesz tędy?

– Bo wydaje mi się, że ktoś nas śledzi. – Zerknął do lusterka.

– Żartujesz?! – Obejrzała się. – Może masz policyjną paranoję?

– Mam nadzieję...

Dopiero na Jerozolimskich odzyskał nieco spokoju. Nie mówił nic Grażynie, ale czuł niepokój od chwili, gdy się obudził. Dzień wcześniej odebrał dwa głu-
che telefony w domu i ciągle zdawało mu się, że ktoś obserwuje ich blok. Kiedy przyjechali na parking osiedlowy, nie wysiadł od razu, tylko uważnie rozejrzał się wokół.

– Wszystko gra, kochanie? – Grażyna położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tak. Chodźmy do domu. Głodny jestem.

Wysiedli z auta. Rafał zamknął pilotem drzwi i odwrócił się w stronę żony, chcąc jej coś powiedzieć. Wtedy padł strzał.

Początkowo niczego nie poczuł. Wydawało mu się, że został tylko ogłuszony, bo w uszach mocno mu dzwoniło. Dopiero gdy nie mógł ustać na nogach i zaczął chwiać się na coraz bardziej miękkich kolanach, zrozumiał, że stało się najgorsze. Zabolało naprawdę, kiedy nad sobą zobaczył przerażoną twarz Grażyny. Coś mówiła albo nawet krzyczała, ale nie słyszał niczego.

Ocknął się na krótką chwilę w karetce, a potem w szpitalu, kiedy wieziono go przez długie korytarze. A później... zrobiło się ciemno.

Pierwszy zjawił się Kot, wlokący za sobą przestraszoną Ewelinę. Grażyna wyglądała na spokojną, była tylko bardzo blada. Ścisnęła kurczowo dłonie i chodziła od ściany do ściany.

– Gdzie jest? – zapytał zdyszany Tomek.

– Na bloku operacyjnym.

– Widziała pani...

– Nie, niczego. Byłam odwrócona... to znaczy widziałam, jak dostał w klatkę piersiową i upadł. Nie zauważyłam żadnego samochodu ani człowieka...

– Rozumiem. Dzwoniła pani do córki?

– Jeszcze nie. Czekam na wynik operacji.

Na korytarzu pojawili się Lenart i Kowalski. Ewelina odruchowo schowała się za plecami Kota na widok kuzyna, ten jednak nawet na nią nie spojrzał.

– Coś wiesz? – zapytał Zbyszek.

– Na razie nic.

– My zajmujemy się tą sprawą? – Mariusz starał się zachować spokój, ale dłonie mocno mu drżały.

– Nie. – Kot pokręcił głową. – Wolę, żeby kryminalni ze Stołecznej ją wzięli. Nie damy rady przy tym, co teraz robimy.

– Dzwoniłeś do Rasiaka?

– On mnie powiadomił. Był... Powiedział, że mamy kontynuować nasze sprawy bez względu na wszystko.

– Miałam nadzieję, że wy... – Grażyna nie zdołała dokończyć i usiadła na krzeselku.

– Pani Grażyno. – Kot zajął miejsce obok. – Jest nas za mało, a poza tym wszyscy jesteśmy zaangażowani w to emocjonalnie. Potrzebny jest ktoś, kto ma inny osąd sytuacji.

– Jasne – szepnęła, odwracając wzrok.

– Kot – Lenart skinął na Tomka – możemy pogadać?

– Pewnie. Ewela, posiedź przy pani Grażynie.

Odeszli we trójkę na bok.

– Co Wy o tym myślicie? – Zbyszek wskazał na drzwi na końcu korytarza. – To przez to, co teraz robimy?

– Nawet tak nie mów. – Mariusz pokręcił głową. – To byłoby kurewsko źle. Dla nas wszystkich.

– Tak. Ale musimy się z tym liczyć.

– Zbych ma rację. – Kot potarł dłonią policzek. – Trzeba zwiększyć czujność i pomyśleć o ochronie. Jedźmy może do biura, ściągajmy wszystkich. Młoda niech tu zostanie, i tak wolałbym, żeby nie siedziała w domu sama. Da nam znać, co ze starym.

– OK. – Mariusz spojrzał na kuzynkę, jakby dopiero ją zauważył. – To jedźmy.

Pod szpitalem spotkali Słomkowskiego z Piotrkim Mzygłodem, więc wybrali się do pracy wszyscy razem. Na miejscu jednak nikomu nie chciało się nic mówić. Każdy zerkał co chwilę na puste biurko szefa za szklaną ścianą.

– Meyer się odzywał? – zapytał po chwili Piotrek.

– Tak. – Tomek kiwnął głową. – Pisał, że jest na miejscu. Doleciał cało i czeka na wiadomości z Ghazni.

– To co robimy? – Mariusz rozejrzył się po wszystkich.

– Zadzwoń do Rasiaka. – Tomek podniósł się z miejsca. – Musimy wiedzieć, co premier na to. Jest poniekąd w to umoczony.

Kotowicz wyszedł do sali narad i wrócił szybciej, niż się spodziewali.

– Kto jedzie ze mną?

– Ale dokąd...

– Ja pojedę – powiedział bez namysłu Marcin.

– To chodźmy. Ktoś po nas przyjedzie. – Tomek ruszył w stronę wyjścia.

– Możesz to jakoś wytłumaczyć? – dopytywał się Mariusz.

– Jadę dowiedzieć się, co dalej. Jak chcecie, to zaczekajcie na nas, a jak nie, to

umówmy się tu na rano.

Przed budynkiem nie było jeszcze nikogo. Stali chwilę w milczeniu, rozglądając się bezradnie wokoło. Po kilku minutach na parking podjechała czarna limuzyna rządowa, z której wysiadła wysoka, bardzo szczupła kobieta w czarnym płaszczu. Włosy miała związane w ciasny kok, a z jej ucha wystawała słuchawka z przewodem.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała bez wyjaśnień. – Zapraszam do wozu.

Dość szybko zorientowali się, że nie jadą na Aleje Ujazdowskie. Samochód skierował się w stronę Żoliborza i za placem Wilsona skręcił w jakąś uliczkę. Zaparkowali pod niedużą willą, z której wyszedł ktoś, kto również wyglądał na funkcjonariusza BOR-u. Kiedy Kot z Marcinem wysiedli z samochodu, mężczyzna otworzył szerzej drzwi i ruchem ręki zaprosił ich do środka.

Premier siedział w małym gabinecie, oświetlonym jedynie lampką na biurku. W fotelu pod oknem zobaczyli zmartwionego Rasiaka. Obydwaj panowie ubrani byli w swetry i nie wyglądali z pozoru jak ktoś ważny.

– Zapraszam. – Brzeziński zdjął okulary, wskazując na krzesła przed biurkiem. – Proszę zamknąć drzwi.

Usiedli. Rasiak nie patrzył w ich stronę, nie wyglądał najlepiej.

– Panowie, mamy... sytuację – powiedział spokojnie premier. – I musimy zastanowić się nad tym, co możemy z nią zrobić. Czy w ogóle trzeba coś zrobić.

– Panie premierze... – Tomek zaczął, ale premier przerwał mu gestem dłoni. Najwyraźniej miał coś jeszcze do powiedzenia.

– Pierwsza sprawa: czy może pan przejąć obowiązki inspektora? Najważniejsza jest ciągłość dowodzenia.

Kot zamrugał powiekami, zdumiony pytaniem.

– Tak... oczywiście – wykrztusił.

– Świetnie! Nie chciałbym wciągać do tego kogoś więcej. Proszę zamknąć listę osób, które wiedzą, co robicie. Chcę ją mieć rano na biurku... to znaczy przekaże ją pan generałowi.

– Dobrze.

– Zalecam ostrożność, ale tego chyba nie muszę tłumaczyć. Mamy niestety problem z mediami, ale nie dało się już tego zatrzymać, więc jutro wszyscy się dowiedzą, co się stało.

– Ale... może to dobrze? – odezwał się nieśmiało Marcin. – Nagłośnienie

sprawy pomoże odciągnąć uwagę od naszych... tematów. Od nas. Wiem, że brzmi to mało logicznie, ale ktoś może jutro wystąpić w telewizji i podać inny powód albo w ogóle coś z czapy.

Premier spojrział na Rasiaka, który niczego nie powiedział, ale zrobił minę dającą do zrozumienia, że jest gotów zaakceptować to rozwiązanie.

– OK, zajmę się tym. – Brzeziński kiwnął głową. – Wykorzystajmy każdą szansę. To teraz przejdźmy do sedna. Czy macie pomysły, kto i dlaczego?

– Będę z panem szczery, bo szef uprzedzał, że takie są pana oczekiwania – westchnął Kot. – Nie mamy bladego pojęcia, kto mógł posunąć się do czegoś takiego. Wydawało się nam, że te listy, pogróżki... że to robota amatora. Nie wiem, czy zostało to panu przekazane, ale ślad prowadzi do Sztabu Generalnego.

Premier oparł się o fotel i zacisnął szczęki.

– Tego akurat nie wiem. Niech pan kontynuuje.

– Ten ktoś odstawił fuszerkę, więc sądziliśmy, że nie jest groźny...

– A ten od włamania i samochodu?

– Nie mamy żadnych konkretów, tylko przypuszczenia... Starzy znajomi Justyny, którzy w wojsku pną się po kolejnych szczeblach kariery, mają spory interes w tym, żeby ją uciszyć. Dopiero zaczęliśmy to rozgryzać, mamy pewien trop... Jeden z kolegów ze Stołecznej umawia się z pewną kobietą, próbuje ją podejść.

– Rozumiem.

– Ten zamach na szefa... jest po prostu niepasującym kawałkiem układanki. Przynajmniej w chwili obecnej.

– W porządku. – Premier znowu nachylił się nad biurkiem. Wyglądało na to, że ma już jasny obraz sytuacji. – Przyjmijmy, że mamy podwyższony stan gotowości bojowej. Jeśli to możliwe, zabezpieczcie swoich bliskich, przynajmniej do czasu, gdy nie dowiemy się czegoś więcej. Generale, kto prowadzi śledztwo?

– Grupa Łysiaka.

– Tego Łysiaka? – Brzeziński pokręcił głową.

– Tak. Pierwsi tam byli. Nie mogli znaleźć swojego szefa, więc ktoś powiadomił najpierw mnie.

– Co pan na to? – premier zwrócił się do Kota.

– Niech będzie. My nie powinniśmy jeszcze tym się obarczać.

– Dobrze więc. – Premier potarł dłonie. – Jedźcie do swoich zajęć. Ja zajmę

się mediami. Panie generale, pan zostanie jeszcze chwilę.

Brzeziński podniósł się i wyciągnął dłoń do Kota i Słomkowskiego.

– Powodzenia – powiedział i usiadł z powrotem w fotelu.

LXXVI

W pierwszej chwili nie poznał Charliego, schowanego nieco za towarem w sklepiku. Brytyjczyk siedział na jakiejś skrzynce i uśmiechał się do niego. Zanim Żółw wszedł do środka, rozejrzał się wokoło, sprawdzając, czy nie idzie za nim nikt, kto mógłby niepotrzebnie zainteresować się tym, co robi na targu.

– Witaj. – Uściskał Charliego i też przysunął sobie skrzyneczkę. Właściciel stoiska zachowywał się tak, jakby ich w ogóle nie było.

– Hej. Miło Cię widzieć. Nieźle wyglądasz, jakbyś był na wczasach, a nie na wojnie. – Puścił oko do Żółwia.

– Ale moja wątroba ma już dość tych wakacji – Waldek westchnął ciężko, klepiąc się w prawy bok. – Co masz dla mnie? Pewnie Malina Cię przysyła.

– Tak. – Kiwnął głową Charlie i wyciągnął z plecaka komputer. – Mam kilka zdjęć, które musisz sobie skopiować i pokazać komuś w bazie.

Żółw nabrał powietrza w płuca i gwałtownie je wypuścił na widok fragmentów rozbitego samolotu.

– A to diablica! – Pokręcił głową. – Znaleźliście go.

– Mnie przy tym nie było. Poszli na dwadzieścia cztery godziny w góry i znaleźli. Malina prosiła, żebyś poszedł do ludzi, do których należał ten samolot, i dobił z nimi targu.

– O, matko – Żółw jęknął. – Już się boję...

– Głowica z kamerami jest cała, sprawdziłem dokładnie. Autopilot i silnik też. Jeśli pożyczą nam swój samolot, oddamy im całość.

Żółw bez słowa wyjął swój komputer i włączył go.

– Pojutrze Malina przyjedzie do bazy z tym chorym dzieckiem na kontrolę – Charlie kontynuował. – Gdyby udało Ci się namówić ich do współpracy, przyprowadź kogoś, kto umówi się z nami co do szczegółów tej misji.

– OK. – Żółw kiwnął głową, patrząc na ekran komputera.

Nie miał ochoty dogadywać się z kimkolwiek z tych ludzi... Nie lubił ich i było to uczucie odwzajemnione, ale to nie GROM płacił mu najlepiej w układzie, w którym zgodził się pracować.

Starszego sierżanta Remigiusza Zawadkę znalazł na siłowni. Umieśniony brodacz o surowym wyrazie twarzy budził u wielu osób lęk. Nie bał się mówić tego, co myśli, nie bał się przełożonych ani kolegów. Przypominał Żółwiowi Krokodyla, bo lubił chadzać swoimi drogami. Jako jedyny z grupy nie miał żadnej ksywki.

– Cześć. – Waldek stanął przy nim, kładąc dłoń na gryfie, który Zawadka miał zamiar unieść wraz z całym obciążeniem. – Musimy pogadać.

– Spadaj – warknął sierżant.

– Chcesz usłyszeć, co mam Ci do powiedzenia, wierz mi. – Żółw nie zabrał ręki.

Zawadka postawił sztangę na podłodze i spojrzał mu w oczy z kpiącym uśmiechem.

– Czego mógłbym chcieć od takiej lalki?

– Zdziwiłbyś się. – Żółw odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Zdezorientowany lekko sierżant poszedł za nim na zewnątrz. – Poznajesz? – zapytał, otwierając laptopa ze zdjęciem głowicy obserwacyjnej. – To chyba jest Wasze.

– Skąd to masz? – wycedził Zawadka.

– Znalazłem.

– Gdzie?

– Pojutrze Ci powiem. – Zamknął laptopa i znowu odwrócił się od sierżanta.

– Czekaj! – Zawadka złapał go za ramię. – Masz coś jeszcze?

– Mam. Wszystko.

– Co za to chcesz?

– Ja nic. – Żółw wzruszył ramionami. – Kto inny chce. Dam Ci znać, to pogadasz z człowiekiem. Dogadacie się, bo to nie jest lalka taka jak ja. – Puścił oko do sierżanta i poszedł sobie.

W drodze do swojego campu nagle zatrzymał się i podrapał po głowie. Coś nie dawało mu spokoju, jakby zapomniał o czymś, co było bardzo ważne. Zerknął na komórkę – dochodziło południe. Rozejrzał się wokoło, szukając odpowiedzi na swoje rozterki, i usłyszał świst. Odruchowo skulił się i na nisko ugiętych

nogach zaczął biec w stronę schronu. Uderzenie nastąpiło w momencie, gdy mijał kaplicę. Wtedy dopiero przypomniało mu się, co miał zrobić, ale biegł dalej. Kiedy spadł kolejny pocisk, był już w schronie.

– Co jest, kurwa? – usłyszał głos kogoś, kto wszedł do środka za nim. – Napierdalają jakimiś rakietami. Jeszcze takich nie widziałem...

Trzecie uderzenie musiało nastąpić gdzieś dalej od bazy, ale też zrobiło wrażenie. To było ostatnie. Żółw wyszedł ze schronu po godzinie i od razu pobiegł do kaplicy.

– Spóźnił się pan tylko dobę – powiedział ksiądz na jego widok. Kapelan był w środku i sprawdzał, czy nic się małej świątyni nie stało.

– Przepraszam, zapomniałem.

– Dobrze, że pan przyszedł... mimo wszystko. Mam nadzieję, że doszedł pan do siebie. I pana Mały Waldek też.

Żółw roześmiał się nerwowo, zerkając na krzyż na ścianie.

– Tia... obaj czujemy się świetnie. To co ksiądz chciał powiedzieć?

– Proszono mnie, żeby zapytać pana o pewną osobę... O Justynę.

– Kto prosił? – Żółw spoważniał.

– Jacek. Dzwoniła do niego w poprzednią niedzielę, już z Afganistanu, i od tego czasu nie dawała znaku życia. Martwi się.

– Czy ksiądz wie, kim jest Justyna?

– Nie mam pojęcia. – Kapelan pokręcił głową.

– Aha... To może mu ksiądz powiedzieć, że nic jej nie jest. Widziałem się z nią. Jest cała i zdrowa.

– Tak przekażę. Bardzo panu dziękuję.

Żółw zmarszczył brwi. Zastanowił go brak zdziwienia na jego krótką odpowiedź. Nie było pytań o to, gdzie widział Justynę, co ona robi i w którym miejscu przebywa. Wyszedł z kaplicy i ruszył zamyślony do siebie.

– Zawisza, co się tak martwisz? – usłyszał za plecami głos swojego współlokatora. – Nie martw się. Nasza chatka nie ucierpiała, mamy do czego wracać.

– A czyjaś dostała?

– Chodź, to zobaczysz.

LXXVII

Grażyna miała dość wszystkiego. Chciała tylko móc położyć się, najlepiej na łóżku obok Rafała, i zasnąć. Policja, media, personel medyczny, a na dokładkę jej własna córka – każdy ją męczył pytaniami i swoją obecnością. A ona marzyła jedynie o spokoju dla siebie i dla niego, żeby nareszcie wydobrzeła.

– Mamo, jedź do domu. Odpocznij – marudziła jej nad uchem Martyna.

– Nie mów mi, co mam robić, dobrze? – odpowiedziała słabo, opierając obolałą głowę o ścianę. – Zostaw mnie w spokoju.

– Jesteś uparta jak...

– Ani słowa więcej! – wybuchła w końcu. – Jedź stąd i zostaw mnie samą.

– Jak chcesz. – Martyna westchnęła i zabrała kurtkę z krzeselka. – Jutro zajrzę.

Na opustoszałym korytarzu pojawił się lekarz. Zerwała się na jego widok z lekkim obłędem w oczach.

– Jakaś zmiana? – wyszeptała.

– Obudził się. Chce panią widzieć.

Leżał tak samo jak poprzednio, na wznak, podłączony do całej aparatury, ale miał otwarte oczy i oddychał samodzielnie. Grażyna nachyliła się nad nim, ścisnąc jego dłoń.

– Słyszysz mnie? – zapytała cicho.

Skinął nieznacznie głową i spojrzał pytająco.

– Moi ludzie... – poruszył ustami.

– Co mówisz, kochanie?

– Moi ludzie... gdzie są?

– Kto?

– Kotowicz, Kowalski, Mzygłód... i reszta.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Wyprostowała się. – Co mnie Twoi ludzie

obchodzą? Ktoś do Ciebie strzelał, o mało nie umarłeś, a Ty się martwisz o ludzi?

Rozejrzył się wokoło, jakby czegoś szukał.

– Długo tak leżę?

– Od wczoraj. Jest poniedziałek, wieczór... Pamiętasz coś?

– No... Mogę wstać?

– Nie! Rafał, co Ci przyszło do głowy? Musisz odpoczywać, spać, wyzdrowieć...

Zamrugnął powiekami, bo nie miał siły już kiwnąć głową.

– Będę spał...

Zamknął oczy i chyba naprawdę zasnął, bo jego oddech wyrównał się po chwili. Grażyna usiadła obok i oparła głowę na łóżku. Też musiała przysnąć, bo nie zauważyła nawet, jak do sali wszedł lekarz, który położył jej dłoń na ramieniu.

– Pani Brenner, możemy porozmawiać?

– Tak, oczywiście. – Zerwała się ze stołka, przetarła zmęczone oczy i wyszła na korytarz. – Coś z mężem?

– Nie. Ktoś do niego przyjechał i chce się z nim koniecznie widzieć.

– Kto? On nie ma na to siły, ledwo mówi. Ja się nie zgadzam...

– Ale może powinna pani sama z nim porozmawiać? – Lekarz wskazał ręką na drzwi wejściowe na oddział. – Poproszę go tutaj.

Grażyna usiadła znowu, zaniepokojona zachowaniem lekarza. Modliła się w duchu, żeby to nie był premier ani nikt ważny. Bała się, że Rafał zdenerwuje się niepotrzebnie i będzie chciał wstawać od razu do pracy. Jednak w drzwiach zobaczyła wąsatego mężczyznę, który prowadził za rękę małego chłopczyka z czarnymi oczami. Lekarz przyprowadził ich do niej, uśmiechając się niewyraźnie.

– Ten młodzieniec twierdzi, że musi widzieć się z inspektorem, bo to sprawa życia i śmierci – wyjaśnił.

– Ale... – Grażynę kompletnie zatkało.

– Przedstaw się. – Wąsaty szturchnął chłopca.

– Jestem Kuba Bąk. – Wyciągnął małą rączkę na powitanie. – Muszę z nim porozmawiać.

– O czym? – Nie wstawiała, żeby mieć jego buźkę na wysokości oczu.

– O moim zleceniu – odpowiedział konspiracyjnym szeptem. – To sekret.

– Ale jakim zleceniu?

– Wynająłem go.

– Do czego?

Kuba rozejrzał się wokoło, dając otoczeniu do zrozumienia, że to są prawdziwe tajemnice przeznaczone tylko dla wybranych.

– Hm... to ja pójde do siebie. – Lekarz oddalił się z uśmiechem.

– A pan... – Grażyna spojrzała pytająco na mężczyznę, który przyprowadził malca.

– Bogdan Rusinek – przedstawił się, wyciągając dłoń. – Jestem jego wujem. Uparł się, że musi zobaczyć pani męża. Zrobił wielki strajk, nie jadł, nie pił, nie poszedł do szkoły... Nie było na niego siły.

– Ale... ja nie rozumiem.

Bogdan usiadł obok niej.

– Pani mąż był u nas kiedyś... pod Radomiem. Szukał Justyny razem z jej mężem.

– A... – Grażyna przewróciła oczami. – Justyna...

– Bardzo przepraszamy... ale on zobaczył w telewizji, że pani męża postrzelono i dostał hysterii, że nie wykona jakiegoś jego zlecenia. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Szwagierka chciała z nim do psychiatrii jechać...

Grażyna kiwnęła głową i spojrzała na Kubę, który patrzył na nią wyczekująco.

– Chodź. – Wzięła go za rękę. – Sam z nim porozmawiasz.

– Ale lekarz nie pozwolił. – Bogdan był wyraźnie wystraszony. – On nie ma fartucha...

– Nie szkodzi. – Grażyna machnęła ręką, drugą ciągnąc za sobą chłopca. – Niech pan tu zaczeka.

Weszli do sali z aparaturą i podłączonym do niej Rafałem Brennerem. Kiedy Grażyna nachyliła się nad nim, od razu otworzył oczy.

– Masz gościa – powiedziała z uśmiechem. – Podobno nie wywiązałeś się z jakiegoś zobowiązania.

Podsunęła stołek bliżej łóżka i postawiła na nim Kubę. Na jego widok Rafał nabrał powietrza w płuca, wyraźnie ożywiony.

– Cześć, Kubo Bąku – przywitał się na tyle radośnie, na ile pozwalały mu

szwy i słabe siły. – Co Cię do mnie sprowadza?

– Co z moim zleceniem? – zapytał malec z powagą. – Miałeś ją znaleźć.

– I szukam. Wysłałem do Afganistanu swojego najlepszego człowieka. Już jest na miejscu i łapie trop.

– Naprawdę? – Oczy Kuby zrobiły się wielkie jak spodki.

– Naprawdę. Ja zawsze dotrzymuję obietnicy.

– Kto Cię postrzelił? – zapytał mały, wyraźnie przejęty widokiem całego sprzętu wokół łóżka.

– Nie wiem. To niebezpieczna robota, wiesz? Różnie bywa.

Kuba pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Boli cię?

– Jak cholera. – Rafał uśmiechnął się. Grażyna widziała, że oczy mu lśnią.

– Ale jesteś twardy, prawda? – Kuba zacisnął szczęki, jakby wyobrażał sobie, co musi czuć ktoś postrzelony z pistoletu.

– Muszę być. Ty też jesteś, co? Przyjechałeś taki kawał drogi, żeby dowiedzieć się, co ze sprawą.

Jakub zdawał się w tym momencie unosić pięć centymetrów nad krzesłem, na którym stał. Wypiął mocno pierś i kiwnął głową.

– Kubo – Rafał złapał małą łapkę w dłoń i lekko ścisnął – mam prośbę: nie możesz nikomu powiedzieć o naszej umowie. Nikt nie wie, że szukamy Justyny. To tajna akcja. Jeśli ktoś niepowołany się o tym dowie, nie znajdziemy jej.

– Nie powiem – obiecał Kuba. – Nikomu.

– Pójdziemy już – powiedziała Grażyna Kubie na ucho. – Musi odpoczywać.

– To pójdę – westchnął chłopczyk. – Mogę Cię jeszcze odwiedzić?

– Zawsze. – Głos Rafała był wyraźnie słabszy.

Grażyna postawiła małego na podłodze i wyprowadziła z sali. Bogdan wstał z krzesła na ich widok.

– Bardzo pani dziękuję. Już nie będziemy przeszkadzać.

– Nie przeszkadzacie. – Grażyna poczuła się bardzo zmęczona. – Nocujecie w Warszawie?

– Nie. Wracamy do Radomia...

– To nie jest dobry pomysł. Pada śnieg, jest już bardzo późno... Jedźcie do nas, ja Wam przygotuję nocleg.

– Nie będziemy robić kłopotu... – Bogdan był wyraźnie zmieszany. – Obieca-

łem jego matce, że wrócimy... On ma szkołę.

– Proszę pana, do mamy można zadzwonić, a jak wrócicie po północy, to i tak on jutro nigdzie nie pójdzie. Chodźmy. Zawiezie mnie pan od razu do domu, bo nie mam samochodu.

Wuj Kuby już nie dyskutował. Kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni czapkę, którą założył chłopcu na głowę. W aucie Kuba nie posiedział długo. Wypiął się z pasów i stanął między siedzeniami, wbijając palce w ramiona Grażyny. Zanim dojechali na osiedle Brennerów, wiedziała już wszystko o wizycie Justyny w domu pod Radomiem, o tym, dlaczego Kuba myje się co drugi dzień, o skodliwości nadmiaru brudu i nadmiaru czystości.

– Musisz zachować zasadę złotego środka – tłumaczył malec z przejęciem. – Inaczej zachorujesz.

– Rozumiem. – Grażyna słuchała go z wielką uwagą. – Jesteś bardzo mądry, wiesz?

– No – przyznał skromnie.

– A dzisiaj będziesz się kąpał?

– Nie. W poniedziałki się nie myję. Wczoraj się kąpałem.

Była wdzięczna Losowi za to, że zesłał jej tego chłopczyka akurat w tym dniu, kiedy wydawało się, że nic jej nie pomoże w poradzeniu sobie ze smutnym powrotem do domu. Kuba był towarzyski i bardzo gadatliwy. Z zachwytem oglądał zdjęcia inspektora w mundurze, dopytywał się o szczegóły jego służby. Nawet podczas jedzenia kanapek buzia mu się nie zamykała.

– A mogę spać w jego łóżku? – zapytał, oblizując palce.

– Kuba! – Bogdan zarumienił się zawstydzony.

– Chciałam Ci pościelić w pokoju mojej córki.

– Nie chcę spać w dziewczynskim łóżku. – Skrzywił się chłopiec.

– Dobrze, to możesz spać w naszym – śmiała się Grażyna. – Ja położę się w salonie. I tak pewnie ciężko mi będzie usnąć. Jeśli chcesz, dam Ci do spania koszulkę Rafała.

– Super! – Podskoczył na krześle. – A mogę ją sobie zabrać?

– Możesz. – Pogłaskała go po główce. – Chodźmy do sypialni, skoro już nie jesz.

Kuba kładł się spać podekscytowany, ale zmorzyło go bardzo szybko. Grażyna siedziała jeszcze chwilę na brzegu łóżka, przyglądając się mu uważnie.

– Niech pan się położy – powiedziała do Bogdana, gdy weszła z powrotem do kuchni. – Miał pan nerwowy dzień.

– Pani, zdaje się, bardziej – uśmiechnął się pod wąsem.

– Eh... – Machnęła ręką. – Jeszcze dużo przed nami. Niech mi pan powie... czy Justyna wie, że mąż był u Was po nią?

– Nie wie. – Pokręcił głową. – Kasia... moja szwagierka, napisała do męża zaraz po jego wizycie, ale wiem, że Kostek jej tego nie przekazał.

– Dlaczego? To okrucieństwo.

– Ja tam nie wiem. – Podrapał się po głowie. – Wolę się nie wtrącać. Jak Justyna od nas wyjeżdżała, była pewna, że już jej nie chce... to znaczy mąż. Kasia mówiła, że ją zdradził, mieszka z inną.

– Hm... a pan wie, że ta „inna” nie jest z Łukaszem?

– A skąd niby?

– No tak... – westchnęła Grażyna. – Okropna historia.

– A pani wie, czego chciał Kuba od pani męża? – zapytał nieśmiało Bogdan.

Grażyna spojrzała na niego zdziwiona. Otworzyła usta, chcąc w pierwszym odruchu udzielić wyjaśnień, ale ugryzła się w język na wspomnienie prośby, jaką skierował do Kuby Rafał. Pomyślała, że nie wie tak naprawdę, co może mu powiedzieć z tego, co wie.

– Wie pan... z tego, co tam zrozumiałam, to Kuba miał nadzieję, że mój mąż sprowadzi Justynę z powrotem do Polski – odpowiedziała wymijająco. – Tak mu się widocznie w główce uroiło, a jak zobaczył, że Rafała postrzelono, wystraszył się, że nic z tego nie będzie.

– Aha... Ale mam nadzieję, że pani mąż niczego mu nie obiecał. – We wzroku Bogdana widać było niepokój. – Mały strasznie wszystko przeżywa.

– Proszę pana, mój mąż jest po ciężkim urazie i leży na OIOM-ie nafaszerowany lekami, które odbierają mu jasne myślenie. Co mógł powiedzieć chłopcu? Że wszystko będzie dobrze i Justyna się znajdzie. Podejrzewam, że rano o niczym nie będzie pamiętał.

– Jeśli tak powiedział... to dobrze.

– Aha, mam do pana prośbę. – Grażyna sięgnęła na półkę po jakiś notesik. – Niech mi pan zapisze numer do Was, do pana siostry najlepiej.

– Ale po co?

– Chcę wiedzieć, czy dojechaliście cało – uśmiechnęła się, podsuwając mu

notes i długopis. – Będę się niepokoić.

LXXVIII

Kot siedział przy oknie i gapił się bezmyślnie na padający śnieg. Nigdy jeszcze nie czuł się taki bezradny i słaby. Nie miał żadnego pomysłu na to, co robić, jak działać, jak ogarnąć się z całym tym bałaganem, który niespodziewanie spoczął na jego barkach. Jeśli kiedykolwiek miał z czymś większy problem, szedł do szefa. Czasami nie zdążył, bo szef przychodził do niego. A teraz nie mógł pogadać z nim nawet przez minutę, mimo że ze szpitala przyszła wiadomość, że odzyskał przytomność.

– Do dupy z tym wszystkim – westchnął ciężko, zerkając na telefon. Ewelina wysłała wiadomość z pytaniem, kiedy wróci do domu. Niespodziewanie dla siebie samego znalazł w niej jedyny jasny punkt na mapie ostatnich wydarzeń, nawet jeśli czuł pod skórą, że Meyer miał rację co do przyszłości tej dziwnej relacji. Odpisał, że już się zbiera i będzie za pół godziny. Kiedy założył kurtkę i chciał wychodzić, usłyszał, jak ktoś wchodzi do biura.

– Malicki? A Ty domu nie masz, że się jeszcze szwendasz po mieście?

– Jest sprawa. – Michał klapnął na jednym z foteli, nie zważając ani na słowa Tomka, ani na fakt, że opuszczał właśnie biuro.

– Słuchaj... jestem zmęczony. Jadę do domu...

– Łysiak nie ma alibi – wypalił Malicki.

– Na co nie ma alibi?

– Na niedzielny wieczór.

– No i?

– Nie ma alibi na czas, kiedy strzelano do Brennera – wycedził lekko zirytowany Michał.

Kot zmarszczył brwi, próbując zrozumieć sens słów, które właśnie usłyszał. Usiadł na swoim fotelu i przyjrzał się uważnie twarzy Malickiego.

– Co Ty mi próbujesz powiedzieć?

– Że Łysiak mógł strzelać do Twojego szefa.

Tomkowi zrobiło się duszno. Poluzował szalik i nabrał powietrza w płuca.

– Zaczekaj. – Starał się zachować jasny umysł. – Dlaczego tak uważasz? Musisz mieć jakieś poważne powody.

– Wiem, że sam dowiadywałeś się u jednego z jego ludzi o to, czy chce Wam zagrozić...

– Ale nie czy chce do nas strzelać! To pewna różnica.

Malicki nachylił się bardziej w stronę Kota i spojrzał mu w oczy.

– Słuchaj, z tego, co mi wiadomo, Rasiak kazał się zamknąć Łysiakowi i nie szukać haków na Brennera. Łysiak dostał szau...

– Skąd o tym wiesz?

– Jak by nie było, pracujemy w jednym budynku. Po korytarzach niosą się różne wieści. W piątek już było gorąco, a przez weekend mógł się bardziej nabuzować. Znam go trochę... on jest nieobliczalny.

Kot potarł palcami zmęczone oczy i westchnął ciężko.

– Powinienem zadzwonić do Rasiaka... Kurwa, mam nadzieję, że mnie nie wyśmieje.

– Dzwon – powiedział cicho Michał. – Waszego starego pilnują policjanci, ale jak Łysiak będzie chciał wejść i dokończyć robotę, mogą go wpuścić.

Kotowicz kiwnął głową i wyciągnął telefon.

– Też przeszło mi to przez myśl – powiedział zrezygnowany Rasiak po wysłuchaniu Kota.

– Panie generale... trzeba chyba coś zrobić.

– Już zrobiłem. CBS się tym zajmuje... to znaczy cichaczem wypuściłem małą grupę, żeby mi to sprawdziła.

– Aha... – Kot spojrzał zdumiony na Malickiego.

– Ale dobrze, że pan dzwoni, bo w tym całym zamieszaniu zacząłem się podejrzewać o lekką paranoję. Jeszcze nie rozmawiałem z przełożonymi Łysiaka, zjedliby mnie żywcem. Potrzebuję dowodów... mocnych dowodów.

– Rozumiem. Czyli że my...

– Wy macie się czym zajmować. Proszę trzymać się od tej sprawy z daleka.

– Tak jest.

– No... I do widzenia.

– Do widzenia.

Malicki patrzył się na Kota pytająco.

– Już się tym zajął – wyjaśnił Tomek.

– Naprawdę?

– Tak. Wpadł na ten pomysł wcześniej. Mamy trzymać się od tego z daleka.

Michał pokręcił głową.

– Wiesz, jaki skandal wybuchnie? Będzie jatka.

Kot podniósł się z fotela i znowu zawiązał szalik na szyi.

– Teraz mało mnie to obchodzi. Jestem tym wszystkim zmęczony i chcę wrócić do domu.

– Co jest, stary? – Malicki podszedł bliżej do Kota. – Coś się stało?

– A mało Ci wrażeń?

– Nie no... jasne, ale widzę, że coś Cię mocno gryzie.

– Nic... Dzwonił Łukasz.

– No i co u niego? Ma jakiś ślad?

– Ma deprechę.

– Dlaczego?

– Zajęty jesteś? Jedźmy do nas. Ewelina czeka z kolacją. Opowiem po drodze.

Michał pojechał za Kotem, bo jak zwykle nie miał nic ciekawszego do roboty, a poza tym był głodny i nie zwykł odmawiać propozycji darmowego posiłku. Ewelina na wejściu zasypała Tomka wiadomościami z minionego dnia, nie dając im dojść do słowa przez dobre pół godziny. Kotowicz nie wyglądał jednak na niezadowolonego z tego faktu, przeciwnie – słuchał dziewczyny z wielką przyjemnością, która malowała się na jego twarzy, mimo że, zdaniem Malickiego, pieprzyła trzy po trzy jak nawiedzona nastolatka z gimnazjum. Zjedli kolację przy dźwiękach jej świergotu i wydawało się, że nie odczepi się przez cały wieczór, ale Kot przypomniał o jakimś sprawdzianie z angielskiego, wymagającym natychmiastowej powtórki.

– Idź się uczyć. – Zabrał Ewelinie talerz z ręki. – Ja posprzątam.

Michał odetchnął i rozejrzał się po kuchni.

– Pamiętam, jak tu pierwszy raz przyszedłem. – Pokiwał głową. – To był dzień. Jakaś nierzeczywista historia.

– No... – mruknął Kot, ustawiając talerze w zmywarce. – Ja tam miło tego nie wspominam.

– Nie no, jasne... ja też nie tęsknię za takimi przygodami... Ale właśnie, słu-

chaj, co z tym Łukaszem?

– Kicha. Nie może się przystosować do kraju, klimatu, ludzi... Dostaliśmy sygnał, że Justyny nie ma w Kabulu, jest w Ghazni, prawdopodobnie w górach. Nie ma nawet sensu się tam wybierać, i tak jej nie znajdzie. Ten ksiądz... kolega Jacka czy tam Damiana, załatwił sprawę niezbyt dobrze i niewiele się dowiedział.

– Hm... niedobrze... Ale może niech się nie poddaje. Dopiero tam pojechał, musi się rozejrzeć, przywyknąć.

– Też mu tak powiedziałem. Tyle że kiepsko zniósł wiadomość o wypadku szefa.

– To po co mu mówiłeś?

– Michał, włączył sobie Internet i się dowiedział.

– Racja. – Malicki podrapał się po głowie. – Pomógłbym mu, gdybym wiedział jak. Wszystko się posypało ostatnio.

– Aha! – Kot zatrzymał się nagle ze szklanką w dłoni. – A co z Wiśniewskim? Zupełnie zapomniałem o tej jego randce.

– Robert o mało wszystkiego nie spalił – uśmiechnął się Malicki.

– To znaczy?

– Jak się dowiedział o Waszym starym, dostał szału. Uważał, że to robota kogoś od tej laski, z którą się umawia... tej Radeckiej. Chciał ją aresztować i przesłuchiwać.

– Żartujesz?

– Nie. W sumie... sam miałem na to ochotę. Ale wziąłem zimny prysznic i doszedłem do wniosku, że trzeba się sprawie bliżej przyjrzeć. Powstrzymałem go i zastanowiliśmy się na spokojnie, co z tym robić dalej.

– No dobra, ale co z tym, czego się już od niej dowiedział? Mamy coś na nią?

– Spokojnie. – Malicki uniósł dłoń. – Twój szef mówił wyraźnie, że mamy na to czas, więc przykładamy się do tematu powoli. Redaktor KołECKI bardzo nam w tym pomaga, bo przy okazji dowiedzieliśmy się o paru innych ciekawych... hm... aferach. Panna Radecka dużo wie, wierz mi.

– Nie podejrzewa niczego?

– Nie... Póki co jej największym zmartwieniem jest to, dlaczego Wiśnia jej jeszcze nie przeleciał.

Kot też się w końcu uśmiechnął. Zamknął zmywarę i włączył program.

- Zostaniesz na noc? Napilibyśmy się czegoś mocniejszego.
- Ze mną jak z dzieckiem – wyszczerzył się Malicki. – Za rączkę i do karczmy.

LXXIX

Łukasz nie mógł pojąć, skąd w Domańskim jest tyle cierpliwości. Kiedy przyglądał się poczynaniom pracowników na budowie, sam dostawał szału. Kręcił się od rana pomiędzy piętami i rzucał groźne spojrzenia kolejnym niezaangażowanym robotnikom. Na jego widok uśmiechali się przymilnie i wydawało się, że właśnie mają zamiar brać się do pracy, ale gdy wracał do nich po kwadransie, zazwyczaj znowu zastawał ich siedzących i palących fajki. Andrzej przyznał się, że przed jego przyjazdem powiedział załodze, że Łukasz będzie ich nadzorcą i że w dodatku jest bardzo groźny, więc czuli przed nim nieco respektu. Meyer zaś poczuwał się do wypełniania tych obowiązków, wcale nie prowizorycznie, bo z firmą Domańskiego zawarł niefikcyjną umowę, a za pracę miał mieć wypłacane pieniądze.

– Nie pojmuję tego. – Kręcił głową, kiedy wrócił do baraku, w którym mieściło się biuro Andrzeja i Irka. – Jest tak zimno, że choćby z tego powodu wzięliby się do roboty. Tam na górze piździ jak w Kieleckiem...

Domański roześmiał się.

– Przywykli do zimna i do gorąca. To w ogóle wytrzymali ludzie.

– Tak, i odporni na wysiłek – skrzywił się Dziuba.

– Nie no, bez przesady – zaoponował Andrzej. – Po prostu nie znają takiego wysiłku. To dla nich nowość.

– Słuchaj, może lepiej było zająć się wypasem kóz? – Łukasz klapnął na stołku zrezygnowany. – W tym kraju poszłoby Ci chyba nieźle.

– Nie jest tak źle. – Andrzej, jak zawsze, był optymistycznie nastawiony do rzeczywistości. – Dobrze nam płacą, a problemy z robotnikami są zawsze. Myślałem, żeby ściągnąć ekipę z innego kraju, Chin albo Indii, ale jednym z warunków przetargu było zatrudnienie miejscowych. Jakoś sobie poradzimy.

Do baraku weszła Jasmina – młoda Pakistanka, która była inżynierem i poma-

gała przy budowie, głównie jako tłumacz. Domański opowiadał, że przez kilka lat mieszkała w Wielkiej Brytanii, gdzie kończyła studia. Była zdolna, pracowita, bardzo ładna i dużo uwagi poświęcała Łukaszowi, co irytowało go w tym samym stopniu co fakt, że wciąż nie miał pomysłu na to, gdzie szukać Justyny. O powodach jego pobytu w Kabulu – tych prawdziwych – wiedział jedynie Andrzej, który ostrzegał, że w tym kraju trzeba uważać na to, co i komu się opowiada.

– Przyniosłam rachunki do podpisu – uśmiechnęła się Jasmina do Łukasza, podając jednocześnie dokumenty Andrzejowi. Mówiła z brytyjskim akcentem, ale ubrana była w szczelnie zasłaniające jej ciało ubrania, tak jak większość kobiet w Kabulu. Ładna, bardzo kształtna twarz mocno odznaczała się na tle czarnej chusty na głowie.

– Dziękuję – Domański uśmiechnął się. – Jeśli nie masz już nic do roboty, możesz iść do domu. Na dziś wystarczy.

– I nie będę już potrzebna? – W jej głosie było słycać zawód.

– Poradzimy sobie... Poza tym Łukasz z Irkiem idą do miasta, szybciej zamkniemy biuro.

Łukasz machnął rękami za plecami kobiety, dając rozpaczliwe sygnały, żeby Andrzej tego przy niej nie mówił. Ostatnie, o czym marzył, to wlokąca się za nimi Jasmina.

– Do miasta? – Wielkie z natury oczy Jasminy zrobiły się ogromne. – Może potrzebują przewodnika? Znam Kabul.

– Nie, dziękuję. – Sytuację uratował Irek, który wstał z krzesła i zaczął ubierać kurtkę. – Ja też sobie radzę. Mamy dużo spraw do załatwienia. Chodź, Łukasz, idziemy.

Wyszli szybko z baraku, nie żegnając się nawet z nikim. Andrzej przeniósł ich z hotelu do mieszkania blisko budowy, więc musieli kupić sobie coś do jedzenia. Poza tym Łukasza ciągnęło do miasta, bo wciąż miał nadzieję, że Justyna jednak gdzieś tam jest i może uda się na nią jakimś cudem trafić. Irek był w Kabulu trzeci albo czwarty raz, ale i tak słabo znał jego topografię. Wiedział, jak dojść na targ i do paru ważniejszych punktów.

– Zimno jak cholera. – Dziuba zawiązał się mocniej w kurtkę. – Tutaj zawsze gorzej znoszę zmiany temperatur.

– Zostajesz na święta?

– Tak. Po to tu przyjechałem.

– Rodzina nie ma nic przeciwko?

Irek prychnął, wyrzucając z ust chmurę pary.

– Jaka rodzina? Jestem po rozwodzie. Żona zabrała dwie córki pięć lat temu. Wolę być tu, niż pamiętać tam, że nikogo nie mam. Poza tym odpalam jej alimenty.

– Rozumiem. – Łukasz przygryzł wargę. Jemu wcale nie uśmiechało się siedzieć w Afganistanie w czasie Bożego Narodzenia, ale z dwojga złego wolał zajmować się szukaniem Justyny niż siedzeniem przy stole z ojcem albo, co gorsza, z matką. – Dokąd teraz idziemy?

– Tu niedaleko jest duży targ, można na nim kupić praktycznie wszystko.

Łukasz już więcej o nic nie pytał. Irek wydawał się w porządku, ale nawiązanie z nim bliższej znajomości nie wchodziło w grę. Był zamknięty w sobie, mocno zgorzkniały i miał chwilami zachowania rasowego mizantropa. Na pierwszy rzut oka widać było, że wiele w życiu doświadczył i nie ze wszystkim sobie poradził.

Szli w milczeniu ulicami bardzo ruchliwego miasta. Samochody zdawały się płynąć jak nieokiełznana rzeka, w dodatku bardzo głośna. Pomiędzy nimi bez troski przechodzili ludzie, nie zważając na niebezpieczeństwo i kręcących się wszędzie policjantów. Wiele osób z zaciekawieniem przyglądało się Łukaszowi, który wyróżniał się z tłumu wzrostem i odcieniem skóry. Co chwila jakaś mniejsza grupka dzieci dołączała do nich i z głośnym śmiechem biegła krótki odcinek trasy tuż obok. Dzieci były zresztą na każdym kroku. Wychudzone, często w poszarpanych ubraniach, ale zawsze roześmiane, jakby nigdy nie zaznały żadnej troski. Tak przy tym różne od naburmuszonych dzieciaków, które widywał na warszawskich ulicach... Łukasza intrygowało, jak na ich widok reagowała Justyna – marzyła przecież o dziecku i nigdy obok żadnego nie potrafiła przejść obojętnie. Czy ją też serce bolało z powodu ich nędzy? Czy to jej nie rozpraszało w pracy? Przecież skupienie było tu tak potrzebne.

Meyer westchnął cicho.

Gdzie ona jest? Co robi? Gdybym nie był takim idiotą, wysłuchałbym wszystkiego, co miała mi do powiedzenia. Opowiedziałyby o tym, co tu robiła, jakie wykonywała zadania, jak chodziła ubrana, w której części miasta mogła przebywać...

Wpatrywał się intensywnie w każdą napotkaną kobietę, która wzrostem i posturą przypominała jego żonę. Zdał sobie sprawę z tego, że jeśli nosi burkę, to i tak jej nie pozna. Patrzył więc na dłonie, najczęściej odsłonięte, zwłaszcza jeśli coś niosły. Po dwudziestu minutach marszu zakręciło mu się w głowie od tego patrzenia. Rozejrzał się wokoło, żeby zorientować się, gdzie są. Szli jakąś szerszą ulicą, przy której znajdowało się wiele sklepów i barów. Z daleka widział, że zbliżają się do dużego skrzyżowania, gdzie ruch był naprawdę spory. Przeciskali się przez tłum ludzi, potykali o leżące na chodniku przedmioty, ocierali o stragany. Szli, szli, szli... W pewnym momencie Irek chciał coś powiedzieć albo tylko odwrócił głowę w stronę Łukasza. Nie dało się już tego stwierdzić, bo nastąpił wybuch.

Odrzuciło go na dobrych kilka metrów. Wpadł na stoisko z jakimiś materiałami albo ubraniami i przez kilka sekund był pewien, że umarł. Ale kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą stalowe niebo. Niczego nie słyszał, poza cichym piszczeniem. W piersiach czuł ucisk, więc nabrał powietrza, sprawdzając, czy z jego płucami wszystko jest w porządku. Spojrzał na swoje ręce – nic im nie było, bo miał na dłoniach solidne rękawiczki, ale odłamki różnych przedmiotów poszarpały mu kurtkę i spodnie. Z kilku miejsc na twarzy sączyła się krew, wiedział jednak, że to nic poważnego. Obrócił się na brzuch i uniósł na dłoniach i kolanach, rozglądając wokoło. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Pobjowisko, kawałki ciał, różnych przedmiotów, samochodów i opadający powoli z nieba czarny kurz. Powoli wracał mu słuch i dopiero wówczas zrozumiał, że jest też bardzo głośno. Z oddali docierały odgłosy syren, krzyki ludzi i odgłos palonych rzeczy, głównie aut. Podniósł się na proste nogi, chcąc odnaleźć Irka, ale nie było go w zasięgu wzroku. Zaczął więc odgarniać kolejne przedmioty na swojej drodze, wypatrując znajomo wyglądających ubrań.

Zobaczył najpierw buty i podarte do wysokości kolan dzinsy. Siła wybuchu odrzuciła Irka dalej niż cięższego Łukasza. Jego pozbawione oznak życia ciało opierało się o ścianę budynku. Twarz przykryta była jakimś materiałem, zapewne pochodzącym z jednego ze stoisk, ale kiedy Łukasz podszedł bliżej, wiedział, że nie jest dobrze. Od szyi do pasa Dziuba zalany był krwią. Meyer zdarł materiał.

– Boże – wyrwało mu się z ust.

Irek nie żył. Łukasz nie musiał nawet sprawdzać tętna, bo nie mogło go być,

skoro przez tętnicę szyjną wypłynęła prawie cała krew. Meyerowi przyszło do głowy, że gdyby w chwili wybuchu Dziuba nie odwrócił się w jego stronę, odłamek jakiegoś metalu nie uderzyłby go właśnie w tym miejscu, ale to były bezsensowne dywagacje. Na twarzy Irka malowało się przerażenie. Oczy miał wciąż otwarte, usta zdawały się chcieć krzyknąć. Łukasz zrozumiał, że nie umarł od razu... do końca był świadomy tego, co się z nim dzieje.

Wystarczyła mu tylko chwila, żeby pozbierać myśli do kupy. Stare nawyki podpowiedziały, co należy robić dalej. Zamknął oczy Dziuby i przykrył jego ciało. Trzeba było podnieść się i pomóc tym, którzy jeszcze żyli. Zaczął iść w stronę skrzyżowania, bo tam na pewno nastąpił wybuch. Trudno było powiedzieć, czy to był samochód-pułapka, czy może zamachowiec samobójca. Pewne było to, że zginęło wielu ludzi i że zapanował chaos.

Mijał ostrożnie ciała i różne przedmioty. Zaglądał w twarze leżących na ulicy – jeśli je mieli – sprawdzając, czy w kimś nie tli się jeszcze życie. Wokoło biegali jacyś ludzie, mniej lub bardziej ranni, zawodząc i krzycząc, zamiast pomagać innym. Ale pojawiły się też pierwsze ambulanse, z innych części dzielnicy przybiegło kilka osób, które, tak jak on, szukały żywych. Znalazł młodego mężczyznę z urwaną nogą. Nachylił się nad nim, podając mu dłoń, jednak zaraz obok zjawiała się załoga karetki.

– I am policeman – wydukał Łukasz do sanitariusza. – I can help.

Mężczyzna skinął głową i wskazał na otoczenie, mówiąc coś szybko po angielsku z tutejszym dziwnym akcentem. Prawdopodobnie kazał mu iść szukać innych. Więc poszedł.

Najgorzej było patrzeć na dzieci, ale podchodził do nich i sprawdzał, czy mają tętno. Wiedział jednak, że takie drobne ciała zabiła sama siła uderzenia. On, mimo że duży, mocno odczuł jego skutki. Bolało go w klatce piersiowej, podejrzewał też, że może mieć pęknięte żebra. Naszła go myśl, że wśród tych ludzi mogła znajdować się Justyna, więc zaczął skupiać się na szukaniu kobiet. Leżało ich wokół przynajmniej kilkanaście, większość z zasłoniętymi twarzami. Podnosił burki, mimo że jeden z kręcących się policjantów zaczął na niego krzyknąć. W pewnej chwili serce zamarło mu w piersi. Jedna z kobiet miała inne dłonie: o bardzo jasnej skórze, chude, żyłaste... nie mogły należeć do osoby stąd. Wiedział też, że nie należą do jego żony, ale szybko odrzucił zasłonę z jej głowy, żeby zobaczyć twarz.

Wydawało się, że nie żyje. Nie dość, że była bardzo blada i nie było pewne, czy oddycha, to w brzuchu miała krwawiącą ranę. Łukasz przyłożył jej palce do tętnicy szyjnej i wyczuł niewyraźne tętno. Rozejrzał się w poszukiwaniu sanitariuszy. Kiedy zobaczył dwóch ludzi z noszami, zaczął machać do nich energicznie.

– Hey, she is alive! – Bardzo żałował w tym momencie, że nie zna lepiej angielskiego.

Sanitariusze podbiegli do nich dość szybko. Łukasz pomógł im przełożyć kobietę na nosze, stękając z bólu. Wtedy jeden z nich przyjrzał się mu uważnie.

– Are you American? – zapytał.

– No, Poland.

– Are you hurt?

– No... – Sam nie był pewien, co odpowiedzieć.

– Go with us, mister. To hospital. – W oczach mężczyzny widać było zaniepokojenie. Być może Łukasz wyglądał znacznie gorzej niż się czuł. Podniósł się więc i poszedł za nimi do ambulansu.

Z ulgą opuszczał to miejsce. W karetce mocno rzucało i żebra bolały go coraz bardziej. Rannej kobiety nie trzeba było nawet reanimować, oddychała samodzielnie, więc sanitariusze zajęli się jej krwawiącym brzuchem. Łukasz przyglądał się jej uważnie – na pewno dawno przekroczyła czterdziestkę, twarz miała pomarszczoną, podobnie szyję. Pomyślał, że musiała mieć mocny organizm, skoro wytrzymała takie uderzenie.

W szpitalu, podobnie jak na ulicy, panował chaos. Kobietę od razu zabrano na operację. Łukaszowi kazano usiąść w korytarzu i zaczekać na wolnego lekarza. Wtedy dopiero przypomniał sobie o Irku i Andrzeju. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął telefon. Działał. Wybrał numer do Domańskiego, choć w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Brennera.

– Dzięki Bogu, Łukasz – usłyszał głośne westchnienie ulgi z drugiej strony. – Dzwoniłem do Irka, ale nie odbiera...

– Nie żyje.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

– Byliście... tam?

– Tak.

– Gdzie teraz jesteś?

– W jakimś szpitalu. – Łukasz rozejrzał się po korytarzu. – Nawet nie wiem, co to za część miasta. Zabrał mnie ambulans.

– Nic Ci nie jest?

– Nie... parę zadrapań.

– Przyjedziemy po Ciebie z Jasią. Tylko ustalimy, gdzie możesz być. Trzymaj się. I... czekaj tam na nas. Jedziemy...

Andrzej rozłączył się szybko, a Łukasz oparł głowę o ścianę. Powoli zaczęło docierać do niego, co się naprawdę stało. Tydzień wcześniej poznał człowieka, który właśnie nie żył. Leżał prawdopodobnie wciąż na ulicy Kabulu z przerażeniem na twarzy. Był i go nie ma... Przyjechali do kraju, w którym wojna nie kończy się nigdy, i właśnie poznali jej mroczną stronę. Gdyby byli bliżej, obydwaj byłiby martwi. Justyna mogłaby się nawet nie dowiedzieć, że on tu jest i jej szuka.

Rozmyślenia przerwał mu lekarz, który stanął nad nim i dotknął jego twarzy.

– Come with me, sir – powiedział cicho.

Najtrudniej było wytłumaczyć, że bolą go żebra – nie znał tego słowa. Porozumiewał się głównie na migi, ale dość szybko skierowano go na rentgen. Złamań nie było, tylko kilka przykrych pęknięć. Potem opatrzono mu twarz i powiedziano, że może wracać do domu. Kiedy wyszedł znowu na korytarz, zobaczył Andrzeja, który nerwowo rozglądał się wokoło. Jasmina szła za nim krok w krok i to ona wypatrzyła Łukasza.

– Wszystko dobrze? – Domański dopadł do niego zdyszany.

– Tak. Parę pękniętych żeber i nic poza tym. Ale... nie wiem, gdzie jest Irek. Został tam...

– Spokojnie. – Andrzej położył mu dłonie na ramionach. – Wszystkie ciała zwieziono do dwóch kostnic. Później pojedziemy go identyfikować. Musimy to zgłosić do ambasady. Jedźmy tam od razu.

– Czekaj... Przyjechałem tu z kobietą... Ona nie była Afganką, chcę dowiedzieć się, czy wszystko z nią dobrze.

– OK. Zapytajmy lekarza.

Przy pomocy Jasminy udało im się uzyskać dość szczegółowe informacje na temat rannej kobiety. Była po operacji i jej stan był dość stabilny. Żadne większe niebezpieczeństwo nie zagrażało jej życiu. Jasmina zostawiła jednej z pielęgniarek namiary do siebie, w razie gdyby działo się coś niepokojącego.

- Gdybym do niej nie podszedł, umarłaby. – Łukasz potarł palcami brwi.
 - Nie da się uratować wszystkich – szepnął Andrzej. – Jedźmy już stąd.
- Musisz odpocząć.

LXXX

Kot dawno nie był tak zadowolony: wracał z pracy, zanim zrobiło się ciemno. Rano był w szpitalu u szefa, który czuł się coraz lepiej. Zamknięto Łysiaka, bo obciążające go dowody były niepodważalne. Jego przyznanie się do winy pozostawało kwestią czasu. W dodatku udało się złapać człowieka, który przeszukiwał biuro B. S. K., i jego kolegę, który splądrował mieszkanie Meyerów. Wyglądało na to, że sprawy zaczynają iść w dobrym kierunku, więc Kotowicz pozwolił sobie wypuścić ekipę wcześniej do domów i samemu odpocząć przed telewizorem z piwem w dłoni. Jednak na progu przywitała go zapłakana Ewelina...

– Co się stało? – Miał nadzieję, że to jakaś głupota, wyolbrzymiona przez neurotyczny mózg dziewczyny, która wpadła w jego objęcia, szlochając na cały głos.

– On... on... nie żyje – zapowietrzyła się, wycierając mokry nos o jego płaszcz.

– Kto?

– Łukasz.

– Co... co Ty opowiadasz?! – Odsunął ją gwałtownie od siebie. Czuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. – Skąd wiesz?

– Mówili w telewizji. Mówili, że był wybuch... zamach, i zginął Polak, pracownik tej firmy, do której on pojechał.

– Jesteś pewna? Może chodziło o inną firmę? Podali nazwisko?

Pokręciła głową i poszła do kuchni. Wyciągnęła z szafki jakieś dokumenty, które podała Tomkowi.

– Sprawdziłam... to ta sama nazwa, co na jego umowie.

Tomasz przyglądał się papierom w napięciu, ale nie był w stanie niczego przeczytać.

– Kiedy o tym mówili? – Gardło miał ściśnięte.

– Przed chwilą. Mówią cały czas. – Wskazała ręką w stronę salonu, skąd dochodziły dźwięki z telewizora.

Tomek poszedł tam bez słowa i usiadł na kanapie. Wpatrywał się w ekran, na którym pokazywano relację z Kabulu.

– Liczba ofiar na razie nie jest potwierdzona – mówił przejęty dziennikarz. – Wiemy, że było ich około stu. Bomba – najprawdopodobniej samochód-pułapka – wybuchła na jednym z najbardziej ruchliwych skrzyżowań stolicy Afganistanu, w porze, kiedy znajduje się na nim bardzo dużo samochodów i ludzi. Niestety... dotarła do nas smutna wiadomość o śmierci obywatela Polski, pracownika firmy budowlanej. Informację tę otrzymaliśmy z polskiej Ambasady w Kabulu i jest ona pewna. Bliscy ofiary, współpracownicy z jego firmy, dokonali już identyfikacji zwłok. O całej sprawie będziemy informować państwa na bieżąco...

Kot wyłączył telewizor. Ewelina stała za nim, płacząc cicho.

– Ja pierdolę. – Tomasz schował głowę w dłoniach. – To jakiś koszmar.

Nagle, jakby coś mu się przypomniało, wyciągnął komórkę z kieszeni i spojrział w ekran. Wybrał numer Lenarta.

– Zbychu, słyszałeś o Kabulu?

– Nie... Co się stało?

– Włącz wiadomości. A potem przyjeźdź do mnie... to znaczy do mieszkania Meyerów. Spotkajmy się tu wszyscy. Powiadom Kowalskiego i Mzygłoda, ja zadzwonię po Sisiora...

– Dobra. – Głos Lenarta zadrżał lekko. – Już się robi.

W ciągu czterdziestu minut na mokotowskie osiedle przyjechali wszyscy, także Malicki z Wiśniewskim i Kozera z Badeckim. Ewelina płakała cały czas, więc Kot kazał jej iść do sypialni, żeby się położyła i odpoczęła.

– Próbowałeś dzwonić na jego numer? – zapytał Zbyszek.

– Tak. Wysłałem wiadomość, ale nie przyszła nawet odpowiedź zwrotna.

– Słuchajcie, kontaktowałem się z Żanetą. – Badecki zdejmował szybko kurtkę. – Jej mąż obiecał zadzwonić, jak tylko czegoś się dowie.

– Ja mam tylko nadzieję, że nie podadzą nazwiska. – Mzygłód pokręcił głową.

– Dlaczego? – Słomkowski zmarszczył brwi.

– Bo Rasiak o niczym nie wie – powiedział cicho Kot. – Premier zabronił Łukaszowi szukać Justyny, nikt nie może się dowiedzieć, że tam pojechał.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu. Kot włączył telewizor na kanale informacyjnym, ale żadne nowe wiadomości nie pojawiły się ani w relacjach bezpośrednich, ani na pasku.

– Idę zrobić sobie kawę. – Malicki podniósł się z krzesła, ciężko wzdychając. Wtedy zadzwonił telefon Badeckiego. Wszyscy zamarli.

– Gołąb. – Artur spojrzał przejęty na ekran komórki. – Aspirant Badecki, słucham. Witam, panie Danielu... Tak, słucham uważnie... Tak... rozumiem... To bardzo przykre, współczuję... Tak... Nie... Dziękuję za wiadomości... Pozdrowienia dla Żanety, od nas wszystkich.

– No i? – Lenart wyrwał się pierwszy.

– Nic mu nie jest...

– Uf! – Kot opadł na fotel.

– Ale Dziuba nie żyje.

Kilku z nich zbladło, Wiśniewski otworzył usta, ale niczego nie powiedział.

– Żartujesz? – wydusił z siebie Kozera.

– Nie. – Artur pokręcił głową. – Łukasz był z nim w czasie wybuchu. Ma coś z żebrami i podobno źle się teraz czuje, wstrząs mózgu czy coś takiego... Ale jest cały.

– O, matko! – jęknął Kot. – Muszę powiedzieć Ewelinie, zanim zejdzie na zawał. – Wstał z fotela i poszedł do sypialni.

Całe towarzystwo, zdecydowanie w lepszych nastrojach, zaczęło organizować sobie coś do jedzenia, robić kawę i herbatę w kuchni, ale wszyscy porozumiewali się wciąż cicho, jakby bali się zapeszyć. Tomek wyszedł z sypialni z dziwną miną.

– Co się stało? – Kowalski zmarszczył brwi. – Coś z Ewelina?

– Nie... nie, ona śpi. Myślę o tym, co możemy zrobić.

– Z czym?

– Jak możemy pomóc Łukaszowi.

– A możemy? – zapytał Malicki.

– Tak. – Tomek usiadł znowu i zamyślił się.

– No to mów. – Michał zajął miejsce na krześle obok.

– Wiśniewski, ten cały redaktor ma kogoś od podsłuchów?

– KołECKI? – Robert stanął zdziwiony nad Kotem z kubkiem w dłoni. – Ma... przynajmniej tym się chwalił. Ale my też mamy.

- Nie! To trzeba załatwić poza policją.
- Ale co? – Zirytował się Malicki.
- Musimy dowiedzieć się, gdzie jest Justyna, a do tego potrzebujemy specja od podsłuchów. Mam dość bawienia się w grzecznego policjanta. Pójdziemy na całość, panowie. – Spojrzał po twarzach wszystkich kolegów.
- To ja już dzwonię. – Robert uśmiechnął się i odstawił kubek z kawą na stół.

LXXXI

Michael „Bullet” zawsze był nadpobudliwy. Energią, którą miał w sobie skumulowaną, można by obdzielić kilka osób i jeszcze by coś zostało. Jego przyjazd oznaczał dużo hałasu i dużo śmiechu. Razem z opanowanym Nawigatorem tworzyli dość osobliwy zespół snajperów, zawsze skuteczny i zawsze chętny do działania. Miał poza tym jeszcze jedną ważną cechę: gdziekolwiek się zjawiał, był przez wszystkich lubiany.

– Nieźle się wczoraj skułem z gospodarzami – chichotał w środowy poranek, kiedy jeszcze nikomu nie chciało się nawet podnosić głowy z posłania. – W dechę zioło tu mają, mówię Wam.

Krokodyl spojrzał na niego z politowaniem i dźwignął obolałe kości z podłogi. Bardzo starał się nie okazywać, jak dokuczają mu stawy i kręgosłup. Czuł, że nieuchronnie zbliża się emerytura, na którą nie miał wcale ochoty.

– Nie wpłynie to na Twoją celność? – zapytała Justyna, wodząc wzrokiem za Krokodylem. Dobrze wiedziała, kiedy coś mu dolegało.

– Coś Ty! – Bullet parsknął. – Jestem wyluzowany i szczęśliwy. A tylko szczęśliwy snajper jest dobrym snajperem, prawda, Nawi?

– Czy ktoś mógłby zamknąć mu jadaczkę? – mruknął po polsku Radek. – Zabiję gnoja, zanim gdzieś w ogóle ruszymy.

– Malina, jesteś w Internecie – odezwał się niespodziewanie Charlie z kąta. Prawdopodobnie wstał jako pierwszy i od razu włączył swojego toughbooka.

– Jak to? – Zerwała się i podbiegła do niego. Na ekranie było otwarte zdjęcie przedstawiające żołnierzy w polskich mundurach, jej „męża” Muhammada i ją z dzieckiem na rękę. – Ale mnie wystraszyłeś! – Pacnęła Brytyjczyka w ramię. – Myślałam już, że można mnie rozpoznać.

Gogol usiadł z drugiej strony i wybuchnął śmiechem.

– Ale jaja! – rechotał. – Malinka, aleś Ty fotogeniczna. I to z każdego profilu.

– Co to jest? – zaniepokoił się Krokodyl.

– Zrobili mi i Muhammadowi zdjęcie, jak byliśmy z małym w szpitalu, i napisali, że polscy lekarze pomogli biednemu dziecku. Nawet nie wiem, kiedy pstryknęli tę fotę.

– Musisz uważać. – Krokodylowe brwi zmarszczyły się jeszcze mocniej.

– No, muszę – mruknęła, nalewając sobie herbaty.

– Zdrastwujcie! – W drzwiach pojawił się Wiktor. Jego zwalista postać niemal przytłoczyła wszystkich.

– Jak tam noc? – zapytała Justyna. – Żadnych niespodzianek?

– Nie. – Pokręcił głową. – Tylko ja i gwiazdy nade mną.

Krokodyl zamilczał jakąś złośliwą uwagę na temat obecności Ukrainca, której zażyczyła sobie Justyna. Uważał, że to objaw paranoi – sprowadzać kogoś tylko po to, żeby pilnował ich w nocy.

– Dobrze. Więc jedzmy śniadanie i jedźmy do bazy – zarządziła Justyna.

– Malinka... – Gogol spojrzał na nią nieco poważniej. – Czytałaś o Kabulu?

– Co niby?

– Był zamach. – Wskazał głową na ekran komputera. – Wczoraj po południu. Pół dzielnicy wyleciało w powietrze. Ten Twój sklep również.

– Ali... – szepnęła.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Trzeba by zapytać Jamala. Ale piszą też, że zginął jakiś Polak...

Krokodyl uniósł głowę znad miski z jedzeniem i nadstawił uszu.

– Żołnierz?

– Nie. Pracownik polskiej firmy budowlanej, inżynier. Około pięćdziesięciu lat.

Justyna pokiwała tylko głową i zajęła się przygotowaniami do wyjazdu. Tradycyjnie jechała na motorze, ale tym razem zabierała ze sobą Charliego i Krokodyla, którzy jechali za nią i czekali na rozwój sytuacji u zaprzyjaźnionego sklepikarza na targu.

Sprawy w szpitalu załatwili dość szybko. Okazało się, że mały dobrze reaguje na zaleconą kurację, więc poproszono, żeby rodzice przywieźli go znowu za miesiąc. Justyna z lekkim przerażeniem przyglądała się zniszczeniom spowodowanym przez ostatni ostrzał. Z rozmów pielęgniarek dowiedziała się, że zginął jeden żołnierz, a pięciu było ciężko rannych. Ucierpiało kilka campów, dwie

„bichaty” i część „difaku”. Wszyscy bali się, że to przedświąteczne „prezenty” i że w miarę upływu czasu będzie działa się gorzej.

– Trzeba szybko się uporać z tym zadaniem – szepnęła do Krokodyła po powrocie z bazy.

Usiadła w kącie za składzikiem towaru i zawinęła mocniej chłopca w swoją burkę. Zasnął po paru minutach, a Muhammad poszedł na obchód targu, skoro był bogatszy o mały plik dolarów. Żółw zjawił się po kwadransie razem z sierżantem Zawadką, który nie zwrócił na Justynę uwagi. Odnotowała ten fakt na minus dla niego. Życie i liczne doświadczenia nauczyły ją, że zawsze najwyższą cenę płaci się za ignorowane fragmenty rzeczywistości.

– Dobra, dawajcie, co macie – powiedział Zawadka butnie do Charliego i Krokodyła.

Krokodyl uśmiechnął się i przysiadł bokiem na jednym ze stołów. Justyna wiedziała, że ma teraz ochotę pobawić się z człowiekiem, który również w jego oczach nie wykazał się niczym szczególnym.

– To nie będzie takie proste, żołnierzyku. – Błysnął zębami i skinął na Charliego, żeby otworzył laptopa i pokazał wszystkie zdjęcia. – Mamy całość. Głowica działa bez zarzutu, podejrzewamy, że autopilot też.

– A silnik? – Zawadka zacisnął szczęki.

– Cały. Domyśliłyśmy się, że poza stopionymi akumulatorami to jedyne cenne rzeczy w całej konstrukcji. Mamy specja od maszyn, potwierdził, że wartość reszty tej skorupy nie jest tak wysoka. Sama kamera na podczerwień kosztuje dobre trzydzieści tysięcy dolarów.

– Co za to chcecie? – Tego pytania sierżant nie chciał zadawać, ale widać było, że zależy mu na odzyskaniu tego, co mu pokazano.

– Sprawny samolot – odpowiedział spokojnie Krokodyl.

– Pojebało cię?!

– Chcemy go wypożyczyć na jedną bądź dwie misje. Pokażemy, gdzie ma lecieć, a Ty polecisz.

– Mamy go w magazynie.

– To go wyciągnijcie.

– Potrzebuję zgody.

Krokodyl parsknął i zerknął na Justynę, która poruszyła się nerwowo.

– Jasne. A może sam jej sobie udzielasz, co? Z tego, co wiem, macie konflikt

z dowódcą i sami go zamknęliście. Nie ma przeszkód, żebyście wykonywali loty.

Zawadka zrobił się czerwony ze złości. Spojrzał z gniewem na Żółwia, który wzruszył ramionami.

– Ja nic nie wiem. Tylko pośredniczę.

– To co? Dogadamy się? – Krokodyl znowu się uśmiechnął.

– To nie będzie takie proste – wycedził po chwili żołnierz. – Muszę dogadać się z kumplami. Nie wiem, czy chcę się układać z najemnikami.

Krokodyl roześmiał się.

– To wróć i się zastanów. Czekamy na odpowiedź do wieczora. Potem spienięzymy te cacka. A że jesteśmy... najemnikami, to będzie nam wisieć, komu je opchniemy, prawda?

Zawadka jeszcze raz spojrzął łakomie na ekran komputera.

– Dobra... pomyślmy. Odezwę się. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Żółw machnął tylko do nich ręką, zrobił głupią minę i poszedł za sierżantem.

– Malina? – Krokodyl spojrział na Justynę. – Co o nim myślisz?

– Niezłe ciacho. – Odsłoniła twarz.

– Boże... – Krokodyl przewrócił oczami. – Ja nie o tym.

– A! Że niby, co myślę o nim w kwestii współpracy? – Wydęła usta. – Czy ja wiem? Grunt, żeby dobrze latał tym czymś i nikomu niczego nie wygadał. Poza tym niewiele mnie interesuje.

– Jasne. – Krokodyl kiwnął głową. – To co? Jedziemy?

– Tak, niech tylko wróci ojciec małego i wracamy.

Wszyscy byli zdziwieni prędkością, z jaką udało im się załatwić sprawę w Ghazni. Wiktor narzekał, że nie zdążył nawet obiadu ugotować.

– Pewnie Malina przyłożyła człowiekowi broń do głowy i od razu się zdecydował – żartował sobie, oblizując palce nad garnkiem z gulaszem. – Zawsze mówiłem, że z ludźmi trzeba rozmawiać prostym językiem.

Odpowiedź od Żółwia przyszła dość szybko, nawet jeszcze się nie ściemniło. „Specjalsi” zgadzali się na wypożyczenie samolotu, chcieli jednak zostawić dla siebie wszystkie logi, które zapiszą się w czasie misji.

– Niech je sobie wezmą. – Justyna wzruszyła ramionami, przeżuując gorący gulasz. – Brzeziński i tak kasę odpali nam. Mogli się nie boczyć i sami tym zająć.

– Malinka, Ty to powinnaś jakąś partię z moją Kasią założyć – chichotał Kostek. – Jakbym swoją ślubną słyszał.

– Jaki mamy plan? – zapytał Krokodyl.

– Prosiłam Żółwia, żeby dał znać, kiedy wypuszczą samolot. Myślałam, żeby ktoś od nas pojechał do nich i obserwował lot, ale oni podobno widzą to inaczej.

– To znaczy?

– Zawadka przyjedzie do nas... to znaczy podejziemy z nim gdzieś wyżej. Mają tablet, na którym w czasie rzeczywistym widać obraz z kamer. Proponuję, żebyśmy dobrze przygotowali i zabezpieczyli miejsce, gdzie się ukryjemy razem z nim. Charlie przygotowuje łączność po radiu i będziemy na bieżąco korygować trasę lotu. Pójdziemy tam jutro przed świtem, ustawimy lornetkę z dalmierzem. Bullet z Nawigatorem niech idą dalej, jako nasza czujka, może coś namierzą. Zawadkę zaprosimy na piątek rano.

– Brzmi sensownie. – Gogol pokiwał głową.

– Oby tylko śniegu nie dopadało – westchnęła Justyna. – Bo nigdzie nie pójdziemy.

Z racji tego, że szykowało im się znowu wczesne wstawanie, każdy starał się jak najszybciej ogarnąć swój sprzęt i ułożyć do spania. Justyna zauważyła jednak, że Nawigator daje jej jakieś sygnały, jakby chciał jej coś powiedzieć. Domyśliła się, że jest to coś, czego nie powinny słyszeć uszy Krokodyla.

– Wychodzę – powiedziała w pewnym momencie.

– Dokąd? – wyrwało się Krokodylowi.

– To nawet wysikać się nie mogę bez Twojej wiedzy? – Stała przed nim w ten sposób, że gdy na nią patrzył, to nie widział, jak Radek opuszcza pomieszczenie. – Możesz iść ze mną potrzymać mi spodnie i majtki.

Krokodyl nie odpowiedział, tylko wrócił do czyszczenia broni. Justyna wyszła szybko na mróz i poszła za migającym światełkiem latarki, którym Nawigator wysyłał jej sygnały.

– Co jest? – zapytała, szcękając zębami.

– Chodzi o ten zamach w Kabulu.

– Ali zginął?

– Nie. Nic mu nie jest. Dostałem dziś wiadomość, że kabulskie ptaszki ćwierkają, że to nie był samochód.

– A co? Zamachowiec?

– Nie. Dron.

Justyna roześmiała się nerwowo.

– Co Ty pierdzielisz? Dron? Amerykanie atakowałyby Kabul w biały dzień w ten sposób?

– Malina...

– No co?

– Sama powiedziałaś Kirkwoodowi, żeby zabili Angie w jakimś zamachu, żeby to ukryli w czymś większym...

– Słucham? – Justyna odsunęła się od niego gwałtownie. – Co Ty, kurwa, sugerujesz?

– Nie denerwuj się... – Próbował ją złapać za ramiona.

– I skąd Ty wiesz, jak się nazywał ten agent?

– A Ty? Skąd Ty wiesz? – zapytał cicho.

Zamilkła. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Malina, znałyście się dobrze.

– Ja pierdolę! – Założyła dłonie na głowę. – To jesteś Ty.

– Kto?

– Ty masz z nią kontakt w naszej grupie. Nie chciała mi powiedzieć.

– Ale Ty więcej wiesz... o Angie. Jak dowiedziałem się o tych plotkach, że to mógł być ostrzał, od razu pomyślałem, że mogli chcieć ją usunąć. Więc pytam, czy De Soto mogła aż tak narozrabiać?

– Nie wiem... to znaczy ona zawsze miała ze wszystkimi na pieńku.

– Ale nie z Tobą. Nawet Jamal jest przekonany, że się nienawidziłyście, a Wy byłyście w dobrej komitywie. Taka solidarność jajników.

– Słuchaj, po pierwsze, o pewnych sprawach Ci nie powiem... nie o wszystkich. Po drugie, trochę naciągane wydaje mi się to, co mówisz. Kto chciałby zabijać setkę osób, żeby usunąć tylko jedną?

– Malina – w głosie Radka słychać było kpinę – i to Ty zadajesz to pytanie? Angie biegała z grupą uzbrojonych po zęby najemników, nie wiadomo z kim i dla kogo tak naprawdę pracowała, a przede wszystkim, co wiedziała... Może razem z nią było więcej takich jak ona osób?

– Ale drona ciężko jest zatuszować. Media od razu by huczały...

– A kiedy Cię porwano, kto zdecydował o tym, by media podały to do wia-

domości?

Justyna przygryzła wargę. Wiedziała, że gdyby tylko odpowiednie osoby zechciały, zatuszowałoby wybuch bomby atomowej.

– Malina – szepnął Radek – ona była w tym tłumie.

– Skąd wiesz? – Spojrzała na niego w ciemnościach, przerażona.

– Wiem. Pewności nie mam, czy zginęła, bo jej ciała nie ma w żadnej kostnicy.

– Mogli je zabrać...

– Mogli. Powiedz mi tylko, co Ci mówiła w sklepie?

– Nic... Była zrezygnowana, chciała umrzeć. Poza tym jednak nie uwierzyłam w ani jedno słowo, które mi powiedziała. Nie wierzę, że pracuje w takiej grupie jak nasza, że nie robi nic wielkiego i że nie ma kontaktu z nikim w agencji. Szczerze? Wolę nie znać szczegółów.

– Rozumiem. Chodźmy do środka, bo jest coraz zimniej.

– Powiedz mi tylko jedno: skąd wiedziałeś o mnie i Angie?

Nawigator uśmiechnął się pod nosem.

– Jak to Ty sama mówisz: masz mnie za idiotę? Umiałem połączyć fakty, kiedy byłaś tu ostatnio. Tak ją łapaliśmy, że aż nie złapaliśmy. A potem CIA tak nam deptała po piętach, że nawet na pół kilometra się nie zbliżyła. Nie wiem, jaki miałyście układ, ona też mi nie powiedziała, ale chyba wolę pozostać w nieświadomości.

Justyna roześmiała się.

– Boże, chyba dziś nie zasnę. – Pokręciła głową.

LXXXII

We wtorek wieczorem Łukasz zaczął wymiotować. Andrzej chciał od razu zawieźć go do szpitala, ale Meyer zaprotestował. Nie uważał, żeby miał wstrząs mózgu. Po prostu był jeszcze w szoku, nałykał się powietrza z całym tym świństwem, które się w nim unosiło i mocno oberwał w brzuch. Zaniepokojony Domański postanowił jednak nie zostawiać go ani przez chwilę, więc czuwali przy nim z Jasminą całą noc na zmianę. Dziewczyna irytowała go coraz bardziej, bo wyraźnie chciała naciągnąć go na jakieś zwierzenia. Sama opowiadała o swojej rodzinie w Pakistanie, o studiach w Anglii i jakichś innych rzeczach, których w ogóle nie rozumiał. Próbował wyjaśnić, że na próżno mu to mówi, ale i tak paplała jak najęta.

– Po co tu przyjechałeś? – zadała w końcu pytanie, które od początku cisnęło jej się na usta. I to akurat zrozumiał.

– Co?

– Wiem, że jesteś tu z innego powodu... niż budowa.

Patrzył na nią, mrugając powiekami.

– Szukam kogoś – powiedział, kładąc głowę z powrotem na poduszce.

– Rodziny?

– Tak.

– Jest żołnierzem?

– Nie... już nie.

Jasmina zacisnęła usta i odwróciła wzrok na chwilę.

– Rozumiem – powiedziała cicho. – Tutaj jest wielu takich, co chcą zarobić pieniądze na wojnie.

Do Łukasza dotarło, że Jasmina jest o wiele bardziej świadoma niektórych spraw niż by się to mogło wydawać.

– Szukasz kogoś, kto zaginął, prawda? – Spojrzała na niego znowu. – Kogoś,

kto nie jest tu legalnie.

– Może – szepnął.

– Mogę pomóc Ci szukać.

– Jak? – Usiadł na łóżku.

– Znam różnych ludzi... Moi bracia też kiedyś tak pracowali. Tylko muszę znać jakieś szczegóły.

Łukaszowi zrobiło się nieswojo. Kobieta mogła być równie dobrze szpiegiem albo wtyką służb specjalnych. Ale mogła też naprawdę chcieć mu pomóc...

– Krokodyl – powiedział cicho Łukasz. – Tyle wiem. To jeden z dowódców.

Jasmina kiwnęła głową i nic więcej nie powiedziała. Usiadła na fotelu i zamysliła się. Łukasz położył się i zaraz zasnął. Sny miał niespokojne, wracały obrazy z wybuchu, dźwięki i zapachy. Przeżywał ten moment wciąż na nowo i ciągle zdawało mu się, że Irek żyje i jest obok niego. Kiedy otworzył oczy, na dworze było już jasno. Jasminy nie było, tylko Andrzej krzątał się po mieszkaniu.

– O, nie śpisz już – uśmiechnął się blado. – Wyglądasz znacznie lepiej. Dzwonił do mnie Gołąb. Martwili się z Żanetą, więc ich uspokoiłem, że nic Ci nie jest.

– A gdzie Jasmina?

– Poprosiła o wolne na dziś. Poszła do miasta, chyba do swojego mieszkania. Też jest zmęczona. Wstań, musisz coś zjeść.

Łukasz nie miał zbyt wielkiego apetytu, ale chętnie wypił herbatę z wódką. Było mu łatwiej patrzeć na rzeczy Irka, rozrzucone w różnych częściach mieszkania.

– Co z nim będzie? – zapytał Andrzeja.

– Z kim? Z Irkiem?

– Tak.

– W ambasadzie powiedzieli mi, że jeszcze przed świętami zorganizują transport ciała do Polski. Ale koszty będę musiał pokryć ja.

– Dlaczego?

– Bo był tu jako cywil, pracujący dla prywatnej firmy. Teoretycznie żona powinna się tym zająć, ale znałem jego sytuację. – Domański machnął ręką. – Sam wolę to zrobić.

– Rozumiem.

– To nie był łatwy tydzień dla Ciebie, co? Twój szef, teraz to... Wciąż nie wiesz, gdzie jest Twoja żona. Ale trzeba być dobrej myśli. Zawsze.

– To nie zawsze jest proste...

– A zostało Ci coś innego?

Łukasz spojrział na Andrzeja ze smutkiem, jednak nie mógł odmówić mu racji. Musiał spojrzeć na sytuację z dalszej perspektywy, bo przecież udało się mu dotrzeć cało do tego kraju, znaleźć kogoś, kto chce pomóc, przeżyć zamach... Nie pozostało mu nic poza tym, żeby wziąć się w garść i doprowadzić swoją misję do końca.

– Jadę na budowę. – Andrzej zaczął się ubierać. – Zostań i wypocznij. Poradzę sobie ze wszystkim. Zajrzę wieczorem.

Łukasz padł na łóżko, otumaniony wódką, której wypił trochę więcej niż zamierzał, i zasnął znowu, tym razem bez koszmarów. Obudziła go Jasmina, kiedy na dworze jeszcze było widno, nie mógł więc spać zbyt długo.

– Łukasz – szepnęła, potrząsając go delikatnie za ramię. – Wstań. Muszę Ci o czymś powiedzieć.

Meyer usiadł na łóżku i przetarł zmęczone oczy.

– Co się stało?

– Dzwoniła do mnie pielęgniarka ze szpitala, w którym byłeś.

Łukasz mrugał powiekami, starając się ją dobrze zrozumieć.

– Ta kobieta, z którą przyjechałeś... ona zniknęła.

– Jak to?

– Zniknęła ze szpitala, nikt nie wie, gdzie poszła. Ktoś jej szukał.

– Nie rozumiem.

– Przyszło dwóch mężczyzn, pytali o nią, ale już jej nie było.

– Uciekła sama?

– Najwyraźniej.

Zmarszczył brwi. Dotarło do niego, że mógł mieć rację co do tego, czym się zajmowała ta kobieta. Nie Afganka, jasna skóra, wytrzymały organizm...

– Słuchaj – Jasmina mówiła jeszcze ciszej. – Pytałam... pewnych ludzi o to, o czym rozmawialiśmy w nocy...

– Tak? – Serce zabiło mu mocniej.

– Mam adres, pod którym możemy ich znaleźć.

– Ale jak...

– To nieważne. Jedźmy tam zaraz, może się czegoś dowiemy.

Ubrał się szybko i złapał kluczyki od dżipa, którym poruszali się po mieście

z Irkiem. Jasmina prowadziła go dość sprawnie wąskimi uliczkami miasta. Kiedy dotarli na miejsce, było już niemal ciemno. Wyłączył silnik i rozejrzał się uważnie wokoło. Był zaniepokojony. Starał się do tego nie przyznawać, ale widział przez całą drogę, że Jasmina odwracała się co chwila, jakby bała się, że są śledzeni. Nie wiedział, czy można jej ufać, ale nie miał w tym momencie wyjścia.

– Czekaj. – Złapała go za rękaw, gdy chciał wysiadać. – To nie jest ten adres... nie dokładnie. Musimy przejść kawałek dalej... dla bezpieczeństwa. – Zasłoniła twarz burką i opuściła wóz. Poszedł za nią, ale kazała mu iść przodem. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby nie prowadził jej żaden mężczyzna. Po dziesięciu minutach dotarli pod jakiś budynek, który z daleka wyglądał na niezamieszkały.

– O, nie – szepnęła przestraszona Jasmina.

– Co się stało? – Odruchowo sięgnął do kieszeni kurtki, w której miał pistolet. Andrzej dał mu go w dniu przyjazdu, traktując kwestie bezpieczeństwa bardzo poważnie.

– Jest zniszczony. – Wskazała głową na budynek. – Spalony.

Podniósł wzrok i dopiero wówczas dostrzegł, że nie ma tam dachu, a okna na piętrze są czarnymi dziurami ze śladami dymu naokoło nich. Drzwi nie było, ale korytarz wyglądał na zawalony jakimiś gratami. Jasmina nagle wyciągnęła latarkę spod burki, rozejrzała się jeszcze raz po ulicy i odważnie weszła do środka. Łukaszowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo.

Szli ostrożnie przez wąski korytarzyk, stąpając pomiędzy zwęglonymi przedmiotami. Każdy odgłos powodował, że zamierali na moment, ale po chwili ruszali dalej. Weszli do większego pomieszczenia, w którym stały jakieś meble, prawdopodobnie łóżka i stół. Łukasz dostrzegł w głębi kamienne schody i tam właśnie poszedł. Jasmina została w pokoju, najwyraźniej czegoś szukając. Nie wiele go to w tym momencie obchodziło, choć już wiedział niemal z całą pewnością, że kobieta nie pomaga mu bezinteresownie. Kiedy podszedł do schodów, wyciągnął z kieszeni pistolet i przykleił się do ściany. Z góry dochodziły odgłosy, jakby ktoś tam był i coś robił. Zaczął powoli wchodzić stopień po stopniu. W połowie drogi dostrzegł wypaloną dziurę w dachu. Nie miał latarki, ale dotarło do niego, że budynek został ostrzelany – z moździerza albo granatnika. Zrobiło mu się nieprzyjemnie na tę myśl, bo jeśli grupa Justyny tu była, to

mogło jej się coś stać. Jednak nie trzeba było być wielkim detektywem, żeby domyślić się, że mieszkańcy opuszczali domostwo w pośpiechu i najwyraźniej udało im się wszystko zabrać.

Na górze znalazł mały pokój z dwoma nadpalonymi łózkami. Dźwięk, który słyszał z dołu, był uderzeniem o ścianę zamarznętej płachty, służącej za drzwi. Wszedł do środka. Było ciemno, ale przez brak zadaszenia można było zorientować się nieco w otoczeniu. Nic nie zwróciło jego uwagi, więc usiadł na jednym z łóżek, które skrzypnęło groźnie pod jego ciężarem, ale nie zawaliło się. Chciał wyciągnąć nogi, bo gdy trzymał je podkurczone, zebra bolały go bardziej. Kiedy to zrobił, jego stopy napotkały na jakiś przedmiot. Nie chcąc bawić się w żadne długie dochodzenie, uniósł drugie łóżko i postawił je na boku, powodując mały rumor i wściekły ból w klatce piersiowej. Po kilku sekundach do pokoju wpadła zdyszana Jasmina z przerażeniem w oczach.

– Co się stało?

– Poświeć – powiedział spokojnie, a gdy tego nie zrobiła, zabrał jej latarkę z ręki i oświetlił podłogę. Kiedy zobaczył ten przedmiot, miał ochotę roześmiać się na głos. Kucnął i sprawdził organoleptycznie, czy to, co widzi, jest prawdziwe.

– Co to jest? – szepnęła Jasmina.

– Torba... – Ugryzł się w język. Chciał dodać, że należy do jego żony, ale uratowała go słaba znajomość języka angielskiego.

– Wiesz czyja?

– Tak. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Moja.

LXXXIII

– Możecie wchodzić. – Wiśniewski odwrócił się do siedzących z tyłu busa mężczyzn.

– Ale on jeszcze nie wyszedł z klatki. – Kot skrzywił się, patrząc przez lornetkę.

– Nie szkodzi. Dostał wiadomość, że ma być w Stołecznej, więc za chwilę wyjdzie. Mogą się z nim minąć na schodach, nic się nie stanie. Panowie, idźcie.

Mężczyźni zebrali z podłogi swój sprzęt, wcisnęli bejsbolówki na głowy i wyszli z wozu. W chwili, gdy mieli wchodzić do klatki, minęli się z wychodzącym Bambim.

– Doskonale. – Wiśniewski kiwnął głową. – Teraz patrz, czy się nie wraca. Mógł czegoś zapomnieć.

– Wątpię – mruknął Kot, ale dalej patrzył przez lornetkę.

Mrozowski jednak nie wrócił. Kotowicz zerkał co chwila w okna jego mieszkania, ale nie zauważył w nich niczego podejrzanego.

– Oni na pewno dadzą sobie radę? – Spojrzał na Roberta.

– Dadzą.

– Ale nie widzę tam żadnego ruchu.

– Właśnie dlatego dadzą sobie radę. To zawodowcy.

– Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz – westchnął Kot.

Mężczyźni wrócili po czterdziestu pięciu minutach. Z daleka wyglądali jak ekipa jakichś monterów albo spece od instalacji elektrycznej.

– No i jak? – zapytał Wiśniewski w uśmiechem.

– W porządku – powiedział starszy z nich. – Kamery, podsłuchy, czujnik ruchu przy drzwiach... Młody włamał się na jego komputer. Jedźmy teraz sprawdzić u Was, czy wszystko działa. Jak gość wróci i zapoda neta, ocenimy, czy jesteście zadowoleni z naszych usług, a potem będziecie radzić sobie sami.

– Świetnie. – Wiśniewski uruchomił silnik. – To jedźmy.

Cała instalacja, składająca się z komputerów i monitorów do wyświetlania obrazu z kamer, znajdowała się w kawalerce Malickiego przy Jana Pawła. Nie można było tego umieścić u Meyerów, skoro ich mieszkanie było w kręgu zainteresowań różnych osób. Kot był ciekaw, jak żyje Malicki, o którym tak naprawdę wiedział najmniej. Michał otworzył im drzwi z niewyraźną miną, jakby był zawstydzony całą sytuacją, co było o tyle dziwne, że zawsze kipiał energią i wyglądał na najbardziej pewnego siebie glinę.

– Wejdźcie. – Wskazał ręką na wnętrze małego mieszkania. – Przygotowałem miejsce dla sprzętu.

Rozkładanie wszystkich elementów systemu obserwacji i podsłuchu mieszkania Tomasza Mrozowskiego zajęło im około godziny. Drugą technicy uczyli ich, jak z niego korzystać.

– Z kamerami był największy problem – tłumaczył mężczyzna. – Facet prawie nie ma mebli, ściany są gołe, nie było tego gdzie schować, ale jakoś sobie poradziłem. Komputer nie był zbyt dobrze zabezpieczony, więc Młody szybko się do niego dostał. Pewnie niewiele się tam będzie działo, to sobie po prostu odtwarzajcie na szybkim nagrany materiał, żeby tu nie siedzieć niepotrzebnie.

– Jasne. – Wiśniewski kiwnął energicznie głową. – Myślę, że sobie poradzimy. W razie czego będziemy dzwonić.

Kiedy spece wyszli, Malicki zaproponował coś do picia. Wyglądał na skrepowanego, więc Kot starał się rozładować atmosferę jakimiś kawałami. Wiśniewski nie zwracał na nich uwagi, zafascynowany sprzętem, którym cały czas się bawił.

– Wrócił! – zawołał w pewnym momencie uradowany. Malicki z Kotem podeszli do stołu i spojrzeli w ekran.

Bambi wszedł do mieszkania, zdjął kurtkę i poszedł do kuchni. Nie robił niczego szczególnego, więc szybko się znudzili śledzeniem go. Po kwadransie Robert stwierdził jedynie, że włączył komputer, ale także nie działo się nic, co wzbudziłoby ich podejrzenia.

– Dobra, grunt, że mamy sprzęt i wszystko działa. – Wiśniewski podniósł się z krzesła i przeciągnął mocno. – Michał, masz coś do jedzenia? Wrzuciłbym co nieco na ruszt.

– Yyy... nie... to znaczy, mam kawałek kiełbasy i trochę wódki...

– Nie, nie. – Kot podniósł dłoń. – Nie róbmy zamieszania. Trzeba zamówić pizzę, omówić kilka spraw i jechać do domu.

– No właśnie – przypomniało się Robertowi. – Miałem powiedzieć Ci, co z tym śledztwem, to znaczy w sprawie włamania do Meyerów.

– No? – Kot uniósł brwi.

– Dwie osoby się przyznały. Ten, co był w B. S. K. i ten, co zrobił kipisz u Łukasza. Powiedzieli, że mieli znaleźć pamiętniki, przyznali się nawet do podpalenia auta Kołeckiemu. Niestety nie wiemy, kto ich wynajął. Twierdzą, że sami tego nie wiedzą.

– Akurat – prychnął Kot. – To jak dostali zlecenie?

– Mailem. Ale IP zaprowadziło nas do kilku kafejek w mieście, dopiero sprawdzamy monitoring. Ta w Metrze Centrum jest odwiedzana przez wiele osób, nawet kilkaset dziennie, więc to potrwa. Nie mamy też na razie wiadomości z Poznania w sprawie Kozery, a Ci nasi zawodnicy wypierają się tego wątku.

– Czyli że Maciek przez jakiś czas zostanie z nami. – Kot zamyślił się.

– Najwyraźniej. Słuchaj, z tego, co wiem, trochę ta historia przygasła, bo wszyscy są w szoku po tym, co się stało Brennerowi. Każdy boi się pewnie wyściubić nosa, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Wszędzie jacyś policjanci pilnują tych, których napadnięto. Równolegle prowadzimy kilka śledztw. To nie jest dobry czas dla wszczynania kolejnych bitew podjazdowych, nawet dla wojska, które zazwyczaj myśli mało logicznie. Wykorzystajmy to i pomóżmy Łukaszowi. – Wskazał głową na ekran monitora, na którym widać było Bambiego konsumującego kolację przed telewizorem. – Niech znajdzie Justynę i wróci nam pomóc.

Kot kiwnął głową.

– Dobrze, tak zrobmy. – Wstał z kanapy i złapał kurtkę.

– A Ty dokąd? – zdziwił się Robert. – Czekaemy na pizzę.

– Nie... jadę do domu. Zjedzcie moją porcję. Zresztą, zaraz powinien się tu zjawić Słomkowski, więc nic się nie zmarnuje.

– OK. To do jutra.

– No, na razie. – Tomek ubrał się szybko i wyszedł z mieszkania.

– Co mu się stało? – Robert spojrzał pytająco na Michała.

– Nie wiem... Chyba nic. Jest zmęczony i przytłoczony odpowiedzialnością.

Poza tym... myślę, że się zakochał.

– O, Boże. – Robert przewrócił oczami i pokręcił głową. – To się dobrze nie skończy.

– Nikt nie chce być sam – powiedział cicho Malicki, ale jego głos brzmiał na tyle dziwnie, że Wiśniewskiemu zrobiło się głupio. Michał był samotnikiem, a może był po prostu samotny i wcale nie było mu z tym dobrze...

– No... tak. – Robert przełknął ślinę. – Chodzi mi o to, że się facet pakuje w coś bez przyszłości.

– Nie Tobie to oceniać.

– Nie chciałem...

– Jasne, nigdy nic nie chciałeś. Widzisz tylko czubek własnego nosa, nic poza tym. Masz ułożone życie, wszystko Ci się udaje...

– Tak Ci się wydaje? – Wiśniewski poderwał się z gniewem z krzesła. – Wszystko? Ale to nie Ciebie ludzie traktują jak idiotę, nie z Ciebie śmieją się za plecami, jakbyś był głuchy.

– Nikt się z Ciebie nie śmieje. Masz paranoję.

– Uważaj, co mówisz! – Pięści Roberta znalazły się niebezpiecznie blisko twarzy Michała.

– Wiśnia! – Michał złapał go za nadgarstki. – Co Ty wyprawiasz? Jesteś workiem z kompleksami, które zaciemniają Ci myślenie. Uspokój się.

Robert wyrwał mu rękę jednym szarpnięciem i ściągnął kurtkę z krzesła, chcąc najwyraźniej opuścić mieszkanie, ale nagle rzucił ją z powrotem i usiadł na kanapie.

– Co jest? – Malicki usiadł obok niego z westchnieniem. – Masz jakieś kłopoty?

– Nie... nie wiem. Chyba żona mnie zdradza. Tylko nie pierdol, że mam paranoję. Po prostu widzę... co się dzieje od jakiegoś czasu.

– Zdradza? Myślisz, że ma kogoś na boku?

– Nie „na boku”. Niestety, to coś poważniejszego.

– Gadałeś z nią o tym?

– Próbowałem... – Robert przygryzł wargę. – Ale ona też ma mnie za idiotę.

– Długo to trwa?

– Z rok... Może i dłużej.

– I nic nie mówiłeś?

– Nie ma się czym chwalić... Michał, to nie jest tak, że jak coś dobrze wygląda z zewnątrz, jest takie naprawdę. W zasadzie jest chujowe.

– Dlatego powiedziałem, że nie Tobie oceniać to, co robi Kot. Może właśnie wszystko ułoży mu się szczęśliwie? Może za kilka lat będzie się śmiał z innych, bo będzie w lepszej sytuacji?

Robert spojrział na Malickiego z gniewem, ale po chwili odwrócił wzrok i zrobił strapioną minę.

– Może i racja... Ale wiesz, zawsze to lepiej popatrzeć na kogoś z boku i wyobrazić sobie, że ma gorzej niż my.

Michał roześmiał się.

– I na tym budować poczucie własnej wartości?

– A nie? – Robert też się uśmiechnął. – Połowa ludzkości je na tym buduje.

– Widzisz? Nie jesteś wcale taki głupi. – Malicki puścił oko.

– Uważaj, bo się to dla Ciebie źle skończy – pogroził mu ze śmiechem Wiśniewski. – Gdzie ta pizza? Umieram z głodu.

Przed dostawcą zjawił się Marcin, który koniecznie chciał zobaczyć sprzęt do śledzenia Mrozowskiego.

– Ale jajca! – Zrobił wielkie oczy na widok monitorów i urządzeń nagrywających. – Naprawdę to załatwiliście.

– No. – Robert pokiwał głową. – Kołeczki też jest ciekaw, co z tego wyjdzie. W razie odkrycia jakiejś większej afery chce mieć wyłączność.

– Tak? A co z tą Twoją napaloną panią żandarm?

– Wchodzimy w fazę oficjalnego romansu – wyszczerzył się Wiśniewski.

– Żartujesz?! – Marcin nabrał powietrza w płuca. – Będziesz z nią spał?

– Mam nadzieję, że nie – skrzywił się Robert. – Szczerze powiedziawszy, nie jest w moim typie. Pracuję nad tym, żeby dowiedzieć się jak najwięcej, zanim mnie zgwałci.

Michał parsknął i poszedł otworzyć drzwi dostawcy pizzy.

– Jedzenie! – ucieszył się Słomkowski, zdejmując kurtkę. – No to mów dalej. Czego się dowiedziałeś?

– Niestety, o sprawie Justyny nic. Próbowałem ciągnąć ją za język na temat szkoły, ale zawsze ucina rozmowę.

– Czyli że coś może być na rzeczy.

– Tak podejrzewam. – Robert sięgnął do pudełka z pizzą i oderwał sobie

kawałek. – Ostatecznie zostaje manewr z szantażem. Wyciągnie się zdjęcia i nagrania z naszych spotkań i postraszy, że dowie się o tym mąż czy tam narzeczony... Poza tym – zawiesił głos – zdradziła mi parę innych tajemnic służbowych i KołECKI już smaży serię artykułów o armii.

– O, matko! – Pokręcił głową Marcin. – To spalą go żywcem.

– Niekoniecznie – wtrącił z pełnymi ustami Michał. – Nie, jeśli większość osób będzie już siedzieć.

– No tak... – Marcin zamyślił się na chwilę. – Byłem u szefa. Też się o to pytał.

– Mówiłeś mu o Łukaszu?

– Nie. Rozmawiałem z Grażyną, powiedziała, że załamałyby się całkowicie. Podobno miał złe przeczucia w związku z jego wyjazdem. Ale! Przypomniał mi o czymś bardzo ważnym. Mieliśmy mieć oko na Słotwińskiego, czy nie jedzie na Mazury.

– No i co? Lubicki coś zauważył? – Robert stał sos pomidorowy z brody.

– Nie, jeszcze nie. Ale musimy być czujni, żeby w razie czego kogoś za nim wysłać. Na samochodzie założyliśmy mu nadajnik i mamy nadzieję, że nie pojedzie czymś innym. Byłoby łatwiej...

– Czeka! – Michał nagle podniósł się z miejsca i podszedł do ekranu monitora. – Dzwoni gdzieś.

Robert i Marcin stanęli obok niego. Bambi siedział przed swoim komputerem z zestawem słuchawkowym na głowie. Cekał na połączenie na Skype'ie.

– Daj głośniej – szepnął Malicki do Wiśniewskiego.

Na ekranie Mrozowskiego pojawiło się okno z brodatą twarzą, której rysy były dość mocno rozmazane.

– Co jest, gadzie? – zapytał Mrozowski. – Myślałem, że już śpicie. Późno tam u Was jest.

– Mam pytanie – powiedział swoim ponurym głosem Krokodyl. – Gdzie jest teraz stary Maliny?

– Kogo? – zdziwił się Wiśniewski, ale Michał go uciszył.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami Bambi. – A bo co?

– To się dowiedz – warknął Krokodyl. – Szybko, jak się da.

– Dlaczego? – Mrozowski nachylił się nad stołem.

– Bo mam złe przeczucia...

Bambi roześmiał się szyderczo.

– Masz początki schizofrenii. Wydaje Ci się, że pojechał do Afganistanu po Malinę. Przyznaj się: widzisz go na każdym kroku.

– Tak? To odpowiedz mi, gdzie on w tej chwili jest? – wycodził purpurowy ze złości Muszyński. – Bo coś mi się wydaje, że w domu go nie ma.

– Spokojnie, człowieku! – spoważniał Mrozowski. – Dowiem się. Ale Ty mógłbyś trochę zacząć nad sobą panować. Ta zazdrość Cię zniszczy.

– Nie jestem zazdrosny.

Bambi parsknął. Wiśniewski z Marcinem też.

– Dobra, nieważne – odetchnął Bambi. – A jak nasza królowna?

– Dobrze. – Krokodyl odwrócił wzrok.

– I tylko tyle? Nie buntuje się? Nie pyszczy? Nie wydrapuje Ci oczu?

– Nie, jest bardzo spokojna.

– Coś Ty mnie okłamujesz, Krokodylku. Siedzicie tam tyle czasu i ciągle słyszę to samo. Nie mów, że się nawet ani razu nie popłakała, od kiedy jesteście w Ghazni?

Policjanci w mieszkaniu Malickiego poruszyli się nerwowo, ale żaden nie odezwał się słowem.

– Nie. Jest zupełnie inna.

– Nie tęskni... za mężem?

– Wygląda na to, że nie. – Krokodyl potargał palcami brodę. – Gogol mówił, że załatwia mu stąd unieważnienie małżeństwa.

– Że co?! – Bambi o mało się nie zakrztusił. Słomkowski zasłonił oczy dłonią i pokręcił głową.

– Wysłała tego księdza do niego, żeby mu powiedzieć, że ma wolną drogę.

– Ja pierdołę! – roześmiał się nerwowo Bambi. – Coś jej się naprawdę przedstawiało w głowie.

– No... – mruknął Krokodyl. – Słuchaj, wiesz coś o tym zamachu w Kabulu?

– Ty się mnie o to pytasz? Mnie tam nie ma. Nic nie wiem. Zginął jakiś Polak, to wszystko, co mi się obilo o uszy.

– To dowiedz się, kim był i dla kogo pracował. Kiedy poleciał, czy leciał sam i na jak długo.

– Skurwiel – syknął Malicki, zerkając z niepokojem na Marcina.

– Dobra, postaram się, ale to może być trudne.

- Nie pierdol! Załatwisz to szybko, znam Cię.
- OK, nie denerwuj się. Powiedz mi... czym się teraz zajmujecie?
- Mała robótka, ale może się nam zejść. Wychodzimy przed świtem.
- Kiedy będziecie z powrotem w Kabulu?

Słomkowski zbliżył ucho do głośnika.

- Pytaj dowódcę – odpowiedział z cynizmem Krokodyl.
- To znaczy? Myślałem, że Ty dowodzisz.
- Malinę.

Bambi wybuchnął śmiechem, ale szybko spoważniał, gdy zorientował się, że Krokodyl nie żartuje.

- Co Ty pierdolisz? Malina dowodzi?

– Tak.

– No i jak?

– Normalnie. – Krokodyl wzruszył ramionami. – Nie ma się do czego przy-czepić.

Bambi podrapał się po siwiejącej czuprynie.

– Hm... cholera, nie wiem, co powiedzieć. Ale widocznie tak też może być. Tutaj poradziła sobie bardzo dobrze, jak łapaliśmy porywaczy. Z Talibami też powinna.

– No... pewnie tak. Dobra, muszę kończyć. Sprawdź mi tego jej starego i trupa z Kabulu. Prawdopodobnie zjedziemy z gór w sobotę rano, jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, więc wtedy daj mi znać.

– W porządku. – Bambi kiwnął głową.

Krokodyl zniknął z ekranu, a Mrozowski wyłączył komputer i poszedł do kuchni robić sobie herbatę. Wiśniewski, Malicki i Słomkowski stali jeszcze przez chwilę przed monitorem w milczeniu, jakby zastanawiali się, co powinni w tej sytuacji zrobić.

– Ależ to jest suka – wyszeptał przejęty Marcin.

– Kto? – Malicki spojrzał na niego z niepokojem.

– Justyna. Załatwia rozwód, a on po nią pojechał.

– E, tam – Wiśniewski machnął ręką i sięgnął do pudełka po zimną już pizzę.

– Dogadają się. To akurat jest najmniej istotne w tej historii.

– A co Ty wiesz? – Pierś Marcina uniosła się w przypływie emocji.

– Marcin, Justyna nie wie, że po nią pojechał. To po pierwsze. – Malicki klap-

nał na kanapie obok Roberta i też złapał kawałek pizzy. – Po drugie, Wiśnia ma rację i najważniejsze jest to, że wiemy na pewno, gdzie ona jest. Poza tym mamy źródło, z którego dowiemy się, kiedy wróci do Kabulu, gdzie jest Łukasz i być może nawet uda się zdobyć dokładne namiary na miejsce jej pobytu.

Marcin usiadł na krześle z zawziętą miną. Nie lubił jej i kropka.

– Byłem przy tym, kiedy ten ksiądz przyszedł do Łukasza – powiedział spokojnie Michał, widząc zdenerwowanie Słomkowskiego. – Meyer od razu powiedział, że na to nie pójdzie, ale nie był świadomy, że Justyna za tym stoi. Uważam, że postąpiła dość... szlachetnie.

– Szlachetnie?! Pojebało Cię? Chce się od niego uwolnić.

– Nie wydaje mi się. – Michał pokręcił głową. – Chciała dać mu wolną rękę, żeby sam zdecydował, co zrobić. Gdyby miała się uwalniać, zrobiłaby to inaczej.

– A swoją drogą – Wiśniewski zdawał się nie słyszeć ich wymiany zdań – to jakiś, kurwa, obłąd. Laska została dowódcą najemników. Rozumiecie to? Żona naszego Meyera rządzi kupą płatnych zabójców, idzie z nimi w góry, na wojnę z terrorystami... Ja pierdołę, to jest jatka dopiero.

– No... – Michał przewrócił oczami za plecami Roberta. – Jatka.

LXXXIV

– Łukasz! Czy Ty chcesz, żebym zawału dostał?

Meyer sam o mało nie umarł na zawał, kiedy Andrzej odezwał się niespodziewanie za jego plecami. Nie słyszał, kiedy Domański wchodził do mieszkania, w którym było bardzo cicho i niemal całkowicie ciemno.

– Cześć. – Wypuścił powietrze z płuc. – Wystraszyłeś mnie.

– Co Ty wyprawiasz? Byłem tu po siódmej, mieszkanie puste, od Ciebie żadnych wiadomości, telefonu nie odbierasz... Gdzieś Ty, u diabła, był?

– Pojechałem z Jasminą do domu, w którym była moja żona – odpowiedział spokojnie, wracając do przeglądania jakichś zdjęć na laptopie.

– Pojechałeś... – Andrzej usiadł obok niego z otwartymi ze zdumienia ustami.

– O czym Ty mówisz?

– Jasmina dowiedziała się, gdzie była grupa, w której pracuje Justyna. Byliśmy tam.

– Łukasz! – Domański złapał go za rękę, zmuszając, żeby na niego spojrzeć. – Nie rób takich rzeczy. To skrajnie niebezpieczne. Jasmina jest dobrym fachowcem i jest miła, ale tu każdy może być terrorystą. Nie ufam jej... nikomu nie ufam. Skąd wiesz, czy ona...

– Wiem, że nie pomogła mi bezinteresownie. – Głos Łukasza nadal był opanowany. Andrzej zrozumiał, że zaszła w nim jakaś znacząca zmiana. – Ale jeśli nie zaryzykuję, niczego nie osiągnę. A dziś osiągnąłem już bardzo wiele.

– To znaczy? Co to jest? – Domański spojrzął na komputer.

– Zdjęcia z tego miejsca.

– Po co je zrobiłeś? To jakaś spalona rudera.

– Wcale nie. Jest tam wiele szczegółów, które są dość istotne.

– Na przykład?

Łukasz westchnął i zerknął na Andrzeja z niewyraźnym uśmiechem.

– Byliśmy tam krótko, ale potem... pojechałem do tego miejsca jeszcze raz... sam.

– Zwariowałaś?! Ktoś mógł Cię śledzić.

– Wiem, ale pomyślałem, że lepiej, jeśli Jasminy przy tym nie będzie. Słuchaj... kiedy tam pojechaliśmy, szybko domyśliłem się, że ona coś ukrywa, więc musiałem zrobić rozpoznanie bez niej. Jasmina rozglądała się po tych pomieszczeniach, ale najwyraźniej nie zna się na tym za dobrze, bo niczego nie znalazła, a ja na pierwszy rzut oka widziałem, że nic nie jest takie, jak się wydaje.

– Co masz na myśli?

– Popatrz. – Łukasz obrócił laptopa w stronę Andrzeja. – Na tym zdjęciu widać wejście do budynku, tędy wchodziliśmy... Ale na podłodze leży pełno spalonych gratów. Kto przy drzwiach wejściowych w tak wąskim przejściu trzyma jakieś skrzynie i pudła? Żeby się o nie potknąć i wybić zęby? Domyśliłem się, że musieli korzystać z jakiegoś ukrytego przejścia z innej strony. To byłoby nawet logiczne. Żadna szanująca się grupa najemników nie będzie narażać życia, jawnie korzystając z wejścia do budynku. Musiałem więc poszukać tego drugiego wyjścia.

– Znalazłeś?

– Tak. Drzwi były zasłonięte jakimś dywanem, który wyglądał, jakby za nim niczego nie było. Wydaje mi się, że założyli go później... kiedy uciekali.

– Jesteś pewien, że uciekli i nikomu nic się nie stało?

– Tak.

– Poszedłeś za ten dywan?

– Owszem. Dlatego nie odebrałem od Ciebie telefonu. Szedłem wtedy jakimiś korytarzami... dość zawiły labirynt, muszę przyznać... i dotarłem do zupełnie innego budynku, przy zupełnie innej ulicy. Co ciekawe, nikt z mieszkańców nie zwrócił na mnie uwagi.

– Oj, Łukasz. – Andrzej pokręcił głową. – To naprawdę niebezpieczne... A skąd wiesz, że Twoja żona na pewno tam była?

– Bo znalazłem jej walizkę.

– Naprawdę? Gdzie ją masz?

– Leży obok Twoich nóg.

Domański sięgnął po walizkę i podniósł ją powoli z podłogi. Trzymał chwilę w dłoniach, jakby nie do końca wierzył w to, co widzi. Obrócił ją do góry

nogami i wtedy usłyszeli, jak coś się w środku przesuwają.

– Co to? – Spojrzał na Łukasza.

– Nie wiem. – Meyer zabrał mu torbę i zajrzał do środka. – Poświeć mi komórką.

Dokładnie wymacał walizkę od środka, ale niczego nie znalazł. Jednak kiedy ją obracał, dźwięk przesuwanego przedmiotu powtarzał się.

– Ma ukryte dno? – zapytał Domański.

– Nie... chyba nie. – Łukasz powoli przesunął palcami po krawędziach na dnie, szukając jakiejś dziury. – Czeka, coś tu jest.

Spód – sztywny kawał plastiku obłożony sukniem – można było w jednym miejscu podważyć i zdjąć. Kiedy Łukasz to zrobił, znalazł w środku małe płaskie pudełeczko, w którym były karta SD i karta SIM.

– Coś Ci to mówi? – szepnął przejęty Andrzej.

– To jest z telefonu Justyny. – Podniósł kartę SIM do światła. – A SD muszę sprawdzić.

Dane na karcie były jednak zabezpieczone hasłem, a w walizce nie było już nic, co mogłoby naprowadzić na pomysł, jak je złamać.

– Przydałby się jakiś spec od informatyki – mruknął niezadowolony Łukasz.

– Może to nic takiego?

– To by tak tego nie schowała. Dziwi mnie jedynie, że zostawiła torbę... Mogła o niej zapomnieć. Sam nie wiem...

– Ale zawsze coś... Mam tylko nadzieję, że nikt Cię nie śledził. Nie jestem detektywem, ale od razu widzę, że ktoś specjalnie spalił ten budynek. Myślisz, że to oni? Dla zatarcia śladów, kiedy uciekali?

– Nie wydaje mi się. Budynek został ostrzelany z czegoś większego.

– Boże! – Andrzej zasłonił dłonią usta.

– Na tych zdjęciach dobrze widać ślady. – Łukasz kliknął na kolejne fotki. – Podejrzewam, że granatnik, bo jego najprościej było wystrzelić, na przykład z dachu po drugiej stronie ulicy. Nikomu tam raczej nic się nie stało. Poza walizką Justyny nie znalazłem niczego podejrzanego, ubrań, sprzętu, jedzenia. Wszystko było wyprzątane.

– Rozumiem. Aha... powiedz mi... o co chodzi z Jasminą? Czy ona może być groźna?

– Nie wydaje mi się. Groźni mogą być Ci, z którymi się kontaktuje. To miej-

sce znalazła błyskawicznie.

– Jest z terrorystami?

– Chyba nie. – Łukasz uśmiechnął się. – A nawet jeśli, to jest jedynie informatorem terenowym. Pomagając mi, tak naprawdę wystawiła się. Gdyby była mądrzejsza, tylko by mnie obserwowała, a nie na siłę starała się zaprzyjaźnić.

– Mówiłeś jej, że szukasz żony?

– Nie. Powiedziałem, że kogoś z rodziny. Dopowiedziała sobie sama, że brata albo kuzyna. Nie prostowałem jej myślenia.

Andrzej westchnął ciężko i potarł zmęczoną twarz dłońmi.

– Idźmy spać – powiedział cicho. – Jest po drugiej.

– Nie wiem, czy zasnę – roześmiał się Łukasz.

– Domyślam się. Po takich przygodach. Ale spróbuj chociaż... i trzymaj broń blisko siebie.

LXXXV

– Malina, ja mam do Ciebie tylko jedną prośbę. – Charlie spojrzał na Justynę błagalnym wzrokiem. – Nie idźcie znowu do tej dziury, w której siedzieliście ostatnio.

Justyna parsknęła śmiechem.

– Charlie, obiecuję: nie pójdziemy.

– Ty się śmiejesz, a nie masz pojęcia, co przeżyłem, jak tam weszliście. Łączność radiowa umarła, ledwo GPS Was namierzył. Myślałem, że wpadliście w zasadzkę i nie żyjecie wszyscy.

– Charlie, spójrz na mnie. Nie idziemy nawet w tamten rejon, tylko tam. – Wskazała ręką na góry. – Na wschód. Tamto było na południu.

– Dobrze. – Pokiwał rudą czupryną nieco uspokoiony i pociągnął nosem.

Justyna rozejrzała się wokoło. Gogol, Krokodyl i Chudy pakowali się do jednego z wozów. Jechali razem z nią, szukać miejsca, z którego można by było obserwować góry na północnym wschodzie, z którego najprawdopodobniej prowadzono ostrzał bazy w Ghazni. Bullet i Nawigator wyszli wcześniej, bo musieli dotrzeć jeszcze dalej i jeszcze wyżej.

– Dlaczego ja nie jadę? – jęczał od pobudki Marchewa.

– Bo ktoś musi tu zostać. – Justyna była zmęczona jego obecnością i najchętniej odesłałaby go do Kabulu albo do diabła. Poza tym chciała rozdzielić go od Chudego, na którego miał zły wpływ.

– Malinka, mamy chyba gości. – Gogol wpatrywał się w ciemnościach w stronę, którą jechało się do „haj-łaju”.

– Co Ty opowiadasz? – Serce zabiło jej mocniej z niepokoju. – Nic nie widzę.

– Jedzie jakiś samochód bez świateł.

Czekali chwilę w napięciu, trzymając broń w pogotowiu, dopóki nieduży dżip na miejscowych blachach nie zajechał pomiędzy budynki. Początkowo nie

poznali Żółwia, bo ubrany był jak tubylec, ale nikt z Afgańczyków na pewno nie miał w życiu równie gładkiej skóry na twarzy i nie poruszał się jak książkę.

– Jest tu kto? – zawołał wesoło.

– Pojechało Cię? – Justyna była zła. – O mało Cię nie zastrzeliliśmy. Co tu robisz? Miałeś przyjechać jutro z Zawadką.

– Ojej – obruszył się. – Myślałem, że będę cieplej przyjęty.

– Nie wygłupiaj się, człowieku – warknął Krokodyl, wracając do pakowania wozu. – Jakbyś nie wiedział, gdzie jesteś.

– Co się stało? – Justyna ściszyła głos i podeszła do Żółwia.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Chciałem się z Wami zobaczyć. Wkurwia mnie ta baza i Ci ludzie... Musiałem się przewietrzyć.

– Boże – westchnął Gogol, kręcąc głową. – Hrabia musiał się przewietrzyć.

– No co? Ty też byś miał dość.

– Dobra, dobra. – Justyna nie miała ochoty wysłuchiwać pyskówek. – Co Cię wkurzyło?

– A – machnął ręką – te jełopy. Noszą głowy wysoko, jakby wszystko umieli, a nawet radiostacji obsłużyć nie potrafią. Tak mnie jeden pan podporucznik wkurwił, dekiel jeden, że mu w plutonie wszystkie „ukaefki” przeprogramowałem. Dzisiaj w nocy. Pojedzie debil na patrol i się z nikim nie dogada.

– Żółw, to może kosztować ich życie.

Żółw prychnął.

– Życie? Malina, w jakim Ty świecie żyjesz? Niech Ci Krokodyl opowie, co te gamonie wyprawiają. No, powiedz jej, Krokodylku, o tych, co pół roku temu wyjechali z bazy i trzy dni ich nie było, bo nie umieli się odnaleźć. Mieli mapę, nawigację podłączoną do komputera, ale nie potrafili nawet wozu dowiązać, głupki jebane.

– Naprawdę? – Justyna odwróciła się do Krokodyla.

– Tak – roześmiał się. – Krążyli po okolicy, aż się jacyś miejscowi zlitowali i ktoś ich na rowerze pilotował pod samą bramę. Jak im te radia przestawiłeś?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami Żółw. – Zmieniłem analog na hopping. Nie połapią się, bo częstotliwość tę samą zostawiłem, ale każdy wóz ma inne klucze, więc się nie dogadają. Zaraz polecą na serwis wołać, że nie działa.

Justyna westchnęła ciężko, zrezygnowana.

– Co jest, Malinka? – zaniepokoił się Żółw.

- Jesteś osłem, Żółwiu. Niech sobie pracują na tym analogu.
- Ale oni nawet nie wiedzą, jaka jest różnica pomiędzy trybami pracy.
- Ale my już ustawiliśmy nasłuch na ich radia.
- Aha... – Żółwik zrobił głupią minę. – A po co?
- Żeby ich podsłuchiwać, gamoni. – Justyna palnęła go w łeb. – Wracaj tam zaraz i zmień to, bo naprawdę Cię zastrzelę.
- Dobra. – Pomasował się po głowie i naburmuszył. – Nie wściekaj się. Trzeba było mi powiedzieć, to popieprzyłbym im coś innego.
- Gogol parsknął śmiechem.
- Jedź stąd. I jak będziesz chciał coś pieprzyć, daj nam znać – powiedziała Justyna.
- Tylko pamiętaj, że ten rozkaz dotyczy też pielęgniarek i kóz w okolicy – rechotał Krokodyl.
- Ale jesteście... Nie gadam z Wami. – Żółw odwrócił się na pięcie i pomaszerował do samochodu, jednak nagle coś mu się przypomniało i wrócił. – Gdzie Was jutro znajdę?
- Charlie poda Ci gridy, kiedy znajdziemy odpowiednie miejsce – uśmiechnęła się Justyna. – Weź stąd Marchewę jako kierowcę, niech odstawi Wasz wóz.
- Dobra. To jadę – westchnął Żółw. – Powodzenia.
- Powodzenia, Żółwik – szepnęła Justyna i wsiadła do dżipa.

LXXXVI

– Dzwonił ktoś z tym do Meyera? – Kot wpatrywał się wciąż monitor komputera, mimo że film z rozmowy Bambiego z Krokodylem dawno się skończył.

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Było już za późno.

– Ja to zrobię. – Kot kiwnął głową. – A tego skurwiela jeszcze kiedyś dopadnę.

– Kogo?

– Jego. – Wskazał głową ekran. – Niech tylko coś na niego znajdę... Sam ośmięście założę mu kajdanki.

Marcin podrapał się po głowie lekko dezorientowany, ale już nie dociekał, o co mogło chodzić, i wrócił do swojego biurka. Było przed ósmą, jednak niemal wszyscy byli na miejscu, cicho pracując albo przeglądając Internet przy porannej kawie. W pewnej chwili do openspace'u wszedł młody policjant, który pilnował ich budynku, z gościem.

– Panie komisarzu – zawołał Tomka. – Ten pan chciał się z panem widzieć.

Kot zmarszczył czoło, starając się rozpoznać twarz mężczyzny w średnim wieku, ubranego w bardzo elegancki i bardzo drogi płaszcz.

– Wojciech Słotwiński – przedstawił się gość, widząc jego minę. – Szef pani Meyer.

– Aha. – Kot podniósł się i podszedł do niego.

– Wylegitymowałem go – powiedział policjant.

– W porządku. Ja się już tym zajmę. Wracaj do siebie.

Kot podał dłoń dyrektorowi i przyjrzał mu się uważnie.

– Co pana do nas sprowadza?

– Czy moglibyśmy... porozmawiać na osobności? – Słotwiński rozejrzał się wokoło z lekkim niepokojem.

– Oczywiście. Chodźmy do gabinetu mojego szefa.

– Myślałem, że skoro pan go zastępuje, to pan będzie tu siedział – uśmiechnął się blado Słotwiński, kiedy usiadł przy biurku Brennera.

– Jak pan sam stwierdził: zastąpiłem szefa, a nie zająłem jego miejsce. Słucham więc.

– Jestem zaniepokojony... coraz bardziej.

– A czemuż to?

– Cała ta sytuacja – Słotwiński zrobił dziwny gest ręką w powietrzu – z Waszym przełożonym, ten zamach na jego życie... i Justyna, której nie ma... Wie pan, gdzie ona może być?

– Nie wiem – odpowiedział pewnie Kot. – Nie zajmujemy się poszukiwaniem jej.

– Aha... Bo widzi pan, ona wciąż jest naszym pracownikiem i musimy jej wpisywać nieusprawiedliwioną nieobecność. Będzie to miała w papierach...

– Po co pan mi to mówi?

– Bo może gdyby pan wiedział, gdzie jest, to przekazałby jej pan te wiadomości, żeby podeszła do sprawy bardziej odpowiedzialnie. Nie można tak się zachowywać.

– Nie rozumiem. – Kot pokręcił głową. Naprawdę próbował zrozumieć motyw Słotwińskiego. – To nie jest sprawa dla CBS. My nie jesteśmy jej rodzicami, a prawo nie zabrania odchodzenia z pracy bez powodu... prawo karne, oczywiście.

– Ale może jej mąż...

– Justyna odeszła od męża.

– Naprawdę? – Słotwiński odchylił się lekko na krześle.

– Tak. Już jakiś czas temu. Nie mamy z nią kontaktu, nie jest nam do niczego potrzebna.

– No a co ze śledztwem? Tym w sprawie porwania.

Mam Cię, draniu! – mózg Kotowicza rozjaśnił się nagle.

– A co ma być?

– No... czy nie jest Wam do niego potrzebna?

– Sprawa zamknięta. Porywacze są w areszcie, czekają na proces. Mamy wystarczające dowody, żeby ich posadzić na bardzo długo. Kowaliozem zajmie się prokurator z Niemiec.

Słotwiński poruszył się niespokojnie, mimo że bardzo się starał zachować

spokój.

– Czyli że wszystko jest w porządku? – zapytał cicho, nie patrząc Kotowi w oczy.

– Tak. Panie dyrektorze, gdybyśmy mieli jakieś problemy albo gdybyśmy chcieli się czegoś dowiedzieć, na pewno pan by o tym wiedział.

– Świetnie. – Słotwiński podniósł głowę i wymusił uśmiech na swojej twarzy.

– Dobrze to słyszeć. A jak się miewa pan inspektor?

– Lepiej. Powoli dochodzi do siebie.

– Tak... Bardzo się cieszę, że nie stało się coś gorszego. Pójdę w takim razie, nie będę już panu przeszkadzał.

– Zawsze do usług. – Kot podniósł się z fotela. – Gdyby miał pan jakieś pytania, proszę dzwonić. Chodźmy do mojego biurka, dam panu moją wizytówkę.

Kiedy Słotwiński wyszedł, Kotowicz zwrócił się do Mzygłoda.

– Piotruś, nie masz ochoty na małą wycieczkę na Mazury? Na przykład z Kowalskim.

– A po co? – Piotr zamrugał powiekami.

– Coś czuję, że w najbliższym czasie pan dyrektor nabierze ochoty na wędkowanie.

LXXXVII

– Jak się pan czuje? – Rasiak stał nad łóżkiem Brennera z założonymi rękami i miną świadczącą o pewnym stopniu wzruszenia.

– Dziękuję, świetnie. – Rafał uśmiechnął się blado. Zastanawiał się, jak długo jego przełożony mógł nad nim stać. Zacierała mu się granica pomiędzy snem a jawą po dużej ilości leków, którymi był faszcerowany.

– Doskonale – chrząknął generał i przysunął sobie stołek. – Panie inspektorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko, zamienimy kilka słów... o paru ważnych sprawach.

– Panie generale... ja... muszę pana przeprosić...

– Dobra, dobra. – Rasiak uniósł dłoń, nakazując Brennerowi milczenie. – Nie czas po temu.

– Ale ja panu groziłem...

– Nie pan pierwszy i nie ostatni. Gdybym miał się przejmować każdym, kto mi się odgraża, już dawno zszedłbym na zawał.

Rafał uniósł się lekko na łokciu, ale generał ruszył mu na pomoc i uniósł nieco oparcie, poprawiając jednocześnie poduszki.

– Tak... – Rasiak wytarł spocone czoło, rozglądając się wokoło. – Pan premier jest zadowolony z pana ludzi...

– Naprawdę? A kto...

– Kotowicz. Komisarz radzi sobie doskonale z robotą. Są postępy w śledztwie i paru innych sprawach... Dziś w nocy dwóch pojechało na Mazury. – Spojrzał wymownie na Brennera.

– Za Słotwińskim – szepnął przejęty Rafał.

– Tia... za panem dyrektorem.

– Wie pan... byli tu u mnie... Słomkowski i Kot... ale chyba nie wszystko rozumiałem, co do mnie mówili.

– No, ja się nie dziwię. Ale taka pana rola teraz, żeby dochodzić do siebie, a nie prowadzić śledztwa. Widzę, że nie ma się czym martwić, ma pan świetny zespół... Widzi pan... pana metody pracy nie każdemu się podobają.

– Właśnie widzę – roześmiał się cicho Rafał, dotykając rany.

– Mnie to niestety nie śmieszy... Cenię pana, bo mogę zawsze dać panu wolną rękę bez obaw, że narobi mi pan wstydu. Mnie pana metody pasują, bo są... jakby to powiedzieć... czyste. Dlatego wsadziłem Was do tego budynku, żebyście nie kłuli nikogo w oczy. Ale widzę, że Kotowicz działa inaczej.

Brenner zmarszczył brwi.

– Co pan ma na myśli?

– Pan się uspokoi. Nie robi nic złego... no, przynajmniej dobrze się maskuje, jeśli robi. Chodzi o to, że myślę o awansie dla niego.

– O! – Ożywił się Brenner. – Cieszę się.

– Tyle że to trzeba też będzie delikatnie załatwiać. Ludzie gadają... Stołeczna huczy po pana wypadku. Łysiak pierdolił trzy po trzy, zanim chciał pana ukatrupić. Zaczynają krążyć różne hieny, które koniecznie chcą wiedzieć, czym się zajmujecie. Staramy się z panem premierem to jakoś powstrzymać, ale łatwo nie jest. Będę chciał wsadzić Kotowicza na pana miejsce.

Rafałowi zrobiło się nieprzyjemnie. Odwrócił wzrok, starając się zapanować nad emocjami.

– Rozumiem, że nie chce pan, żebym wracał do służby.

– Czy pan też musi pierdolić bez namysłu? – Rasiak się zirytował. – Potrzebuję zastępcy, bo tego obecnego muszę wyjechać.

– Dlaczego? – Brenner poczuł, że jest mu bardzo słabo.

– Bo się kumpłował z Łysiakiem i namieszał mi w paru sprawach. Syf i chujnia, tyle powiem. Zostanie pan nadinspektorem, a jak pójdę na emeryturę... jak dożyję, kurwa mać, tego dnia... to zajmie pan moje miejsce.

Brenner opadł bez sił na poduszki. Nie był przygotowany na takie wieści.

– Ale...

– Żadnych „ale”! Brzeziński sam naciskał na tę kwestię. Męczą mi o to dupę, od kiedy Fornalski obiecał mu powrót do wywiadu. Musi mieć swoich na różnych stanowiskach. Panie Brenner, grunt pod awans trzeba umieć sobie przygotować.

– Kot już wie?

– Nie. Ja nie jestem od tego, żeby ludziom złe wieści roznosić – zarechotał Rasiak. – Mam przecież podwładnych, nie? Pan mu zakomunikuje tę cudowną wiadomość. Niech sobie chłopak szykuje miejsce na oddziale kardiologicznym i psychiatrii, bo potem może być za późno. Dobra – stęknął generał, dźwigając się z krzesła – idę, bo mnie zaraz pana ślubna zamorduje. Siedzi przed wejściem jak cerber i nie wpuszcza nikogo. Jest lepsza niż policja. A pan mi zdrowieje, bo robota czeka.

– Rozkaz – uśmiechnął się Brenner.

Grażyna weszła sekundę po wyjściu generała. Stała nad mężem z zatroskaną miną i pogłodziła go po twarzy.

– Bardzo Cię wymęczył?

– Bardzo. – Puścił do niej oko. – Dosłownie mnie zastrzelił tym, co powiedział.

– Strasznie śmieszne. – Pokręciła głową zdegustowana. – Czego chciał?

– Zarysował mi ścieżkę mojej przyszłej kariery.

– Już się boję. – Przewróciła oczami.

– I słusznie. Ale nie mówmy o tym. Powiedz mi, czy mi się zdawało, czy był u mnie w odwiedzinach mały Jakub Bąk?

Grażyna uśmiechnęła się szelmowsko.

– Był.

– Naprawdę? Zdawało mi się, że to zjawa.

– Nie, był tu naprawdę. Przyjechał z wujkiem i rozliczał Cię z jakiegoś zadania.

– No tak... Niesamowity dzieciak.

– No... Pozdrawia Cię.

– A skąd wiesz?

– Dzwoniłam do jego matki sprawdzić, czy dotarli cało do domu. Nie wiem, czy to ważne, ale nie wspomniałam, że Łukasz jest w Afganistanie.

– Bardzo dobrze. – Rafał spoważniał, prostując się znowu na posłaniu. – Nikt nie może wiedzieć.

– Ale przepytałam ją w innej sprawie. Nie mogę pojąć, dlaczego nikt nie powiedział Justynie, że mąż jej szuka. Tłumaczyła mi pokrętnie, że chcą ją chronić, że wydaje im się, że to będzie dla niej najlepsze... Moim zdaniem to zwykłe chamstwo.

Rafał westchnął ciężko i zamyślił się.

– Niepokoję się o niego. Były jakieś wieści z Afganistanu?

– Yyy... – Grażyna nachyliła się nad nim, zmuszając się do uśmiechu. – Tak... Kot mówił, że w porządku. Jest w Kabulu i podobno trafił na jakiś ślad, ale Justyny tam na razie nie ma. Jest w górach.

– Aha...

– Rafał, odpocznij sobie, dobrze? – Grażyna nigdy nie umiała kłamać, a jej mąż zawsze wyczuwał fałsz. Wolała szybko wyjść i nie poruszać już tematu Łukasza.

– Odpocznę. – Kiwnął lekko głową. – Zadzwoń do Martynki, powiedz, żeby wpadła za jakiś czas. Dawno jej nie widziałem.

Grażyna nie odpowiedziała. Ich córka siedziała przy ojcu pół nocy, nawet z nią rozmawiał chwilę, ale najwyraźniej już niczego nie pamiętał. Przed nim była jeszcze długa droga do pełnego wyzdrowienia.

LXXXVIII

Łukasz zasnął nieco tego dnia, ale Andrzej nie robił mu wymówek. Podniósł na moment głowę, kiedy Meyer wszedł do baraku, i uśmiechnął się przyjaźnie, zaraz jednak wrócił do planów, nad którymi się pochylał. Był z nim jakiś człowiek, prawdopodobnie nowy inżynier. Domański wspominał, że udało mu się znaleźć w Kabulu kogoś, kto przynajmniej na krótki czas zastąpiłby Irka. Mężczyzna był dość młody i miał ciemną skórę, ale trudno było powiedzieć, czy jest stąd, czy może, tak jak Jasmina, pochodził z Pakistanu. Po angielsku mówił dobrze, tyle że z wyraźnym akcentem. Na Łukasza nie zwrócił uwagi, zbyt był zajęty tym, co mówił do niego Andrzej, więc Meyer po cichu zajął miejsce w kącie, zdjął kurtkę i nalał sobie herbaty. Jasminy nigdzie nie było widać, a zazwyczaj wyrastała jak spod ziemi, kiedy tylko zjawiał się na budowie, dlatego gdy nowy pracownik wszedł, zapytał o nią szefa.

– Jest w pracy. – Domański też nalał sobie gorącej herbaty z termosu. – Przyglądałem się jej dzisiaj uważniej, ale zachowuje się dość normalnie. O Waszej wyprawie nic nie mówiła, ja też nie zdradzałem, że wiem cokolwiek.

– To dobrze – Łukasz uśmiechnął się. – Dużo o tym myślałem i uważam, że to bardziej niż podejrzane, że wiedziała takie rzeczy. Dziwi mnie, że pierwsza napotkana osoba akurat jest jakimś agentem albo szpiegiem.

– A mnie to w ogóle nie dziwi – odpowiedział spokojnie Andrzej, zajmując miejsce obok Łukasza. – Mówiłem Ci od początku, że trzeba tu bardzo uważać. Siedzimy w tym kraju już nieco czasu i zdążyłem się przekonać, że co druga osoba jest podejrzana.

– Naprawdę? – Łukasz roześmiał się cicho. – To gorzej niż u nas.

Andrzej nie wyglądał na ubawionego tym żartem. Spojrzał na Meyera z powagą i odstawił kubek.

– Łukasz, jesteś policjantem, więc nie będę Cię oszukiwał. Jeśli ktoś przyjeź-

dza do Afganistanu z zamiarem zrobienia z niego demokratycznego kraju, który ma działać tak jak inne demokracje, ten bardzo się myli. W chwili, w której ostatni żołnierz koalicji opuści to miejsce, ono zamieni się w to, czym było przed tą wojną. Budowanie nowej armii i policji to fikcja. A wiesz dlaczego? Bo co drugi człowiek, jaki nosi mundur, jest podstawiony, a reszcie wcale nie zależy na budowaniu nowego ładu. Rozmawiałem z naszymi żołnierzami, którzy ich szkolą... to daremna robota.

– To po co tu jesteśmy?

– Głupie pytania zadajesz. A po co byliśmy w Iraku czy na Bałkanach? Po nic.

Łukasz zamyślił się.

– Może... może Jasmina szuka grupy mojej żony, bo pracuje dla innej, która chce ją zniszczyć? To nie daje mi spokoju od wczoraj.

– I słusznie. – Andrzej kiwnął głową. – Dlatego nie powinienes już więcej o tym z nią rozmawiać ani wciągać jej do swoich poszukiwań.

– W zasadzie nie muszę już szukać – westchnął Łukasz.

– Czemu?

– Wiem na pewno, że jest w Ghazni. Poszli w góry, być może w sobotę zejda z powrotem.

– Co chcesz więc zrobić?

– Nic... Muszę poczekać. Dobra, nie będę się więcej obijał. Wejdę na górę zobaczyć, co z duchem pracy w zespole.

Meyer kręcił się po budowie dość długo. Ze zdumieniem stwierdził, że prace postępują, mimo że robotnicy ruszali się jak muchy w smole. Kilka osób mówiło coś do niego, wskazując na jego rany na twarzy, najwyraźniej pytali o to, jak czuje się po wybuchu. Uśmiechał się tylko blado, zapewniając, że wszystko jest w porządku. Jasminę znalazł pod koniec swojego obchodu na samym dole budynku, jak krzyczała na jednego z majstrów, który wcale nie pozostawał jej dłużny. Pracownicy, a zwłaszcza majstrzy, nie lubili jej, głównie dlatego, że była kobietą. Łukasz już dwukrotnie musiał interweniować w jakichś zatargach i dawać do zrozumienia, że mają się jej słuchać. Teraz też podszedł i zapytał, o co chodzi, nie licząc na to, że zrozumie odpowiedź. Jednak na jego widok majster zamilkł i skulił się w sobie, rzucając im tylko złowrogie spojrzenie. Odwrócił się na pięcie i wrócił do swoich zajęć, pokrzykując coś do swoich ludzi.

– Dziękuję – szepnęła Jasmina. – Czasami mam dość. Powinnam posłuchać ojca i wrócić do Wielkiej Brytanii.

Łukasz uśmiechnął się tylko i pokiwał głową, bo też nie bardzo wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Jasmina musiała być naprawdę mocno zdenerwowana, bo nie pytała go o nic. Wrócili do biura Andrzeja zagrzać się nieco przy gorącej herbacie. Kiedy tylko weszli do środka, Łukasz zorientował się, że i Domańskiemu coś nie pasowało. Spojrzał na niego z wyraźnym niepokojem.

– Co się stało?

– Później – wycedził Domański, wskazując głową na Jasminę, odwróconą do nich plecami.

Posiedzieli jeszcze około godziny razem, aż Jasmina zaczęła się zbierać do wyjścia. Młody inżynier zjawił się na chwilę, zabierając ją ze sobą. Na Łukasza znowu nie zwrócił specjalnie uwagi.

– Dobrze, że jest ten chłopak, ma z nią kto chodzić po mieście. – Domański wyraźnie odetchnął z ulgą po ich wyjściu.

– Powiesz mi teraz, co Cię tak zdenerwowało?

– Nie jest dobrze. – Andrzej pokręcił głową z niezadowoleniem. – Był tu ktoś, kto pytał o Ciebie.

– Kto taki?

– Amerykanin. Rozmawiałem z nim dość długo... On zna tę kobietę ze szpitala, tę, z którą zabrał Cię ambulans.

– Żartujesz? – Łukasz nachylił się nad Andrzejem przejęty. – Jasmina mówiła, że uciekła ze szpitala.

– Tak, a teraz Ciebie szuka. On... podobno jest od niej. Próbowałem udawać, że nie wiem, o czym mówił, ale nie dał się zbyć.

– Czego chce ode mnie?

Domański spojrzał na niego przenikliwie, aż Łukaszowi przeszły ciarki po plecach.

– Chce wiedzieć, co robiłeś wczoraj w tym budynku, w którym byłeś z Jasminą.

Meyer wyprostował się, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem.

– Usiądź. – Andrzej wskazał na krzesło, sam zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Powiedział mi, że Cię śledzili. Ale nie do tego budynku, tylko od niego...

– Czyli że... jak tam pojechaliśmy, to oni obserwowali to miejsce, tak?
– Zgadza się. – Domański kiwnął głową. – Potem pojechali za Tobą i Jasminą. Miałeś rację: ona pracuje dla jakiejś szemranej grupy, której ludzie Twojej żony deptali po piętach.
– Mówiła coś o swoich braciach...
– No właśnie. Dziwiłoby mnie, gdyby nie była w nic umoczona, to całkiem oczywiste... Chodzi o tego Amerykanina. Pytałem, dla kogo on pracuje, ale odpowiedział jedynie: „Na pewno nie dla CIA”.
– Ale myślisz, że można mu ufać?
Andrzej odwrócił wzrok, drapiąc się po siwej głowie.
– Widzisz... on powiedział, że ta kobieta, którą zabrałeś z ulicy, jest przyjaciółką Twojej żony.
– Słucham!? Mówiłeś mu o Justynie?
– A skąd! Ani słowa. Sam mi to powiedział. Był całkowicie pewien tego, co mówi. Chce z Tobą rozmawiać.
– Ale... ale ja angielskiego dobrze nie znam.
– Wiem. Dlatego pójdę z Tobą. Będzie też ta kobieta.
– Kiedy? – szepnął Łukasz.
– Za godzinę. Podał mi adres jakiejś restauracji. Jeśli chcemy zdążyć, musimy zaraz jechać.
– To jedźmy! – Łukasz poderwał się z miejsca, ale Andrzej złapał go za rękę.
– Trzeba uważać, co się mówi. Będę Cię pilnował, jeśli pozwolisz...
– Jasne. W sumie... może powinien ktoś inny jechać. Andrzej, Ty masz firmę, budowę...
– Już za późno. – Domański uśmiechnął się smutno i wstał z krzesła.
Dotarcie na miejsce rzeczywiście zajęło im sporo czasu. Kiedy podjechali pod wskazany adres, przed restauracją stał śniady mężczyzna w średnim wieku i uśmiechał się na ich widok.
– To on? – Łukasz zerknął na Andrzeja.
– Tak.
– Ani on Amerykanin, ani Afgańczyk – mruknął Łukasz, wypinając się z pasów.
Mężczyzna przywitał ich, ściskając dłonie, i wskazał na wejście do restauracji.

– Ona czeka – powiedział po angielsku.

Wewnątrz nie było wielu gości, ale po kobiecie ani śladu. Łukasz z Andrzejem rozejrzeli się zdezorientowani, kiedy śniady Amerykanin poprowadził ich bardziej w głąb, do ukrytego za kotarą pomieszczenia.

Angie poderwała się z drewnianej ławki i dopadła Łukasza, wbijając w jego ramiona swoje kościste palce. Przypominała mu posturą matkę i ciotkę, ale w oczach miała zdecydowanie więcej życia, mimo że była ranna i wyraźną trudność sprawiało jej stanie na prostych nogach. Była nieludzko blada, na dłoniach i szyi widać było jej wszystkie żyły, a policzki zapadły się, czyniąc jej twarz upiorną. Nosiła długą sukienkę, a na ławce leżała niebieska burka.

– To Ty – powiedziała cicho, wpatrując się w niego intensywnie. – Już na ulicy wiedziałam, że Ty jesteś mężem Maliny.

– Łukasz? – Andrzej spojrzał na niego pytająco. – Kim jest Malina?

– To moja żona – odpowiedział po polsku. – Taką ma tu ksywę.

– Usiądź. – Angie pociągnęła go do stołu.

– Jak się nazywasz? – zapytał nieśmiało Łukasz.

– Angie. – Amerykanka pokazała zęby w uśmiechu. – Jestem Angie. Mówiła mi o Tobie, dokładnie Cię opisała. Ale mówiła, że zerwaliście.

– Nie. – Pokręcił głową. – Szukam jej.

De Soto była wyraźnie zachwycona tym, co usłyszała.

– Angie... – Łukasz przełknął ślinę – czy Ty wiesz, gdzie ją znajdę... tu, w Kabulu?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała szczerze. – Ale jeśli będę wiedzieć, Ty będziesz pierwszym, któremu o tym powiem. Tylko muszę znać miejsce Twojego pobytu, a ta dziewczyna, z którą byłeś, o niczym się nie dowie.

– OK. – Kiwnął głową, przetwarzając w mózgu to, co usłyszał.

– A jak Ty masz na imię? Łukasz? – zapytała Angie, wpatrując się w jego oczy z niekłamanym uwielbieniem, które go nieco peszyło.

– Tak.

– Pięknie.

– Andrzej – Łukasz zwrócił się do szefa – możesz ją zapytać, dlaczego Ci ludzie siedzieli pod tamtym budynkiem?

– Jasne. – Domański kiwnął głową i przetłumaczył pytanie Łukasza.

Angie spojrzała na stojącego przy drzwiach kolegę, z którym wymienili się

znaczącymi uśmiechami.

– Grupy, w której pracuje Twoja żona, wielu tu nie lubi i wielu ściga. A my szukamy tych, którzy zaatakowali ich kryjówkę, bo akurat my polujemy na nich.

Kiedy Andrzej wyjaśnił dokładnie jej słowa, Łukasz roześmiał się i pokręcił głową.

– To jak dżungla – powiedział do Angie.

– Dokładnie. Ale poszczyliło się nam. – Puściła do niego oko. – Dzięki Tobie. Ktoś Cię śledził, więc zdjęliśmy go po drodze.

Łukasz potarł brwi palcami i spojrzął z niepokojem na Domańskiego. Od razu pomyślał, że to mógł być ktoś, kogo znała Jasmina, i dlatego chodziła tego dnia tak podenerwowana.

– Mówiłem Ci. – Andrzej zacisnął usta. – To niebezpieczna gra.

– A co z tą dziewczyną? – Łukasz znów zadał pytanie, nie patrząc jednak na De Soto.

– Nic. – Angie wzruszyła ramionami. – Obserwujemy ją. Ona też „pomaga” nam dotrzeć do różnych ciekawych osób. Łukasz – położyła mu dłoń na rękę, zmuszając, żeby na nią spojrzął – nie możesz teraz wykonać żadnego niepotrzebnego ruchu, bo to może być niebezpieczne dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla Twojej żony. Rób to, co robisz, i czekaj na sygnał od nas. Kiedy wróci do Kabulu, skontaktuję się z Tobą, OK?

Kiwnął głową, choć nie rozumiał każdego słowa. Wiedział jednak, o czym mówiła, w zasadzie nie musiała mu tego tłumaczyć...

– Pojedziemy – szepnął przez ściśnięte gardło. – Bardzo Ci dziękuję, Angie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Poglądziła go po policzku. – Dzięki Tobie zachciało mi się znowu żyć. Uważaj na siebie.

LXXXIX

– Co robisz? – Lenart stał w drzwiach gabinetu Brennera i ze zdziwieniem przyglądał się Kotowi, który pisał coś na białej tablicy.

– Zapisuję sprawy, którymi się zajmujemy. Muszę mieć to jakoś poukładane, przynajmniej w formie pisanej, bo zaczynam się gubić.

– Aha... – Zbyszek stanął za jego plecami i spojrzął na tablicę. – Napisałeś: „Adamiakowa – niewyjaśnione”.

– No, a co?

– Właśnie wracam z aresztu, bo Agnieszka prosiła o spotkanie. Pani prezesowa zareagowała na leki.

– O! I zaczęła coś mówić?

– Tak... – Lenart westchnął i klapnął na krzesło, nie zdejmując płaszcza. – Myślę, że Aga będzie mogła niedługo wyjść, trzeba jej będzie załatwić jakąś premię za tę robotę... Adamiakowa poczuła się lepiej i powiedziała jej, jak to wyglądało z jej perspektywy. Myślałem, że powiem o tym na odprawie, ale jeśli chcesz...

– Mów. – Kot usiał na krzesło obok.

– Było tak, jak twierdziła Justyna, czy tam jej informator. Prezesowa niczego nie zleciła, miała jedynie przekonać zarząd do wejścia w układ z firmą Kowaliowa. Była w szoku, kiedy postawiono jej takie zarzuty, ale szybko znalazł się ktoś, kto jej groził.

– Nie wiesz kto?

Zbyszek skrzywił się i pogładził po brodzie.

– Ona twierdzi, że wspólnicy męża.

– Słucham?! Że... że niby Słotwiński z Jakubowskim?

– No.

Kot prychnął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ale po co mieliby to robić?

– Według niej ona i jej mąż są ofiarami spisku, który miał na celu całkowite przejęcie ich firmy. Jak dla mnie nie trzyma się to kupy, raczej nie ma racji w tej kwestii... ale że groził jej Słotwiński i prezes... tu już nie jestem taki pewien.

– Dlaczego?

– Cóż... – Lenart rozłożył ręce. – Bo może im to też pasowało? Jeśli mieli coś wspólnego z Kowaliowem, jeśli się z nim kontaktowali albo on z nimi, to woleli, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

– Ja pierdołę. – Kotowicz nagle zbladł. – Jurkiewicz.

– Na przykład – opanowany jak zawsze Zbyszek uśmiechnął się i lekko kiwnął głową. – Do niego też kogoś wysłali, a że jest debilem, to nie zrozumiał, czego ma nam nie mówić.

Kot spojrzał na tablicę, intensywnie się nad czymś zastanawiając. Po chwili podszedł do niej i narysował dużą strzałkę łączącą sprawę porywaczy z B. S. K. i Adamiakami.

– Może było tak... – powiedział jakby do siebie. – Słotwiński planował z prezesem wykorzystać Justynę do jakichś swoich celów w firmie, mogła na przykład zostać pracownikiem kluczowym od ważnego tematu albo nawet ich doradcą. Dowiedział się o tym Kowaliow, który w tym samym czasie zjawił się u nas w kraju, żeby przejąć całą ich firmę i uznał, że trzeba zlikwidować Justynę albo zaszantażować jej porwaniem tych dwóch kolegów. Dlaczego? Bo wcześniej nie udały mu się rozmowy ze Słotwińskim, który woli, żeby nikt nie wiązał jego osoby z Rosjaninem, dlatego zmusił Adamiakową do zmiany zeznań i wysłał kogoś do aresztu w celu nastraszenia naszego geniusza mordy, Jurkiewicza. Ale wiesz, co mnie zastanawia?

– No? – Zbyszek uniósł jedną brew.

– Jurkiewicz powiedział nam, że koleś, który ich straszył, dużo o nich wiedział, mówił, że w zasadzie wszystko. Jeśli naprawdę Słotwiński za tym stoi, to skąd ma taką wiedzę?

– Kocie, a pamiętasz, jak Łukasz opowiadał nam o swojej rozmowie z dyrektorem?

– Pamiętam. I co z tego?

– Meyer zwrócił uwagę na mały szczegół: Słotwiński powiedział, że ma swoje dojścia. Przyznał się do tego, że wie, gdzie Łukasz pracuje, dopytywał o to, co

będzie z Adamiakową, o porywaczy...

– Jasne – Kotowicz westchnął. – Czyli że ma kogoś u nas... – Ręka Kota zawisła w powietrzu w nieokreślonym geście.

– Co jest?

– Jesteśmy debilami. Cały czas patrzymy na rozwiązanie i go nie widzimy.

– Możesz jaśniej?

– Wiesiek.

– Co Wie... O, kurwa!

Zbyszek z Kotem spojrzeli na siebie, nie mogąc wydobyć żadnego dźwięku z gardeł.

– Wyglądacie jak debile – stwierdził z rozbrajającą szczerością stojący w drzwiach Malicki. Zza jego ramienia wyglądał Marcin Słomkowski, ciekawie przyglądając się całej scenie. Obydwaj wcinali ze smakiem drożdżówki z serem.

– Co się dzieje? – zapytał Marcin. – Jakiś wielki przełom?

– Pojedziesz pogadać z Wieśkiem Iwanowem. – Kot spojrział na niego, kiwając głową.

– Po co?

– Wyjaśnię na odprawie. Michał, masz coś nowego od Mrozowskiego?

– Tak. Koleś jest nieprzeciętnym skurwysynem. Ma haki na wszystkich w tym mieście. Zdobywa informacje szybciej niż najlepsze służby w tym kraju razem wzięte. Jeden telefon i wie, że Meyer jest na bezpłatnym. Musiałem nieźle się nakombinować, żeby nikt mu niczego nie wygadał, zwłaszcza u nas w Stołecznej. Przy okazji dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy o moich kolegach z wydziału.

– To czego się dowiedział o Łukaszu?

– Niczego. – Wzruszył ramionami Michał, odgryzając spory kawał bułki. – Zadzwoił do mojego kumpla z pytaniem, kumpel obiecał, że się czegoś dowie, ja w tym czasie zadzwoniłem do niego i kazałem przekazać panu konsultantowi, że Meyer ma bogatą kochankę, z którą pojechał na Karaiby, dużo pije, uprawia hazard i nie wróci do policji.

– Uwierzył?

– Łyknął. Ale myślę, że ten jego kolega z Afgana tego nie kupi. Widać, że koleś nie jest w ciemną bity.

– A wiesz coś o Justynie?

– Nie. Nic nowego się w tej kwestii nie wydarzyło. Są w górach, to wszystko.

– No dobra. – Kot potarł dłońmi twarz. – Muszę napić się kawy. Jak pojawi się Kozera z Badeckim, zaczniemy odprawę. Piotrek z Mariuszem są w lesie pod Węgorzewem, ale jeszcze nic nie mają, więc na razie zajmijmy się tym, co my mamy tutaj.

Biuro powoli zapełniło się ludźmi, którzy pili kawę, czytali wiadomości w sieci albo gadali przez telefon. Kiedy mieli zbierać się na poranną odprawę, do openspace’u wszedł policjant z Gosią Łukasik.

– Od samego rana goście – westchnął Kot, podnosząc się z fotela.

– Panie komisarzu, ta pani...

– Wiem, wiem. – Tomek machnął ręką. – Możesz iść, ja się tą panią zajmę. Cześć, Gośka. Co Cię do nas sprowadza?

– Cześć. – Gosia obrzuciła towarzystwo krótkim spojrzeniem, jakby kogoś w nim szukała. – Chciałam dowiedzieć się czegoś o Waszym szefie. W szpitalu mi nic nie powiedzą, a martwiłam się nieco, co z nim... to znaczy, czy to nie przez tę sprawę.

– Nie, chodzi o coś innego. – Tomek uśmiechnął się i podszedł do niej, żeby pomóc jej zdjąć kurtkę. – Chcesz coś do picia?

– Wody. I jeśli można, wolałabym pogadać w cztery oczy.

– To chodź do kuchni.

Gosia zajęła miejsce na krześle, ale wcale nie spieszyła się z wyjaśnieniami. Kot spojrzał na nią pytająco.

– Wszystko w porządku? – zapytał, stawiając przed nią szklanekę z wodą.

– Tak... w zasadzie tak. Złożyliśmy z mężem zeznania w sprawie tych pogróźek. Policja mówiła, że kogoś już złapali... Ale ja mam inną sprawę.

– No to słucham.

– Nie wiem, na ile to istotne... ale przypomniało mi się coś niedawno, kiedy ktoś zamawiał w naszej kwiaciarni wieniec na pogrzeb emerytowanego generała. Mówił, że będzie w Katedrze Polowej przy Długiej i że przyjadą różni księża... no i nawet będzie jeden z Bydgoszczy, ksiądz Ślusarczyk.

– Znasz go?

– Tak, choć niezbyt dobrze. Był naszym kapelanem, kiedy byliśmy z Justyną na szkółce. Właśnie ona miała z nim więcej do czynienia.

– To znaczy?

– Widzisz, Justyna była swego czasu bardzo religijna, dużo się modliła, w wierze pokładała wszelkie nadzieje... Ale była też bardzo naiwna i ufała byle komu, wystarczyło, że nosił koloratkę.

– I jemu zaufała, a nie był tego wart, tak?

– Dokładnie. Pomagała przy kaplicy, sprzątała, podlewała kwiaty, na mszach czytała i takie tam pierdoły. Potrzebowała w tym wszystkim jakiegoś wsparcia i wydawało się, że ten cały ksiądz jest inny i że będzie jej pomagał... Ale okazało się, że on niczym się nie różnił od reszty... Wiesz co... – Roześmiała się nerwowo i odwróciła głowę w drugą stronę. – Aż ciężko mi o tym mówić. Sama Justyna opowiedziała mi o tej sprawie niedawno.

– On ją molestował? – Żołądek Kota znalazł się na wysokości gardła.

– Nie... nie w sensie dosłownym. Ale miał na nią zwyczajnie ochotę. Po jakimś czasie zaczął się przy niej irytować, robić jakieś wymówki, był opryskliwy... To on ją zdradził.

– Jak to?

– Justyna mówiła mu różne rzeczy, w zasadzie wszystko, co leżało jej na wątrobie, żaliła się i wyplakiwała, także na spowiedziach. Nie wiedziała przy tym, że on chodzi na wódkę z jej dowódcami. I kiedy rozgrywały się te ostatnie dramatyczne wydarzenia, księżulo poszedł do komendanta i ją zwyczajnie sprzedał, opowiedział o wszystkim, co mu mówiła.

Kot przez kilka chwil nic nie odpowiedział. Starał się poukładać sobie w głowie wiadomości, jakie mu się nagromadziły i uciskały na skronie i potylicę.

– Powiedz mi... powiedz, skąd Justyna o tym wiedziała?

– Bo kiedy komendant wezwał ją na rozmowę do siebie, zacytował ją... to znaczy powiedział jej rzeczy, które na pewno słyszał tylko kapelan, łącznie z tymi... mało przyjemnymi.

– Ja pierdołę. – Kot przeczeszał palcami czuprynę.

– Może bym Ci o tym nie mówiła... ale uważam, że trzeba go sprawdzić.

– Myślisz...

– Zróbcie to, po prostu. Nic nie straciecie, a może się okazać, że on też w tym wszystkim miesza. Będzie jutro w Warszawie na tej uroczystości pogrzebowej, warto go wtedy złapać.

– Dobra, tak zrobimy. To znaczy, muszę to obgadać z ludźmi. W każdym razie dzięki za tę informację.

– Kocie... co się dzieje z Justyną?

– Nie wiem. – Tomek uniósł ramiona. – Mamy jakiś ślad, ale nic pewnego mi nie wiadomo.

– Ale żyje? Nic jej nie jest?

– Myślę, że wszystko u niej w porządku – uśmiechnął się. – I znając ją... wróci, jak sama będzie chciała.

Gosia też się uśmiechnęła.

– Coś w tym jest. Ona zawsze robiła wszystko po swojemu, nie dało się jej w żaden sposób okiełznać ani „wychować”. Kiedyś mnie to strasznie wkurzało, ale teraz myślę sobie, że to jej sposób na poradzenie sobie z tym, co przeszła.

– No, nie rozpieszczali jej w tym Waszym wojsku.

– Nie mówię o armii, tylko o jej domu rodzinnym. – Gosia wstała z krzesła. – Wierz mi, wojsko to przy tym kolonie letnie. Idę sobie, muszę otworzyć kwia-ciarnię.

Kiedy Małgosia poszła, Kot zebrał wreszcie ekipę, żeby przekazać wszystkie nowości, także te dotyczące Adamiakowej, ale dopiero jego opowieść o powodach wizyty koleżanki Justyny wzbudziła prawdziwe emocje.

– Ja bym uważał – powiedział Kozera, na którego opinii Kotowi zależało najbardziej. – Księża w mundurach są jak kiedyś polityczni, trzeba z nimi ostrożnie.

– Ale myślisz, że kapelan mógłby...

– Mógłby wszystko – Maciek uprzedził pytanie Kota, patrząc na niego z powagą. – Jeśli jeszcze dochrapał się jakiegoś wyższego stopnia i ma chętkę na coś większego, to zrobi, co będzie mógł, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Koleżanka mówiła, że pił wódkę z dowódcami Justyny... to zły znak i ja bym go najpierw dobrze sprawdził.

– A Ty mógłbyś się czegoś dowiedzieć? – zapytał Lenart.

– Postaram się. Jeśli służył w Poznaniu, to powinien być u nas ktoś, kto go pamięta.

– OK. – Kot kiwnął głową. – Niech Marcin jedzie do aresztu przycisnąć Wieśka. Zbychu, Ty w tym czasie sprawdź, czy Iwanow nie jest przypadkiem jakoś powiązany ze Słotwińskim albo Jakubowskim, może są spokrewnieni. Wygląda na to, że nasz kolega pomógł im pozbyć się Kowaliowa w białych rękawiczkach. Musimy się z tym pospieszyć, bo zaraz trzeba go będzie wypu-

ścić. Coś jeszcze macie?

– Nie wiem, czy to ważne, ale Wiśnia ma kłopot z panią porucznik – powiedział Malicki.

– Jaki znowu? – Kot przewrócił oczami.

– Jest strasznie zakochana, a Robert niekoniecznie...

– To źle? – roześmiał się Zbyszek.

– Dla niego źle, bo czuje się nieco tym przytłoczony. Chodzi przybity, ma ochotę to zostawić, ale trudno powiedzieć, co ona wtedy zrobi.

– Dobra, nie będziemy się z tym dłużej patyczkować. – Kot poczuł, że też traci cierpliwość. – Trzeba ją przesłuchać. Wyciągnijcie ich wspólne zdjęcia i nagrania, zaszantażujemy laskę.

– Ale tak grzecznie, zgodnie z procedurą, czy skutecznie? – zapytał Lenart.

– Skutecznie.

– Od razu lepiej mi się zrobiło na duszy – uśmiechnął się zadowolony Zbyszek. – Tak można pracować.

XC

Prezes Konrad Jakubowski skręcił w leśną drogę i dopiero za zakrętem zorientował się, że stoi na niej jakieś auto. Samochód był szary, więc zlał się kolorystyką z otoczeniem, mimo że na drzewach i krzakach nie było w ogóle liści. Podjechał bliżej, sądząc, że ktoś być może zabłądził, jak to się już tu wielokrotnie zdarzało, ale szybko tego pożałował. Auto – duży SUV BMW X3 na warszawskich tablicach – stało w poprzek drogi, tarasując ją dość dokładnie, a kierowca w środku miał założoną na głowie kominiarkę.

Jakubowski wcisnął w swoim audi wsteczny bieg, bo o zawracaniu nie było mowy, ale nie zdążył nawet położyć stopy na pedał gazu. Drugi zamaskowany napastnik, który niespodziewanie wyłonił się zza jednego z drzew, łomem zbił szybę w jego samochodzie i szybkim ruchem otworzył drzwi. W kolejnej sekundzie wyszarpnął przerażonego na śmierć prezesa ze środka i popchnął w stronę SUVa. Kierowca wyskoczył z auta i pobiegł do tyłu, żeby otworzyć bagażnik, do którego Jakubowski został wrzucony jak worek kartofli. Tam założono mu na głowę jakąś szmatę i związano ręce oraz nogi.

Porywacze nie odzywali się całą drogę, przynajmniej prezes niczego nie słyszał. Serce waliło mu jak oszalałe, ale nie umarł ani nawet nie zemdlał. Po raz pierwszy od wielu lat modlił się, obiecując Bogu i wszystkim świętym, że będzie dawał datki na ubogich do końca swych dni, jeśli wyjdzie z tego cało. Przeklinał jednocześnie w głębi ducha Wojtka i siebie samego za to, że zachciało im się piwa do kolacji, po które musiał jechać do Węgorzewa.

Po jakimś kwadransie jazdy po wybojach auto wtoczyło się na szosę, a po kolejnych dziesięciu minutach zostało zaparkowane. Mężczyźni wysiedli i wyciągnęli go z bagażnika, uwalniając jedynie nogi, żeby mógł iść. Słyszał, że wchodzi do budynku, ale nie był w stanie zorientować się, czy jest nowy, stary albo do czego służy. Wprowadzono go po kilku schodach, najwyraźniej na

wysoki parter, a następnie do jakiegoś pokoju, i zdecydowanie posadzono na krześle. Kiedy zdjęto mu z głowy kaptur, zobaczył, że siedzi w małym pomieszczeniu z jednym oknem, które zasłonięte było szczelnie gazetami. Przed nim stał kwadratowy stół z małą lampką, dającą nieco światła. Po przeciwnej stronie usiadł jeden z napastników i spojrzał na niego przenikliwie przez szparę w kominiarce.

– Dzień dobry, panie prezesie – odezwał się niskim głosem mężczyzna.

– Czego chcecie? – Czuł, że drugi porywacz stoi za jego plecami. – Będą mnie szukać...

– Kto? Słotwiński? A skąd pan wie, że jego też nie porwaliśmy z Waszego domku nad jeziorem?

Jakubowski przełknął ślinę.

– Mamy do pana kilka pytań i... mamy nadzieję, że będzie pan chętny do współpracy. Nie chcielibyśmy brudzić sobie rąk.

– Skoro jesteście tacy „porządni”, to dlaczego nie przyszedliście do mnie porozmawiać jak normalni ludzie, bandyci?

Mężczyzna roześmiał się cicho.

– Myślę, że osobą, która ma najwięcej na sumieniu w tym pokoju, jest pan.

– Nie rozumiem...

Porywacz sięgnął do brązowej teczki na dokumenty, którą miał pod stołem, i wyciągnął z niej kilka zdjęć.

– Poznajesz ich? – Położył fotografie przed prezesem, który na ich widok poruszył się nerwowo.

– Nie – powiedział, zaciskając szczęki.

– To my Ci przypomnimy. – Porywacz skinął na kolegę, który trzepnął Jakubowskiego w ucho, aż mu zadzwoniło pod czaszką. – To jest Wołodia Kowaliov, znany międzynarodowy przestępca, z którym Ty i Twój kolega Wojtek macie wspólne interesy.

– Nic nie mamy... – chciał zaprotestować prezes, ale dostał z drugiej strony.

– Ja się Ciebie nie pytam, tylko stwierdzam fakty. Mamy kumpla, który aktualnie w więzieniu siedzi. Jurkiewicz się nazywa. Poskarżył się nam, że mu groziście. Ma nie mówić niczego policji o Twoich kontaktach z tym człowiekiem. Ten obok to właśnie Seba. Tak dla przypomnienia Ci fotkę podrzucam, żebyś się dobrze przyjrzał temu, kto Cię sprzedał. Nam sprzedał, żeby była jasność.

– Po co? – zapytał cicho Jakubowski, bojąc się kolejnego ciosu.

– Bo każda informacja to pieniądz, a Ty, jak wiemy dobrze, masz go sporo. A tego znasz? – Porywacz wskazał na zdjęcie Wieśka Iwanowa.

– Znam – odpowiedział szybko prezes. – Znam. To policjant, funkcjonariusz CBŚ, który nam pomagał usunąć Kowaliowa. On siedzi...

– Wiem, że siedzi. Jest frajerem, tak jak Wy dwaj, więc niech se chłopak siedzi. A tu mamy foteczkę jednej ładnej pani. Znasz ją? – Porywacz wziął do ręki zdjęcie Justyny i pomachał nim przed oczami Jakubowskiego, który zrobił się czerwony. – No pewnie, że znasz. Przecież zleciłeś jej porwanie z Kowaliowem.

– O, nie! – Poderwał się gwałtownie na krześle, ale człowiek za jego plecami bardzo boleśnie posadził go z powrotem. – Nie wrobiecie mnie w to. Gadaliśmy z Kowaliowem, to fakt... to znaczy Wojtek z nim rozmawiał, bo Ruscy chcieli nam firmę ukraść, ale z porwaniem nie mamy nic wspólnego. Kowaliow sam to wymyślił, chciał nas szantażować.

– Czym? – Porywacz spojrział na fotografię. – Seba mówił, że ta laska nic nie wiedziała, to jakaś zwykła pracownica. Mieli ją zabić, bo się Wam za bardzo wtrącała.

– Nieprawda! – Prezes kręcił energicznie głową. – Nic z tych rzeczy. Justyna była nam potrzebna...

– Do czego?

– Do... do działu nowych technologii wojskowych. – Jakubowski spuścił głowę na piersi zrezygnowany, jakby wydarto właśnie z niego jakąś wielką tajemnicę. Nie mógł więc zauważyć, że porywacz spojrział na kolegę ze zdumieniem.

– Że co?

– Justyna była kiedyś żołnierzem... najemnikiem w Afganistanie...

– Co Ty, Jakubowski, pierdolisz?

– Co pierdolę? Co pierdolę? – Prezes pochylił się nad stołem. – Sami to powinniście wiedzieć. A kto Wam zabił Waszego kolegę, tego Czachę? Sam sobie karku nie skręcił. Iwanow nam wszystko powiedział. Jakaś zwykła biurwa nie zrobiłaby czegoś takiego. Justyna umiała, bo ją tego nauczyli na wojnie.

– A Ty skąd o tym wiedziałeś, co? Powiedziała ci?

– Mam dojścia, żeby wiedzieć takie rzeczy. Jestem ostrożny i wszystkich mam dobrze sprawdzonych, zanim ich zatrudnię. Wojtek miał ją podejść, żeby

niczego nie podejrzewała, dać awans, potem zrobić kierownikiem tego działu. Miała nas doprowadzić do swoich kolegów z prywatnego wojska, żeby było komu sprzedawać sprzęt. Od razu wiedziałem, że nie będziemy się pieprzyć z regularną armią. Sprzedanie im czegokolwiek graniczy z cudem, a tacy najemnicy mają pieniądze i nie certolą się z dokumentacją i zezwoleniami.

– Ty to jesteś jednak frajer. – Napastnik opadł niedbale na oparcie krzesła. – I co? Miała Was jak po sznurku do starych kumpli z wojny zaprowadzić? Puknij się w łeb. Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Żaden najemnik...

– Jesteś pewien? – Prezes spojrzał na niego z gniewem. – Nawet jeśli się go szantażuje czymś, co jest dla niego najważniejsze? Śmiem wątpić.

– Czym ją niby chciałeś szantażować, skoro nie potrafiliście doprowadzić jednej rzeczy do końca?

– Mąż Justyny nie wiedział o jej przeszłości. Nikt nie wiedział. Miała tajne konto z dużą sumą pieniędzy, a na wojnie była nielegalnie... Myślę, że to wystarczy. W każdym razie nie zamierzałem jej porywać.

Napastnik westchnął i zebrał zdjęcia ze stołu.

– To ile chcecie? – zapytał zaniepokojony prezes, przyglądając się poczynaniom mężczyzny, który najwyraźniej nie miał zamiaru już go pytać.

– Nic nie chcemy. Posiedzi pan sobie tu chwilkę. Przyjdzie tu za jakiś czas miły pan Zenek, żeby pana rozwiązać, a potem wróci pan do domu. Niestety nikt pana nie odwiezie, ale chyba taki duży chłopak nie boi się chodzić po lesie, co?

Jakubowski nie zdołał już nic powiedzieć, bo drugi porywacz nałożył mu znowu na głowę kaptur i związał z tyłu ręce. Usłyszał jedynie dźwięk gaszonej lampki i zamykanie drzwi od pokoju. Przez kilka minut był w takim szoku, że nie wiedział, co robić, ale potem zaczął krzyczeć ile sił w płucach, wołając pomocy. Kiedy już niemal całkowicie ochryplł, drzwi znowu się otworzyły i ktoś wszedł do środka.

– I co się tak drzesz, człowieku? – Nad Jakubowskim stał śmierzący gorzałą żul, którego wieku nie sposób było określić przez zaniedbaną twarz i przetłuszczone włosy. Zdjął mu kaptur i rozwiązał sznury na rękach i nogach, stękając przy każdym ruchu.

– Kim pan jest? Pracuje pan z nimi?

– Ja? Panie, ja z nikim nie pracuję. Za bardzo się szanuję, żeby dla kogoś robić. Dali mi flaszkę, żeby pana o czwartej rozwiązać, to przyszedłem.

– Kim oni są? – Jakubowski pocierał obolałe nadgarstki.

– A skąd mi to wiedzieć? Ja nikogo nie widziałem. Idź pan stąd, bo muszę zamknąć dom kultury. Do domu trzeba iść.

– To niebywałe! – Prezes zerwał się z krzesła i wybiegł z pokoju w poszukiwaniu wyjścia. Chwilę mu zajęło, zanim w ciemnościach zorientował się, w którą stronę iść, żeby dojść do miasta na najbliższy komisariat policji. Sprawdził jeszcze, czy nie ma przy sobie telefonu, ale z tego, co pamiętał, zostawił go w samochodzie.

Zdyszany wpadł na komisariat, żeby jak najszybciej wyłożyć, w czym jest problem, ale aspirant, który go wysłuchał, wyglądał raczej na znudzonego.

– Proszę pana, ile pan dziś wypił? – zapytał spokojnym tonem.

– Słucham?! Nic! Czy pan rozumie, co do pana mówię? Zostałem porwany i pobity, trzeba złapać tych ludzi.

– Nie widzę, żeby miał pan ślady pobicia. – Policjant wyduł usta i pokręcił głową. – Poza tym jest pan wolny, więc nie wiem, w czym problem.

– Ja... ja pana urządzę! – Jakubowski zaczął wymachiwać mu palcem przed nosem. – Mam znajomości...

– Panie – aspirant podniósł się z krzesła z groźną miną – jak się pan nie zamknie, to ja zamknę pana za zagrożenie funkcjonariuszowi. Albo pan stąd idzie, albo pogadamy inaczej.

Prezes cofnął się nieco i poprawił płaszcz.

– To może... chociaż mnie odwieziecie? Mój domek jest daleko, nad jeziorem.

– Radiowóz to nie taksówka. – Policjant znowu usiadł. – Spadaj pan.

– A mógłbym zadzwonić? Nie mam dokumentów ani pieniędzy...

Policjant bez słowa postawił przed Jakubowskim aparat. Prezes drżącymi dłońmi sięgnął po słuchawkę i wybrał numer do Słotwińskiego.

XCI

– Pojechali? – zapytała Iwona, niosąc dwa kubki z gorącą herbatą.

– Tak. – Piotrek Mzygłód kiwnął głową i odszedł od okna. – Będą mieli o czym gadać.

– Myślałem, że skonam, jak on tu wpadł – rechotał aspirant Bukowski. – „Porwali mnie, porwali mnie”. Miałem na końcu języka, żeby powiedzieć mu, że to sprawa dla CBŚ.

– Sprawą dla CBŚ jest to, co ten facet nawywijał – prychnął Mariusz Kowalski, biorąc kubek od policjantki. – Dzięki, Iwonka.

– A swoją drogą... ciekawe macie metody pracy, chłopaki – uśmiechnęła się Iwona.

– Mamy nowego przełożonego. – Piotr mieszał łyżeczką herbatę. – Ten stary nigdy by się na coś takiego nie zgodził.

– No. – Mariusz kiwnął głową. – Kot to ma jaja. Myślałem, że żartuje, jak do nas zadzwonił z tą sprawą. Ale dobrze. Mamy nagranie z tych jego „zeznań”, wiemy, na czym stoimy i możemy wracać do domku. „Do dom”, jak to mówił pan Zenek.

– Można go za to skazać? – Posterunkowa Iwona usiadła naprzeciwko Mariusza, wpatrując się w niego z przejęciem.

– Czy ja wiem? – Kowalski zrobił minę twardziela. Piotrek uśmiechnął się nad kubkiem, widząc, jak się puszy przed dziewczyną. – Musimy to obgadać na miejscu z naszymi ludźmi.

– Baliśmy się, że ten cały Słotwiński naprawdę narobi zamieszania i wezwie kogoś do poszukiwań – uśmiechnął się Bukowski. – Szkoda, że nie widzieliście, co wyprawiał, jak tu wpadł. Znalazł samochód na drodze i od razu wiedział, co się święci.

– Dobra, Kowalski, pijemy i jedziemy – zarządził Piotr. – I trzeba zadzwonić

do Kota, myślę, że będzie ciekawy naszych dokonań.

– Ale fajnie, że wpadliście – westchnęła pani posterunkowa. – Co nie, Bukowski? Raz na dziesięć lat jakaś sensacja się trafia, i to na naszej służbie.

– Oj, kochana – cmoknął z politowaniem aspirant. – Posłużysz tyle co ja, to będziesz wdzięczna Bogu, że tych „sensacji” nie masz. Co nie, koledzy?

– No... tak. – Zmarszczył czoło Piotr. – Choć w sumie mam pomysł, jak Ci pomóc posmakować nieco adrenaliny.

Mariusz spojrzał na Mzygłoda podejrzliwie.

– Co znowu Ci przyszło do łba? – mruknął.

– Że przydałaby się nam jakaś miła pani policjantka do pewnego przesłuchania.

– U nas w policjantkach jak w ulęgalkach możesz przebierać. Po co ciągnąć kogoś z prowincji, i to jeszcze niedoświadczonego? – wypalił Kowalski, gasząc tymi słowami uśmiech na twarzy Iwony. – Kot się nie...

– Oj, zamknij się! – zirytował się Piotrek. – Znajdź mi policjantkę, która wie, co teraz robimy. Iwona jest już wtajemniczona... poniekąd.

– Agnieszka wie...

– Gównu wie! Panie aspirant, znalazłoby się dla niej jakieś zastępstwo? Porwalibyśmy ją na dzień albo dwa.

Bukowski parsknął.

– Ot, spece od porwań się znaleźli. – Pokręcił głową, złapał garść solonych orzeszków i wrzucił je sobie do ust. – A bierzcie ją! Ja tu zaraz jakiegoś leszcza sobie znajdę. Staremu nic nie powiem... w razie czego coś ściemnię. Niech jedzie, niech zobaczy, jak tu ma dobrze.

Iwona skuliła się na krześle i zaczęła głośno piszczeć, przebierając nogami jak mała dziewczynka.

– Ale fajnie! Jadę! Jadę! – Podskakiwała z radości.

XCII

Justyna była bardzo zmęczona, kiedy wreszcie znaleźli odpowiednie miejsce na przenocowanie i być może obserwację następnego dnia. Po drodze przypominały jej się różne wydarzenia z poprzedniego pobytu w tych górach, które z niewyjaśnionych powodów po prostu zatarły się w jej pamięci. Wtedy nie wiedziała, na czym polegają takie marsze, jak ma się do nich przygotować i jak chronić wątły organizm przed wychłodzeniem czy przegrzaniem. Któregoś razu tak bardzo obtarła sobie nogi, że nie była w stanie zrobić kroku. Żółw zdjął jej buty i skarpety, smarował maścią rany i pouczał, co ma robić na przyszłość. Martwiła się, że wszyscy będą na nią źli, że opóźnia marsz i nie mogą wykonać zadania. Nic takiego jednak się nie stało. Każdy cierpliwie czekał, aż będzie w stanie iść dalej. Rozbili obóz, rozdzielili się, przeczekali i poszli dalej. Wtedy zdecydowano, że będą starać się ograniczać jej wyjścia w góry, za co była niezmiernie wdzięczna. Ale one przerażały ją z innego powodu. Bała się ludzi, którzy w nich żyli, bo byli nieobliczalni i nie kierowali się żadnymi zasadami. Potem zrozumiała, że należy też bać się innych grup najemników, zwłaszcza jeśli musieli wejść sobie w drogę... Do chwili swojego porwania była pewna, że ma ten strach za sobą, ale gdy ukręciła porywaczowi głowę, pojęła, że to złudne odczucia, bo ludzie pod każdą szerokością geograficzną byli tacy sami.

– Nie wiem, czy Jaskóła nie jest z nich wszystkich większym terrorystą... albo moja teściowa – powiedziała kiedyś do Małgosi, kiedy udało im się spotkać w cztery oczy.

Teraz szła właśnie tam i musiała starać się, by nikt nie poznał, jak bardzo się boi. Marchewa był głupi, chcąc zabrać się z nimi, ale on w ogóle inteligencją nie grzeszył, dlatego nierozsądne by było mieć go obok siebie. Siwy jednak wyglądał na kogoś, kto rozumie powagę sytuacji – rozglądał się uważnie cały czas, reagując na najcichszy dźwięk niewiadomego pochodzenia. Justyna odbyła

z nim krótką rozmowę, starając się nawiązać z nim normalny kontakt. Pochwaliła za odnalezienie samolotu i za jego sprawność fizyczną, on jednak wydawał się być z tego powodu niezadowolony.

– Nie potrzebuję pochwał od jakiegó Dąbek – mruknął nieuprzejmie, nie patrząc na nią.

– Nie jestem „jakaś Dąbek”. Jestem Twoim dowódcą – odpowiedziała spokojnie. – Może Ci się to nie podobać, ale jesteś tu, więc akceptujesz ten fakt. Nie pozwalaj, żeby Marchewa mieszał Ci w głowie, szkoda by było takiego mózgu.

Zostawiła go wówczas bez możliwości udzielenia odpowiedzi. Paradoksalnie, wydawało się, że właśnie głupi Marchewa szybciej podporządkował się zaistniałej sytuacji i okazywał jej większy szacunek.

Kiedy mieli dłuższy postój na posiłek, przyszła wiadomość od Nawigatora i Bulleta. Informowali, że znaleźli dogodne miejsce do obserwacji i że są dość wysoko, ale dalej iść się nie da, bo jest za dużo śniegu.

– Malina, spotkali po drodze jakichś szuszków. – Krokodyl spojrzał na nią z powagą.

– Ilu? – zapytała cicho.

– Dwóch. Zabili ich. Mieli przy sobie sporo materiałów wybuchowych i zapalniki. Zabrali im to i zmienili nieco trasę podejścia.

Justyna pokiwała głową i wróciła do konsumpcji. Komentowanie tego faktu było zbędne. Kiedy wrócili do marszu, zauważyła, że Siwy jest jeszcze bardziej przewrażliwiony. Nie spodobało jej się to – zbyt nerwowy człowiek nie był im potrzebny, bo mógł przysporzyć sporo kłopotu.

– Tam będzie dobre miejsce. – Wskazała po dwóch godzinach wystający fragment góry nad nimi. – Trzeba się tylko wdrapać.

Rzeczywiście, widok mieli doskonały i wyglądało na to, że są dość dobrze schowani.

– Wyślę Żółwiowi namiary – powiedział Krokodyl, zanim zaczął zdejmować z siebie plecak. – Muszą wyjechać wcześniej, bo mają spory kawał do przejścia.

– Dobrze. Tylko uprzedź, że nie chcę tu widzieć Marchewy – zastrzegła Justyna. – Niech ich dowiezie w umówione miejsce i wraca do wioski. Ktoś musi siedzieć przy radiostacji.

Kiedy wreszcie przyszedł moment, gdy mogli odetchnąć, Justyna padła skonana na swój śpiwór. Gogol usiadł obok niej.

- Wszystko dobrze? – zapytał, głaszcząc ją po plecach.
- Nie – odpowiedziała niespodziewanie dla niego i siebie samej.
- Co się stało? Zmęczona jesteś, tak?
- Nie. Wkurwiona na Ciebie i... na niego. – Wskazała głową na Krokodyla, który siedział na skraju skały i obserwował otoczenie przez lornetkę z dalmierzem.
- Dlaczego? – Gogol był wyraźnie zmartwiony, ale po tym, jak odwrócił wzrok, wiedziała, że domyśla się, o co jej chodzi.
- Kostek, dlaczego mi nie powiedziałeś, że Łukasz mnie szukał?
- Malinka, ja... my... nigdy nie chcieliśmy Cię skrzywdzić...
- Ale co to w ogóle jest?! Jak można decydować za kogoś i nie mówić mu o najważniejszej na świecie rzeczy? To nie Wasza sprawa!
- Jak to nie nasza? Martwimy się o Ciebie, zawsze.
- Po co? Ile ja mam lat? Czternaście? Jestem dorosła i zamężna, mam swoje życie i Wam nic do tego.
- Ale my zawsze się o Ciebie troszczyliśmy, nie pamiętasz? Jesteś naszą królową.
- Justyna poczuła się bezsilna. Roześmiała się nerwowo i pokręciła głową.
- Boże! Nie mogę z Wami.
- Nigdy Ci to nie przeszkadzało – stwierdził niepewnie Gogol.
- Ale właśnie zaczęło. Kostek... ja rozumiem, że to też moja wina, bo tak się zachowywałam, jakbym była niedorozwinięta, tylko że mam już tego dość. Chcę, żeby Łukasz sam zdecydował, czy chce ze mną być, a nie stado moich nadopiekuńczych kumpli, którym się wydaje, że on zrobi mi krzywdę.
- A już Ci nie zrobił? – Gogol nie poddawał się.
- Może i zrobił, ale to sprawa między nami, nie rozumiesz tego?
- Ale my nie chcemy Cię stracić.
- Justynę zatkało. Spojrzała na niego z otwartymi szeroko oczami, jakby właśnie go zobaczyła.
- Co Ty opowiadasz?
- No tak. Pojechałaś sobie od nas cztery lata temu bez słowa wyjaśnień. Nie odzywałaś się, zerwałaś kontakt... Związałaś się z jakimś pierdołą z policji i dla niego stałaś się panią w korporacyjnym mundurku. Wybacz, ale wyglądałaś w nim na pewno idiotycznie. Pierdoła niech sobie siedzi w swoim CBS i da Ci

spokój, bo przez niego byłaś nieszczęśliwa.

– Jesteś tak samo pierdolnięty jak Krokodyl i Bambi – wydusiła z siebie po chwili Justyna. – Nie byłam nieszczęśliwa. Kocham go, jest dla mnie najważniejszy. Posunęłam się za daleko w udawaniu kogoś, kim nie jestem, ale niczego nie żałuję. Ktoś naprawdę mnie kochał, bezwarunkowo...

– O, co to, to nie! – Kostek oburzył się. – Gdyby to było bezwarunkowo, to nie musiałybyś niczego udawać.

– To dlaczego mnie szuka? Przecież już wszystko wie.

– Bo go ego boli. Nie może przeżyć, że stracił nad Tobą kontrolę. Chce na pewno zmusić Cię, żebyś wróciła i była znowu uległą żonką, która gotuje obiady. Malina... czy Ty tego nie rozumiesz? On Cię znowu zniewoli. Jak go zobaczysz, staniesz się kimś innym, kimś, kogo ja nie znam.

Justyna oparła się plecami o skałę i odwróciła głowę. Czowała, że dalsza rozmowa nie ma sensu, poza tym była bardzo zmęczona, a potrzebowała sił na inne sprawy niż przepychanki z Gogolem czy Krokodylem.

– Muszę się przespać – powiedziała cicho, układając się w śpiworze. – Jeśli nic się nie będzie działo ważnego, obudź mnie za godzinę.

– Dobrze, Malinka. – Kostek poprawił jej śpiwór i nasunął mocniej czapkę na głowę. – Śpij sobie.

Obudzili ją po dwóch godzinach, więc najpierw ich opieprzyła za brak subordynacji. Potem zjadła trochę sucharów, które popiła kawą z termosu.

– Nawi się odzywał? – zapytała znad kubka.

– Tak. – Krokodyl kiwnął głową. – Ulokowali się w dość dobrym miejscu i nawet jak ich ktoś z bliska mija, to są niewidoczni.

– To gdzie oni są, że kręcą się tam jacyś ludzie?

– No właśnie chyba są w dobrym miejscu. – Krokodyl podrapał się po głowie przez czapkę. – Zadekowali się obok trasy, którą łążą Ci, co strzelają do bazy.

– Naprawdę? A widzieli już coś podejrzanego?

– Nawi mówił, że z broni noszą tylko kałasze i RPG-7, poza tym mają plecaki wyładowane żywnością i amunicją.

– Nic większego? Żadnych rakiet? – Justyna zmarszczyła nos.

– Nie wspominał. Poza tym mówił, że poruszają się na nogach, więc ciężko byłoby im to nosić.

– Hm... to dziwne.

– Czemu? – Gogol spojrział na nią pytająco. Siwy udawał, że treść rozmowy go nie interesuje, z wielkim zaangażowaniem obserwował otoczenie z karabinem z noktowizją przy policzku.

– Widziałam zniszczenia w Ghazni. Poza tym ludzie w bazie mówili, że to był duży kaliber. Jakoś muszą ściągać do siebie te rakiety.

– Duży, czyli jaki? – zapytał Krokodyl.

– Nie wiem. Jeden z lekarzy wspominał, że to może być nawet 107.

– E, chyba nie. – Kostek skrzywił się. – Jak w zimie ściągnęliby coś tak dużego tak wysoko?

– Może już tam było? – zasugerował Krokodyl.

– I cały zapas amunicji, tak? – Gogol popukał się czoło.

– Górą – odezwał się niespodziewanie Siwy.

– Co to znaczy „górá”? – Krokodyl odwrócił się w jego stronę.

– To znaczy drogą powietrzną. – Nie widzieli jego twarzy w ciemności, ale byli pewni, że jak zwykle cały się zarumienił. – Ktoś im to przetransportował śmigłem.

Wszyscy na moment zamilkli, zastanawiając się nad tym, co odpowiedzieć. Justyna poczuła, że zalewa ją fala gorąca, kiedy dotarło do niej, co to może oznaczać, jeśli Siwy ma rację.

– No, dobrze – powiedziała po chwili opanowanym tonem. – Musimy brać pod uwagę wszelkie możliwości, także tę. Wobec tego trzeba być o wiele bardziej ostrożnym niż zakładamy. Jeśli mają wsparcie z powietrza, to nasz latawiec może być przez nie wypatrzony.

Gogol pokiwał głową, pociągając nosem.

– Tia... może być ciężko. Ale dziś niczego nie wymyślimy. Przytulmy się do siebie, trzeba odpocząć. Siwulec, posiedzisz jeszcze trochę, potem mnie obudź, zastąpię Cię. Dobrze mówię, Malinka?

– Wyjątkowo masz rację – uśmiechnęła się do niego w mroku.

XCIII

– Spisał się pan znakomicie – premier chwalił Kota, ale jego głos pozostawał niezmiennie opanowany. – Wiedziałem o powiązaniach Jakubowskiego z Ministerstwem Obrony Narodowej, ale ja nie miałem możliwości, by udowodnić, że wykorzystał je do swoich celów. Bardzo dobrze, panie komisarzu, doskonale.

– Yyy... tak, dziękuję. – Kotowicz czuł się lekko zmieszany tą lawiną pochwał. – Jeszcze musimy doprowadzić sprawę z wojskiem do końca, ale teraz będzie nam łatwiej, skoro tę jedną rzecz mamy z głowy.

– Spokojnie. Proszę nie popełnić jakiegoś niepotrzebnego błędu. Pan wie, że wszyscy stąpamy po kruchym lodzie. W każdej chwili może to pęknąć i popłyniemy równo.

– Tak... wiem.

– Niech pan posłucha. Ten cały Łysiak narobił sporo zamieszania. Zanim postrzelił pana szefa, naopowiadał gdzie się dało niestworzonych historii o Was. Jesteście więc pod lupą, podejrzewam, że smutni panowie już wysłali do Was kogoś na przeszpiegi.

– Wysłali – mruknął Kot, zerkając na Słomkowskiego, który kupował sobie kawę w automacie przy wejściu do szpitala.

– Słucham? Jest pan pewien?

– Tak. Ten człowiek powiedział nam o tym. Pisze regularne raporty i pracuje z nami.

– Jasne. Jest godny zaufania?

– On ostrzegł szefa przed Łysiakiem... więc myślę, że jest.

– Rozumiem. Tak czy inaczej miejcie się na baczności. Mieszacie w Żandarmerii, a tam też nie brakuje pojebów. Kończę, bo mam posiedzenie Rady Ministrów.

Premier rozłączył się i Kot podszedł do Marcina, walącego dłonią w automat.

– Zjadł mi pięć złotych i nie zrobił kawy, kurwa mać!

– Po co pijesz to gówno? Chodź do starego, napijemy się później na mieście.

Przy Brennerze siedziała oczywiście Grażyna, która na ich widok uśmiechnęła się szeroko.

– Kochanie, masz gości. – Pogłaskała męża po dłoni.

Brenner uniósł wzrok i też się uśmiechnął. Leżał już na zwykłej sali, ale był na niej sam. Wyglądał dużo lepiej, choć wciąż nie miał siły, by choćby oglądać telewizję.

– Moje przedszkole przyszło. – Pokiwał głową i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Jak się sprawujecie, co?

– Jesteśmy grzeczni – roześmiał się Słomkowski.

– To ja Was zostawię. – Grażyna podniosła się. – Idę coś zjeść.

– Siadajcie, opowiadajcie. – Inspektor był wyraźnie ożywiony.

– Chciałem panu o czymś powiedzieć... – Kot zacisnął usta.

– O, matko! Już się boję.

– Chodzi o Słotwińskiego i prezesa.

– Mów.

Mimo że Marcin odradzał Kotowi opowiadanie o wyczynie Mzygłoda i Kowalskiego, ten nie oszczędził żadnego szczegółu, także rozmowy z premierem.

– To już wiem, dlaczego Rasiak mówił, że działasz inaczej niż ja – westchnął Brenner. – Słuchaj, ja Ci nie będę mówił, jak masz kierować zespołem. To Twój zespół.

– Ale jak pan wróci...

– Spokojnie! Po pierwsze nie wiadomo, czy wrócę, a po drugie Ty i tak przejmiesz moje obowiązki.

– Że co? – Kotowicz wyprostował się nagle. Marcin uśmiechnął się, widząc jego przerażenie.

– No tak. To miałem Ci przekazać od Rasiaka. Zostaniesz inspektorem i zajmiesz moje miejsce.

– O, Boże! – Kot schował twarz w dłoniach.

– A co z panem? – zapytał cicho Marcin.

– Ja zastąpię Rasiaka.

Tomek podniósł głowę i spojrzał na niego zdziwiony.

– Naprawdę?

– Niestety... Tak że nie uwolnisz się ode mnie tak szybko – roześmiał się Brenner. – Nie stanie się to od razu, ale po wyjściu ze szpitala raczej nie wrócę do biura. Kocie, słyszysz mnie?

– Tak – jęknął Tomek, odwracając wzrok.

– Tylko się nie rozklejaj. Jesteś dobrym szefem, chłopaki Cię chwala, Rasiak jest spokojny... Bylebyś się nie mazgał. Ja bym nie pozwolił na to, co Ty robisz teraz, ale musisz sam wiedzieć, co jest najlepsze, sparzyć się kilka razy albo potłuc dupę... No, a co tam u Meyera? Jakies nowiny?

– Niewiele... To znaczy wiemy, że Justyna przynajmniej do jutra jest w górach. Dowodzi jakąś akcją, ale nie wiem, o co chodzi.

– Skąd o tym wiecie? – Brenner zmarszczył czoło.

Słomkowski z Kotem spojrzeli po sobie z niewyraźnymi minami.

– Dobra. – Brenner podniósł dłoń. – Wolę nie wiedzieć. No i co z tą Justyną?

– Meyer znalazł jej walizkę w poprzedniej kryjówce. Poza tym... spotkał jakąś jej koleżankę, Amerykankę, która pomaga mu jej szukać. Mówił, że na każdym kroku są jacyś szpiedzy, szemrane grupy, nikomu nie można ufać...

– Brzmi znajomo – mruknął inspektor. – Ale jak jego nastrój? Nie traci głowy?

– Nie. – Kot uśmiechnął się, uciekając po raz kolejny wzrokiem od szefa, który nic nie wiedział o zamachu. – Jest znowu starym Meyerem, psem tropiącym, który niczego się nie boi.

– No i dobrze. To sobie poradzi. – Brenner spojrzał w sufit wyraźnie uspokojony.

– A jak pan się czuje? Mówią coś... lekarze znaczy się?

– Mówią, ale ja ich nie słucham. Teraz, jak jesteś na moim miejscu, to się mniej martwię tym wszystkim, mogę sobie odpoczywać. Aha... był u mnie Lubicki z żoną, mówił, że złapaliście tego od włamania.

– Złapaliśmy, ale ślimaczy się to trochę.

– Nie szkodzi – szepnął Brenner. – Małymi kroczkami dojdziecie do rozwiązania sprawy. Powiem wam... że ta cała historia z Łysiakiem była dla mnie gorsza niż zdrada Odrowąza i tych dwóch...

– No, wcale się nie dziwię. – Marcin wykrzywił usta.

– Nie, nie chodzi o to, że leżę w szpitalu, ale o to, że jak funkcjonariusz chce

zabić funkcjonariusza... to znak... że coś naprawdę jest źle. Czasami budzę się i myślę sobie, że nie wiadomo, komu ufać, a komu nie.

– Rasiak mówił, że nie lubiliście się od szkoły – zauważył Kot.

– No i co z tego? – Brenner spojrział na niego z gniewem w oczach. – Byli tacy, których nienawidziłem bardziej, a jakoś do nich nie strzelałem. Jak trzeba mieć nasrane we łbie, żeby coś takiego w ogóle przyszło na myśl? Eh... – westchnął ciężko. – Chyba się starzeję bardziej niż mi się wydawało. Kiedyś służba, broń, koledzy... to były świętości, których się nie ruszało. Czas odchodzić...

Słomkowski zachichotał.

– I co się, szczyłu, cieszysz? Bawi Cię to? – zirytował się inspektor.

– Coś panu nie idzie to odchodzenie. – Marcin nie przejął się wybuchem szefa. – Jak pan zajmie miejsce Rasiaka, to się pan w to jeszcze bardziej umoczy.

– Kurwa, racja. – Brenner przewrócił oczami, aż mu się w głowie zakręciło.

Wszyscy trzej parsknęli śmiechem.

– Idźcie już. – Brenner machnął ręką, jakby odganiał muchy. – Bo mi szwy się przez Was rozejdą i nigdy stąd nie wyjdę.

– Idziemy. – Kot poderwał się na równe nogi. – Wolałbym nie narażać się pana żonie. Boję się jej bardziej niż Rasiaka.

– I słusznie. – Brenner pokiwał palcem. – Bardzo prawidłowo.

XCIV

Zawadka irytował ją. Kątem oka widziała, jak gapi się na nią bez skrępowania, zamiast skupiać się na tym, co dzieje się na ekranie. Początkowo była ciekawa, jak zareaguje na jej widok, ale szybko zorientowała się, że kobiety w mundurach wcale mu nie przeszkadzają, a ona sama bardzo przypadła brodatemu sierżantowi do gustu.

– Co to jest? – Wskazała palcem na jakiś punkt na tablecie, żeby odciągnąć jego natrętny wzrok od swojej twarzy.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Jakaś skała.

– Aha... Nie umiem czytać obrazu z kamery na samolocie. Wszystko jest dla mnie podejrzane.

– Nie musisz umieć czytać, jeśli nie miałaś z tego szkolenia. To nie jest takie proste.

Gdyby nie okoliczności, w jakich się znaleźli, nawet chętnie by sobie z nim pogadała. Musiała przyznać, że bardzo jej się podobał – zarówno fizycznie, jak i z charakteru. Był miły i miał w sobie dużo ciepła, a kiedy patrzyła w jego oczy, widziała w nich spory potencjał uczuć. Na jej kolegach nie zrobił takiego wrażenia, zwłaszcza na Krokodylu, do którego odnosił się z opryskliwością i rezerwą. Przy niej jednak stawał się kimś zupełnie innym, można powiedzieć, że miękł i dał się lubić. Krokodyl szybko to wyczuł i był wyraźnie zazdrosny, co bawiło Justynę w takim samym stopniu, co ją drażniło.

– To co, długo w tym siedzisz? – zapytał po kilku minutach.

– W czym? W naszej grupie?

– No... w ogóle... w byciu najemnikiem.

– To skomplikowane. Byłam już z nimi kilka lat temu przez półtora roku i niedawno wróciłam.

– Potrzebowałaś pieniędzy?

– Nie. Uciec przed kłopotami.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– To jak wielu z nas. Tylko że większość ucieka przed kłopotami z pieniędzmi.

Spojrzała na niego z uśmiechem, łapiąc jego wzrok, który wyrażał bardzo wiele.

Pan sierżant jest kochliwy – skonstatowała w nagłym olśnieniu.

– Tak, tu siedzą sami dezerterzy – westchnęła, wracając do obserwowania obrazu z kamery na samolocie, który latał kilka kilometrów na północny-wschód od nich. – Tu jest chyba jakiś człowiek. Możesz powiedzieć swoim ludziom, żeby zrobili zbliżenie?

– Jasne. – Sięgnął do radia osobistego.

Na zbliżeniu widać było wyraźnie mężczyznę ubranego w charakterystyczny strój, jaki nosili miejscowi, ale też rebelianci. Szedł sam i niósł sporej wielkości torbę na plecach, a w dłoni karabinek.

– Możemy go śledzić?

– Tak. Można ustawić samolot w tryb śledzenia obiektu, żeby za nim podążał.

– Zrobmy to. – Justyna kiwnęła głową. – Myślę, że idzie tam, gdzie my chcemy trafić.

Ponieważ śledzony człowiek wspinał się dość wolno, czekało ich długie oczekiwanie na zamierzony rezultat obserwacji. Justyna sięgnęła więc po torbę z jedzeniem i wyciągnęła suchary i słodycze.

– Masz ochotę? – zapytała Zawadkę, podsuwając mu batonika.

– Zawsze. Dzięki. A powiedz mi... Malinko, gdzie macie nasz samolot?

– W wiosce. Przejeżdżałeś obok niej dziś w nocy z Żółwim.

– Z kim?

– Z naszym kolegą Waldkiem.

– Myślałem, że on jest Zawisza.

– Nie – Justyna roześmiała się. – Zawiszą jest dla niewtajemniczonych.

– To on... – Zawadka zmarszczył czoło. – On jest z wami?

– Od ośmiu lat.

– Nieźle. – Sierżant pokręcił głową. – Myślałem, że takie grupy nie biorą lalek.

– Zdziwiłbyś się. – Spojrzała na niego z ukosa. – A jak byłeś na targu...

widziałeś jakąś kobietę w sklepie?

– Widziałem... Czekał... ona z wami...

– To byłem ja, matolku! – Pacnęła go w potylicę. – Taki jesteś „specjał”, że nic nie widzisz.

– No jak... – zmieszał się.

– Zabijają nas rzeczy, które ignorujemy, pamiętaj o tym.

Przez chwilę nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w ekran z głupią miną.

– Byłaś z dzieckiem.

– No i co z tego?

– Nie wiem... myślałem, że jesteś od tego sprzedawcy.

– Teoretycznie to dobrze. Dla nas dobrze. Ale taka ignorancja może wiele kosztować, przynajmniej sporo naszych przeciwników słono zapłaciło za brak ostrożności. To, że Żółw jest „lalką”... też nam pasuje. Nikt go o nic nie podejrzewa, nawet takie doświadczony stare wygi jak Wy. Wiem dobrze, jak się nosicie po bazie. Ja nawet jak chodziłam po ulicach Warszawy, z daleka poznawałam kogoś od Was.

– To źle?

– To fatalnie – powiedziała z powagą. – Wystawicie się. Niby nie podajecie nazwisk i nigdzie nie ma Waszych fotografii, ale... te ruchy, te Wasze brody, gadzeczki... Do Afganistanu ścigał mnie Brytyjczyk, który nie wyróżniał się niczym, trzeba było mieć naprawdę nosa, żeby się połapać. Gdybyś widział Krokodyla, jak wraca do Polski, też byś na niego nie zwrócił uwagi. A Wy co? Żółw mi mówił, jak się zachowujecie w bazie. Domagacie się pierwszeństwa na izbie chorych, szarogęście się na „difaku”, pyskujecie do generałów... Żenada, panie Zawadka, żenada.

– Nie sądziłem, że będzie mnie kiedyś pouczać jakaś laska – uśmiechnął się pod nosem. – A do naszej armii Cię nie ciągnęło?

Justyna spoważniała, odwracając wzrok.

– To już było... i nie wróci więcej.

– No to wszystko jasne – westchnął. – Dobra, widzę, że nasz wędrowiec dotarł do jakiegoś obozowiska. Przyjrzyjmy się temu. – Sięgnął do radia. – Małpo, widzisz ten obóz? Weź go dobrze oznacz i wetnij każdą podejrzaną rzecz, żebym zobaczył to u siebie. Malinka, zapisuj sobie współrzędne, które się pojawiają.

Justyna sięgnęła po notatnik i ołówek.

Godzinę później wyglądało na to, że misja zakończyła się sukcesem. Zawadka z Justyną wyszli ze swojego prowizorycznego namiotu, w którym siedzieli schowani za skałą. Krokodyl z Siwym kiwnęli głowami na znak, że wszystko jest w porządku. Żółw spał w śpiworze Justyny z komputerem pod głową.

– Żółwik. – Justyna potrząsnęła go za ramię. – Pobudka. Możecie wracać. Dam znać Marchewie, żeby po Was podjechał, zabierzecie z wioski samolot.

– OK. – Przecierał powieki. – Znaleźliście ich?

– Tak. Masz tutaj gridy, podaj je do GWO.

– Ale... ale jak...

– Daj mi je. – Zawadka wyciągnął dłoń po kartkę. – Albo sobie zostaw. Ja podam z naszych logów. Musimy to zrobić mądrze.

– Dlaczego? – zapytał Krokodyl, który nagle stanął obok nich.

– Po południu na GWO będzie zmiana. Dowódca, który teraz tam siedzi, jest głąbem do kwadratu. Ten następny też jest debilem, ale trochę mniejszym. Nie będzie się pytał, skąd to mam, tylko poda współrzędne i strzeli.

– Dobrze. Jak uważasz – zgodziła się Justyna. – To idźcie już. My musimy się pozbierać, więc chwilę nam zejdzie. Dziękuję za pomoc.

– Zawsze do usług. – Zawadka wyciągnął do niej dłoń, uśmiechając się całym uzębieniem. Krokodyl parsknął zirytowany i odwrócił się na pięcie.

Kiedy Żółw z Zawadką zniknęli im z pola widzenia, Justyna zarządziła pakowanie i powrót. Krokodyl ruszył jej na pomoc przy zbieraniu rzeczy.

– Poradzę sobie – warknęła. – Zajmij się pilnowaniem nas.

– Siwy nas pilnuje. O co Ci chodzi?

– O gówno, wiesz? – Wprostowała się i spojrzała na niego z gniewem.

– Nie rozumiem... – Stanął jak wryty, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Gogol zerknął na nich z zaciekawieniem.

– Czego nie rozumiesz? Że zachowujesz się, jakbym była Twoją własnością, jakbyś miał do mnie jakieś prawa?

– Ja... wcale...

– Co to za prychanie, co? Nikt nie może być dla mnie miły, bo Ty zaraz robisz sceny. Mój mąż jest według Ciebie gamoniem, który zrobił ze mnie kurę domową. Nikt nie jest tak dobry jak Ty, nikt nie jest równie zajebisty.

– Wcale tak nie uważam – powiedział cicho, marszcząc brwi. – A Twój stary

to gamoń.

– Nieprawda! – syknęła. – Nie dorastasz mu do pięt, wiesz?

– Jasne – roześmiał się szyderczo. – Chodzący ideał.

– Żebyś wiedział. Bo ja zawsze czułam się przy nim wyniesiona na piedestał.

– To co tu robisz?

– Problemy może mieć każdy, Tobie nic do tego. On przynajmniej miał jaja, żeby przyznać się do swoich uczuć.

Krokodyl nie odpowiedział. Gogol nabrał powietrza w płuca i wypuścił gwałtownie, czując wiszącą w powietrzu wojnę.

– Co? Nic mi nie powiesz? – Justyna wbiła wzrok w zaczerwienionego Krokodyla. – Znowu nie masz odwagi? Łaziłeś zawsze wokół mnie jak drapieźnik wokół zwierzyny. Nigdy nie potrafiłeś powiedzieć, czego chcesz ode mnie... bo pewnie sam nie wiedziałeś.

– Wiedziałem – powiedział bardzo cicho. Gogol zrobił wielkie oczy z wrażenia. – Zawsze wiedziałem, tylko nie byłem pewny...

– No, czego nie byłeś pewny?

– Tego, co ty... – Zamilkł nagle.

– Jesteś idiotą, wiesz? – Teraz naprawdę była zła. – Wielkim idiotą... bo ja zawsze Cię kochałam. Od samego początku byłeś dla mnie najważniejszy, ważniejszy nawet niż Łukasz, kiedy go poznałam.

– Ale... – Wyciągnął rękę w jej stronę w geście bezradności.

– Co „ale”? – Cofnęła się. – W tym właśnie nie dorastasz do pięt Łukaszowi: nie zrobiłeś nic, żeby się tego dowiedzieć, żeby mnie do siebie przekonać... Umiałeś tylko odstraszać. Dlaczego nie pojechałeś za mną, kiedy od Was odeszłam? Czekałam na Ciebie w Polsce, wciąż miałam nadzieję, że jednak się złamiesz i coś w Tobie drgnie. Łukasz chodził za mną, walczył... ja się oganiałam... – roześmiała się przez łzy, patrząc w niebo. – On... on oświadczył mi się, a ja mu odmówiłam, bo żyłam nadzieją... – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – O mało go przez to nie straciłam.

Zapanowała cisza. Siwy siedział odwrócony do nich plecami, bo obserwował otoczenie, ale mocno nastawiał uszu. Gogol zbladł nieco, a w żołądku czuł lekki ucisk. Było mu żal Krokodyla, bo dobrze wiedział, co to wyznanie Justyny mogło dla niego oznaczać.

– A teraz? – wydusił w końcu z siebie Krokodyl. – Teraz coś czujesz?

– Człowieku, obudź się! – Justyna poczuła się znowu bezsilna. – Teraz to teraz, a kiedyś to było coś innego. Mam męża, mam inne życie... w ogóle chcę inaczej żyć, kiedy wrócę. Ciebie nie ma w tym życiu, bo nie chciałeś być...

– Chciałem! – W jego głosie słychać było desperację.

– To gdzie byłeś cały ten czas? – zapytała cicho, czując, jak łzy napływają jej do oczu. – To nie ja Cię zostawiłam. To Ty nigdy nie pozwoliłeś się do siebie zbliżyć. A teraz... jest za późno, po prostu. – Opuściła ramiona zrezygnowana i schyliła się po swój plecak. – Zbierajmy się, robi się coraz zimniej.

Zaczęli schodzić jeszcze za dnia, ale zachmurzyło się i zaczęło sypać im śniegiem w oczy. Tego Justyna obawiała się najbardziej. Nie trzeba było wiele, żeby odcięło im drogę powrotu bez możliwości pomocy z którejkolwiek strony. Marsz otwierał Krokodyl, za którym szła Justyna. Za nimi dreptał żwawo Gogol z Siwym tuż za swoimi plecami.

– W szkole było tak samo – szepnął w pewnej chwili Siwy, ale Gogol nie wiedział, czy mówi to do niego, czy do siebie.

– Co tam marudzisz? – Zerknął przez ramię.

– Mówię, że w szkole było tak samo z Justyną. – Siwy rozglądał się nerwowo wokoło, złoszcząc się na śnieg, który ograniczał mu widoczność. – Wszyscy się w niej kochali.

– Ty też? – Kostek zachichotał.

– Też – westchnął cicho Siwy z rozbrajającą szczerością. – Nikt nie wiedział, jak ją podejść, jak poderwać... Gadaliśmy wieczorami o niej, niektórzy marzyli, że idą z nią do łóżka. A ona nikogo nie chciała...

– A to mi nowości opowiadasz – mruknął Gogol z przekąsem. – A czemu tak marzyliście? Ładniejszych nie było?

– Były – stwierdził Siwy. – Ale nie robiły takiego wrażenia. Dlatego... tak po niej jeździliśmy. Żeby mieć choć tyle satysfakcji.

Kostek spojrzał na niego jak na debila.

– Świetny sposób na podryw, naprawdę doskonały. Wiesz, co się stało z gościem, który ją porwał?

– Nie. – Siwy pokręcił głową, odrywając na chwilę wzrok od otaczających ich skał.

– Powiem Ci tylko, że to była szybka i bezbolesna śmierć. Nie męczył się... wcale.

Siwy nic już nie powiedział. Wiedział o porwaniu Justyny, bo wszystkie media trąbiły o jej śmierci. Potem sprawa ucichła, więc nie wiadomo było, kto i dlaczego ją zabił. Kiedy zobaczyli ją z Warzywem w Kabulu, myśleli, że to duch, ale w miarę upływu czasu zaczęły docierać do nich strzępy informacji na temat okoliczności jej uwolnienia się i ucieczki. Po tym, co widział, od kiedy była jego dowódcą, skłonny był uwierzyć w każdą wersję zdarzeń.

Nie szli w zbyt dużych odległościach od siebie, żeby w zawiei nie stracić się z oczu. Siwy robił się coraz bardziej nerwowy, zwłaszcza że mieli do przejścia mały kawałek na bardziej otwartej przestrzeni.

– Zejdźmy tutaj, bliżej skał. – Justyna wskazała palcem na strome zbocze nad nimi po lewej stronie. – Nie będzie tak wiało i będziemy mniej widoczni. Siwy... nie wykonuj niepotrzebnych ruchów. Jeśli coś zobaczysz, daj znać, zanim strzelisz.

– Dobrze – odpowiedział, choć wcale mu się to nie podobało.

Za nimi, w odległości kilkunastu bądź kilku kilometrów, mieli podążać Bullet z Nawigatorem. Było ich tylko dwóch, mieli mniejszy bagaż i byli o wiele sprawniejsi, więc istniała szansa, że w którymś momencie ich dogonią. Siwy oglądał się co chwila, mając nadzieję, że ich gdzieś zobaczy. Zamiast tego, niespodziewanie dojrzał na nawisie skalnym człowieka, który ich obserwował. Miał charakterystyczną czapkę, chustę „arafatkę” i długą brodę. Nic specjalnego nie robił, po prostu klęczał i się im przyglądał, nie było nawet widać, żeby miał przy sobie broń. Widok ten był dla Siwego czymś tak nieoczekiwanym, a jednocześnie czymś, czego tak bardzo się obawiał, że natychmiast odwrócił się w tamtą stronę i wymierzył karabinek w jego głowę. Justyna nie zdążyła krzyknąć, kiedy oddał strzał...

– Kurwa! – wyrwało się Krokodylowi, który natychmiast przykleił się do ściany skalnej i przeładował broń. – Co Ty odpierdalasz?

– Tam ktoś jest! – Siwy ciężko oddychał i wcale nie zamierzał się chować. Nie wiedział, czy tamten człowiek oberwał, czy po prostu się schował.

– I co z tego? – Gogol złapał go za rękaw i pociągnął w swoją stronę. – Niech sobie będzie. Gdyby miał nas atakować, zrobiłby to dawno temu.

– Musimy stąd uciekać. – Justyna rozejrzała się wokoło. – Jak podejda od przodu, to rozstrzelają nas pod tą skałą jak ścierwa.

– Kto nas rozstrzela? – Do Siwego zaczęło powoli docierać, że zrobił coś nie

tak.

– Ci, których ściągnąłeś swoim strzałem, idioto! – warknął Krokodyl i ruszył biegiem przed siebie. – Malina, idź za mną.

Zaczęli biec na ugiętych nogach z bronią przy piersiach. Udało im się przebiec otwartą przestrzeń i dostać do małego wąwozu, który prowadził ostro w dół. Gdyby go pokonali, mieliby już niewielki i całkiem bezpieczny kawałek, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie czekał na nich Marchewa. Justyna nie cierpiała schodzić w dół – tym bardziej zbiegać. Bolały ją strasznie kolana, a pięty ślizgały się po oblodzonych kamieniach. Krokodyl oglądał się co chwilę w jej stronę, sprawdzając, czy się nie przewróciła.

– Nie oglądaj się! – krzyknęła. – Biegnij!

Wtedy padł pierwszy strzał. Napastnicy byli daleko, a oni znajdowali się dość często w martwym polu, ale to mogło się szybko zmienić. Po chwili strzały stały się częstsze, aż zaczęły przypominać deszcz kul, które odbijały się z gwizdem od skał. Justyna co jakiś czas widziała iskry, a po sekundzie drobne fragmenty kamienia sypały się jej prosto na głowę.

Dlaczego nie mamy hełmów? Do cholery, dlaczego nigdy ich nie mamy? – huczało jej w głowie.

Wydawało się, że atakuje ich cała kompania. Nie wiedzieli zresztą, ilu ludzi ich ściga i ile mogą mieć amunicji, tak czy inaczej cudem wydawało się, że nikt z nich jeszcze nie dostał. Dopiero po paru sekundach uświadomiła sobie, że odruchowo biegnie zygzakiem, tak jak ją tego nauczono w pierwszych dniach unitarki w szkole podoficerskiej i jak potem wielokrotnie biegała po biedruskim poligonie. Tak samo zachowywali się jej towarzysze. Wtedy zrozumiała, że napastnicy muszą strzelać w ten sposób, jeśli chcą zwiększyć szansę na trafienie.

Pieprzona taktyka – zachnęła się w duchu, prosząc Boga, żeby wreszcie udało im się wydostać z tego wąwozu... i żeby nie strzelali z granatnika albo „mośka”.

Wybuch nastąpił, kiedy dobiegali do wyjścia z wąwozu. To musiał być moździerz, bo z granatnika nie dałoby się strzelić tam w linii prostej. Ogłuszyło ich wszystkich, ale tylko Krokodyl upadł. Justyna dobiegła do niego, praktycznie na czworakach, i spojrzała mu w twarz.

– Słyszysz mnie? – Złapała go za chustę na szyi. Oczy miał otwarte i szybko zaczął się podnosić, żeby dosunąć się do ściany skalnej.

– Nie mogę wstać – jęknął, łapiąc Justynę za rękę.

– Zostań. Zaraz Gogol Ci pomoże. Kostek!

Gogol dopadł do nich po paru sekundach. Siwy był po drugiej stronie i co chwila strzelał, starając się osłonić ich chociaż tym słabym ogniem.

– Podaliśmy po radiu do Charliego, jaka jest sytuacja – wydyszał Kostek. – Wiktor już tu jedzie, zgarnął Żółwia i Zawadkę po drodze. Jak spotkają się z Marchewą, to będzie nas więcej. Krokodyl, co z tobą?

– Nie mogę się podnieść.

– To się nie podnoś. Zaraz... – Gogol zamilkł z przerażenia. Dopiero wtedy Justyna zauważyła, że lewa nogawka Krokodyla od pachwiny do kolana zalana jest krwią. – Malinka, dawaj pasek. Trzeba to ucisnąć.

Krokodyl był bardzo blady, ale nie wydawało się, żeby czuł się źle. Przyglądał się ich działaniom, jakby oglądał film, jakby jeszcze nie rozumiał, co się stało.

– Nie! Nie! Nie! – Ręce Justyny drżały, a z oczu zaczęły płynąć łzy. – Kostuś, zrób coś, błagam Cię.

– Robię, Malinka, robię. – Gardło Kostka zacisnęło się w nagłym żalu. Już wiedział, że za wiele zrobić się nie da.

– Tętnica? – zapytał szeptem Krokodyl.

– Nie wiem – skłamał Gogol. – Nie martw się. Zaraz to zatamujemy.

Zacisnęli mu pasek na udzie i wydawało się, że rana mniej krwawi, ale obydwójce wiedzieli, że to na nic. Justyna zdjęła swoją chustę i przycisnęła ją do nogi Krokodyla, który złapał ją za rękę.

– Słyszałaś? Mniej strzelają. O! – Podniósł palec w górę. – Ktoś strzelił z karabinu snajperskiego... Nawi.

Justyna wyprostowała się na chwilę, nasłuchując. Miał rację. Wyglądało na to, że ich para snajperów znalazła się na tyle blisko, że mogła dać im wsparcie. W Justynę wstąpiła nowa nadzieja, że Krokodyla da się uratować, że zdążą go zwieźć na dół, do wioski... może nawet do szpitala w Ghazni.

– To na nic – uśmiechnął się, gładząc ją po policzku, jakby czytał w jej myślach. – To już koniec.

– Nie! – Pokręciła energicznie głową. – Nie. Wiktor tu zaraz będzie, zobaczysz. – Przysunęła się do niego tak, żeby jego głowa oparła się jej na ramieniu. – Wytrzymaj jeszcze trochę... Nie mogę Cię stracić. To moja wina.

– Każdy prawdziwy dowódca musi kiedyś stracić człowieka. Myślałaś, że Cię to ominie? Że jesteś w czymś lepsza? Gogol, zdejmij to ze mnie. – Wskazał na

kamizelkę.

Kostek, przy głośnych protestach Justyny, ściągnął mu kamizelkę i magazynki. W samym mundurze był lżejszy, więc Justyna objęła go ramionami, układając sobie na kolanach i nie przestając zalewać się łzami.

– To trzeci raz w życiu, kiedy jestem naprawdę szczęśliwy – westchnął ciężko Krokodyl, patrząc w niebo, z którego wciąż padał śnieg. – Pierwszy... jak Bambi powiedział, że odeszłaś od swojego gamonia... Drugi, kiedy powiedział, że mnie kochałaś... bardziej niż jego. I teraz... Umieram szczęśliwy, Malinka. Taki fart.

Justyna odgarniała z jego twarzy płatki śniegu i nie wyglądała już Wiktora z resztą ludzi. Chciała cały czas na niego patrzeć, żeby nie odszedł niespodziewanie. Poza tym miała nadzieję, że jakoś zaczaruje rzeczywistość i naprawdę uda się go zatrzymać. Gogol spuścił głowę na piersi, czując po raz pierwszy od bardzo dawna, że przerasta go to, co się dzieje.

– Mogę Ci coś powiedzieć? – Krokodyl dotknął twarzy Justyny.

– Wszystko.

Ledwo go było słychać, więc nachyliła się nisko nad jego twarzą.

– Ja też Cię kochałem. Zawsze. I Kocham, wiesz? Trochę głupio... – roześmiał się cicho – trochę głupio, że muszę stać jedną nogą w grobie, żeby to w końcu powiedzieć, ale zawsze coś, nie? Wyszedłbym na większego idiotę, gdybym wcale tego nie zrobił.

– Nie mów... Potrzebujesz sił.

– Tylko tyle mi zostało... Gogol... – Wyciągnął rękę w stronę Kostka. – Czas iść. Czas się pożegnać, stary przyjacielu.

– Spierdalaj! – wyrwało się z piersi Gogola. Był w stanie, w jakim Justyna go jeszcze nie widziała. Złapał Krokodyla za dłoń i ścisnął ją mocno. – Jak tak możesz, co? Iść sobie? Jakbyś nie mógł wytrzymać jeszcze tych kilku minut. Co Ci zależy?

– Widzisz? – Krokodyl spojrział na Justynę z uśmiechem. – To jest prawdziwy przyjaciel. Dobranoc...

Umarł. Czują, jak w krótkich konwulsjach uszło z niego życie. Choć wydawało się to niemożliwe, zrobił się lżejszy w jej ramionach. A wszystko, co działo się później, było już jakby snem.

Rebelianci strzelali coraz rzadziej. Do ognia Nawigatora i Buleta po kwa-

dransie dołączył się Wiktor, Marchewa, Żółw i Zawadka, którzy przyszli od drugiej strony. Kiedy Ukrainiec zobaczył, że Krokodyl leży martwy na kolanach Justyny, ruszył w dzikim pędzie pod górę z jakimś strasznym okrzykiem, który wydobył się gdzieś z dna jego gardła. Za nim pobiegł Siwy, dręczony wyrzutami sumienia, a potem – po odpowiedniej chwili namysłu – Żółw, łapiąc w biegu amunicję Krokodyla. Zawadka z Marchewą pomogli Justynie podnieść się z ziemi i przykryli twarz zmarłego chustą.

Z powrotu do wioski Justyna niewiele zapamiętała. Było już bardzo ciemno, a oni jechali bez świateł. W pewnej chwili zobaczyła tylko, że Wiktor wyrzuca coś przez okno z przekleństwem na ustach.

– Co to było? – szepnęła go Gogola.

– Głowa – odpowiedział również szeptem. – Żółw mówił, że odciął ją na żywca.

– Dużo ich było?

– Podobno dużo, ale wypstrykali się, zanim nasi do nich doszli, więc Wiktor z Siwym dogonili kilku i... zrobili, co trzeba.

– Nie jedźmy tam. – Ledwo mówiła.

– Co, Malinka? – Gogol nachylił się nad nią.

– Nie wracajmy do wioski. Do tych ludzi... Jedźmy prosto do Kabulu.

– Ale po co?

– To rozkaz. – Oparła obolałą głowę na jego ramieniu.

Gogol poklepał Marchewę po ramieniu.

– Jedź do Kabulu.

– Ale...

– Jedź! – Kostek sięgnął do radia i włączył je na kanał, na którym mieli łączność z Charliem. – Słyszysz mnie?

– Słyszę – zabrzmiał dźwięczny brytyjski akcent. – Gdzie jesteście?

– Pakuj się i spierdalaj stamtąd. Jak tylko gospodarze pójdą spać, wyjedź z wioski.

– Dobrze... yyy... a co z samolotem?

– Zabieraj ze sobą. Zawadka jest z nami. Umówmy się trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Ghazni, tam jest taka większa miejscowość...

– Wiem. Tam, gdzie zawsze tankujemy.

– Tak. Bądź tam, OK?

– Będę.

Gogol przełączył się na inny kanał i przekazał tę wiadomość do drugiego samochodu, w którym jechał Żółw z sierżantem i Siwym.

– Mam tylko nadzieję, że to całe GWO nie da dupy i strzeli, gdzie trzeba – westchnął Kostek z desperacją w głosie. – Niech ta jego śmierć nie idzie na marne.

XCV

Porucznik Radecka miała minę zbitego psa. Nikt jednak się tym nie przejmował, bo Wiśniewski ostrzegwał, że to częsta zagrywka. Była bardzo niezadowolona z faktu, że musiała do nich przyjechać, ale nie miała specjalnie wyjścia, bo Kotowicz załatwił to drogą oficjalną i została przysłana przez swojego przełożonego. Podobno ostro się wykłócała, ale nie pomogły nawet żadne z jej znajomości.

– Boi się – stwierdził Wiśniewski, przyglądając się jej zza weneckiego lustra.

– Myślisz? – Kot spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Jestem pewny – westchnął Robert. – Spędziłem z nią trochę czasu, więc wiem... Gra. Zawsze odstawia jakieś przedstawienie, w zależności od tego, co chce osiągnąć. Teraz chce wyjść na pokrzywdzoną, więc gra ofiarę. Nie wie, po co tu jest, więc na wszelki wypadek...

– Jasne. To co? Potrzymano ją tam jeszcze z kwadrans i możemy wpuszczać Iwonę. – Tomek spojrzał na stojącego za nim Mzygłoda, który skinął głową i wyszedł bez słowa z pokoju.

Posterunkowa Iwona Kowalik bardzo denerwowała się swoim zadaniem, ale zrobiła absolutnie wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać. Pewności siebie dodawał jej fakt, że w cywilnym ubraniu i z bronią w kaburze pod pachą wyglądała naprawdę groźnie i profesjonalnie. Weszła do pokoju, w którym siedziała Radecka i bez słowa powitania postawiła przed nią butelkę z wodą.

– Chcecie mnie tu trzymać tak długo, że muszę mieć wodę? – W głosie pani żandarm słychać było pretensję, ale też niepokój.

– Nie wiem, ile będziemy tu panią trzymać – powiedziała spokojnie Iwona, zajmując miejsce za stołem naprzeciwko Radeckiej. – To zależy też od pani.

– Dowiem się nareszcie, o co chodzi?

– Widzi pani... w zasadzie to o przypadek – uśmiechnęła się Iwona i otwo-

rzyła teczkę z jakąś dokumentacją. – Jest pani znajomą komisarza Wiśniewskiego z Komendy Stołecznej, prawda?

Radecka przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie na brzegu blatu.

– Tak... a co to ma do rzeczy? W ogóle... skąd o tym wiecie? Od niego?

– Nie. No właśnie mówię, że to przypadek. – Iwona spojrzała na nią i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, okazując coś w rodzaju wyrozumiałości, co zbiło nieco z tropu Radecką, która przyjęła postawę obronną. – Śledzimy pana komisarza od jakiegoś czasu, robimy mu zdjęcia... O, tu mamy kilka... – Podsunęła gościowi fotografie. – I odkryliśmy, że jesteście w bliskich relacjach.

– Dlaczego go śledzicie? – Pani porucznik z wypiekami na twarzy przyglądała się zdjęciom, na których była z Robertem.

– Bo trochę narozrabiał. Długa historia, a poza tym nie mogę zdradzać szczegółów. Kiedy odkryliśmy waszą... znajomość, musieliśmy też przyrzeć się pani.

Radecka podniosła gwałtownie wzrok, w którym Iwona dostrzegła pioruny.

– Śledziliście mnie? Ja jestem żołnierzem...

– Proszę pani – przerwała jej Iwona – współpracujemy ściśle z Żandarmerią, nic nie odbywa się nielegalnie.

Mżygłód z Kowalskim parsknęli śmiechem za lustrem.

– I co? Myślicie, że ja robię coś złego z panem komisarzem? – zapytała Radecka.

– Nie. Uważamy, że robi pani coś złego bez pana komisarza – odparła nadal spokojna pani posterunkowa.

– Jak to? – Radecka zeszywniała.

– Zaraz się rozpłacze – prorokował Wiśniewski cicho.

– Sprawdziliśmy panią. Kilka lat temu była pani dość bliską koleżanką pani... jak ona się nazywała? – Iwona zerknęła do dokumentów. – Pani Justyny Dąbek.

Pani porucznik nic nie powiedziała – nie była w stanie. Iwona kontynuowała.

– Jak pani zapewne wiadomo, pani Dąbek jakiś czas temu została porwana i zamordowana. W wyniku śledztwa ustaliliśmy, że po pierwsze mieszkała z panią w jednym pokoju podczas pobytu w szkole w Poznaniu. Po drugie Waszym przełożonym był niejaki pan Jaskóła, aktualnie przebywający w areszcie w tymże Poznaniu, na którym ciężą zarzuty za śmierć pani Dąbek. A po trzecie dowiedzieliśmy się, że miała pani z nim romans. – Iwona podniosła wzrok i spojrzała pytająco na Radecką.

– Nie miałam z nim romansu – powiedziała cicho przesłuchiwana.

– Proszę pani, mamy na to za dużo dowodów, w tym zeznanie Jaskóły, więc...

– Zrobiła gest dłonią w powietrzu i wróciła do przeglądania notatek, w których Kot dokładnie wyszczególnił tematy, jakie miała poruszać. – Zaniepokoiło nas to, czego się dowiedzieliśmy. Chcielibyśmy wiedzieć, jaki był pani udział w minionych wydarzeniach.

Po policzku Radeckiej spłynęła pierwsza łza. Iwona – przygotowana także na tę ewentualność – wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek i podała jej nad stołem.

– Ja niczego nie zrobiłam – szepnęła. – Nie mam z tym nic wspólnego. Poza tym... Justyna żyje.

– Tak? A skąd pani o tym wie, skoro żadne media nie dementowały tej wiadomości?

– Ja... mi ktoś powiedział.

– Kto?

Radecka przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

– A może pan Garlicki? – Iwona uniosła wysoko brwi. – Jaskóła dzwonił do niego z aresztu, mam tu nawet jego zeznanie w tej sprawie, więc mogę zacytować, i powiedział, że Justyna żyje, a w dodatku ma na Was jakieś haki, którymi chce Was obciążyć. Wtedy Wy wpadliście w panikę i postanowiliście coś wymyślić, żeby zamknąć jej usta.

– Ja...

– Pomysł był prosty i genialny – nie dała jej dojść do słowa Iwona. – Postanowiła pani uwieść komisarza Wiśniewskiego i za jego pomocą zastraszyć albo nawet pozbyć się pani Dąbek. Nie przypuszczała pani tylko jednego: że pan komisarz sam już ma na pieńku z prawem i jak zostanie przyciśnięty, to nam o wszystkim opowie i wsypie panią.

– Ja pierdolę! – Mzygłód zrobił wielkie oczy i zasłonił dłonią usta. – Ona jest straszna.

Radecka, zamiast się bronić, rozpląkała się w najlepsze. Iwona przez chwilę nie wiedziała, co robić. Zaczęła się bać, że pani porucznik przyzna się do wszystkiego, nawet do bzdur, które przed chwilą usłyszała.

– No i co płaczesz? – Pani posterunkowa odzyskała pewność siebie. – Przyznaj się, to Ci ulży.

– Nic nie zrobiłam, to nieprawda! – Radecka nagle zrozumiała, że jej płacz nie przyniósł spodziewanego efektu.

– Ale że czego nie zrobiłaś? Bo nie rozumiem.

– Ja go nie uwiodłam... to znaczy to był przypadek. Spotkałam Roberta przypadkiem. I niczego nie planowałam.

– To dlaczego on twierdzi, że namawiałaś go do zastraszania Justyny Dąbek, jej męża i koleżanki z wojska?

– Co?! To niemożliwe!

– No, tak powiedział. Mam to w dokumentach. Słuchaj... będę szczerą. Ja wiem, że robisz wielką karierę, latem się hajtasz i masz wiele innych planów... ale jeśli nie będziesz współpracować z nami, umocysz i z przyszłości nici. Twój szef już wie o sprawie...

– Nie! – Łzy na policzkach pani żandarm obeschły nagle. – Powiem, jak było. To znaczy, ja niczego nie planowałam z Wiśniewskim, po prostu się spotykaliśmy. Ja nawet myślałam, że to coś poważniejszego...

– I dlatego byłaś u jego żony z awanturą?

– Ale...

– Dobra, nieważne. To akurat najmniej nas interesuje. Mów dalej. Co planowaliście?

– Niczego z nim nie planowałam. Rzeczywiście Garlicki mówił, że Justyna żyje i coś knuje...

– Co niby? – Iwona nachyliła się nad stołem.

– No... z tymi pamiętnikami. Tam było wszystko opisane. Piotrek Jaskóła pokazał mi kiedyś kopie... ja to czytałam. Tam było o mnie i o nim, o Garlickim... Piotrek robił mi wymówki, bo o niczym nie wiedział. I potem powiedział, że ona chce to wykorzystać przeciwko nam, żeby zniszczyć nasze kariery.

– I co zrobiliście?

– Wynajęliśmy kogoś, kto miał ich trochę postraszyć.

– Kogo postraszyć?

– Justynę, jej męża, Gośkę i jeszcze dwie osoby, ale szczegółów nie znam.

– Aha... Czyli współpracowałaś z Garlickim i Jaskółą?

– Piotrek nie brał w tym udziału. Garlicki zajął się wszystkim. On i jakiś jego znajomy.

– Znasz nazwisko?

– Nie. To jakiś pułkownik z Brukseli.

– Jasne. – Iwona kiwnęła głową, zerkając do notatek, gdzie Kot napisał: „Zapytać o Sarnowskiego z Brukseli”. – Powiedz mi tylko... co chcieliście osiągnąć?

– Żeby się odczepiła.

– Ale ona niczego nie zrobiła.

– Ale... mówili, że ma plan, że się będzie mścić za szkołę i parę innych rzeczy. Piotrek mówił, że zaczyna po kolei usuwać tych, którzy coś jej zrobili w przeszłości, najpierw jego, potem resztę...

– I myślisz, że naprawdę tego chciała?

– Nie wiem... Tak mi powiedzieli. Ja ciężko na to wszystko pracowałam! – Rozkleiła się znowu, tym razem naprawdę. – Robiłam kursy, walczyłam o każdy awans, każde stanowisko, bo nikt nie chce kobiet. A ona co? Pieprzona egoistka niczego nie osiągnęła. Niczego! Nie umiała nawet egzaminu z wuefu zdać. I co teraz niby robi? Kim jest? Co potrafi? Pamięta chociaż, jak się trzyma broń?

– Oj, zdziwiłabyś się – mruknął Kot do siebie.

– Więc chciałaś ją powstrzymać, tak? – Iwona znowu grała pełną współczucia panią policjantkę.

– Tak. Nie mogłam pozwolić, żeby jednym ruchem to wszystko zniszczyła.

– No i super. – Zatarł dłonie Mzygłód. – Dobry pomysł miałem z nią, co, Kocie?

– No. – Kiwnął głową Tomek, nie odwracając wzroku od szyby. – Niech sobie jeszcze pogadają. Potem ją puśćcie do domu i zaczniemy myśleć nad Garlickim i Sarnowskim. Idę do siebie. Jak Iwona skończy, powiedz, żeby przyszła do mnie.

Pani posterunkowa zjawiała się po kwadransie. Wyglądała na zmęczoną.

– Usiądź. – Kot wskazał jej krzesło. – Dobrze Ci poszło.

– Ojej, czułam się fatalnie. Pociłam się jak szczur z nerwów.

– Nie zauważyłem – uśmiechnął się Tomek. – Ale poza tym podobało Ci się?

– No! – Ożywiła się. – Niesamowita adrenalina. Jeszcze wiedziałam, że mnie obserwujecie. Było trochę jak na scenie przed publicznością.

– To może do nas dołączysz?

– Yyy... ja? – Zamrugła powiekami. – Ale... Mówi pan poważnie?

– Całkowicie.

– Muszę pogadać z mężem. Nie wiem sama... bardzo bym chciała, ale on może nie chcieć się przenieść.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, oferta będzie aktualna cały czas. Nie mamy coś szczęścia do kobiet, a przydałyby się nam jakieś. Widzisz, Mzygłód nie bez powodu wpadł na pomysł, żebyś Ty ją przesłuchiwała. Wiśnia ostrzegł, że ta kobieta umie grać na męskich emocjach, co na Tobie nie zrobiło wrażenia.

– Raczej nie – powiedziała z przekąsem. – Tylko mnie to drażniło.

– No właśnie. Nie dałaś się też, gdy próbowała być opryskliwa. To dobrze wróży na przyszłość, pani posterunkowa. Przeszłabyś dodatkowe szkolenia i za parę lat byłabyś bezcennym nabytkiem dla policji. Porozmawiaj więc z mężem... i dawaj znać.

Z przejęcia zdołała tylko uśmiechnąć się i skinąć głową.

XCVI

– Co się dzieje, Łukasz? – Andrzej dotknął ramienia Meyera, który stał zamyślony pośrodku placu budowy. – Wyglądasz na zmartwionego.

– Nie ma walizki Justyny – odpowiedział Łukasz, nie patrząc na Domańskiego.

– Jak to... nie ma?

– Zniknęła z mieszkania. Ktoś ją musiał zabrać.

– Żartujesz? Zginęło coś jeszcze?

– Nie. Było nieco nieładu, ale zniknęła jedynie torba.

– A... karta SD? – Andrzej ściszył głos.

– Mam. – Łukasz poklepał się po kieszeni w spodniach. – Noszę ją zawsze przy sobie. Podejrzewam... że Jasmina powiedziała o walizce komuś od siebie, kiedy grupa Angie zdjęła tego, co mnie śledził.

– Hm... – Domański zerknął na kobietę, która kręciła się wśród robotników z majstrem. – A ona... Angie odzywała się?

– Tak... Mam zabrać dziś spod targu jednego z jej ludzi. Zaprowadzi mnie w jakieś miejsce.

– Boże! – szepnął Andrzej, kręcąc głową z dezaprobatą. – To takie niebezpieczne.

– Ta... niebezpieczne. – Łukasz spojrział na szefa przenikliwie. – Byliśmy z Justyną bezpieczni w naszym domu, spod którego jacyś bandyci porwali ją w niedzielny poranek i o mało nie zabili.

– No tak... – Domański przygryzł wargę.

– Nie daje mi tylko spokoju ta karta.

– Dlaczego?

– Justyna zostawiła pamiętniki, które miały stanowić jej zabezpieczenie w razie, gdyby coś jej się stało. Myślę, że ta karta też jest czymś takim.

– To czemu ją tam zostawiła?

– Bo chyba o niej zapomniała. Ci ludzie wyprzątnęli cały dom, nie zostawiając żadnych śladów po sobie. Nie sądzę, żeby przeoczyli coś takiego specjalnie.

– Rozumiem. Tak czy inaczej... powodzenia. – Domański poklepał Łukasza po plecach, odwrócił się i poszedł z powrotem do swojego biura.

Meyer denerwował się nieco spotkaniem z człowiekiem Angie, ale nie mógł się też go doczekać. Amerykanka nie chciała zdradzać szczegółów przez telefon – i tak pewnie nic by nie zrozumiał – więc nie miał nawet pomysłu na to, o co chodziło. Kiedy przyszła pora wyjazdu z budowy, wsiadł szybko do swojego dżipa i pomknął przez zatłoczone ulice Kabulu. Czuł się w nim coraz lepiej, odpowiadał mu nawet pozornie chaotyczny ruch na drogach, który początkowo wyprowadzał go z równowagi. Lawirował wąskimi uliczkami, starając się unikać dużych arterii. W pewnej chwili skręcił nagle w jakąś szerszą bramę i zatrzymał wóz, zerkając w lusterko. Odczekał dobre pięć minut i wyjechał dopiero wówczas, gdy był całkowicie pewny, że nikt za nim nie jechał. Takie manewry powodowały, że przemieszczał się wolniej, ale nie czas tu był najważniejszy...

Nie musiał się zatrzymywać, wystarczyło jedynie zwolnić, żeby młody mężczyzna, ubrany w zieloną wojskową kurtkę i czarną chustę, wskoczył do jego auta. Łukasz ruszył od razu, bez zbędnych powitań. W sumie mógł to być nawet ktoś inny, ale i na te wyjaśnienia nie było czasu.

– Dokąd? – zapytał po chwili Meyer.

– Na razie prosto – odpowiedział mężczyzna. – Będę Cię prowadził.

Jechali dość długo i Łukasz zaczął się niepokoić, czy zdoła wrócić tą samą drogą. O ile jechał tam, gdzie powinien... Po jakichś trzydziestu minutach dojechali do położonej na zboczu góry dzielnicy, w której stały dość okazałe budynki mieszkalne. Mężczyzna kazał zatrzymać samochód pod jednym z nich, ale Łukasz od razu wiedział, że to nie o niego chodzi. Z auta stojącego po drugiej stronie ulicy wysiadła Angie, ubrana tym razem w bardziej zachodnim stylu, i przesiadła się do nich.

– Witaj. – Położyła dłoń na ramieniu Łukasza. – To tam. – Wskazała na trzeci z kolei dom.

– Tam jest moja żona? – Meyer pochylił się odruchowo do przodu.

– Tam jest jej grupa. Mieli dziś wrócić... tyle wiem. Ale nikogo tu nie widzie-

liśmy. Nikogo.

– To skąd wiesz? – Obejrzał się w jej stronę.

– Wiem. Zaufaj mi.

– Pójdę tam. – Łukasz złapał za klamkę.

– Nie. – Zacisnęła palce na jego ramieniu. – To niebezpieczne. Idź z nim. – Wskazała głową na jego pasażera. Ja muszę jechać. Powodzenia.

Kiedy Łukasz zbliżał się do budynku z tym obcym mężczyzną, zrozumiał, że wbrew pozorom to nawet nie będzie połowa jego misji. Nawet jeśli spotka Justynę, będzie musiał przekonać ją do powrotu do domu, do ich małżeństwa... a gdyby mu się to udało, trzeba będzie to ich życie ułożyć sobie od nowa.

Niespodziewanie jego przewodnik skręcił w lewo, zamiast skierować się do wejścia. Meyer nie zdążył go o nic zapytać, bo ten szedł bardzo pewnie, choć w pewnej odległości od ścian. Zajrzał do okien, z których te na dole były zabezpieczone kratami. Od tyłu też były drzwi, ale mniej widoczne. Mężczyzna podszedł do nich i ostrożnie zapukał, co wydało się Łukaszowi dość dziwne, jeśli nie groteskowe. Nie przypuszczał, żeby ktokolwiek im otworzył, ale jego towarzysz czekał cierpliwie. Opłaciło się – po pięciu minutach usłyszeli kroki i dopiero wówczas Łukasz zauważył, że nad drzwiami zamontowana jest kamera i czujnik ruchu. Ten, kto otwierał, wiedział, kogo zastanie na progu.

Bandzior – to było pierwsze słowo, jakie nasunęło się Meyerowi na widok typu, którego zobaczył. Wysoki, potężnie zbudowany, ubrany w podniszczony mundur o nieokreślonym kolorze i bardzo wysłużoną kamizelkę. U jego pasa wisały dwa wielkie noże, a przy udzie przyklejony był jakiś naprawdę duży pistolet. W prawej ręce trzymał wymierzony w nich karabinek, a w lewej soczyste jabłko, które wcinał ze smakiem.

– Nu? Szto? – zapytał po rosyjsku, budząc zdziwienie u Amerykanina i irracjonalną radość u Łukasza.

– Ty znajesz, kto Malina? – wyrwało się jakimś cudem z pamięci Meyera. Jego towarzysz spojrzał na niego podejrzliwie.

– Możet` byt`. – Wzruszył potężnymi ramionami. – A kto prosit?

– Ja... muž.

Dłoń z jabłkiem zawisła w powietrzu, a oczy bandziora zrobiły się wielkie jak spodki.

– O! – zdołał jedynie powiedzieć. – Ty pojedziesz... – wskazał na Łukasza po

chwili namysłu – a Ty niet.

Meyer wszedł do środka, a człowiek z jabłkiem zatrzasnął drzwi przed nosem Amerykanina. Nie pozostało więc nic innego, jak iść za nim głębiej.

– Ja Tadas – przedstawił się mężczyzna uprzejmie, gdy wchodzili po schodach na górę.

– Łukasz. – Meyer wyciągnął dłoń na powitanie.

– Haraszo. – Tadas kiwnął głową. – A on... kto?

– Ja nie znam. – Łukasz wzruszył ramionami, wywołując śmiech u Tadasa.

Weszli do dużego pokoju, gdzie przy stole siedział młody mężczyzna, piszący coś na laptopie.

– Jamal jest? – zapytał Tadas po angielsku.

– Gdzieś tu jest. – Kiwnął głową pytany, przyglądając się uważnie Łukaszowi.

– Kto to?

– Mąż Maliny – odpowiedział Litwin i ugryzł kolejny wielki kęs jabłka.

– O! – Reakcja była taka sama, jak przy drzwiach. Mężczyzna podniósł się i wyciągnął do Meyera dłoń. – Dzień dobry – powiedział po polsku. – Miło mi.

– Mnie również. – Łukasz był i zaskoczony, i szczęśliwy, słysząc swój język.

– Łukasz Meyer.

– Piotrek. Ja... to znaczy... ja niewiele z Maliną pracowałem – wydukał, jakby zawstydzony. – Ale wszyscy ją znamy. Ona... jej nie ma.

– A nie wiesz, gdzie ją znajdem?

– No... tutaj – odpowiedział, drapiąc się po głowie. – To znaczy... to nasze miejsce, ale jej nie ma... jeszcze. Tadas, zawołaj Jamala. Ja nic nie wiem. Niech pan... to znaczy, siadaj, Łukasz.

– Nie, dzięki – Łukasz uśmiechnął się blado.

Do pokoju wszedł wysoki, lekko siwiejący Afroamerykanin w średnim wieku, który zamiast prawego przedramienia miał metalową protezę.

– Co się stało? – zapytał, zwracając się do Piotra. – Kto to jest?

– Mąż Maliny – odpowiedział zmieszany chłopak. – Łukasz.

Meyer chciał coś powiedzieć, ale Jamal westchnął ciężko i podparł się pod boki. Opuścił głowę i nic nie mówił. Wyglądał, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

– Mówili mi, że jej szukasz. – Spojrzał w końcu na Łukasza z powagą. – Jak tu trafiłeś?

Meyer spojrział pytająco na Piotrka, bo nie wszystko rozumiał. Chłopak szybko przetłumaczył.

– Powiedz, że... przez koleżankę Justyny.

– Kogo? – Piotr zrobił zdziwioną minę.

– Maliny – poprawił się Łukasz.

– Aha... – Piotrek przetłumaczył.

Jamal zmarszczył czoło, ale Łukasz mógłby przysiąc, że uśmiechnął się kątem ust. Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– Ta Malina wpędzi mnie do grobu – westchnął znowu. – Będziemy się musieli znowu przenosić.

– Ona... ta przyjaciółka... mówiła, że wcale nie – pospieszył z wyjaśnieniem Meyer, kiedy zostały mu przetłumaczone słowa Jamala. – Mówiła, że tu jesteście najbezpieczniejsi.

Jamal roześmiał się i potarł twarz dłonią, która mu jeszcze została.

– OK. Jak Twoja żona wróci, zapytam ją o to.

– Kiedy wróci? – To Łukasza interesowało najbardziej.

– Usiądź. – Jamal wskazał na krzesło. – Muszę się dowiedzieć.

Łukasz zajął miejsce obok Piotra, który także usiadł i uśmiechnął się do niego zmieszany.

– Czym się zajmujesz? – zapytał cicho. – To znaczy w Polsce.

– Jestem funkcjonariuszem CBŚ.

– Łał! Ale nie dziwię się. Malina nie byłaby chyba z byle kim. – Piotr pokiwał głową z uznaniem. – Fajnie, nie znam jeszcze żadnego agenta. To pewnie ekscytujące.

Łukasz zaczął się zastanawiać, czy chłopak go wrabia, czy naprawdę jest nim taki zachwycony. Wyglądał jednak, jakby mówił całkiem poważnie.

– Wiesz... myślę, że bycie najemnikiem może być bardziej... ekscytujące.

– E, tam. – Piotr machnął ręką, zginając ją w nadgarstku, i wydał usta. – Nudy. To znaczy, ja się czasem nudzę. Jestem programistą, wiesz? I informatykiem. Elektronikiem też jestem... a jak trzeba to i samochody naprawiam... Taki „przynieś-wynieś-pozamiataj”.

– A jak tu trafiłeś? – Łukasz musiał przyznać, że to dość intrygujące spotkanie.

– Kolega z mojej klatki był w wojsku i strasznie chciał iść do GROM-u, ale

oblewał wszystkie testy. Kiedyś powiedział, że i tak się cieszy, że nie jest mną, bo takiej cioty na pewno by nie przyjęli... Mówił to po pijaku, więc mu wybaczyłem.

– Ale na testy poszedłeś? – Łukasz zaczął się domyślać dalszej części.

– No – roześmiał się. – I przeszedłem. Najśmieszniej było na selekcji, tej w Bieszczadach.

– Czemu?

– A bo nic nie wziąłem. Nie wiedziałem co... Tylko biegłem. No i dobiegłem. Angielski zdałem, testy u psychologa zdałem, ale i tak powiedzieli, że mnie nie wezmą... – zasmucił się.

– Bo?

– Bo nie miałem stopnia. Kazali mi iść do normalnego wojska, a potem do nich. To było głupie. Obraziłem się, ale wtedy spotkałem takiego kolegę, który tu pracował, i on powiedział, że jest robota. Pomyślałem, że łął, ale fajnie... ale nic z tego. Brakuje ciągle ludzi od myślenia, to siedzę i klepię ścieżki. – Wydał znowu usta i pacnął dłonią w ekran.

– Ale myślę, że gdyby Cię zabrakło, to odczuliby stratę – uśmiechnął się Łukasz.

– Dzięki, to miłe, co mówisz... Aha... wiesz co? – coś się nagle Piotrowi przypomniało. Zasłonił dłonią usta i znowu zrobił wielkie oczy. – Nie wiem, czy mogę to mówić, ale oni... w górach mieli kłopoty.

– Jakie... – Łukaszowi zrobiło się duszno.

– Wpadli w zasadzkę czy coś... i podobno ktoś zginął. Ale nie Malina, nie, nie! – Pokręcił energicznie głową. – Tylko że mieli jakiś problem z powrotem do Kabulu... i... ja nie wiem. Musimy i tak poczekać na Jamalą. Także spokojnie. – Podniósł się z krzesła. – Chodź do kuchni, zrobię Ci herbaty. Chodź, chodź, to może potrwać...

– Przyszedł tu ze mną taki człowiek...

– Spoko, pojechał. – Piotr machnął ręką. – Widziałem obraz z kamery. Słodysz?

XCVII

Musieli się zatrzymać po drodze. Siwy źle się poczuł i istniała realna groźba, że zarzyga samochód po sam sufit.

– Co mu jest? – zapytała Justyna Charliego, który jechał razem z nim.

– Nie jestem pewien. – Skrzywił się rudzielec. – Chodzi chyba o jakąś głowę, którą Wiktor obciął.

– O, matko. – Justyna przewróciła oczami i podeszła do chłopaka. Stał zgięty w pół i trzymał się za brzuch. Wyglądał strasznie. – Żyjesz?

Podniósł się i spojrzał na nią półprzytomnie. W oczach miał coś dziwnego, co Justynie się nie spodobało.

– Widziałem... widziałem, jak on... – wskazał ręką Ukraińca, który palił papierosa przy drugim wozie – wyciągnął nóż i...

– Dobra, jasne. – Pokiwała głową i złapała go za rękę. – Spójrz na mnie. Jeśli chcesz tu pracować, musisz przywyknąć do tego, że niektórzy mają różne... nawyki. Wicia lubi obciąć ludziom to i owo, czasami jest to głowa, a czasami nos.

– Ale on żył...

– No, myślę, że martwemu by nie obcinał – odparła z przekąsem. – To specyficzna praca. Ty nie musisz robić tego, co on, ale powinieneś być na różne rzeczy gotowy. Tak jak na to, że nikt nie będzie go ścigał międzynarodowym listem gończym za zbrodnie przeciwko ludzkości. Krokodyl... – nabrała powietrza w płuca – zawsze nas uczył, że albo Ty wyciągasz nóż, albo ten, komu staniesz na drodze. Wiktor wyrzucił tę głowę... Widziałeś, prawda?

– Tak.

– Nie zrobił tego bez powodu. To był list z przesłaniem do kolegów tego człowieka. Tak też się tu pracuje. Ty jesteś żołnierzem od roboty w polu, a nie od komputerów, jak Charlie... Jeszcze nie raz zobaczysz... albo zrobisz coś, co Ci

się nie spodoba.

Pokiwał nieznacznie głową, ale jego oczy powiedziały jej, że nieco się uspokoił.

– Umyj się – zarządziła. – I posprzątaj w aucie. Musimy zjechać na chwilę z drogi. Każdemu przyda się moment odpoczynku.

Od kiedy rozstali się po drodze z Zawadką i Żółwiem, był to pierwszy raz, gdy spojrzała na ciało Krokodyla złożone z tyłu auta, którym jechała. Żal ścisnął jej serce na ten widok, zwłaszcza że nie mieli nawet niczego, czym mogliby go przykryć w całości.

– Malinka... – Gogol delikatnie dotknął jej ramienia.

– Nie wierzę – szepnęła. – Po prostu nie wierzę, że go nie ma... że się nie obudzi i nie powie niczego. To moja wina.

– Nieprawda.

– Prawda. – Spojrzała na niego z ogniem w oczach. – I on sam dobrze o tym wiedział. To moja wina, bo dobrze widziałam, że Siwy świruje i że nie powinien obstawiać tyłów... w ogóle trzeba było zabrać mu broń. Zignorowałam to...

Gogol zacisnął usta i odwrócił wzrok.

– Koszuś... popełniłam masę błędów... Jestem beznadziejna.

Mimo że nie chciał, roześmiał się.

– Pierdolisz jak potłuczona. – Wziął jej dłoń i ścisnął. – Nie jesteś. Po prostu nie jesteś doskonała.

– Ale ja chcę, żeby on żył. – Głos załamał jej się, a z oczu popłynęły łzy. Kostek przyciągnął ją do siebie i przytulił. Musiała pochylić się, żeby oprzeć głowę na jego ramieniu.

– Wiem... Wiem, Malinka.

Zapadła decyzja, że zostaną w tym miejscu – znacznie oddalonym od autostrady – dłużej niż początkowo zakładała Justyna. Była prawie noc, niektórzy chcieli się przespać.

– Co będzie z ciałem? – zapytał nieśmiało Marchewa.

– Pomyślimy w Kabulu – odpowiedziała Justyna.

– Ale gdzie będzie pochowany?

– Nie wiem – zamyśliła się. – Naprawdę nie wiem... Idź spać, Marchewa.

Ruszyli o świcie. Na drodze było sporo aut, bo po piątkowym święcie zaczynał się sobotni ruch. Nie dało się zbyt szybko jechać, a w dodatku samochód

Siwego złapał gumę. Kiedy dotarli do Kabulu, było południe. Kolejną godzinę zajęło im dotarcie na miejsce. Przed wejściem z tyłu budynku stał Jamal, ale Justyna nie miała chęci z nim rozmawiać. Nikogo nie chciała widzieć.

– Kostek, mam prośbę – powiedziała cicho. – Zajmij się wszystkim, ja muszę pobyć sama. Chociaż przez chwilę...

– Nie ma sprawy. – Kiwnął głową.

Wysiadła z auta i minęła Jamala bez słowa.

– DeeDee...

– Nie! – Uniosła dłoń i weszła do środka. Wbiegła po schodach na górę do pokoju, w którym stało jej łóżko, i padła na nie jak kłoda, nie zdejmując nawet kamizelki ani butów.

Myślała, że to będzie ten moment, w którym się rozsypie i załamie do reszty. Zamiast tego poczuła tylko pustkę w środku. Miała wrażenie, że otoczona jest niewidzialnym murem, który odciął ją od emocji i złych wspomnień. Żal, gniew, smutek... nie była w stanie dać im pola do popisu. Po prostu leżała, gapiąc się bezmyślnie w sufit i ciężko oddychając. Jej wrażliwy nos rozpoznał zapach Krokodyla i jego krwi, którą była ubrudzona. Czuła własny pot i brud zebrany w górach i po drodze do Kabulu. Zamknęła oczy i pomyślała, że nigdy nie uda się jej go zmyć, choćby nie wiadomo ile się szorowała. Wciągnęła znowu powietrze przez nos i poczuła zapach swojego męża.

Na koniec straciłam rozum – skonstatowała w duchu, ale też bez większych emocji. Doszła do wniosku, że gdyby teraz umarła, nic złego by się nie stało.

Kiedy ktoś ujął jej dłoń, zwisającą bezwładnie z łóżka, zirytowała się nieco. Myślała, że to Jamal, bo ręka była duża i ciepła, ale on miał ją tylko jedną...

Otworzyła oczy i odwróciła głowę. Obok niej na krześle siedział Łukasz. Zamrugła powiekami, ale nie zniknął ani nie zamienił się w nikogo innego. Wyglądał trochę inaczej: na twarzy miał gojące się rany, broda była dłuższa niż zwykle, a jego ubranie nie przypominało żadnej z rzeczy, którą miał w garderobie w ich mokotowskim mieszkaniu. Był też szczuplejszy.

– Łukasz? – zapytała cicho, jakby chciała się upewnić.

– Justyś... nic Ci nie jest?

Moment nadszedł i puściły wszystkie tamy. Jej ciałem szarpnął ból i szloch, a z oczu popłynęły dwie rzeki łez. Łukasz przysunął się do niej i uklęknął przy łóżku. Zdjął jej czapkę, pogłaskał po głowie i zaczął wycierać mokre policzki,

rozmazując jednocześnie cały brud, jaki na nich miała.

– Justynka...

– Straciłam człowieka – powiedziała, choć nie było to wcale jej zamiarem. –

Z mojej winy...

– Rozumiem...

– Straciłeś kiedyś kogoś w akcji? – Spojrzała na niego z desperacją.

– Nie – uśmiechnął się blado. – Nie dowodziłem nigdy żadną. Ale Brenner mówił... że to najgorsze, co może być... wrócić bez człowieka.

– On stracił?

– On przeżył wszystko, co tylko może przeżyć człowiek na służbie.

– Łukasz... – Łzy przestały jej płynąć. – Co tu robisz?

Roześmiał się cicho.

– A jak myślisz?

– Nie wiem...

– Rzuciłem CBS i nająłem się jako ochroniarz na budowie w Kabulu. Dobrze płacą, wiesz? Dowiedziałem się, że Ty też tu jesteś, więc postanowiłem wpaść na herbatkę.

– Rzuciłeś CBS? – Zrobiła wielkie oczy.

– Justyna... – Podniósł się i usiadł na łóżku. – Przyjechałem po Ciebie, żeby namówić Cię do powrotu do domu. Co Cię CBS obchodzi?

– Tak pytam... Zawsze można mieć nadzieję – odpowiedziała całkiem poważnie.

Łukasz roześmiał się i pokręcił głową.

– A jak powiem, że naprawdę rzuciłem, to wrócisz do mnie?

Justyna podniosła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Przyjechałam tu przez Ciebie – szepnęła. – Potraktowałeś mnie jak szmatę... Gdybym tu nie przyjechała... Krokodyl dalej by żył.

Skurcz bólu przeszedł po twarzy Łukasza.

– Nie oczekiwałem usłyszeć nic miłego na powitanie... Masz dużo racji... ale ja chcę tylko wiedzieć, czy istnieje cień szansy, żeby nasze małżeństwo nadal trwało.

– Tylko że... już nigdy nie będę tym, kim mnie znałeś... Już nie potrafię. Łukasz... jestem tym, kim jestem. I nie chcę zajmować się czymś, co mnie tłamsi, nawet jeśli jest to cena bycia z Tobą.

Kiwnął głową i zacisnął usta.

– Zrobisz, jak uważasz. Nie będę Ci w niczym przeszkadzał, bylebyś Ty była szczęśliwa.

– Łukasz... – Justyna wbiła mu palce w ramiona. – Skąd masz te rany na twarzy?

– A... był zamach w Kabulu...

– Byłeś tam?! – Potrząsnęła nim lekko. – Zwariowałeś?! Po coś tu przyjeżdżał, co? Tu jest niebezpiecznie.

– Tia... Mówi mi to kobieta po szyję unurzana w czyjejś krwi.

– Nic Ci się nie stało?

– Nie, mi nie. Zginął mój kolega z pracy.

– Z policji?

– Nie. Przecież mówiłem, że pracuję na budowie.

– Myślałam, że żartujesz.

– Nie. – Odgarnął jej włosy z czoła. – Nie żartuję. Żanety mąż mi to załatwił.

– Kiedy przyjechałeś?

– Tydzień temu.

– Ale jak mnie znalazłeś? Wiesz, co my tu robimy, żeby nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy?

– Wiem – uśmiechnął się. – Teraz już wiem. Pomogła mi Twoja koleżanka, Angie.

– Żyje? – szepnęła z przejęciem. – Myślałam, że zginęła w zamachu.

– Nie. Wtedy na siebie wpadliśmy. Długa historia. Później Ci opowiem wszystko.

– Łukasz... mówiłeś o niej Jamalowi?

– Tak.

– Boże! – Justyna padła znowu na łóżko. – Zabije mnie.

– Czemu?

– To też jest długa historia. – Machnęła ręką. – Trzeba się będzie przenieść. Muszę z nim pogadać. – Zerwała się z pościeli.

– A nie powinnaś odpocząć? – Spojrzał na nią zaniepokojony.

– O, nie! – Pokiwała groźnie palcem. – Ja tu dowodzę. Chodź na dół.

Wyglądało na to, że wszyscy siedzą w napięciu, oczekując na wynik rozmowy Justyny z mężem. Charlie miał strapioną minę, Gogol wciąż był w rozsypce po

śmierci Krokodyla, a Wiktor z Nawigatorem bawili się nożami. Tylko Tadas stał spokojnie w kącie, wcinając kolejne jabłko.

– DeeDee! – Jamal ruszył w jej stronę. – Możemy...

– Tak, chodź do kuchni.

Kiedy wyszli, Łukasz poczuł się lekko osaczony. Wokół siebie miał obcych i chyba wrogo nastawionych ludzi, którzy rzucali mu groźne spojrzenia. Podszedł więc bliżej stołu, gdzie siedział Piotr.

– Usiądź. – Piotrek podsunął mu krzesło. – To może potrwać.

Gogol, jakby nieco obudzony, zbliżył się do niego i podał mu dłoń na powitanie.

– Cześć, mężu Maliny – powiedział smutno.

– Cześć... – uśmiechnął się niepewnie. – Jak widzę, nie jestem tu mile widzianym gościem.

– Dziwisz się? – Kostek uniósł ramiona. – Wszyscy myślą, że przyjechałeś zabrać nam Malinę.

– Nie. Nie zabiorę jej. Pojedziemy dopiero wówczas, gdy sama będzie chciała.

– Aha... – Gogol przysiadł na krześle. – To jednak ją znalazłeś.

– No... – Łukasz zerknął na niego znacząco. – Mimo Waszych usilnych starań, żeby mi się nie udało.

– Nie chcieliśmy źle. – Gogol wcale nie czuł się winny i było to widać. – Chcieliśmy ochronić naszą królową.

– Myślałem, że jest Waszym dowódcą.

– Jest. – Kostek kiwnął głową. – A Ty kiedy wracasz?

– Dokąd niby?

– Do Polski.

– Nie wiem. Mam tu pracę, podpisany kontrakt. Muszę wywiązać się z umowy.

Kostek był zdziwiony jak nigdy. Spojrzał na Nawiego i podrapał się po głowie.

– A... to Ty się tak dobrze przygotowałeś. No dobra – klepnął się w kolana – czas się ogarnąć. Panowie, trzeba przynieść Krokodyla z samochodu i złożyć na dole.

– Co z nim będzie? – zapytał cicho blady jak ściana Siwy.

– Już nic, robaczku. Zawsze będzie martwy.

– Ale gdzie go pochowamy?

– No, to już gorzej – westchnął Gogol. – Może coś Malinka wymyśli...

– Słuchajcie... – Łukasz potarł palcami brwi. – Mój znajomy zginął w tym zamachu i szef załatwia transport ciała do Polski. Może dałoby radę przewieźć Waszego człowieka.

– Hm... – Kostek zerknął znowu na Radka. – Co uważasz?

– Niech próbuje. – Nawi wzruszył ramionami. – A gdzie miałyby tam spocząć?

– W Warszawie znajdę mu miejsce. Nie chcę, żeby był gdzieś daleko – odezwała się niespodziewanie Justyna. Nikt nie zauważył jej powrotu z kuchni. Za nią stał Jamal. – Poproszę Stefana, on coś poradzi.

Łukasz kiwnął głową.

– To ja porozmawiam z Andrzejem i dam znać, co ustaliliśmy.

Jednosekundową ciszę, jaka zapanowała, wykorzystał Charlie, który podniósł rękę, dając znak, że chce coś powiedzieć.

– Co się stało? – zapytała Justyna.

– Nie wiem, o czym rozmawiacie, ale chciałem przypomnieć o zleceniodawcy. – Wskazał na telefon satelitarny w dłoni. – Trzeba mu powiedzieć o wyniku naszej misji.

– A, tak. Połącz mnie z nim. A Wy się ogarnijcie i coś zjedzcie. Łukasz... daj mi chwilę, pojedziemy razem.

Nie czekała długo na połączenie i jeszcze krócej na odebranie telefonu przez Brzezińskiego.

– Właśnie zaczynałem się niepokoić – powiedział cicho.

– Dlaczego?

– Podobno GWO strzeliło wczoraj wieczorem. „Danki” zniszczyły jakiś obóz rebeliantów. Mieli duży kaliber...

– Tak, o wiele większy niż sto siedem – wtrąciła Justyna. – Ale nie znam na razie szczegółów.

– A więc pani wie.

– Tak. Gridy dostali od nas.

– Szybko. Jestem pod wrażeniem.

– Muszyński nie żyje.

Zapadła cisza. Justyna usłyszała, jak premier wzdycha i wyraźnie zbiera

myśli, żeby coś powiedzieć.

– Jest mi bardzo przykro. Dla mnie to fatalna wiadomość... Myślę, że dla Was jeszcze gorsza.

– Tak... Chcemy sprowadzić jego ciało do Polski razem z człowiekiem, który zginął w zamachu w Kabulu. Czy jest pan w stanie pomóc?

– Oczywiście. Zrobmy tak: zorganizuję transport wojskowy, a tego cywila ściągniemy razem z nim.

– Nikt nie będzie pytał?

– Będą. Ale proszę się o to nie martwić. Nie takie sprawy załatwialiśmy. Co do pani pobytu...

– Zostanę. Przed nami wybory, poza tym podpisałam kontrakt.

– Dobrze. Jeśli więc pani pozwoli, będę z panią w kontakcie.

– Niech będzie... póki tu jestem.

– Aha... pani Justyno, tu jest bardzo gorąco... w związku z pani historią. Ludzie komisarza Kotowicza radzą sobie znakomicie, ale potrwa zapewne, nim rozwiążą wszystkie... hm... problemy, dlatego doradzam unikanie Warszawy przez najbliższe miesiące.

– Rozumiem. – Justyna zmarszczyła brwi, ale nie dociekała, o co chodziło premierowi z Kotem.

– Dziękuję za wykonanie zadania. Proszę przekazać, że przelew będzie w ciągu dwunastu godzin na podanym koncie.

– Oczywiście.

W budynku zapanował lekki chaos. Każdy zajmował się swoim sprzętem, liczeniem amunicji, zdejmowaniem warstw ubrań i szorowaniem prze poczonej skóry. Ciało Krokodyla spoczęło w piwnicy, przykryte czystym prześcieradłem, które nie wiadomo gdzie znaleźli. Piotr z Wiktorem dzwonili garnkami w kuchni, bo Ukrainiec głośno domagał się soczystego mięsa i dużej dawki wódki, klnąc przy tym we wszystkich możliwych językach. Łukasz siedział dalej przy stole i musiał wysłuchać od Tadasa historii o urwanej do kolana nodze. Kiedy Justyna stanęła obok, spojrzał na nią z błagalną miną.

– Słabo znam rosyjski... prawie wcale, ale jakoś rozumiem wszystko, co mówi o swoich urwanych ścięgniach i spalonej skórze – wycodził przez zaciśnięte usta.

– No to jedźmy – Justyna roześmiała się. – Bo nas zaraz Wicia nakarmi

jakimś szuszwolem. Nigdy nie wiadomo, skąd bierze wkład do gulaszu. Kosuś, jadę z Łukaszem. Będę jutro wieczorem.

– Dobrze, Malinka. Odpocznij sobie. Ja się tu wszystkim zajmę.

– Aha! – Zatrzymała się nagle, aż Łukasz wpadł na jej plecy. – Kto zadzwoni do Bambiego?

Wszyscy, którzy ją rozumieli, spojrzeli po sobie niepewnie. Nikt nie miał ochoty przekazywać mu wiadomości o tym, że stracił swojego najlepszego przyjaciela.

– Ja to zrobię. – Nawigator podniósł rękę.

– Dzięki, Nawi – szepnęła Justyna. – Jestem Twoim dłużnikiem.

XCVIII

Ewelina otworzyła drzwi Michałowi Malickiemu, który stał wyszczerzony na progu, dzierżąc w dłoni butelkę wina.

– Siema, Ewelka. – Cmoknął ją w policzek. – Trzymaj flaszkę. Gdzie ten Twój amant?

– W kuchni. – Zarumieniła się swoim zwyczajem.

– Cześć, brachu. – Klepnął Kota w plecy i zajrzał mu przez ramię. – Co pichcisz?

– Wątróbkę z cebulą.

– Faj! – skrzywił się Michał.

– Nie musisz jeść.

– Żartujesz? Mam nadzieję dostać największą porcję. – Zdjął kurtkę, podwinął rękawy swetra i usiadł za stołem. – Słuchaj, nasz pan konsultant gadał z kimś przez Skype'a. Podobno grupa Justyny wpadła w zasadzkę czy coś, i jeden zginął. Ten cały Krokodyl. Mrozowski jest załamany. Chleje wódę w samotności...

– Wiem – powiedział spokojnie Kot, nie odwracając się nawet.

– Ale co? Że chleje?

– Że Krokodyl nie żyje.

– A skąd niby?

– Od Łukasza.

– A on gdzie to usłyszał?

– Od Justyny.

Malickiego zatkało. Otworzył usta i popatrzył zdziwiony na Ewelinę, która stała przyklejona do lodówki. Dziewczyna kiwnęła tylko głową z nieśmiałym uśmiechem.

– Znalazł ją?

– Tak.

– No to zajebicie! Czemu nic nie mówiłeś?

– Bo wiedziałem, że przyjdiesz. – Obejrzał się w jego stronę Kotowicz.

– No! A kiedy wracają?

– Nie wracają.

– Yyy... Słucham?

Kot odwrócił się z patelnią w dłoni i kiwnął na Ewelinę, która podstawiała Michałowi talerz przed nosem.

– Zostaną dwa albo trzy miesiące.

– Ale dlaczego?

– Ze względów formalnych. Justyna ma jakieś zadania do wykonania, których nie może zostawić, zwłaszcza po śmierci tego całego Krokodyla, a Łukasz podpisał umowę z Domańskim i w zasadzie też nie może wyjechać bez wypowiedzenia.

– Ale jaja! – prychnął Michał, pochylając się nad dymiącą wątróbką. – No ale... Justyna wróci do niego?

– Tak. – Kot nałożył porcję dziewczynie, a przed sobą postawił patelnię na podstawce. – Jakoś się chyba dogadają. Podobno to całe jej towarzystwo nie było zadowolone na jego widok. Bał się, że mu gardło poderzną, jeśli będzie chciał im ją zabrać.

Przez chwilę nic nie mówili, tylko w ciszy jedli posiłek.

– Słuchaj, Michał, mam do Ciebie sprawę. – Tomek wytarł usta serwetką i spojrzał przenikliwie na Malickiego.

– No, co tam?

– Przyjdiesz do nas pracować?

– Co? – Malicki przestał przeżuwać i popatrzył zdumiony na Kota.

– Proponuję Ci przejście do naszej komórki. W zasadzie to Tobie i Wiśniewskiemu.

– A co na to Brenner?

– Nic. To już jest moja komórka. Stary nie wróci, pójdzie od razu do Głównej do Rasiaka.

– Pitolisz?

– Nie – roześmiał się Kot. – Mówię poważnie. Kozera i Badecki wrócą nie długo do Poznania, przynajmniej taką mają nadzieję. Będzie nas mało, bo Meyera też nie ma... A Wy jesteście i tak z nami.

– Wiśnia posika się ze szczęścia – uśmiechnął się Malicki, puszcżając oko do Eweliny.

– A Ty jak się na to zapatrujesz?

– Czy ja wiem? Biorę to. Wiesz, że ze mną jak z dzieckiem. Byleby robota była. A czym konkretnie mamy się zajmować? Poza tym, że pomagamy panu B.

– Tym, co zawsze: porwania i wymuszenia rozbójnicze. Czasami narkotyki i generalnie przestępczość zorganizowana.

– Aha. Fajnie. Dla mnie bomba.

– Dobrze. Wobec tego będę miał dla Ciebie pierwsze zadanie.

– No? – Malicki wyprostował się nagle.

– Przesłuchasz Iwanowa. Damy Ci wszystko, co ustaliliśmy w jego sprawie, a Ty potem powiesz nam, czy mamy podstawy, żeby go dalej trzymać, czy może czas go wypuścić.

– Ej! Podobno układał się z tymi z B. S. K. Chcielibyście go puścić?

Kot wzruszył ramionami.

– Niech wychodzi. Mnie on krzywdy nie zrobił, a tylko pomógł złapać Kowaliowa. Jak dobrze pokombinujemy, to jeszcze uznamy, że był podwójnym agentem i nawet do służby wróci.

– Aha... a co z Odrowążem?

– Postaram się, żeby dostał ze dwadzieścia lat, tak samo Linde.

– Tak?

– A jak myślisz? Sławek to skończony skurwiel, przesadził. Linde myślał, że się wywinie, bo powiedział, że on nic nie wiedział...

– A Ty nie lubisz, jak się robi z Ciebie debila – dopowiedział sobie Malicki, wycierając talerz kromką chleba.

– Właśnie – mruknął Tomek znad szklanki z sokiem.

– To co? – Michał odsunął pusty talerz. – Idziemy oglądać meczyk?

– Nie. Ty idziesz do zmywarki i sprzątasz ze stołu.

– Hej! – obruszył się Michał.

– Tu nie ma służby dla pana hrabiego. Zbieraj gary. Ewelinka nie będzie Cię obsługiwać.

Malicki spojrział zdumiony na dziewczynę. Siedziała wpatrzona w Tomka z rozanieloną buzią i wzrokiem pełnym najwyższego uwielbienia.

XCIX

Justyna wiedziała na pewno, że Łukasz jest szczęśliwy. Był też bardzo przejęty. Poznawała to po nienaturalnie szybkim biciu jego serca, które słyszała, leżąc na jego piersi. Wydawało się, że cały pulsuje, a jego tętnice zaraz eksplodują. Dawno nie słyszała u niego tego rytmu, nawet po porwaniu... Tak samo reagowało jego ciało krótko po tym, jak się poznali, gdy po raz pierwszy przytulali się do siebie. Przez jakiś czas myślała, że ma po prostu wysokie ciśnienie, ale później dotarło do niej, że to wynik zakochania. Wyglądało na to, że jej mąż zakochał się w niej drugi raz.

– Nie przyjechałam tu z Tobą, żeby uprawiać dziki seks, tylko żeby Cię zdrowo opierdolić – mruknęła, nie podnosząc nawet głowy.

– Uznam, że te ślady po Twoich pazurach na moich plecach pójdą na konto opierdolu, OK?

– Dobra – zachichotała. – Ale nie myśl sobie, że już mi przeszła złość.

– Nie myślę... – westchnął. – Musisz do nich wracać? Nie mogłabyś tu zostać ze mną?

– Podobno jesteś obserwowany. Wolałabym, żeby Ci, dla których pracuje ta Wasza Jasmina, nie szli za mną. Poza tym będziemy mieć dużo pracy przez wybory.

– To chyba niezbyt bezpiecznie, co?

– Nie wiem... – Wzruszyła ramionami. – Będzie się kręcić trochę więcej świrów, to wszystko.

– Justynka, mogę Ci coś powiedzieć?

– Nie wiem. – Uniosła głowę. – To zależy.

– Nie chciałbym się wymądrzać, ale co do tego, co się stało w górach... Bardzo się obwiniasz, a wydaje mi się, że niesłusznie.

– Nie chcę o tym mówić. – Usiadła na łóżku.

- Ale cały czas myślisz. – Pogłaskał ją po gołych plecach.
- I będę jeszcze długo.
- Justynka... – Łukasz usiadł obok niej. – Każdy z Was mógł dostać...
- Ale oni mogli w ogóle nie otwierać ognia, gdyby ten gamoń nie strzelił.
- A nie przyszło Ci do głowy, że i tak by otworzyli? Może ten gamoń Was uratował, bo tamci szykowali większą zasadzkę?
- Może...
- Wydaje mi się, że przeżywasz to tak bardzo tylko dlatego, że zginął Kroko-dyl.
- Spojrzała na niego z powagą.
- Co masz na myśli?
- Nic – uśmiechnął się. – Po prostu nie możesz zaprzeczyć, że dużo dla Ciebie znaczył.
- Przygryzła wargę i odwróciła wzrok.
- Słuchaj... – szepnął jej do ucha. – Byłem w Waszej poprzedniej kryjówce.
- Jak to? – Znowu na niego patrzyła, tyle że z lekkim niepokojem.
- Jasmina mnie tam zaprowadziła.
- Żartujesz? – Odwróciła się całym ciałem w jego stronę.
- Nie. Zabrałem Twoją walizkę.
- Gdzie ją masz?
- Nie mam... Ktoś ją ukradł.
- Boże! Nie!
- Łukasz sięgnął do spodni, które leżały na podłodze, i wyjął coś z kieszeni.
- O to Ci chodzi? – zapytał, unosząc w górę plastikowe pudełko. Justyna zła-pała je i otworzyła drżącymi dłońmi.
- Nie ma! – Spojrzała na niego z gniewem. – Gdzie ją masz?
- Schowałem.
- Czemu?
- Co chciałaś przez to osiągnąć?
- Zabezpieczyć się. Dobrze wiesz, o co chodzi.
- Justyś... przez pamiętniki, którymi się „zabezpieczyłaś”, w Warszawie roz-pętała się trzecia wojna światowa... Zresztą nie tylko w Warszawie. Jesteś pewna, że znowu tego chcesz?
- Jestem – odparła hardo i wyskoczyła z łóżka. – Gdyby nie pamiętniki,

Jaskółka dalej chodziłby na wolności. A tę Twoją Jasminę to trzeba dobrze przypilnować.

– Ona nie jest „moja”, a poza tym „twoja” Angie już jej pilnuje... to znaczy ludzie Angie. Sprzątnęli jakiegoś jej człowieka, nie jestem pewien, czy nie brata albo kuzyna, jak jechał za mną.

Justyna usiadła na skraju łóżka i odgarnęła włosy z czoła.

– Dla kogo ona pracuje?

– Nie mam pojęcia.

– Angie dała Ci do siebie kontakt?

– Nie, sama ma dzwonić, gdyby coś się działo. Powiedz mi... kim ona jest?

– To skomplikowane – Justyna westchnęła i sięgnęła po czystą koszulkę Łukasza. – Kiedyś pracowała w CIA i coś narozrabiała. Generalnie chodziło o to, że nie mogła pogodzić się z ich różnymi dziwnymi praktykami. Zrobili z niej wariatkę i wywalili. Teraz działa na własną rękę i nieźle im miesza. Szukają jej po całym Kabulu, chcieli, żebym ją zabiła.

– Co?!

– A, szkoda gadać. – Machnęła ręką. – Chyba ktoś pukał do drzwi.

– Nie słyszałem. – Łukasz zerwał się na proste nogi i zaczął zakładać spodnie.

– Wydaje mi się, że robił to bardzo cicho. Sprawdź.

Łukasz podszedł do drzwi i ostrożnie je otworzył.

– Dzięki Bogu! – Andrzej odetchnął, wchodząc do środka bez ceregieli. – Nie dawałeś znowu znaku życia, myślałem... O, przepraszam.

Stanął zmieszany na środku pokoju. Justyna naciągnęła mocniej koszulkę, bo nawet nie miała na sobie bielizny.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się szeroko. – Pan to pewnie Andrzej.

– Yyy... tak... – Spojrzał zdumiony na Łukasza. – To twoja...

– Tak. To Justyna, moja żona.

– Ojej! – Podszedł bliżej i podał jej dłoń. – Bardzo przepraszam za to najście, ale martwiłem się o Łukasza. Zaraz sobie pójdę.

– Nie, nie idź – zaprotestowała Justyna. – Zaczekaj, muszę Ci o czymś powiedzieć. Daj mi minutkę, to się ubiorę.

Spłoszony nieco Domański zniknął w łazience i był w niej znacznie dłużej, niż było potrzeba, ale najwidoczniej nie chciał znowu znaleźć się w krępującej sytuacji. Gdy wyszedł, Justyna siedziała w kucki na podłodze przy niskim sto-

liku ubrana w długą sukienkę.

– Tak... więc... – chrząknął Andrzej. – Spotkaliście się więc.

Domański nie skakał z radości na widok Justyny, bo wiedział, że to może oznaczać szybki wyjazd Łukasza, którego obecność miała zbawienny wpływ na większość ekipy budowlanej.

– No – Łukasz uśmiechnął się znad dzbanka z herbatą, którą właśnie przygotował. – Chcesz wódki?

– Nie. Będę wracał samochodem. Lepiej nie...

– Ale my się napijemy.

– Usiądź. – Justyna poklepała miejsce obok siebie. – Jest sprawa.

– Tak? – Andrzej przysunął sobie krzesło, bo jego zeszywniałe stawy nie pozwalały na siadanie tak nisko.

– W przyszłym tygodniu wysyłamy do Polski ciało naszego kolegi. Poleci samolotem wojskowym.

– Najemnik? – wyrwało się niespodziewanie Domańskiemu, który miał ochotę w tym samym momencie zapaść się pod ziemię.

– Tak, najemnik – roześmiała się Justyna, choć nieco smutno. – Mam taką możliwość, więc z niej korzystam. Do samolotu zmieści się również trumna z Twoim inżynierem, który zginął w zamachu.

– O! – Andrzej zamrugał powiekami. – I nie trzeba będzie za to płacić?

– Nie. Tylko ktoś musi odebrać ciało z lotniska. Załatwisz to?

– Jasne. Zdjęłaś mi ciężar z serca. Myślałem, że już nie uda mi się tego załatwić... nie w tym roku. Wspaniale – szepnął, odwracając wzrok. Justyna widziała, jak małe łezki zawisły na jego rzęsach.

– A ja mam dla Ciebie inną dobrą wiadomość – powiedział Łukasz, klepiąc szefa po plecach. – Zostaję.

– Żartujesz? Długo?

– Przynajmniej dwa miesiące. Co Ty na to?

– O rany! – Andrzej pokręcił głową i roześmiał się z niedowierzaniem. – To chyba napiję się tej wódki.

C

– Ktoś stoi pod drzwiami. – Piotr spojrzął z niepokojem na Jamala, który siedział na kanapie z Gogolem.

– Mówisz do mnie? – Jamal zmarszczył nos.

Piotr pokiwał głową energicznie.

– To mów po angielsku. Jeszcze nie znam polskiego.

– Aha. – chłopak pacnął się dłonią w głowę, a Gogol zachichotał po raz pierwszy od kilku dni. – Mówiłem, że ktoś stoi pod drzwiami. Od tyłu. I to jest chyba... ten człowiek, który przyprowadził męża Maliny.

– No tak... – Jamal podniósł się z miejsca, wzdychając ciężko. – Zaczyna się.

– Pójdę z Tobą. – Gogol poderwał się jednym zgrabnym ruchem.

Rzeczywiście, na progu stały dwie osoby: mężczyzna w zielonej kurtce i... Angie De Soto, szeroko uśmiechnięta.

– Nie będziemy strzelać! – Amerykanka uniosła obie dłonie w górę, jakby się poddawała. – Musimy pogadać.

Jamal wpuścił ich do środka, choć bardzo tego nie chciał. Pluł sobie w brodę, że nie zmienili miejsca, choć z drugiej strony skoro znaleźli ich w tym, to w następnym pewnie też by ich namierzyli.

Angie weszła i od razu zwróciła uwagę na złożone na podłodze ciało Krokodyła. Stała nad nim i zamyśliła się na chwilę.

– On nie może tu leżeć. – Spojrzała na Jamala przejęta. – Zabierzemy go.

– Dokąd? – Jamal przybrał groźną pozę.

– Do kostnicy. Przyjdą nasi ludzie i pożegnają go zgodnie z muzułmańskim obrządkiem.

– Będzie pochowany w Polsce.

– Nieważne. Należy mu się szacunek. Chodźmy. – Złapała Jamala za metalową rękę. – Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie będziemy mogli pogadać.

Ci, co siedzieli jeszcze we wspólnym pomieszczeniu, przywitali gości zło-wrogą ciszą. Wiktor i Tadas znali Angie z kilku nieprzyjemnych sytuacji i najchętniej od razu poderżnęliby jej gardło, ale Nawigator pokręcił lekko głową, dając im do zrozumienia, żeby zostali na swoich miejscach. Towarzysz kobiety stanął pod ścianą z założonymi rękami i nawet na nich nie patrzył. Gogol wrócił na kanapę, a Jamal zaprowadził Angie do kuchni.

– Mam prośbę – zaczęła od razu, gdy tylko zostali sami. – Nie wyprowadzajcie się stąd.

– Chcesz mi rozkazywać? W sytuacji, w której powinienem Cię zabić?

– Przecież mówię, że to prośba. Zrobisz, jak uważasz. Chodzi o to, że moi ludzie Was pilnują.

Jamal parsknął nerwowym śmiechem i pokręcił głową.

– Jesteś zabawna.

– Słuchaj, sprawa jest poważna. Nie chcę, żeby coś się Wam stało... Poza tym mam wobec Was dług wdzięczności.

– Jaki niby? – Odchylił nieco głowę zdziwiony.

– Tę akcję w górach – ściszyła głos. – Nawet nie wiesz, jak nam pomogliście.

– Wam?!

– Nie będę tego teraz wyjaśniać, ale taki jest fakt. Jamal... zrób coś dla mnie: nie miej pretensji do Maliny o tę naszą... relację. Nie chciałyśmy robić z Ciebie durnia. Po prostu uznałyśmy, że o pewnych sprawach nie musisz wiedzieć i tak będzie bezpieczniej.

Jamal roześmiał się całkiem szczerze.

– Ja mam nie być zły?! Angie, Ty to masz poczucie humoru. Wiesz, co zrobiła, jak wrócili?

– Co?

– Awanturę.

– Yyy... to znaczy?

– Nie zdążyłem pisać, bo oblała mnie stekiem wyzwisk, jakim to głupim i nieodpowiedzialnym koordynatorem jestem.

– O... to do niej niepodobne.

– Pracujesz z kobietami?

– W zasadzie nie.

– No właśnie. Taka Wasza logika, że jak ja wiem, że mam rację, a Wy nie, to

muszę Was zaraz przeproszać, żebyście się źle nie poczuli.

– Oscar Wilde – uśmiechnęła się szelmowsko Angie.

– Co?

– Nie, nic. To o co zrobiła Ci tę awanturę?

– Że nie dbam o ludzi i nawet nie mamy UAV.

– My mamy – wyrwała się Angie. – Możemy użyć, gdyby było trzeba.

– Angie – Jamal przyjrzał jej się podejrzliwie – czego Ty tak naprawdę chcesz?

– Oj – przewróciła oczami – zaraz musisz wszystko wiedzieć. Chcę Was pilnować, bo... powiedzmy, że działacie w tym samym kręgu zainteresowań, co my. No... nasze interesy pokrywają się. Wasze szczęście jest moim szczęściem.

– Wyszczrzyła znowu zęby, pogłębiając zmarszczki mimiczne na wychudzonej twarzy.

Jamal sapnął i wydał usta.

– Sam nie wiem... Ty jesteś żmija pierwszej klasy. Nie można Ci ufać.

– O, widzisz. – Klepnęła go w ramię. – I dlatego Cię lubię. Dobra, pójdziemy już. Zawołam jeszcze kogoś, żeby zabrał Krokodyla...

– Czeka! – Wbił metalowe palce w jej ramię. – Skąd wiesz, że to Krokodyl?

Nabrała powietrza w płuca.

– O, kurwa! No to wpadłam. Jamal, posłuchaj... ja mam dojścia...

– Dobra. – Jamal puścił ją gwałtownie. – Idź już stąd. Tylko nie zmuszaj mnie, żebym ścigał Cię z nożem po mieście.

Angie wyszła z kuchni i ruchem głowy dała znak swojemu człowiekowi, który wyciągnął telefon i wybrał numer. Po minucie pod drzwiami zjawił się kolejny mężczyzna i cała trójka zabrała ciało Krokodyla ze sobą, odjeżdżając w nieznanym kierunku.

– Wszystko w porządku? – zapytał Gogol, gdy Jamal wrócił na kanapę.

– Nie. – Amerykanin potarł dłonią twarz. – Ale w sumie to nie wiem. Nie mam siły się już przenosić. Może nas nie pozabijają.

– Hm... – Gogol upił spory łyk herbaty z wódką. – To ja pójde zadzwonić do żony... skoro jeszcze trochę pożyję.

Jamal kiwnął głową i zamyślił się. Czegoś mu brakowało. Miał wrażenie, że zgubił mu się jakiś element w układance. Rozejrzał się wokoło, ale nie mógł odgadnąć, o co chodziło. Mimo że nic się nie zmieniło w wyglądzie budynku

i tego pomieszczenia, wydawało mu się przez chwilę, że jest strasznie pusto. Podniósł się i ruszył w stronę małego pokoju, który był za kuchnią. Stał w progu i dopiero wówczas pojął, że przyszedł zapytać Krokodyla, czy coś się stało. Popatrzył na puste miejsce na podłodze, gdzie tydzień wcześniej leżały jego rzeczy, i poczuł, że zapada się w sobie.

Zawsze ktoś ginie – pomyślał z goryczą. Ale czasami jest bardziej do dupy niż zwykle...

CI

Kasia bardzo długo nie mogła zasnąć tej nocy. Rozmowa z Kostkiem całkowicie wytrąciła ją z równowagi.

– Ale jak zginął? – łkała do kamerki na komputerze.

– Kasiu, nawet go nie znałaś... – Gogol bardzo żałował, że powiedział jej o śmierci Krokodyla.

– Ale Ty byłeś z nim. Też mogłeś... albo Justynka. Nic jej nie jest?

– Nie. Umarł jej na rękach.

– Ale jak?

– Uderzył go odłamek z moździerza.

– Boże! – Schowała twarz w dłoniach.

– Kaśka, co z Tobą? Jeżdżę od dziesięciu lat albo i dłużej... Mogę zginąć w każdej chwili, ale do tej pory się nie rozklejałaś.

– Wiem, wiem... – Pociągnęła nosem i wytarła policzki. – Ale to chyba przez Justynę. Jakoś nie mogę jej tam sobie wyobrazić... z tą bronią.

Kostek parsknął.

– To Ci się teraz dowcip udał – rechotał. – Lepiej powiedz, jak nasi domowi terroryści?

– Ojej – westchnęła. – Z Kubą nawet dobrze... Od tygodnia nikogo nie pobił, myje się co drugi dzień, chodzi do szkoły. Raz tylko coś mu się увидziało, zrobił strajk i nie wstał przez całą dobę z łóżka. Nic wielkiego.

– No, a Kasia? – zapytał cicho, choć nie był pewny, czy chce znać odpowiedź.

– Hm... poszliśmy za radą Justyny i znaleźliśmy jej guru...

– No i?

– Miała rację. Dziewczynka jest zepsuta i rozwydrzona. Demoralizuje koleżanki, ale oczywiście najbardziej naszą córkę. Poszliśmy z Bogdanem do jej rodziców, to nas wyrzucili. Myślę, że ich znasz. Mieszkają przy wjeździe do wsi,

taka wielka hawira zaraz za tablicą.

– Tak, wiem. Mają małą fabrykę śrubek.

– Właśnie. Podobno nieźle się na tym dorobili. Tylko dzieci nie potrafią dopilnować. No i mamy problem...

– Jaki?

– Mała dowiedziała się o naszej akcji i zrobiła wściekłą awanturę. Kostek... ja nie wiem, jak mam sobie z nią poradzić. Nie odzywa się do nas... Chciałam na trochę odciągnąć ją od szkoły, ale ucieka, chce się widywać z tą koleżanką. Jest jeszcze gorsza. W ogóle nie powinnam Ci tego mówić.

– Powinnaś – powiedział cicho. – Muszę wiedzieć... Nie wiem, co robić. – Potarł dłonią czoło. – Nie mam pomysłu. Wiesz... może to tak na początku się wścieka, ale potem się uspokoi. Trzeba być konsekwentnym, zabrać jej te kosmetyki, głupie gazety, zmienić szkołę.

– Bogdan mówił to samo. Po świętach chyba pojedę do Radomia... Będziemy ją dowozić.

– Kasia, jedźcie zaraz, w poniedziałek. Nie odkładaj tego, dobra?

– OK.

– Jak stoisz z pieniędzmi?

– Dobrze – uśmiechnęła się. – Umiem oszczędzać, przecież wiesz.

– Wiem. – Kiwnął głową. – Ale gdybyś uznała, że trzeba małą posłać do jakiejś drogiej szkoły, to się nie wahaj. Powiedz coś o bliźniakach.

Twarz Kasi rozjaśniła się. O maluchach mogła opowiadać godzinami, takie były grzeczne i rozkoszne, a najważniejsze, że nie chorowały. Gadali jeszcze dobre pół godziny i pewnie trwałyby to dłużej, ale Kostek zaczął przysypiać ze zmęczenia, więc się rozłączyli.

Kasia położyła się i wtedy zaczęła myśleć o Krokodylu, o tym, co się stało i o Justynie. Nie dawało jej to spokoju, a gdy wreszcie usnęła, śniły jej się okropne rzeczy. Z koszmaru wyrwał ją dźwięk komórki. Myślała początkowo, że to budzik, ale ponieważ nic nie dawało uderzanie dłonią w aparat, spojrzała w końcu półprzytomnym wzrokiem na ekran.

Była szósta rano. Niedziela. O tej godzinie prawie nigdy nikt nie dzwonił, chyba że Kostek z informacją, że wraca. Nie wyświetlał się żaden numer, co było tym dziwniejsze.

– Słucham – powiedziała zachrypniętym głosem. Spała niecałe cztery godziny

i była ledwo żywa.

– Cześć, Kasiu. Mówi Justyna.

– Justyś, to Ty? – Kasia zerwała się i usiadła na łóżku. – Boże, jak się cieszę.

Powiedz, że mi się nie śnisz.

– Nie – Justyna roześmiała się. – To naprawdę ja i to nie jest sen.

– Rozmawiałam z Kostkiem. Mówił mi o Muszyńskim...

– Tak, niestety...

– Bardzo mi przykro.

– Słuchaj... mam prośbę. Czy mogłabym porozmawiać z Kubą?

– Z Kubą? On... Nie no, jasne. Zaczekaj, pójde go obudzić.

Chłopiec przecierał czarne oczka i mrugał nimi zdziwiony, patrząc na siedzącą obok mamę.

– Co to? – zapytał.

– Mam dla Ciebie niespodziankę. Ktoś bardzo chce z Tobą porozmawiać.

– Halo – powiedział, przyciskając komórkę do ucha.

– Cześć, Jakubie. Mówi Justyna.

– Hyyyy! – wyrwało mu się z gardła. – Gdzie jesteś? Kiedy wrócisz do mnie?

– Jeszcze jestem daleko, ale muszę Ci o czymś powiedzieć. Znalazł mnie tu pewien funkcjonariusz służb specjalnych i mówił, że został wysłany przez Ciebie. To prawda?

– No! – Pokiwał energicznie główką. – Wysłałem go. Bo ja... ja wynająłem Rafała.

– Ojej! To poważna sprawa. I co, zgodził się?

– No. Nawet nie musiałem mu płacić. Byłem u niego w szpitalu i powiedział, że jestem twardzielem. Mam jego koszulkę.

Justyna poczuła, że się gubi. Zerknęła na Łukasza, który przeglądał Internet, siedząc na łóżku z laptopem na kolanach.

– No to... super. W każdym razie o nic się już nie martw. Zadanie zostało wykonane i będę przywieziona przez tego człowieka.

– Fajnie. A będziesz wtedy ze mną?

– Nie no... raczej będę Cię często odwiedzać. I Ty też będziesz przyjeżdżał do mnie, tak?

– No! A pójdziemy do Rafała i Grażyny?

– Pewnie. Grażynę też znasz?

– No! Robi dobre kanapki i pozwoliła mi spać w łóżku Rafała. Fajna jest.

– No to świetnie. Daj mi mamę, jeszcze chwilę z nią pogadam. A Ciebie całuję mocno.

– Mamo! – Malec podał Kasi telefon.

– Tak?

– Kaśka, rozumiałaś coś z tego, co on mówił?

– Nic a nic – roześmiała się Kasia. – Ale nieważne. Grunt, że jest zadowolony. Pewnie teraz nie zaśnie.

– Dobra, to kończę. U Was jest bardzo wcześnie. A ja muszę sobie poważnie porozmawiać z moim mężem.

– Z kim?!

– Z Łukaszem... Gogol Ci nie mówił? Przyjechał do Afganistanu, siedzi obok mnie.

– Yyy... żartujesz?

– Nie. Kasiu, rozłączam się już. Zadzwoń za tydzień, dobrze?

– Do... dobrze, Justyś. Pa.

Kasia siedziała chwilę na łóżku syna z głupią miną.

Albo jeszcze śpię, albo zwariowałam.

– Kubuś, powiedz mi... o czym rozmawiałeś z Justynką?

– Nie mogę powiedzieć. To sekret – odpowiedział całkiem poważnie. – Obiecałem Rafałowi.

– No tak, skoro obiecałeś... nie można łamać obietnic. Połóż się i śpij jeszcze.

– Przykryła go kołdrą i pocałowała w czoło.

I znowu nie mogła usnąć. Odczekała do momentu, gdy zrobiło się jasno, i odnalazła numer telefonu do Grażyny Brennerowej. Chwilę wahala się, zanim go wybrała, ale ciekawość zwyciężyła.

– Bardzo przepraszam, że tak wcześnie i w niedzielę, ale... Chciałabym, żeby mi pani coś wyjaśniła.

– Słucham panią. – Grażyna uśmiechnęła się do siebie.

Rozmawiały bardzo długo, aż ucho Kasi zaczerwieniło się mocno. Niespodziewanie, głos i pełna empatii postawa Grażyny podziałały na nią kojąco. Zanim się obejrzała, powiedziała tej kobiecie o niemal wszystkich swoich problemach, a nie tylko o tym, co jej ośmioletni syn robił u Brennera w szpitalu. Kiedy doszła do opowieści o córce, nie wytrzymała i trochę sobie popłakała.

– Czasem już nie wiem, co robić... Czy to moja wina...

– Spokojnie. Jest pani obarczona wieloma obowiązkami, może zbyt wieloma, i nie widzi pani rzeczywistości obiektywnie, tylko przez pryzmat emocji. W ten sposób niczego mądrego nie da się wymyśleć. Pani Kasiu... może to głupio zabrzmieć, ale niech ją pani do mnie przywiezie. Co by nie było, mam trochę doświadczenia z dziewczynkami. Mieliśmy ją tylko jedną, ale Martyna też dała nam nieźle popalić.

– Ja... nie wiem... Nie wiem, czy tak można.

– A niech mi pani powie, dlaczego nie można? Musi pani odpocząć, nie da się za długo ciągnąć tego wozu. Pani szwagier już wie, gdzie mieszkamy, więc spakujcie się i... zapraszam. Szczerze powiedziawszy, nie robię tego bezinteresownie. Mój mąż... zostanie jeszcze trochę w szpitalu, a po nim od razu jedzie do sanatorium na kilka tygodni. Dostanę szalę sama w domu.

– No... dobrze. Ale kiedy?

– Dziś. Niech pani przyjedzie, poznamy się, porozmawiamy.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. I proszę przywieźć Kubę, wpadniemy do Rafała na parę minut, ucieszy się.

– Dobrze, to pójde powiedzieć Bogdanowi.

– Świetnie! Czekam na Was.

CII

– Jak to Brenner został ranny? – Justyna stała nad Łukaszem jak kat nad skazańcem.

– Został i już. Nie ma tu co tłumaczyć.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem, Justyś. Jakiś walnięty inspektor ze Stołecznej do niego strzelał, ale nie znam szczegółów.

– O, matko! – Justyna klapnęła na łóżko. – To przez tę sprawę?

– Teraz się przejmujesz, tak?

– No a jak myślisz?! Mógł zginąć.

– Mógł...

– Cholera! Ale czekaj... Jak rozmawiałam z Brzezińskim, to mówił coś o Kocie. To ma coś wspólnego... jedno z drugim?

– No... Kot zajął jego miejsce.

Justyna roześmiała się.

– A ogoli się na łyso?

– Ej! – Zdzielił ją poduszką przez plecy. – Nie śmiać się z mojego szefa. To poważne sprawy.

– Twoim szefem jest teraz Andrzej. A jak Kot sobie radzi?

– Ponoć świetnie. Lenart pisał mi wiadomości, z których wynika, że jest diabelnie skuteczny.

– No proszę. – Justyna pokiwała głową z uznaniem, ale w jej głosie słychać było nutkę ironii.

– Tomek się zakochał.

– Coś Ty?! W kim?

– A... w takiej jednej. – Łukasz opuścił wzrok na ekran komputera.

– Hej, hej! Panie Meyer, co to za mina?

– Nie, nic... jest taka dziewczyna... Bo Kotowicz mieszka teraz w naszym mieszkaniu.

– Aha! W naszym mieszkaniu... z dziewczyną... Już ja wiem, o co chodzi. Premier mi mówił, że sprowadziłeś pod nasz dach jakąś flamę. Pewnie o nią chodzi.

Łukasz spalił raka.

– Premier... Ci mówił?

– Tak, tak, mój drogi. Nasze małżeństwo stało się teraz sprawą państwową. Nic się nie ukryje. Kto to jest?

– Kuzynka Kowalskiego.

– Ile ma lat?

– Dziewiętnaście.

– Ile?! On zwariował?! No, ładnie... – wybuchnęła nagle śmiechem. – Ależ Ty jesteś bęcwał, Meyer.

– Dlaczego?

– Bo... bo ja domyślam się, co chciałeś zrobić. – Pokładała się ze śmiechu, trzymając za brzuch. – Sprowadziłeś ją, żeby mi zrobić na złość, a jak Ci się odwidziało, to się Kotek w niej zakochał.

– Co ty... – zacukał się. Był pewien, że ktoś jej musiał o tym powiedzieć. Nigdy by nie przypuszczał, że aż tak dobrze mogłaby go rozgryźć. – Jak to?

– Znam Cię. – Pokiwała palcem. – Ile jestem od Ciebie starsza?

– Dwa lata. Bo co?

– Bo to, że Tobie nigdy nie podobały się młodsze. Ja jestem wyjątkowo smarkata. Twoja poprzednia dziewczyna miała chyba z dziesięć lat więcej.

– Siedem...

– Nie znosisz młodszych, taki „perwers” z Ciebie. Przecież... o, ja nie mogę... posiedziałaś z tą gówniarą i szybko Ci się odechciało. Przyznaj się.

Łukasz odwrócił wzrok i wydał usta jak naburmuszony dzieciak.

– Nie podobała mi się – mruknął. – Jest obleśna. Łaziła za mną jak kociak, miauczała... Okropność. – Wzdrygnął się. – Ale Tomasz zakochał się od razu...

– Niesamowite! – Justyna dyszała zmęczona. – I co? Pobiorą się?

– A skąd ja mogę wiedzieć? On to traktuje poważnie. Ona... jest moim zdaniem lekko niedorozwinięta.

– No, ale może chociaż nie będzie go bić, co? – Oparła się na łokciu i spoj-

rzała na niego wymownie.

– Nie rozumiem...

– Co nie rozumiesz? Ewka go lała aż miło.

– Skąd wiesz?

– Ja pierdołę, Meyer. Z Ciebie to jest dupa, nie śledczy. Łapałeś takich gnoi i miałeś nosa jak stado psów... a nie widziałeś, że Twój najlepszy kumpel jest bity?

– Jakoś nie. – Skrzywił się. – Kot podał ją do sądu. Ma szansę wygrać spore odszkodowanie.

– Bardzo dobrze. – Justyna kiwnęła głową z uznaniem. – No... to może to jest to? Ma dziewczuchę, którą sobie urobi i wychowa, i nareszcie będzie szczęśliwy.

– Może... Życzę mu tego.

– A Ty? – Pogłaskała go po rękę. – Jesteś?

– No. – Kiwnął głową i uśmiechnął się, nie patrząc na nią. – Jestem.

– Ot tak, po prostu?

– Ot tak, po prostu. – Odłożył komputer i położył się obok niej. – Tylko szkoda, że nie będziemy tu mieszkać razem.

– Wytrzymasz. Poza tym może potem nieco się uspokoi i coś się uda zmienić... Tylko musisz się przyzwyczaić do nowej żony.

– Czyli jakiej?

– No... takiej, której koledzy lubią czasem komuś odciąć głowę na żywca.

– To nie jest zabawne.

– Ale prawdziwe. – Spowaźniała. – W grupie mam dwóch kolegów, z którymi byłam w szkole... Jeden z nich widział, jak Wiktor...

– Dobra! Nie mów dalej. A jak wrócimy do Polski... to będą obcięte głowy?

– Co najwyżej skręczone karki – roześmiała się.

– To też nie jest zabawne.

– Nie no... co do Polski, to wydaje mi się, że zorganizuję to wszystko inaczej. Wrócę do B. S. K. i ścisnę za jaja pana prezesa...

– Co zamierzasz? – Poderwał się gwałtownie.

– Namówić Kota, żeby go nie wsadzał. Chcę ich zaszantażować i zająć miejsce Adamiaka jako członek zarządu firmy.

– Co? – Spojrzał na nią, czekając na kolejny wybuch śmiechu, który jednak nie nastąpił. – Ty... mówisz poważnie.

– No. – Kiwnęła głową. – Przecież nie wrócę do wojska, a coś trzeba robić. No co? Mam znowu być panią od tabelek? Pieprzonym Excel-managerem?

Łukasz uśmiechnął się kątem ust i pokręcił głową.

– Naprawdę będę musiał przywyknąć do nowej żony. Aha! Zapomniałem powiedzieć Ci o czymś jeszcze.

– No?

– Zgadnij, kogo uwiódł Wiśniewski.

Justyna zmarszczyła brwi.

– Niepełnosprawną Żanetę?

– Nie, coś Ty. Podpowiem, że chodzi o prowokację i o kogoś, kogo znasz.

– Ojej, to nie wiem... Gosię?

– Nie. Panią porucznik Radecką.

Justyna potrząsnęła głową, jakby chciała się obudzić.

– Słucham? A po jakiego...

– Podejrzewaliśmy, że ona i Garlicki stoją za tymi pogrózkami.

– No... to jest możliwe – powiedziała całkiem poważnie Justyna. – Ale martwię się o Wiśniewskiego. To niebezpieczna suka, może mu bardzo zaszkodzić.

– Wiemy, dlatego mówię, że to prowokacja. Ale i tak nie to jest najlepsze. Malicki mi mówił, że żona Roberta zdradzała go od roku i że nawet chciała odchodzić. Jak się Wiśnia nie przespał z Radecką, ta z wściekłości poszła do jego żony i powiedziała, że ma z nim romans.

– To do niej podobne.

– Ale Twoja była koleżanka pomyliła się nieco, bo żonie zapalił się grunt pod nogami i zerwała z kochankiem. Chodzi teraz za Robertem i mu dogadza, byleby jej nie zostawił.

– Ja Cię kręcę. Ale cyrk! – Justyna podłożyła ręce pod głowę i spojrzała zamyślona w sufit. – Patrz, kochanie, a tu, w Kabulu, taki spokój... takie nudy...

CIII

Siwy miotał się jak ranny lew w klatce. Kiedy tylko Justyna zjawiała się na miejscu, dosłownie rzucił jej się do gardła.

– I co? Zadowolona jesteś z siebie? – warknął.

– Jak nigdy – mruknęła, krzywiąc się. – Jaki masz znowu problem?

– Taki, że zrobiłaś ze mnie ciotę od komputerów! Ja chodzę w pole, na akcje, a nie... nie pierdzę w stołek.

– Siwy... – Justyna jęknęła, przewracając oczami. – Uspokój się. Grupa potrzebuje mózgów, ludzi od myślenia...

– Sama sobie myśl! Wydaje Ci się, że nie wiem, o co chodzi? Mścisz się za... za...

– No, za co? – Spojrzała na niego z politowaniem.

– Za szkołę. Przejrzałem Cię. Ścigasz wszystkich, którzy zależli Ci za skórę i mścisz się na nich. Wiem, co się stało z Jaskółą, wiem dobrze... Tylko patrzeć, jak kolejni... pójdą siedzieć. A teraz dopadłaś mnie.

– Tak, oczywiście. Przez wszystkie te lata o niczym nie myślałam nocami, jak tylko o tym, żeby Cię dopaść i Ci wpierdolić. Odsuń się, mam robotę.

– Nie będę...

– Będiesz, będziesz. – Machnęła ręką, omijając go łukiem. – I jeszcze Ci się spodoba. B. B., gdzie Ty jesteś?

Jamal wyszedł z kuchni i spojrzał na nią groźnie.

– Miałaś być wczoraj wieczorem.

– No, ale seks mi się przedłużył. Wiesz, jak jest... Jakieś nowości?

– Nie. Tyle tylko, że jutro będzie samolot po ciała. Dobrze się spisałaś. Angie... zresztą też. Chce się z Tobą widzieć.

– Jak chce, to mnie znajdzie. Gdzie jest Ali?

– Na górze. Przebiera się. Ten twój... kolega – wskazał ręką na Siwego – tro-

chę się złości. Powiedziałem o naszym planie i chyba mu to nie pasuje...

– To niech wraca do Polski. – Wzruszyła ramionami. – Mówiłeś Piotrowi i Charliemu?

– Tak. Nie mieli uwag. Usiądą dziś po południu i ustalą we trójkę, jaki samolot będzie dla nas najlepszy.

– Tylko kup kilka sztuk, żebyśmy znowu nie zostali na lodzie z jednym.

– Dobrze, kupimy nawet więcej, jeśli będzie trzeba.

– Świetnie. – Zerknęła w stronę schodów, po których schodził jej człowiek. – No to jedziemy do sklepu.

– Powodzenia.

Sklep znajdował się nie tylko w niedużej odległości od budynków rządowych, ale też w strefie, gdzie tydzień wcześniej doszło do wybuchu, dlatego Justyna była wdzięczna Jamalowi za to, że nie dał jej broni ani nie pozwolił na kamizelkę, bo mieli po drodze dość szczegółową kontrolę. Sprawdzono dokument tożsamości Alego, jego torbę, a nawet obejrzano motor. Justyna na szczęście nie musiała pokazywać twarzy, ale jedna z policjantek kazała unieść jej nieco niebieską burkę, żeby sprawdzić, czy nie wwozi czegoś pod nią. Nadajnik radiowy schowany miała głęboko – tam już nie szukano.

Ten dzień zaczęli od porządkowania sklepu, który ucierpiał podczas zamachu. Ali naprawiał roletę, Justyna zbierała porozrzucane przedmioty i zamiatała przed wejściem. Potem już nawet nie miała ochoty udawać niczego i od razu poszła na zaplecze. Angie zjawiała się ze swoim „mężem” po godzinie. Weszła za zasłonę i usiadła na skrzynce.

– Witaj – uśmiechnęła się szeroko, gdy zdjęła burkę. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znowu Cię tu widzę.

– Hej – powiedziała cicho Justyna. – Z Tobą wszystko OK? Łukasz mówił, że byłaś poważnie ranna.

– A... Łukasz! – Angie rozpromieniła się. – Jest cudowny. Znalazł mnie na ulicy, inaczej bym umarła.

– Wydawało mi się ostatnio, że na tym Ci zależało.

– Och – machnęła ręką – to było wtedy. Słuchaj, zajęliśmy się Krokodylem...

– Wiem. Bardzo Ci dziękuję. Jutro wysyłamy go do Polski.

– Co się stało? – Amerykanka spojrzała na Justynę z niepokojem. – Dziwnie się zachowujesz.

– Angie... byliśmy w górach...

– No, wiem. – Kiwnęła głową. – Słyszałam, co się stało.

– Chodzi o to, co tam znaleźliśmy. Ci ludzie... oni mieli duży kaliber. W zimie, w górach, strzelali z wielkiego działa, którym rozwalili jedną czwartą bazy w Ghazni. Sama widziałam zniszczenia...

– No, a Wy im przeszkodziliście. Bardzo dobrze.

– Tak. Tylko powiedz mi, jak to działa się tam znalazło?

– Yyy... nie wiem. – Angie zmarszczyła brwi. – Jakoś je wnieśli.

– I strzelili dopiero teraz? Nie! Ktoś im je przywiózł... helikopterem.

– No... to jest możliwe. Masz pomysły, kto?

– Mam pomysł, że Ty wiesz.

Angie roześmiała się nerwowo i odwróciła wzrok.

– Ja? A skąd niby?

– No to po kolei. Ani w Ghazni, ani w Waghez rebelianci nie dysponują śmigłowcami, przynajmniej ja nie wiem o takim wypadku. Zaraz ktoś by ich zestrzelił. Jeśli transport był drogą powietrzną, helikopter musiał mieć oznaczenia Koalicji... bo myślę, że... to był helikopter Koalicji.

– Malina...

– Jak lecieliśmy do Afganistanu, ominęliśmy strefę brytyjską, bo była pod ciężkim ostrzałem. Sprawdziłam: walili do nich z tego samego kalibru. Wojska brytyjskie i nasze wycofują się niedługo... taki mają plan. Ci, którzy ich atakują, wcale tego nie chcą i zrobią wszystko, żeby pokazać, że Koalicja jest tu dalej potrzebna.

Angie znowu na nią nie patrzyła.

– Reasumując: są w tej chwili w tym kraju dwie grupy o sprzecznych interesach – ciągnęła Justyna. – Jedni chcą wyjść, inni chcą, by wojska państw NATO zostały... Ja nie wiem, kto jest kim i dlaczego. Domyślam się jedynie, że Ty jesteś po stronie tych, którzy chcą opuścić Afganistan, dlatego strzelano do Ciebie z tego drona.

Angie spojrzała na nią zdumiona.

– Co? Jak...

– Byłaś... tak mi się wydaje... z grupą swoich ludzi, z którymi działasz na rzecz ujawnienia tego, co naprawdę agencja i różne służby robią. Strona przeciwna nie wahała się poświęcić setki cywilów, żeby Was usunąć, bo mogli w ten

sposób tylko pokazać, jak wielką rację mają. Angie... wolę nie wiedzieć, czym się zajmujesz i dla kogo wykonujesz różne zlecenia. Nawet mnie to przeraża.

– Tak... – Angie spuściła wzrok i poprawiła niewidzialną fałdę na sukience. – Sprawa nie jest taka oczywista. Widzisz... ja dobrze rozumiem, że po wyjściu wojsk Koalicji rozpęta się tu piekło. Co drugi policjant i żołnierz wyszkolony przez NATO jest zwykłym rebeliantem, wielu to terroryści pierwszej klasy... Oni tylko czekają na to, żeby przywrócić dawny ład. Nowe władze boją się tego i mają rację, bo pierwsi stracą głowy, a nie tylko stołki. Ale! To nie jest nasz problem. Nie mojego kraju ani Twojego. Nie można zmuszać nikogo siłą czy podstępem do zostania, nie w ten sposób, że się zbroi zamachowców, którzy niszczą bazy. Sama wiesz najlepiej, że takie rzeczy mszczą się bardzo szybko, jeśli wkłada się broń w ręce ludzi tego pokroju... oni zaraz obrócą się przeciwko temu, kto im ją dał. Nie mogłam przejść obok tego obojętnie. I... – nabrała powietrza w płuca – wcale nie pracuję dla nikogo, tylko dla siebie.

– To Twoja grupa – domyśliła się Justyna.

– Tak. Długo ją zbierałam i długo szkoliłam. To dobrzy ludzie, uczciwi.

– Ale kto daje pieniądze?

Angie roześmiała się.

– A Ty myślisz, że tylko Twój premier załatwia w ten sposób różne interesy? Wielu premierów i ministrów jest bezsilnych i musi szukać innych dróg rozwiązywania takich problemów. Ja im świadczę takie usługi.

– Ja nie mogę... – Justyna pokręciła głową.

– Rozmawiałam z Jamalem... Starłam się mu to jasno wyłożyć. I myślę, że zrozumiał, bo nie przeniósł Was nigdzie. Cieszę się. Tam jesteście w miarę bezpieczni.

– Angelino, jesteście szalona.

– Może trochę. – Puściła do niej oko. – Ale Twój mąż jest o wiele bardziej szalony. Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście, że go spotkałaś na swojej drodze.

– Wiem... naprawdę wiem – Justyna uśmiechnęła się, kiwając głową. – Ale nie mów mu tego za często, żeby się nie rozbestwił.

CIV

Jacek był załamany. Damian podchodził do całego zamieszania z dużo większym dystansem i ze spokojem przyglądał się poczynaniom Ziutka i Stefana Meyera, którzy sprzeczali się, jak poprowadzić elektrykę w salonie.

– Mówię Ci, że włącznik powinien być tu, a kontakt obok wyjścia na balkon – argumentował Ziutek.

– Jeden? Jeden kontakt? Człowieku, oni tu będą mieli potrzeby, muszą zamontować różne sprzęty, komputery, lampki. Musisz wykuć jeszcze co najmniej jedną ścieżkę w tynku, żeby poprowadzić przewód – wyklócał się ojciec Łukasza.

– Nie wytrzymam – sapnął Jacek nad uchem Damiana. – Jakie sprzęty? Jakie komputery?

– Daj im pracować. Zobacz, jacy są szczęśliwi – uśmiechnął się pod nosem Damian.

Do mieszkania weszło trzech nastoletnich chłopców, którzy przynieśli jakieś wiadra i reklamówki wypchane szmatami.

– Przynieśliśmy trochę rzeczy. – Jeden z nich wszedł bez powitania do salonu i pokazał wiaderko Stefanowi.

– Bardzo dobrze, dziecko. Rozbierzcie się i rozłóżcie mi to na podłodze, żeby parkietu nie zniszczyć.

– A co mamy robić? – zapytał chłopak, patrząc na Ziutka, który obmacywał ściany.

– Ten człowiek nauczy Was, jak kłaść elektrykę. – Stary Meyer wskazał na Nienackiego. – Słuchajcie go, bo to niebezpieczne zajęcie.

– Spoko, dziadku – drugi chłopak roześmiał się. – Żądło nie takie włamy robił. Nigdy go nic nie popieściło.

– No, no! – Meyer pogroził palcem. – Nie masz się czym chwalić. Pracujcie

grzecznie, to dostaniecie coś dobrego do jedzenia.

– Inaczej by tu nie przychodzili – powiedział z przekąsem Damian.

– A księżulo jak zawsze o nas źle. – Skrzywił się chłopak.

– Nie źle, tylko prawdziwie. Co Ci matka dziś ugotowała?

– Mokłą szmatę – zarechotał drugi, waląc kolegę po plecach.

– Tego też nie umie – mruknął Żądło.

– Już, wystarczy. – Stefan machnął ręką na Damiana. – Bierzcie się do pracy.

Ja księży zapraszam do kuchni. Mam sprawę.

Meyer zajął miejsce za stołem, a Jacek odruchowo sięgnął po czajnik. Stefan lubił dobrą herbatę i lubił, jak ktoś mu ją parzył i podawał.

– Tak – chrząknął przejęty i pogładził się po siwych włosach, które mu jeszcze zostały. – Mam dla Was wiadomość, a w zasadzie dwie. Łukaszek znalazł Justysię.

– O! – Dłoń Jacka z czajnikiem zawisła w powietrzu. – Fantastycznie!

– Kiedy wracają? – Damian usiadł obok Stefana i spojrzał mu w oczy.

– Ekhm... no właśnie na razie nie wracają. Łukaszek tam pracuje, Justysia też... ma swoją robotę. Będą w Warszawie pod koniec lutego.

– Oj, to szkoda – strapił się Jacek i wrócił do nalewania wody. – I to jest ta druga wiadomość?

– Nie... – Stefan nie dokończył, bo ktoś znowu wszedł do mieszkania.

Dwie niemożliwie chude kobiety w nienagannie skrojonych płaszczach i w butach na wysokich obcasach, obarczone dużymi siatami, weszły nieśmiało do kuchni i stanęły na progu.

– To jest ta druga wiadomość – wyjaśnił Meyer zdziwionym księżom. – Ta po prawej to Zofia, a ta po lewej Jolanta. One przyszły, żeby Wam gotować.

– Ale... – Jacek znowu zamarł z czajnikiem. – Jak to?

– Tak to – stwierdził stanowczo Stefan. – Będą Wam i tym chłopcom robić obiady i czasem posprzątać. A jak się będą dobrze sprawować, to... to może jedna z nich będzie mogła wrócić do domu.

Zofia przygryzła wargę i odwróciła wzrok. Ciocia Jola uśmiechnęła się niepewnie i skinęła głową.

– To jakaś kara? – zapytał szeptem Damian, nachylając się w stronę Stefana.

– Pokuta.

– A kto ją nałożył?

– Ja.

– Aha... – Damian spojrzał na przybyłe i też się uśmiechnął. – To może... niech panie wejdą i pokażą, co tam przyniosłyście. Jacek, wstaw więcej wody.

Jacek stał odwrócony tyłem i chichotał cicho nad kuchenką.

No to zrobił się nam mały zakład resocjalizacyjny – pomyślał, zapalając gaz pod czajnikiem.

CV

Casa z trumnami Szczepana Muszyńskiego i Ireneusza Dziuby wylądowała na lotnisku Okęcie punktualnie o trzynastej. Komisarz Tomasz Kotowicz z aspirantem Marcinem Słomkowskim czekali na nią w wojskowej części tego lotniska. Mimo że było bardzo zimno, na nosach mieli okulary przeciwsłoneczne, bo ostre słońce, nisko zawieszony na niebie o tej porze roku, raziło ich w oczy.

– Chce pan dokonać identyfikacji jeszcze na pokładzie czy mamy przenieść trumny do hali? – zapytał Kota jakiś major.

– Wejdę na pokład – odpowiedział spokojnie Kot. – Potem zamkniecie trumny i zawieziecie prosto do kostnicy, bez zbędnych czynności.

– Oczywiście.

Kołowanie trwało dość długo, ale Tomasz czekał cierpliwie, zanim wyłączono silniki i otwarto tylny właz, po którym wszedł do środka.

– Daj mi zdjęcia – powiedział cicho do Marcina.

Słomkowski otworzył teczkę, którą dzierzył pod pachą, i wyciągnął dwie fotografie, dzięki którym Kot miał rozpoznać zmarłych, bo nikt z ich rodzin nie zgłosił się, żeby to uczynić.

Najpierw zobaczył Krokodyla zawiniętego szczelnie w biały materiał zgodnie z muzułmańskim obrządkiem. Nie zdejmując rękawiczek, odsłonił jego twarz i ze zdumieniem stwierdził, że Muszyński miał na niej zastygły uśmiech, który świadczył o tym, że umarł bardzo spokojny, jeśli nie szczęśliwy. Położył materiał z powrotem i skinął na żołnierza za trumną, dając sygnał, żeby ją zamknąć. Kiedy stanął nad Irkiem, nie zdołał powstrzymać westchnięcia przerażenia. Twarz Dziuby była wykrzywiona w nienaturalny sposób, usta lekko rozchylone, jakby chciały krzyknąć, a tuż pod uchem widać było zaszytą niezbyt elegancko ranę po jakimś odłamku. Kot najchętniej uciekłby od niego, ale musiał zrobić jeszcze jedną rzecz... Zerknął, czy nie jest obserwowany, i szybkim ruchem się-

gnął pod marynarkę denata. Dreszcz przeszedł mu po całym ciele, gdy poczuł bijący od zmarłego chłód, ale bez zastanowienia wyciągnął znajdującą się tam kopertę i wsunął ją za połę swojego płaszcza.

– Możecie zamknąć – powiedział cicho do żołnierza i wyszedł z samolotu.

W drodze z lotniska niewiele rozmawiali. Tomek nie mógł opędzić się od widoku martwego Dziuby. Widział w swojej pracy dziesiątki, jeśli nie setki trupów, często zmasakrowanych i w znacznym rozkładzie, ale nie dawała mu spokoju myśl o tym, że człowiek ten zginął, idąc ręką w rękę z jego najlepszym przyjacielem.

– Gdzie ich pochowają? – zapytał cicho Marcin, gdy mijali Pomnik Lotnika.

– Dziuba ma rodzinę... ale nie wiem, czy coś zorganizują – westchnął Kot. – Podobno Domański deklaruje, że wyprawi pogrzeb, jak wróci.

– A Muszyński?

– Na cmentarzu przy Tatarskiej.

– Tym dla muzułmanów?

– Tak.

– A on był...

– Nie. Chyba nie. Ale Justyna mówiła, że nawet nie wiadomo, w co wierzył i czy był gdzieś chrzczony. Nie mam pojęcia, jak to załatwili, w każdym razie tutejszy imam zgodził się na pochówek.

– Aha...

Wrócili do biura i Kotowicz poszedł od razu do gabinetu, który jeszcze niedawno zajmował inspektor Brenner. Wyciągnął kopertę i rzucił ją na biurko. W środku był list od Łukasza i pudełko z dwiema kartami SD.

Meyer pisał:

„Mam nadzieję, że przesyłka dotarła bez problemu. To dość ryzykowne, ale uznałem, że trupa nikt nie będzie obmacywał, przynajmniej nie tego.

Masz tu dwie karty pamięci. Ta, na której jest czerwona kropka, jest zaszyfrowana. Druga nie. Znajdź kogoś, kto odczyta Ci tę pierwszą, a potem zaszyfruje obydwie, i schowaj je w bezpiecznym miejscu. Zaszyfrowana jest Justyny. Powiedziałem jej, że ją zniszczyłem. Wyglądała, jakby mi uwierzyła, a może po prostu ma gdzieś kopię... Wiesz, jak jest z moją żoną.

Możesz je sobie obejrzeć, ale na własne ryzyko. Nie mam pewności, co

nagrała Justyna, ale podejrzewam, że wystarczająco dużo, żeby wsadzić pół Sztabu Generalnego i paru ministrów... Ja dorzuciłem od siebie to, o czym sam wiesz, ale po tym, co się ostatnio wydarzyło i co zobaczyłem tutaj, uznałem, że Justyna ma rację i trzeba mieć coś w zanadrzu.

Pozdrawiam Cię, stary Kocie. Uważaj na siebie i oby do szybkiego zobaczenia.

Łukasz”.

Kot odłożył list i uśmiechnął się.

Jeszcze się okaże, że i Meyer zostanie najemnikiem albo agentem.

Do gabinetu wpadł rozemocjonowany Malicki.

– Szefie, gadałem z Iwanowem.

– No i?

– Nie chce wychodzić.

– No to mu załatw jeszcze trzy miesiące.

– Co? Myślałem...

– Niech siedzi. Boi się czegoś, a Ty wrócisz do niego i dowiesz się, o co chodzi.

– Dobra. – Malicki zrobił zdziwioną minę i poszedł do swojego biurka.

Tomek wyciągnął kartę bez czerwonej kropki i włożył ją do swojego prywatnego laptopa. Nie dane mu było jednak do niej zajrzeć, bo tym razem do gabinetu wparował Lenart.

– Co robimy z Adamiakową? Ma siedzieć czy ruszamy te syfy z B. S. K.?

Kot westchnął zrezygnowany.

– Zbyszek, może to poczekać parę minut? Mam coś do zrobienia i chciałbym zająć się tym zaraz.

– No... może poczekać – przyznał Lenart. – Ale chłopaki też mają jakieś sprawy, więc...

– Więc im powiedz, że będzie mi można zawracać dupę za te kilka minut.

– OK, powiem.

Kot otworzył folder i znalazł w nim różne rodzaje plików. Było kilka skanów jakichś dokumentów w PDF, fotografie i jeden film AVI. Kliknął na niego po krótkiej chwili wahania. W oknie na ekranie pojawiła się postać Łukasza, który najwyraźniej włączał kamerę. Kot nie znał miejsca, w którym siedział, nie było

poza tym zbyt wiele widać. Meyer usiadł przed kamerą i przez moment zbierał się w sobie, żeby coś powiedzieć.

W ostatniej chwili Kotowicz zatrzymał nagranie i wyjął kartę z komputera.

– Czasem lepiej nie wiedzieć o pewnych sprawach – szepnął do siebie i wrzucił kartę do koperty.